

BUNSCH KAROL

OJCIEC I SYN

POWIEŚĆ Z CZASÓW MIESZKA I

TOM 1-2

CYKL: OPOWIEŚCI PLASTOWSKIE TOM 2

WYDANIE SZÓSTE

WYDAWNICTWO LITERACKIE

KRAKÓW 1960

NA DYSK PISAŁ FRANCISZEK KWIAŃKOWSKI.

BUNSCH KAROL

OJCIEC I SYN

POWIEŚĆ Z CZASÓW MIESZKA I

TOM 1-2

CYKL: OPOWIEŚCI PIASTOWSKIE TOM 2

WYDANIE SZÓSTE
WYDAWNICTWO LITERACKIE
KRAKÓW 1960

NA DYSK PISAŁ FRANCISZEK KWIATKOWSKI.

I

Podpora

Nielatwa była odbudowa Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Trzy korony na Ottonowej głowie nieznośnym nieraz gniotły ją ciężarem. Zatargi z Rzymem, nie skończona jeszcze walka z Bizancjum, w której podstępni Grecy saraceńskimi siłami krzyżować starali się cesarskie zamiary, trzymały siły i uwagę Ottona w Italii. W dalekim zaś kraju wszystko, od rodziny począwszy, wymagało twardej ręki i ciągłej czujności.

Zawarta z Mieszkiem przyjaźń, przez którą Otto stworzyć usiłował przeciwwagę rosnącej potędze margrafów a zarazem zyskać sprzymierzeńca przeciw groźnej naówczas Danii - wroga dla pogańskiego, weleckiego związku i współzawodnika dla Czechów - w świetle błyskawicy niespodzianego zwycięstwa polskiego księcia pod Cydzyną ukazała cesarzowi drugie swe oblicze. W cieniu swych borów „przyjaciół” rósł za szybko. Dochodziły cesarza słuchy, że za wyrzeczenie się morawskich roszczeń układa się z Bolesławem Pobożnym o wolną rękę u ujścia Odry, pozbawiając Weletów czeskiego poparcia, a z bratankiem cesarza, bawarskim Henrykiem, knuje przeciw Sasom. Wichmanowa wyprawa okazała, że Mieszko nie myśli ciężaru walki z Weletami wziąć na swe barki i odciążyć duka Hermana, dość pysznego, by kazać oddawać sobie królewskie honory, lecz zbyt słabego, by nawet na rozkaz cesarski podjąć się zniszczenia zatwardziałych pogan. Duńskich zbójców z Jomsborga zdołał Mieszko siłą i pieniądzem wciągnąć w swoje służby i ujście Odry, które kością niezgody między nim a Danią być miało, dla siebie zabezpieczyć.

Zbladły italskie troski cesarza przy tych myślach i Otto pośpieszał do kraju, niepewny, co tam zastanie. Mężny i przebiegły „sprzymierzeniec”, rozjątrzony napaścią, rozzuchwalony zwycięstwem, porwać się mógł na czyny, zdolne zniweczyć pracę i dorobek Geron. Cesarz zżymał się na siebie, iż sam stworzył tę możliwość, dzieląc spadek po Geronie między sześciu następców, by uniknąć wzrostu potęgi, która jemu samemu groźną stać się mogła, a ninie żałować tego musiał. Gdy zaś myślał, co może zajść, jeśli te siły, których utrzymanie w ryzach miał na celu, razem z Mieszkiem przeciw niemu się obróca, przyspieszał pochód i niespokojnie wyczekiwał wieści.

Niepokój jego jednak był płonny.

Choroba przykuła Mieszka do łoża. Niebezpieczeństwo śmierci minęło szybko, lecz groźba utraty ramienia trwała całe miesiące. Rana jątrzyła się, zatrute jadem ciało dźwignąć się nie pozwalało. Drzemał całymi dniami, by w ciszy nocnej snuć w nieskończoność czarne myśli, których początek sięgał pamiętnej nocy nad Notecią. Mieszko urodził się, wychował i żył dotąd w walce. Wcześniej przestał ją jednak uważać jedynie za zabawę, a nawet jak większość współczesnych, za sposób osiągnięcia takich czy innych doraźnych korzyści. W miarę jak dojrzywał jego rozum, coraz lepiej pojmował, że walka jedynie klęską skończyć się może, gdy nie zmierza do określonego celu, który zarazem kres jej stanowić musi. Cel ten daleki i trudny miał przed oczyma i zdązał do niego całą swą siłą, uporem, chytryością i męstwem. Teraz, gdy leżał złożony niemocą, zgnębione chorobą ciało dognębiała obawa, że cel przewyższa jego siły, że w walce tej sam pozostał. Bliski był załamania.

Znał i oceniał z niechybną trafnością siły, działające w tym kotłowisku walki wszystkich przeciw

wszystkim, lecz po raz pierwszy odczuł z niezmierną wyrazistością, że te siły, jakie on powołał do życia, zawisły na włosie jego własnego życia, któregoomalże nie przecięła strzała, przez byle pachółka wypuszczona. W zwycięstwie swym poczuł upadek, w upadku swą wielkość i... samotność.

Nie poddał się na swym łożu boleści, jak nie poddał się w błotnistym klinie nad Odrą, w ową noc kupalną. Wiedział, że w tym świecie okrutnym, w jakim żyć mu przyszło, poddać się, to zginąć. Tam wytrzymał do świtu, który przez brata przyniósł ocalenie i zwycięstwo. Tutaj w nocie bezsenne, walcząc z chorobą i myślami, czekał świtu nie spodziewając się pomocy. A jednak przyszła i choć nie niosła zwycięstwa, dała jednak siłę do walki i wytrzymania ciosów, jakie jeszcze na niego spaść miały. Przyszła tak niepostrzeżenie i cicho, jak cicho wchodziła do jego komnaty Dobrawka w nocie upalne, gdy spiekłymi wargami w półjawie, półśnie szeptał sam do siebie gorzkie słowa. Chłodnymi rękoma ocierała jego okryte potem czoło i poila odwarem ziół, po którym sen koił jego znużoną duszę i ciało. Zjawiała się przy nim, jak dobroczynny cień w skwarne południe letnie, skoro jeno posłyszała szept jego lub ruch niespokojny, zawsze pogodna i uśmiechnięta, choć nieraz słaniająca się ze znużenia, nie tylko własny ból i niepokój przed nim kryjąc, lecz bacząc najczujniej, by żadna zła wieść nie zburzyła spokoju, który dzięki jej staraniom, z upływem czasu, wracać począł Mieszkowi wraz ze zdrowiem. Nie przygotowana na nie, przyjmowała Dobrawka troski i ciosy dla męża przeznaczone, w miłości swej jedynie dla niego i trosce o przyszłość syna czerpiąc siły, a w modlitwie szukając rady w sprawach, które o losie państwa rozstrzygnąć mogły. A trosk nie brakło. Rozkołysane zajściami pod Cydzyną, drzemiące dotąd siły pogaństwa zdawały się przez chwilę grozić dziełu nawrócenia. Zaczęto wyganiać, a miejscami i mordować duchownych, tak że do znaczniejszych grodów chronić się byli zmuszeni. Bliższe kulturą i zrozumieniem chrześcijaństwu rycerstwo Mieszkowe i możni gdzieniegdzie w obronie porządku do starcia przyszli z pospółstwem, które wraz przywódców znalazło w kapłanach dawnych bogów, ukrywających się pod postacią znachorów, wróżbitów i gędłków.

Ten i ów z dawnych książąt plemiennych, korzystając z zamętu i ubezwładnienia Mieszka, niezapomnianych jeszcze swych roszczeń dochodził wypowiadając posłuszeństwo. Wzmogły się pograniczne napady, szczególnie od strony Prusaków i niedawno przyłączonych Pomorzan. Groźne poselstwo pozywało Mieszka do stawienia się przed cesarzem, dla zdania sprawy ze starcia z Hodonem, choć rzecz jasna była. Niewątpliwie cesarz wiedział o zamierzonym napadzie, toteż niczego dobrego oczekiwać od niego nie należało; nie więcej niż od zaofiarowanej pomocy ze strony dziewierza, Bolesława Pobożnego, który podejmował się swym wojskiem porządek w kraju przywrócić, w nadziei widocznie, że w razie śmierci Mieszka, jako opiekun dziedzica, całym zawładnie państwem. Wiadomości, jakie o stanie kraju pobiegły do Rzymu, żadnej pomocy w opanowaniu trudności nie przyniosły, a wzbudziły jedynie nieufność Apostolskiej Stolicy do trwałości i szczerości dzieła nawrócenia. Byłoby nad czym głowę łamać i samemu Mieszkowi, Dobrawka jednak, biorąc zadanie na siebie, wiedziała, że bierze ciężar ponad siły. Drugi raz w życiu modliła się o cud i drugi raz wysłuchana została.

Odrzuciła nieszczerą pomoc brata; pieniędzmi ułagodziła cesarskich przyrzekając, że Mieszko stawi się, gdy jeno wyzdrowieje. Do bawarskiego Kłótnika poselstwo poszło z wielkimi darami, by sobie pomoc i wstawiennictwo zapewnić. Przez Mieszkową siostrę, Adelajdę, pozyskała poparcie biskupów, augsburskiego i ratyzbońskiego, którzy, znając wpływ Piastówny na starego Gejzę, radzi byli przysłużyć się Białej Knegini dla rozszerzenia swych wpływów i przyśpieszenia nawrócenia Węgier. Do Sobiesława pobiegły posły z wieścią o stanie kraju i prośbą o pomoc. Sobiesław od

jednego zamachu żelazną ręką zdusił poczynający się udział i Mazowszu rozruch, odcinając spodziewaną pomoc pogaństwu. Wytrzebił doszczętnie wyłamujących się z posłuszeństwa dawnych kniaziów i straszliwie spustoszył pruskie pogranicze posuwając się ku Pomorzu, gdzie starczyło wieści o jego pochodzie i karach, jakie spadały na opornych, by rozruch zgasł. Sama zaś Dobrawka, wezwawszy mimowolnego sprawcę zamieszania, Stoigniewa, i przedstawivszy mu skutki nieopatrzego poczynania, wraz z mężowskim bratańcem objeżdżała co bliższe okolice, gdzie dzięki miłości, jaką u prostego ludu zyskać umiała, i dzięki obecności Stoigniewa, która przeczyła podżegaczom, poparcie pogaństwu od niego obiecującym, z łatwością lud do spokoju i posłuszeństwa doprowadzić zdołała; nie uciekała się do przemocy, która jeno do wojny domowej mogłaby przywieść. Toteż gdy jesienią Mieszko, wreszcie do zdrowia przychodząc, opuścił łoże i sam sprawy państwa ujmować począł w swe ręce, słuchając raz w pogodny odwieczerz w sadach poznańskiego dworca opowiadania o przebiegu spraw - patrzył z pewnym zdziwieniem na wynędzniałe oblicze Dobrawki; ledwie mógł uwierzyć, ile jej zawdzięcza.

Choć surowy i niewylewny, nie mógł się oprzeć wzruszeniu na myśl, jaki trud podjąć musiała, by jego oszczędzić, i przygarniając ją rzekł:

- Oto mi pomoc przyszła, której się nie spodziewałem. Widzę, że gdyby mnie nie stało, wam by rządy zostawić można.

- Bóg mnie od tego ustrzeże - odparła wzdychając Dobrawka. - Nielatwa to rzecz.

- Nielatwa! - powtórzył Mieszko i zamyślił się.

Siedzieli w milczeniu. Słońce chyliło się ku zachodowi i lekki powiew ruszył od rzeki: Z szelestem spływał od czasu do czasu na ziemię zwiędły liść; czasem ciężko uderzyło, spadając, zapomniane gdzieś na drzewie jabłko lub stada wróbli, układające się do snu w żywopłocie z głogu, dzikiej róży i tarniny, podnosiły nagle świergot ogromny.

Z dala, od stajen dochodziły głosy chłopięce, a wśród nich wybijał się jeden, który uśmiech wywołał na twarz Dobrawki.

- Nasz Bolko swojej drużynie przewodzi. Może byście go widzieć chcieli?

- Niechajcie! - rzucił Mieszko. - Niech się bawi, niedługo mu tego. Wszakże wkrótce postrzyżyny sprawić mu trzeba i już go świat zabierze, by nie puścić do zgonu.

Dobrawka pobladła. Twardy zwyczaj zabierze to dziecko, które matczynemu sercu wciąż jeszcze zdało się niemowlęciem, niezdolnym żyć bez jej opieki, pomocy, i czułości. Zda się, że dopiero co piersią go własną karmiła, dopiero mówić uczyła słowami pacierza, a oto już świat wyciąga po niego swe twarde ręce. Ani się obejrzeć, a już nad nim śmierć zawiśnie; bo wojownikiem będzie i być musi, a jej z uczuć matczynych jeno tęsknota zostanie i trwoga o niego.

Mieszko, jakby wyczuwając jej myśli, dłoń na jej dłoni położył i rzekł:

- Nie buntujcie się. Raczej pomyślmy, kogo mu dać za piastuna.

Mężem Bolko być musi i to niepoślednim, jeśli udźwignąć ma to, co mu zostawię. A mnie już pół wieku minęło i siły nie te, co dawniej. Wrychle od niego pomocy a wyręki chciałbym doczekać. Dobrawka jeno westchnęła. Całe życie oto wyrzekać się musi tych, których sercem pragnęłaby mieć przy sobie. Zazdrościła prostym ludziom, że wolni od tęsknoty żyją razem, póki ich sama śmierć nie rozdzieli. Lecz i te myśli tłumiła w sobie, uważając je za grzeszne, i szukała zapomnienia w modlitwie i dobrych uczynkach.

- O czym myślicie? - zapytał po chwili Mieszko.

- Gorzko mi czasem, panie! Ale nie dla szczęścia ten świat stworzony, więc nie buntuję się, jeno

się modłę i krzepię nadzieją, że w lepszym świecie wszystkich, których kocham, mieć będę na wieki przy sobie!

- Dużą siłę wam daje wiara - ozwał się Mieszko w zamyśleniu.

Dobrawka coś odrzec zamierzała, gdy nagle krzyki pacholące zbliżać się szybko zaczęły. Zaszleściły krzewy w żywopłocie, a spłoszone stada wróbli z wielkim szumem frunęły na drzewa, utyskując swarliwie nad zakłóconym wypoczynkiem. Mniejsze, choć jeszcze bardziej hałaśliwe stado wyrostków, łamiąc gałęzie, darło się przez żywopłot.

Dobrawka wstała, by powstrzymać najazd, przerywający wypoczynek męża, gdy z gęstwy wynurzył się pierwszy Bolko, a za nim, jeden po drugim, jego towarzysze.

Ujrzawszy księstwo stanęli onieśmieleni, jedynie Bolko podbiegł witając matkę serdecznie, a ojca z powściągliwym zaciekawieniem. Dobrawka, spojrzawszy na Bolka, na widok jego potarganych szatek, podrapanych, brudnych, i posiniaczonych rąk i twarzy, aż zakrzyknęła:

- A cóżeś ty, skrzacie, działał ze sobą? Jak strach na wróble wyglądasz!

Bolko, zapominając o obecności ojca, ze śmiechem przytulił się do matki wołając:

- Ady bitwę my toczyli pod Cydzyną. Mszczujowego Jurka nawet pacholcy do dom odnieśli, bo sam iść nie udolił. Ale my wygrali, a ninie jeńca idziemy tracić do rzeki.

Dobrawka westchnęła wznosząc oczy w górę, lecz Mieszko uśmiechnął się i zagadnął:

- A ty Kimeś był w tej bitwie?

Bolko zarumienił się i odrzekł z pewnym ociąganiem:

- Mało nas jest, to naprzód byłem strykiem Ściborem, a potem wami!

A ninie jestem Stoigniew i Zbrozło.

Mieszko zaśmiał się i rzekł: - To ci i drużyny nie trzeba, sam bitwy mógłbyś staczać.

Chłopak zarumienił się zmieszany, lecz wraz odparł:

- Cóż bym za kniaź był bez drużyny?

- A inni się nie przeciwili? - zapytał Mieszko patrząc na zarumienione twarze stojących opodal, w milczącym uszanowaniu chłopaków.

- Jakże się mogą przeciwic?! Przecie to moi drużynnicy. Zresztą byłem najmężniejszy, co sam Stoigniew przyświadczył i nawet mi łoszaka podarował, karego ze strzałką, po strykowym ogierze, a Jaskotel przyrzekł, że mi go objeździ, jeno się do cna z cydzyńskich ran wyliże.

- Widzę ci ja, żeś go i próbował - rzekł Mieszko patrząc na poobijane Bolkowe kolana.

Bolko zamilkł, milczeniem potwierdzając przewinienie, gdyż na wyraźny zakaz matki nie wolno mu było do koni przystępować.

Mieszko jednak dodał pobłaźliwie:

- Skoroś zwyciężył, to ci wybaczę, ale pomnij, że czas wam obu: dorośnięcie, to będziesz na nim jeździł.

- Pozwólcie chociaż, bym mógł go karmić - rzekł Bolko żałośnie. - Inaczej mnie za swego pana znał nie będzie. - Patrzył niespokojnie w oczy ojca.

- Matki proś! - rzekł Mieszko.

- Pozwolicie, matulu? - prosił Bolko przymilnie.

- Pozwolę raz dnia, a więcej nie, bobyś w stajni zamieszkał - odparła Dobrawka. - A teraz dość zabawy: bierz swoją drużynę i do kaplicy na wieczorną modlitwę. Potem wieczera i spać!

- A przyjdziecie, matulu, utulić mnie na dobranoc? - spytał szeptem, by inni nie słyszeli.

- Przyjść! - rzekła miękko, a gdy odbiegli wśród krzyków, dodała:

- Takie ci to jeszcze dziecko, a wrywa się od matki, choć jej potrzebuje.
 - Dziecko! - przytaknął Mieszko - ale chrobry jest.
 - Jakżeby inaczej?! Przecie to Piastów krew i Przemyślidów! I nie tego się boję, by chrobry nie był, jeno by mu tego serca, co ma dobre i miłosierne, nie zatwardzili.
 - Twardną od walki dłonie, twardnieje i serce. A walczyć będzie musiał, bodaj życie całe.
- Zamyślili się oboje. Różowy zmierzch szarzał, pas borów na widnokregu z głębokiego fioletu przechodził w czerń. Dobrawka wstała mówiąc:
- Czas i na was spocząć, jeszczeście nie ze wszystkim silni.
 - Alem podporę w was znalazł - rzekł uśmiechając się do niej w mroku.

II

Bliźniacy

Tuman wstawał z wilgotnych łąk i zalewisk nad Wisłą. Odbicia zorzy gasły, zawlekane zrazu zwiewną, lecz coraz to bardziej gęstniejącą zasłoną mgły, która dźwigała się niepostrzeżenie z nagranych jeszcze ciepłym, jesiennym słońcem mokradeł i w miarę jak chłód wieczoru odbierał ciepło wodom, rozpełzała się po całym kraju coraz szerszymi smugami, które w końcu zwały się w jedno, otulając nadwiślańską płaszczyznę białawą zasłoną. Pod tą zasłoną wrzało jednak życie i nie cichły głosy zbierającego się już pomału do odlotu ptactwa. Ciemniejsze tło nieba raz wraz przecinały świszczącym lotem stada kaczek, które przelatywały z jednych mokradeł na drugie lub ciągnęły od niedalekiej rzeki na żerowisko.

Nagle coś zakłóciło beztroskę ptasiego królestwa, gdyż z łopotem skrzydeł i trwożliwym kwakaniem podrywać się zaczęły stada, jedno po drugim, i umilkł gwar kaczyc wiewców. Natomiast w ciszy, jaka chwilowo objęła opuszczoną część ich dziedziny, słychać było z dala odgłos taplania się jakichś ziemnych istot po bagnie, a po chwili i głosy ludzkie, które zbliżały się ku gościńcowi, wiodącemu od Krakowa na Mazowsze. W mgłę rozróżnić można już było dwie postacie; wyszedłszy na nietopielistą, choć mokrą łąkę, szybciej posuwać się zaczęły, a dotarłszy do suchego gościńca rzuciły niesione na plecach brzemiona na ziemię, dysząc z utrudzenia.

Resztki dziennego światła pozwalały rozeznac twarze dwóch wyrostków, tak do siebie podobnych, że zgadłbyś zaraz bez ochyby bliźniaków i darmo szukał, po czym odróżnić jednego od drugiego. Te same płuwy, lekko wijące się włosy, te same błękitne duże oczy, te same proste nosy nad okrytymi już puchem czerwonymi ustami o psotnym wyrazie. Tym samym ruchem ocierali pot z uznojonych mimo chłodu twarzy i te same głosy rozległy się w zapadającym zmierzchu, gdy zrazu rozmawiać, a za chwilę klócić się jęli, rzekłbyś, iż klóci się ktoś sam z sobą.

- Wstawaj, Miłosza! - rzekł pierwszy dźwigając się z westchnieniem. - Do dom jeszcze drogi kęs, a matuś wrócić kazali przed zachodem.

- Idźże sam, kiedyś nagły. Przed zachodem i tak nie wrócisz, chyba przed jutrzejszym - odparł drugi i rozłożył się wygodniej. - Nawyciągałem się nóg z błota od rana, to i wyprostować je muszę.

- A wieczere nam zjedzą i znów przez ciebie na głodno spać pójdę.

Wstawaj, gniłku, kiedy każe! - krzyknął wyrostek zwany Otłoką.

- Co zaś masz mi do rozkazywania - warknął Miłosza, a w głosie jego brzmiała groźba. - Nazwiesz mnie jeszcze raz gniłkiem, to cię otłukę, Wytłoko! Głodnyś, to zrej kaczki, cośmy nałowili, widzisz go! Gniłkiem mnie będzie zwał!

- Byś wiedział, żeś gnilek; dwa razy nogą ruszy i już by leżał jak baba w połogu.

- Leżę, bo mi się chce, a nie prosz, bym wstał, bo z ciebie flaki powytrząsam, jeno słowo powiesz.

Ale Otłoka nie rzekł słowa, jeno palnął Miłoszę pięścią w grzbiet, aż zadudniło, a ten, choć niby znużony, skoczył jak żbik i znowu rzekłbyś, że się ktoś bije sam ze sobą, tak się szcepili jeden drugiego daremnie przemóc usiłując. Pasowali się z dziwną zaciekłością, tak zacietrzewieni, iż nawet nie dosłyszeli odgłosów kopyt zbliżających się we mgle koni i oprzytomnieli dopiero, gdy jakieś potężne ręce za karki ich pochwyciwszy postawiły na nogi, a męski, młodzieńczy głos zawołał:

- Iście dwa koguty! Gościńiec zawalili, że przejechać trudno.

Oprzytomnieli obaj i rozjuszone twarze zwrócili ku natrętowi, gotowi widocznie skoczyć mu do gardła za nieproszone rozjemstwo, gdy nagle Otłoka z przestachem krzyknął:

- Tarło!

Miłosza zaś patrzył zmieszany na przybyłego, który przybliżył twarz w mroku do twarzy chłopców i zawołał:

- Ba! żem to was nie poznał bez patrzenia! Miłosza i Otłoka! To się dalej bijacie, jak od kołyski. I dalej nie wiem, który jest który. Wąsy wam rosna, a rozumu nie przybywa.

- I! nie, ino zmarzli my na kaczkach, cośmy je na sidła łowili. To ino dla rozgrzewki! - ozwał się jakoś niepewnie czupurny zwykle Miłosza. - A ty do dom chcesz jechać? - zapytał.

- A gdzie bym zaś jechał?! - odparł przybyły, a gdy milczeli, patrząc na siebie, rzekł ze złością:

- Tak mnie witacie?! Dam ja wam gościńce!

- Nie to; ino że ojciec strasznie na ciebie zeżłony, kłął się, że i przez próg nie puści.

- Rodzic? Na mnie?! - zakrzyknął przybyły i ręką w czoło się uderzył. - Prawda, żeście mnie za Tarłę wzięli, a nic nie wiecie! Przeciem ja Krzesz, do dom wracam z wojny, na której się legło biednemu Tarle. A byłby wrócił, toby ojciec jak najczestniejszego gościa go przyjął, a sąsiady spraszał, by się sławą jego pochwalić.

Chłopcy patrzyli z niedowierzaniem, zaciekawieniem, smutkiem, nie wiedząc, o co prędzej pytać, wszystkiego na raz dowiedzieć się żądni, lecz Krzesz zawołał:

- Siadajcie na juczne! Jedziemy!

Sam na konia skoczywszy trącił go ostrogą i ruszył z kopyta. Chłopaki dopadli podwodnych i dogoniwszy go jechali jakiś czas w milczeniu. Dopiero gdy konie znów przeszły w stępa, Miłosza zagadnął:

- Pomiluj! Przecie zdechnę z ciekawości, nim zajedziemy. Powiadaj, jak było?

Krzesz jednak milczał zasepiony, a po chwili odparł:

- Wytrzymacie do domu. A co u was?

- Ano, jak zawdy; tyle że Wojsław i Degno u Sobiesława na Mazowszu już wojują, ino my dwa i Dobrochna w domu ostali się. I ojciec nas puścić nie chcą; mówią, że ktoś na dziedzinie siedzieć musi, bo on się starzeje. Musiało na nas paść!

- Juści się starzeje! - dodał Otłoka z goryczą. - Rękę ma twardą a ciężką jak drzewiej, tyle że włos mu pobieliał. I na nas dwóch teraz się krupi, kiedy my sami ostali. - Westchnął ciężko.

- Dobrochna podrosnąć musiała jako i wy? - zapytał Krzesz.

- Taka ona i Dobrochna - rzekł Miłosza.

- Juści rośnie złe ziele! Z ojcem przeciwko nam trzyma! - dodał Otłoka.

Krzesz zaśmiał się i popędził konia, a po chwili na tle ciemniejącego nieba dojrzeć już można było wynurzające się z mgły kępy drzew, wśród których, przytajone, leżało opole starego Tarły i jego rodu.

Gdy się zbliżali do dworca, psów kilka wypadło ze szczekaniem, lecz poznawszy swoich skomleć i łasić się zaczęły. Starsze, które pamiętały Krzesza, do piersi mu jęły skakać, gdy zsiadłszy z konia i wodze chłopakom oddawszy ku wejściu do dworca się skierował; młodsze, które go nie znały, stojąc z tyłu merdały jednak zachęcająco ogonami na znak, że i one zawrzeć przyjaźń gotowe. Z psiej gromady poważnie wyszedł ojciec rodu, stary Zbój, na wyraju będący, gdyż wąż mu już nie dopisywał, i upewniwszy się, że swojak przyjechał, wzruszonym okiem ponuro spojrzął na Krzesza i łapę mu na kolanie położył.

Powitanie przerwało otwarcie drzwi, wiodących z podcienia do sieni, w której na kominie płonął ogień. W ciemności wystrzelił snop czerwonego blasku oświetlając nadchodzącego Krzesza, na tle zaś ognia ukazał się cień jakiejś drobnej postaci, która dziecinnym jeszcze głosem zawołała:

- Kto...? Tarło! - krzyknęła jakby przestraszona i skoczyła ku Krzeszowi, który na ręce ją porwał całując.

- Ojciec zaraz wróca. Nie możesz ostać; od żupana wieść przyszła, że cię do grodu mają dostawić.

- Nie trap się! - odparł ze śmiechem. - Choćby chcieli, nie dam się.

- Juścić widzę, żeś tęgi wojak, ale będziesz się to z ojcem bił?!

- A choćby! Ale nie trzeba, przeciwnie ja Krzesz!

- Krzesz? - wykrzyknęła zdumiona. - Adyś podobny jak Miłosza do Otłoki, ani rozeznać. A, wróciły te próżniaki! - zawołała patrząc na zbliżające się od stajni postacie chłopców, zgiętych pod tobołami.

- Na gościńcu ich znalazłem! - zaśmiał się. - Bili się jako zawdy.

- Idźcie ino do izby - krzyknęła ostro na chłopaków - da wam matula wieczerzę, a ojciec dołożą!

O północy u was słońce zachodzi.

- A niechby nie dała! - mruknął Miłosza.

- Kiedy północ, czemu ty nie śpisz, skrzacie? - dorzucił Otłoka.

Porwała się ku nim, lecz prędko do domu wbiegła wołając od proga:

- Matus! Krzesz przyjechał!

Widno, niezbyt pewnie się czuli i radzi byli odwrócić uwagę od siebie.

Z komory wybiegła kobieta hoża, rumiana, rosłej postawy, z jasnymi włosami, w których nie znać było poczynającej się siwizny, i Krzesza, który witając pod nogi ją podjął, za głowę ścisnąć i całować zaczęła. Zaledwie jednak zamienili kilka słów, spytała:

- A Tarło gdzie? Takiś podobny do niego, aż mnie w sercu ścisnęło.

- Poległ! - odparł Krzesz.

Dagna oczy ręką zakryła i odwróciwszy się bez słowa, weszła do komory. Dobrochna zaraz za nią skoczyła, a Krzesz, zasmucony i znużony jazdą, usiadł na ławie przed kominem i w ogień się zapatrzył. Chłopaki znów nagabywać go jęli o opowieść, lecz Krzesz odparł:

- Dajcie mi teraz spokój! Lepiej jeść przynieście, bom zgłodniał, a opowiadać będę, gdy ojciec wróca i matka się wypłacze. Chłopcy kopnęli się za wieczerzą, gdyż im też głód się przypomniał, lecz w tej chwili psy zaszczekały jak na swojego, rozległy się ciężkie kroki i w drzwiach stanął stary Tarło. Krzesz powstał na powitanie i ku ojcu się miał, lecz stary odstąpił od drzwi i bez słowa ręką

na nie wskazał wymownie. Krzeszowi ścisnęło się serce, lecz zarazem gniew chwycił za gardło - za siebie i za Tarłę, na tę surowość ojcowską, od której już odwykł wojując. Rzekł więc szybko, przyduszonym głosem:

- Chcecie, to wyjdę! Byście jeno nie żalowali. Lepiej przódzi posłuchać, niż sąd wydawać zawczasu!

- Nie ja cię sądziłem, a słuchać musiałem, że syn mój wywołańcem został i hańbę ściągnął na ród.

- Nie sądził mnie nikt, bo Krzesz jestem, nie Tarło. A daliby bogowie Tarle, by wrócił, to byście też musieli wysłuchać, że sławę wam, nie hańbę przyniósł.

- Jako mówisz? - zapytał stary przybliżając się i patrząc ze zdumieniem na Krzesza, jakby go pierwszy raz widział. - Licho nadało, że własnych dzieci człek rozróżnić nie może. Dagna! - krzyknął.

- Ostawcie matkę! Niech się wypłacze w komorze.

Stary spojrział pytająco na Krzesza, a ten rzekł:

- Płacze po Tarle, bo poległ!

Stary pobladł i ciężko opuścił się na ławę. Po chwili głowę do ognia odwrócił, bo wstydził się łez, które gwałtem cisnęły mu się do oczu.

W tej chwili kłócąc się i poszturchując wpadli do sieni Miłosza z Otłoką, lecz widząc, że ojciec siedzi w milczeniu, sami umilkli. Stary jednak usłyszał ich wejście i powstawszy rzekł głosem, który starał się uczynić surowym:

- Jeść dawajcie Krzeszowi, bo zdrożony pewnikiem. A jutro pogadamy, czemuście na przykazany czas wrócić nie pośpieli i ja sam skot obrządzić musiałem.

Chłopcy, krzywiąc się, brali się niezdarnie stół zastawiać, trącając jeden drugiego, gdy z komory wyszła Dagna, spokojna już, lecz z twarzą pobladłą i zaczerwienionymi oczyma.

- Ostawcie, nicponie, sama zrobię - rzekła.

Stół ręcznikiem haftowanym nakryła i po chwili siedzieli wszyscy za stołem, jeno Dobrochna nie wyszła z komory, gdzie wypłakawszy się za tym bratem, który ją pieścił najbardziej, z żalu usnęła. Późno w noc siedzieli słuchając opowieści o smutnych dziejach Tarły i jego sławnym końcu. Kury już piałły, gdy stary, który siedział z głową podpartą, zakrywając twarz, wstał i ozwał się nieswoim głosem:

- Bogowie mnie skarali, zem własnej krwi nie wierzył. Spać już idźcie, Krzesz zdrożony być musi.

- Ale ojciec zmiękli! - szepnął zdziwiony Miłosza do Otłoki.

- Ciekawość, czy gdybyśmy legli, też by się nad nami uzalił?!

- Juści! najbardziej nad tobą!

- A może nad tobą? - syknął zeźlony Otłoka.

I bić się jęli na nowo, jeno że bez słowa, by nie zmącić uroczystego nastroju.

Posiedział Krzesz dni parę, bogate gościńce z łupów rozdał krewniakom i swojakom, powalęsał się z chłopakami, niedawne a już niepowrotnie minione czasy wspominając, i pomału o wyjeździe przemyśliwać począł niechętnie, gdyż dobrze mu było. Za własne męstwo i za czyny Tarły puściznę miał objąć po Dziku, lecz nie śpieszył się osiąść tam w pustce, gdzie niedawno gromadą siedzieli wesolą. Jeńcy też rozbiec się musieli, gospodarstwo poszło pewnie w zaniedbanie, a odbieranie ziem od niechętnych Starzów nie uśmiechało się także. Rad by też był choć jednego z braci zabrać ze

sobą i mieć swoją duszę, by słów parę zamienić z kim było, gdy przyjdą długie wieczory zbliżającej się jesieni. Siedząc raz przy miodzie po wieczery, rozpoczął z ojcem o wyjeździe, nieśmiało zmierzając, by starego wybadać, czyby braciom z nim jechać nie pozwolił.

- Po prawdzie - mówił - to i wyręki z nich wiele nie macie, bo im łowy i wojaczka w głowie, a swojaków tu nie brak, co wam, jako staroście, pomoc wszelką okazać muszą. Mnie się zaś przydadzą, bo tam łowy i straż - cała gospodarka, tyle że bydła i owiec trochę się podchowa. A siedzieć samemu cni się. Stary nawet nie bardzo skoczył, czego się Krzesz obawiał, lecz odparł niechętnie:

- Myślałem, że sam ostaniesz, a ty ostatnich dwu chcesz mi zabrać.

Wygnam ja im z głowy wojaczkę i łowy i pracy nauczę. A u ciebie rozpuściliby się do reszty. Gadać szkoda, ktoś na dziedzinie ostać musi.

- Wrócą przecie Degno i Wojśław, to któregoś osadzicie, gdy na was czas przyjdzie, ale jary z was jeszcze chłop.

- Wrócą jako ty, albo i Tarło! - dodał stłumionym głosem. - Niech jeno wojaczka któremu zasmakuje, to mu i się pocić nad pługiem czy z leziwem więcej nie chce.

- Bo i po co! - rzucił Krzesz lekko. - Jeńca przywiode, niech się poci, a co my w jednej wyprawie zyszczemy, tegoście wy przez całe życie nie doszli. Dzikowe ziemie większe niż całego rodu naszego. Krzesz chybił, bo stary zeźlił się. Chwilę żuł gniew, gdyż nie chciał z synem, który już od władzy jego odwykł i wyjechać miał wkrótce, ostro postąpić, jednak krew mu uderzyła do głowy na Krzeszowe gadanie.

- Posłuchaj no! - rzekł. - Wojowali my i dawniej, gdy kniaź wiciami zwołał na obronę. A potem wracał każdy tam, gdzie siedział, i do pracy się brał czestnej. Przywiózł co z łupów, nie przywiózł, zajedno, bo nie żył z tego, jeno co ziemia dała, własna rodowa, od praocjów zasiedziana, a nie obca, co ją z ręki do ręki rzucacie jako dziewczkę niewolną, kiedy się sprzykrzy. Raz kniaź da, raz odbierze, jak mu wola, ale taka ziemia serca nie przywiąże i nie dziw, że ją niewolnikiem obrabiać chcecie, bo trudno serce do tego mieć, co dziś jest, a jutro nie będzie. A i drzewiej tacy byli, co żyli z łupu, ale ino wywołańce, co ich z rodu wyświecili albo nieszczęście zagnało do lasu. Ale ich zbójami zwano i czci nie mieli, ani im w głowie powstało nad tych, co na swoim siedzą, się wynosić. A dziś się taki wojem mianuje i za lepszego ma, bodaj od własnego rodzica.

Tu stary pięścią, co miał jeszcze jak bochen, w stół trzasnął.

- Ma ci który więcej krzepy, to miast pług głębiej w ziemię wrazić, morduje drugich.

- Nie sierdźcie się! - rzekł Krzesz pojednawczo, ale nie przekonany. - Zbóje i dzisiaj są, ale kniaź tępić ich każe, a my jego ludzie, nie dziw, że dba o nas, bo tym dziedzinę w rękę trzyma i od wroga broni.

- Juści trzyma, bo i wami dań wybiera od swoich, jaką mu się podoba. Wygnali Piasty obcych, Popielów, co jako zdobywcy rządili, a ninie sami tak rządzić zaczynają. Zaś młodzi, choćby ty, co z wolnych od wieka rodów pochodzą, za pachółków im służą, na równi z przybłędami i nie jeno w smak im to, ale jeszcze za lepszych się mają od tych, co na swoim, z niczyjej łaski siedzą i żyją ze swojego, bez krzywdy niczyjej. Próźniaczyć się wam chce i używać na tym, czego ojcowie nie mieli, a żyli. Lepsze wam obce napoje, szaty i broń, obcy obyczaj i wiara. Zmieszał się trochę Krzesz, gdyż ochrzczony był, a ojcu bał się przyznać, ale po chwili odparł:

- Bodaj was! Próźniaczemy! Choćby pod Cydzyną, cośmy dwa dni i dwie noce prawie bez jadła i spania Niemców prali, aż ręce opadały! Oraliście kiedy tak długo?

Stary milczał, a Krzesz ciągnął upewniając się:

- Juści wolę weleckiego konia niż naszego chmyza, długi normański miecz od maczugi i grecki łuk od naszego. Wiele byśmy wskórali naszą bronią po ojcach przeciw Niemcom, co w żelazo przybrani. Żeby Tarło pancierz miał, nie byłby zginął.

Stary milczał ponuro, a Krzesz ciągnął:

- Książ wie, co robi, że drużynę trzyma, i wie, za co jej płaci. A nam, że wojaczka lepiej od orki smakuje, dziwne wam? Weźcie do orki żrebaka, co go siła rozpiera i do swobody nawykły, to wam upręże pozrywa, bo chce pędu użyć, póki młody. A tenże sam orał wam będzie, gdy się wyswawoli rok albo dwa. Albo jak go wywałaszycie!

Stary milczał i nad czymś sumował. Wreszcie zaczął:

- I drzewiej młodzi inak na świat patrzyli niż starzy, ale nie było tego, by wszystko, co stare, rzucać, jak ninie. Nie przeciwilbym się, by świat przepatrzyli i nie od służby ja kniaziowi. Ale temu, że który wyjdzie, wracać już nie chce. Sześciu was było, a, widać, sam na starość ostanę. I wnuków nie ma po kim doczekać, kiedy się jeno włóczycie. Wziąłbyś białkę, toby ci weselej było niż z tymi wyrostkami. I w gospodarstwie większa wyręka, bo w domu siedzieć będzie, a nie włóczyć się jako te nicponie.

Krzesz niechętnie ramionami wzruszył, a stary mruknął:

- I dziewczki wam też nasze nie smakują. Tylko przywiedź obcą, to cię za syna znać nie chcę.

- Żadnej mi nie potrzeba, bo doma siedział nie będę - odparł Krzesz posępnie - a chłopaka ze sobą brać mogę wszędy. Dajcie choć jednego! Nie utrzymacie ich i tak!

Stary burknął niechętnie:

- Nie puszczę żadnego. Wrócą Wojśław i Degno, to ci ich przyślę.

Wstał i cichcem podszedłszy do drzwi otworzył je znienacka.

Miłosza i Otłoka odskoczyli zmieszani.

- Ciekawiście, co będzie? Wraz się dowiecie! - krzyknął, i chwyciwszy ich za karki wywiódł na podworec i do kłódówki zamknął. Powróciwszy zapytał:

- Kiedy chcesz jechać?

- Jutro, za waszym zezwoleniem.

- Dbasz ty o moje zezwolenie - mruknął stary. - Spać idź, bo chcesz dwoma dniami w Krakowie stanąć, tedy ruszyć musisz przed świtem. Cisza i ciemność ogarnęły wkrótce Tarłowe obejście. Raz jeno psy zaszczekały, ale uspokoiły się zaraz, widno ktoś swój wychodził. Noc była czarna, bezgwiezdna i dość wietrzna, ale mimo to koło kłódówki bystre oko rozróżniłoby postacie, które porozumiewały się szeptem. Potem uspokoiło się wszystko aż do piania kogutów. Zaświeciły błony w oknach, ruch się począł w obejściu, siodłano konie i lekko dopiero szarzało, gdy stary Tarło z Dagną i Dobrochną żegnali siedzącego już na koniu Krzesza. Wyprowadzili go za bramę i chwilę stali patrząc, aż zniknął w szarym jeszcze mroku.

Dagna już do bydełka z Dobrochną odeszły, a stary, wzdychając, skierował się ku domowi. Po drodze coś sobie przypomniał, zboczył do loszku i otworzywszy drzwi zawołał:

- Wychodźcie!

Nikt mu nie odpowiedział, więc myśląc, że chłopcy śpią, wszedł do kłódówki. Przy szarym świetle chmurnego poranka ujrzał, że loszek był pusty. Zaklął pod nosem i zatrzasnąwszy drzwi, odszedł do domu. Krzesz zrazu wypuścił konia, chcąc użyć pędu, i leciał czas dłuższy, chwilami jeno zwalniając, gdy przez niepewne mostki, na zdążających ku Wiśle strumieniach przejeżdżać przyszło

lub droga, wśród bagnistych łąk wiodąca, rozmokła już była od pierwszych jesiennych opadów. Dopiero gdy koń mimo chłodu zagrzał się, Krzesz skręcił w łączkę i pozwolił popaść się rumakowi czekając na brata i przypuszczając, że minął go gdzieś nie dostrzegłszy. Czekał dość długo, tak iż zawrócić już chciał, niespokojny, czy coś się nie stało, choć kraj był bezpieczny i jeszcze chłopcu znany, lecz gdy dosiadł konia, ujrzał z dala nadchodzącego. Chłopak ruszył biegiem i za chwilę był tuż.

- Jesteś nareszcie! Nie wiedziałem już, co poczynać, wracać się czy dalej jechać. Mówiłem, byś gościńcem szedł, a nie łąkami, na krótsze. No, siadaj i jedziemy, bo dość czasu zmitrężyłem. Jechali jakiś czas obok siebie milcząc. Chłopak był wyraźnie niespokojny; kręcił się na siodle i przepatrywał każdy gaik i krzak po drodze. Po chwili Krzesz zagadnął:

- Miłosza?

Roztargniony chłopak nie odrzekł nic, a Krzesz popatrzył podejrzliwie, po czym krzyknął:

- Otłoka!

Chłopak drgnął jak przebudzony i widocznie myśląc o czym innym, zapytał:

- Czego?

Krzesz konia wstrzymał i rzekł:

- Ty oszuście, myślałeś, że się nie wyda?!

Chłopak zaczerwienił się i rzekł:

- Co się ma wydać?

- A żeś ty nie Miłosza. Żeby nie to, że wracać zła wróżba i zem cię wbrew ojcu zabrał, tobym cię odwiózł z powrotem, do ukarania. Ale jeśli myślisz, że lżejszą mam rękę niż stary, toś się pomylił! To rzekłszy uchwycił chłopca za kark, chcąc go z konia ściągnąć, ale Otłoka wywinął się jak piskorz i zeskoczywszy z siodła krzyknął:

- Ani mi się waż mnie tknąć, bo cię nożem pchnę albo zbiegnę od ciebie. Nie na tom z domu uciekł, by mnie kto inny prał.

- Ty jucho! - pól śmiejąc się a półgniewnie zawołał Krzesz. - Ojcuś umknął, na mnie rękę byś podniósł, a Miłoszę oszustwem ostawiłeś, byle samemu ujść spod ojcowej ręki. Takie ziele z ciebie? Idź do licha, gdzie cię oczy poniosą.

- Juści pójdę! - odparł chłopak zuchwale - ale Miłosza ze mną. A ty wracaj, jak chcesz czas zmitrężyć. Niech ci konie nogi połamią.

- Co bzdurzysz? - spytał niecierpliwie Krzesz.

- Co słyszysz! Albo nas obu weźmiesz, albo żadnego, a do domu nie wrócimy. Damy se radę bez ciebie!

- Co sobie dacie? Przecie Miłosza ostał! - rzekł Krzesz zdziwiony.

- Juści, bo ty chcesz! Puściłem go w nocy, jenośmy się pobili i poszedł osobno. Pewnie jucha usnął gdzie w krzaczach. Jak go najdziemy, to go tak spiorę, że przez miesiąc łącno go poznasz.

- A niech was! - zaklął Krzesz. - To ojca samego ostawić chcecie?

A wezmę was, to i mnie się w domu nie pokazywać.

- E! - rzekł lekko Otłoka - co ci ojciec robią. A wrócą Wojśław i Degno z Prus, to niech ojcu orzą. Prawie do tego, bo chłopcy silne a głupie i nieruchawe. Przedtem na nas wszystko zganiłi, ale nie będzie nas, to ich ojciec zaprzac potrafią. Krzesz zaśmiał się, a Otłoka, korzystając z tego, przyskoczył i przymilać się zaczął:

- Mójes ty! już nas weź obu; obaczysz, jak będzie dobrze.

Miłosza, choć jest chłop sprzeka i bitnik, ale wesoły, żeśmy się nieraz po ziemi tarzali od śmiechu. Jeno go przy pysku krótko trzymać, a będziesz miał z nas pociechę.

- Już ja was obu potrafię trzymać! - zagroził Krzesz. - Siadaj no na koń, będzie, co będzie.

- A z Miłoszą co?!

- Co ma być?! Niech się martwi sam. Wie, gdzie jedziemy, to nas najdzie. Dość mitręgi. Do Krakowa dwadzieścia mil z okładem, ani na północ tam nie staniemy, a nie myślę zajeżdzać koni! Ruszyli i jechali sporo. Słońce już przezierało przez rzadziejącą zasłonę chmur i Sandomierz świecił na wzgórzu, gdy go mijali do grodu nie wstępując. Otłoka otwarcie rozglądał się już za Miłoszą, lecz daremnie. Coraz był niespokojniejszy i parę razy usiłował zagadnąć Krzesza, co robić. Ten jeno odburknął, by robił, co chce, a Miłosza niech sobie radzi, kiedy na swój rozum wziął. Późną nocą zajechali do Krakowa, już po zawarciu bram, i przenocowali na podgrodziu. Otłoka był zmartwiony, a Krzesz zły, ale gadać o powrocie i szukaniu Miłoszy nie chciał. Z rana wstał, by u żupana się zgłosić i ludzi do stróży odebrać, których powieźć miał ze sobą. Zebrawszy się wołał na Otłokę chcąc mu gród pokazać, lecz na próżno. Otłoka zniknął.

III

Troski Jordana

Ku zimie się już miało, gdy Mieszko, do zdrowia powróciwszy, ze zdwojoną gorliwością wziął się do spraw, jakich niemało nagromadziło się w czasie jego choroby.

Pośpieszał tym bardziej, że wkrótce wyjazd go czekał do Kwedlinburga, na cesarskie rozjemstwo w sprawie z Hodonem. Burzył się Mieszko w zawziętej duszy, że napadnięty zdradziecko, sprawiać się miał ninie ze swego zwycięstwa, lecz rozumiał, że nie dorósł jeszcze do walki z cesarzem i nie słusność, lecz siła prawem będzie. Gniew zachował do stosowniejszej pory, a tymczasem robił wszystko, by wyjść ze sprawy bez szkody. Z jednej strony przeto obwarowywał pograniczne grody i wzmacniał ich załogi, przesieki i doły wilcze w pogranicznych lasach urządzał; rozpoczął budowę wału obronnego nad Bobrem, od Krosna aż do Bolesławca, nad którym kilkuset jeńców, prócz miejscowej ludności, pracowało, oraz ściągał co cięższych wojów ze swoich i obcych do drużyny, zbroił ich i ćwiczył co duchu. Z drugiej strony zaś posłów rozsyłał do biskupów, książąt i grafów niemieckich, życzliwość ich sobie kupując, i przez zaufanych o stanie spraw zasięgał wieści. Najważniejszą była, iż cesarz bardzo się w ostatnich czasach posunął i na zdrowiu podupadł, tak iż zmian spodziewać się było można. Choć syn jego już następcą był naznaczony, wiedział Mieszko, że nie braknie niezadowolonych, a na ich czele i bawarskiego Kłótnika, który sam po koronę dłoń zamierzał wyciągnąć, w czym mu Mieszko po cichu pomoc przyrzekał. Bolesław czeski też palił pod tym kotłem, z którego na równi z Mieszkiem korzyści wyciągnąć się spodziewał, a choć nie miłowali się dziewierze, w tym przecie zgodni byli, że zwierzchność cesarska i niemiecka przewaga nie w smak im szła.

Wieści jednak o cesarskiej chorobie okazały się przesadzone. Cesarz stanął już w Niemczech i, jak zwykle, porządek jego nieobecnością naruszony przywracać począł. Nagradzał, karał winnych, budował kościoły i choć sterany przeszło trzydziestopięcioletnim panowaniem, w sile wieku był jeszcze i pociągnąć mógł długo, choć omdlenia chwytaly go czasami. Widział tedy Mieszko, że sprawa go nie minie. Łowy wielkie zarządził, jak przed wyprawą, sam zaś, parę jeno dni na nich zbawiwszy, do Poznania zjechał, gdzie przybyć kazał Jordanowi i co znaczniejszym panom, by się z

nimi naradzić i wydać zarządzenia, gdyż wyjazd nie całkiem nawet był bezpieczny. Nie jeden to raz, zaproszeni przez margrafów, słowiańscy książęta nie wracali z odwiedzin. Chociaż Mieszko nie sądził, by sam cesarz zdradą go chciał wziąć, nie ufał Hodonowi, który miał wielu popleczników, a wzorem innych margrafów ze Słowianami w środkach przebierać nie zwykł i dość miał powodów, by Mieszka jako zarazy nienawidzić. Zebrali się, jak przed walną wyprawą, wszyscy, których sprawy nie zatrzymały, od starców siwowłosych do czternastoletniego bratanka Mieszkowego Stoigniewa. Przybył nawet Sobiesław, który na Pomorzu dotąd bawił, i wieść przywiózł o śmierci Styrbjorna, Wichmanowego następcy w Jomsborgu a Mieszkowego hołdownika. I biskup Jordan powrócił z Międzyrzecza, gdzie przebywał jeszcze po odbytych synodzie duchowieństwa swej ogromnej diecezji. Przez czas swej choroby Mieszko raz go jeno widział przelotnie, zdziwił się przeto zmianą, jaką w nim zauważył. Nie tylko że posiwił zupełnie i pochylił się, lecz pełne zapału niegdyś jego oczy przygasłe jakieś były, a w mowie przebijało się zniechęcenie i znużenie.

Mieszko o zdrowie go zapytał, a gdy Jordan odrzekł niechętnie, że zdrowy, wprost go zagadnął:

- Tedy co innego wam dolega, bo widzę, że zmieniliście się bardzo.

- Nie chcę was, panie, narzekaniem nużyć, bo własnych trosk macie zadość. Jeśli łaskę mam u was, zezwólcie, bym Ojca świętego poprosił, aby godniejszego na moje miejsce wyznaczył, a ja bym w klasztorze chybionego żywota spokojnie mógł dokonać. Mieszko wstał i po komnacie przechadzał się w zamyśleniu. Po chwili zaczął:

- Za dobrze was znam, bym mógł sądzić, że was zraziło chwilowe niepowodzenie. Ale człowiekiem jeno jesteście i znużone ciało czarne myśli chowa. Mało się ich przeze mnie przewaliło, gdy mnie trucizna żarła?! A ninie, mimo że nic mi się na lepsze nie zmieniło, jaśniej patrzę przed siebie, choć i mojemu dziełu końca nie widać, ani wiadomo, jaki będzie. Kto walczy, ten jeszcze nie przegrał!

Rumieniec wybił się na szarą twarz Jordana, gdy odparł:

- Zawstydzacie mnie, panie! Ale ja widziałem wojów, których ze sobą zabrać zamierzacie. Choć nie moje to dzieło, widzę, żeście umieli przygotować ludzi do tych celów, do jakich wam potrzebni. A wy nie widzieliście moich, których na synodzie w Międzyrzeczu oglądałem. Ja, widno, swego wojska przygotować nie umiałem i dlatego żaden wódz ze mnie i czuję, że złożyć winienem ciężar, któremu nie podołam.

- Mówcie jasno! - z pewnym zniecierpliwieniem rzucił Mieszko. - Samiście rzekli, że ludzkie dzieła doskonałe nie są i wszystkiemu nie uradzi. Ale przecie poprawić się da wiele, jeno rąk i głowy nie opuszczają. Widzieliście, jako małżonka moja, choć niewiasta jeno i do tych spraw nie nawykła, radzić potrafiła, gdym ja bezwładny leżał?

- Wielka to pani i święta i nie równać mi się z nią. Bóg wam ją dał i Bóg zachowa jak najdłużej. Bez niej moje dzieło wniwecz by poszło.

- I moje też! Lecz sami widzicie, co może jedna słaba niewiasta i bez tego wojska, o którym mówicie. Wiem ci ja coś niecoś, co wam dolega, ale mówcie sami! Czasem, gdy człek się wyżali, to ciężar zrzuci z duszy. Ja tego nigdy nie umiałem, bo i nie było przed kim, ale dlatego ciężej mi nieraz. Ale ja wiem, że moje dzieło, to moje życie i rzucić bym go nie mógł, jako i życia zbyć bym nie potrafił. Zali zaszło co na synodzie, co by was do pracy zniechęciło?!

- Nie. Jeno siły policzyć mogłem, jakimi pracę mam prowadzić, i wiera, nie było co liczyć. Starzy moi towarzysze, zniechęceni tym, co się stało po cydzyńskiej bitwie. Młodszy, gdy tylko pogaństwo głowę podniosło, jeno o własnych głowach myśleli, męczeńskiej palmy zyskać nieradzi.

Nie wzmocniło to naszej powagi u ludu. Jakoż wracać im teraz na miejsca, z których zaraz uszli, gdy tylko ochrony nie stało? Zły to pasterz, co jeno wtedy stado swe utrzymać potrafi, gdy złe psy zęby szczerzą wokół niego. Z waszych wojów pod Cydzyną nie uciekał nikt. Zginął, kto miał zginąć, pozostali zwyciężyli.

Smutny, lecz dumny uśmiech zjawił się na twarzy Mieszka, gdy odparł:

- Drogie to było zwycięstwo! Ale nie może być, by praca wasza ze wszystkim zawiodła! Wszakże znam ludzi i między możnymi, którzy całą duszą do wiary nowej przyłgnęli, siebie i mienie poświęcić już gotowi. Są między nimi, co szczerze Bogu służą, choć może i nie umieją, jak byście chcieli. Nie mówiąc, żeście i dla mnie kęs dzieła wykonali i szacunek mam dla was, a dla pracy waszej uznanie.

- Zwycięstwo nigdy nie jest za drogie - rzekł Jordan. - Lepiej stracić i trzy ćwierci wojska, a wygrać, niż ćwierć i przegrać. Nie mogę rzec, by nic z mej pracy nie ostało, lecz to jak nic wobec tego, czegom się śmiało spodziewać - dodał ciszej. - A gdy pracę wzmóc by trzeba, ja w sobie siły nie czuję i przy sobie jej nie widzę.

- Z waszych wychowanków już przecie siły nowe wyrosły. A z tychże nic nie macie?

Jordan milczał przez chwilę i wyraz przykrości zjawił się na jego umęczonej twarzy. Widząc, że księżę czeka na odpowiedź, ciągnął:

- Siebie gani nauczyciel, który uczniów swych gani. Juści wyszło sporo i świeckiego duchowieństwa, i mnichów z tych, coście mi powierzyli. Mnisi jeszcze nie gorsi od innych, zwłaszcza że mam przed oczyma jeden wyjątek, który ich wszystkich w jaśniejszych mi pozwala widzieć barwach. Ale świeckie duchowieństwo, żal się Boże! Nie rozróżni takiego od świeckiego człeka ni strojem, ni życiem. Swoich tu przy kapitule trzymam, jako w klasztorze, w karności i ubóstwie. Ale ci, co pasterzami są po kraju, żadnym nie są wzorem dla powierzonych sobie ludzi. Kapłan powagę winien mieć, która z niego płynie, a nie jeno z władzy, która jest mu dana. Nie nasz zresztą jedynie młody Kościół ta choroba trapi, jeno to, od czego dojrzały tylko słabuje, niemowlę zgubić może.

Mieszko się zadumał:

- Szukacie takich, jak sami jesteście, co cel jeno mają przed oczyma, a o sobie zapomnieli. Rzekliście mi raz, że cnoty wymusić nie można. Ale ja wam mówię, że można wymusić posłuszeństwo. Wydajcie swój zakon, a ja dopilnuję już, by go dochowano. Niech za złamanie postu taki zęby straci, życie za rozpustę, to będzie cnotliwy, choćby nie chciał. Nie na to chudziaków księżmi zwać pozwalam, by się paśli, lecz by robili, co każecie. Niech jeden i drugi za pijaństwo i kosterstwo odebrane ma ziemię i władzę, a do wałów i gościńców roboty pójdzie pod batem, wraz inni przykładniejszy żywot wieść zaczną.

- Nie bardzo przystoi - rzekł Jordan - duchownych świeckimi karami okładać.

- Nikt z posłuszeństwa wyjść nie może! - rzekł twardo Mieszko. - Najczęściej zresztą sama groźba wystarczy, a mało - to jeden czy drugi przykład. Zrobię, jak powiedziałem, a wy swoim zapowiedzcie. Obaczycie, czy skutku nie będzie.

- Kazaliście, panie! - rzekł Jordan.

Mieszko, widząc wyraz strapienia na twarzy starca, by odwrócić jego myśl, zapytał:

- A o jakim to mówiliście przykładzie, który wam mnichów łagodniej sądzić pozwala?

Uśmiech istotnie zjawił się na twarzy Jordana, gdy odpowiedział:

- Młody to jeden brat i niedawno do nas przyszedł. Zrazu smutny był bardzo i w modlitwach się

zapamiętywał. Ale pobywwszy uspokoił się i rzadko który tak chętny się trafi, czy do pracy, czy do nauki, jak on. A przy tym miły ludziom i łagodny jako dziecko. Jeno śluby złożył i wyświęcony został, prosić jął, by go w dziczy osadzić samego, jako onych eremitów w Egipcie, o których słyszał. Nie przeciwilem się, bo słowo Boże wszędy brzmieć winno i choć żalowali go wszyscy, poszedł. Czasem się zjawił do sakramentów i po sól, bo mówi, że wszystko inne Bóg mu daje w lesie. Gdy się rozruch zaczął i inni, co w rozproszeniu byli, zbiegli się, on nie przyszedł i myśleliśmy, że zginął jako i niejeden inny, co zbiec nie zdążył. Aliści wieść słyszałem w Międzyrzeczu, że żyje, gdzie był, i choć go pogańskie gromady ubić chciały, nie dali ludzie z najbliższych osiedli, którzy go za świętego mają, a poganie za czarownika, i powagę ma wielką, która chyba z miłości jego ku Bogu i ludziom płynie, bo nie wiem, czy dwadzieścia lat sobie liczy.

- Taki jeden za wielu starczy. Widzicie tedy, że zejdzie czasem tam, gdzie nie siane.

- A częściej nie zejdzie tam, gdzie cały trud i wszelkie nadzieje były - westchnął Jordan. - Jeśli już pozwalacie mi, panie, wygadać się, to i wypowiem. Po nikim się więcej nie spodziewałem niż po waszym bratanku i nikt mi też nie zrobił sroższego zawodu. Zdało mi się, że znam ludzi i umiem nimi kierować, i tę pewność on mi zburzył.

- Mówicie o Stoigniewie! Nigdy on wasz nie był. Patrzą ja na niego nie wiedząc, co wyrośnie. Sam los mu się tak składa, by niczyj był. Matki niespełna rozumu jakby nie miał, ojciec zginął, siostra utonęła. Na niewiasty ani spojrzy, z rówieśnikami się nie zadaje. Aby go przejrzeć, trzeba znać Zbrozłę, który sam jeden wpływ ma na niego. Przyjaciela jeno jednego miał i - prawda! - prosił, bym was zapytał, co się z Tunim stało, że nie ma go w Trzemesznie?

- Tuni do Rzymu pojechał! - odparł Jordan jakoś niechętnie.

- A wróci kiedy?

- Może wróci, ale pewnie nieprędko. I to niezwykły był chłopak, i równie trudny do przejrzania.

Mieszko zadumał się i po chwili rzekł jakby sam do siebie:

- Widno taki los Stoigniewa, że sam ma być, nie mając serca o co zaczepić.

IV

Na Dzikowej puściźnie

Jechał Krzesz na Wieliczkę zły i zmartwiony. Na dobitek pogoda, z rana mglista, w słotną jęła się zmieniać. Mgła poszła w górę, lecz pociemniało i deszczyk rosił drobny, ale zimny i dokuczliwy. Pachołcy ze stróży jadąc za nim, zrazu gwarzyli, lecz w miarę jak wilgoć i ziąb przenikać ich zaczynał, milkli i jechali w ciszy, że jeno chlupot kopyt po rozmięklej drodze słychać było. Za Wieliczką skręcili z gościńca wprost na południe, na mało uczęszczany szlak, wiodący przez okryte borem wzgórze ku dolinie Raby. Koło południa niebo zdało się przecierać, lecz zaraz wiatr się ruszył i nagnał chmur z północnego zachodu. Deszcz puścił się coraz ulewniejszy i pociemniało tak, że w gęściejszym borze mrok panował prawie zupełny, choć do wieczora daleko jeszcze było. Po dłuższym czasie deszcz ustał, lecz ziąb dokuczliwy przeniknął ich do kości. Pachołcy chcieli ogniska nanieść, lecz Krzesz nie pozwolił na postój mówiąc, że do Raby już niedaleko, gdzie pod dachem mokre szmaty i skóry wysuszyć będzie można w Dobkowym dworcu, inaczej w lesie nocować by przyszło. Nie żałując tedy koni puścili się dalej, aż dymieć poczęły. Wreszcie po dłuższej jeździe las urwał się nagle, a przed jeźdźcami łąch się rozpostarł, schodzący ku widocznej w dole Raby.

Zjechali ku brodowi, za którym majaczyły w zapadającym wczesnym zmierzchu budynki

Dobkowego dworzyszczu, i wparli konie w żółty, wezbrany nurt. Miejscami woda dochodziła koniom do piersi, lecz jako na spokojnej płani nie rwała zbyt bystro, tak że bez wypadku, tyle że zmoknięci i do cna przemarznięci, dotarli do częstokołu. Pachołkowie, którzy właśnie bramę zapierać mieli, widząc podróżnych wstrzymali się z zamknięciem i prosili ich do świetlicy w głównym budynku mówiąc, że Dobka w domu nie ma, lecz lada chwila wrócić winien. Wraz też podali wieczerzę nie czekając na gospodarza, po czym Krzeszowi towarzysze spać odeszli. Krzesz zaś rozsiadł się przed kominem na gospodarza czekając. Zrzucił przemokłe wierzchnie szaty i przysiadł się do ognia drżąc jeszcze wciąż z zimna.

Bijące od rozżarzonych, modrzewiowych polan ciepło przenikało przyjemnie zgrabiące jego członki, lecz zarazem senność jęła go ogarniać. Jakiś czas chciał ją przemóc, by doczekać powrotu Dobka, lecz myśli poczęły mu się mieszać. Westchnął raz i drugi, wreszcie rozsiadł się wygodniej, powieki zaciężyły mu ołowiem i usnął głęboko.

Śniło mu się, że ściga Miłoszę i Otłokę. Chłopcy uciekali śmiejąc się, to jeden, to drugi ginął mu z oczu. Gdy z trudem wlokąc odmawiające posłuszeństwa nogi dopadł któregoś, nie mógł rozemnieć ten jest czy drugi, aż go gniew uchwycił i bić zaczął schwytanego. Chłopak jakiś tęgi się zrobił, że nie mógł mu dać rady i gdy spojrzał w jego twarz, ujrzał, że siłuje się z Tarłą. Z Tarłą czy z samym sobą. Sen mu się zmacił, zniknęło wszystko i głowił się, czy jest Tarłą, czy Krzeszem. W znużonej głowie kołatała się świadomość, że któryś z nich nie żyje, lecz nie mógł sobie przypomnieć. Sen męczył go nieznośnie, aż poty biły na niego, i nagle jakiś kobiecy głos krzyknął przeraźliwie:

- Tarło!

W głosie tym była taka siła, że Krzesz zerwał się, choć świadomość nie od razu wydzwignęła się z głębi snu, i półprzytomnie odparł:

- Jestem!

Z wysiłkiem otwarł zaklejone snem przy żarze ogniska oczy i ujrzał Dobka, który patrzył na niego ze zdumieniem, obejmując ramieniem Czarnuszkę. Jej to wytęskniony głos wyrwał Krzesza ze snu, a teraz wpatrzone w niego rozszalałe oczy wpijały się tak, że oprzytomniał. Nie jego wołała; rozdziwiło się w nim serce: czy kiedyś wolno mu będzie wykorzystać, że do Tarły jest podobny i sięgnąć po to, co tamten miał najdroższego, a czego on sam się wyrzekł z miłości braterskiej!

Dobek palec na ustach położył i biorąc dziewczynę na rękę jak dziecko, przemówił pieszczotliwie:

- Spać musisz iść, szatki mokre zrzucić. Świętocha cię odzieje i nakarmi. Jutro też dzień!

To rzekłszy wyszedł niosąc dziewczynę, która zwiśla mu na ręku bezwolnie, jeno łkania ciche nią wstrząsały. Krzesz siedział przecierając oczy i snując ponure myśli. Słaby się czuł jakiś, to zimno mu było, to gorąco i bolała go rozpalona głowa.

Dobek wrócił do świetlicy. Usiadł w milczeniu, które ciążyło Krzeszowi. Rzekł więc:

- Wiecie, że Tarło poległ?

- Juści, wiem! - odparł Dobek wzdychając. - Żeby nie to i żeby służba nie powiedziała, że Krzesz przyjechał, to bym nie uwierzył. Aż mnie samego zatchnęło na twój widok. Cóż ja teraz powiem dziewczynie?!

Krzesz skurczył się w sobie i milczał.

- Wiesz przecie, jako się mieli ku sobie i Tarło swaty przysłać obiecał. To, jak wieść przysłała o cydzyńskiej bitwie i o śmierci Tarły, jakoby grom w nią zdzielił. Mało się dziecko napłakało, gdy brat twój ze zbrojami schwytny ostał! A potem raz przysłał wiadomość, że cały i nadzieję ma sławę

odzyskać i łaskę kniazia, już dnia każdego czekała, że wróci i coraz to biegła do wąwozu, gdzie się spotykali. Aż ci nam donieśli, że iście sławę odzyskał, ale życia zbył. Myślałem, że się jej w głowie popsuje od żalu, lub że mi zamrze, bo leżała nie śpiąc, nie jedząc, jeno coś szeptała do siebie albo Tarłę wołała po cichu.

Tu stary przerwał, trąc oczy, za czym ciągnął:

- Odczyniały baby, poiły ziołami i jakoś pozdrowiała. Ale niech się jeno wieczór zbliża, to chodzi koło okien i nasłuchuje. Czasem palec do ust przytknie, by zmilczeć i jeno te oczy jej świecą: czeka! A niech się wiatr ruszy, szeleści po krzaczach, to wraz się z domu wymyka, nie upilnujesz i stoi, by w największą słotę i wypatruje. Albo i do wąwozu biegnie, gdzie się spotykali, czy na nią nie czeka. Ludzie się boją, bo mówią, że on się tu koło domu wałęsać musi. Wiadomo, że gdzie serce głodne kogo ciągnęło, tam wraca po śmierci.

Westchnął Dobek i znów zapanowało milczenie, które Krzesz przerwał, byle od siebie uwagę odwrócić:

- To i o Dziku wiecie, że zaginął? Nie naszliśmy go nigdzie, choć kawał drogi trupami poznać.

Dobek głową skinął smutno i dalej ciągnął swoje:

- Dziś mi się też wymknęła i znalazłem ją w wąwozie. Uparła się, że Tarło przyjdzie, i wracać do domu nie chciała, a pogoda, że psa żal wygnąć. Mówią mi pachołcy, żeś przyjechał. Zawsze do Tarły byłeś podobny, ale ninie nie do wiary. Jakiśmy weszli, aż się nogi pode mną ugięły, bom pomyślał, że może go dziewczyna spod ziemi wywołała jakimś zaklęciem. Jeszcze teraz patrzę na ciebie i co chcę zagadnąć, rzekłbym: Tarło! Ale ja tu gadam, a nie wiem, czy o wieczerzy dla ciebie pomyśleli?

- Dzięki wam, pożywiłem się już i sen mnie zmorzył. Przemarznięty byłem i usnąłem od ciepła. Jeno słaby się czuję.

- Miodu byś się napił, to ci słabość przejdzie. Wiem ja, że ci spoczynek się należy, ale ugwarzyć chciałbym trochę; tyle czasu nie widzieliśmy się i tyle się zdarzyło. To rzekłszy zakrzętnął się i postawił na ławie dwa kubki i dzbanek, przypijając do Krzesza:

- Na zdrowie i na pomyślność!

Krzesz wypił, pochwalił miód i dodał:

- Nieraz się jeszcze ugwarzymy, bo ziemię i gródek objąć mam po Dziku, to sąsiadować będziemy. Ale ninie prosiłbym o pozwolenie na spoczynek się udać, bo, jako rzekłem, słabość mnie wzięła, a rankiem dalej pociągnę.

- Niech pachołcy jadą, ostałbys przez jutro albo i parę dni.

Śpieszyć się nie masz do czego. Zapuszczone wszystko, jeno w jednym budynku straża stoi. Jeńcy się rozbiegli i gospodarstwo na nowo trzeba zakładać.

Krzesz coś sumował i odparł:

- Ostałbys ja chętnie, ale wiem, czy dobrze będzie? Przecie mnie wasza dziewczyna za Tarłę wzięła. Dobek westchnął, ale nie rzekł nic.

Dopili miodu i Krzesz udał się na spoczynek. Gdy gospodarz budzić go przyszedł, Krzesz nie poznał go i od rzeczy mówił. W nocy gorętwy dostał i leżał rozpalony bez zmysłów. Dobek, zaniepokojony, zaraz baby znające wołał, które radzić jeły, zamawiać, okadzać i poić i w rzeczy samej po dwóch dniach choroba się widocznie przewaliła, lecz zesłał tak, że o dalszej jeździe nie było co myśleć. Spał całymi dniami, a Czarnuszka, jeśli ją siłą na wypoczynek lub na jadło nie odciągnęto, siedziała u jego łóżka patrząc płonącymi w bladej jak opłatek twarzy oczyma w jego

wytęsknione lico.

Wstał wreszcie Krzesz i choć słaby był jak mucha na jesieni, że na koń go podsadzać musieli, ruszył w szary jesienny ranek. Chciał myśl oderwać od dziewczyny, lecz nie udolił. Przed wieczorem docierał do grodziska i wciąż jeszcze widział jej oczy czarne, głębokie i smutniejsze niż śmierć.

Wyczerpany, znużony i przygnębiony Krzesz podjeżdżał pod gródek, szarzejący w mgle i mroku wczesnego jesiennego wieczoru. Zakłuło go coś w sercu na znany widok. Gwaro tu ongiś bywało, gdy żył brat i inni, do których się przywiązał. Teraz samemu siedzieć przyjdzie bez duszy bliskiej, ze wspomnieniami jedynie. Żeby choć z chłopaków który z nim był, ale i to nie; zbytne skrzaty, ale wesołe i swoje. Na myśl, że samochcąc pogubili się w drodze i niewiada, czy i kiedy się najdą, złość go ogarniała taka, że mruknął do siebie:

- Dam ja wam, niech was jeno dostanę!

Koń jego zarżał czując stajnię i zaraz zza ostrokołu inne im odpowiedziały, a już i psy się ruszyły i szczekając, jeden za drugim przeskakiwały częstokół, pędząc z ujadaniem naprzeciw niego. Poznał kilka z nich w zapadającym mroku, widoczny dowód słabości dawnego przywódcy psiej czeredy, Gona, do odmiennej płci, która tyle zmartwień przyczyniała jego zmarłemu panu. Poznały i psy Krzesza, gdyż łąsiły się doskakując i te objawy serca i pamięci psiej tak ujęły jego spragnioną jakiegoś ciepła, przygnębioną duszę, że z konia zsiadł, by przywitać się z nimi. A już pacholcy przy bramie się zjawili i poznavszy go widocznie, otwierali ją ze zgrzytem wrzeczędzy, który niósł się daleko w wilgotnym mroku.

Szedł wśród psiej gromady, aż jakaś postać niewielka wyskoczyła naprzeciw i Krzesz poznał brata. Na ten widok zapomniał o uczynionym sobie przyrzeczeniu, o smutku i znużeniu i skoczył naprzeciw z radością go ściskając.

Po pierwszych powitaniach, patrząc surowo rzekł:

- Ostatni raz ci daruję, żeś uciekł. Jakożeś się tu znalazł?

- Do kupców się przysiadłem w Sandomierzu, co na Węgry ciągnęli, i od Gdowa mało co błądząc, lasami przyszedłem. A Otłoka gdzie?

- A niechże cię...! - Tu Krzesz powstrzymał klątwę. - Toś ty Miłosza? Licho was nadało z tym podobieństwem. To Otłoka widno ciebie szukać poleciał. Myślał, żeśmy cię po drodze minęli.

Chłopak ręką po czuprynie przejechał ze złością, ale rzekł lekko:

- Byle ojcu w rękę nie popadł, to znajdzie się. Chodź do domu, bo ziąb, a ponoś słabował, to ci się pokrzepić zda. Marnie tu jest! - dodał.

Jakoż marne było gospodarstwo bez bab, które zbiegli brańcy prawie wszystkie zabrali. Ostała jeno jedna, bezzębna i jadowita, której nikt nie chciał. Jak się tam z młodu wołała, nie wiadano. Zwali ją Wścieklicą. Nie z brańców była, jeno przyplątała się skądeś, ze świata. Za czasów dawnego dziedzica można z nią było jeszcze wytrzymać, ale od śmierci jego żony, Sofii, zbiesiła się do reszty i wyreki z niej nie było żadnej, choć przódzi robotna była i gospodarna. Nikt jej już nawet nie tykał i gospodarstwo pozbawione kobiecej ręki marne było istotnie.

Krzesz, przetrąciwszy byle co, do łoża poszedł. Długo nie mógł usnąć. Łoże było źle zasłane, mech, służący za ściółkę, starty na proch, skóry, którymi było okryte, nawilgłe, ziąb od nich szedł. Długo leżał bezsennie, słuchając jednostajnego szumu deszczu na dworze i spokojnego oddechu Miłoszy. Wreszcie przemogło znużenie i usnął.

Wyczerpany spał kamieniem i nie mógł się przebudzić, choć przez sen słyszał ruch jakiś niezwyczajny na dworcu, szczekanie psów i krzątanie. Ocknął się wreszcie i dźwignąwszy z trudem,

otworzył okiennice.

Na polu szaro już było. Niskie chmury, siąpiące zimnym deszczem, otulały gródek siwą płachtą, tak że uwijające się po dziedzińcu postacie i przeciwległe stajnie ledwo były widoczne. Spojrzał na łożę Miłoszy i dostrzegł, że było puste. Ruszył ku drzwiom, by zawołać kogoś i zapytać, co zaszło, gdy rozległy się szybkie kroki i Miłosza wpadł do izby. Nim Krzesz zapytać zdążył, zawołał:

- Przyszła Dobkowa Czarnuszka!

- Bodajże cię! - mruknął Krzesz zmieszany. Usiadł na łożu i nie myśląc o tym ubierał się. Miłosza tymczasem paplał żywo:

- Aż żal patrzeć, jak wygląda. Całą noc iść musiała. Wodą ocieka jak topielica. Uwzięła się, że musi cię obaczyć. Raz się Wścieklica na coś przydała, bo wzięła ją nie pytając, choć się dziewczucha opierała, a ninnie przebiera ją i poi. Nie czekając, co powie Krzesz, wybiegł podniecony. Krzesz dumiał pocierając czoło. Postanowił coś widocznie, gdyż podszedł do okna i zawołał na przechodzącego pachółka:

- Konia osiodłaj i leć zaraz do Dobka oznajmić mu, że córa jego jest tutaj, bo pewnie nie wie o niczym.

Lecz nim pachółek konia zdołał osiodłać, zaszczekały psy przy bramie i przez zasłonę deszczu Krzesz rozeznał starego Dobka, jak zeskoczywszy z konia, z Miłoszą, który skądś się zjawił, szybko zmierzali do kobiecych zabudowań. Krzesz zerwał się i wybiegł ku nim. Stary ledwo go przywitał, zgnębiony, i razem weszli do babińca.

Pustką wiało z zaniedbanych izb. Gdy zbliżał się do końca długiej sieni, otworzyły się drzwi i przed nimi stanęła Wścieklica.

- Czego? - warknęła.

- Dziewczynę chcieliśmy obaczyć - rzucił Krzesz.

- Nie potrzeba wam.

- Chcę córkę do dom zabrać - rzekł Dobek stłumionym głosem.

- Chcecie? Teraz nie, bo śpi. A co potem, obaczymy. Może już na zawsze ostanie. - Roześmiała się drwiąco a gorzko.

- Co? Czemu? - zapytał Dobek niespokojnie.

- Pies by się zmarnił przez taką noc, nie takie dziecko.

W szorstkim głosie Wścieklicy coś miększego zabrzmiało. Bez słowa już popchnęła Dobka i Krzesza ku wyjściu.

- Chodźmy - rzekł Krzesz. - Wam też przebrać i posilić się trzeba.

Co dalej będzie, obaczymy.

Zawrócili i odeszli. Jeno Miłosza sterczał na miejscu.

- A ty tu czego? - syknęła stara. - Nic ci do niej!

Czupurny Miłosza jakoś niezwykle pokornie zapytał:

- Co będzie z Czarnuszką?

- Co będzie?! - zachichotała cicho stara. - To co z każdą, co głupia jest i serca powściągnąć nie umie.

- Ale czy pozdrowieje?

- Wynoś się! Nic ci do niej, powiadam.

Miłosza westchnął ciężko i powlókł się za starszymi. Wszedł cicho do izby Krzesza. Dobek, już przebrany, siedział głowę pochyliwszy nad stołem. Panowało milczenie, ciężkie, napięte. Każdy

wiedział o czym myśli drugi, lecz mówić było nijak. W końcu Dobek ozwał się:

- Pojadę chyba; Czarnuszki teraz brać nie mogę. Przyślę bab i co trzeba, bo u was brak niejednego.

Patrzył na Krzesza, jakby jeszcze coś chciał powiedzieć, lecz Krzesz oczy wbił w podłogę. W odpowiedzi mruknął:

- Ostańcie. Lepiej, by dziewczyna was obaczyła, gdy się przebudzi.

Ja i tak do Krakowa jechać miałem, kupić, czego brak. Każecie sobie z domu co przysłać, to wstąpię do was po drodze i zlecenie powtórzę. A ty? - rzekł zwracając się do Miłoszy - pojedziesz ze mną?

- Ja ostanę - odparł Miłosza, lecz także w oczy Krzeszowi nie patrzył.

Krzesz, jak ruszył do Krakowa, tak go i nie było. Zima nastąpiła tymczasem, bezwietrzna, lecz śnieżna. Zawaliła drogi, grubym kozuchem okryła świat, iż gałęzie łamały się pod okiścią. Śnieg leżał na chłopu wysoko i padał a padał. Zdało się, że góry zrówna z dolinami. Co lżejszy zwierz pomykał wierzchem, lecz człek ni koń przebrnąć nie zdołali zasp.

Dobek zrazu dojeżdżał do Czarnuszki, która rozchorowała się na dobre, widząc jednak, że Krzesz nie wraca, a drogi stały się nieprzebyte, osiadł na Grodzisku doglądając córy, a przy sposobności i gospodarstwa, które też składniej ruszyło. Miłosza pomagał mu na podziw jak umiał, gościł i rozerwać się starał Dobka, bliskiego rozpaczy, gdy choroba Czarnuszki zrazu życiu jej grozić się zdawała. Po Godach jednak przytomność wróciła dziewczynie i szybko do siebie zaczęła przychodzić. Dobek wysiadywał przy niej, a jak się dało, wkręcał się za nim Miłosza. Potem już i wkręcać się nie musiał, gdyż polubiła go bardzo i sama o niego pytała.

Choroba jakby przemogła w Czarnuszcze rozpacz. Smutna była, lecz spokojna, czasem zapytała o dom i swoich, a raz Miłosza nawet uśmiech na jej twarzy wywołać zdołał oświadczając Wścieklicy, że się z nią żenić zamyśla w nagrodę, że Czarnuszkę uzdrowiła. Stara poderwała się z pyskiem, ale też nieszczerze, bo i ona polubiła zbytniego, ale miłego chłopaka.

Z końcem lutego gwałtowne odwilże zalały kraj wodą, a że zima nawróciła, drogi stały się dostępne i Dobek ze zdrową już zupełnie córką do domu się właśnie wybierał, gdy nadszedł Krzesz ze stróżą na zmianę, kilku zakupionymi brankami i Otłoką. Chłopcy z radości na powitanie pobili się tak, że ich rozczepić nie było można, potem zaś gadać jęli i tak byli sobą zajęci, iż nie zauważyli, że Krzesz, który przyjechał pogodny, nachmurzył się, a Dobek siedzi przeżuwać coś w sobie. Potem chłopcy na pole wypadli, obejrzeć gródek i starszych zostawili samych.

Dobek westchnąwszy odezwał się:

- Pozdrowiała szczęśliwie moja dziewczyna, czas mi do dom się zbierać. Za gościnę ci dziękuję.

- Mnie to wam dziękować przystoi, żeście gospodarstwa doglądnęli - odparł Krzesz. Wstał żegnać się, lecz wzroku Dobka unikał jakby się bojąc, by mówić nie zaczął o czymś, o czym Krzesz mówić nie chciał.

Dobek już się nie odezwał i wyszli.

Miłosza stał już przy koniach z Czarnuszką i nadrabiając miną pocieszał ją i siebie, że często będzie odwiedzał Dobkowe dworzyszczce. Milczący i zapatrzony w dziewczynę, tkwił przy nim Otłoka.

Ona jednak patrzyła na Krzesza, który z siedzącym już na koniu Dobkiem rozmawiał uciekając przed jej spojrzeniem. Gdy ruszyli, Miłosza biegł za orszakiem, razem z psami, póki konie nie przeszły w kłus, gdy na równą drogę zjechali. Przyzostał, gdy zanurzyli się w las.

Zima miała się ku końcowi i Mieszko postanowił nie zwlekać z wyjazdem, by wczesne roztopy nie popsowały drogi. Przybyć należało do Kwedlinburga przed cesarzem, zarówno by udział wziąć w uroczystym powitaniu, jak też i rozejrzeć się między ludźmi, a kogo trzeba - pozyskać.

Wstający, szary dzień lutowy zastał już drużynę i orszak księcia uszykowany na gościńcu przy moście nad Wartą. Mróz sfolgował, niebo zawleczone było szarymi chmurami, z których bezszelestnie prószyl śnieg okrywając ludzi, konie i wozy białą zasłoną. Czekano jeno na pana, który z rodziną i najbliższymi na nabożeństwie był w katedrze św. Piotra i Pawła, gdzie Jordan na intencję wyjazdu mszę uroczystą odprawiał. Przed katedrą kilku pachołków trzymało konie pana i dostojników, którzy wraz z nim mszy słuchali. Dzień robił się już jasny, gdy umilkły dochodzące z kościoła śpiewy, a po chwili ruch się uczynił i ukazał się Mieszko, przybrany już do drogi, jeno na koń siadać. U wyjścia włożył futrzaną kiereję i zwróciwszy się ku kościelnej bramie, czekał na pozostałych.

Zaraz za nim ukazała się Dobrawka wiodąc za rękę Bolka. Obok niej kroczył Jordan w pontyfikalnych szatach biskupich, a tuż za nimi wysypała się i reszta orszaku, dworskich i duchownych. Pachołkowie skoczyli konie podawać, a Mieszko, zbliżając się do Dobrawki i Jordana, rzekł:

- No! Czas w drogę! Dzień już duży. Ostajcie szczęśliwie! - To mówiąc pochylił głowę, pierścień na ręku Jordana całując, a ten krzyż nad jego głową zakreślił szepcząc słowa błogosławieństwa. Z kolei Mieszko z Dobrawką się żegnał z twarzą nie - przeniknioną jak zazwyczaj, by ludziom nie okazać wzruszenia. Jeno gdy podnosił Bolka, który rozgorzałymi oczyma śledził zaczynające się niecierpliwie konie, uśmiech rozjaśnił mu twarz. Całując chłopaka powiedział:

- Bądź cierpliwy, niedługo już. Powrócę, to ci postrzyżyny sprawimy. Napatrzysz się jeszcze koni i zbroi, że ci jako chleb spowszednieją. Tymczasem w zdrowiu ostawaj i matki słuchaj we wszystkim.

Bolko, który przez czas choroby ojca oswoił się z nim, przytulił twarz do jego twarzy mówiąc:

- A nie zabądźcie miecza przywieźć, coście obiecali!

Mieszko roześmiał się i chłopca oddał matce, po czym, ręką skinąwszy pozostałym, dosiadł podanego mu konia i, z miejsca klusem ruszył nie oglądając się, a za nim ci, którzy w podróży towarzyszyć mu mieli.

Jordan znakiem krzyża odjeżdżającego żegnał, a Dobrawka pobladłymi usty szeptała modlitwy, aż zniknął na zakręcie. Biskup, którego mniszkiwie rozbierali z szat kościelnych, podając mu szubę futrzaną, czekał chwilę, póki Dobrawka nie przestała się modlić, po czym zapytał:

- Pozwolicie, miłościwa pani, do mnie na polewkę? Na czczo jesteście, a do dworca drogi szmat.

- Chętnie skorzystam z waszej gościny i towarzystwa - odparła Dobrawka i pozwoliwszy odejść dworskim, z wyjątkiem Marzenki, skierowała się z Jordanem ku budynkom kościelnym. Bolko, który do drużyny swej śpieszył na walkę śnieżkami, próbował się sprzeciwić, lecz Dobrawka jakby nie słyszała, szła zamyślona. Dopiero przy wejściu do biskupiego dworca zwróciła się do Marzenki, by

Bolka do dom odprowadziła. Jeno księżna zniknęła we drzwiach z Jordanem, Bolko jak młody żrebak, bez słowa porwał się z miejsca i ku domowi popędził nie zważając na nawoływania piastunki.

W mrocznej, przez środek całego budynku wiodącej sieni, Jordan szedł przodem, mijając przechodzących duchownych różnego wieku i stopnia, którzy zajmowali położone po obu stronach sieni cele. Wreszcie zatrzymał się przed drzwiami nie różniącymi się od innych i otwierając je, przepuścił Dobrawkę mówiąc:

- Stół mamy wspólny, lecz klasztornym porządkiem niewiast przy nim nie sadzamy, dlatego pozwolicie, pani, że w swojej izdebce was ugoszczę.

- Nie dla strawy tu przyszłam, ojcze, jeno że niepokój mam w sobie i wstyd mi powiedzieć, bałam się sama ostać. Weszli do izby mrocznej i pustawej, z której chłodem wiało. Błony w oknach mało przepuszczały szarego światła, Jordan przeto w dłonie klasnął i młodemu klerykowi polecił ognia naniecić, światło przynieść oraz polewkę podać do celi. Księżyk zakreślił się bystro i po chwili żółte światło świec i czerwony blask ognia wydobył z cienia kąty izby. W jednym stała prosta ława, skórą nakryta, służąca Jordanowi za posłanie, w drugim klęcznik, na którym jarzył się w blasku złoty krucyfiks, jedyny zbyt kowny przedmiot w izbie. Kosztowniejsze od niego, leżały na prostym stole księgi w drewnianych, skórą obciążonych oprawach, ze srebrnymi klamrami. Dobrawka, której pismo nie było obce, przeglądała je dopytując, ile Jordan zdołał ksiąg sprowadzić.

- Nie tyle, ile trzeba - odparł z westchnieniem. - Sami zaczęliśmy je pisać, lecz i to łatwe nie jest. Czasu dużo wymaga i pergamin z Grecji i Italii na wagę złota sprowadzać musimy, a rzadko mamy na to.

- Czemużecie, ojcze, panu niepowiedzieli, że braki macie. Byłby niechybnie temu zaradził.

- Nie miałem nigdy przyczyny żalić się na brak hojności kniazia.

Ale nie zdało mi się stosownym prosić w tym czasie, gdy wiem, że od greckich i żydowskich kupców pieniędzy pożyczę. Zdziwienie zjawilo się na stroskanej twarzy Dobrawki.

- Nie wiedziałam - szepnęła. - Cóż się stało? Niedawno jeszcze, gdy kniaz chorzał, bywałam w skarbcu i wielkie bogactwa tam leżały. Aż żal brał nieraz, że tyle dobra bezużytecznie leży, a tylu chorych i ubogich pomocy wygląda.

- Moi ludzie wielkie sumy powieźli dla cesarskich, kościelnych i świeckich dostojników, a niemniejsze kniaz zabral ze sobą - odparł Jordan.

Wejście kleryka niosącego polewkę przerwało rozmowę. Dobrawka jeła posilać się w zamyśleniu. Po chwili odezwała się:

- I zbrojenie drużyny wiele musiało kosztować! Niepokoi mnie to wszystko, bo choć kniaz nie pokazywał po sobie, znam go, iż nie był spokojny i jako między stado wilków jechał. A dziwne mi to, że więcej niż o pana, o Bolka obawa mnie dręczy, jakby jemu coś grozić miało.

Uśmiechnął się Jordan słabo i odparł:

- Nie będę przed wami taił, pani, że nie jest dla kniazia bezpieczna ta wyprawa. Jako kamień na drodze cesarzowi on leży i nie miłują go tam. Lecz kniaz przemyślny jest i obrotny, a i to wiem, że ludzi ze sobą zabral takich, że bodaj spośród wrogów wywieść go potrafią, choćby jeden na drugim lec mieli. I złoto swoje zrobi! - dodał gorzko. - Ale żeby młodemu panu wśród nas grozić coś miało, to jeno - wybaczcie! - obawy są niewieście.

- Daj Bóg! - westchnęła Dobrawka. - Niemniej modłom go waszym polecam.

I zdejmując łańcuch z szyi, położyła gona stole, mówiąc:

- To na księgi wasze. Nie mam już więcej, bo resztę ubodzy zjedli, gdyż i ja pana prosić nie chciałam.

- Dziękuję wam, pani, ale jakoże ostatniego klejnotu się pozbędziecie?

- Cięży mi na piersiach, może lżej będzie bez niego - odparła Dobrawka wstając. - Dziękuję wam za gościnę, a zajdźcie do mnie, jeśli wasze zajęcia pozwolą. Ciężko mi będzie czekać pierwszych wieści.

- Bądźcie dobrej myśli. Nie spodziewać się ich, aż po Wielkiej Nocy. Myślę, że pierwszy je mieć będę, gdyż przez klasztory szybciej idą niż nawet przez książęcych gońców. Myślę, że dobrą wiadomość będę mógł przynieść.

Mylił się Jordan. Płynęły dni oczekiwania, zima zaczęła się łamać, wreszcie przysła. Przyleciało ptactwo przelotne, pierwsze pąki zjawily się na drzewach. W ciszy oczekiwania minęły wielkanocne święta, aż jednego dnia w odwieczny, gdy Dobrawka przystrajała właśnie Bolka, by udać się na wieczorne nabożeństwo do kaplicy, ruch jakiś wszczął się na podwórku.

Serce Dobrawki zabiło przyspieszonym tętnem. Zmienionym głosem rzekła do Bolka:

- Skocz no, obacz, czy nie posłańce od ojca! Bolko pognał jak stał, a Dobrawka uklękła przed krucyfiksem i modlić się zaczęła żarliwie. Chwile wlokły się jak wieczność. Wreszcie ciężkie, znużone kroki rozległy się w sieni i zbliżały się jak przeznaczenie. Dobrawka oczy zmienione utkwiała w drzwiach, które rozwarły się wreszcie, i wszedł naprzód Jordan, a za nim Mszczuj Mściwojów, prosto jak z konia zsiadł, z twarzą ponurą i zmęczoną, w odzieży błotem zbryzganej. Za nim chyłkiem wsunął się Bolko. Dobrawka wstała z klęcznika i chwilę patrzyli na siebie bez słowa. Widno niepilno rzec było Mszczujowi, z czym przyjechał. Wreszcie Dobrawka, nie mogąc znieść niepewności, zapytała z wysiłkiem:

- Książ... wraca... kiedy?

- Jeno Bolka w zakład odwieziemy - odparł Mszczuj z posępną prostotą.

Szary mrok przesłonił oczy Dobrawki. Wyciągnęła dłonie w tył szukając oparcia i nagle kolana rozwiązały się pod nią i padła na ziemię jak martwa. Jordan skoczył cucić, Bolko zaś, uchwyciwszy nóż, który miał przy boku, do Mszczuja doskoczył i zamierzywszy się na niego, krzyknął:

- Nie pojedę, spróbuj mnie brać!

Mszczuj stał nieporuszony, ze smutnym uśmiechem na poszarzałej twarzy i odparł cicho:

- Sam bym się zabił, żeby to pomogło. Nieprzeciw się, bo matce ciężej będzie.

Bolko opuścił rękę i stał zmieszany, a łzy kręciły mu się w oczach. Przypadł do matki, którą tymczasem Jordan z pomocą nadbiegłej Marzenki na łożo dźwignął. Otworzyła bolesne oczy i wzrok jej padł na pochylonego nad nią Bolka. Usiłowała się uśmiechnąć i wyszeptala zsiniałymi wargami:

- Jeszcze cię widzę, syneczku mój!

- Pojadę i wrócę - rzekł Bolko głosem, który pewnym uczynić się starał.

- Powrócisz już nie do mnie - szepnęła tak cicho, że obecni nie usłyszeli.

VI

Cesarskie rozjemstwo

Zjazd w Kwedlinburgu tłumny był, jak nigdy: Gdy Mieszko z początkiem marca przybył ze swymi, zastał już książąt i posłów z wielu krajów, a niemal dzień nie mijał, by ktoś nie nadjechał. Prócz niemieckich herzogów i grafów przybył Bolesław czeski, posłowie ruskiego Jaropelka,

węgierskiego Gejzy, siedzieli już Grecy, Bułgarzy, Benewentczycy, Duńczycy i połabscy Słowianie. Czekali wszyscy na cesarza, a tymczasem kipiało od tajnych i jawnych rozmów, układów, przekupstwa i knowań. We dnie tłumy przewalały się w wąskich ulicach i za murami miasta, gdyż z poselstwami ścignęli kupcy wioząc towary niemal z całego szerokiego świata; wieczorami uczyły trwały po gospodach, mimo Wielkiego Postu, po nocy zaś przemykali się zakapturzeni ludzie, chyłkiem od domu do domu, oglądając się, czy ich kto nie śledzi. Dziesiątki sprzecznych spraw starało się torować sobie drogę do uszu pana, którego słowo rozstrzygnąć mogło o życiu lub śmierci. Cesarz tymczasem na Kwietnią Niedzielę przybył wraz z orszakiem do Magdeburga i stanął w klasztorze, przez żonę jego ufundowanym w Kalbe, by wziąć udział w wielkopostnych nabożeństwach. Znużony się czuł i słaby. Z niechęcią myślał o czekających go trudach wielkanocnego zjazdu. Szukał ciszy i spokoju, lecz nie zdołał obronić się, by wrzące koło niego kłębowisko żądź, namiętności, gniewów i chciwości, nie burzyło ich co chwilę. Wszyscy jak gdyby czując, że sprawy, jakie z nim uładzić można, załatwić trzeba szybko, nagabywali go spokoju nie dając. Bliżsi i dalsi krewni nalegali o nadania, godności, o pomoc w swych nie kończących się sporach, o kary na swych wrogów, łaski dla przyjaciół. W znużonej głowie cesarza zamęt panował od tych sprzeczności, a wyczerpane ciało pragnęło spoczynku, chociażby wiecznego. Lecz starym nawykiem brał udział w nabożeństwach, naradach i ucztach, jeno wieczorem walił się jak martwy do łoża i z niepokojem słuchał, jak bije nierówno a głośno, odmawiające posłuszeństwa serce.

Niemąło zdrowia zjadły mu sprawy między Klótnikiem a bratem jego Brunonem, który aż na Węgry schronić się musiał przed braterską miłością, gdyż życia nie był pewny. Stadeńskich krewniaków cesarz zaspokoił w ich sprzeczce z bremeńskim arcybiskupem, przyrzekając Henrykowi dla córki jego a swej chrzestnicy, Hatui, stanowisko ksieni nowo wybudowanego klasztoru św. Wita w Helslindze, choć dzieckiem jeszcze była, dwanaście lat dopiero liczącym. Chętnych do spadku po saskim Hermanie, margrabi północnej marchii, groźbą gniewu dopiero rozpędził, choć duk żył jeszcze i syna miał dorosłego. Słyszeć nie chciał o sporze śmiertelnie już chorego margrafa z Brunonem, ferdeńskim biskupem, który, by rozciągnąć zemstę za grób, klątwą nieprzyjaciela obłożył i sakramentów mu odmówił.

Nie potrafił jednak cesarz zamknąć uszu na skargi Hodona przeciw Mieszkowi, nie tylko ze względu na osobę margrafa, lecz wobec jawnej oczywistości, iż na wschodnich granicach wyrosła siła, zdolna przeciwstawić się dalszemu pochodowi niemczyzny; co więcej, wobec ciągłych zamieszek w kraju i italskich kłopotów cesarstwa, mogąca zagrozić dokonany już przez Gerona zdobyczom. Sprawa ta bywała też najczęstszym przedmiotem narad cesarza z dostojnikami, choć zdania podzielone były. Zwolennicy Hodona i on sam, zapomnieć niezdolny kłęski a zwłaszcza strachu, którego się najadł pod Cydzyną, i długą chorobą przyplacił, nalegali na cesarza, by zniszczył niepewnego „sprzymierzeńca”. Dostojnicy zaś, którzy nie sprzyjali Hodonowi lub do których dotarło Mieszkowe złoto, wskazywali jawnie bezprawną napaść Hodona, za którą słuszną poniósł karę. Cesarz słuchał nie kończących się sporów nie zdradzając, na czyją przechyla się stronę. Wreszcie w przeddzień wyjazdu do Kwedlinburga przeciął sprawę mówiąc, że wysłuchał już oskarżycieli i obrońców, lecz samego oskarżonego wysłuchać wypada, po czym poweźmie postanowienie.

Nim cesarz w Wielki Czwartek przybył do Kwedlinburga, Mieszko miał już dokładne wieści o wyniku narad cesarskich, z czego wywnioskował jeno, że nie grozi mu bezpośrednie niebezpieczeństwo, przynajmniej ze strony cesarza. Przed innymi zaś - pewny był, iż obronić się zdoła. Natomiast znając cesarza i margrafów, wiedział, że nie po myśli im wzmocnienie się jego

państwa i że więzy jakoweś będą mu usiłowali narzucić, a sprawa z Hodonem pozorem jeno będzie. Jasne bowiem było, że zawinił Hodo, a karę mu Mieszko bez cesarskiej pomocy wymierzył.

Późno w noc siedział kniaź ze Zbrozłą, który jako zwykle skądś niespodzianie zjechał. Rankiem zaś, jeno doniesiono, że Hodo przybył do Kwedlinburga, a cesarza co tylko spodziewać się należy, Mieszko przybrał się odświętnie i zabrawszy równie wspaniale przystrojony orszak, udał się do Hodona, w przekonaniu, że od gwałtownego a zionącego nienawiścią margrafa łąco wydobyć potrafi, z której strony coś grozi.

Ostawiwszy orszak przed budynkiem, który zajął Hodo, kiereję zdjął i wręczywszy ją pacholikowi, z gołą głową wszedł w towarzystwie Zbrozły jeno, Mszczuja i pachółka, który dary dźwigał dla Hodona. Wpuszczono ich do obszernej izby, gdzie stanęli rozmawiając po cichu i czekali na nadejście Hodona.

Gdy Hodonowi o przyjsciu Mieszka oznajmiono, zarazem gniew go ogarnął i zmieszanie. Wspomnienie klęski i strachu, które przeżył, skłaniało go, by odmówić rozmowy. Choć bowiem sam przyznać nie chciał przed sobą, echa tego lęku odezwały się w duszy. Przemogła jednak ciekawość, z czym wróg przychodzi. Przebrał się tedy szybko z podróży i wzięwszy dwóch towarzyszy udał się do izby, w której czekał Mieszko.

W izbie półmrok panował, gdyż dzień był chmurny. Wszedłszy Hodo przystanął i milczenie zaległo przez chwilę, nim Mieszko zaczął:

- Powitać was przyszedłem i dary złożyć, jako sąsiad sąsiadowi.

Pachółek toból przed Hodonem położył i wyszedł. Hodo stał jeszcze przez chwilę milcząc i walczył z gniewem i zdziwieniem. Wreszcie usiadł na ławie i wskazując miejsce Mieszkowi rzekł:

- Siadajcie!

- Pozwolicie, że postoję - odparł Mieszko. - Jako pokutnik tu przychodzę. Gdy nam, panom chrześcijańskim, kajać się za grzechy należy w święto Zmartwychwstania, pierwszy do was z dobrym słowem przyszedłem, jako że kto prędzej grzech wyzna, prędzej mu będzie odpuszczony.

Pycha rozlała się po obliczu margrafa. Rozsiadł się szerzej na ławie i odparł:

- Grzechy nie ja wam mogę odpuścić, gdy cesarscy to byli ludzie, którzyście, jako poganie, bezbronnych pomordowali. Na waszym ręku ich krew, dlatego wam dłoni nie podam.

- Na moich rękach moja krew, gdyż jako wiecie ranny byłem i omal nie zbyłem życia, jak zbył niestety brat mój Ścibor. A i wasze życie pono w wielkim było niebezpieczeństwie. Com winien cesarzowi, przed nim się sprawię, jeno z wami zgody chcę, bez cesarskiego rozjemstwa. Wiem ci ja, żeście na cesarski rozkaz działali, dlatego, gniewu nie żywię do was. Jako widać, Bóg nie błogosławi sporom między chrześcijany.

- Jacy z was chrześcijanie, wieści mieliśmy po cydzyńskiej bitwie, gdy pogaństwo, jak robactwo z poruszonej padliny, wraz na wierzch wyległo. Cesarz mi rozkazywać nie potrzebował, gdy sam wiem, co mi czynić wypada. Nie będzie u was prawdziwego chrześcijaństwa, póki się mieczem opornych nie wytepi, a Kościoła naszemu arcybiskupowi magdeburskiemu nie podda. Cesarz wam zaufanie okazał, przymierze zawierając z wami i zezwalając w swoim imieniu zająć Pomorze, któregoście się niegodni okazali, swoich jeno, a nie cesarskich spraw pilnując. A tenże potwór i czarownik, któregoście pod Cydzyną na mnie puścili, a którego nam ledwo z Bożą i świętego Jerzego pomocą ubić się udało, byłże chrześcijaninem?! Margraf aż zatchnął się ze złości i niemiłych wspomnień.

- Pokornie wyznaję - odparł Mieszko - że niedoskonali z nas jeszcze chrześcijanie. Oto jednak z

Bolkiem czeskim przywróciłem miłość braterską, zgodę uczyniłem ze wszystkimi sąsiedzi, nawet z dzikimi Weletami. Więcej, bo i z wami ją uczynić próbowałem. A w sercu pewny nie jestem, czy gdy was w ręce moje dostanę, chrześcijańskim miłosierdziem powodować się zdołam i nie wyrzucić zemsty za swoją i brata krew, odpuść mi, Boże.

Margraf zerwał się z ławy i krzyknął:

- Grozicie mi?!

- Bóg patrzy w serce moje! A to, co mówicie, że czarownika na was wypuściłem, oszczerstwo!

Człek był jako inni, jeno wojak mężny. Żal ci mi go, bo niewielu takich mam, ale paru nawet ze sobą przywiódłem i obaczyć ich możecie, że ludzie są i chrześcijanie, jeno siłę większą mają niż inni i sprawność, bo w lasach to chowane, w walce ze zwierzętami i ludźmi.

- Nie chcę widzieć żadnego! - krzyknął Hodo, a w głosie jego wyraźnie przebijał strach.

- Obyć się może bez tego! - rzekł milczący dotąd Zbrozło patrząc spod nawisłych brwi przenikliwie na margrafa. - Czarownikowi i siła niepotrzebna, bo urok rzuci, ani go dojrzeć, ani się przed nim uchronić.

Hodo ciężko usiadł na ławie i jakby mu serce kto ręką ścisnął.

Mieszko zaś, zwracając się ku wyjściu, powiedział:

- Sumieniu swemu ulżyłem. Nie moja wina, żeśmy do zgody nie doszli. Szczery chcę być z wami do końca. Gdyby mnie z waszej poręki krzywda jaka spotkała, dostanę was, choćby spod ołtarza. Za pieniądze własni wasi ludzie was wydadzą, bo chciwiście jako wilcy. Tfu! - splunął Mieszko i skierował się ku wyjściu, a za nim Zbrozło i Mszczuj, który drzwi za sobą z łoskotem zatrzasnął.

Wyszli ku czekającemu orszakowi, a Mieszko rzekł do Zbrozły:

- Słusznie radziliście, by tchórza naprzód w pychę wbić, a potem postraszyć. I wiemy, że magdeburski arcybiskup na nasz Kościół zamach uczynić zamierza. Pójdziecie do niego z pokłonem i pieniędzmi.

VII

Cios

Wśród wspaniałych nabożeństw i świetnych uroczystości minęła Wielkanoc. Mieszko po raz pierwszy brał udział w życiu cesarskiego dworu i wspaniałościach niemieckiego Kościoła, przy których własne zdały się proste i ubogie; nie zdołały go jednak ani zachwycić, ani przygnębić. Szacował siły nierównego przeciwnika i wypatrywał słabszych miejsc. Nieraz uśmiech przelotny zjawiał się na jego twarzy, gdy na kościelnym lub świeckim dostojniku spostrzegał przez samego siebie ofiarowane klejnoty, broń, kosztowne szaty i futra. Były to jakby, jemu tylko widoczne, skazy na świetnej zbroi przeciwnika, którego przewagę doceniał, czując jednocześnie, że dorósł mu wydoli, byle jeno zyskać na czasie i nie dać się pokonać, póki miękki jest jeszcze kościec jego państwa. Nie bez troski czekał na cios, jakiego się spodziewał niechybnie, choć niczego nie zaniechał, by siłę jego osłabić, a własnych słabych stron nie pokazać. Dlatego i z Bolkiem czeskim się trzymał, by dać poznać, że w zgodzie żyją, choć z dziewierzem niemiał miał rozmowę o Morawach. Bolko kwaśny był i knuł coś w duszy widocznie, lecz i jemu na rękę było nie okazywać niezgody z polańskim swojakiem.

Przy każdej sposobności Mieszko pilnie baczył na cesarza, chcąc dociec z jego twarzy, jak zażyć go, gdy stanąć przed nim wypadnie. Twarz widział steraną wiekiem i trudami, ze znużonymi,

mądrymi i władczyimi, bezlitośnie zimnymi, błękitnymi oczyma, które patrzyły na ludzi obojętnie spod nabrzmiałych powiek; twarz człowieka o wielkich namiętnościach i szerokiej myśli, z wyrazem jakiejś obojętnej dobrotliwości, która płynie nie z serca ku ludziom, lecz ze zrozumienia i pogardy dla ich małości. Mieszka niecierpliwiło już oczekiwanie na sprawę, którą rad by mieć za sobą, gdy wreszcie zjawił się cesarski wysłannik, graf Geddo, w towarzystwie dwóch młodych rycerzy. Geddo był starszym mężem. Wygląd miał dostojny, mowę gładką, tak iż ze słów jego trudno było wywnioskować, że księcia na sąd pozywa. O sprawie bowiem krótko jeno napomknął, a nader uprzejmie zapraszał na ucztę pożegnalną, jaką cesarz dla obcych władców, lenników i posłów zamierzał wyprawic.

Mieszko przyjął go w towarzystwie Zbrozły i jednego z najmłodszych wojów swej drużyny, Asketila, syna Auduna, którego lubił niezmiernie dla jego niczym nie zamaczonej wesołości, a cenil za męstwo i znajomość wszystkich normańskich narzeczy oraz niemieckiego języka, tak doskonałą, że nikt by nie rozróżnił, iż nie ojczystym językiem przemawia. Nie dziwne to zresztą było, gdyż dziada jego, starego Ulfa, który na czele swej drużyny jako herkonungr (wódz drużyny normańskiej) zapuścił się w lechickie ziemie, jeszcze stary Ziemomysł wziął w niewolę. Polubiwszy go, dla oddanych usług, wolność mu przywrócił. Ulf wrócił do Danii i lata słyhu o nim nie było, lecz nie zapomniał widno dobrodziejstwa, gdyż syna swego Auduna przysłał na dwór starego księcia z darami, pokłonem i zaofiarowaniem służb. Ziemomysła ucieszył ten dowód pamięci, a że podobał mu się młody i tęgi wojownik, niejedną wyprawę z nim odbył i nadał mu obszerne ziemie nad Notecią, Odrą i Wartą. Audun przysłał na dobre do Polan, języka się wyuczył, imię nawet z polańska na Skarbka odmienił i pojawiwszy urodziwą Zbisławę, córę polańskiego wielmoży Gołucha, za którą też ziemię wziął, rodzinę założył, której najstarszym potomkiem był właśnie Asketil, Jaskotelem zwany ze słowiańska.

Audun o związkach swych na północy nie zapomniał i nawet parę razy jeździł do Danii, skąd skarby duże przywiózł. A że syna zabierał ze sobą, nauczył się pojętny chłopak języków, których zresztą ojciec i w domu używał, zwłaszcza gdy był zły. Na starość często mu się to zdarzało, gdy na skutek dawnych ran wojować już nie mógł, a bez wojaczki życie mu zbrzydło.

Chłopak rad wyrывał się z domu, a dłuższy czas najmłodszym będąc w drużynie, stał się ulubieńcem wszystkich, nie pohamowany niczym w swej wesołości, która ustawicznie kipiała w nim, tak że nieraz śmiał się nawet we śnie. Ninie już wąsy mu rosły, ale jaki był - pozostał, tyle że psoty jego z dziecinnych złośliwymi się stawały. Kajał się potem i przepraszał tak serdecznie, że wybaczano mu przewiny, tym bardziej że gdy złością ktoś na psotę odpowiedział, skoczyć mógł do oczu każdemu.

Znany był z tego, że zawsze bił się śmiejąc, w bitwie zaś najchętniej posługiwał się toporem, którym na podziw biegle władał.

Miał ogromną łatwość zjednywania sobie ludzi, co księżę wraz zauważył i dla swoich celów umiał używać i z tego szczególnie względu wziął go ze sobą do Kwedlinburga, po którym młody wojak kręcił się, nie zwracając na siebie uwagi, dzięki niesłowiańskiemu wyglądowi i znajomości mowy, a wszędzie się wcisnąc i wszystkiego dowiedzieć umiał.

Gdy księżę gadał z Geddonem, Jaskotel zrazu uśmiechał się z dala do jego towarzyszy, młodych Erwina i Etelberta. Po chwili szeptać zaczęli między sobą i wszyscy trzej dusić się od śmiechu, aż księżę spojrział na nich i umilkli. Gdy jeno Geddo Mieszka pożegnał, i obdarzony wyszedł, Jaskotel zaraz wyskoczył za nimi.

- Już się do nich przyczepił! - rzekł książę do Zbrozły. - Zdałoby się ostawić go tu. Ci, co ich tu opłacam, ani przez pół tak obrotni i pewni nie są jak on.

- Pozór by trzeba znaleźć - odparł Zbrozło.

- Pomyślcie o tym! - rzucił Mieszko.

Ku wieczorowi się już miało i książę zbierał się, by na zamek się udać, gdy wszedł Zbrozło i oznajmił:

- Jaskotel wrócił pokaleczony i przywiódł ze sobą tych dwóch młodzików, którzy tu rano byli z Geddonem.

- Przyprowadźcie mi go tu! - polecił Mieszko. - Trzeba wiedzieć, co napsocił.

Zbrozło wyszedł i po chwili wrócił z Jaskotelem, który kulał, twarz i ręce miał pokrwawione, lecz uśmiechał się jak zawsze wesoło. Książę, spojrzawszy, nie mógł również powstrzymać uśmiechu i przybierając się dalej zapytał:

- Gadaj, ale krótko, coś tam znowu nabroił?

- Ano, bitwa była pod Cydzyną! - zaśmiał się Jaskotel - ino, że tam naprzód my się bili, a potem Hodo uciekał, a tu naprzód Hodo uciekał, a potem my się bili. I jeńców też przywiódłem! - dodał.

- Nie błażnij i krótko mów, bo zaraz wyjść muszę, a chcę wiedzieć, co zaszło - nakazał książę surowo.

- Już mówię! Poszliśmy razem, bo się chciałem ugadać, co Hodo ma na wątrobie. To są krewniaki Zygfyryda, waldeckiego grafa, i od niego wiedzieli, jak było, bo się mocno zwycięstwem nad Dzikim przechwalał. A potem szliśmy wypić co i obejrzyć ludzi za mury, gdzie się różności napatrzyć można. Tedy my pili i coraz się kto przysiadł, bo znają ich tu. Aż zaleźliśmy, gdzie szpylmany różności pokazują, a drwią, z kogo się da, zaś oni mi objaśniali, kogo przedstawiają, bo znają tu wszystkich znaczniejszych i o każdym wiedzą, gdzie łatę przypiąć najłatwiej. Patrzymy tedy siedząc i wino popijając, że parę razy spadłem z ławy od śmiechu, aż się przysiadł starszy od szpylmanów, co pieniądze zbierał między gawiedzią za widowisko. Tedy mówię, że radzi byśmy margrafa obaczyć, jako z leśnym potworem walczył, a on wypytał się, jak i co, jednego ze swych ludzi, spaśnego i wielkiego, za Dzika umalował na czarno, rogi i ogon mu przyprawił, a drugiego za margrafa, i zaczęli. Naprzód starszy zapowiedział, co będą przedstawiać, a zaś potem ten czarny gonił rycząc, a drugi uciekał, gubiąc po drodze co ino miał, aż prawie nagi pozostał. Wreszcie dopadł go czarny, gdy się tamten na ziemię obalił. Ażci wyskoczył trzeci, co Zygfyryda miał przedstawić i zdzielił z tyłu czarnego, a ten zwałił się i zdechł. Zaś ten, co Hodona przedstawiał, wstawszy nadał się i nogę na obalonym postawił, po czym z Zygfyrydem bić się jęli. Składnie wszystko szło, małośmy od śmiechu nie popękali, aż ci się jacyś Hodonowi ludzie napatoczyli, co im nie w smak było, że z pana ich pośmiewisko robią i nuże szpylmanów prac. Mówię ja tedy, że to z naszej poręki ich ciągną, pomóc trzeba. Skoczyliśmy do nich, i ruch się zrobił, ale się więcej Hodonowych ludzi naszło. Gawiedź też się wmieszała, ale do mieczów się wzięli, aż przybiegli halabardnicy i szpylmanów pobrali, a my się stracili, bo bije się tam wszystko, mało który już i wie, o co poszło. - Jaskotel zaśmiał się znowu.

- A tychże młodzików, po cóżeś sprowadzał? - zapytał książę.

- Starszego szpylmana, mówią, badać będą, skąd i co. To powie na nich, bo ich zna. A zaś oni mogliby powiedzieć na mnie, a wiedzą, żem z waszych. To myślałem: lepiej ich zabrać, nie będzie wiatru. Pojadą z nami, bo się wracać boją. Hodo mściwy jest, nie daruje obśmiechu.

Książę ręką skinął lekceważąco i odprawił Jaskotela, po czym ozwał się do Zbrozły:

- Głupstwo to jest, ale Jaskotel niech bierze tych dwóch i jedzie.

Mogliby się dowiedzieć, skąd poszło, w gospodzie ich nie utrzyma, żeby się nie wydało, a szkoda mi chłopaka. Hodo mnie nie dosięgnie, ale jemu tym bardziej by nie darował.

- Juści, po tym zostawić go nie można. Miękką macie, panie, dla niego rękę, aż szkoda kiedyś wyniknie.

- Prawda i to! - rzekł Mieszko zamyślony. - Ale całe życie jeno liczyłem, co z kogo mieć mogę. Aż mi to obrzydło i sam sobie pozwalam lubić tego chłopaka, że śmiać się umie i mnie do śmiechu pobudzić. Za to mu wszystko daruję, bo niewiele się śmiałem w życiu. Zresztą, czy Hodona mniej, czy więcej zółci zaleje, mała troska.

- Nie o to, jeno że Jaskotel ostać miał tutaj.

- No, to będzie po staremu. Ale czas iść na zamek.

Wyszli i dosiadłszy koni jechali na czele orszaku, pomału przeciskając się przez tłumy, zdążające, by wspaniałości cesarskie i jego gości choć z dala obejrzyć.

Przy wejściu na zamek straż stała, motłoch rozganiając. Przez bramę jeno dostojników puszczano, a i to podworce zatłoczone były ludźmi i końmi, które pachołcy dla panów swych trzymali. Mieszko jakby się zawahał, gdy orszak odprawić przyszło, widząc jednak, że i inne odprawiano, wjechał przez bramę ze Zbrozłą i kilkoma wojami, którzy dary dla cesarza przeznaczone wieźli. Potem z konia zsiadłszy, powitany przez zastępcę burgrafa, skierował się za nim do wielkiej sali, gdzie co było świetniejszego na zjeździe, na cesarza oczekiwało, by po posłuchaniu na ucztę się udać. Okna ze szklanych gomółek niewiele już przepuszczały światła, więc świece i pochodnie zapalano i w świetle ich na podwyższeniu ujrzał Mieszko pusty jeszcze stolec cesarski, zaś koło niego stał Hodo i żywo o czymś z magdeburским arcybiskupem rozmawiał. Arcybiskup przybrany był po świecku, jeno podgolona głowa, złoty łańcuch z krzyżem, i pierścień godność jego okazywały. W sali gwar panował, tak że słyhać nie było, o czym mówi Hodo, choć mówił widocznie podniesionym głosem, i twarz jego zdradzała podniecenie.

Mieszko zbliżał się do podwyższenia, lecz w tej chwili ruch się wszczął, rozwarły się wierzeje bocznego krużganku, przy których dwóch rycerzy stanęło, a środkiem wkroczył burgraf Ekhard i donośnym głosem nadejście pana zapowiedział, po czym, obchodząc salę, ustawiał obecnych wedle ich godności. Mieszko ze Zbrozłą znaleźli się obok podwyższenia, tuż naprzeciw Hodona. Spozstrzegł ich zaraz i pąs gniewu wystąpił mu na brodate oblicze. Mieszko spojrział obojętnie i po innych rozglądać się począł. Zbrozło natomiast wpił w margrafa swe oczy i z półśmiechem trzymał oczy Hodona jakby na uwięzi, iż ten urwał rozmowę i stali, patrząc wzajem na siebie, jak puchacz z wysokiej gałęzi z wilkiem, który pieni się, lecz dosięgnąć nie może. W tej chwili jednak rozległy się dźwięki rogów. Ucichli wszyscy i w ciszy słyhać było odgłos kroków po kamiennym krużganku. Na salę wkroczył cesarz, a za nim liczny orszak duchownych i świeckich dostojników.

Cesarz wolnym, znużonym krokiem wszedł na podwyższenie, a burgraf Ekhard, stanąwszy przy nim, powitał imieniem cesarskim obecnych dziękując za przybycie, udział w uroczystościach i gotowość służby. Zarazem wezwał, by jeśli kto prośbę jaką miał lub sprawę, cesarzowi ją przedstawił, który opiekę i sprawiedliwość winien swym przyjaciółom, sprzymierzeńcom i poddanym. To mówiąc kątem oka spojrział na Hodona, jakby do wystąpienia zachęcał, lecz ten, wpatrzony w Zbrozłę, nie spostrzegł znaku i zdawał się nie słyszeć nawet, co mówi burgraf, gdyż nie zaraz się zbliżył, choć Ekhard wprost do niego się zwrócił mówiąc, by sprawę swą przedstawił. Wystąpił dopiero trącony przez stojącego za nim rycerza i z widocznym zmieszaniem mówić zaczął,

tak iż kto by nie wiedział, o co sprawa, niewiele by z jego mowy wymiarkować zdołał, prócz tego, że dusi go wściekłość, a jakaś trwoga głos odbiera. Cesarz jednak wiedział i gdy Hodo skończył, zwracając do Mieszka swą znużoną twarz i przenikliwe oczy, zapytał:

- Macie co do powiedzenia na swoją obronę?

Jakby uśmiech przemknął przez twarz Mieszka, lecz zdać się mogło, że to jeno migotliwe światła świec zagrały mu na twarzy. Przybierając bowiem pełen szacunku wyraz, gdy oczy patrzyły spokojnie a badawczo w twarz cesarza, odparł:

- Nie bardzo mogłem zrozumieć, na co się margraf żali, ale pewnikiem, że ja go pobiłem, a nie on mnie. Tam na obronę miałem jeno miecz własny, a tu, dufam, sprawiedliwość waszą, panie. Kary na Hodona nie żądam, choć miałbym prawo, skoro mnie, sprzymierzeńca waszego, napadł i omal życia nie zbawił na własnej mojej ziemi, a to raz, bo dosyć przeze mnie ukarany został, a po wtóre - żeśmy zgodę już zawarli i margraf dary ode mnie bogate w pojednaniu otrzymał.

Hodo chciał coś rzec, lecz cesarz powstrzymał go gestem ręki mówiąc:

- Raduję się, że jedność chrześcijańska, zakłócona w waszych osobach, przywróconą została. Tedy ręce sobie na znak zgody podacie i sprawa między wami skończona.

Mieszko zawahał się. Czyżby sprawa, która tylu zgryzot była przyczyną, na tym skończyć się miała? Nie wierzył, lecz mimo to stanowczym krokiem podszedł z wyciągniętą dłonią do Hodona, który nie ruszył się z miejsca, niepewny, co czynić. Margraf po chwili niechętnie wysunął rękę i Mieszko ścisnął mu dłoń, groźnie a pogardliwie patrząc w oczy. Twardy uścisk Mieszkowej prawicy pouczył Hodona, że ten starzejący się człowiek dość ma siły, by go zdusić i że tego przy sposobności uczynić nie omieszka. Cesarz patrzył na nich badawczo i nieprzenikniony uśmiech zjawił się na jego zwiędłym obliczu. Gdy Hodo na jego skinienie odstąpił, zwracając się do Mieszka rzekł:

- Tedy między wami sprawa załatwiona. Umarłym życia nie zwróci, więc i gniew chować próżno, a zemsta chrześcijaninowi nie przystoi. Skoroście wraz ze swym krajem chrzest przyjęli, do społeczności należycie, której ja panem jestem na ziemi, a Kościół wasz częścią powszechnego i ustanowionym porządkiem magdeburskiemu arcybiskupowi podlega, który zwierzchnikiem jest kościelnym totius ultra Salam et Albiam Slavorum gentis, modo ad Deum conversae vel convertandae. (Wszelkiego narodu Słowian za Salą i Albą, już to ku Bogu nawróconego, już to mającego być nawróconym) Mieszko nie zrozumiał łaciny, zrozumiał natomiast dobrze, do czego zmierza cesarz. Myśl jego pracowała szybko i sprawnie i gdy cesarz skończył, pokłoniwszy się odrzekł:

- Dzięki wam składam, że winy moje, choć niewielkie, odpuścić raczyliście. Za nic nie chciałyby z sąsiednim a tak wielkim władcą pozostawać w niezgodzie i wielce mnie gryzło, iż musiałem sługę waszego siłą własną powściągać nie czekając waszej sprawiedliwości. Jeśli o Kościół jednak chodzi, nie chciałyby nic w tej sprawie postanowić bez wiedzy i zgody swego biskupa, który jako od Ojca świętego ustanowiony, bez jego zgody zarządzić nic nie może. Nie omieszka jednak do Rzymu się odnieść i sam w stosownej porze do sprawy tej powrócę. Aby zaś Kościół straty w tym nie poniósł, wielce czcigodnemu, tu obecnemu Adalbertowi przyjacielskie dary złożyłem, w chętnym uznaniu, iż mnisi z jego prowincji nad ludem moim pracują.

Cesarz spojrział spod oka na Adalberta, który zmieszał się nieco. Potem wzrok utkwiał w Mieszku. Zrozumiał też gładką odmowę i zrozumiał, że ma do czynienia z człowiekiem, który wie, do czego zdąża i wie, jakie drogi do celu prowadzą. Wzbierał w cesarzu zarazem nieosobowy gniew z powodu oporu i coś jakby poczucie podobieństwa do tego księcia półdzikiego jeszcze kraju, który

jednak, jak on sam, szersze widnokreśli ogarniał i umiał cele sobie postawić, wychodzące poza interes własny i zasięg swego życia. Lecz budzącą się sympatię przytłumiło w Ottonie dogmatyczne pojęcie swego uniwersalnego stanowiska i przyzwyczajenie. Więcej takich ludzi nie potrzeba, wystarczy on sam. Wszystko, co przeciwdziało jedności świata, na którego czele Bóg go postawił, złe jest i musi być złamane. Czuł różnicę między Mieszkiem a buntującymi się grafami, ale czuł też, że większe w nim leży niebezpieczeństwo dla jedności, nad którą piecza jemu należy, niż w zamieszaniu, jakie czyni motłoch możnowładców własnego narodu. Głosem suchym, w którym przebijała złość znużonego człowieka, zmuszanego do wysiłku, odparł:

- Wierzę w wasze dobre chęci, czego dowód, że z mojej poręki Pomorze zaodrzańskie zająć wam zezwoliłem, przez co i za księcia Rzeszy naszej was uważam, a jako taki winniście mi posłuszeństwo. Ale jako nieszczęsne wypadki po cydzyńskiej bitwie okazały, bardzo jeszcze niedoskonałe chrześcijaństwo w waszym kraju. Tanie u was musi być złoto, kiedy nim na wszystkie strony szastacie, ale mnie -cesarz spojrział znów znacząco na Adalberta - nie o nie chodzi. Jeden jest Bóg na niebie, jeden Jego namiestnik na ziemi i ja jeden powołany, by wolę Jego znać i spełniać. O Kościele możemy pomówić kiedy indziej, ale o tym, bym spokojnie myśl ku innym zadaniom mógł odwrócić, zaraz. Po tom, na trudy i zdrowie nie bacząc, z Italii tu przybył. Stoją wojska wasze na granicach, muszę mieć pewność, że sprzymierzeńcem, a nie wrogiem jesteście. Cesarz przerwał zadyszany i widać było, jak pasuje się z oddechem.

Widno znów odmawiać zaczęło posłuszeństwa zużyte serce. Przedłużająca się rozmowa cesarza z Mieszkiem skupiła uwagę wszystkich i cisza panowała na sali, gdy Mieszko z kolei zaczął:

- Zaszczyt to dla mnie księciem być Rzeszy, krainy Licykawików i Wkrzanów, ale polańskie ziemie po przodkach odziedziczyłem, którzy nimi władali wcześniej, niż Wielki Karol na cesarskim zasiadł tronie. Dlatego słusznie sprzymierzeńcem, a nie sługą swym mianować mnie racycie. Gdzie do posłuszeństwa obowiązany, będę słuchać, a gdzie panem, rozkazywać. Napaści nie zamierzam, a napadnięty bronić się będę. Naród mój prosty i złota mu nie trzeba, chyba dla przyjaciół, którzy je cenią. A że niedoskonałe u nas chrześcijaństwo, ktoże by nas winił? Wszakże i u waszych Sasów pogaństwo nie tak dawno jeszcze raz za razem podnosiło głowy, aż je poprzednicy wasi ścinać musieli. Potrwa czas jakiś, nie gorsi będą moi od innych. A trzeba będzie i głowy ścinać, sam to uczynić potrafię i nie potrzeba mi pomocy Hodonowej, niczyjej, bo i w szczerłość zamiarów, prosto mówiąc, nie wierzę. Skończył i patrzyli sobie z cesarzem wzajem w oczy, jakby jeden drugiego przemóc usiłując. Cisza uczyniła się taka, że słychać było wyraźnie pryskanie wosku w świecach i syk pochodni. Mieszko, by przerwać napięcie, skinął na stojących za nim rycerzy i ci, przystąpiwszy, złożyli przed cesarzem miech ze złotem i bogate dary w futrach, tkaninach i klejnotach, a Mieszko ciągnął:

- Jak układ stoi, dań, co mam płacić z Pomorza, wiernie składam. A w dowód czci i przymierza przyjmijcie te dary i zapewnienie, że niczego tak nie pragnę, jak by naród mój godnym się stał chrześcijańskiej wspólnoty, do której przez chrzest przyjęty został.

Cesarz skinął na burgrafa, który wystąpił z dwoma pacholkami, dźwigającymi skrzynię kowaną. Wskazując na nią cesarz rzekł:

- Przyjmuję waszą dań i dary i wy w zamian je ode mnie przyjmijcie. Broni pono dość u was, ale takiej, jak ta, nie macie. Dając jednak, pewność chcę mieć, że na mnie podniesiona nie będzie i że przymierze nasze przejdzie na moich i waszych potomków. A najlepszym tego będzie zakładem, gdy syna mi waszego przyślecie, co i szczerłość waszych zamiarów potwierdzi. Mieszko pobladł, a cesarz

wstał i zwracając się do Ekharda coś szepnął, po czym na czele swego orszaku skierował się ku wyjściu. Gwar przeszedł po sali, lecz Ekhard donośnym głosem go uciszył prosząc na ucztę i przepraszając, że sam cesarz jej nie zaszczyca, gdyż znużonym się czuje, a nazajutrz wyjazd go czeka. Ruszyli się wszyscy ku przyległej komnacie, gdzie zastawiono stoły. Jedynie Mieszko ze swymi zdążył ku wyjściu. Szedł z twarzą bladą, lecz dumną. Dosiedli koni i w milczeniu wyjechali z zamku. Dopiero zsiadłszy przed gospodą Mieszko, zwracając się do Zbrozły, zapytał:

- Co mi czynić wypada? Oddam Bolka, to jakbym ręce sobie związać pozwolił!

- A nie oddacie, to cesarz całą potęgą na was uderzy. Nie darmo tu i Weletów ściągnął. A za nami nie stanie nikt. I Bolesław Pobożny swoje będzie chciał urwać. Sam cesarz mówił, że po to przybył, by z wami sprawę załatwić. Młodego kniazia zabezpieczymy, jako się da. A cesarz trupem mi już śmierdzi. Będzie zmiana, to może i syna waszego wyrwać zdołamy.

Mieszko rzekł jakby do siebie, w zamyśleniu:

- Ale co powie Dobrawka?!

Zbrozło milczał.

Mieszko, postanowiwszy z ciężkim sercem syna dać w zakład, nie zwlekał z wykonaniem. Śpieszyło mu się z powrotem, lecz wstrzymał wyjazd, by samemu umieszczenia syna dopatrzeć i nadać zakładnictwu pozory dobrowolnego wysłania do szkoły klasztornej, celem nauki. Nie przyznawał sam przed sobą, że nie chciał obecnym być przy pożegnaniu Bolka z matką.

Tej samej nocy Mszczuj na czele kilku ludzi pognął do Poznania, z rozkazem przywiezienia co prędzej Bolka oraz wskazówkami co do składu orszaku, mającego towarzyszyć młodemu księciu. Prócz wybranych przez samego Bolka rówieśników i Mszczuja, który na piastuna był wyznaczony, jeszcze kilka osób towarzyszyć miało Bolkowi, tak by bezpieczeństwo jego możliwie zapewnić i oderwanie od rodziny i swojaków osłodzić.

Pogoda ustaliła się ciepła i sucha. Mieszko miał nadzieję, że Bolko stanie w Kwedlinburgu w ciągu niewielu dni i skracał oczekiwanie staraniami około przygotowań do jego przyjęcia. Z opatem miejscowego klasztoru umówił się o pomieszczenie i utrzymanie Bolka i jego orszaku i wymógł przyrzeczenie, że młody książę nikomu wydany nie będzie, kto się umówionym znakiem nie wykaże. Opat, zadowolony z bogatych darów i zaszczytu, jaki na szkołę klasztorną spadnie, gdy w poczet wychowanków zaliczy dziedzica potężnego władcy, dobrowolnie przyrzeczenie swe umocnił przysięgą. Mieszko uspokoił się cokolwiek i poświęcał czas przyglądaniu się urządzeniom i nawiązywaniu stosunków z ludźmi nieznacznymi, którzy jednak zamiarom jego przydatni być mogli. Poselstwa i monarchowie rozjechali się, cesarz udał się na objazd. Na Wniebowstąpienie do Merseburga miał na - dążyć, gdzie pociągnęło i wielu z miejscowego rycerstwa, tak że miasto i zamek dosyć opustoszały.

Mieszko na gospodzie siedział, prawie jej nie opuszczając, ze Zbrozłą jeno często wieczorami uradzał i niecierpliwie oczekiwał przybycia Bolka, by ruszyć z powrotem, gdyż wiele spraw w kraju jego głowy i ręki wymagało. Niecierpliwił się coraz bardziej, nie mogąc zrozumieć zwłoki. Doczekał się wieści o śmierci duka Hermana, którego syn Bernard, rozpaczając nad zgubą jego duszy, do Luneburga przywiózł i bez udziału duchowieństwa pochował. Wiosna uczyniła się w pełni, gdy nadbiegł wreszcie goniec, przybycie Bolka z orszakiem lada dzień zapowiadając. Zarazem przyniósł wieść o chorobie Dobrawki, z której przyczyny zwłoka powstała, oraz o napaści Rusi na Czerwień.

Mieszko już ledwo na miejscu mógł dosiedzieć i odetchnął, gdy na drugi dzień, w prześwietlone

wiosennym słońcem południe, tętent licznych kopyt i głosy posłyszał przed gospodą. Nie wypadło księciu i ojcu naprzeciw syna wybiec, lecz po izbie niecierpliwie krążył, gdy wreszcie rozległy się kroki nadchodzących i w otwartych drzwiach stanął Bolko, a za nim Mszczuj. Mieszko patrzył na Bolka, jak na obcego, omal go nie poznając. Zmienił go nie tylko męski już strój i postrzyżone włosy. W twarzy miał jakiś twardy, niedziecinny wyraz i gdy ojciec witał go, hamując wzruszenie, nie uśmiechał się jak w ostatnich czasach, lecz zachował powagę i powściągliwość, niezwykłą jego naturze i wiekowi.

Gdy Mieszko, odebrawszy od Mszczuja sprawozdanie z podróży, odejść mu pozwolił i pozostał sam z Bolkiem, chodził znowu po komnacie.

Po chwili stanął przed synem i odezwał się:

- Wiesz, że zakładnikiem masz tu ostać?

Bolko jeno skinął głową, a Mieszkowi jego milczenie ciężać zaczynało. Czuł w dziecku żal do siebie i gorycz go zalewała, i gniew na tych, co go do wydania własnej krwi zmusili. By coś rzec, zapytał:

- Matki bardzo ci żal?

Bolko i teraz nie odrzekł nic, jeno głowę odwrócił, widno, by łez nie dać poznać. Ten dziecinny, niemy ból przerwał jakąś tamę w Mieszkowej piersi. Pochwycił chłopca na ręce i zawołał:

- Wolej bym rękę stracił, niż ciebie tu ostawił wśród wrogów!

I po raz pierwszy w życiu, tuląc chłopca, serdecznie całował jego przybladłą twarz.

Zdziwienie brzmiało w głosie Bolka, gdy oddając ojcu pocałunek zapytał:

- To wy mnie też miłujecie?! A czemuż mnie chcecie oddać cesarzowi, zamiast go pobić?

Przecie wojska tyle mamy!

- Co ty wiesz, dziecko! - odparł Mieszko nieswoim głosem. - Nie takich sił potrzeba, by pobić cesarza. Należy je zbierać i czekać sposobności.

- Niech ino dorosnę, to wam pomogę. Nie daruję, że mnie od matki zabrali. Tak strasznie płakała! - rzekł Bolko i samemu w oczach zaświeciły łzy, których już przed ojcem ukryć się nie starał.

- Pomożesz mi! Ale teraz łzy obetrzyj! Nie trzeba, by ludzie widzieli, co kniaź czuje. I gniew ukrywaj. Gdy przyjdzie czas, niech jako grom uderzy niespodzianie. Przyrzecz mi, że będziesz mężny i przezorny!

- Przyrzekam! - rzekł Bolko i rękę poważnie ojcu podał. To dziecko wchodzące w życie i wstępujący w starość mąż poczuł, że zawarli przymierze, które wiele burz i wstrząsów zdoła przetrzymać.

VIII

Zmowa bliźniaków

Wiosna już była. Rozdzwoniły się skowronki nad łąkami; szpaki stadami jeszcze obsiadały drzewa obradując, jak dziedzinę podzielić, lecz coraz jakaś para opuszczała wiec, by własnymi zająć się sprawami. W ciepłe południa wczesny motyl błyskał świeżymi barwami pod jaskrawe światło młodego słońca; modrzewie, jak duchyienne, otuliły się zieloną mgiełką, świerki na końcach swych gałęzi zapalały płomyki młodych pędów; brzoźki w promieniach zachodu świeciły bielą i rozplomieniały się blaskiem lśniącego, złoto-zielonkawego listowia, jak ciąg aniołów, który

przelotem obsiadł grzbiety pagórków, wypoczywając w drodze na północ, wraz z ptactwem, wracającym dniem i nocą na miejsca swych zeszłorocznych godów.

Młodość nie patrzy na wdzięki wiosny, bo sama ją ma w sobie. Wraz z nią rozkwita nieświadomie, rozpręża się i rośnie. Rozkrzykuje się ptasim śpiewem, lśni w słońcu krasą z motylem, z ciepłym powiewem lata bez celu, a zraniona płacze czystymi łzami, które płyną lekko, jak brzezinowy sok, z naciętej, jasnej i lśniącej, jak oczy młodzieńcze, kory.

Dwóch wyrostków zajętych było właśnie spijaniem słodkiego, cierpkawego soku, nie bacząc na ból zadawany młodym drzewinom, ni na ich piękno anielskie w skośnych promieniach zachodzącego słońca. To Miłosza i Otłoka, wyrwawszy się jak młode żrebaki z przymusowego zamknięcia zimowego, już drugi dzień bujali po pagórkach i dolinkach, krzycząc, śpiewając i kłócąc się na przemian, zapomniawszy zupełnie, że Krzesz jeszcze na wczorajszy wieczór wracać im kazał.

Właśnie znowu zaczęli się wadzić, lecz bez zwykłego wigoru. Zmęczeni i głodni, łatwo pogodzili się, że zdałoby się zjeść raz co innego niż surowe jaja ptasie, chłodny powiew od niedalekich, jeszcze w śniegu leżących gór nie zachęcał do spędzenia pod gołym niebem drugiej nocy. Choć cudne to były noce, jasne od księżyca, tajemnicze, pełne szeptów i szmerów jakichś nieznanych istot, a milczenia w zacisznych dolinkach i ciemnej gęstwie starodrzewu, wypełnione młodą wyobraźnią, która wciąż szuka dziwów, by przyśpieszyć bicie i tak szybko bijącego serca. Jeszcze tylko spierali się, czy wracać do domu, do którego było daleko, czy zanocować u Dobka. Że jednak bliżej było do niego, a ciągnęło tam obydwóch, pogodzili się i bez dalszej zwłoki puścili się biegiem, ile płuc starczyło, tak że nie zgasły jeszcze blaski zorzy, gdy ujrzeni dymy, wzbijające się spokojnymi, jasnymi kłębami ku ciemniejącemu już niebu.

Usiedli w krzaczkach, przy ścieżce, by wydychać bieg, gdy zaszeleściły na niej szybkie i lekkie kroki i ukazała się Czarnuszka. Zmierzająca szybko do dworca, widocznie chcąc znaleźć się w domu, nim rozpełźnie się nadchodząca już ciemność. Gdy mijala ich o krok, Miłosza z nagłą za nogę ją uchwycił, tak że omal nie upadła i krzyknęła przestraszona.

Chłopcy wybuchnęli śmiechem, poznała ich i zawołała:

- Ty psotny skrzacie! Co wy tu robicie?

- W gościnę do was chcieliśmy się wprosić, bo do domu daleko.

- To chodźcie prędko, bo spóźnimy się na wieczerzę. Ojciec rad będzie. Dawnoście tu nie byli.

Ruszyli szybko ku domowi. Miłosza szedł za Czarnuszką gwarząc po drodze, a Otłoka, jakiś zadumany, zamykał pochód. Patrzył na smukłą niczym topólka dziewczynę, jak śmigająca przed nimi, odbijając jasną szatą od zapadającego mroku. Zgoła nie przypominała zgnębnego cienia, jaki ujrzał zimą. Jej niewysoki, słodki głos zdawał się pieścić i wabić. Dobrze się tak szło w ciemności ze swymi marzeniami.

Ale już wpadli na obejście i witani przez psy, zmierzali prosto do świetlicy, skąd dochodziły jakieś głosy. W stojącej tyłem do drzwi, wysokiej postaci, na tle płonącego na kominie, obfitego ognia, poznali Krzesza.

Czarnuszka umilkła nagle i usiadła w cieniu. Chłopcy trochę zmieszani, lecz nadrabiając minami pokłonili się Dobkowi. Powitał ich życzliwie i siadać prosił do stołu, zastawionego wieczerzą, na którą spoglądali chciwie. Krzesz odwrócił się ku nim i rzekł surowo:

- Żeby nie to, że w gościnie jesteście, dałbym wam za to, że szukać was muszę po świecie. Już myślałem, że licho was gdzieś pobrało. Przez miesiąc żaden krokiem z domu nie ruszy.

- Nie bądź taki mocny - odparł Miłosza, zły, że go złajano przy Czarnuszcze, i przysunął sobie

misę.

- Nie pyskuj, w domu się rozmówimy - uciał Krzesz i powrócił do rozmowy z Dobkiem.

Chłopcy, niezbyt pewni siebie, zjedli prędko i wyszli. Wkrótce za nimi wyszedł Krzesz, gdyż noc się już zrobiła. Gdy Dobek sam został z córką, gładząc ją po głowie, ozwał się:

- Miłe chłopaki. Gdzieżeś ich naszła?

Gdy nie odpowiadała, zaniepokojony zapytał:

- Stało się co?

Milczała. Dobek ciężko westchnął.

Leśny strumyk skakał po zboczu pagórka, od progu do progu. Zbiegłszy w dół, zwalniał i statecznie już płynął wzdłuż podnóża, zmierzając ku niedalekiej rzeczce. Nim się z nią połączył, zawahał się, jakby mu się żal zrobiło swobody i stanąwszy na chwilę, utworzył mały stawek o ciemnym dnie i spokojnym zwierciadélku, do którego przeglądać się przychodziły sarny i inne leśne stworzenia, po czym pyszczkami rozbijały gładką jego powierzchnię. Miłujące wilgoć kwiecie, wiernie i uparcie trzymało się stawku, choć często padało ofiarą przychodzących do wodopoju zwierzaków, które spasały całe kępy niezabudek i kaczeńca, niebaczące na ich piękno.

W pogodny jednak, wiosenny przedwieczerz, choć pora, już była pić, nie zjawilo się żadne leśne stworzenie. Mimo, iż najlżejszy powiew nie poruszał powietrza, wilgotne czarne nozdrza saren z łatwością chwytaly obcy zapach, który zatrzymywał je na miejscu. Stawały unosząc podejrzliwie zgrabne główki i upewniwszy się, zawracały niechętnie, bez pośpiechu.

Nad stawkiem tkwił Miłosza i leżąc na urwistym brzeżku, wpatrywał się w jasną powierzchnię. Obok niego wyciągnął się na plecach Otłoka, ręce podłożywszy pod głowę, z utkwionymi w jasny błękit nieba oczyma.

Niezwykłe między nimi milczenie panowało już niezbyt długo. Otłoka dźwignął się, wsparł na łokciu i zapytał:

- Cóż się tak gapisz w wodę? Myślałby kto, że rusalki wypatrujesz.

- Może i wypatruję, nic ci do tego.

- A ja ci powiem, czego tam szukasz: myślisz, iż nie wiem, żeś Wścieklicy pytał o zwierciadło, które pono po Sofii ostalo. Chcesz wiedzieć, zaliś do Tarły podobny.

Miłosza zerwał się i zamierzył na brata, lecz ten wbrew zwyczajowi nie odpowiedział na zaproszenie do bójkii. Nie ruszając się z miejsca powiedział spokojnie:

- Ostaw! Chcesz wiedzieć, jak wyglądasz, patrz na mnie; bliźniaki my, jedna nam twarz i dola.

Miłosza uspokoił się i usiadł, lecz chmurny i zadumany.

- Musi być nie jedna, kiedy Czarnuszka bardziej mnie lubi niż ciebie.

Spodziewał się, że Otłoka skoczy na niego, ale ten odparł:

- Może i prawda, ale i cóż z tego, kiedy ślepy by widział, że Krzesza miłuje.

- Albo i nie Krzesza, żeby nie był do Tarły podobny jak jedno oko do drugiego, to by go nie miłowała.

- Kto ją tam wie. Pewnie, że Tarły żałuje, ale do Krzesza ją ciągnie.

- Jeno bez to, że go jej przypomina. A dorosnę ja, też będę do Tarły podobny.

- Głupiś - odparł Otłoka. - Będę i ja, to razem ją pewnie pojmiemy?!

W Miłoszy jednak zawrzało na myśl podobną i bitka, która zawsze wisiała nad bliźniakami, wybuchła teraz. Przewracali się po łączce, darmo jeden drugiego przemóc usiłując. Jak zwykle żaden nie dał rady drugiemu i skończyli nagle, jak zaczęli. Miłosza legł zadyszany na trawie, a Otłoka

chłodził wodą ze stawku rozbity nos. Po chwili ozwał się niezbyt wyraźnie:

- A głupi i tak jesteś. Wolej byśmy Czarnuszce Krzesza dostać pomogli, niż po próżnicy myśleć o czym innym. Za skrzatów nas ma, a lubi jak szczeniaków.

- Cóż jej pomożesz - burknął Miłosza. - Przecie jeszcze rodzic Krzeszowi przykazywał, by się zenił, a nie posłuchnął. A teraz, wiesz przecie, przylepiła się do niego ta jędza, Krasa, i rządzi nim jakby nie branką, ale całą gospodynią była.

- Ee! - rzucił Otłoka lekceważąco. - Sam słyszałem, jako Krzesz Dobkowi mówił, że tydzień dziewczka go cieszy, a potem ino patrzy, jak uciec. Krasa chytra jest, to go usidliła, ale pojedzie Krzesz na wyprawę, nową sobie przywiedzie, to ją przegna. A jakby się ożenił, to mu inna nie będzie potrzebna.

- Tak, jeno czy Dobek zgodzi się dać córę, gdy taka włóka w domu siedzi?

- Dobek by dał, bo się boi, żeby mu Czarnuszka ze strapienia znowu chorzeć nie zaczęła.

Uradzali, jakby ich kto prosił, i zgodzili się na jedno: że Krasę wyżenąć trzeba. Zostanie Krzesz sam, przykrzyć się mu będzie, a nie lubić Czarnuszki trudno. Ziemie ze sobą graniczą, a z Dobkiem zawdy bywali w dobrej przyjaźni.

Miłosza radził Wścieklicę na Krasę napuścić, bo jędza też jest, a lubi Czarnuszkę. Otłoka jednak mniemał, że sami to zrobić winni, bo niewiada jak Krzesz to przyjmie, a starucha nie ma gdzie iść.

- Dasz to rady takiej dziewczce, co z niejednego pieca chleb jadła, a dobrze jej tutaj?

- Owa! - odparł Otłoka. - Jeno nie przepuścić jej żadnej zadzierki, to jak się we dwu weźmiemy, nie wytrzyma.

- Ona i do bitki gotowa. Będiesz to się z dziewczką bił?

- Niechby mnie ino tknęła - warknął Otłoka i aż włos mu się zjeżył.

Zagadani nie spostrzegli, że mrok zapadał i noc już była, gdy dotarli do Grodziska.

Krzesz po wieczerzy gródek obejść wyszedł, a chłopcy, spóźnieni, miast jak zazwyczaj iść przekąsić coś do spiżarni, rozmyślnie skierowali się do świetlicy.

Na stole stały jeszcze statki z resztkami wieczerzy, lecz Otłoka wiedząc, że Krasa siedzi pobok, u Krzesza w izbie, i usłyszy, jął wołać, by wieczerzę podano.

Nie pomylił się, gdyż po chwili, nieogarnięta, zjawiała się od razu z pyskiem, że chcieli jeść wieczerzę, wracać mają na czas, a nie, to niech kości ogryzają.

Otłoka butnie wsparł rękę na biodrze i patrzył na rozzłoszczoną niby spokojnie, choć serce skakało mu w piersi.

- A teraz stul pysk, ogarnij się i wieczerzę przynoś - rzekł trochę ochryple. - Na to cię kupili, jak krowę albo świnię, byś robiła, co każą.

- Coś rzekł?! - ledwo wyszeptać zdołała Krasa, bo wściekłość głos jej zdławiła. Skoczyła z pazurami, lecz Otłoka poderwał się i gdy ręką sięgnęła, by go za łeb uchwycić, palnął ją pięścią w twarz, po czym szepili się i wodzić się jęli za włosy okładając się wzajemnie.

Choć dziewczka silna była, zręczniejszy i krzepki Otłoka byłby wziął górę, gdy nagle potężne uderzenie w pierś oderwało go od niej, tak że poleciał parę kroków w tył i legł jak długi. Usiadł zaraz i wsparłszy się łokciem o ławę usiłował powstać, lecz chrząknął jakoś dziwnie i krew ukazała mu się na ustach. Nad nim stał Krzesz, który, wszedłszy niespodzianie, w gniewie uderzył chłopaka, a teraz widząc, co się stało, oprzytomniał i pochylił się nad bratem.

W ostatniej chwili, na swoje szczęście, kątem oka dostrzegł skok Miłoszy i ledwo ręką zdołał się zasłonić od ciosu nożem, który jeno skórę mu rozorał. Chwycił chłopca za rękę i wydarłszy mu nóż,

cisnął w kąt, lecz Miłosza, nieprzytomny z wściekłości, darł się Krzeszowi do gardła, kopiąc i gryząc, choć on kilkakrotnie odepchnął go od siebie. Widząc, że chłopak wpadł w szal, schwycił go wreszcie i z pomocą Krazy związał, zaniósł do izby i tam na łożo rzucił. Wrócił do świetlicy, by pomóc zebrać się Otłoce, lecz ten wstał tymczasem i popluwając krwią, od sprzętu do sprzętu kierował się ku wyjściu. Krzesz chciał mu dopomóc, lecz chłopak odepchnął jego rękę. Krzesz został sam, bo i Krasa za ostrożniejsze uważała wynieść się po cichu. Tej nocy Krzesz nieprędko usnął: Obudził się też późno i zerwawszy się pobiegł zobaczyć, jak się czuje Otłoka. Izbę chłopców zastał jednak pustą i wraz dowiedział się, że Wścieklica, jeszcze o świcie gdzieś ich wyprawiła.

Niezadowolony z siebie, gniewny i niespokojny, pobiegł do staruchy wyzywając ją i grożąc, że ją wyżenąć każe, jeśli do nieswoich spraw będzie się mieszała. Patrzyła na niego złymi oczyma i zapytała:

- Skończyłeś?
- Gadaj gdzie są?

- Gdzie mi się zdało. I nie wrócą, póki tej włóki nie przegnasz.

- Precz pójdziesz ty! - krzyknął Krzesz i ręką się na staruchę zamierzył.

Nie cofnęła się, jeno wpijała w niego oczy pełne bezdennej złości, aż lęk go jakiś przejął:

- Uderz - syknęła. - A ja nie pójdę. Byłam tu, nim byłeś ty, i ostanę, gdy wiatr popioły rozwieje z twego gródka. Odwrócił się i odszedł. Za chwilę na koniu wyjeżdżał za bramę. Wścieklica stała patrząc za nim z drwiącym uśmiechem. Gdy zniknął, ruszyła do dworca i skierowała się do izby Krzesza. Krasa ubierała się właśnie. Niesporo jej było. Czuła, że zajście z braćmi legło między nią a Krzeszem i nie była pewna swego. Gdy w drzwiach dostrzegła staruchę, zerwała się przestraszona.

- Czego?

- Dobrze, że się zbierasz. Żeby cię nie było, nim Krzesz wróci. On by ci może odejść nie dał, a potem będzie za późno. Odpasał się, ruszaj na inne ręce. Gonił cię nikt nie będzie. Nie czekając na odpowiedź wyszła. Gdy Krzesz wrócił wieczorem, nie było już Krasy na gródku. Nie zapytał o nią. Raba przepuściła wiosenne wody, wyczyściła się i stateczna już, toczyła błyszczący w promieniach słońca nurt; lśniła drobną, srebrzystą łuską na płyciznach brodów szepcząc modlitewnie, z szumem i rozmachem jak tanecznicą brała ostre zakręty, cicho sunęła ciemnozieloną głębią pod nawisami urwistych brzegów lub rozlewała się w płanie szerokie a gładkie, błękitne jak kawał nieba, ujęty w obramienie świeżej zieleni wikliny i olch. Z kwileniem latały nad brzegiem szaro - białe kuliki, czasem, jak kamień przez chłopca puszczony, czarny pluszcz równym lotem szybował tuż nad zwierciadłem wody. Pliszki, trzęsąc ogonkami, chodziły po wilgotnych brzegach, a poważny zimorodek siedział na wypłukanym powodzią korzeniu przybrzeżnego krza i czarnymi oczkami przebijał lśniącą, powierzchnię wody upatrując łupu. Coś go jednak spłoszyło widocznie, gdyż rozpostarł skrzydła i świecąc barwami jak żywy klejnot, poszybował w dół rzeki, by zająć stanowisko z dala od zabudowań Dobkowego dworca, w spokojniejszym miejscu, gdzie mu nikt przeszkadzał nie będzie. Na zakręcie rzeki ukazał się chłopak z wędką w ręku, i śmigał nią po wodzie, raz za razem, co chwilę wyciągając trzepoczącą się rybę, którą chował do parcianej torby, zawieszanej przez ramię. Tak był zajęty łowieniem, że nie zauważył, iż po stoku pagórka zbliża się jeździec kierujący się ku brodowi. Dopiero gdy kopyta końskie zachlupotały na płyciźnie, chłopak obejrzał się, zaklął pod nosem i odwróciwszy się plecyma, wylazł na brzeg i szybko ruszył w dół rzeki.

Krzesz zauważył chłopca i jakby się zawahał, czy za Miłoszą nie podążyć, lecz rozmyślił się widocznie i skierował się ku dworcowi. Przy bramie zeskoczył z konia i szedł ku wejściu. Na podcieniu ujrzał, siedzących na ławie do słońca, chłopca i dziewczynę. Niesporo mu się zrobiło, gdy na jego widok dziewczyna wstała i weszła do domu.

Otłoka pozostał i patrzył na zbliżającego się brata. Podeszedłszy Krzesz zauważył, że chłopak przybladły był i oczy miał podkrążone, ale spozierał zuchwale, nie ruszając się z miejsca. Krzesz chwilę stał przed nim w milczeniu. Usiadł obok i ozwał się:

- Mógłbyś starszego brata powitać.

- Mógłbym, ale mi się nie chce. Nie zegnałeś nas na wyjeździe, to i witać się nie mamy potrzeby. Nie czekamy na ciebie.

Zamiast złości, żal ogarnął Krzesza:

- Cóżes się na mnie tak zawział - zapytał trochę stłumionym głosem. - Z Miłoszą po trzy razy na dzień się bijacie, a za chwilę żaden drugiemu nie wypomni. A na mnie taka złość, żeście z domu uciekli wstyd mi czyniąc.

- Z Miłoszą się bijamy, bo nam się tak podoba, ale jeden za drugim zawdy stoi. Nie tak jak ty, coś mnie o tę dziewczkę sponiewierał. Milsza ci ona niż bracia, siedźże sobie z nią, a od nas się odczep. Damy se radę bez ciebie.

- Że jeden za drugim stoi, spróbowałem na własnej skórze. - Krzesz okazywał rękę, owiniętą w szmaty. - Ja żalu nie żywię, choć może by mnie i ubił, żebym się na czas nie zasłonił. A wy do mnie jak do wroga. Miłosza mi plecy pokazał, a ty ani patrzeć nie chcesz i nawet Czarnuszkę na mnieście zbuntowali, choć pierwszy do was po zgodę przyjechałem, choćem starszy. O to gniew, żem jednego z prędkości uderzył, choć drugi mi zaraz z nawiązką odpłacił? No, zbierajcie się do domu - mówił, pół z prośbą, pół rozkazująco.

- Chcielibyśmy się dać bić, do rodzicieli byśmy wrócili. Ojciec, wiadomo, prawo ma, i bije jak należy i kiedy było za co. A ty popatrz! - Tu Otłoka splunął na dłoń i pokazał zaróżowioną ślinę.

- Cóżem winien, że rękę mam ciężką, a w złości się człek nie miarkuje. Nie wróćcie do mnie?

- Nie. Wścieklica mówiła, że cości się we mnie oberwało i z pół miesiąca szcędzać się muszę. Potem zaś umyśliliśmy jechać do kniazia na służbę. Musi Tarłę pamiętać, to nas przyjmie.

- To i odwiedzić mnie nie przyjedziecie? - zapytał Krzesz z żalem.

- Jak będę miał taką pięść jak ty albo i lepszą, to przyjedziemy.

A ninie uderzyłeś mnie, bom słabszy.

Krzesz wstał; zapytał jeszcze:

- A Czarnuszka czemu przede mną uciekła?

- Co ci o Czarnuszkę? Masz swoją Krasę, jedźże sobie do niej.

Otłoka chciał pozłościć brata, ale mu się nie udało. Krzesz odwrócił się bez słowa, podszedł do konia, dosiadł go i ruszył. Otłoka patrzył, jak przebył bród i wjeżdżał na stok. Może by i zawołał za nim, ale że nie było Miłoszy, by się naradzić, tedy zmilczał, choć i jemu ciężko było na sercu. Trzy dni mijało, odkąd bliźniacy przybyli do Poznania, gdzie ku swemu rozczarowaniu dowiedzieli się zaraz na wstępie, że ksiązę wyjechał i nie wiada kiedy wróci. Nie bardzo wiedzieli, co począć ze sobą. Na dwór iść nie śmieli, nieznane miasto płoszyło ich, jak świeżo schwytanych zwierzaków, a i ludzie byli jacyś inni, że przystępować do nich nie mieli śmiałości. Uciekali tedy. Za miasto, na łąki i moczary nad Wartę, gdzie czas prędzej schodził na przepatrywaniu, jakie też ptactwo gnieździ się po oczeretach i jaka ryba żyje w rzece i zalewiskach. Przydało się to i dlatego, że zjadłszy zapasy, jakich im Dobek udzielił, głodowali po trosze i marzli nocami, gdyż chłodne były jeszcze.

Szczęściem trzeciego dnia spotkali na włóczędzie osadnika, który na przedmieściu gospodę prowadził i parał się różnymi rzemiosłami. Spodobali mu się i zaprosił ich do siebie, z czego skorzystali z radością, bo już nie wiedzieli co robić, a wstyd byłoby wracać czy do domu, czy do Krzesza, nic nie wskórawszy. Szczęście jedno wabi drugie. Zaraz wieczorem, gdy po raz pierwszy od szeregu dni, do syta nakarmieni, siedzieli w gospodniej izbie, z zadowoleniem myśląc o ciepłym noclegu, zatętniły końskie kopyta i podróżni zatrzymali się przed zajazdem. Gospodarz, który chłopaków rozróżnić nie umiał, a przyścipny był, zawołał:

- Miłotłoka, skocz no gościom poświecić i konie zawieść do stajni.

Wyszedł, by wydać zarządzenie na przyjęcie gości. Miłosza porwał głównię i skoczył na dwór, a

Otłoka drewno dorzucał na komin.

Weszło trzech podróżnych, dostatnio przybranych wojaków, w towarzystwie niewiasty. Zasiadli za stołem i rozmawiali po niemiecku.

Chłopcy zerknęli na siebie, a Otłoka rzekł półgłosem:

- Niemce.

- Piękne konie mają i broń - dorzucił Miłosza. - Żeby je tak dostać, wraz by książę do drużyny nas przyjął.

- Nie będziem przecie jak łazęgi koni ze stajni kraść, ni bronni śpiącym w gospodzie - odparł Otłoka, lecz westchnął. Pokusa była wielka.

- Na gościńcu by się zasadzić - mruknął Miłosza.

Czyjeś ręce uchwyciły go z nagłą za ramiona. Miłosza szarpnął się i odwrócił stając twarzą w twarz z najmłodszym z wojaków, czupurny i gotów do bitki; Otłoka zaraz stanął przy nim. Lecz spostrzegłszy, że obcy uśmiecha się, zmieszali się, niepewni co czynić.

- Na gościńcu konie i broń chcecie dobywać - rzekł czystym narzeczem polańskim. - Dwóch chłopaków z gołymi rękoma na trzech konnych wojów?!

Bąkali coś, zawstydzeni i zaskoczeni. Jaskotel nie gniewał się widocznie, gdyż uśmiechał się nadal wesoło i pociągnął ich na ławę pod kominem. Usiadł i spojrzawszy na ich twarze, których dotychczas nie widział, gdyż stali tyłem do ognia, zdumiał się:

- Co u licha! Nie piłem przecie jeszcze. Dwóch was jest, czy w oczach mi się dwoi?

- My bliźniaki - odparli razem.

Wpatrywał się w nich dalej ze zdziwieniem jakby czegoś w pamięci szukając.

- Zda mi się, że was kiedyś widział, ale nijak przypomnieć nie mogę, a pamiętałbym przecie takich. Skądście i co za jedni?

- My Wiślanie, od mazowieckiej granicy. Rodzic nasz, Tarło, starostą jest opolnym.

Wojak ręką plasnął się w czoło:

- To brat wasz, tegoż imienia był, który legł pod Cydzyną? Pomnę go dobrze, gdyż razem byliśmy przy książęciu. Podobniście.

- Brat był - przytwierdzili i jeden przez drugiego wypytywali.

Zagadali się, dopiero gdy Niemce, którzy z gospodarzem domówić się nie mogli, wołać go jęli, Jaskotel wstał i rzekł:

- Nie trąpcie się o nic. Do drużyny jeszczeście za młodzi, ale ja was wezmę ze sobą.

Podrośnięcie jeszcze trochę, będą z was wojaki jak się patrzy, skoroście do Tarły podobni. A z Krzeszem co się dzieje?

- Siedzi na Dzikowym Grodzisku. Byliśmy u niego, jenośmy się pobili i uciekli.

- To widzę, że was do bitki prosić nie trzeba - zaśmiał się.

- Nie trzeba - odrzekli jak jeden.

IX

Poselstwo do Rzymu

Odstawiwszy Bolka ubezpieczonego, jak się dało, pognął Mieszko do Poznania. Dobrawki już tam nie zastał, gdyż ozdrowiawszy pociągnęła ze swym dworem do Krakowa, który Mieszko oprawą jej ofiarował.

W Poznaniu przeto książe nie popasł, lecz, zebrawszy wojska konnego, ile było pod ręką, ku Czerwieni się puścił, by w razie potrzeby tamtejsze grody wspomóc lub, jeśliby zajęte były, odebrać. W dwóch dniach stanął w Czersku, gdzie zatrzymać się przez dzień zamierzał, by koni nie zmarnować i ludziom dać wypocząć, lecz zaraz wieczorem przybyli gońce z wieścią, że nieprzyjaciel pobity ustąpił, a nazajutrz i Sobiesław sam nadciągnął jeńców kupę prowadząc.

Z jego opowieści dowiedział się Mieszko, że Rusini z Waregami niespodzianie Bug przeszli na południe od Czerwieni i po kraju rozpuścili zagony, grodów brać nie próbując. Lubor, który w Belzie bawił przypadkowo, z małymi siłami zaraz uderzył, a wydołać nie mogąc, ku Mazowszu się cofnął, nieprzyjaciela na siebie ściągając, w tej myśli, że Sobiesław pomoc da tym prędzej, im bliżej mu będzie.

Istotnie Sobiesław nocą doszedł i gdy świtaniem Ruś uderzyła licząc, że zgniecie słabego przeciwnika, na większe siły niż własne trafiwszy, dała zaraz pole odzierżyć. Napastnicy porzuciwszy łupy, dla których widocznie wyprawę zgotowano, gdyż, jak słyhać, głód był na Rusi, pierzchnęli, jeszcze w ucieczce znaczną ilość jeńców zostawiając Polanom. Uspokoiwszy się tedy z tej strony, Mieszko pociągnął nie śpiesząc się ku Krakowowi. Po drodze zatrzymywał się po grodach dla załatwienia zwyczajnych spraw, tak że dopiero w połowie maja w Krakowie stanął, skąd już wraz z Dobrawką do Poznania wracać zamierzał.

Mieszko, który czuł pewien niepokój przed powitaniem z żoną, zastał ją wychudłą i pobladłą, lecz zupełnie spokojną. Powitała męża serdecznie, ze wzruszeniem. Zdziwiło to nawet Mieszka. Jego też bowiem niepokój gnębił o syna i żył w oczekiwaniu jakichś wystąpień cesarza, a jeszcze łacniej jego margrafów, na które, zakładnictwem skrępowany będąc, nie mógłby swobodnie odpowiedzieć. Zaraz też powitawszy żonę o Bolku mówić zaczął. Okazało się, że Dobrawka nie pozwoliła boleści, która przez wymuszony spokój przebijała, zaćmić swej przezorności. Jeno z łoża się dźwignąwszy, zwołała duchownych i świeckich dostojników i myśl rzuciła, by włosy chłopca, które przy postrzyżynach obcięto, Ojcu świętemu posłać, na znak oddania pod opiekę Stolicy Apostolskiej osoby młodego dziedzica. Siostra Dobrawki, Młoda, z chrześcijańska Marią zwana, jako mniszka w Rzymie przebywająca, wyjednać miała u papieża, by opiekę objął nad młodocianym księciem, która niemal całkowite bezpieczeństwo zapewnić mu mogła, gdyż klątwy każdy by się uląkł - zaś stary Audun poselstwo w bogate dary dla Ojca świętego zaopatrzył, bo w skarbie książeńym było wciąż skapo. Czekali z wysłaniem poselstwa jeno na Mieszkowe przyzwolenie, bez którego ni Dobrawka, ni Jordan, nie ważyliby się go wysłać. Mieszko nie tylko zezwolił, lecz zamiarowi przyklasnął. W pogodny, majowy poranek, ledwo pierwsze promienie słońca złocić zaczynały łąki i lasy, okryte świeżą zielenią, i przeciskać się przez błony w oknach, gdy komornik oznajmił księciu, że prowadzący poselstwo ojciec Klemens i Stoigniew przyszli pożegnać się i odebrać ostatnie rozkazy.

Mieszko ubrał się zaraz i wyszedł na podworec, gdzie orszak stał gotowy, którego skład już poprzednio postanowiono. Wozów nie brano ze sobą dla pośpiechu, jeno juczne konie, które potrzebne w podróży zapasy oraz dary dla papieża i dostojników powieźć miały. Mieszko przechodził orszak przeglądając raz jeszcze ludzi i konie. Ze zdziwieniem w pierwszym szeregu spostrzegł Jaskotela. Stanąwszy przed nim zapytał:

- Toś ty tutaj? Czemużeś się nie zgłosił? Jaskotel coś bąkał zmieszany, aż zdziwiło to Mieszka, który znał wesołego wojaka i wiedział, że z byle powodu nie traci języka. Przyglądał mu się badawczo, po czym spojrzął na stojących za nim ludzi z jego poczty. Pamięć mając doskonałą poznał w dwóch najbliższych - Niemców, Erwina i Etelberta, za nimi zaś stał jeszcze jeden, który jakby

twarz schować się starał. Mieszko jeno okiem rzucił, poznał mimo męskiego stroju kobietę. Zawahał się chwilę. Pociągnąwszy Jaskotela za ucho zapytał:

- Po odpust pewnie jedziesz, kiedy grzechy zabierasz ze sobą.

Jaskotel chciał coś odrzec, lecz Mieszko machnął ręką i dodał:

- Jeno prędko wracaj, opowiesz mi potem, jak było. - I poklepawszy go po ramieniu uśmiechnął się i poszedł dalej. Stoigniew, po skończeniu przeglądu, dał rozkaz wsiadania i ruszyli ku północnej bramie, dwójkami. Mieszko z Prochorusem stał patrząc, jak go mijali. Na końcu jechało dwóch tęgich wyrostków, których twarze dziwnie mu Tarłę przypomniały. Westchnął i zawróciwszy ku budynkom, na ranną polewkę się udał.

Wybierali się księstwo z powrotem do Poznania, mając zamiar po drodze budujące się grody i kościoły odwiedzić, gdy jednego wieczoru, zajeżdżając konia na śmierć, goniec przybiegł z wieścią, że cesarz zmarł. We wtorek przed Zielonymi Świątami zasnął w kościele w Miminlewie i nie obudził się już z omdlenia. Zabalsamowane zwłoki biskupi Gero i Adalbert przewieźć mieli do Magdeburga, gdzie cesarz za życia jeszcze w tamtejszej katedrze marmurowy grobowiec na ostatni spoczynek sobie przygotował. Wieść była tak ważna, że Mieszko, rana nawet nie doczekawszy, ruszył co tchu w koniach do Poznania, gdzie posłów od Bolesława czeskiego i bawarskiego Henryka zastać się spodziewał. Miał nadzieję, że w zamieszaniu, jakie zawsze przy zmianie tronu powstaje, swoje korzyści osiągnąć zdoła, a już co najmniej Bolka potrafi odebrać, nawet gdyby się nie udało Klótnikowi zasiąść na cesarskim tronie.

Miast posłów jednak wieści zastał i to niepokojące. Młody cesarz widno nie gorzej od starego znał świat. Miast pogrzebowymi uroczystościami ojca zajął się z miejsca spadkiem po nim i wiedząc widocznie o knowaniach Klótnika, wysłał poczet, który miał go uwięzić. Henrykowi udało się zbiec, lecz ukrywać się musiał, a poplecznicy, bez wodza zostawieni, przycichli rozproszeni, modląc się jeno, by ich imiona nie doszły do cesarskich uszu. Bolesław wojska, jakie miał przygotowane, ku Morawom podsunął, czy to, by okazać cesarzowi, że nie przeciw niemu były zebrane, czy w innych zamiarach, które też pilnej bacności wymagały. Sumował się jeszcze Mieszko, czy w tym położeniu starać się można syna wydobyć, co by jawnie na chęć wystąpienia przeciw cesarzowi wskazywało. Tymczasem przybyli posłowie od cesarza z oznajmieniem, że Bolko i jego orszak jako jeńcy będą uważani i do Magdeburga przeniesieni zostają do czasu, gdy Mieszko wykaże szczerą swych zamiarów. Trafia się po temu sposobność, gdyż cesarz na Danię zamierza wyprawę i posiłków od sprzymierzeńca żąda. Zgryzł się Mieszko, zarówno z obawy o Bolka, jak i z powodu nowego ciosu, jaki Dobrawkę miał osiągnąć, lecz czując się bezradnym gniewu nie pokazał i przyrzekł, że gdy wojska wrócą jeno z ruskiej wyprawy, nie mieszkając żądany hufiec cesarzowi w pomoc wyśle. Posłów gościł i obdarzonych odesłał przy pożegnaniu przyrzekając, że gdyby lud, wzburzony postępkiem cesarza, na jeńcach niemieckich chciał się mścić, starać się będzie rzezi zapobiec, by cesarzowi dobre swe chęci okazać. Wiedział, że cesarz pokazanie zębów zrozumie i Bolka w spokoju ostawi, nim Mieszko opiekę papieską zdoła dla syna uzyskać. Niemniej, po wyjeździe posłów, od hamowanego gniewu aż boleści dostał i kilka dni w łóżu przeleżał. Choć jeszcze wychudły i poczerniały, dźwignął się, gdy przybyło poselstwo z Jomsborga sprawę następstw a po Styrbjornie załatwić. Z poselstwem przybył zbieg z Danii, wróg Haralda - Palnatoki, którego jomsborskie bractwo wodzem swym wybrało, by o zatwierdzenie go w godności przez Mieszka zabiegać. Mieszko zgodził się chętnie, gdyż nienawiść Palnatokiego do duńskiego króla dawała mu rękojmię, że Wolina przed Duńczykami szczerze będzie bronić. Odprawiwszy poselstwo, wyjechał w

podróż po kraju, na powrót Dobrawki nie czekając, gdyż nie miał serca znowu złej nowiny żonie oznajmić. Jesień już była w pełni. Liście zaczynały opadać z drzew i przymrozki zapowiadać się zdały wczesną zimą, gdy Mieszko przybył do Poznania, gdzie go oczekiwało poselstwo, które powróciło z Rzymu.

Zanim jednak posłowie nadeszli, nadbiegł komornik od księżny, która przysłała z zapytaniem, czy męża powitać może. Mieszko polecił zaraz prosić i Dobrawka zjawiała się po chwili. Wstał witać Dobrawkę patrząc na nią z pewnym zdziwieniem. Suknię miała na sobie ciemną, prawie zakonnego kroju, twarz bladą, aż niemal przezroczystą, spokój w oczach i mowie, gdy małżonka witała córeczkę mu podając.

Nie rozgadali się jeszcze, gdy nadszedł ojciec Klemens. Niemiec rodem, lecz od dziecka w słowiańskich krajach przebywający, wraz z Dobrawką z Czech przybył i znany jej był ze swej pobożności i przywiązania.

Dobrawka prosiła, by mogła pozostać, gdyż i jej pilno było posłyszeć wieści. Usiadła z twarzą w cieniu, by nie dać poznać po sobie niepokoju, jaki nią znowu owładnął. Powstała na powitanie ojca Klemensa, uśmiechnęła się, gdy pozdrowienia od siostry jej oznajmił, po czym, przymknąwszy oczy, słuchała nie przerywając opowieści kapłana.

Wieści były pomyślne. Do Rzymu dotarli szczęśliwie i szybko, dzięki czemu jeszcze tam Młodą zastali, która już z powrotem do Pragi się wybierała, by klasztor benedyktynek pod wezwaniem św. Jerzego na Wyszehradzie założyć, gdzie zamierzała osiąść. Dla swej świątobliwości i jako siostra potężnego władcy cieszyła się wielkim poważaniem na papieskim dworze i bez trudu uzyskać zdołała pismo do cesarza, w którym papież objęcie opieki nad Bolkiem oznajmiał. Dobrawka po cichu modliła się błogosławiąc siostrze, przez którą tyle dobra dla swoich i rodaków płynęło. Przez zamknięte jej powieki przeciskać się zaczęły łzy ulgi. Niepokój swój bowiem od czasu wieści o uwięzieniu Bolka tylko ustawiczną modlitwą, postami i dobrymi uczynkami trzymała na wodzy. Mieszko z kolei o Stoigniewa i szczegóły podróży zagadnął.

- Stoigniew, po odbyciu poselstwa, do klasztoru na Monte Cassino się udał - odparł ojciec Klemens. - Odwiedzić chciał znajomka Tuniego i, jak mówił, do nowicjatu wstąpić. Mam rzec prawdę jednak, to w powołanie jego nie wierzę, choć nad wiek swój mądry i obyczajny jest książę Stoigniew.

Mieszko słuchał ze zdziwieniem i pewną niechęcią, albowiem inne miał plany co do Stoigniewa i gniewny był nieco, że bez wiedzy jego i pozwolenia o sobie postanowił. Chcąc jednak sprawę rozważyć zapytał:

- A dlaczego myślicie, ojcze, że powołania nie ma?

- Trudno powiedzieć słowami i dowody przytoczyć, bo powściągliwy on w mowie i uważający, jakby się bezustannie miał na ostrożności. Ale z tego miarkuję, że jeśli od ludzi stronił, tym dziwniejsze, że w takim towarzystwie przebywał, które raczej wstyd przynieść mogło i obrzydzenie, a zgorszenie nabożnemu człeku.

Gdy Mieszko patrzył pytająco, dodał:

- O waszym wojaku Jaskotelu myślę, że wszeteczną niewiastę w męskim przebraniu w podróż do Świętego Miasta z waszym poselstwem wziąć się poważył. Gdy się wydało, wyгнаłem oboje, lecz przypadek zdarzył, że w Padwie, gdzieśmy na spoczynek stanęli, w gospodzie ich znowu obaczyłem, a wraz z nimi Stoigniewa i to, co niechcąc posłyszałem, pozwala mi wnosić, że Stoigniew sukienkę duchowną jedynie po to zamierza włożyć, by się pod tym przebraniem do któregoś z niemieckich

klasztorów dostać. Gdzie i po co, nie słyszałem, gdyż od zgorszenia krew mnie zalała, bo gdzie tacy przebywają ludzie, szatan musi być w pobliżu. Mieszko zdziwiony zamyślił się, po czym, odprawivszy ojca Klemensa, zbliżył się do Dobrawki i rzekł:

- Pewnie ulżyło wam w strapieniu? I posłuchajcie, co myślę! Jak znam Stoigniewa, bez ochyby do klasztoru, gdzie Bolko przebywa, dostać się zamierza. Wprost jechać nie mógł pod swoim imieniem, gdyż mogą wiedzieć tam, że on to jeńców wyrzucić kazał pod Cydzyną. Spokojniejszy będę, gdyby był przy Bolku, bodaj czy i całkiem wydostać go nie zdoła. Żeby wrócił Jaskotel, tobyśmy coś bliższego się dowiedzieli.

- Bóg Bolka uchroni i w Nim mam nadzieję, że jeśli nie ujrzę synaczka mego już w tym życiu, to dlatego, że mnie, a nie jego przedtem do siebie powoła.

Mieszko głowę skłonił, lecz nie podzielał bynajmniej niechęci żony do sposobów, jakie by do odzyskania zakładnika doprowadzić zdołały. Pobożność i bogobożność uważał za potrzebną u ludzi zwyczajnych, czcił ją w Dobrawce czy Jordanie, za jej niewątpliwą szczerość, a sam pobożność udawał, bo musiał, bo uważana była powszechnie za pierwszą cnotę monarchy tego czasu i warunkiem była dobrych stosunków z Kościołem. Lecz zbyt długo żył w pogaństwie, zbyt dobrze znał świat i ludzi i zbyt wielu zbrodniom pod pokrywką nabożnych pobudek się przypatrzył, by pozwolić sobie ręce wiązać w wyborze środków, które do jego celów zmierzały. Wrogami nie miał zamiaru się krępować, lecz wiedząc nawet, że grzech popełnia, uważał, że dokonywane pokuty rachunek jego z Bogiem wyrównują, a poprawić się szczerze zamierzał, gdy... zwycięży. Usilnie też starał się wywiedzieć, co było istotnie ze Stoigniewem, a przypuszczając, że Jaskotelowi będzie to znane, posyłał nawet do starego Skarbka, by o nim wieści zasięgnąć. Posłaniec wrócił jednak bez żadnej wiadomości. Mieszko niepokoił się nawet o ulubieńca, że przepadł gdzieś ze swymi Niemcami w obcych krajach.

X

Spotkanie na łowach

O Jaskotelu słuch zaginął i Mieszko zajęty innymi sprawami nieczęsto miał czas myśleć o nim. Nadeszła zima wczesna i śnieżna, czas do łowów odpowiedni, i Mieszko, który stęsknił się już za polowaniem, poczynił do niego przygotowania. Szary zimowy poranek wstawał dopiero, gdy podworce zaroily się ludem, końmi i psiarnią.

Księżę jeszcze był nie zeszedł, gdyż, wysłuchawszy nabożeństwa, pożywiał się z rycerstwem, które na łowach towarzyszyć mu miało. Wszyscy już do puszczy byli przybrani. Łowczowie opatrywali lud łowiecki, zwierników, stanowniczych, sietników, osaczników i zwyczajnych spudowników, którzy przełaj robić mieli. Wyjeżdżały skrzypiąc wozy z sieciami i innym sprzętem, po czym szykowano lud pieszy, który pod wodzą łowczych wcześniej wychodził, by szmat puszczy obejść i sieciami obstawić, nim łowcy nadejdą. Wyszły też psy pod wodzą psiarczyków, jeno parę ulubionych pozostało, które panowie przy sobie mieć chcieli. Gwar cichł z wolna, jeno czasem zarżał koń lub zaskowyczał żałośnie jeden z pozostałych psów, niecierpliwiać się, kiedy wreszcie ruszyć mu będzie wolno, by folgę dać łowieckiej ochocie.

Łowy stanowiły szkołę i zaprawę wojenną, były próbą męstwa i chytryści, a zarazem jednym z ważniejszych źródeł wyżywienia ludności, a zwłaszcza wojska, skóry zaś zwierza i suszone mięso - ważnym przedmiotem handlu. Dlatego też wszystko, co łowów dotyczyło, otoczone było troską

władców, a sami oni z dziada pradziada, od dziecka niemal do łowów wprawieni, za najmilsze mieli je sobie zajęcie.

Mieszko się od innych nie odrodził, lecz w przełomowych czasach, w jakich rządzić mu przyszło, nieczęsto mógł brać udział w polowaniach.

Lasy koło Poznania dosyć były przetrzebione, a zwierz przepłoszony, gdyż w pobliżu miasta przeważnie zwierzynę na świeże mięso dla potrzeb dworu brano. By w samą krainę grubego zwierza się dostać, należało pociągnąć w dalsze okolice, gdzie stary łowczy Nadbórz, który jeszcze za Ziemomysłowych czasów urząd swój sprawował, poczynił przygotowania. Po drodze jeno mimochodem lasy przecierając, by czasu daremnie nie tracić, właściwe łowy zacząć mieli na bagnach, łączących Obrę z Wartą powyżej Śrema, aby tamtędy polując, do grodu w Kościanie posunąć się i wypocząwszy, co dalej, postanowić.

Dzień był już duży, gdy Mieszko z orszakiem dosiedli koni i skierowali się na południe wzdłuż Warty. Główną broń na grubego zwierza stanowił oszczep, którym osaczonego skłuc lub uchodzącego rzutem osiągnąć było można. Niemniej wszyscy łowcy zbrojni byli w łuki, na drobniejszą zwierzynę przydatne, z których jednak silniejsi i bardziej wprawni i grubego zwierza umieli ubić. Ujechawszy niewiele, skręcili w lasy i rozrzuciwszy się w łańcuch, zmierzali na południe. Wkrótce pomykać zaczął przed nimi drobniejszy zwierz, którym młodzi się jedynie zabawiali strzelając z łuków. Przy czym prześmiechy powstały, bo skorzy do drwin byli wojacy, gdy się strzał któremuś nie udał i za strzałą w śniegu grzebać był zmuszony, gdy tymczasem chybiony zając lub sarna pomykały w głąb lasu. Mieszko jechał pośrodku łańcucha wraz z Nadborzem, który w wielkich łowach surowy i karność jak na wojnie wymagający, patrzył z pobłażliwym lekceważeniem na tę zabawę młodzieży. Książę ożywiony był, twarz zarumieniła mu się od ruchu i mrozu i jadąc rozmawiał z Nadborzem o dalszych planach łowów, które dni kilkanaście miały się przeciągnąć. Koło południa posłyszeli psy, znak, że zbliżają się do końca miotu. Zaraz i zwierzyna gęściej ukazywała się, od czoła przez psy płoszona, wyjście zaś na boki sieci odgradzały. Tu i sam książę łukiem się zabawiać począł z przyjemnością znajdując, że ręka służy mu jak drzewiej i w wesołym, jak dawno nie był, usposobieniu, zasiadł do południowego posiłku, przy olbrzymim ognisku pod gołym niebem, przysłuchując się przekomarzaniom i przechwałkom młodzieży, która widząc, że bawi pana, folgowała sobie we wszystkim.

Czeladź łowiecka odciągnęła zaraz dalej, by następny miot zająć, na którym tego dnia łowy zakończyć się miały, oraz nocleg przygotować, a młodzież zapomniawszy o obecności pana, czasu mając sporo, rozigrała się na dobre, iż niektórzy po ziemi ze śmiechu się tarzali.

Mieszko patrzył z uśmiechem, szczególnie na jedną gromadę, pośrodku której stał olbrzymi jak niedźwiedź i ciężki jak kłoda Gołuch, obskakiwany przez innych, niezdarnie się im odgryzać usiłował.

Gołuch był zwykłym celem Jaskotelowych docinków. Mając wzrok krótki, rzadko brał się do ciskania oszczepem lub do łuku, bojąc się drwin. Dzisiaj jednak, korzystając z nieobecności prześladowcy, spróbował szczęścia z takim skutkiem, że psa własnego postrzelił, który się za zającem zapędził. Teraz cierpieć musiał docinki i rady, jakich mu złośliwie udzielano. W końcu, rozłoszczony, najzjadliwszego z prześladowców pochwytał, co mogło się źle skończyć, gdyż siły mając jak tur, kości mógł połamać, lecz zaraz rzucono się na pomoc zagrożonemu i kłęb ciał z wielkim wrzaskiem miotał się po śniegu.

Zniecierpliwiły wreszcie Nadborza wrzaski, a nie chcąc karcić młodzieży, skoro sam książę na

swobodę zezwalał, obóz zwinął i na koń kazał siadać. Uspokoiła się drużyna, gdyż las zaczynał się podszyty, a oszronione zarośla przejrzystość jeszcze zmniejszały, zaś grubszego zwierza można się już było spodziewać. Jakoż nie trwało długo, gdy z dala jazgot psi i wrzaski posłyszeć się dały. Ciąg zbliżał się do łowców, lecz podszyty bór nic widzieć nie pozwalał. Wszyscy umilkli, w napięciu bacząc pilnie, gdzie i jaki zwierz wypadnie. Psie głosy zbliżały się coraz bardziej. Już łomot łamanych krzów słyhać było, a wkrótce i tupot, po którym poznano, że stado dzików idzie. Kto bliżej stał, posuwał się co rychlej, by zaskoczyć drogę. Nagle gromada czarnych cielsk wynurzyła się ze ściany krzów i w pędzie, jak szła, między łowców wpadła.

Posypały się pociski, kwiki i charczenie napełniło puszcę. Kilka cielsk legło na śniegu, barwiąc krwią niepokalaną biel, reszta przebiła się i pognąła przed siebie, a za uchodzącym stadem skoczyło kilku na koniach. Pozostali ruszyli dalej ku nadbiegającym psom, które nagle podniosły wrzask ogromny, po czym łowców doszło groźne fuknięcie i kłapanie. Widno odyniec samotnik szedł za stadem i wstrzymał się zwęszywszy ludzi, a teraz psy wpadły na niego i tarמושą zwierza.

Kilku młodych, zeskoczywszy z koni, kopnęło się w gąszcz, skąd dochodziły głosy, a na czele biegł Gołuch, rad zatrzeć pamięć rannego niepowodzenia.

Wpadli na małą polankę wśród krzów i tuż przed sobą ujrzeli olbrzymiego zwierza, który, stojąc tyłem do pnia rozłożystego dębu, psom się oganiał. Gołuch, który pierwszy dopadł, wstrzymał się, gdyż przez obskakujące i wieszające się na odyńcu psy trudno było uderzyć, obawiał się zaś, by znowu psa nie zranić. Biegący za nim Mroclaw krzyknął drwiąco:

- Pomacaj, nim uderzysz!

Zeżłony Gołuch zamachnął się, by skłuć dzika pod łopatkę, lecz w tej chwili zwierz skoczył przed siebie, a ~Gołuch, chcąc odstąpić, potknął się o gałąź i runął na wznak, dzik zaś na niego. Zakrzyknęli towarzysze, a stojący najbliżej Mroclaw pchnął zwierza oszczepem, lecz źle obliczywszy, jeno skórę rozorał mu na łopatkę, a dzik, obaliwszy go, skoczył w krze, psy za nim. Odyniec wypadł zniecka wprost na księcia, który, jeno konia trąciwszy, uskoczył i pchnął zwierza oszczepem w nasadę karku. Zwierz z przetrąconym kręgiem przewalił się w pędzie przez łeb, po czym nogi kopać jęły powietrze, lecz zaraz się uspokoił. Cios nie mógł być lepszy i Mieszko, zeskoczywszy z konia, przystąpił obejrzeć łup, gdyż nawet w obfitujących w zwierzynę borach ówczesnych nieczęsto spotkać można było podobnego olbrzyma. W tej chwili jednak z gęstwy wynurzył się naprzód Gołuch, rękę zbroszoną krwią przytrzymując drugą, za nim zaś dwóch innych prowadziło bladego jak chusta Mroclawa.

Nadbórz psy poodciągając kazał nadbiegającym psiarczykom, gdyż rwały się do leżącego zwierza, sam zaś ku rannym się zwrócił. Rana Gołucha nie była ciężka, jeno skóra rozorana była od przegubu do łokcia. Z Mroclawem natomiast gorzej było widocznie, choć usiłował się uśmiechnąć, a nawet żartować, mówiąc:

- Żeby Gołuch dzika za zadnie nogi przytrzymał, byłbym mógł nożem zwierza zarżnąć.

Zaraz jednak szczęki mu latać poczęły i omdlał. Nadbórz, kozuch zdjawszy, na śniegu go rozciągnął i ułożywszy na nim rannego, przystąpił do opatrunku. Mroclaw pierś miał przeoraną od obojczyka aż do brzucha, rana krwawiła silnie i trudno poznać było, czy jest jeno powierzchowna.

Opatrzywszy go tedy naprędce, by tylko krew zatamować, Nadbórz nosze sklecić kazał i między końmi je uwiązawszy złożył na nich rannego, a oddawszy prowadzenie łowów Gniewomirowi postanowił zaraz do osady ciągnąć, gdzie stanąć mieli na nocleg.

Mieszko, dosiadając konia, rzekł:

- Dość mam łowów na dziś, pojedę z wami.

Niespokojny był o Mroclawa, którego docucić się nie było można. Jechali tedy ku osadzie, zwanej Mosina, położonej już w bagnach, ciągnących się od Warty do Obry, nad rzeką tejże nazwy, gdzie za jasna jeszcze przybyli.

Umieściwszy rannego jako się dało najlepiej, pod opieką bab i Gołucha, księżę z Nadborzem zasiedli posilić się i dalsze łowy omówić, gdy po chwili nadszedł Gołuch i markotnie oznajmił:

- Z Mroclawem coś kiepsko widocznie, bo się chce na śmierć spowiadać.

Nadbórz skoczył zobaczyć, co się dzieje, a księżę ozwał się:

- Skądże mu tu księdza znajdę w takiej głuszy. Od wieka ojcowie umierali bez spowiedzi i nie bał się śmierci żaden.

- On też nie śmierci się boi, jeno piekła - odparł Gołuch. - A słyszę, że w bagnach na Sempnie siedzi tu jakiś pustelnik. I na leczeniu pono zna się, może by pomógł co. Żeby zaraz posłać, na rano mógłby być.

- Chcesz, to ślij! - odparł księżę.

- Sam pojedę - rzekł Gołuch - może by się pustelnik wzbraniał, jeśli pachołka pošlemy, bo pono niechętnie z samotni wychodzi.

- Sameś przecie ranny - rzekł Mieszko - a w pętach siłą go prowadzić nie będziesz.

- Co tam takie zadrapanie! A wolę sam pojechać, żeby Mroclawowi dogodzić. Gotów mnie straszyć po śmierci, jak juchy do nieba nie puszczą, bo zawdy się lubił do mnie przypinać.

- Jedź, jeśli chcesz - odparł księżę.

Usiadł z powrotem u ognia i zamyślił się zeźlony. Żal mu było wesołego wojaka, a gniewało go, iż nie znany dawniej jego wojom strach przed śmiercią wraz z nową wiarą przenikać zaczął.

Zamyślił się tak, że nie słyszał odgłosu kopyt wychodzących gdzieś koni i dopiero gwar wracających łowców obudził go z zadumy. Wyszedł na dwór zobaczyć, jaki pokot przywieziono, po czym, nakazawszy spokój, zbierał się na spoczynek poczuwszy znużenie. Po znojnym dniu zasnął zaraz i obudził się w głuchą jeszcze noc. Leżał jakiś czas bezsennie, po czym wstał, gdyż duszno się uczyniło w izbie, i wyszedł na obejście. Mróz sfolgował, natomiast z nisko wiszących chmur szedł gęsty śnieg. Miliony płatków z cichym szelestem sływało na ziemię. Najlżejszy powiew nie poruszał stojącego powietrza. Ziemia, budynki i ledwo widoczny przez białą zasłonę las okrywały się grubym, białym kożuchem. Na rano zapowiadała się ponowa, czas dobry do łowów.

Mieszko stał czas jakiś oddychając z przyjemnością świeżym, chłodnym powietrzem i już do izby wracać zamierzał, gdy w ciszy nocnej pochwycił jakby dalekie rzenie konia. Nasłuchiwał jeszcze. Psy się odezwały, a po chwili rozróżnił kilka ciemniejszych plam, wynurzających się z lasu, w których poznał czterech jeźdźców, zbliżających się szybko, śnieg jeno głużył odgłos kopyt. Wjechali w obejście i księżę więcej po wzroście niż po twarzy poznał Gołucha i zawołał:

-Bywaj!

Przybyli zeskoczyli z koni i trzech z nich, oddawszy konie czwartemu, widno pachołkowi, do księcia się zbliżało. Mieszko po długiej, ciemnej szacie domyślił się pustelnika, zaś postać trzeciego dziwnie mu się wydała znajoma. Gdy podeszli blisko, księżę ze zdumieniem poznał Jaskotela. Podczas gdy Gołuch z pustelnikiem, pokłoniwszy się panu, odeszli do rannego, Mieszko, skinąwszy ręką na Jaskotela, wrócił do swej izby.

Zbudziwszy śpiącego w sieni pachołka kazał ognia naniecić i światła skrzesać, a gdy pachołek wyszedł, zwrócił się do Jaskotela i patrząc na niego badawczo i surowo rzekł:

- A teraz gadaj, gdzieś bywał i skądś się tu wziął?

W twarzy i zachowaniu Jaskotela zauważył jakąś zmianę, nieuchwytną, lecz wyraźną. Cieszył się z powrotu ulubieńca, gniewał za samowolę, a zarazem ciekaw był, co go skłoniło skryć się przed światem. Wiedział, że w sprawie tkwiła niewiasta, lecz że nie pierwsza była u wesołego wojaka, nie mógł przeto domyślić się przebiegu sprawy i niecierpliwie czekał na wyjaśnienie. Jaskotel zwlekał jakoś z opowiadaniem, jakby nie miał chęci mówić lub nie wiedział, jak zacząć i Mieszko niecierpliwie znów go zagadnął, gdy rozległo się pukanie i wszedł pachołek oznajmiając, że pustelnik pokłonić się chce panu przed odjazdem. Mieszko, cokolwiek zdziwiony, pozwolił wejść. Wszedł człowiek w ciemnej szacie, pięknej twarzy i postawy. Choć ciemny i jedwabisty zarost wygląd jego czynił poważnym, kwitnące oblicze i przepiękne oczy zdradzały pierwszą młodość. Mieszkowi zdało się, że już je gdzieś widział, lecz nie mógł sobie przypomnieć. Natomiast zaciekawiony tak rychłym odjazdem zapytał:

- Jak znaleźliście, ojcze, Mroclawa?

- Już mojej pomocy nie potrzebuje, bo zmarł - odparł mnich pięknym, dźwięcznym głosem.

Książę zasępił się, wskazując na ławę rzekł:

- Siadajcie! Noc przecie, a spocząć i posilić się wypada przed drogą.

I klasnąwszy w dłonie, nadbiegłemu pachołkowi jadło i napitek przynieść kazał, po czym, zwracając się do pustelnika, zapytał:

- Gdzie i kiedy was widziałem, bo zda mi się, że znam was skądś!

- Osiem lat temu, po bitwie na bagnie koło Włodawki - odparł mnich. - Ja to byłem pacholęciem, któreście władcy Dzikowi darowali.

Mieszko zadumał się:

- Wiecie, że Dzik zginął? - zapytał.

- Wiem! - odparł mnich. - Dobry był człek, jeno szczęścia nie miał w życiu. Ale mu Bóg tam wynagrodzi.

- Jakoże? - zapytał książę zdziwiony. - Przecie poganin był, potępiony być musi.

Gdy mnich milczał, ciągnął:

- To i Mroclaw będzie potępiony? Żal mi go, bo się piekła bał, a spowiedzi nie doczekał.

Mnich zmieszał się cokolwiek i odparł:

- Kościół tak wierzyć każe, i mnie inaczej nie wolno. Jeno tak sobie czasem myślę, że nieraz i ojciec dziecko straszy, że go wilkom ciśnie, a przecie tego nie robi, jeśli je miłuje. To Bóg, który najlepszy Ojciec jest, miałby być sroższy?! Mnich uśmiechnął się promiennymi oczyma i zegnał się, a książę, zadumany, nie wstrzymywał go. Jaskotel wyszedł odprowadzić pustelnika do koni i wróciwszy zastał księcia siedzącego przed kominem.

- Nie pójdziecie spocząć, panie? Noc przecie jeszcze głęboka.

Mieszko, patrząc na niego badawczo, powiedział:

- Nie troszcz się o to! Coś nieradeś mówić, o co cię pytałem.

- Nie to - rzekł Jaskotel - jeno nie wiem, jak zacząć.

- Napij się miodu, siadaj i mów - nalegał.

- Napiję się, ale pozwólcie mi chodzić po izbie, to może gadać łatwiej mi będzie - rzekł Jaskotel.

- Jak chcesz!

Jaskotel, wychyliwszy kubek, chwilę chodził w milczeniu:

- Jako wiecie, miałem z Erwinem i Etelbertem wyjechać zaraz z Kwedlinburga po owej bójce. Żał mi było trochę i im też, bo mieli swe dziewczyny. Tedy poszli je pożegnać. Siostry to były, córki kupca. Z ciekawości poszedłem z nimi.

Zachodzimy pod wieczór, a tu obie spuchnięte od płaczu, ledwieśmy się dopytali, że krewniaczkę ich, którą bardzo miłowały, wzięli i męczą w lochach, że pono czarownicą ma być. Tyle o jej urodzie i mądrości naopowiadały, jak się raz wzięły gadać, że ciekawość mnie zebrała.

Czekały właśnie na wieści, które przekupiony pacholek miał przynieść, co z nią dalej będzie. Posiedzieliśmy niewiele, aż ci nadszedł z wieścią, że kłuli ją po całym ciełe szukając znamion szatańskich, że jakoby gdzie szatan dotknie kobietę, to czucia nie ma. Ale pono nic się nie dowiedzieli, bo pluła w oczy oprawcom, tedy na drugi dzień pławić ją mieli.

Mało dziewczyny nie poszalały i nuże na kolanach błagać swych gachów, by ją ratowali.

Niemcy byli chłopaki głupawe i bali się, a że mnie się to spodobało, ile że, jak mówię, ciekawy byłem ujrzyć to dziwo i zabawić się na odjezdnym.

Jużem przedtem pomiarkował, że Niemce Boga nie bardzo się boją, bo się od niego wykupić czy wykręcić umieją, ale powiesz co o szatanie, to ci najmężniejszy rycerz zębami kłapie. Tedy sobie psotę umyśliłem. Wywiedzieliśmy się, kiedy i gdzie czarownicę pławić mają, i tak my się zmówili, że ja, ukrywszy się w krzaczach nad rzeczka, gębę na czarno umaluję, rogi przyprawię i gdy ją rzucą do wody, skoczę wyciągnąć, oni zaś, w tłum się wmieszawszy, gdy jeno wypłynę, wrzasku wielkiego narobią, że szatan dziewczkę porywa. My zaś, gdy się tłum rozbiegnie, na koń i w nogi., Poszło wszystko, że nie można lepiej. Jenom się pokazał, a ci krzyku narobili, tłum ludzi, co się gapić przyszedł, jakoby wiatr zdmuchnął, jeno paru z połamanymi kośćmi ostało, a my koni z dziewczką dopadli i ile pary w nich, gnaliśmy, póki nie ustały, że i popatrzeć na dziewczkę, całą zresztą miotanym przez tłum błotem ubrudzoną, czasu nie było.

Stanęliśmy wreszcie w lesie u krynicy, by się umyć mogła i szaty oblec, cośmy dla niej przygotowali. Gdy wróciła, patrzę ciekawy, czy taka urodna, jak dziewczki prawily. Niewiele można było zmiarkować, bo cała posiniaczona, jeno oczy miała, jakich w życiu nie widziałem. Musi urok na mnie rzuciła; może i jest czarownicą.

Tu Jaskotel przerwał, a po chwili podjął znowu:

- Podziękowała nam, jak za kubek wody, co mnie zeźliło, bo zawsze skórę my za nią stawili na niewidzianego. Nie patrzyłem więc na nią, bo zresztą i nie było sposobności. Było i tak na co uważać, by na ludzi się nie natknąć i do kraju co prędzej się dostać. A wszystko na mojej głowie, bo moje Niemce dróg nie znali i pogłupieli do reszty od strachu, by nie popaść w biskupie ręce. Aliści na drugim noclegu w lesie, gdy my już do Odry się zbliżali, przyszła do mnie bez proszenia. Znam się przecie na dziewczkach, ale takiej jeszcze nie miałem. I kłam oczywisty, że się przedtem zadawała z szatanem, albo że czucia nie ma na ciełe. Żadnego smaku do innych po niej nie mam.

Jaskotel skrzywił się pociesznie a smutno i zamilkł.

Mieszko się uśmiechnął nieznacznie, a po chwili rzekł:

- To cię tak trapi, żeś osowiał, iż cię poznać nie można? No, gadaj dalej!

- Ii! nie to, jeno urzec mnie musiała, że się sam ze sobą policzyć nie mogę. Zgłupiałem tak, że wprost do Skarbna do rodzica zajechałem i, nie przywitawszy się dobrze, mówię, że się żenił z nią będę. Znacie mego rodzica, że się za kniazia ma bez mała. I wiecie, jak kłąć umie. Topora nawet na mnie chwycił. Nie bałem się, bo ręki wyżej głowy nie dźwignie, od tej rany, co ma na łopatce - wiecie: spod Cydzyny - ale kłąć tak jak on nie potrafię. Tedy jeno rzekłem, że wrócę z nią albo

wcale. Wszyscy się porozbiegali od ojcowego gniewu, jeno ona - choć wiedziała, o czym rzecz - słuchała, jakby o łośński śnieg chodziło i mówi, że za męża mnie nie chce, więc i gniew próżny. Jeszcze nie widział, by ojca kiedy tak zatkało. Zabrałem swoich i wyjechałem zaraz do Górki, nie bardzo wiedząc, co robić. Na dwór do Poznania nie mogłem z nią jechać, boby zaraz księża krzyk podnieśli za rozpustę, a czułem, że się od niej odczepić nie zdołam. Aż ci Geilana - bo takie jej imię - przychodzi i mówi, że zamierza wyjechać do Italii, gdzie ma rodzinę swej zmarłej matki. A że w Skarbnie wywiadziałem się, jako poselstwo ma jechać do Rzymu, na które nawet ojciec mój skarbów pożyczął, tedy myślę sobie: pojedziemy razem, może znudzi mi się po drodze jako inne, zresztą czas będzie przede mną, to się wszystko ułoży. Przebrałem ją po męsku, jakoście widzieli, i pojechałem.

Wolejby nie jechał. Stoigniew wraz zmiarkował, że to niewiasta jest. Gadać ze sobą zaczęli po italsku. Żeby to nie był Stoigniew, byłbym toporem rozłupał. Jechałem z nimi jak głupi ani wiedząc, o czym mówią. Nie mogę rzec, życzliwie na mnie patrzyła, ale na Stoigniewa całkiem inaczej. Czułem się jak szczeniak, co dobry do zabawy, ale na łowy się go nie bierze. Z tej zazdrości takim przy ludziach postępować z nią począł, że nawet ojciec Klemens, co jeno w niebo patrzył i modlił się tak zawzięcie, że wnet by z potrzebą wyjść zapomniał, pomiarkował, co jest, i wygnał ją. Tedy i ja z mymi Niemcami z nią się zabrałem.

Milczał przez chwilę, po czym ciągnął dalej:

- Jeszcze w Padwie widzieliśmy się ze Stoigniewem i tam się dowiedziałem dopiero, o czym Geilana z nim uradzała: O kniazia Bolka chodziło, żeby się Stoigniew do niego mógł dostać. Jej to wymyślił, by udał, że do klasztoru wstępuje i polecenia mu dała do różnych ludzi, którzy w razie czego w ucieczce pomóc mają. Dziwna to niewiasta, bo kiedym jej robił wyrzuty, że mnie do rady nie dopuściła, rzekła, że woli ze mną o czym innym mówić i jeno się śmiała, a ja nie umiałem jej wziąć do garści jako innych i jeno czułem, że zniosę wszystko, byle ino została przy mnie. Byłbym i w Italii na zawsze pozostał, byle z nią. Ale i tego nie dała. Kazała się do Salerno odwieźć, gdzie na lekarza się uczyć chce. Już mnie i to nie zdziwiło, bo ze wszystkim inna jest niż drugie. Ostatnią noc, gdyśmy się żegnali, wstyd powiedzieć, małom nie płakał. Gdy ją pytałem, czy to już na zawsze się żegnamy, rzekła:

„Jeśli ci warto - czekaj na mnie, a nie warto - zapomnij!” A gdy pytałem, czy ona mnie zapomni, odrzekła, że nigdy, i wierzę jej, bo i w tym od innych niewiast różna, że nigdy nie kłamie.

- Puściłem moich Niemców na wiatr - mówił dalej - i sam wróciłem do kraju. Na ludzi się patrzeć nie mogłem, ojcu się pokazać nie chciałem, jakom przyrzekł. Do Poznania też nie, żeby mnie księża nie ciągali za Geilanę. Przypomniałem sobie, że w bagnach na Sempnie pustelnik siedzi, com go raz na łowach spotkał, tedy u niego ulgnałem. Polubiliśmy się tak, że mi w swej samotni na kępie mieszkać zezwolił, choć zazwyczaj tam nie przyjmuje nikogo. Rzec mogę, że mi dobrze tam było, bo się tak żyje, jak drzewo w lesie, że człek ani nie wie, że czas płynie. Innym ludziom, co nieraz zajdą do niego po poradę lub leki, czekać każe przy wejściu na bagno, bo powiada, że mu gości płoszą. A ci goście, to ptactwo i zwierz wszelaki, który zachodzi do niego, że dziw bierze patrzeć, i nie boi się nic, a on gada z tym i zda się, że go rozumieją. A zaś ściemni się jeno, to znów gada do swych bliskich, co mu pomarli. Zrazu mi mrówki po grzbiecie chodziły, a potem takim się przyzwyczaił, że mi się zwykłym zdało, iż zmarli przychodzą do niego.

Jaskotel skończył, a książę, uśmiechając się życzliwie, powiedział:

- Może cię to usatkuje, gdyż, jako widzisz, psota nie zawsze się kończy, jak myślimy. Tym razem ci daruję, żeś się sobą bez mej wiedzy rozporządził. Do służby wrócisz i żeby mi tego więcej nie

było. A przestanieś rozmyślać, to śmiać się znów zaczniesz.

- Cóż ja robił będę? - zapytał Jaskotel markotnie. - Wojny nie ma i chyba nie będzie, kiedy książę Bolko w zakład dany. Do domu nie wrócę, a biskupowi też się nie chce pokazywać.

- Wojna będzie albo nie, moja rzecz. Tymczasem pojedziesz na pogranicze, jeńców, ile się da, nabrać. Jak to zrobić, twoja rzecz. Jeńców niemieckich chcę mieć jak najwięcej. Niechby się Bolkowi co stało, całe pogranicze obdartymi ze skóry obwieszę. Ludzi dobierz, ilu i jakich chcesz. A z wiosną powiesz Zbrozłowi posiłki cesarzowi na duńską wojnę. Możesz pojechać z nimi, jeśli się coś nie odmieni. Kłótnik jeszcze coś knuje, a cesarz jeszcze nie tak pewnie na tronie siedzi, jak mu się wydaje. Dawny wyraz psotnej wesołości pojawił się na twarzy Jaskotela.

Zatarł ręce i zawołał:

- Będziem jeździć z towarami na wabia wzdłuż granicy! Łatwiej ich na łup złowić niż wróbla na plewy.

Nie bójcie się, nawiozę wam jeńca, i to dobrego.

XI

Posiłki na duńską wyprawę.

Jaskotel nie mylił się, natomiast mylił się Mieszko. Zaledwie wrócił do Poznania, przyniesiono wiadomość, że cesarz złowił Kłótnika i uwięził go na zamku Gielheim. Przyjacieli jego, książę szwabski i biskup Abraham, ukrywać się byli zmuszeni. Księstwo oddał Otto imiennikowi swemu i bratankowi. Być może, że wynagrodzić chciał krzywdę, jaka zmarłego brata Ludolfa od ojca spotkała, a prędzej ułagodzić wroga, któremu łącznie przypomnieć się mogło, że to jemu właściwie wypadłoby siedzieć na cesarskim tronie, gdyby nie niechęć zmarłego cesarza do starszego syna. Bertolda, założyciela i margrabiego wschodniej marchii, cesarz wzmocnił kosztem Bawarii, rozstrzygając raz na zawsze współzawodnictwo między nią a Saksonią, na korzyść swej bliższej ojczyzny. Przeciw Haraldowi duńskiemu, za jego napaści, gotowała się potężna wyprawa, na którą wszyscy sprzymierzeńcy, a między nimi i Mieszko, posiłki mieli wysłać. Dla Mieszka stało się jasnym, że nie docenił młodego cesarza, który umiał radzić sobie z wrogami i słabe strony ich znał. Pozostawało nie mieć słabych stron, zachować spokój do czasu, a siły zbierać. Siły Mieszka były znaczne, lecz po kresach obszernej państwa rozproszone, do szybkiego zaś przerzucania nadawały się jeno oddziały konne, których nie było zbyt wiele. E Młodzież wprawdzie garnęła się chętnie pod znaki książęce, lecz koń i zbroja stanowiły tak znaczny majątek, że niewielu jeno najmożniejszych własne posiadało. Pozostałym książę dostarczać ich musiał i cały wysiłek na zbrojenie obrócił. Co więcej, gdy wrodzona zawziętość i rozum zgodnie trzymały uwagę jego na zachodzie, ogołacać ją do ostateczności wschodnie pogranicze. Sobiesław, który większe miał poczucie całości przez łączność swą z dynastią, szedł, jak mógł, na rękę Mieszkowym zamierzeniom, Lubor jednak stawiał bierny opór, a wreszcie sam przyjechał wykazując, że dalsze odciąganie sił ze wschodu może stać się groźnym.

Na radzie, która się odbyła, przedstawiono także księciu, że tak wyraźne gromadzenie sił nad niemiecką granicą może i dla Bolka nastroczać niebezpieczeństwo, i doradzano, by je przynajmniej po pogranicznych grodach rozproszyć, książę jednak wysłuchał zarówno przedstawień Lubora jak i innych w milczeniu i nie kryjąc się wcale, nadal siły gromadził tak, że Poznań jak wielki obóz przed walną wyprawą wyglądał.

Przybyli wreszcie posły od cesarza, z zapytaniem, co by zamierzał. Tym odrzekł, że dla cesarza właśnie zbiera posiłki. Gdy się o niepokoje na granicy i pobranych jeńców upominali, odrzekł, że cesarz dość ma sił, by sam spokój na granicy wprowadzić, a przede wszystkim powściągnąć łupieskich rycerzy, którzy napadają na kupców, a których i nadal księżę tępić nie omieszką. Co do jeńców zaś zapewnił, że krzywda ich nie spotka, czego rękojmię cesarz ma w jego własnym synu.

Graf Ewerhard, który brata i syna miał w niewoli, próbował nalegać, by księżę wykup przyjął, lecz Mieszko odrzekł mu drwiąco, że jeszcze jego mógłby dokupić, a gdy rozdrażniony poseł cesarski grozić usiłował, że cesarz zagniewany na zakładniku gniew wyrzucić może, rzekł:

- Proście Boga i łagodźcie cesarza, by się to nie stało, gdyż to wam święcie przyrzekam, że gdyby włos miał spaść z głowy mojego syna, skóry waszych swojaków, sianem wypchane, wam odeślę. Graf pobladł, ale Mieszko dobrze obliczył, gdyż Ewerhard, składając cesarzowi sprawozdanie z poselstwa, zataił wszystko, co by cesarza rozdrażnić mogło. Wspomniawszy natomiast o przygotowujących się posiłkach na duńską wyprawę, których jakość i uzbrojenie wychwalał wielce.

Niezwykle sroga i śnieżna zima ustąpiła miłej i pogodnej wiosnie, potem nastąpiło lato burzliwe i skwarne, gdy stanęło wreszcie gotowych do wyprawy trzystu konnych wojów, wybranych z tysięcy. Tłumy żegnać wyszły wyruszający oddział, któremu przewodzić miał Zbrozło.

Zjawił się on, jak zazwyczaj, nie wiadomo skąd, a gdy oddział stał już gotowy do drogi na dziedzińcu, u księcia jeszcze siedział, by odebrać ostatnie rozkazy. Dziwiono się powszechnie, że księżę kwiat swego wojska cesarzowi w pomoc wysyła, gdyż nikomu tajnym nie było, że stosunki są napięte. Wielu przypuszczało, że Mieszko podchlebić się chce tym sposobem cesarzowi, by bezpieczeństwo dla syna, a może zwolnienie zakładnika uzyskać. Tych wielce by zdziwiły rozkazy, jakie Zbrozło otrzymał. Nic jednak z martwej jego twarzy wyczytać nie było można, gdy wyszedłszy z dworca, konia sobie podać kazał. Ruszyli - klin potężnych ludzi i koni, z którego promieniowała siła. Jeden Zbrozło, jadący na czele, suchszy jeszcze wyglądał niż dawniej.

On jechał nie patrząc na nikogo. Gdy cały oddział wyszedł już na międzyrzecki gościniec, konia puścił w kłus, za nim inni, aż tupot kopyt i szczęk broni zakłóciły ciszę lasu. Jeszcze nie wyszły ostatnie szeregi za bramę grodu, gdy u Mieszka zjawiała się Dobrawka. Księstwo rzadko się widywali ostatnio, a spotykając się przelotnie, mówili o rzeczach obojętnych. Oboje unikali poruszania sprawy, która nie schodziła im z myśli, lecz wspólny ból zamiast ich zbliżyć, oddalał. Księżna ukrywała go uważając, że znieść to musi, jako dopust Boży, z pokorą, księżę - przez dumę oraz by nie dać poznać, że do sprawy zbyt wielką przywiązuje wagę, i słabości nie okazać. Powitawszy męża Dobrawka usiadła i czas jakiś siedziała w milczeniu. Mieszko wraz zmiarkował, że przychodzi z czymś, o czym trudno jej zacząć, czy obawia się. Patrzył na umęczoną, pożółkłą twarz żony i żał go ogarnął nad tą znękaną ciągłą obawą o syna niewiastą. Chcąc ułatwić jej wypowiedzenie, z czym przychodzi, zapytał:

- Pewnie ważnego coś was sprowadza? Mówcie szczerze. Jeśli zdołam, spełnię życzenie wasze. Dobrawka westchnęła z ulgą:

- Dziękuję, że mi pozwalacie, bo chcę mówić o rzeczach, z których nie zwykliście się zwierzać i sąd o nich nie do mnie, niewiasty, należy. Ale że wiążą się one z bezpieczeństwem syna naszego, przeto jako matka za obowiązek sobie uważam zapytać, co zamyślacie. Nie gniewajcie się, panie, ale sami pytać dajcie mi prawo.

- Chciałbym naprzód wiedzieć, co was niepokoi i o co pytacie?

- Niepokoi mnie los Bolka i wszystko, co na nim zawależy może.

Jawnie drażnicie cesarza swym postępowaniem, bez żadnych obsłonek ściągając wojska. Jaskotelowe łowy na pograniczu aż poselstwo cesarskie sprowadziły, a wasza odpowiedź ułagodzić cesarza nie mogła. Jedna chwila jego gniewu syna naszego życia zbawić może - tu głos Dobrawki się załamał i ręce splotła, aż zatrzeszczały stawy, a z zamkniętych oczu potoczyły się hamowane łzy. Mieszko, który początkowo słuchał słów żony z nietajoną niechęcią, widząc ten objaw rozpaczliwego niepokoju, podszedł do Dobrawki i kładąc jej rękę na głowie, powiedział miękko:

- Płaczcie, jeśli wam z tym lżej. I nie myślcie, że jeśli ja nie płaczę, to dlatego, że serca nie mam dla dziecka. Jeno mnie go pokazać nie wolno. Powiem wam, co myślę i zamierzam. Może wam to ulży, a może i mnie, gdy wam przynajmniej serce otworzę. Dobrawka, zakrywszy twarz, zanosła się płaczem, a Mieszko stał cierpliwie, patrząc na nią ze współczuciem. W piersi jego wzbierał zimny i zawzięty gniew przeciw sprawcy matczynego bólu i ślubował sobie osiągnąć cesarza w jego synu, jeśli go miał będzie. Dobrawka uspokoiła się po chwili i głosem jeszcze przez szloch przerywanym szepnęła:

- Mówcie, panie!

Mieszko chodził po komnacie, jakby rozmyślając, od czego zacząć:

- Nie będę tał przed wami, że niewolę naszego syna za nieszczęście uważam, nie jeno dlatego, że ojciec, ale że o kniaź. Potrzebny mi jest, by dalej prowadził dzieło, którego ja skończyć się nie spodziewam.

Przerwał, milczał przez chwilę, po czym ciągnął dalej:

- Czynię, co w mojej mocy, by go ocalić, ale i to być może, że daremnie. W wilczych jest pazurach. Zdarza się jednak przecie, że mrą i giną dzieci i młodzi. Nie tylko wołu, ale i ciolka skórę wieszają na ścianie. Czy przeto zginąć w upodleniu, na zagładę pójść mają plemiona, nad którymi, jak mówicie, Bóg mnie postawił?! Dobrawka milczała, nie podnosząc oczu, a książe mówił dalej i gorzko brzmiała w jego głosie:

- To, co wy myślicie, szepcą i inni: że głowę własnego syna stawię, byle swojego dopiąć. Ale myślcie tak, byle jeno to samo myślał cesarz.

- Jak to, panie? - spytała Dobrawka zdumiona.

- Cesarz wydarł mi syna, bo słaby byłem. Gdybym te siły miał, co dzisiaj, nie byłby go dostał. Może byłbym go i tak nie dał, lecz przeliczyłem się z rachubą na śmierć starego Ottona i na Kłótnika. Stało się! Ale gdybym poznać dał, iż cesarz ma mnie w ręku, takich Hodonów miałbym na karku co dzień, ażby stopniała cała siła, którą zebrał. A wtedy co? Byle pacholek mógłby ubić Bolka, z własnej ochoty, bo przeciw słabemu, który już dźwignąć się nie może, niepotrzebny zakład.

Mieszko przerwał znowu, hamując wzburzenie. Dobrawka siedziała zmaląta i skurczona. Nadażała myślą za mężem, lecz serce jej rozdzierało się od bezradnego bólu. Los rzucił ją między młyńskie kamienie tych ścierających się sił, na przepadłe. Nie umiała serca, jak Mieszko, twardszym niż one kamieniem uczynić. Słuchała jak skazaniec wyroku, od którego nie ma odwołania, gdy Mieszko ciągnął dalej:

- Prawda jest, że gram o Bolkową głowę, ale gdyby nie to, musiałbym ją za przegraną uważać. Rosnę w siłę, a im silniejszy będę, tym zakładnik potrzebniejszy i tym pewniejsze jego życie, choć i trudniejsze wydarcie go, bo jako oka w głowie strzec go będą. Aż przyjdzie ten czas, że wydać go będą musieli lub siłą go wydrę czy podstępem. Ale cesarz wiedzieć musi, że ręce czuję wolne. Inaczej przepadnie wszystko, nie tylko Bolko, ale i dzieło mego i moich przodków życia.

Mieszko umilkł i patrzył na Dobrawkę, w smutku pogrążoną. Po chwili zapytał:

- Zrozumieliście mnie? I cóż wy na to?

- Ta gra trwać może lata!

- Może! - odparł Mieszko. - Ale lepiej lata czekać, by wygrać, niż przegrać zaraz. Bądźcie dobrej myśli. Wasz smutek i mnie siłę odbiera.

Tu Mieszko zaciął się, po czym, jakby przełamując wewnętrzny opór, rzekł zduszonym głosem:

- Myślicie, że nie widzę i że mi obojętne, iż w trosce i żalu żyjecie? I że żal ten przeciw mnie się zwraca i znowu sam jestem ze sobą!

Dobrawka podeszła do męża, kładąc serdecznie rękę na jego ramieniu:

- Póki żyję, serce moje jest z wami. A żal swój Bogu ofiaruję.

Może powoła mnie do siebie, bo matką jeno jestem i nie dorosłam wam w tej walce, którą prowadzicie.

- Nie mówcie tak! - odparł Mieszko. - Zawsze myślałem, że starość razem spędzimy, gdy Bolko już troski z mej głowy zdjąć będzie zdolny. Za młodu lżej znosiłem samotność, widno i do tego siły potrzeba. Zbyt mało dbacie o swe zdrowie.

- Nie miejcie mi za złe, ale czekam śmierci jak wybawienia. Synów wam więcej nie dam, jako wicie - rzekła rumieniąc się Dobrawka - lżej by wam było, gdyby Bolko nie był jeden. Skierowała się ku wyjściu z wahaniem, jakby jeszcze coś rzec chciała, po czym, zwróciwszy się ku Mieszkowi, zapytała:

- Dlaczego posiłki do Danii powiódł Zbrozło? Zawsze niespokojna jestem, gdy on się ukaże.

Mieszko milczał przez chwilę:

- Bo on tylko sam postanowić potrafi niemylnie, czy po cesarskiej stronie walczyć będę, czy przeciw niemu - odparł. Dobrawka westchnęła. Ten świat walki, w którym całym swym jestestwem tkwił Mieszko, był jej obcy, niezrozumiały i wrogi. Wiedziała, że tak być musi, lecz czuła też, że jej prosta i szczerą duszą jedynie w Bogu znajdzie wypoczynek.

XII

Pod Wiglesdor

Zbrozło ciągnął na Branibor, gdzie zastał cesarskiego posłańca z rozkazem, by szedł ku ujściu Łaby, i tam się połączył z wojskami cesarskimi, wracającymi z wyprawy na Buszut, skąd dalej na Szlezwik podążać mieli.

Harald, przestrzeżony o wyprawie, zbroił się gorączkowo. Osłabiony wewnętrznym zamętem, nie mógł się spodziewać, że sprosta cesarzowi w polu, choć pomoc uzyskał od norweskiego Hakona. Wzmacniał więc co prędzej wał, zwany Danewirke, który zbudował na granicy niemieckiej, i bramę Wiglesdor otoczył zasiekami i jak mógł obsadził.

Po znojnym i burzliwym lecie nadchodziła spokojna i wczesna jesień. W pierwszych dniach września wichry ustały i dni zaczęły się ciepłe, choć wieczorami chłód już dotkliwy dokuczał wojskom, które za dnia obozem stały, ukryte w lasach, a szły w ciemnościach dla niepoznaki, by z nagłą uderzyć.

Dotarli wreszcie na godzinę drogi od wału i cesarz wstrzymał wojska, by dać im wypoczynek oraz wydać ostatnie rozkazy przed bitwą. Zżymał się, że Mieszkowe posiłki jeszcze nie nadażyły, choć rozpoczęcie boju zależnym było tylko od otrzymania wiadomości o wyniku walki posiłkującej floty szwedzkiego Olafa z duńską i norweską, gniewała go opieszałość „sojusznika” i niemożność

powzięcia ostatecznego postanowienia, tym bardziej że wieści od Olafa spodziewał się każdej chwili. Jeśliby Olaf przemógł i udało mu się wojska w kraju nieprzyjacielskim wysadzić, cesarz zamierzał uderzyć wstępnym bojem i przebiwszy się przez wał, jednym zamachem wziętego z dwóch stron nieprzyjaciela zniszczyć lub zmusić do poddania.

Po pogodnym, bezwietrznym dniu zapadał spokojny wieczór. Na ciemniejącym błękitnie nieba lśnił coraz jaskrawszy, jak polerowane srebro, młody księżyc.

Pod ścianą boru, przy wejściu do namiotu, przed ogniskiem siedział cesarz w otoczeniu swych wodzów.

Mąż to był dopiero w siłę wieku wchodzący, niskiego wzrostu, szczupłej budowy. Twarz znamionowała nieprzeciętnego człowieka, nad którego myślą jednak górowała namiętność. Za młodu w rozpuście wyżyć się ona musiała, gdyż wyraźne ślady rozwiązłości pożłobiły oblicze przedwczesnymi zmarszczkami. Na pierwszy rzut oka poznać było można władcę i wojownika, lecz majestat jego skażony był chytrą, a męstwo zimnym okrucieństwem. W tej chwili malowała się na twarzy cesarskiej gniewna niecierpliwość. Naprzeciw cesarza siedzieli na pieńkach wodzowie jego: Bernard, duk saski, człowiek młody, cokolwiek otyły, o dobrotliwym wyrazie twarzy, starzejący się już Henryk, komes stadeński, i biskup Poppo, którego godność duchowną jedynie po złotym krzyżu na piersiach i pierścieniu na palcu poznać było można, gdyż uzbrojony był jak drudzy. Gromadka dworzan i knechtów krzątała się po polance, przygotowując widocznie wieczerzę, kilku rycerzy zaś stało z uszanowaniem z tyłu za panami. Z lasu, gdzie zgromadziły się wojska, dochodził szum obozu i coraz to nowe ognisko rozświecało ciemną już zupełnie głębię boru.

W gwarze wybijać się zaczął jakiś głos inny, zrazu niewyraźny, w którym po chwili dał się rozeznąć tętent licznych kopyt i szczęk broni: Cesarz podniósł głowę i nasłuchiwał, po czym skinął na stojącego za nim dworzanina:

- Popatrz, Etelger, kto przyjechał.

Dworzanin skoczył w kierunku głosów, zaś Henryk ozwał się:

- Pewnie polańska jazda przyszła.

Jakoż po chwili w krąg światła weszło kilka postaci i zbliżało się ku cesarzowi. Cesarz dłonie oparł na kolanach i patrzył, a oczy wszystkich obecnych skierowały się ku nadchodzącym. Na czele szedł mąż średniego wzrostu, suchy, z krótką, rozwichrzoną brodą i opadającymi na oczy brwiami. Ubrany był w skórzany kaftan, przepasany rzemiennym pasem, z którego zwisał krótki miecz w prostej pochwie, za pasem zaś tkwił nóż. Za nim postępował młodzieniec w pierwszych latach młodości, o głowę wyższy od niego, smukłej i pięknej postawy, oraz niewiele od tegoż starszy, ciężki olbrzym, obydwaj ubrani w świetne zbroje, z bronią bogato zdobioną.

Podszedłszy stanęli, pokłonili się cesarzowi i czekali na jego odezwanie. Stali bokiem do ognia, tak że twarze ich były w cieniu. Starszy patrzył na cesarza, nie zwracając uwagi na innych, młodzi zaś rozglądali się ciekawie, choć nieznacznie. Cesarz na pokłon lekkim skinieniem głowy odpowiedział.

- Nieśpieszno wam było. Niewiele brakło, a po bitwie byście przyjechali - rzucił zgryźliwie.

Zbrozłó skinął spokojnie głową i odparł:

- Nie chcieliśmy koni zmarnować, a waszego zwycięstwa, panie, byliśmy i tak pewni. Bóg trzyma z silnymi.

Cesarz zmarszczył się, zaś biskup Poppo rzekł gniewnie:

- Bóg wybrańcom swym siłę daje, by z nich narzędzie woli swej uczynić.

- Nie musicie być jego wybrańcem pogardliwie przez ramię odparł Zbrozłó.

Duk Bernard, który nie lubił kościelnych dostojników żal mając za ojca, parsknął przytłumionym śmiechem, rad, że Popponowi przygryziono. Nalana twarz biskupa poczerwieniała z gniewu, lecz cesarz przerwał:

- Dostyc! Uderzymy tej nocy lub jutro. Staniecie tymczasem obozem koło łużyckich tarczowników biskupa Poppona. Konie rozsiodłać, lecz w gotowości być. Możecie odejść!

Zbrozło skłonił się, zrobił ruch, jakby zamierzał się odwrócić, po czym rzekł:

- Zapomniałem pokłonić się wam od kniazia, panie!

Cesarz patrzył w twarz mówiącego. Czuł w jego zachowaniu umyślne zuchwalstwo, lecz przed bitwą wolał udawać, że go nie dostrzega. Nie odrzekł nic, jeno ręką skinął i Zbrozło zwrócił się ku odejściu. Poppo, nie zgryźszy jeszcze gniewu, rzucił za nim:

- Gdybyście nie wiedzieli, gdzie stanąć macie, za smrodem do tych psów traficie.

Zbrozło odwrócił się ku niemu tak, że płomień oświetlił jego twarz, jeno głęboko wpadnięte oczy pozostały w cieniu i łagodnym głosem powiedział:

- Przecie to wasze owieczki!

- Parszywe owce! - wrzasnął Poppo nie panując nad dziwnym rozdrażnieniem, w jakie wprowadzał go ten człowiek.

- Znałem ich z dawna i nie byli parszywi. Od pasterza sparszywieć musieli - rzekł Zbrozło obojętnie.

Poppo zerwał się z pieńka, lecz duk Bernard, który rad śledził widoczną zadzierkę między nowo przybyłym a nie lubianym biskupem, parsknął śmiechem tak zaraźliwym, że udzielił się wszystkim obecnym. Cesarz patrzył przenikliwie na dziwaczną postać Mieszkowego wodza, po czym dłonią uderzył w kolano i krzyknął:

- Milczeć!

Ucichło wszystko i w ciszy tej Zbrozło z towarzyszami spokojnie odszedł ku swoim. Cesarz odprowadził ich nieodgadnionym wzrokiem i zwracając się do Henryka rozkazał:

- Pójdziecie popatrzeć, jakie to wojsko Mieszko mi przysłał.

Henryk wstał i w towarzystwie jednego z rycerzy skierował się za Zbrozłą, zaś Poppo, nie panując nad sobą, skoczył ku Bernardowi, przeciw któremu, z braku bezpośredniego winowajcy, zwrócił się jego gniew. Nie bacząc na obecność cesarza klócić się poczęli, na co cesarz patrzył ze złośliwym uśmiechem. Niezgoda i niechęć między świeckimi a kościelnymi dostojnikami była mu na rękę. Połączeni przedstawialiby siłę, która cesarzowi mogła się stać niedogodną. Po chwili wstał i wszedł do namiotu, spuszczaając za sobą zasłonę.

Nazwa parszywego pasterza na długie lata przyłgnęła do Poppona, a później niejedyn inny duchowny obdarzony nią został, tak że wiele lat potem piszący kronikarz żali się, iż obelżywe słowo przeciw duchowieństwu w ustach złych ludzi po jego czasy przetrwało.

* * *

Wąski skrawek księżyca zasunął się za czarny widnokrąg i świat zaległa głęboka noc. Światła niemieckiego obozu zaczęły przygasać i szum jego przycichł. Pod sklepieniem zaś koron olbrzymich drzew, gdzie stała jazda polańska, ciemność była nieprzenikniona i cisza prawie zupełna, jeno miarowy chrzęst żucia pasących się opodal koni, a czasem głucho uderzenie kopyta wskazywało, że wojsko stoi. W ciemności ledwo można było rozróżnić pnie drzew, jedne smuklejsze, których zarysy ginęły pod ciemnym sklepieniem gałęzi, zaledwie tu i ówdzie przeświecającym skrawkiem nieba - inne przysadziste, dziwacznie powyginane, rozchodzące się w potężne konary, nieraz zwisające

nisko, których zazajoną obecność można było raczej wyczuć, niż spostrzec. Spod takiego pnia leśnego pradziada szept jakiś rozległ się zdradzając obecność ludzi.

- Przejrzeliście wojska cesarskie? Co myślicie poczynać? - spytał Jaskotel.

- Przejrzałem. Cesarz ani chybi zwycięstwo odzierży, choćby Olafowi wojsk na ląd wysadzić się nie udało - odparł Zbrozło.

- Tedy po cesarskiej stronie będziemy walczyć. Mnie tam zajedno.

- Jeśli się da, po żadnej. Szkoda każdego człeka i konia, kiedy się wrogi niszczyć będą między sobą.

- Tyli kawał kraju zjechać, by z niczym wracać do domu?!

- Młodyś! Spieszysz się, bo czasu masz dużo. Jeszcze ci walka obrzydnie, gdy już nadmiaru sił mieć nie będziesz, a walczyć trzeba będzie dalej, nie dlatego, że się chce, jeno że się musi.

- Bogać tam! - zaśmiał się cicho Jaskotel. - Rodzic mój stary, a że walczyć nie może, w domu wojnę robi.

- Ale zważ, że każdy, kto legnie, wrogowi czyni miejsce.

- Co tam myśleć o tym. Radziej powiedzcie, co zamierzacie, gdy cesarz każe uderzyć.

- Tedy bić będziemy, kogo popadnie, jeśli w nocy walczyć przyjdzie.

Jaskotel chciał coś rzec, lecz Zbrozło syknął. Z głębi lasu dochodził głuchy tętent kilku pędzących koni, a zaraz gdzieś straż się ozwała.

- Pewnie od Olafa posłańce! - zauważył Zbrozło. - Zaraz się pójde wywiedzieć.

Wstali, lecz nim zrobili kilka kroków, ruch się wszczął w niemieckim obozie i zajaśniały znów podsyczone ogniska. Nie ulegało wątpliwości, że wojska sposobią się do pochodu. Zbrozło polecił Jaskotelowi budzić śpiących i siodłać konie, sam zaś udał się do cesarza. Po drodze już jednak natknął się na Etelgera, biegnącego z rozkazem. Piesi ruszali przodem, jazda za nimi, oddział polański zaś zamykał pochód. Pośpiech nakazano, widno cesarz uderzyć chciał, póki świtać nie zacznie.

Długi wąż cesarskich wojsk popełznął w ciemnościach i wynurzył się ze zwartego lasu na otwarty kraj. Od czasu do czasu mijał jaśniejsze zwierciadło jeziora, czasem bagno chlupotało pod nogami. Szli szybko, w milczeniu, jeno chrzęst broni i tupot kopyt zdradzał pochód. Wszyscy czuli napięcie zbliżającej się bitwy. Nagle z dala, na przedzie, rozległy się krzyki i odgłosy walki. Widno straże przednie natknęły się na przeciwnika. Nim doleciały rozkazy, pochód stanął.

Cesarz, widząc, że zaskoczenie jeno szybkim uderzeniem może jeszcze wyzyskać, bezzwłocznie pchnął pieszy lud. Poszli biegiem, gdyż wał był już w oczach i odcinał się ciemniejszą smugą od niebosłonu. Prawe skrzydło powiódł duk Bernard, lewe graf Henryk, cesarz zaś sam dowodził głównym uderzeniem, które na bramę Wiglesdor było skierowane. Dowództwo jazdy powierzył Popponowi, który podsunąć się miał jak najbliżej, by w chwili, gdy umocnienia przed bramą będą przełamane, wtargnąć w głąb nieprzyjacielskich stanowisk i walkę rozstrzygnąć.

Wraz z innymi posuwał się pod bramę Zbrozłowy hufiec. Noc jeszcze była ciemna, lecz po chwili rozjaśniły ją główne, miotane przez pieszy lud na drewniane częstokoły i umocnienia, a wkrótce luna pozwoliła rozeznąć, że środek ten był skuteczny. Na tle płomieni ukazały się drobne cienie napastników, czasem zaświeciła czerwonym odblaskiem zbroja któregoś z obrońców, którzy z wału miotali pociski.

Wrzaski na skrzydłach na chwilę ustały, gdyż przez płonące zasieki i częstokoły drzeć się nie było można, natomiast piechota co duchu ciąć jęła sitowie, gałęzie i całe drzewa, by zarzucić nimi

rów, napełniony wodą. Jeno pod samą bramą walka wrzała zacięta i co chwilę fala napastników, odparta, odpływała, by uderzyć znowu. Cesarz rzucał oddział za oddziałem, by wejście otworzyć. Byle jeno przemoc się dało, pewny był zwycięstwa, gdy jazdą będzie mógł uderzyć. Coraz też nasłuchiwał, czy wrzasków wewnątrz nieprzyjacielskiego obozu nie usłyszy, oznajmiających nadejście Olafa. Wkrótce płomień zaczął przygasać, jenó żar wąską linią przedzielał czarne od nadchodzącego deszczu niebo od czarniejszej jeszcze ziemi. Walka rozszalała znów na całej linii, lecz obrońców widno ściągnięto z dalej położonych części wału, gdzie uderzenie nie było skierowane, gdyż opór coraz był potężniejszy. Zdziesiątkowany i znużony pieszy lud miękcej już zaczął uderzać, tak że cesarz spostrzegł, iż jezdnych spieszyć będzie trzeba, gdyż inaczej wejścia nie przemoże. Lepiej zbrojni, mniej byli na pociski nieprzyjaciela narażeni, a wejście co prędzej uzyskać należało. Olaf widocznie związany był walką, skoro nie nadchodził; jeśli go zniosą osobno, cała wyprawa chybić może. Pierwsza podeszła jazda Poppona i poza zasięgiem strzał zeskoczywszy z koni, puściła się biegiem. Dotarli aż pod samą bramę, którą zaczęli rąbać, lecz taki grad belek, kamieni i wszelkich pocisków posypał się na nich, że zaraz cofnąć się musieli, kilkunastu ludzi wśród sterty zwalonych belek zostawiając.

Do Zbrozły przyskoczył goniec z rozkazem, by stu ludzi pod bramę podsunął. Zbrozło, wydzieliwszy żadaną liczbę, stanął na czele, by ich poprowadzić, lecz w tej chwili doskoczył Jaskotel.

- Pozwólcie mnie ich powieść, bo spać mi się chce i zziębłem - prosił.

- Chcesz, to prowadź - rzekł Zbrozło - jenó pomnij, że to ludzie kniaziowi, a sprawa nie jego.

- Dobrze! - krzyknął Jaskotel już w pędzie. Dopadli na strzał z łuku i zeskoczywszy z koni, szczyty dzierżąc przed sobą, pobiegli. Na czele Jaskotel z Gołuchem w biegu wydawał rozkazy.

Dopadli i połowa, stanąwszy, z łuków jęła razić obrońców przy ledwo już przeświecającym blasku dogasającego pożaru. Pozostali sprawnie, silnymi dłońmi wyciągali belki i ustawiali je opierając o bramę, by ochronę stworzyć dla rąbiących. Gołuch tu znalazł pole do wykazania swej siły. Skoro tylko kilka belek stanęło, tworząc jaką taką osłonę przed nowo zrzucanymi, Jaskotel sam, porwawszy topór, doskoczył, a z nim kilku innych i bramę co sił rąbać jęli. Położenie dla obrońców stało się groźne; osłabiona już poprzednio brama, choć z potężnych beli dębowych zbita, trzeszczała. Obrońcy zapalili beczkę smoły, by ułatwić sobie rażenie napastnika, lecz czerwone światło, które zalało znowu krąg walki przy bramie, i ich samych uczyniło lepszym celem dla polańskich łuczników. Wrzask się wszczął przy bramie okrutny, a i na skrzydle dowodzonym przez Bernarda krzyki wzmożyły się oznajmiając, że i tam coś niezwykłego się dzieje.

Gołuch, który omackiem belki ze stosu wyciągał, gdy światło zapłonęło, przewidział nieco, i spostrzegłszy u stóp olbrzymi głaz dźwignął go i puścił w środek bramy. Tego ciosu nie wytrzymało osłabione już skrzydło i z trzaskiem runęło, a wraz z nim wsparte o nie belki. Cesarz, który, nie bacząc na niebezpieczeństwo, przysunął się co bliżej, natychmiast rzucił nowy oddział i choć otwór zaczerpnął się od obrońców, napastnicy drzeć się zaczęli przez bramę i wciskać do obozu. Polańska jazda kopnęła się do koni, jenó Gołuch pozostał wypatrując Jaskotela. Walka przenosiła się za bramę i przy wejściu trochę przycichło, lecz w tej chwili nadbiegł sam cesarz na czele hufca wyborowej jazdy i przez sterty belek i zwałiska jazda wlewała się do obozu duńskiego, a hałas począł się oddalać.

Bitwę można było uważać za wygraną, lecz do jej końca było daleko. Harald, widząc, że umocnienia przełamane, ściągnął wojska z całej przestrzeni wału i coraz nowy oddział, choć bez

ład, rzucił się w skrzęt; zamieszanie uczyniło się zupełne. Ciemność stała się mniej głęboka, jaśniejszy pas nieba na wschodzie zwiastował nadchodzący dzień.

Gołuch darmo przez chwilę nawoływał Jaskotela. Dopiero gdy wrzaski oddaliły się, postłyszał skądś słaby głos. Idąc za nim odrzucać zaczął leżące belki. Przy niepewnym świetle ujrzał jakieś nogi, wystające spod tramu. Gdy dźwignął go, poznał Jaskotela po zbroi. Leżał twarzą do ziemi. Gdy Gołuch belkę odsunął, Jaskotel odetchnął głębiej i usiłował się podnieść. Gołuch porwał go i uniósł w bok, gdyż właśnie szła jazda Zbrozły, by rozstrzygnąć bitwę. Z obu stron wszystkie wojska były już w walce: Bernard i Henryk wdarli się do obozu, gdy Harald obrońców ściągnął, by kupą odpór dać napastnikom.

Gwar bitewny zaczął przycichać, widno cesarscy przemogli i Harald zmuszony był ustępować. Pobojowisko zaległa cisza, jeno tu i ówdzie widać było w świetle wstającego dnia pojedynczych ludzi, ciągnących ku pozostawionym z tyłu taborom, krzątających się przy opatrywaniu rannych lub obdzieraniu trupów. Promień wschodzącego słońca przedarł się przez wąską szczelinę między nieboskłonem a sklepieniem chmur, zalewając świat żółtym światłem, lecz zaraz zgasł. Pociemniało i zaczął padać deszcz, zrazu jeno kroplami, lecz wkrótce rozpadał się na dobre. Gołuch niósł Jaskotela pod osłonę zagajnika, gdzie stała część polańskich koni z kilkoma pacholkami. Palili ognisko, by wracającym strawę przygotować po przepracowanej, bezsennej nocy. Gołuch po drodze czuł, że Jaskotel przelewa mu się w rękach zwiotczały, przyspieszył tedy kroku i dotarłszy do ogniska, złożył go na murawie.

Twarz Jaskotela była sinoblada, oczy zamknięte. Gołuch stanął nad nim strapiony, nie wiedząc, czy żyje i co z nim począć. Obstąpili ich zaraz ludzie, a brodaty Szczodrocha, który znał się na leczeniu, chlupnął kubek wody w twarz Jaskotela. Jaskotel drgnął, odetchnął głęboko i otworzył oczy. Spojrzał na stojących nad nim ludzi i spytał ze zdziwieniem:

- Zaspałem?

- Juścić! - zaśmiał się Szczodrocha. - Wodą was polać musiałem, by obudzić.

Jaskotel chciał powstać, lecz jęknął i zagryzł wargi z bólu. W tej chwili przypomniał sobie dzieje ubiegłej nocy aż do chwili, gdy przywalonego belkami ktoś wyciągnął. Nie mógł poruszyć prawą nogą, a w krzyżach czuł ból tak nieznośny, że choć usiłował się uśmiechnąć, jeno usta wykrzywił, zimny pot wystąpił mu na czoło i począł drżeć.

Szczodrocha kubek mu podał z gorącą polewką, po czym jął go obmacywać ostrożnie. Prawa noga była złamana poniżej biodra, zresztą cały był, jeno potłuczony belkami, które obsunęły się, gdy Gołuch wywalił bramę. Jaskotel przypomniał sobie teraz dokładnie przebieg walki i wypadku i zwracając się do Gołucha spytał ze złością:

- Tyś prasnął kamieniem w bramę?

- Ja! - odparł zapytany.

- Czemużeś, niedołego, nie krzyknął, że bramę będziesz wywalał?!

Byłbym spod belek uskoczył, a tak mnie przytłukły jak lisa w paści.

- Nie myślałem, że się brama rozleci - odparł Gołuch zakłopotany.

- To po cóżeś ciskał kamieniem?

- Bo chciałem bramę rozwalić.

Jaskotel, któremu znów płatki latać zaczynały przed oczyma, warknął:

- Poczekaj, jak wyzdrowieję... - chciał coś więcej rzec, lecz znów omdlał.

Jęto go cucić i poić grzanym miodem, który pił chętnie, tak że wkrótce podchmielił sobie i

zasnął. Gołuch okrył go skórą i siedział przy nim, srodze strapiony, lecz że sam znużony był nie spaną nocą, zasnął również głęboko.

Jaskotela zbudził ruch i gwar licznych głosów. Otworzył oczy, lecz zmrużył je zaraz od blasku. Niebo było pogodne, bez chmurki, słońce schodziło już z południa, lekki, ciepły powiew poruszał liśćmi zagajnika. Nad nim stał Zbrozło.

Jaskotel uśmiechnął się i chciał dźwignąć, lecz krzyże zabolowały go, aż pot wystąpił mu znowu na czoło. Nie omdlał jednak i czuł się rzeźwiejszy, jeno noga złamana zdrętwiała. Zbrozło polecił rozebrać Jaskotela i obejrzał go dokładnie. Krzyże miał całe, jeno stłuczone, a kość udową złamaną. Noga opuchła i zsiniała. Jaskotel patrzył na nią strapiony, a i Zbrozło zasumował się wyraźnie.

- Cóż tak nad moją nogą dumacie? - spytał Jaskotel. - Nie będzie z niej nic?

- Młodyś, to się zagoi, jeno złożyć trzeba i w spokoju ostawić. Co ja, z tobą pocznę?

- A co by?! Poleżę, aż będę mógł jechać - rzekł uradowany Jaskotel.

- My zaraz odjeżdżać musimy, ani myśleć, by ciebie brać się dało.

- Albo co?

- Wojna skończona, bo Harald poddał się i syna Swena w zakład daje, że pokoju dotrzyma.

Wracać i tak by trzeba, wołę jednak pośpieszyć. Przejechaliśmy się przez Popponową jazdę, że nie wiem, czy jeden cały pozostał. Skrzęt wprawdzie był i ciemno jeszcze, ale Poppo dowie się, a już był cięty. Nie omieszka cesarza podjudzić, a cesarz i tak w szczerą naszą nie wierzył. To rzekłszy łupki kazał przygotować, by nogę Jaskotelowi nastawić. Gołuch stał przypatrując się przygotowaniom. Zbrozło nienaturalnie wykręconą nogę ujął w miejscu złamania i wskazując na nią oczyma Gołuchowi rzekł:

- Ciągnij!

Gołuch ujął za stopę i pociągnął.

- Ty kłodo dębowa! - ryknął Jaskotel. - Naprzód mi nogę złamał, a teraz wyrwać mi ją chce z tyłka. Och!

- Już! - rzekł Zbrozło i obwiązywał wprawnie łupki. Jaskotel leżał mokry od potu, zaś Zbrozło ozwał się:..

- Teraz z miesiąc poleżeć musisz spokojnie, jeno gdzie?

Stał jeszcze zadumany nad ciężko dyszącym Jaskotelem, gdy posłaniec przybiegł mówiąc, że cesarz go wzywa. Zbrozło zastanowił się chwilę. Dał rozkaz, by do drogi się sposobić i powierzywszy dopilnowanie setnikowi Lisowi, sam wolnym krokiem skierował się do cesarskiego obozu.

Cesarz siedział w otoczeniu wodzów i starszyny. Gdy Zbrozło nadszedł, zamilkli wszyscy, widno o nim była mowa.

- Nieśpieszno wam swoją część łupów odebrać? - spytał cesarz, a w głosie jego czuć było drwinę.

- Niepotrzebne mi. Chętnie swoją część Popponowi odstąpię - odparł Zbrozło obojętnie, tak że poznać nie można było, czy drwi również, czy bierze cesarskie słowo za dobrą monetę.

- Nie odstępujcie, co nie wasze - rzekł Poppo gniewnie.

- Myślałem, że słowo cesarskie za czyn stoi. Łup się nam należy jako innym albo lepiej, bo moi to ludzie bramę wybili.

- Prawda i to! - rzekł cesarz chmurnie. - Jeno chciałbym wiedzieć, jak się to stało, że Popponowa jazda rozbita została. Wyście to przecie uderzyli, gdy się szcepili z Hakonowym ludem.

Zbrozło wzruszył ramionami i odparł:

- Ciemno było i skrzą. Trudno się pytać każdego, kto zacz, nim się uderzy. Co zresztą

Popponowi po jeździe - wyraźne wyzwanie zabrzmiało w głosie Zbrozły. - Nie będzie miał wojska, to swych nieudanych owieczek pilnował będzie, miast wojować. „Ecclesia abhorret a sanguine”, jak mi w Rzymie mówiono. Poppo chciał coś odkrzyknąć, lecz cesarz rękę podniósł. Patrzył na dziwną postać tego słowiańskiego wodza, który znał język Rzymian, ubrany był jak prosty wojownik, łupów nie chciał, a w każdym jego słowie i ruchu czuć było, że cesarska potęga niczym dla niego. Cesarz nie mógł zrozumieć ani jego, ani Mieszka, nie wątpił bowiem, że dowódca posiłków polańskich nie na własną działał rękę.

Chciał sobie zostawić czas, by sprawę i dalsze postępowanie przemyśleć, więc rzekł:

- Postanowię po rozważeniu sprawy. Tymczasem z nami pociągniecie do Halbersztadu.

- Polan droga krótsza na Branibor - odparł Zbrozło.

Gniew wystąpił na cesarskie oblicze. Nie przywykł do oporu, zwłaszcza ze strony słowiańskiego panka i to w swym własnym obozie. Rzucił wyniośle:

- Pojedziecie, gdzie wam każę, a puszcę was, gdy sąd odprawię.

Nie zapominajcie, że szczeniak waszego kniazia jest w moim rękę.

- Nie zapominamy! - odparł Zbrozło obojętnie. - Gdy się ma jedną strzałę w kołczanie, dobrze rozważyć trzeba, nim się ją wypuści. Gdyby mu się coś stać miało, stracie zakładnika. A ci, których my w rękę mamy, zostaną.

- Mam jeszcze w rękę was i waszych ludzi - rzekł cesarz groźnie.

Poruszenie powstało między obecnymi. Wszyscy czuli, że zmagają się dwie siły, jedna znana i uchwytna, druga niezrozumiała i przez to lęk budząca.

Zbrozło zarechotał drewnianym śmiechem, który nie poruszył ani jednej zmarszczki na jego twarzy, i odparł:

- Wiatr macie w rękę, spróbujcie go zatrzymać.

To rzekłszy odwrócił się i skierował ku swoim. Kilku śmielszych zastąpiło mu drogę. Szedł wlepiwszy w nich swe bezbarwne oczy, jakby powietrze miał przed sobą. Żaden nie sięgnął rękę, rozstąpili się i przeszedł nie śpiesząc się. Zaległo niepewne milczenie, które przerwał cesarz. Wstał i rzekł:

- Biskup Poppo, duk Bernard i graf Henryk ze mną na naradę.

Nie spojrział na nikogo i wszedł do namiotu, a za nim wezwani.

Pozostali rozchodzili się szepcąc lękliwie między sobą. Cesarz wrzał, lecz starając się nic po sobie nie okazać odezwał się, gdy usiedli:

- Chciałem zdania waszego zasięgnąć, nim postanowię, jak postąpić z polańskim kniazem.

- Wojsko ruszyć i wyciąć tych ludzi, a pomiot jego zadusić! - niemal krzyknął Poppo.

- Tak radzi serce, ale rozumu poradzić się wypada. Mówcie wy, Bernardzie. Od dziecka tu siedzicie i lepiej, niż ja sam, umiecie się wyznawać w tych sprawach.

- Czarownika wam Mieszko przysłał, by uroki rzucał. Ludzi naszych wytracił i z waszych rozkazów drwił. Słyszane to rzeczy, by jeden człowiek wbrew cesarskiemu rozkazowi uszedł spomiędzy ludzi i rękę nikt nie podniósł, by go powstrzymać! - krzyknął Poppo.

Cesarz z pewną niecierpliwością odparł:

- Wysłucham duka Bernarda, potem postanowię.

Bernard namyślał się przez chwilę, po czym powolnie i przerywając, jakby się zastanawiał nad

każdym słowem, przemówił:

- Jeśli czarownik, i tak ujdzie, jeszcze zła narobi - przeżegnał się nieznacznie. - A nawet jeśli nie, trzystu takich ludzi, jakich ma, kosztować może dużo. Widzieliśmy ich w bitwie. Harald z Hakonem jeszcze stoją. Niech się bitwa wywiąże, może cała wyprawa, tak pomyślnie zakończona, inny jeszcze wziąć obrót.

Cesarz zaklął z pasją:

- Haraldowego szczeniaka mam już w ręku.

Bernard odparł:

- I Mieszkowego macie, a patrzcie, jak sobie poczyną! Mieszko śmiały jest i chytry a zawzięty. Gotów i syna głowę stawić, jak widno, byle swego dopiąć. A jedno wiem. Gdyby nie wiara chrześcijańska i nie Piastowie, mógłby welecki związek z Polanami przeciw nam się połączyć.

Splunął i przeżegnał się.

- Dość mamy trosk, gdy każdy z osobna działa i między sobą się tłuką. Widzieliście, co było po Cydzynie! Gdyby zginął Bolko Piastowic, jedno jest pewne i zaraz: wojna z Mieszkiem na śmierć i życie. Dotychczas Weletów Polanie nam trzymać pomagali. Przesną, to gdyby się nawet nie połączyli, z jednymi i drugimi walczyć będzie trzeba. Sił, nie starczy.

Cesarz milczał czując, że Bernard ma słuszość. Trzeba by wszystkiego dla słowiańskich spraw zaniechać, a Italię samej sobie pozostawić; Bizancjum przecie nie prześpi sposobności. Z drugiej strony z rozważą walczyła cesarska gwałtowność, podniecona zachowaniem się Zbrozły. Wstrzymywał się jeszcze z powzięciem postanowienia, by w gniewie nie rozstrzygać sprawy, która dojrzałego namysłu wymagała.

Graf Henryk, który milczał dotychczas, ozwał się:

- Trzymaliście Mieszka na Weletów, można Weletów trzymać na Mieszka.

- Mądrze mówi Henryk! - przytaknął Poppo, którego nienawiść miała nadzieję nasycić się cesarskim postanowieniem.

- Mądra rada byłaby, gdyby Weleci nie byli poganami. Mieszko na cały świat krzyżeć by nie zaniechał, że z poganami, przeciw chrześcijańskiemu księciu trzymamy.

- Taki ci on chrześcijanin! - krzyknął Poppo.

Bernard wzruszył ramionami, lecz cesarz w duszy słuszość przyznał dukowi. Wstając rzekł:

- Do Mieszka zaraz wyślę poselstwo, by sprawę zdał za swego pacholka. Póki groźbą coś wskórać będzie można, trzeba jej użyć. A zakładnika jeno raz ubić można. Chcecie wy - rzekł zwracając się do Poppona - zemsty poszukać na Mieszkowym wodzu, nie będę przeszkadzał.

Wodzowie pokłonili się i wyszli, a Poppo skoczył zaraz do swoich, by z cesarskiego pozwolenia skorzystać. Ze złością dowiedział się, że Zbrozło z oddziałem odszedł zaraz, jeno od cesarza powrócił.

XIII

Schwytnie Jaskotela

Po dwudniowym postoju cesarz, odprawivszy duka Bernarda, z resztą wojsk ruszył do Halbersztadu. Początkowo wojska szły razem, gdy jednak weszli w bezpieczniejszy kraj, cesarz z konnymi ruszył przodem, ostawivjąc pieszych i tabor, który powiększył się znacznie, gdyż wielu rannych na wozach musiano umieścić. Między nimi był Jaskotel. Zbrozło, odchodząc, przebrał go w

suknie ściągnięte z poległego Sasa i do cesarskiego obozu odnieść kazał, gdzie Jaskotel, dzięki swej znajomości mowy niemieckiej, jako jeden ze swoich został przyjęty. Ułożony na wyścielonym mchem wozie, jechał sobie wygodnie i nie bardzo się nawet martwił. Słońce dogrzewało jeszcze, dni były pogodne, a choć z wozu ruszyć się nie mógł, nie nudził się. Zwyczajem swoim zawierał znajomość z każdym, do kogo mógł zagadać, a ruchliwy jego umysł w wolnych chwilach pracował nad wykorzystaniem przymusowego pobytu, dla użycia przygód i przysłużenia się kniaziowi, nie bacząc na to, że nieprędko jeszcze będzie mógł do wykonania powziętych zamiarów przystąpić.

Gdy pochód zbliżał się do celu, coraz to któryś z rannych przyzostawał w zamku, mieście lub osadzie, położonych przy drodze, lub zbaczał do leżących opodal szlaku, by we własnym domostwie rany lizać, tak że gdy dojeżdżano wreszcie do Halbersztadu, ni połowy już nie było.

Po przyjeździe do rzeczonego miasta wypytywano się, gdzie który z pozostałych chce być odwieziony. Jaskotel bez namysłu podał Kwedlinburg, nie mógł zresztą podać innego miejsca, gdyż tam jedynie mógł w domu krewniaczek Geilany się umieścić spodziewając się, że z wdzięczności za jej ocalenie nie wydadzą go, kto zacz. Podróż trwała z górą miesiąc i noga dobrze już była podgojona, ale droga znużyła rannego, a noga zeszcła na kość i rany poczyniły się od łupek, tak że niezawodnie parę tygodni jeszcze było potrzeba, by zdatny był coś przedsięwziąć.

Zrazu zdało się, że się nie pomylił. Dziewczęta, choć raz go jeno widziały, poznały zaraz mimo wynędznienia, gdyż urody jego trudno było zapomnieć niewieście. Ojca ich w domu nie było, bowiem w daleką podróż do Anglii wyruszył, zaś starą Gertrudę, która domem rządziła, nie sztuka było czymś zamamić. Umieściły Jaskotela w izdebce na poddaszu, starając się zapewnić mu wszystkie wygody. Wstawał już i szybko przychodził do siebie, a dziewczęta wieczorami przesiadywały u niego, bez końca wypytując o ocalenie Geilany, o podróż, o wojnę i wszystko, co jego dotyczyło. Zadziwiło go nawet, że jeno mimochodem zapytały o swych kochanków, Erwina i Etelberta. Choć młody, Jaskotel doświadczenie miał z niewiastami i wrychle spostrzegł, że on, sam był tego przyczyną. Mówiły o tym zachwycone spojrzenia dziewcząt, jakimi go obrzucały, a już i dla ślepego rzecz stałaby się widoczna, gdy dziewczęta, które zrazu zawsze we dwójkę przychodziły, teraz jedna przed drugą wypatrywać zaczęła, kiedy sama z nim może pozostać. Jaskotel czuł, że nie powinien gmatwać swego położenia odpowiadając na zaloty. Lecz że lubił dziewczęta i czuł dla nich wdzięczność, wobec żadnej z nich nie potrafił okazać się opornym. Mimo wszelkich ostrożności, dziewczęta od razu się spostrzegły, że żadna nie jest jedyna i przyjemny zrazu pobyt zatruwać zaczęły Jaskotelowi żalami i zazdrością. Rad by się już był wyrwał, lecz nie ze wszystkim jeszcze do sił przyszedł, by konieczne do podróży sprawy załatwić, a z dziewcząt żadna o wyjeździe jego słyszeć nie chciała. Jaskotel spostrzegł, że tak, jak sprawy stoją, dobrze nie mogą się skończyć i umyślił uciekać bez przygotowań i pożegnania. Gromadził po kryjomu nieco zapasów i czekał z dnia na dzień, gdyż pilnowały go jak więźnia. Złość zaczęła wzbierać w Jaskotelu i postanowił otwarcie wyjść z domu ufając, że mimo wszystko żadna go nie wyda. Siedzieli raz wieczorem we trójkę w jego izdebce. Rozmowa nie kleiła się i nastrój był napięty. Już miał Jaskotel na końcu języka, by postanowienie swe oznajmić, gdy ruch jakiś i głosy posłyszeli na dole i ze zmieszaniem poznali głos Erwina. Stary służący, który go wpuścił, przyzwyczajony do tych odwiedzin, oznajmił, że dziewczęta siedzą na górze. Za chwilę posłyszeli kroki na schodach i do izby wkroczył Erwin. Ze zdumieniem poznał Jaskotela, zaś stropienie, z jakim go powitano, było tak wymowne, że choć niezbyt bystry, pomiarkował zaraz, jak sprawy stoją. Niezależnie zaś od zazdrości, która krew mu napędziła do głowy, podejrzenie w nim powstało, co do przyczyn i celu pobytu Jaskotela. Sam Erwin dopiero po

roku odważył się wrócić do miasta, licząc na osłonę ze strony krewnego swego, grafa Gedдона, a głównego sprawcę powodu swej ucieczki zastał oto w mieście, i to w miejscu, gdzie go najmniej zastać się spodziewał i pragnął. Twarz mu też zaraz zmierzchła i siedział zły widocznie, półgębkiem odpowiadając na zagadywania dziewcząt, które usiłowały zatrzeć pierwsze wrażenia, a wprost nie odpowiadając Jaskotelowi, gdy ten go zagadnął. Zezłościło to Jaskotela, który z miejsca Erwinowi wygarnął, by się wynosił, jeśli ochoty nie ma do rozmowy. Erwin wstał i wyszedł bez słowa. Zaniepokojone dziewczęta napadły na Jaskotela, że zadarł z Erwinem, gdy od jego milczenia wszystko mogło zależeć, lecz Jaskotel dość już miał tej gry i postanowił skończyć. Wzruszył obojętnie ramionami i rzekł:

- Niech sobie donosi, co i gdzie chce; przed świtaniem nie będzie mnie w mieście. Rad był nawet, że pozór znalazł, by się wyrwać ze słodkiej niewoli, w której by zgnuśnić przyszło do reszty i na śmierć się zanudzić. Ciągnęło go już dawno na swobodę, zdrów się czuł zupełnie, a pomysłów różnych poczynań miał tyle, że trudno mu było wybrać.

Dziewczęta zrazu prosiły, by został, a gdy odrzekł, że nie może, skoro pobyt jego zdradzony, popłakały się prosząc, by został choć do dnia, przekonując same siebie i jego, że Erwin nigdzie nie pójdzie po nocy, by go wydać. Gdy Jaskotel jednak twardo stał przy swoim, ubłagały, by choć wieczerek z nimi spożył i na pożegnanie zaśpiewał im słowiańskie i skandynawskie pieśni, których znał mnóstwo. Nie czuł się na siłach tego im odmówić, skoro tyle ich gościnie zawdzięczał, a po prawdzie niewiele było nadziei, by je kiedykolwiek jeszcze miał ujrzeć. Choć przeto zdawał sobie sprawę, że okazana słabość wiele go może kosztować, zasiedli do wieczery, przy której śpiewał popijając wino, najlepsze, jakie w ojcowskich piwnicach dziewczęta znalazły. Podchmieliwszy sobie trochę, sam już się śpieszyć przestał. Dziewczęta przymilały się, jak mogły, żadnej już nie robiąc tajemnicy z żywionych dlań uczuć. Czas mijał przy biesiadzie i noc uczyniła się późna. Jaskotelowi wreszcie spać się zachciało i dopiero gdy dziewczęta ponownie prosić zaczęły, by został choć do rana, przypomniał sobie, że ostrożniej byłoby wyjść z miasta przed świtem. Wstał przeto z mocnym postanowieniem, by wyjść zaraz. Dziewczęta widząc, że już nic nie wskórają, na nowo płakać zaczęły i żegnać go czule, przeciągając, jak się dało, ostatnie chwile, aż czułości przerwane zostały dobijaniem się do drzwi wejściowych, które w nocnej ciszy rozległo się jak grzmot. Zamilkli wszyscy troje, nasłuchując, a już zgrzyt wrzeczędzy i kroki w sieni oznajmiły, że przybyli weszli do domu. Jaskotel ni chwili nie wątpił, że idą po niego. Skoczył po miecz, z postanowieniem, by się przebić, co mogło się udać, gdyby w ciemnej sieni niespodzianie wpadł na idących. Dziewczęta jednak uczepliły się jego rąk błagając, by oporu nie stawiał, gdyż sam przeciw wielu na pewno ubity zostanie, czego przeżyć nie zdołają. Nim się od nich uwolnił, kroki rozległy się pod drzwiami i hurma zbrojnych wpadła do izby. Tu już opór był daremny. Wschodzące słońce oglądał Jaskotel przez kraty w oknie na wieży biskupiego zamku. Usiłował martwić się, lecz że był śpiący, ziewnął przeciągle i położył się na słomie pod ścianą. Zdążył jeszcze pomyśleć, że poprzednia niewola była jednak przyjemniejsza, i zasnął natychmiast.

XIV

Chmurny widnokrąg.

Sprawa Bolkowego zakładnictwa stała się treścią wszelkich myśli i poczynań Mieszka, a poważną troską cesarza, która odrywała jego myśli od innych spraw i wiązała je i jego samego na

wschodniej granicy, gdy gdzie indziej pilne i ważne czekały sprawy. Szeroki i bystry umysł cesarza, panując nad gniewem i namiętnością, nie umiał jednak znaleźć właściwego rozwiązania. Spostrzegł, iż Mieszko rozmyślnie daje mu odczuć, że przez zakładnictwo syna rąk sobie związać nie pozwoli, niemniej znając zawziętość Mieszkową, a przenikając jego zamierzenia, nie mógł zakładnika wypuścić, póki się sprawy jakoś nie ułożą. Na razie jednak bynajmniej się na to nie zanosilo. Cesarz wysłał posłów do Mieszka z żądaniem, by stawił się w Magdeburgu zdać sprawę z postępowania Zbrozły. Ci sami posłowie donieśli Mieszkowi o pojmaniu Jaskotela, którego poznano jako jednego z polańskich wodzów, i że cesarz zdołał się wywiedzieć o słabości, jaką księżę żywił dla młodego wojaka. Na wiadomość tę Mieszko odrzekł lekceważąco, że tak cennych rycerzy posiada trzy tysiące własnych, a niemieckich w pętach do tysiąca. Na żądanie zaś przyjazdu odpowiedział, że przyjedzie, o ile cesarz da zakładników, iż swobodnie będzie mógł wrócić, nie ma bowiem drugiego syna, którego by za siebie dać mógł, jak w Kwedlinburgu. Należnej daniny nie wysłał, wysłał natomiast posłów do Weletów, co zaniepokoiło poważnie cesarza. Nie mogąc dla zachowania powagi puścić płazem zuchwalstwa, cesarz ruszył z wojskiem nad Odrę. Wojna zdała się wisieć na włosie, a na wypadek klęski Mieszka na cieńszym jeszcze włosku zawisłoby życie jego syna.

Mieszko jednak grał zuchwale, lecz nie lekkomyślnie. Przewidując obrót sprawy takie siły zgromadził na granicy, że cesarz, nadszedłszy, wraz poznał, że nie tylko przepawy przemóc nie zdoła, ale sam przeszkodzić nie potrafi, gdyby Mieszko jej próbował. Rozpoczął przeto układy. Szły one tępo, gdyż gracze godni byli siebie i żaden drugiego przechytrzyć nie zdołał. Żądanie zwrotu zakładnika cesarz odrzucił stanowczo, natomiast chciał wydać Jaskotela w zamian za dziesięciu rycerzy niemieckich. Mieszko odrzekł, że dać może jednego, i mimo iż cesarz szedł na ustępstwa, nie dołożył nic umyślnie, by okazać, że mu na sprawie nie zależy. Płacenia daniny odmówił podnosząc, że nie trzeba mu cesarskiego przyzwolenia na to, co sam dzierżyć dosyć ma siły. Cesarz, widząc, że rokowaniami nic nie wskóra, postanowił ściągnąć więcej wojsk i po posiłki do Bernarda wysłał. Po kilkunastu dniach zamiast posiłków otrzymał wiadomość, że Weleci się ruszyli i Bernard sam z trudem może ich utrzymać. Nie oni jedni z cesarskiego sporu z Mieszkim wyciągali korzyść. Mieszko widział to i również był bezsilny. Nie były to ciosy, lecz źródła trosk na przyszłość:

Dla obu stron jasne się stało, że korzystniejsza byłaby zgoda, lecz obopólna zaciętość i poniesione już szkody utrudniały porozumienie. Gdy zaś wczesna jesień zimnymi deszczami, które wojska nękać zaczęły, wypełniła graniczną Odrę ponad brzegi, nieprzebytymi czyniąc bagna po obu jej stronach; wojska bez walki odeszły do domów. Cesarz wskórał jeno tyle, że Mieszko daninę zapłacił, zaś Mieszko, że Bolka i jego orszak, miast w więzieniu, gdzie przebywali, z powrotem w klasztorze miano umieścić. Przeciwnicy, mimo układu, rozeszli się z większą jeszcze nieufnością i zawziętością, w przekonaniu, że spór na chwilę tylko przygasł, by wkrótce wybuchnąć na nowo.

Toteż Mieszko, powróciwszy do Poznania, zajął się dalej gromadzeniem sił, ćwiczeniem wojsk i zbieraniem wieści, mimo iż z wyprawy przywiózł złą gorączkę, która nieraz po kilka dni w łóżu go trzymała. Nie zwykł się pieścić ze sobą, więc się nie poddawał, jedynie gniewem łatwiej niż dawniej wybuchał, po czym zły bywał sam na siebie, gdyż nie lubił tracić nad sobą panowania. Domowe życie też nie przynosiło mu ulgi. Prócz stałej, choć starannie ukrywanej trwogi o Bolka, niepokoił się i o Dobrawkę. Zastał ją gorzej jeszcze wyglądającą niż w chwili swego wyjazdu, niczym jednak nie było można jej skłonić, by zaniechała swych praktyk religijnych. Zarówno prośby jego, jak upomnienia, przyjmowała z jakimś niezrozumiałym uśmiechem zapewniając, że nic jej nie jest.

Mieszko wiedział, co ją gnębi, lecz choć zdwoił wysiłki i starania, by Bolka podstępem wydostać, nawet przez myśl mu nie przeszło, by się przed cesarzem ukorzyć i okazawszy rzeczywistą uległość, zwolnienie zakładnika uzyskać. Noce spędzał bezsennie i do szarego świtu niejednokrotnie chodził po komnacie lub wpatrywał się w ogień dumając. Sam nieraz sobie mówił, co szeptano po dworcu, zwłaszcza między duchowieństwem i w otoczeniu Dobrawki, że igra życiem syna i boleścią matki, że nic po mocy i dziedzinie, gdy jej nie będzie komu zostawić, że oto resztki młodości spędzić mógłby spokojnie, z żoną, która go kochała, i dziećmi, gdyby się ugiąć umiał. Czuł jednak, że nie potrafi, jak stare drzewo, pochylone od wichrów, choćby od uderzeń największej burzy nie pochyli się w drugą stronę, a raczej legnie złamane lub wydarte z korzeniami.

Często w bezsenne noce, zwłaszcza gdy go dręczyła gorączka lub bóle w barkach, których się w bagnach i słotach nabawił, tęsknił za ciepłem obecności Dobrawki, za jej łagodnym głosem, za miękkim dotykiem jej rąk. Lecz wiedział, że ona leży krzyżem na zimnej posadzce kościoła modląc się za Bolka lub o rychłą śmierć dla siebie, albo śpi znużona czuwaniem przy chorych i postami wyczerpana. Mógłby ją przywołać, gdyby potrafił przyrzec, że przestanie cesarza drażnić zbrojeniami i groźbą wojny, że ugnie się i uzna jego zwierzchnictwo. Lecz wiedział, że nie zrobi tego, więc cierpiał sam. Nie czuł się wobec niej winny. Dla celów, które sobie postawił, igrał przecie niemal od dziecka i własnym życiem i igrał boleścią własną, której okazać mu nie było wolno i której okazać nie chciał i nie umiał. Dobrawkę otaczało przynajmniej powszechne współczucie, miłość i cześć, uważano ją niemal za świętą. On coraz bardziej był samotny, zbyt niedostępny i niezrozumiały, by mu współczuć, zbyt zimny i wyniosły, by go miłować. Wyrzekł się szczęścia w młodości dla swego dzieła, nie poświęci go teraz dla nieśmiałych pragnień starzejącego się serca. Czuł w sobie czasem jakby dwie istoty, jedną znużoną i spragnioną ciepła i uczucia, drugą opętaną dumą i uporem. Wiedział, że ten drugi, to on sam i na słabego patrzył z pogardą. Zbroił się i gotował dalej. Jednej rzeczy nie czuł się już na siłach przeżyć: klęski.

Prócz wojsk i broni gotował i inne środki. Coraz to zjawiali się na dworze to mnich jakiś podejrzany, to jakowis kupy, którzy niezwykajny towar mieć musieli, samemu jeno księciu w cztery oczy go okazując, to rycerz niemiecki lub też i ludzie niewiadomego stanu i pochodzenia. Wszyscy oni tym się wyróżniali w tłumie, jaki niemal bez przestanku przez Poznań się przelewał, że nie lubili, by ich widziano, a dopraszając się dostępu do księcia, zazwyczaj powoływali się na Zbroję. W powietrzu czuć było, że, knuje się coś, choć jeszcze za życia ojca Mieszko miał zwyczaj zbierania wiadomości, co się dzieje po sąsiadach, a zwłaszcza na zachodzie. Ponieważ jednak jeszcze bardziej niż dawniej zamknął się w sobie i nie zwierzał się nikomu, nie wiedział nikt, co się gotuje. Po lekkiej, słotnej zimie nastąpiła wczesna wiosna. Powszechnie oczekiwano, że Mieszko ruszy wojska ku granicy, gdyż od zimy stały w gotowości, a pora już się uczyniła sposobna. Wiedziano też, że zbroi się i cesarz. Ten i ów ze starszyny dziwił się, a młodzież niecierpliwie się zaczynała, że nic się nie dzieje. W podnieconym nastroju minęła Wielkanoc, podczas której Mieszko i Dobrawka udział brali w uroczystościach i ucztach, jakie na zjazd przygotowano. Przybyli z dalszych stron wielmoże, którzy zaszyli po swych dworach i gródkach mniej obeznani byli z bieżącymi sprawami, z pewnym zdziwieniem patrzyli na wychudłą i postarzałą postać Dobrawki, do niedawna tchnącej zdrowiem i pogodą, oraz na znużoną twarz Mieszka. Mimo gwaru nie było wesołości. Nawet lud w swych zabawach, które nawiązywał do dawnych pogańskich obyczajów i uroczystości, nie rozochocił się jak zwykle. Brak Bolka przy boku księstwa napawał jakimś niepokojem. Toteż w drugi dzień świąt rozjeżdżać się zaczęto, tak że pod wieczór Poznań niemal zwyczajny przybrał wygląd.

Książę wcześniej udał się do swych komnat zamierzając spocząć, gdyż nazajutrz się do pobliskich grodów wybierał, znużony zaś był uroczystościami. Rozebrał się i legł w łożu, lecz nie mógł zasnąć. Po ciepłym dniu wieczór uczynił się jakiś duszny i wiatr się porywał. Bezsenne leżenie męczyc zaczęło księcia, wstał więc i otworzył okno, z kosztownych, szklanych gomółek uczynione, by zaczerpnąć powietrza.

Noc była ciemna, światła pogasły już, kogo obowiązek nie trzymał na nogach, spał. Ciszę przerywał jeno szum gałęzi owocowych drzew w sadzie, na który wychodziło Mieszkowe okno. Okryte kwieciami drzewa majaczyły w ciemnościach bielą jak duchy. Po jakimś czasie wiatr ustał i wówczas słyszeć dał się szelest pojedynczych kropel deszczu, na który się zanosilo od dawna. Szelest wzmagal się, wiatr ruszył znowu i jednostajny szum ulewy zagłuszył wszelkie inne odgłosy. Więcej przecuciem niż słuchem wiedziony Mieszko odwrócił się od okna. Ktoś był w komnacie. Mieszko nie znał trwogi, lecz znał życie. Chwycił za miecz, leżący przy łożu, i zawołał:

- Kto zacz?

Odpowiedź zgłuszył huk gromu, który zniecka dał hasło pierwszej wiosennej burzy, blask natomiast, który na mgnienie oka zalał komnatę, wydobyl z mroku stojącą pod drzwiami postać Zbrozły. Gniew i podniecenie księcia powstały i zgasły jak owa błyskawica.

Spokojnie i sucho zapytał:

- Czemu przychodzicie bez oznajmienia?

- Księżnę niepokoi, ilekroć się do was zbliżam. Wolałem, by nie wiedział nikt, że byłem.

- Pilnego coś macie?

- Spisek Henrykowych stronników nie udał się. Z Ottonem sprawa niełatwa. Cesarz niepospolitą krzepkością ciała obdarzony nie dał się wziąć. Lotariusz Stadeński uwięziony w Bawarii, majątek jego zabrany. Eryk, Herman, Reinwart, Wisino, Ezeryk i kilku innych głowy dali katowi. Henryk obłożony klątwą, choć sam nie mógł brać w spisku udziału, bo w więzieniu przebywa. Nie ma co więcej na niego liczyć ni na jego stronników.

- Tedy liczyć trzeba na własny miecz - rzekł Mieszko obojętnie. - Myślę, że i cesarz nie liczy już na nic więcej.

- Tak mniemam! - śmiech Zbrozły zabrzmiał w ciemności jak urywane szczeknięcie. - Z ludzi, których wysyłał do Odylena i Przybywoja, nie wrócił nikt. Oni sami nie wiedzą, co robić. U nas jeszcze ludzie jak dzieci, złota nie kochają, ni władzy. Niełatwo znaleźć mordercę.

- Myślałem jednak, że kogoś znaleźli, gdyście weszli. Czy jednak oczu zdrajcom nie odjąć?

- Po co? - rzekł Zbrozło. - Puchacz też człeku nie przyjaciel, a trzyma się go i karmi, bo zwabić na niego łącno szkodniki i złowić, miast ich szukać po świecie.

- Może macie słuszność - rzekł Mieszko w zamyśleniu. - Zresztą Jordan by się krzywił, a księżna bolałaby nad „okrucieństwem”.

- Jordan i księżna świat sobie umyślili, jakiego nie ma, dlatego w takim, jaki jest, żyć nie umieją.

- Ale wierzą w inny, który osiągną po śmierci, jeśli żyć będą wedle przykazań Kościoła, i tym są szczęśliwi.

- Nie widzę, by byli szczęśliwi - odparł Zbrozło.

- A ja?... a... wy?

- Czy o szczęście dla siebie walczyliście, że się o nie pytacie?

Mieszko zamyślił się. Po chwili rzekł jakby sam do siebie:

- Nie! I nigdy dotychczas o nim nie myślałem. A ninie - mówił jakby ze zdziwieniem - czasem mi

na myśl przychodzi, że dobrze byłoby żyć jak prosty człowiek z żoną i dziećmi. Prochorus mówi, że szatan pychy królestwa mi ukazuje i duszy nie daje spokoju wciąż gnając do rzeczy, których osiągnąć się nie da, a odciągając od ostatecznego celu człowieka.

- I powiedział wam i nie tylko wam, że ja to jestem tym szatanem.

Ja walczę z takim bogiem, którego względy kupić, a usługi wynająć można! Prochorus człek prosty, samego w strachu chowali i on też strach jeno ma do podziału. Ale wielu innych, co tę naukę głoszą, straszą jeno drugich, a sami żyją, jakby się nie bali niczego, bo się temu bogu częścią zrabowanych bogactw wykupią. Krzyż niosą drugim, jakby nie widzieli, że dawno na tym ich krzyżu Boga nie ma.

Zapadło milczenie, jeno wiatr świstał jeszcze w gałęziach, a z dala dochodziły odgłosy oddalającej się burzy wiosennej. Po chwili Mieszko cichym głosem zapytał:

- Nie ma szczęścia dla takich jak ja?

- Jest! - odparł Zbrozło. - Sił mieć dostatek do walki, którą się musi prowadzić.

Mieszko wstał i otworzywszy okno, spojrział na niebo. Sunęły po nim resztki postrzępionych chmur. Deszcz ustał. Szarzało.

- A takie szczęście, jakie miewają zwykli ludzie, nie dla mnie? Co będzie, gdy sił już miał nie będę, których mi nie przybywa?

- Przyjdzie wasz następca.

- A jeśli nie przyjdzie?

- Tedy takiego szczęścia, o jakim mówicie, wnet nie stanie dla nikogo. Jak bydło na sprzedaż wystawiać się będzie rodziny, by szły w rozsypkę na różne strony.

Mrok komnaty rozprasać zaczął szary brzask. Wynurzała się coraz wyraźniej postać Zbrozły. Wyglądał jak zawsze, dziwaczny, lecz ludzki. Mieszko otrząsnął się i rzekł swym zwykłym głosem:

- Tymczasem sił mam dość. Ruszamy ku ujściu Odry. Po drodze zбочę odwiedzić starego Skarbka. W Skarbnie się spotkamy. Zbrozło pokłonił się i bezszelestnie wyszedł. Mieszko przeczekał chwilę, po czym klasnął w dłonie. Zjawił się zaspany komornik i tłumiąc ziewanie zapytał o rozkazy. Mieszko popatrzył na niego z półuśmiechem i rzekł:

- Twardy sen miałeś!

Komornik jakby przestraszony zapytał:

- Wołaliście, panie? Tak mnie coś zmorzyło, jakby mi kto ręką oczy trzymał. Słyszałem, jak ktoś szedł i że burza była i nijak się obudzić nie mogłem.

Mieszko machnął ręką mówiąc:

- Skocz po starszyznę, niech zjedzą do świetlicy, a mnie tu zaraz przynieś coś z jadła.

Gdy komornik odszedł, Mieszko zadumał się i szepnął sam do siebie:

- Tedy walka do końca żywota.

XV

Audun.

Wstawał pogodny dzień wiosenny. Niebo bladło w oczach, gwiazdy gasły jedna za drugą, na wschodzie zaś nad nieboskłonem rozświecał się pas złocistozielony, coraz jaskrawszy i szerszy. Jasno już było zupełnie. Lada chwila pierwsze promienie wstającego słońca wystrzelą i zaleją złotem płaski kraj nad Obrą, toczącą swe leniwe i jeszcze wezbrane, lecz już czyste nurty ku Odrze.

Na niewielkim wzniesieniu, wśród bagnistych łąk i zalewisk, pokrytych ninie świeżą zielenią, leżały obszerne zabudowania Skarbkowego dworzyszczca. Wielki prostokąt dziedzińca otwarty był od wschodu, z trzech zaś innych stron obudowany stajniami, oborami i mieszkalnymi domami czeladzi. Dwór, obszerny, choć niski, z potężnych bali zbudowany, zajmował cały zachodni bok dziedzińca, podcieniem zwrócony ku wschodowi, z którego cały obszar zabudowań wzrokiem objąć było można.

Cisza pogodnego poranka zatracala się w odgłosach codziennego ruchu, budzącego się na dworze. Pierwsze kury, wypuszczone z kurników, gdakaniem napełniły powietrze, zaraz po nich rozległy się odgłosy bydła i koni, niecierpliwących się, by wyjść jak najprędzej na świeżą paszę. Psy zaczęły poszczekiwać. Lada chwila codzienne życie potoczyć się miało pełnym, hałaśliwym nurtem. Wystrzelił pierwszy promień wstającego słońca jak złota strzała, a jednocześnie z podcienia rozległ się głos, doniosły i dźwięczny jak surma, lecz gniewny. To stary Audun dawał znak, że czuwa, i jastrzębie oczy, którym nic nie ujdzie, na obejście ma zwrócone. Na te dwa hasła zawrzało we dworze. Rozległy się zgrzyty otwieranych wierzei, skrzyp żurawi studziennych i liczne głosy ludzkie. Wysypywali się na dziedzińcu parobcy i dziewczki, psy uganiały ze szczekaniem, lecz mimo pozornego zamętu widać było skład i pośpiech. Stary pan nie lubił powolnych ruchów, ni ciszy. Sam niezbyt już był ruchliwy, nie tyle z powodu podeszłego wieku, gdyż i kopy lat jeszcze nie liczył, ile z powodu odniesionych ran, których zliczyłby chyba niewiele mniej. Od dziecka pędził życie na wojnie i kochał ją nad wszystko. Chłubił się, że nigdy w życiu nie ustąpił przed nieprzyjacielem, co było i prawdą, i nieprawdą, gdyż kilkakroć jak nieżywego z pola bitwy go uniesiono. Rany goiły się na nim jak na psie, lecz ostatnio, pod Cydzyną, nadtluczonemu już dzbanowi urwało się ucho. Nic to, że toporem wziął po barku, od czego ruchy w prawej ręce miał upośledzone, oburęcznym bowiem będąc byłby pozostał wierny swemu umiłowaniu aż do śmierci. Gorzej, że ugodzony oszczepem w kolano, ni chodzić, ni jeździć nie mógł, a często noga mu puchła, iż leżeć musiał. Zazwyczaj włókł się o lasce i wtedy jeszcze mówić z nim było można. Gdy leżał, nie ważył się do niego nikt przystąpić, prócz żony Zbysławy, która była drugą, a teraz już jedyną miłością jego życia. Dalekie jeszcze od wyczerpania, żywotne siły starego szukały ujścia w gniewie, którym, zda się, wrzał bez przerwy, jak dawniej bez przerwy był wesoły.

Postawę miał jeszcze piękną, mimo kalectwa i niezbyt wyniosłego wzrostu. Jasna czupryna, zda się, pojaśniała jedynie z wiekiem i niewiele w niej znać było siwizny. Bystre, jasnoorzechowe oczy i białe, zdrowe zęby, za czerwonymi, cienkimi wargami, nie pozwalały nawet w przybliżeniu odgadnąć jego wieku. Mieszko, szanując zasługi i ceniąc doświadczenie Skarbka, do rady swej chciał go powołać, lecz stary, przywykły zadziwiać wszystkich sprawnością ciała, do bólu niemal wstydzając się swego niedołęstwa i nierad je ludziom pokazywać, odmówił:

- Nic wam po radzie takiego, co jej sam wykonać nie zdoła. Chcecie zresztą rady, to wam dam jedną: bić wroga, gdzie się trafi, nie ustępować nigdy.

Niemniej książę nieraz jeszcze rady jego zasięgał, gdyż żywiąc do starego wojaka przywiązanie, odwiedzał go, gdy mu droga w tę stronę wypadła, a także i z innych usług jego korzystał. Skarbek, choć wojnę kochał dla wojny, jak nikt inny ciągnąć z niej umiał korzyści, zarówno z łupów, jak i nadań książęcych, których mu ni Mieszko, ni jego rodzic jeszcze nie szczędzili. Skarby, które z Danii przywiózł, wielokrotnie pomnożył, ziemie, które otrzymał, zagospodarować umiał, mimo iż nigdy w domu nie siedział, póki był zdrowy. Za małżonką wiano wziął niemałe, z handlu też zyski ciągnął znaczne i bajki opowiadano sobie o jego bogactwie, ale nikt w przybliżeniu nawet nie wiedział, co posiada. Jedno pewnym było, że ilekroć książę znalazł się w potrzebie, stary służył mu każdą ilością

srebra i złota, jakiej kniaź tylko zażądał. Dla siebie potrzebował niewiele, jeno w broni się kochał i nigdy nie była mu za droga, ani jej miał za wiele, choć toporem najchętniej wojował, który po dziadach jeszcze odziedziczył. Zwyczaj miał nazywania dziwaczными imionami wszystkich przedmiotów, jakich używał, i pacholek, którego trzymał do posługi przy swej osobie, niemało musiał się nagłowić, by je wszystkie zapamiętać.

Z dawnej ojczyzny, prócz skarbów i męznego ramienia, przywiózł dumę, którą z pochodzenia swych przodków od duńskich królów wywodził, wiarę w obcych, północnych bogów i silne postanowienie, że między pierwszymi w swej nowej ojczyźnie stanie, do czego umiał dążyć wytrwale i umiejętnie. W nowym kraju przyjął słowiańską wiarę, a gdy Mieszko chrzczył się i on zmienił ją po raz drugi. Że jednak wierność leżała w jego naturze, umiał wszystkich z kolei bogów pogodzić. Na wojnie i gdy kłął, co robił chętnie i często, wzywał Odyna, Tora i Freyra, na co dzień słowiańskim bóstwom hołdował, zaś w świąteczne dni chrześcijańskie kłaniał się nowemu Bogu, któremu w obszernych swych włościach niejedyn wystawił przybytek. Na dworcu swym utrzymywał nawet młodego kapłana, który, sam jednak na wpół będąc poganinem, nie bardzo mógł starego budować, a bał się go przy tym jak ognia, bo Skarbek sprzeciwów nie znosił i samemu Jordanowi na jego upomnienie, by zaniechał pogańskich obrzędów, odszczeknął, by nowy Bóg nie wymagał za wiele, bo mu odbierze, co dał.

Żył sobie tedy Skarbek, jak chciał, bogów wielu nad sobą uznając, pana jednego i żonę swą Zbislawę, którą do dziwnej, niespotykanej u Słowian zażyłości ze sobą dopuszczał i nigdy nie tylko ręki, ale, co u niego dziwniejsze, i głosu na nią nie podniósł. Trzech dorodnych spłodził z nią synów, z których dwóch starszych północnymi nazwał imionami Asketila i Ulfa po dziadzie i ojcu. Najmłodszy nosił już chrześcijańskie imię Michała. Wiodło się tedy Skarbkowi aż do czasu nieszczęsnej walki w rzecznych widłach nad Notecią, z której wyniósł kalectwo. Cios był ciężki i dosięgnął nie tylko jego osoby, lecz i zamierzeń, jakie żywił, odsuwając go od głównego źródła zysków i znaczenia, jakim dlań była wojna. Nie zwykł jednak ustępować także i przed życiem. Siedząc przymusowo w domu, zyski powetował sobie przyłożeniem się do gospodarstwa, a szczególnie hodowli koni, zaś podtrzymanie znaczenia rodu na synów chciał przełożyć.

Jaskotel dorósł już i służąc przy księciu wyjątkową jego przychylnością zdołał pozyskać, a od pokoleń we krwi mając wojaczkę - dobre imię i drużbę u towarzyszków. Skarbek za żoną dla niego upatrywał, która by znaczenie i majątność pomnożyła. Nie chciał jej szukać daleko, w pobliżu zaś z większych rodów jeno Łodzie i Wyszkoty siedziały. Rozważywszy wszystko starannie i uradziwszy ze Zbislawą, wybrał mu wreszcie młode dziewczę, Wrochnę, córę Wyszesława Wyszkota, która i liczko piękne, i wiano niebrzydsze miała. Zaczął nawet z ojcem rozmowy, z dała go wybadać usiłując, co by dał za córką, gdyż ręki jej był pewien, niewiele bowiem było w polańskich ziemiach młodzieży, która by jego Jaskotela urodą, męstwem, bogactwem i łaską księżęcą przyćmić mogła. Składało się wszystko pomyślnie i stary czekał jeno na przyjazd Jaskotela, by swaty wysłać, gdy Jaskotel iście powrócił, lecz przywiózł ze sobą obcą dziewczę, a co gorsze - oświadczył, że żenić się z nią zamierza.

Jeśli stary na co dzień przypominał chmurę gradową, gniew, w jaki wpadł po tym oświadczeniu, nie dał się z niczym porównać. Ludzie porozbiegali się, by nie być świadkami, jak stary ubije syna, nawet Zbislawa, przywykła do gwałtowności męża, siedziała drząc w przyległej komnacie.

Skończyło się na tym, że stary Jaskotela z dziewczką i towarzyszkami z domu wyświecił, powrotu mu zakazał, a domownicy rozkaz otrzymali, by nikt imienia syna przy starym wymówić się nie ważył.

Skutek był taki, że nic nie wiedział o tym, co się dalej działo z Jaskotelem.

I pod tym ciosem stary się nie ugiął, lecz zamiary swe na młodszego syna, którego ze słowiańska Wilczkiem zwano, obrócił. Wilczek jednak, choć zapowiadał się nie gorzej od Jaskotela, wyrostkiem był jeszcze i czekać należało, a stary czekać nie lubił. Dołę przywykł brać za kark i do swej woli naginać. Wilczek, choć i młodzi na wojnę chadzali, potrzebny był ojcu w doglądaniu obszernych włości i stary nie puszczał go na wojaczkę, choć się chłopiec rwał. Najmłodszy zaś Michał dzieckiem był prawie. Siedział tedy stary w domu, gospodarzył i kłął, ilekroć wspomniał Jaskotela, a że miłował go po swojemu i wspominał często, stąd kłął prawie bez przerwy. Że zaś głos miał donośny, przekleństwa rozlegały się po całym dworze i obejściu i gdy ich którego dnia nie było, niepokojono się, czy nie chorzeje. Choć bowiem surowy był, gwałtowny i wymagający, lubiano go, gdyż dbał o najlichszego człeka czy bydłatko i jaki chciwy, taki był i hojny. Nakławszy tedy zdrowo w rzeźwy poranek wiosenny, stary pokuśtykał ku stajniom, dokąd zwykle kierował pierwsze kroki. Głos jego huczał to tu, to tam, iż nietrudno było zmiarkować, gdzie przebywa, toteż parobek, który z łągów nad rzeką przypadł w pędzie, bez szukania biegł do dziedzica z oznajmieniem, że księżę Mieszko z orszakiem przybywa i tylko co go nie widać. Skarbek rzucił prędko kilka rozkazów, po czym parobek ku dworowi popędził, stary zaś z włodarzem Czyżem pokulał pośpiesznie ku bramie, przy której dwie prastare lipy strzegły wejścia. Ledwo zdążyli nadejść, a już księżę był tuż i Skarbek kłaniając się, ujął pańskiego konia za uzdę i przez dziedziniec ku dworowi prowadził, choć Mieszko zwolnić go chciał od tego.

- Jeszczem nie taki niedołęga, bym kniaziowi czci nie uczynił, jak należy - odparł Skarbek i kuśtykał dalej, a za nim włókl się krok za krokiem księżęcy orszak. Zapytany o zdrowie zaklął pod nosem, po czym odparł uprzejmie, że nie gorzej niż zazwyczaj. Przed dworem stał kto żyw witać pana, a na podcieniu Zbisława z synem Michałem, bo Wilczka nie było w domu, chleb i sól podawała księżciu.

Mieszko przywitał ich łaskawie i patrząc na pacholę rzekł:

- W nocy bym poznał, że to brat Jaskotela.

Stary wzdrygnął się ze złością, lecz Zbisława udając, że nie spostrzega tego, rada wywiedzieć się o syna, rzekła chytrze:

- Łaska to wasza, panie, że pamiętacie sług swoich. Myślałam, że tamten z wami nadjedzie, by gościna służyć, gdy ojcu już niesporo, a młodzi nie dorośli jeszcze. - I patrzyła na księcia pytająco, a on zasepił się i rzekł:

- Zali nie wiecie? Jaskotel ranny, w niewolę popadł u Niemców.

Zbisława ręką stłumiła okrzyk, a Skarbek nachmurzył się, lecz odparł zgryźliwie:

- Smakowały mu dziewczki niemieckie, niech posmakuje niemieckiego lochu. Może zmądrzeje i posłuchu się nauczy. Zda się takiemu, że gdy toporem machać umie, to ojca słuchać nie musi... Resztę dopowiedział pod nosem, w dosadnym przekleństwie. Weszli do świetlicy, która środek całego dworu zajmowała. Stoły już były nakryte do posiłku. Zbisława, hamując płacz, skierowała się ku wyjściu, by doglądnać posługi, gdy zbliżył się do niej Gołuch, powitać stryjenkę. Przetarła oczy i spojrzawszy w górę na niego, rzekła:

- Licho z tobą. Jak cię dłużej nie widzę, to się wierzyć nie chce, że to nie tak dawno jeszcze takiego kłoca na rękach huśtała. Ale czasu teraz nie mam gadać z tobą, wieczorem zajdź, to pogwarzyemy.

- Kiedy my nie mieszkając dalej ruszamy, a o Jaskotelu chciałem wam opowiedzieć. Na

wyprawę przecie jedziemy. Zbysława na klucznicę Żelichę krzyknęła, by dopilnowała podejmowania gości, i uchwyciwszy olbrzymią dłoń Gołucha, pobiegła ciągnąc go do swej izby. Zatrzasnąwszy drzwi, pchnęła go na zydeł, iż omal nie złamał się pod jego ciężarem, i krzyknęła:

- Gadaj prędko!

Łacniej by jednak słońce w biegu pogonił niż Gołuchowe gadanie. Jeszcze go dobrze wypytać nie zdążyła, gdy wpadła Żelicha wołając, że ksiązę do odjazdu się zbiera. Pośpieszyli tedy z Gołuchem na podcień, gdzie Mieszko już na koń siadał, a Skarbek uparł się znowu pana ku bramie odprowadzić i znowu kuśtykał przez dziedziniec, wiodąc r~ konia za uzdę. Na gościńcu pokłonił się jeszcze księciu, dumnie ręką skinął pozostałym i sterczał patrząc za odjeżdżającymi. Gdy zniknęli z oczu, obrócił się do towarzyszących mu ludzi i ryknął:

- Poszli!

Pierzchnęło wszystko jak stado wróbli. Jeno Zbysława ostała na miejscu, przytulona do pnia lipy. Stary myśląc, że nikt go nie widzi, prasnął lagą o ziemię z przekleństwem, usiadł w przykopie i twarz zakrył rękoma. Po chwili ciekące między palcami łzy świadczyły, że serce jego wydiera się za odjeżdżającymi na wojaczkę. Zbysława, widząc to, odeszła bezszelestnie. Nie darowałby jej, że go płaczącym widziała.

XVI

Szczygieł w klatce.

Jaskotel spał smacznie i tak twardo, że obudziwszy się, zrazu nie pamiętał, gdzie jest i co się z nim stało. Patrzył w znajdujące się pod pułapem okienko, przez którego kraty widać było kawałek pogodnego nieba. Usiadł na słomie i rozczesawszy zmierzwione włosy palcami, przypomniał sobie wszystko.

Rozejrzał się po izbie, lecz niewiele było do oglądania. Trzy ściany, strop i podłogę miała z belek, a tylko czwartą, w której było okienko, z surowego kamienia. Kubeł na wodę i drugi na nieczystości stanowiły całe urządzenie izdebki, która nie więcej niż cztery kroki wzdłuż i tyleż wszerz mierzyła. Koło posłania ze słomy, leżącej wprost na podłodze, stała miska z jakąś polewką, już wystygłą, i bochen chleba. Widno ktoś był w izbie, w czasie gdy Jaskotel spał.

Usiadł i zaczął się zastanawiać. Mogło być gorzej, niż jest. Miast na suchej słomie, w dość jasnej izbie, choć niewielkiej, lecz dającej możność ruchu, leżeć mógł na wilgotnej glinie, w ciemnym lochu, z kajdanami na rękach i nogach.

Izba widocznie przeznaczona była dla więźniów dostojniejszych i takich, których chciano utrzymać przy życiu. Tak przynajmniej myślał nie zastanawiając się dlaczego, gdyż uwagę jego zajęły pomysły wydostania się z zamknięcia. Obejrzał starannie ściany i podłogę, lecz nic z tego nie wyszło; wszystko z grubych bali dębowych uczynione, dla gołych rąk przedstawiało nieprzebytą zaporę. W ścianach znajdowały się wprawdzie szpary, lecz nie przeświecało nic. Widno na zewnątrz przylegały do przestrzeni bez światła. Do okienka nie mógł dosięgnąć rękoma, by rozejrzeć się po świecie, zaś nogę jeszcze miał zbyt słabą, by doskoczyć. Próbował wspiąć się po nierównościach, jakie tworzyły kamienie, lecz zbyt były nieznaczne, by dać oparcie. Zresztą gruba krata nie pozwalała żywić nadziei wyjścia tą drogą, tym bardziej że izdebka znajdowała się na wieży.

Z kolei obejrzał i drzwi. Tędy na pewno wyjść by można, lecz jak i kiedy? Jeśli go nie skrępowali, nie wystarczy przebyć samych drzwi, by odzyskać wolność. Pewne było, że każdemu

więźniowi ta droga na myśl przyjść musiała. Jaskotel ni chwili nie wątpił, że nie dokona swego żywota w tym zamknięciu i coś wymyśli, lecz czasu na to potrzeba.

- Czasu mam dość! - mruknął. - Byle ino nie za dużo - dodał i zeźlił się sam na siebie. Żeby nie słabość do dziewczek, miałby teraz niebo nad głową i przygody przed sobą. Przrzekać jął sobie, że nie spojrzy na białogłowy, i nie wiadomo czemu przypomniała mu się Geilana. Co robi teraz? Czy spotka ją kiedy w życiu? Czuł, że jeśli ją ujrzy, na nic będzie jego ślubowanie. Słusznie widno mówił rodzic, że nadpalone drewno łącniej się drugi raz zajmie. Choć co się stary znał na tym; całe życie jak nie wojował, to majątność zbierał, a za matką innych kobiet nie widział. Czy jednak aby zawsze był taki? Nie znał go przecie, gdy tyle lat, co syn, liczył. Może i on taki będzie, gdy się postarzeje, a kobietę dostanie, co wejdzie w krew. Znowu Geilana przyszła mu na myśl i zdało mu się, że gdyby była przy nim, nie dałby się ciągnąć innym. A byłaby, żeby stary się nie uparł.

Tu złość chwyciła Jaskotela na ojca, jakby to z jego winy musiał tu siedzieć i zadzierać głowę, by kawałek nieba zobaczyć. Niech się jeno wydrze, pojedzie za Geilaną; zakazał mu stary wracać, to nie ujrzy go więcej. Znowu matka przyszła na myśl Jaskotelowi i dwór w Skarbnie, i bracia, wspominać zaczął towarzyszy i nagle ogarnęła go wielka tęsknota. Niełatwo oderwać się od tego, w czym się rosło od dziecka i gdzie tak dobrze było. Miło jest jeździć po świecie, gdy się wracać ma gdzie. Z żalu nucić zaczął piosenkę, jaką z dziecinnych lat wspomniął, zrazu cicho, potem coraz głośniej i tak się rozśpiewał, że nie posłyszał zbliżających się kroków i dopiero szczęk żelaznej sztaby w drzwiach przerwał jego rozśpiewanie.

Drzwi rozwarły się i stanął w nich mąż tęgi, średniego wieku, z twarzą czerwoną, obrośniętą rudymi kłakami. Łysy był prawie zupełnie, jeno na skroniach wiły się również rude, lekko siwizną przyprószone włosy. Małe oczki miały wyraz dobroduszny, choć głos starał się uczynić surowym, gdy rzekł:

- Żadnych tu krzyków robić nie wolno. Pomodliłbyś się lepiej, bo nie wiesz, co cię czeka.

Jaskotel obrzucił przybysza szybkim spojrzeniem. Z wrodzonym wyczuciem w mig poznał, że przybysz lubi śpiew, lubi popić i pogadać. Nie wyglądał też na zbyt chytrego. Byle się udało nawiązać z nim znajomość, obejść go będzie snadno. W każdym razie warto pozyskać sobie człowieka, jedyne, jakiego mógł widywać.

Uśmiechnął się tedy i rzekł:

- Sam słyszałem, jak biskup jeden mówił, że kto śpiewa, dwa razy się modli.

Rudy w zakłopotaniu poskrobał się po karku, namyślając się chwilę:

- Może, kiedy biskup tak mówił; ale przecie chyba ino pobożna pieśń za modlitwę stoi?

- Biskup nic nie gadał, ale sam myślę, że pewnie nie każda. Ta chyba nie!

I Jaskotel zaśpiewał po niemiecku piosenkę wielce sprośną, którą gdzieś w gospodzie zasłyszał.

Dozorca zrazu powagę chciał utrzymać, lecz po chwili za brzuch się uchwycił od śmiechu, aż o odrzwia musiał się oprzeć. Nagle urwał i krzyknawszy: - „Milczeć!” - zatrzasnął drzwi, a zdziwiony Jaskotel posłyszał szczęk zasuwanego rygli. Nie mógł pojąć, co było przyczyną nagłej odmiany nastroju dozorca. Przyskoczył do drzwi i nasłuchiwał. Zadudniły po belkach ciężkie kroki klucznika i Jaskotelowi zdało się, że słyszy przyciszoną rozmowę, po czym rozległ się huk zatrzaśniętych zapadowych drzwi nad schodami i zaległa cisza.

Jaskotel usiadł na posłaniu i głowił się, kto by to mógł być, przed kim dozorca wstydził się słuchać piosenki, która podobała mu się tak widocznie. Nie wymyślił nic, lecz zawziął się, że wybada. Każda wiadomość mogła się przydać w jego położeniu. Na razie ważnym było wiedzieć, że

dozorca nie przychodzi sam. Pomysł, by go ubić i uciec, nie nadawał się do wykonania. Posiedziawszy, Jaskotel uczuł potrzebę ruchu. Zaczął więc znowu próby wspinania się po ścianie, a gdy to nie szło, jął różne łamańce wyprawiać. Gdy się zmęczył, zjadł chleb, wypił polewkę, a że ciemno się już robiło, uwalnił się na słomę i zasnął. Powlokły się dni podobne do siebie jak liście jednego drzewa. Tyle że czasem słońce świeciło, czasem chmury zaciemniały niebo i wówczas mrok panował w izdebce Jaskotela. O ile w pogodne dni rozbijał się po swym zamknięciu jak szczygiel po klatce, w słotne ogarniało go zniechęcenie i tęsknota za swobodą. Siedział wówczas godzinami na posłaniu, objąwszy kolana rękoma lub nie wiedząc nawet o tym nucić zaczynał. Zdało mu się wówczas niejednokrotnie, że słyszy jakieś szmery za drzwiami, lecz ilekroć śpiewać przestał nasłuchując, niczego nie mógł pochwycić. Myszy ni szczury, których nie brakło na wieży, nie harcowałyby właśnie wtedy, gdy Jaskotel czynił hałas śpiewając. Człowiek jakiś musiał podchodzić pode drzwi, ale kto? Dozorca przecież się nie skradał i nie taił z podsłuchiowaniem pieśni, skoro nieraz sam prosił go, by zaśpiewał. Jenó w gadaniu jakoś powściągliwy był, tak że dotychczas Jaskotel niewiele zdołał się dowiedzieć, a przyciskać go nie chciał, by wyraźnie mającego się na baczności nie spłoszyć. W nudzie samotności rzeczy te stały się zagadką, którą zawziął się rozwiązać, i całymi dniami przemyślał, co by uczynić, by zmusić do zdradzenia się tajemniczego gościa, w którym podejrzewał kobietę. Wziął się na sposób. Przerывał nieraz śpiew wpół słowa, nasłuchując pilnie pode drzwiami. Jeśli przerwa była niedługa, nie słyszał nic, jednak gdy milczał czas dłuższy, zdało mu się, że słyszy lekkie i ostrożne kroki, oddalające się od drzwi, po czym przyciszony trzask zdradzał, że ktoś ostrożnie zamykał drzwi zapadowe. Upewnił się w swych przypuszczeniach i z kolei zaniechał śpiewania. Tkwiąc pod drzwiami słyszał przez kilka pierwszych dni te same odgłosy, gdy jednak milczenie jego przedłużało się, nieznajoma przestała przychodzić.

Cnić mu się jeszcze bardziej zaczęło. Lato musiało już być na dworze; przez okienko wpadał wraz z ciepłym powiewem zapach lip i akacji. Wiezorami Jaskotel śledził śmiganie jaskółek, które z piskiem latały koło wieży, mając widocznie gniazda pod okapem dachu. Czasem na obramowaniu okna usiadły gołębie i muskały piórka lub odprawiały swe zaloty.

Jaskotel odzyskał już całkowitą sprawność i wreszcie któregoś dnia udało mu się doskoczyć do kraty. Podciągnąwszy się na rękach, wisiał na nich, póki nie zdrętwiały mu mięśnie. Pożerał oczyma świat, stojący w całej krasie lata. W dole, na stoku, schodzącym stopniami do okalającego zamek muru, rozciągał się ogród. Za murem, u stóp wzgórza, małe domki chowały się wśród bujnej zieleni starych drzew, zaś widnokrąg zamykał ciemniejszy pas borów. Jaskotel korzystał z odzyskanej części swobody, póki sił w rękach starczyło. Karmić zaczął gołębie i wróble, które wnet się zwiedziały, że w okienku na wieży można się pożywić, i jeżeli nie wisiał na kracie, wpatrywał się w okno, bawiąc się życiem ptasiej hołoty. Zajęty czym innym, przestał śpiewać, przestał myśleć o nieznajomej.

Gdy spowszedniała mu jednak nowa rozrywka, zaczął znowu tęsknić za wolnością i czasami ogarniało go zniechęcenie i otepienie. Leżał wówczas całymi dniami na słomie i patrzył w powałę nie poruszając się nawet, gdy wchodził dozorca. Nie karmione ptaki przestały przylatywać i Jaskotel zanurzał się w lepkiej nudzie, odganiając od siebie wszelką myśl i zamiary.

Dozorca, który widocznie polubił Jaskotela, zapytał go raz i drugi, co mu dolega, otrzymawszy jednak w odpowiedzi na wpół przytomne spojrzenie, przestał się odzywać i czas popłynął jak krople wody, skapujące z dachu w zapłakane, jesienne dni, jakie coraz częściej przysłańiały mrokiem Jaskotelowe okienko. Jednego dnia leżał jak zwykle, wpatrzony w powałę, gdy otwarły się drzwi

jakoś ostrożnie, tak że zbudziło to uśpioną uwagę Jaskotela. Dźwignął się i oparłszy na łokciu, spojrzął na otwarte drzwi, których skrzydło zasłaniało wejście. Ktoś nie wchodząc postawił dzban z wodą i cofnął się, widocznie po misę z polewką i chleb. Jaskotel skoczył na równe nogi i jednym krokiem znalazł się twarzą w twarz z młodą dziewczyną.

Stała zmieszana nie wiedząc, co począć z trzymanymi w rękach przedmiotami i z drzwiami, które Jaskotel sobą zastawił. Dzieckiem była prawie, zwłaszcza zmieszany wyraz ciekawości i niepokoju w błękitnych oczach oraz po dziecinnemu rozchylone usta, pełne i kształtne, choć drobne, zdradzały pierwszą młodość. Złote, o rudawym odcieniu włosy, jakby aureolą okalały białą twarzyczkę z jasnymi rumieńcami, które w pas przeszły pod rozgorzałym spojrzeniem Jaskotela.

Stali tak milcząc, wreszcie dziewczyna stanowczym ruchem postawiła przyniesione jadło obok więźnia i rzekła drżącym, dziecinnym głosem, który pewnym uczynić usiłowała:

- Odstąpcie od drzwi, bo muszę zamknąć!

Jaskotel zaśmiał się i odparł:

- Nie na tom tyle czasu czekał na sposobność, by zamknąć się dać jak kurczę.

Bładość zastąpiła rumieńce na licu dziewczyny. Cofnęła się o krok i ledwo dosłyszalnym głosem rzekła:

- Chryste! Uciekać chcecie?!

- Muszę, bo zdechłbym tutaj. Żal mi cię, dziewczyno, ale nie wydolę dłużej tu siedzieć. Wejdz do izby i klucze mi daj! - dodał ostro - bo musiałbym siłą cię zamknąć.

Wyraz rozpaczony zjawił się na dziecinniej twarzyczce. Niespodzianie rzuciła się przed Jaskotelem na kolana i głosem przerywanym z trwogi i wzburzenia zawołała:

- Zmiłujcie się! Ojciec zabije mnie, gdy się dowie, że sama tu przyszedłam, choćby się wam uciec nie udało. Tak mi chcecie odplacić, żem się ulitowała, byście tu o głodzie nie siedzieli?! Wybuchnęła hamowanym płaczem.

Jaskotela ogarnęło zmieszanie. Zły był sam na siebie, że waha się skorzystać ze sposobności, jakiej może drugiej nie będzie, i że słabość ma do niewiast. Lecz czuł, że nie potrafi użyć siły wobec tego półdziecka. Niechętnie zapytał:

- Jakoże to?

- Ojciec musieli wyjechać i kazali jeść wam nosić Edwinowi. A ten się spił i leży, ani się go dobudzić. To sama przyniosłam, byście o głodzie nie siedzieli, choć ojciec surowo zakazał, bym was na oczy nie widziała. Nawet gdy z nim przychodzę, nie wolno mi na was spojrzeć.

Tu oczy dziewczyny spoczęły na Jaskotelu. Niewieścim wyczuciem poznała, że Jaskotel mięknie i przestraszonymi jeszcze oczyma spojrzała zalotnie.

Jaskotel nie umiał opierać się niewiastom. Znał je zbyt dobrze, by nie wyczuć, że działaniem dziewczyny kierowała więcej ciekawość niż litość, natomiast nie wątpił, że w razie jego ucieczki spotkałaby ją surowa kara i samemu żal mu się jej zrobiło. Niemniej zbyt mu dojadła samotność i nuda, by miał nie wyciągnąć żadnej korzyści ze sposobności, jaka się nadarzała. Rzekł więc łagodnie:

- Nie bój się. Nie życzę ci zła, ale i sobie go nie życzę, a dłużej nie wytrzymam. Puszczę cię, jeśli mi przyrzeczesz, że mnie inaczej uwolnisz, tak by cię o to nie winiono.

Dziewczyna odetchnęła, lecz zarazem posmutniała znowu i odparła:

- Jakże mogę wam to przyrzec, kiedy ojca pokaraliby, gdybyście uciekli.

- Chodź, naradzimy się, może da się tak zrobić, by go o to nie winiono.

Zawahala się, lecz weszła do izdebki i rozejrzała się po niej.

- Nawet usiąść nie macie na czym - rzekła.

- Juści, nie ksiązące tu życie, jeno psie - zaśmiał się Jaskotel.

- Ale nie stoję o to, jeno za swobodą mi tęskno. Żebym żelaza kawałek dostał i sznur, przez okno bym uciekł.

- Wysoko przecie, a wyleźć nie ma po czym.

Miast odpowiedzi Jaskotel podbiegł i odbiwszy się nogą, dochwycił kraty i wciągnął się do okienka. Zeskoczył mówiąc:

- Widzisz, że poradzę. Jeno kraty zębami nie wyrwę ni ptakiem nie sfrunę na dół.

Patrzyła na niego z nieukrywaniem, dziecinnym podziwem.

- Ale z was zdały pacholek! I aż dziwne, że takiego was w myślach widziałam, jak jesteście - powiedziała.

Jaskotela upewniło to powiedzenie, że jeśli nie sprzymierzeńca w wykonaniu zamiarów ucieczki, to wszelką inną pomoc i rozrywkę w nudzie od niej uzyska, i rzekł:

- Wiem ci ja o tym, bo w myślach czytać umiem.

- Chyba łżecie? - odparła z zaciekawieniem, lecz i nieufnością i zapłonila się cała.

- Wraz się przekonasz! - rzekł i przygarnawszy dziewczynę ucałował ją w same usta. - O tym także myślałaś!

Odskoczyła zapłoniona i mówić poczęła szybko, jakby i samą siebie chciała przekonać.

- A nieprawda, nieprawda, nigdy nie myślałam. Już pójdę sobie.

- Mógłbym cię nie puścić, ale chcesz, to idź. Jeno ci zapowiadam, że nie spojrzę więcej na ciebie ni słowa mego nie usłyszysz. I głodem się zamorzę, bo nie wysiedzę dłużej w tym zamknięciu.

- Nie! nie! - krzyknęła. - Może wam nie smakuje to jadło? - spytała.

- Juści do innego nawykłem. Ale najwięcej do swobody. I nuda też to miesiącami nie słyszeć, co się na świecie dzieje, ni samemu gęby do kogo otworzyć.

- Dawniej śpiewaliście tak pięknie! - rzekła. - Tak lubiłam słuchać. Nieraz tu pode drzwiami stałam i słuchałam. Jakby głąskał kto po sercu, tak pięknie śpiewacie.

Jaskotel nie odrzekł nic, a dziewczyna zapytała:

- Czemu przestaliście śpiewać?

- Zbrzydło mi wszystko - odparł. - Ale obiecasz przychodzić, to ci zawsze zaśpiewam, jeno nie pod drzwiami stój, ino tu wejdź. Wahając się widocznie między chęcią słuchania a strachem przed gniewem rodzica, rzekła:

- Nie ważę się. Ojciec by mnie ubił, gdyby przyłapał.

- Jak chcesz! - odparł Jaskotel z udaną obojętnością. - No, idź już!

Dziewczyna wstała, a wyraz żalu zjawił się na jej twarzy i łzy zaświeciły w oczach.

- Nie chcecie już mówić ze mną?

- Nie chcesz nic dla mnie zrobić, widno nie lubisz mnie. Ja też o to nie stoję. Znudzi mi się do reszty, to się głodem zamorzę lub łeb o ścianę rozbiję. Zajedno mi już wszystko. Wstała i zasłoniwszy oczy ręką, wyszła nie zamykając drzwi.

Jaskotel stanął w nich i zawołał za nią:

- Zamknijże mnie, bo ci ucieknę i ojciec spierze ciebie, a biskup jego.

Zaśmiał się zgryźliwie i sam drzwi zatrzasnął. Długo trwało, nim rozległ się stuk zakładanej sztaby i lekkie kroki oddaliły się ku schodom.

Cesarz nie miał szczęścia do Słowian. Zebrawszy znaczne siły stanął z wiosną nad Nysą i czekał na nadejście Bernarda, który spóźniał się. Wreszcie przysłał wiadomość, że wśród Weletów i Obodrytów znowu wybuchły niepokoje, których poskromienie czas jakiś potrwać musi.

Rzecz to była zwykła i trudno było dopatrzyć się związku między nimi a Mieszkiem, gdyż gnębieni a miłujący swobodę poganie raz wraz zrywali się do oporu. Lecz w cesarzu, który pamiętał, iż za jego poprzedników siła kilku margrafów wystarczała, by nie tylko bronić dotychczasowych zdobyczy, lecz sięgać wciąż po nowe, budziły się wątpliwości, czy starczy jego sił, by jednocześnie prowadzić sprawy w Italii i na wschodzie. Tracił pewność siebie, przestał ufać swym ludziom, a wyczuwając, że w Mieszku leży środek ciężkości oporu, zaczynał źródło swych niepowodzeń widzieć w polańskim księciu, chociaż pozornie żaden związek między nim a własnymi niepowodzeniami nie był widoczny. Ogarniał go zarazem gniew i niepokój, i coś jakby podziw. Czuł, że gdy złamie Mieszka, opór pozostałych Słowian bez trudu pokona, gdyż choć nie było żadnej między Mieszkiem a nimi przyjaźni, a tym mniej świadomego współdziałania, jednak jego to przykład do oporu pobudzał, a chytryść czyhająca na każdą sposobność, gdy jeno cesarz gdzie indziej zmuszony był oczy obrócić, krępowała swobodę jego ruchów, nawet na samej wschodniej granicy, a tym bardziej w Italii, dokąd jednak cesarz myślą wciąż wracał widząc tam przyszłość swego państwa.

Wiadomości od Bernarda nadeszły, gdy wczesna i pogodna wiosna podsuszyła bagna i drogi i czas do uderzenia był najsposobniejszy. Gniew i niecierpliwość przeważyły własny rozum i rady dostojników. Cesarz postanowił przejść Bóbr koło Krosna i wtargnąć w głąb polańskiego kraju w kierunku Międzyrzecza. Dufał, że jeśli Mieszka do bitwy zmusić zdoła, lepiej zbrojne rycerstwo jego pokona liczniejszych, lecz często w oszczepy jeno zbrojnych Słowian, z których tylko Mieszkowa drużyna poważniejszy opór stawić może. Nie chciał zresztą myśleć o trudnościach, gdyż pokonanie Mieszka uważał za konieczne.

Przeszedł tedy cesarz Nysę i poczynione przez Mieszka nad nią umocnienia, żadnego oporu nie napotkawszy, co chciał sobie najkorzystniej tłumaczyć, choć wodzowie, którzy lepiej księcia znali, a zwłaszcza Hodo, odmienne mieli o tym mniemanie. Hodo doradzał nawet, by się wrócić i na Bernarda zaczekać. Cesarz Hodonowi odrzekł pogardliwie, że rozumie jego strach, który raz zakorzeniony, szczeznąć nie chce, lecz tym razem Mieszko nie z Hodonem, jeno z cesarzem będzie miał do czynienia. Hodo zgryzł wstyd i gniew, lecz zła radość opanowała go, gdy zaraz z wieczora, pierwszego dnia pochodu, od tylnej straży znać dano, że kilku ludzi, którzy się nieostrożnie przyzostali, od strzał zginęło w lesie.

Cesarz udał, że go to nie obeszło i jeno surowo przykazał, by wszyscy kupy się trzymali, ni na chwilę nie oddalając się z szeregów. Niewiele to jednak pomogło, gdyż zaraz z rana, następnego dnia pochodu, to samo zdarzyło się w przedniej straży, a na następnym noclegu, nocą, w samym obozie. Straty nie były wielkie, lecz drażniły cesarza, gdyż wobec takiego prowadzenia wojny w obcym kraju czuł się bezsilny. Przyśpieszył tedy pochód i trzeciego dnia, pod wieczór, stanął u brodu na Bobrze powyżej Krosna. Nie chcąc rozpoczynać przeprawy w zapadającej ciemności, wysłał jeno oddział jezdnych na drugą stronę rzeki, by przejście zabezpieczyli, a sam rozłożył się obozem.

Ledwo usypiać zaczęli, wybiły ich ze snu odgłosy walki i strażę przybiegły z wieścią, że na drugim brzegu wre bitwa. Zerwali się wszyscy i cesarz rozkaz wysłał, by oddział, który przeszedł, wycofał się, lecz posłańcy wrócili poranieni donosząc, że na bród idzie ulewa strzał. Oddział cesarski był odcięty. Cesarz zwołał wodzów na naradę, która trwała krótko. Oddział, który przeszedł, na przepadłe pozostawiono. Hodo natomiast, nie mieszkając, miał podejść ku Krosnu i tam most w cichości, byle się przejść dało, postawić. Rankiem cesarz pozór dać miał, że próbuje przeprawy, zaś Hodonowe wojska z tyłu zejść miały Mieszka, który niespodzianie z dwóch stron wzięty, nie zdołałby się obronić. Mieszko jednak, równie dobrze jak Hodo, pamiętał stary podstęp Gerona, który życie kosztował Stoigniewa. Ze świtem cesarz ruszył wojsko na bród, a gdy zza krzów i drzew posypały się pociski, cesarscy odpowiedzieli pociskami, nie pchając się zbytnio i czekając, rychło li wrzaski na tyłach Mieszkowych dadzą znak, że Hodo nastąpił. Słońce jednak wzbiło się już wysoko, a nic się nie działo. Cesarz od czasu do czasu posyłał mniejszy oddział, na rzekę, by uwagę nieprzyjaciela na sobie utrzymać, lecz niecierpliwił się coraz bardziej i kłął pod nosem Hodona. Wreszcie ruszyć postanowił w dół rzeki, u przeprawy jeno łuczników zostawiając. Nie uszedł daleko, gdy w lesie przed sobą usłyszeli odgłosy walki, a zaraz już wpadli na nich uciekający ludzie z Hodonowego oddziału, którzy donieśli, że most bez przeszkody wystawili, lecz miast Hodona przeszły po nim Mieszkowe hufce i ninie biją się z Hodonem, wycofującym się ku cesarzowi. Cesarz, zostawiwszy pieszych, jazdę ruszył przed siebie co ducha i zdążył jeszcze Hodona ocalić od ostatecznej klęski. Mieszko, napotkawszy na przewagę, wycofał się znowu za rzekę i most za sobą spalił. Stali tedy jak przedtem, jeno cesarskich wojsk sporo ubyło.

Cesarz, choć namiętny i zawzięty, umiał panować nad sobą nie gorzej niż nad innymi. Stłumił wściekłość, jaka chwilami mgłą czerwoną ćmiła mu oczy, i widząc, że siłą nic nie wskóra, postanowił spróbować układów. Nie wierzył, by i przez nie osiągnąć mógł coś z takim jak Mieszko przeciwnikiem. Chodziło mu już jedynie o to, by się móc bez ujmy dla swej powagi ze sprawy wycofać.

Wysłał tedy do Mieszka poselstwo z żądaniem, by Mieszko na rozmowę się stawił. Mieszko wysłanników przyjął uprzejmie i odesłał obdarzonych, z poleceniem, by cesarzowi oznajmili, że jako już raz oświadczył, póki Bolko w zakład będzie trzymany, na żadne wezwanie cesarskie stawiać się nie będzie, nie mając pewności wolnego powrotu.

Cesarz przełknął zuchwałą odpowiedź, nic nie dając poznać po sobie, i wysłał ponownie grafa Geddoną i kanclerza swego Willigiza, umocowanych do przeprowadzenia układów celem zakończenia wojny.

Willigiz był kapłanem wielce uczonym i cesarz ufał, że mądrością swą i wymową Mieszka do opamiętania przywiedzie. Posłowie zastali Mieszka posilającego się przy ognisku, w gronie starszyny. Mieszko posłom cesarskim wszelki szacunek okazał, Geddonowi znajomość z Kwedlinburga przypomniał, wysłuchał cierpliwie i uważnie przemówienia Willigiza, który, powołując się na prorocstwo Daniela i św. Hieronima oraz cytując dzieło św. Augustyna „O Państwie Bożym”, zażądał dla cesarza, jako pana świata, przez Boga ustanowionego, posłuchu, jakiego prawo ma żądać od wszystkich książąt ziemi, szczególnie zaś od tych, którzy przez chrzest do społeczności chrześcijańskiej przystąpili. Gdy zaś Mieszko nie przerywał, przeszedł do żądań określonych - wypuszczenia pobranych w niniejszej wyprawie jeńców, wycofania wojsk znad granicy i przyrzeczenia, że miecza więcej przeciw cesarzowi nie podniesie. W zamian za to przyrzekał łaskę cesarską, a nawet napomknął, choć niezbyt wyraźnie, o koronie, jaka chrześcijańskich książąt, którzy

wiernie przy Kościele i cesarzu stoją, zdobić zwykła. Zadowolony z siebie skończył i czekał na Mieszkową odpowiedź, wnosząc z zamyślonego wyrazu twarzy księcia, że przedmowa jego zrobiła wrażenie i tusząc pomyślne załatwienie żądań.

Mieszko przez jakiś czas grzebał w ogniu patykiem, wreszcie ozwał się:

- Wiele rzeczy w pismach waszych stoi, a nie widzę, by się tego kto z was trzymał. Może by lepiej było, gdyby świat był taki, jak tam pisze, ale nie jest. Ot i teraz cesarz, że mieczem nie wskórał, słowem mnie pobić umyślił. Nie widzę ja, by panem był ziemi, skoro u własnych ludzi posłuchu doprosić się nie może. A tej ziemi, na której stoimy, ja jestem panem. Przekonałem już niejednego bez gadania i myślę, że i cesarza przekonam, iż mi z niej ustąpi, o co pokornie go proszę i spodziewam się, że mi cesarz nie odmówi, jako jest słuszne, albo miecz niech kończy, jak zaczął. Nie przeczę, że mi łaska cesarska i pokój z nim potrzebny, ale że i jemu potrzebny, tedy płacić nie mam za co. Przyrzec jeno mogę, że cesarskich ziem nie najadę, jeśli cesarz moje zostawi w spokoju. A jeńców nie wydam, bo mi ich głowy za głowę mego syna ręką. Tymczasem nie będzie im tu gorzej niż wojakowi mojemu, Jaskotelowi, którego w wieży w Kwedlinburgu trzymacie, choć nie na wojnie z wami jeńcem był wzięty, lecz w cesarskiej służbie ranę odniósł i po słuszości nagrody mógł się spodziewać, a nie więzienia.

Ostatnie słowa wymówił Mieszko oschłym, podniesionym głosem i kij, którym grzebał w ognisku, cisnął w nie, a wstając dodał:

- Widzicie, że wyższość cesarza uznaję, jako chrześcijanin, i dlatego proszę, choć mógłbym żądać. A nie znajdzie prośba moja cesarskiego ucha, to może miecz mój znajdzie cesarską skórę. By zaś cesarzowi postanowienie ułatwić, tedy wiedzcie, że gdy wy tu czas tracicie na jałowe gadanie, moje wojska was obchodzą. Widzicie tedy, że z chrześcijańskiego miłosierdzia proszę, byście odeszli w spokoju, kraju mi nie pustosząc, za co ja w odwrocie nie przeszkadzać przyrzekam.

Graf Geddo, człek rozumny i gładki, pojął od razu, że Mieszko wie, iż ma przewagę, i na słowa się wziąć nie da. By przeto ocalić pozory, miast grozić, targować się lub przekonywać, oświadczył:

- Gniew wasz niesłuszny i groźby niepotrzebne i zapomniny, żeśmy je słyszeli. Cesarz nie ma zamiaru kraju waszego zajmować i jak przyszedł, odejdzie. Imieniem jego przyjmuję przyrzeczenie, że kraje nasze ostawicie w spokoju, że przeto nie przeciw cesarzowi wojska wasze były zebrane i tak rozumiem, że nadal pozostajecie wiernym cesarza sprzymierzeńcem i w niepamięć puścimy godne pożałowania nieporozumienie. A gdy, jak widzę, Jaskotelowa sprawa jest gniewu waszego przyczyną, tedy wyjaśnić muszę, że nie przez cesarza jako jeńiec, lecz przez biskupa jako więzień został pojmany za pomoc, jaką dał czarownicy, biskupim sądem skazanej. Myślę że miast gniewu wdzięczność nam sprawiedliwość wasza odda, gdy się dowiecie, że właśnie na cesarski rozkaz ulubiony wojak wasz nie był biskupowi pod sąd wydany. Aby was jednak i dla naszych brańców dobrze usposobić, cesarskim imieniem przyrzekam, że do pozostałych zakładników do klasztoru będzie odesłany.

- Rad jestem, że się rozumiemy, Geddonie - odparł Mieszko. - Łatwiej to, gdy znacie mnie już lepiej niż wówczas, gdy Hodonowi się zdało, że Geronowe czasy jeszcze nie minęły. Geddo skłonił się z uśmiechem udając, że nie rozumie drwiny, i żegnać się zaczęli. Mieszko, by osłodzić cesarzowi gorycz niepowodzenia, przesłał mu przez posłów dary bogate i ich samych obdarzył.

W trzy dni później cesarz stał u Nysy przyglądając się przeprawie swych wojsk. Gdy ruszyli, cesarz obejrzał się na niknący z oczu kraj, który przed paru dniami jeszcze za przyszłą zdobycz uważał, i do otaczających go dostojników odezwał się:

- Wolałbym, aby człowiek ten naprawdę naszym był sprzymierzeńcem.
Ale niełatwo uspić raz zbudzoną nieufność.

XVIII

Pokrzyżowane zamiary.

Jaskotel przez kilka dni daremnie wyczekiwał na dziewczynę i klął sam siebie, że się zmiękczyć dał i nie spróbował ucieczki. Niechby sobie biskup skórę zdarł z dozorczy i jego córki, byle on był wolny. Żebyż choć w nagrodę przyszła do niego. Godziny zmroku, który był coraz dłuższy, wlokły się nieznośnie, a młoda krew nieraz się w nim burzyła, iż rozbijał się po izdebce lub wisiął u okna, póki ręce mu nie zdrętwiały z wysiłku i chłodu, dającego się już we znaki. Niemniej przyrzekł sobie, że nie tknie dziewczyny, gdyby przyszła, by sobie nowej biedy nie napytać. Nie bardzo wierzył sam sobie, lecz wówczas myśl o Geilanie uspokajała go. Dziwne było, że im dłuższy czas upływał od chwili, gdy stracił ją z oczu, tym wyraźniej ją widział i tym silniej nabierał przekonania, że ona jedna mogła zastąpić wszystkie inne, które jeno zamieszanie wprowadzały w jego życie. Ze złością nieraz wspominał ojca, który jego związkowi przeszkodził, i mimo woli kląć zaczynał, a że czasu miał dużo, przypominał sobie wszystkie klątwy, jakie od ojca słyszał, i klął dla wprawy godzinami, jakoby kto litanie odmawiał. Przynosiło mu to ulgę i rozrywkę, lecz wreszcie i to się sprzykrzyło.

Znowu przyszedł na niego okres martwoty. Leżał całymi dniami zagrzebany w słomę i wpatrywał się w powałę lub w okienko, przez które mróz ciągnął. Była już zima.

Pewnego wieczoru leżał jak zwykle, pół marząc, pół drzemiąc, gdy drzwi uchyliły się i w świetle kaganka ujrzał dziewczynę. Tym razem jednak nie zerwał się, nawet głowy nie podniósł. Weszła nieśmiało i stanęła nad nim. Stała przez chwilę w milczeniu, jakby czekając na jego odezwanie, a gdy i on milczał, odezwała się nieśmiało a żałośnie:

- Nawet do mnie nie zagadacie?

- Mam ci opowiedzieć, jak się tu siedzi przyjemnie?! Żebyś był mądry, tobym cię zamknął, a sam uciekł. I nie wiem, czy tego nie zrobię, dlatego wynoś się!

Dziewczyna zakryła twarz rękoma. Myślał ze złością, że wybuchnie płaczem, a tego nie mógł znieść. Gdy ją zacznie pocieszać, nie wiadomo na czym się skończy.

Nie rozplakała się jednak, lecz rzekła stłumionym głosem:

- Choćbyście mnie i zabili, nie uciekniecie. Z wieży wyjdziecie przez izby i krużganki i wszędzie ludzi napotkać będziecie musieli.

- Ale ludzie nie smoki przecie! - podjął żywo. - A choćby mnie i ubili, wolę to, niż gnić dłużej w zamknięciu. Żebyś ty mnie lubiła, dziewczyno, nie dałabyś mi tu zmarnieć. Niespodzianie zapłakała, lecz Jaskotel wiedział, czemu płacze. Żal mu jej się zrobiło, lecz do pocieszenia się nie brał, bo bał się samego siebie. Milczał przez chwilę, aż przycichła, i zaczął znowu:

- Nie rób sobie nic z tego. Gadam tak, bo mi gorzko.

Za co byś mnie zresztą miała lubić?!

- A za to, że śpiewacie tak ślicznie i wiem ja zresztą, za co?! - odparła naiwnie.

Jaskotel roześmiał się, by pokryć wzruszenie. Od chłopca wiedział aż za dobrze, że go lubią niewiasty, i przywykł brać to jako rzecz sobie należną. Ale to dziecko było prawie i nie o tym na pewno myślała, co inne. Nie bardzo wiedział, jak z nią mówić. By wybrnąć przeto, rzekł:

- Chcesz, to ci zaśpiewam?

- Oj, dobrze! Tak dawno nie śpiewaliście.

Słuchała z oczyma wpatrzonymi w płomień kaganka. Jaskotel rozśpiewał się na dobre. Jakoś lżej mu się uczyniło na sercu. Po tylu samotnych dniach i nocach znowu ktoś jest przy nim, do kogo można zagadać. Gdy skończył, dziewczyna wypytywać go jąła, skąd umie tyle pieśni, a potem o jego dom i dotychczasowe życie. Jaskotel snuł wspomnienia, jakby mówił do siebie, jeno sam nie wiedział, czemu o Geilanie nie napomknął. Nie spostrzegli się, że noc zrobiła się późna. Ziąb się uczynił, gdyż mróz zaczął brać siarczysty i przez okienko zajrzał zimny, wyświecony księżyc.

Dziewczyna wstała niechętnie:

- Trzeba mi iść. Tak się miło z wami siedzi, chociaż zimno.

- Że zimno, to zimno! - rzekł Jaskotel - ale słomą na noc okienko zakładam, a sam się zagrzebię.

- Przyniosę wam jeszcze co ciepłego zjeść i skórę do nakrycia, jeno ją pod słomę schowajcie, by ojciec nie dostrzegł. Skoczyła i wybiegła zostawiając drzwi otwarte. Jaskotel z ciekawością wyjrzał w mroczną głąb i wyszedł ostrożnie z izdebki. Po raz pierwszy od szeregu miesięcy poruszał się w innej przestrzeni niż klatka, w której siedział. Jakby daleki smak wolności poczuł. Gdy usłyszał

jednak kroki dziewczyny po schodach, wrócił do celi. Nie chciał jej niczym spłoszyć. Jakoś prędzej z nią upłynęły godziny. Gdy odchodziła, zapytał:

- Kiedy przyjdiesz znowu?
- Jeno wtedy mogę, gdy ojca nie ma. Ale zawsze stanę tak, by was widzieć.
- Dużo mi z tego, że ty mnie obaczysz. Ja bym cię też chciał widzieć.
- Prawdali to? - zapytała patrząc na niego rozjarzonymi oczyma.

Jaskotel poweselał na jakiś czas. Znowu jął się śpiewania i zamiast wylegiwać się całymi dniami, łamańce wyprawiał, by zastałe kości rozruszać. Dzień czynił się dłuższy, wreszcie zniknęły śniegi i zrazu szarawy, potem coraz mocniejszy nalot zieloności okrywał kraj, jaki mógł widzieć ze swego okienka. Razem z wiosną jednak obudziła się w nim straszna tęsknota za wolnością, że szaleć zaczął. Kratę darł rękoma, aż je pokrwawił, wzrok jego stał się dziki, tak że dozorca z bronią zaczął przychodzić i miał go na oku, gdy mu stawiał jedzenie, gdyż Jaskotel patrzył na niego jak dzikie zwierzę, gotowe do skoku, gdy jeno wzrok z niego spuścić nieostrożnie. Dziewczyny nie widział od owego zimowego wieczoru. Zrazu myślał o niej, zwłaszcza gdy przemycić mu zdołała jakiś kasek smaczniejszy, który urozmaiceniem był jednakiej do znudzenia strawy. Potem, opanowany jeno myślą o wolności, zapomniał. Po okresie szału wpadł znowu w bezwład, lecz żywotna natura nie pozwoliła mu długo tak pozostać. Nie namyślał się już wiele. Od dziewczyny nie ma czego oczekiwać, jedyna droga do wolności prowadzi przez drzwi.

Rzuci się na dozorcę, odbierze mu broń, a jeśli trzeba, ubije. Potem będzie, co będzie. Choćby zginąć miał, wolał to, niż czekać drugiej zimy. Raz postanowiwszy, myśleć zaczął o wykonaniu rozsądnie. Ponieważ w czasie szarpaniny i martwoty spadł z sił, a tych mu na pewno będzie potrzeba, postanowił parę dni poczekać, nim do siebie przyjdzie. Pożywienie, które poprzednio często zostawiał nietknięte, zjadał teraz do ostatniej kruszyny, u okna wisiał wdychając świeży, lecz ciepły już powiew wiosenny i oczyma starając się zbadać szlak przyszłej ucieczki. Po tygodniu poczuł się w sile i następny dzień wyznaczył na wykonanie zamiaru. Po namyśle postanowił uciekać wieczorem, by noc mieć przed sobą. Do dozorca zagadywał, by nieufność jego uspić, po czym śpiewał wesoło, lecz skoro się jeno ściemniło, spać się ułożył. Następnej nocy nie spodziewał się spać, chyba na wieki. Nie czuł jednak żadnego niepokoju, lecz miłe podniecenie, które mu usnąć nie pozwalało przez dłuższy czas. Dziwił się, że dawno tego nie uczynił, co ninie zamierza. Snuł marzenia o tym, co zrobi, gdy będzie wolny, w czym niemałą rolę grała zemsta na Erwinie, który go wtrącił w niedolę. Wreszcie myśli zaczęły mu się mieszać i zasnął, gdy już drugie kury piałły. Spał kamieniem, a zbudził go dopiero zgrzyt roztwieranych drzwi. Otworzył z trudem oczy, mrużąc je od blasków pogodnego dnia, i ze zdziwieniem spostrzegł, że stoi nad nim dziewczyna.

Zerwał się zaraz, zmieszany. Patrzyła na niego jakoś dziwnie, a on też czuł się nieswój. Wszak wieczorem zapewne ubije jej ojca. Że matki nie ma, wiedział. Ostanie sierotą. Głupio mu się uczyniło i przez chwilę jego zamiar zachwiał się, lecz odrzucił ze złością wahanie. Nie zgnije tu przecie żywcem dlatego, by dziewczynie łez oszczędzić. Zresztą jeśli się da, obezwładni jedynie starego. Chce żyć, niech się nie broni. Nie czuł się jednak z dziewczyną swobodny i milczał. Ona też nie wiedziała, jak zacząć, choć widocznie coś miała do powiedzenia.

Wreszcie rzekła nieśmiało a żałośnie:

- Nie chcecie na mnie patrzeć, a może nie ujrzymy się więcej.

Spojrzał na nią zaskoczony i zaciekawiony. Po raz pierwszy widział ją we dnie. Słoneczny promień grał w jej złotorudych włosach, iż świeciły jak zorza wokół różanej twarzy. Wydała mu się

taka ładna, że na chwilę zapomniał, co rzekła, i war oblał go od stóp do głów.

Lecz chwycił się w garść i zapytał żywo:

- Co się stało?

- Jeszcze nic - rzekła z dziwnym uśmiechem. - Jeno was uwolnić radam, niech się co chce dzieje.

Jaskotel stał jak słup ze zdumienia. Czy dziewczyna coś przeczuła, czy podstęp w tym jest? Czy ma on zamiar już powzięty zmienić i na jaki? Pytania cisnęły się mu na usta, lecz nim je wypowiedział, dziewczyna spod fartuszka wyjęła zwój liny i kawałek żelaza i wskazując na okno rzekła:

- Tędy uciekajcie, jakeście umyślili. Bezpieczniej dla was, a może i dla nas. Jeno psy mogą was dopaść, ale chyba im poradzicie. Jaskotel w mig spostrzegł, że sposób ten mniej nastęrcza niebezpieczeństwa, lecz przyczynia zwłoki, której się obawiał jakoś. Rozsądek jednak doradził skorzystać raczej z możliwości, dostarczonych przez dziewczynę. Czuł zaś, że teraz tym bardziej nie miałby serca bólu jej zadawać.

Patrząc na niego zarazem żałośnie i zalotnie, spytała:

- A wspomnicie mnie czasem?

Miast odpowiedzi Jaskotel porwał ją w ramiona i całować zaczął. Nie broniła się, lecz on się opanował i wypychając ją za drzwi mówił drżącym głosem:

- Uciekaj, dziewczyno, do ognia się nie pchaj. Jeszcze się zobaczymy.

Zatrzasnął drzwi i z bijącym sercem słuchał, jak odeszła. Zaklął siarczyście, po czym uchwycił koniec liny i jednym skokiem znalazł się w okienku. Przywiązał pętlę do kraty tak, by siedzieć mógł na niej, zeskoczył po żelazną sztabę i ponownie wciągnąwszy się na okno, bez zwłoki zaczął pracować.

Mimo że kamień był wapienny, poznał zaraz, że wybicie kraty zajmie mu dni parę. Krata była z czterech sztab żelaznych, tak że osiem dziur wykuwać musiał, by ją wyjąć. Do południa z jedną jeszcze nie był gotowy. Do wieczora szturkał i dłubał tak zawzięcie, że omal nie zapomniał, iż zaraz nadejdzie dozorca. Zaledwo zdołał ukryć rumowisko, linę i żelazo, gdy stróż nadszedł. Jaskotel zjadł wicherze i zmordowany położył się spać. Przynęcał obudzić się, gdy jeno zaszarzeje, lecz znużony zasnął. Zbudziły go kroki kilku osób i głosy. Tknęło go złe przecucie. Zerwał się na równe nogi i chwyciwszy żelazo stanął przed drzwiami. Otworzyły się i stanął w nich graf Geddo z dozorcą i drugim, nieznanym człowiekiem. Obrzucił wzrokiem Jaskotela i udając, że nie widzi żelaza w jego ręku, rzekł:

- By dogodzić waszemu panu, przyrzekliśmy przenieść was do innych zakładników do Kalbe. Zawždy co klasztor, to nie więzienie i nie będziecie sami. A tuszyć śmiem, że długo nie potrwa ta niewola. Jeno z kniazem Mieszkiem sprawy się uładzą ku zadowoleniu cesarza, puścimy wszystkich was. Dlatego nie próbujcie ucieczki. Młodziście i długie życie przed wami. Szaty jeno przybierzcie przystojniejsze, bo te, widzę, sterały się i jedźcie zaraz.

Jaskotel opanował się już. Skłoniwszy się odparł krótko:

- Dziękuję! - po czym mruknął pod nosem: - Bodaj cię krew zalała za taką łaskę.

XIX

Spętane orle.

Niewola Bolkowa wielu zgryzot była przyczyną, nie najmniejsze jednak przypadły w udziale

piastunowi jego, Mszczujowi. Człek dojrzały i zrównoważony, zawołany myśliwy i doświadczony wojak, w zwyczajnych okolicznościach najlepiej by wydołał wychowaniu Mieszkowego następcy. Nic to, że na rozkaz księcia żyć musiał z dala od domu i rodziny, życiem półwieźnia, półmnicha, gdyby chociaż w warunkach, w jakich działać mu przyszło, mógł mieć nadzieję, że sprostą swemu zadaniu. Bolko z natury nie był łatwy do prowadzenia. W przejściu z dzieciństwa w wiek chłopięcy pozbawiony matczynej czułości, której potrzebę odczuwała wrażliwa jego natura, i ojcowej powagi, która kładła tamę jego samowoli i władczyemu porywom, jakie wrodzone w nim się zdały, nie pozwolił sobą kierować, tym bardziej że Mszczuj surowych środków nie chciał używać, bojąc się o zdrowie chłopaka i by go całkiem nie znarowić.

Zaraz w początkach - jeszcze w szkole w Kwedlinburgu - Bolko skarcony za nieuwagę przez prowadzącego naukę mnicha - rzucił się na niego kopiąc i gryząc, a gdy wezwany Mszczuj zabrał go, chłopak wprost szału dostał, iż uspokoić go nie było można. Przy całej gwałtowności pamiętliwy był i mściwy, nie tylko pobierania dalszej nauki odmówił, lecz dniami całymi czyhał i przemyślał, jakby się pomścić na mnichu, który w prostocie swej rękę podnieść na niego się poważył. Karano przecież chłostą i cesarskich synów i prostoduszny mnich nie mógł zrozumieć, czemu ten chłopak, ilekroć go spotkał, patrzy na niego drapieżnymi oczyma jak młody ryś, który sił jeszcze nie ma, by wroga rozedrzeć, lecz ochota na to aż nadto wyraźnie wyziera mu z oczu.

Co więcej, Mszczuj, który sypiał razem z Bolkiem, nieraz słyszał po nocach, jak chłopak kręci się w łożu i zdało mu się, że słyszy płacz tłumiony. Lecz na pytanie, co mu jest, Bolko nie odpowiadał udając sen.

Bolko rósł wprawdzie i nie było oznak jakiejś słabości, brak jednak swobody i cielesnych ćwiczeń, do których nawykł, przy niepohamowanym usposobieniu i krewkiej a silnej naturze, wywoływał wybuchy gniewu tak gwałtowne, że obawiali się go nie tylko rówieśnicy. W gniewie okazywał skłonność do okrucieństwa, choć potem zazwyczaj bardzo tego żałował.

Okres więzienia jakby przytłumił te wybuchy, lecz Mszczuj wyczuwał, że to, co się przedtem na zewnątrz wyładowywało, kłębi się w chłopcu obecnie i tkwi zaczajone. Nie był to ptak, który może do klatki nawyknąć.

Po przeniesieniu do Merseburga Mszczuj zdołał uzyskać dla chłopca i jego towarzyszy tyle swobody, że mogli się zająć rozrywkami i ćwiczeniami, wiekowi ich odpowiednimi. Było to niewiele. Wybuchy gniewu Bolka stały się wprawdzie rzadsze, usposobienie chłopca jakby się zrównoważyło, natomiast świeże kłopoty spadły na Mszczuja. Młody książę bowiem, stykając się tym sposobem częściej z ludźmi obcymi, a szczególnie z mnichami, okazywał im otwartą pogardę i nienawiść, która zaskakiwała nieraz Bogu ducha winnych ludzi, budziła wzajemną niechęć i gniewy i niejednokrotnie Mszczuj dobrze głowić się musiał, by poważniejszych skutków uniknąć. Mszczuj aż siwieć zaczął od ciągłych trosk i zgryzot, a wieści, jakie czasem przez mury klasztorne przedrzeć się zdołały, czy przypadkowo, czy przez Mieszkowych ludzi, nie zdały się rychłego końca utrapieniom jego zapowiadać. Mijały dwa lata niewoli, cierpliwości i sił braknąć zaczynało Mszczujowi, a końca widać nie było.

Zwrot nastąpił nagle i był dla Mszczuja zupełnie niezrozumiały. Bolko sam oświadczył gotowość uczestniczenia w nauce pobieranej przez chłopców w szkole klasztornej, poweselał wyraźnie, gdy znajdował się wśród swoich, do obcych odnosił się gładko, choć powściągliwie. Jedyne skrytość, której ni śladu w nim nie było, gdy chłopięciem z rodzicielskiego wyjechał domu, a którą wykazywać zaczął w niewoli, jeszcze się wzmogła. Zaczął uczęszczać chętnie na nabożeństwa i niejednokrotnie

pozostawał w kościele po nabożeństwie, późnym wieczorem dopiero wracając do swej izby. Zmiana była tak wyraźna, że zwróciła uwagę otoczenia i zaniepokoiła Mszczuja, który nic z chłopaka nie mógł dobyć. Starał się dociec jej przyczyny, lecz zrazu jedynie pomiarkować zdołał, że Bolko rad z młodym mnichem przestaje, który przed niedawnym czasem z Italii wraz z kilku innymi przybył, co tym bardziej dziwiło Mszczuja, że mnich mówił jedynie italskim językiem, którego Bolko nie rozumiał, a jeno słabo niemieckim, którego chłopak, pojętnym będąc nad wyraz, zdołał się już wyuczyć. Nie mógł zrozumieć, co mogło nawiązać łączność między nimi, mimo różnicy wieku i stanu oraz małej możliwości porozumiewania się. Mszczujowi zdało się, że twarz młodego mnicha nie jest mu obca, lecz daremnie głowił się, gdzie i kiedy mógł go widzieć. Wkrótce jednak przypadek odkrył mu tajemnicę. Przybyły do klasztoru mnich wędrowny, który okazał się wysłańcem Mieszka, zapytywał, czy nie zjawił się Stoigniew. Zapytanie to błyskawicą rozświetliło pamięć Mszczuja. Wychodząc z kościoła po wieczornym nabożeństwie, stanął w ciemnym przedsionku przy wyjściu, pewien, że jak zwykle Bolko z młodym mnichem ukażą się ostatni.

Jakoż po chwili oczekiwania ujrzał obu. Szli szepcząc coś między sobą. Choć ciemno było, Stoigniew spostrzegł Mszczuja natychmiast i umilkł. Mszczuj przystąpił do nich i rzekł z wyrzutem:

- Zda mi się, że jeśli na kniaziową ufność zasłużyłem na tyle, że syna mi swego zlecić raczył, i od was mam prawo jej czekać, zwłaszcza gdy mego wychowańca sprawa dotyczy. Bolko stał milcząc, cokolwiek zaskoczony, Stoigniew jednak odparł spokojnie, jakby przygotowany był na tę rozmowę:

- Tymczasem sprawa mojej tylko głowy dotyczy, której nie uniósłbym pewnie, gdyby mnie poznano. Gdy przyjdzie czas, że będzie dotyczyła Bolka, pierwsi o tym wiedzieć będziecie.

Mniemam, że nie dacie poznać po sobie, iż wiecie, kto jestem.

- Nie ja jeden was znałem, a wasza przyjaźń z Bolkiem mogła nie mnie jednemu wpaść w oczy.

Nie będę się dopytywał, co zamierzacie, ale jeśli to od tajemnicy nawet przede mną zawisło, nie przestajcie ze sobą, by siebie, a może i innych nie podać w niebezpieczeństwo.

Bolko zachnął się i chciał coś żywo odrzec, lecz Stoigniew położył mu rękę na ramieniu mówiąc:

- Słusznie Mszczuj prawi. Cierpliwy bądź, może już niedługo.

- Nie budźcie nadziei, która płonna okazać się może. Pilnują nas, mało powiedzieć - jak oka w głowie. Nie pozwolę na nic, co by życiu młodego kniazia zagrozić mogło.

- Gdy uznam, że czas, nie będę o pozwolenie pytał - rzekł zimno Stoigniew.

- Tedy ja kniazia zapytam. Jest tu od niego posłaniec. A tymczasem pamiętajcie, com rzekł.

To powiedziawszy Mszczuj odwrócił się i odszedł zostawiając Bolka ze Stoigniewem samych nie:

- Co myślisz robić teraz?

- Słusznie Mszczuj prawi, że widywać się nie możemy tak, aby oczy zwracać na siebie. A o ucieczce mówić przedwcześnie. Obaczmy, co będzie.

- Nie pomożesz mi, to sam ucieknę - rzekł Bolko gwałtownie. - Nie wyżyję dłużej w tych murach. I matka tam mnie czeka - dodał jakoś miękko.

* * *

Czekała istotnie. Choroba, która miała kres położyć jej życiu, poczęła już drażyć ciało, a wraz z przeczuciem zbliżającego się końca pragnienie ujżenia syna wzmogło się tak, że przytłumiło żywione od początku przeczucie, iż go już nie zobaczy więcej. Gdy Mieszko wrócił z wyprawy, zastał żonę tak zmienioną, iż uprzytomnił sobie, że być może, niedługo już pożegnać ją przyjdzie. Nie skarżyła się na nic, lecz twarz miała szarą, oczy podkrążone, o bolesnym wyrazie, i poruszała się z trudem

widocznym.

Mieszkiem wstrząsnął jej widok. Poprzednio już zdawał sobie sprawę, że nie doczeka z nią starości, lecz świadomość ta tkwiła jedynie w jego myślach, które innymi sprawami zajęte, przelotnie jeno wracały ku Dobrawce. Obecnie świadomość ta dotarła do serca i Mieszko z niespokojnym zdziwieniem poznał teraz dopiero, jak głęboko Dobrawka w nie wrosła. Jednocześnie z uświadomieniem sobie swych uczuć czynna natura Mieszka poderwała się do buntu, który wybuchł i zgasł, przytłumiony bezradnością. Znający się cokolwiek na leczeniu mnisi nic pomóc nie umieli, modlitwami jeno starając się przedłużyć życie księżnej. Za ich poradą Mieszko, choć bez przekonania, ślub złożył ufundować klasztor, jeśli Dobrawka ozdrowieje. Znachorów i wiedźm, którzy pogaństwem tręcili, dopuścić do siebie nie chciała, mimo przedstawień Mieszka, który więcej do nich miał w dzieciństwie jeszcze zakorzenionego zaufania.

Mieszkowi na myśl przyszedł Zbrozło. Ponieważ nie pokazywał się w Poznaniu, a księżę nie znał miejsca jego pobytu, wyruszył na objazd grodów na zachodniej granicy pewnym będąc, że Zbrozło zjawi się u niego.

Jakoż nie omylił się. Spędziwszy dwa dni w Międzyrzeczu, Mieszko ruszył ku Lubuszy zamierzając ciągnąć na Pomorze. Dzień był skwarny, lecz świeży powiew, ciągnący z leśnych głębin, przepojony zapachem kwiecica i topiącej się w słońcu żywicy, mile chłodził rozedrgane od słonecznego żaru, na piaszczystym gościńcu powietrze. Księżę zapragnął pozostać sam i trąciwszy konia ostrogą, wysunął się parę stajań przed swój orszak. Odjechawszy na tyle, że głosów słychać już nie było, puścił koniowi wodze i rozsiadłszy się w siodle wygodnie, myślom dał folgę. W lesie cisza była, jeno gdzieś z dala dochodziło kucie dzięciołów. Czasem sójka zaskrzeczała lub brzęczenie tysięcy pszczoł wraz z miodnym zapachem wisiało nad rozkwitłą lipą. Myśli Mieszka błądziły bezładnie i leniwie, przeskakując ze wspomnień ku przyszłości, znowu wracając do wspomnień, aż uwięzły na ostatniej trosce. Poruszył się w siodle niecierpliwie. Poczucie bezradności, przeciwne jego naturze, szukało ujścia i Mieszko, trąciwszy konia, przeszedł zrazu w kłus, a potem w cwał i leciał, aż boki rumaka okryły się pianą, a oddech jego stał się chrapliwy w upalnym powietrzu.

Wówczas ściągnął wodze i jadąc stępą upatrywał, gdzie by konia popaść, a samemu w chłodzie na nadejście orszaku zaczekać. W pewnym miejscu szlak skręcał dość nagle na południe, omijając bagienko, ku któremu przez gościniec sączyła się leśna struga. Brzegi jej zarosłe były bujną trawą i błękitne od niezabudek. Mieszko zdjął siodło ze spoconego rumaka, w przekonaniu, że odbił się tak daleko od swoich, iż dłużej czekać mu przyjdzie, i puścił go na paszę, sam zaś wszedł między drzewa, by wynaleźć na podmokłym gruncie suchsze miejsce, w którym by spocząć można. Uszedłszy parę kroków ujrzał niewielki wykrot, w którym stała woda. Obszedł go, by usiąść na pniu obalonego drzewa, i ze zdziwieniem ujrzał Zbrozłę, który powstał kłaniając się na powitanie.

- Dobrze, żeśmy się nie zminęli - rzekł Mieszko siadając i wskazując Zbrozle miejsce obok siebie. - Dlatego jadę, by się z wami obaczyć. Nie radziście widno przyjeżdżać do nas do Poznania.

- Wiecie, dlaczego nie przyjeżdżam - odparł Zbrozło. - A zminąć nie mogliśmy się, bo naprzeciw was jechałem przypuszczając, że mnie widzieć zechcecie.

- Tedy się może i domyślicie, o czym z wami mówić chciałem.

Spokoju chwila od nieprzyjaciół, tedy w domu jest troska.

- Mówicie, panie, o chorobie księżnej. Może to i więcej niż troska, ale rady na nią nie widzę. Księżna żyć nie chce, dlatego jej pomóc nie można. Dzisiaj już zresztą za późno. Mieszko dłuższy

czas siedział w milczeniu. Ogarnęło go jakieś niezwykle zniechęcenie. Zapomniał prawie o obecności Zbrozły. W głowie czuł zimną pustkę, natomiast gdzieś w głębi serca wstawał żal i dźwigał się ku górze, aż za gardło go ujął, słowa wypowiedzieć nie dając. Runęła ostatnia nadzieja spokojnej starości przy boku kobiety, która tak mało miejsca zdała się zajmować w jego życiu, a której spodziewane odejście już teraz pustkę tworzyło wokół niego. Przez chwilę Mieszkowi zdało się, że żal łzami się wyłamie, lecz uświadomił sobie obecność Zbrozły. Duma wgniotła żal z powrotem. Suchymi oczyma spojrzął na Zbrozłę i aż się zadziwił.

Zbrozło patrzył na księcia swymi bladymi oczyma, które świeciły w poorly zmarszczkami i spalonej słońcem i wiatrem twarzy. Wzrok jego jednak nie miał zwykłej ostrości.

Wejrzenie było łagodne, choć przenikać się zdało Mieszka i do czegoś zachęcać. Księżę milczał jednak. Był już znowu panem siebie.

Oczy Zbrozły jakby się cofnęły pod krzaczaste brwi. Rzekł zwyczajnym swym, bezbarwnym głosem:

- Choroba księżnej uleczyć się nie da, ale można jej życie przedłużyć i cierpienie oszczędzić.

Księżę spojrzął na Zbrozłę pytająco:

- Księżna musi chcieć żyć. Jedna jest na to niezawodna rada. Niech spodziewa się ujrzeć syna, będzie chciała doczekać. Mieszko machnął ręką ze zniechęceniem.

- Właśnie wieści otrzymałem. Pilnują ich tak, że podstępem się wydostać ani marzyć. Cesarz sam zapowiedział straży, że głowy stracą, gdyby Bolko zbiegł. I rozkaz mają ucieczkę każdego, kto by uciekać chciał. Pytał mnie Mszczuj, co ma robić, bo zjawił się Stoigniew i ucieczkę knuje.

Zakazałem. Księżna by tego nie przeniosła.

- Nie musi wiedzieć.

- Jeśli się uda. A jeśli nie, dowie się.

- Nie o tym zresztą myślałem. Można i inaczej budzić nadzieję.

- Nie potrafię rzec jej nieprawdy.

- Nie będzie potrzeby. Ja wam będę wieści posyłał, urzędźcie jeno tak, by księżna o nich wiedziała.

Mieszko skinął głową i siedzieli jakiś czas w milczeniu. Przerwał je księżę mówiąc:

- To jedno. Ale przecież leczyć księżnę trzeba, choć po to, by jej ulżyć. Cóż kiedy mnichy nic pomóc nie umieją, a wiem księżna wiedzieć nie chce.

Zbrozło zamyślił się i rzekł:

- Słyszeliście od Jaskotela o Geilanie. Myślę, że ona by pomogła, jeno długo potrwa, nim ją sprowadzić będzie można. Twarz Mieszka ożywiła się, lecz zaraz przygasła.

- I jej pewnie księżna dopuścić nie będzie chciała. Wiadomo, że za czary była ciągnana, a ojciec Klemens za wszeteczeństwo ją wygnął w dodatku.

Zbrozło ręką machnął lekceważąco:

- Czary - głupstwo! Księżna o nich wiedzieć nie musi. Ojca Klemensa usunąć można, by się nie wygadał. A może lepiej księżnę gdzieś w gródku na uboczu umieścić, gdzie męczyć się przy swoich ubogich i chorych nie będzie ani ludzkie gadanie nie dojdzie do niej. Spokój jej potrzebny.

- To można zrobić - rzekł kniaź w zamyśleniu.

Po chwili milczenia, zapytał:

- A o Jaskotelu jakie macie wieści?

- Myślę, że dobre! Przewieziony do innych zakładników.

- To iście dobrze! Nie dla niego gnicie w zamknięciu. A i Bolkowi raźniej z nim będzie, jeśli Jaskotel śmiać się nie zapomniał, tym bardziej że Stoigniewa usunąć muszę, bo się z Mszczujem uładzić nie mobą. Zresztą ma ktoś po Geilanę jechać, niech jedzie on. Zna ją i zna kraj, lepiej będzie wiedział, jak się obrócić.

Zbrozło skinął głową i wstając rzekł:

- Konie posiadłam, bo nadjeżdża wasz orszak.

Jakoż istotnie po chwili głosy doszły z gościńca. Nadjeżdżali kłusem, gdyż długa nieobecność księcia zaniepokoiła setnika.

XX

Obawa i nadzieja.

Mieszko nie żałował, że posłuchał Zbrozłowej rady. Dobrawka wraz ze swym małym dworem przeniosła się do zapadłego w lasach opodal sempińskich bagien Modrza, niecały dzień drogi od Poznania, gdzie księżę ją często odwiedzał, a dopilnować łatwo było, by jej nikt nie niepokoił. Dowódca załogi gródka, Gosław, nakaz otrzymał, by bez szczególnego zezwolenia księcia nikogo nie dopuszczał do pani, a że gródek na uboczu leżał, a na wyraju będący już Gosław, bezdzielny wdowiec, sam miłował spokój, przeto cisza była na gródku, a niepożądane wieści do Dobrawki dotrzeć nie mogły. Spokój widocznie dobrze robił chorej, tak że Mieszko, który zrazu wątpił, czy Dobrawka doczeka przyjazdu Stoigniewa z Geilaną, nabrał otuchy.

I w kraju był spokój, a Mieszko zrazu często przyjeżdżał w odwiedziny. Od początku pożycia Dobrawka nie miała go tak często i zupełnie dla siebie, toteż witała go zawsze radośnie. I Mieszko wypoczywał przy niej, wolny od natłoku spraw i ludzi, którzy się wciąż przez dwór jego przewalali. Jeny na te krótkie chwile spuścić mógł z oka sprawy postronne, które czy to groźbą nad nim wisiały, czy korzyści zdawały się obiecywać. Kłótnik znowu wypłynął. Udało mu się zmylić strażę i zbiec z Gielheim do Pragi. Bolesław Pobożny przyjął zbiega i gościny mu udzielił mimo cesarskiego żądania, by go wydał. Pobożność nie przeszkadzała czeskiemu królowi gościć obłożonego klątwą wywołańca. Pozbawiony godności, władzy i majątności miał jednak tę wartość, jaką przedstawia człowiek przedsiębiorczy i ambitny, a nie mający nic do stracenia. W kraju było wiele niespokojnych i niezadowolonych żywiołów, które w nim widziały swego przywódcę, i nieźle było mieć go w rękę.

Cesarz, który bawił w Bawarii, ukarać postanowił buntowników. Drażniło go, iż miast pilnować italskich spraw, przez warcholstwo krewniaka i zuchwalstwo słowiańskich przywódców zmuszony jest tkwić w kraju. Stawiając z nich najwyżej Mieszka, postanowił spróbować, czyby nie dało się go pozyskać kosztem zniszczenia zarówno Kłótnika, jak i czeskiego Bolesława i po naradzie wysłał do Mieszka grafa Geddoną, pewnym będąc, że skusi polańskiego księcia. Za udział w wyprawie na Czechy Geddo zaofiarować miał Mieszkowi wypuszczenie zakładników oraz w razie szczęśliwego wyniku wyprawy oddać ziemie czeskie w lenno z cesarskiego ramienia.

Nim Geddo dotarł do Poznania, Mieszko wiedział już, z czym jedzie. Pokusa była wielka. Z Bolesławem czeskim mimo powinowactwa nie pijał Mieszko z jednego źródła, Kłótnika zaś jeno za narzędzie uważał, którego poświęcić dla swej korzyści nie wahałby się ni chwili. Możliwość zaś odzyskania syna, gdy od tego życie Dobrawki mogło zależeć, omal nie zamąciła mu sądu. Po namyśle jednak Mieszko oparł się pokusie. Cesarz wielu ma w domu przeciwników, a wojownik z niego niezbyt szczęśliwy, Bolesław zaś we własnym kraju łatwo pobić się nie da. Nietajne były Mieszkowi

związki jego z Rusią. Jeśli wojna się przeciągnie lub, co gorzej, przebieg jej nie będzie pomyślny, Mieszko stracić może, co uzyskał na wschodzie. Ziemię czeskie uśmiechały mu się, ale nie jako lenno cesarskie. Cesarz jest bezdzietny. Jeśli po jego śmierci udałoby się na tronie osiąść Kłótnikowi, będzie od swych sprzymierzeńców zależny, którzy mu do tego pomogą. Tymczasem niech cesarz walczy sam z Bolesławem. Pewniejsze z boku się przypatrywać.

Postanowiwszy, Mieszko zerwał się i wyjechał na Mazowsze przed przybyciem cesarskiego posła, któremu polecił powiedzieć, że wróci za parę miesięcy pozorując wyjazd wyprawą na Prusaków i Jaćwież. Geddo odjechał z niczym, sprawa bowiem do powrotu Mieszka czekać nie mogła. Dobrawka została sama, rzadko jedynie wieści otrzymując od męża, a nigdy prawie ze świata, który leżał gdzieś za borami, poczynającymi już złocić się i płonąć czerwienią w słońcu jesiennym. Świat zdawał się cofać gdzieś i rozpląwać w sennej ciszy, w jakiej żyła, między modlitwą, myślami o synu i snem, który kołł jej bóle, również jakby przygasłe w otaczającym ją spokoju. Odsypiała miesiące i lata nie dospane i żyła tym półsnem, półjawą, w których zdało jej się, że widzi każdej chwili wytęsknionego syna, jakby z nim duchem była obecna. Czasem jeno Świętosława, którą wraz z piastunką na gródek przeniesiono, budziła ją z marzeń i zamodlenia. Dziewczynka, żywa i gwałtowna, nudziła się w jednostajnym bytowaniu gródka i ciężkich nieraz zmartwień była przyczyną dla swej piastunki, wyrывая się spod jej opieki na wszystkie sposoby. Ta zaś nie śmiała księżnej, wbrew nakazowi pana, niepokoić i modliła się o jego powrót, sam bowiem jeno ojciec powagę miał u nie znoszącej wędzidla księżniczki. Nieobecność księcia jednak przedłużała się, gdyż raz wyjechawszy pragnął już wykorzystać czas, by objechać wschodnie i południowe ziemie.

Niemniej wybryki Świętosławy obijały się o uszy księżnej, gdyż nie śmiąc wprost jej niepokoić piastunka Bogucha wielokrotnie przez Marzenkę zwracała się do Dobrawki, by wpłynęła na córkę. Świętosława jednak z dziecinną chytrą umiała tak swe psoty przedstawić i taka była z matką układna i przymilna, że zamierzone kazanie pieszczotami się kończyło, a Świętosława z nowym wigorem oddawała się swym psotom, ku rozpaczowi bezradnej piastunki. Wreszcie przekroczyła miarę jej wytrzymałości. Wyszędłszy rankiem na nabożeństwo do gródkowej kaplicy, zniknęła i strapiona Bogucha dzień cały daremnie czekała na jej powrót. Gdy ciemność zaczęła zapadać, niepokój piastunki przeszedł w rozpacz. Pobiegnęła do Marzenki, by na nią zwalić ciężar zawiadomienia księżnej i powzięcia dalszych postanowień.

Księżna już na spoczynek się udała i Marzenka pod żadnym warunkiem nie pozwoliła jej budzić. Poleciała jeno posłać po Gosława i siedziały z Boguchą milcząc, miotane głuchym niepokojem. Na nic się jednak zdała chęć Marzenki oszczędzania troski księżnej, która, słysząc jakieś podniecone szepty w przyległej izbie, zawołała ją pytając, co się stało, a gdy Marzenka uspokoić ją chciała, jakby pod wpływem przeczucia zażądała przyprowadzenia sobie córki.

Nie było sposobu ukryć przed księżną, że dziecko zniknęło. Dobrawka nie dała nic poznać po sobie. Lecz Marzenka trzęsła się z obawy zarówno o zdrowie księżnej, którą dobić mogło, jeśliby nieszczęście córce się przydarzyło, jak i o swą ulubienicę - Bogucha zaś ze strachu przed gniewem księcia. Dobrawka pocieszała ją nawet i wypytywała, w jaki sposób dziecko zniknęło, lecz piastunka niewiele mogła powiedzieć. Umilkły i siedziały, modląc się, w oczekiwaniu na przyście Gosława. Czekały dość długo, lecz gdy się wreszcie zjawił, cień otuchy spłynął na utrapione niewiasty. Gosław, dowiedziawszy się o zniknięciu księżniczki, cały gródek postawił na nogi i wkrótce wykrył, że Świętochna rankiem wyszła w las, razem z sierotą po dalekim krewnym Gosława, który się chował przy rodzinie jednego z podwładnych, a z którym lubiąca chłopięce zabawy dziewczyna

szczególnie się poufaliła, gdyż i jemu pomysłów do psot i zabaw nie brakło. Wysłał też zaraz ludzi z psami na wszystkie strony i upewnił księżną, że dzieci znaleźć się muszą i to wkrótce, gdyż daleko zajść nie mogły, a od zwierza ciepłą porą nie grozi niebezpieczeństwo. Zabłądziły pewnikiem, znajdują się i będzie po zmartwieniu, tyle że ukarać ją będzie trzeba. Sam nie był całkiem spokojny, gdyż w boru różne niebezpieczeństwa grozić mogły, obiecywał też sobie własnoręcznie a przykładowo rozprawić się z chłopakiem.

Uspokoiwszy niewiasty jak się dało, wyszedł dopilnować wykonania swych zarządzeń. Księżna leżała modląc się cicho, a towarzyszkę siedziały, rzadko jeno szeptem wymieniając słowa. Wlokły się ciężko nocne godziny. Cisza była, czasem jeno obwoływały się strażę.

Koło północy Marzenka z Boguchą zadrzemnąć zaczęły, mimo strapienia, gdy nagle Dobrawka siadła na łożu i zawołała:

- Ktoś przyjechał, biegnij popatrzeć!

Bogucha wyskoczyła, ile sił w nogach, a po chwili szybko jej kroki rozległy się z powrotem w sieni i wpadła zdyszana.

- Są dzieci? - zapytała Dobrawka starając się głos utrzymać na wodzy.

- Nalazły się. Idzie tu Stoigniew, to wam wszystko opowie - odparła piastunka.

Dobrawka, zdziwiona, chciała wypytywać, lecz w tej chwili u drzwi rozległo się pukanie i do izby wszedł Stoigniew. Niepokój o dziecko walczył w Dobrawce ze zdumieniem z powodu niespodziewanego przybycia młodziana, o którym przekonana była, że bawi z Bolkiem. Targnęła nią obawa o to drugie dziecko, tak że słów pozbierać nie mogła, a tyle pytań cisnęło jej się na usta.

Stoigniew spostrzegł jej zmieszanie i uprzedził pytania:

- Spokojni bądźcie. Ani Bolkowi, ani Świętosławie nic nie grozi.

Dobrawka odetchnęła i dopiero teraz przyjrzeć się mogła bratankowi. Rysy mu się już wyostrzyły tracąc chłopięcą miękkość, młody zarost golił, piastowskim zwyczajem. Mimo iż wzrostem i postawą nie dochodził ojca, a i ciemnym włosiem różnił się od niego, dziwnie czymś przypominał Dobrawce olbrzyma Ścibora, którego darzyła przywiązaniem i miłością za życzliwość, jaką jej okazał, i miłość braterską do Mieszka, życiem przypieczętowaną. Toteż gdy Stoigniew pierwszym słowem zgasił jej obawy, z radością go witała. Potem ją wypytywać o Świętosławę, którą zaraz widzieć chciała.

- Cierpliwość musicie mieć do rana - odparł Stoigniew. - Dziewczynka spadła z drzewa, gdyż jej się jemioly dostać chciało, i potłukła się. Przywieźć ją trzeba, a po nocy bezdrożem jechać źle.

Niepokój znów ogarnął Dobrawkę i sama chciała jechać po córkę. Ledwo ją Marzenka ze Stoigniewem przekonać zdołali, że i tak nic nie zdziała, bo nimby zajechała, świtać będzie.

- Dziecko jest pod dobrą opieką - uspokoił ją Stoigniew. - Geilana z nią ostała, która zna się na leczeniu, i Świętochna wszelkie ma tam staranie.

Dobrawkę zadziwiła ta wiadomość. Stoigniew jednak zręcznie sprawę na Bolka skreślił, by pytań uniknąć, po czym wstał:

- Skoczyłem jeno was zawiadomić, byście się darmo nie niepokoili, ninie już po Świętosławę wracać muszę. Święcie wam przyrzekam na rano dziecko dostawić, więc śpijcie spokojnie, bo sił wam potrzeba.

Po wyjściu Stoigniewa Marzenka ułożyła księżną z powrotem i czuwała przy niej, aż myśli księżnej, przeskakując z córki na syna i ze Stoigniewa na Geilanę, zmieszały się i wreszcie, westchnąwszy, usnęła, gdy szary świt przeciekać już zaczął przez szpary okienne.

Nie spała jednak długo. Głosy jakieś, choć przyciszone, posłyszała przez sen i ocknęła się zaraz. Ciemność panującą w komnacie przecinał jaskrawy pas słonecznego światła. Dzień już musiał być duży. Marzenki nie było.

Dobrawka zawołała i Marzenka po chwili wbiegła do komnaty.

- Przyjechali? - zapytała księżna.

- Już są, jenośmy was budzić nie chcieli.

- Daj mi dziecko! - prawie krzyknęła księżna.

Marzenka skierowała się ku wyjściu, lecz widocznie wiedziano już, że księżna się przebudziła, gdyż zaraz rozległy się kroki. Do komnaty wszedł Stoigniew, a z nim nie znana Dobrawce kobieta niosąc na ręku Świętosławę.

Dobrawka ręce wyciągnęła do dziecka i troska jej, i niepokój spłynęły łzami. Świętosława, też płacząc, ścisnęła matkę i pocieszała przyrzekając, że już się na pewno poprawi. Przez ten czas Geilana stała patrząc na obydwie i dobry uśmiech rozjaśnił jej piękną twarz. Gdy wreszcie księżna, przetarłszy zapłakane oczy, zwróciła się do niej z podziękowaniem, rzekła:

- Przez miesiąc pewnikiem spokój mieć będziecie, bo co najmniej tak długo Świętosławy z łoża nie wypuszczę. Kolano rozbiła tak, że nieprędko znów psocić będzie mogła.

Dobrawka, znowu zaniepokojona, zapytała:

- Ale zdrowa będzie?

- Byście ino nie narzekali, że za prędko. Młoda krew sama najlepszym lekarstwem.

Księżna przez łzy uśmiechnęła się z wdzięcznością do Geilany, która odpowiedziała jej uśmiechem.

Uśmiechnął się też do siebie poważny Stoigniew. Szczęśliwy los zdarzył, że nie trzeba będzie żadnej chytrności ani podstępu, by skłonić księżnę do oddania się pod opiekę Geilanie. A Dobrawka, raz przekonawszy się do kogoś, nie pozwoli się od swego zdania odwieść nieprzyjaznym gadaniem. Spokojnie może Stoigniew jechać do księcia.

XXI

Złamany upór.

Skarbno za blisko było Modrza, by choć przez bagna i lasy, którymi były przedzielone, nie dostała się na dwór Skarbkowy wiadomość o tym, co w Modrzu zaszło.

Stary wiedział, kto leczył Świętosławę, i wielce pomógł księżnie i gdyby o kogo innego chodziło, całe mienie, jak je bardzo lubił, oddałby za to, by raz jeszcze konia mógł poczuć pod sobą i na wyprawę jechać. Uparty był jednak i twardy i wstyd mu było prosić o przysługę mieszczkę, którą przegnał z domu, tym bardziej że zdało mu się, iż przez to wdzięczność sama zmuszałaby go do zgody na związek Jaskotela, a na to, choćby za cenę życia, zgodzić się nie chciał. Rozterka jednak między pragnieniem a niechęcią była tak wielka, że dwór grzmiał od jego gniewu i nawet sama Zbysława bała się do niego przystąpić.

Przemóc chciał stary swe kalectwo i zgrzytając z bólu zębami, męczył nieszczęsne kolano wałęsając się od rana do nocy. Gdy jednak jesienne deszcze i chłody dogodziły mu do reszty i kolano spuchło, że zgiąć nie mógł nogi, wlaź wreszcie do łoża i warczał na każdego, kto się zbliżył poważyl.

Zbysława, widząc, że gorzej z nim jest niż zwykle, spróbowała napomknąć o Geilanie, lecz stary zagrzmiał na nią po raz pierwszy w życiu takim rykiem, że domowi z dalszych izb puciekali na dwór

nie wiedząc, na czym się skończy, skoro pan na Zbislawę już głos podnosi. Tylko Żelicha, choć drżąc ze strachu, odważyła się pozostać w przyległej izbie, by ratunek dać w potrzebie, i z niemalym zdziwieniem ujrzała, jak Zbislawa wychodząc uśmiecha się. Mądra była Zbislawa i знаła swego męża lepiej niż on sam siebie. Wiedziała, że opór jego widocznie słabnie i sam przed sobą krzykiem się broni. Upewniła się, gdy dni następnych stary nawet warczeć przestał, jeno dniami całymi wpatrywał się w swe opuchnięte kolano. Nie wszczyniała jednak więcej sprawy wiedząc, że Skarbek sam do niej powróci. Nie nagliła go, by się nie zaciął, i czekała sposobności.

Sposobność przyszła niedługo. Mróz już rankami ścinał kałuże i twardymi uczynił przepadliste drogi. Skuł wreszcie wody na dobre i północne wichry pędziły krupy śnieżne, które leciały jak stada białych much, ślizgając się po gładkiej powierzchni szklistego lodu na kałużach i stawkach, i tworzyły po brzegach zrazu małe pasemka śniegu, rozszerzające się coraz bardziej. Świat z czarnego stawał się siwy, wreszcie pobielał zupełnie i legł na sen zimowy okrywając się coraz to grubszą płachtą śniegu. Wichry przestały hulać, mróz sfolgował i nad cichym krajem nisko wisiało szare niebo. Śnieg zaczął padać obfity a spokojny i ze śniegiem, bez zapowiedzenia, na dworzyszczce zjechał książę Mieszko. Stary natychmiast zerwał się z łoża, mimo przedstawień żony, i brodę gryzł ze złości, iż panu naprzeciw wyjść nie może, gdyż ledwo się dowłókł na podcień. Prowadził zaraz księcia do świetlicy, gdzie, usadowiwszy go na podwyższeniu, poczęstunek kazał podawać, nim zaś potrawy wniesiono, kubkiem pana zabawiał. Książę był w nastroju pogodnym. Dobrawkę zastał tak dobrze, iż nadzieję powziął, że Geilana wyleczyć ją zdoła, choć ona wyraźnie za nic nie ręczyła, jakby umyślnie chcąc powściągnąć zbyt śmiałe nadzieje. Udana wyprawa z Sobiesławem jakby odmłodziła księcia, wiadomości od Bolka miał dobre, gdyż zakładników z klasztoru przeniesiono do zamku Geddonu, gdzie i o porozumienie się było łatwiej, i nadzieja wydostania się większa. Wieści, jakie otrzymał o cesarskiej wyprawie na Czechów, potwierdziły trafność jego przewidywań i zadowolony był sam z siebie. Toteż, zazwyczaj wstrzemięźliwy i małomówny, podchmielił sobie z lekka w towarzystwie ulubionego wojaka i opowiadał mu z ożywieniem dzieje własnej i cesarskiej wyprawy nie widząc nawet, że staremu oczy się szklą jak dziecku, które słyszy o zakazanej dlań zabawie. Skarbek o losach czeskiej wyprawy Ottona nie wiedział, książę przeto powtórzył mu, co sam przez Zbrozlę słyszał. Cesarz, przeszedłszy Las Bawarski, wtargnął do kraju z bawarskimi hufcami i prawie nie spotykając oporu, a w zdobywanie grodów dla pośpiechu się nie bawiąc, niszczył, co się po drodze nawinęło, i zmierzał ku Pradze, by zgnieść Bolesława od jednego zamachu i skończyć zarówno z kłopotliwym krewniakiem, jak i niewygodnym hołdownikiem. Upewniony brakiem oporu, szedł jak po własnym kraju i z końcem lipca dotarł do Pilzna. Panujące upały znużyły wojska i Otto postanowił przed ostateczną rozprawą dać im kilkudniowy wypoczynek. Rozłożyli się tedy nad rzeczką pod Pilzнем i używali potrzebnego wczasu niewiele dbając o Bolesławowe wojska, których się dopiero przy obronie praskiego grodu spodziewali. Nocą straże stały, lecz we dnie każdy robił, co chciał, a że żar słoneczny do żywego doskwierał, zrzucali odzież i zbroje i pławili się w rzeczce jedni, gdy drudzy w krzaczach nadbrzeżnych i lesie cienia szukali, by przeczekać skwarne godziny.

Drugiego dnia, w samo południe, gdy tak używali wczasu, a żar lać się zdał z nieba, że nawet woda płytkiej rzeczulki, rozgrzana, nie przynosiła ochłody, jakieś krzyki z lasu posłyszeli, ale ten i ów jeno oczy otworzył, nierad z zakłócenia spoczynku. Gdy jednak pojedyncze okrzyki przeszły w wielki wrzask, zerwali się wszyscy, zapominając o upale, i wszczął się zamęt. Jedni odziewali się na gwałt; inni do koni biegli, które dla ochrony przed gżami w las wpędzono, broni zaś nikt prawie nie

miał pod ręką. A już czeskie hufce z lasu się wysuwały jadąc na tych, którzy w nim szukali chłodu.

Cesarz nie stracił głowy i zebrawszy, co było pod ręką, na rozproszonych nie czekając, zarządził z miejsca odwrót i wymknął się szczęśliwie, gdy Czesi zabawiali się dorzynaniem bezbronnych, że rzeka krwią parę godzin płynęła.

Rzeź trwała do zachodu słońca, tak że cesarz spory kawał odbić się zdołał, a znużeni Czesi dopiero rankiem do pościgu się wzięli. Nie zdążyli już jednak dopaść cesarza, który bezdrożami wycofał się na Camnę.

Nieudała wyprawa kosztowała utratę godności miśnieńskiego margrafa Gunthera, który od północy na Czechów miał uderzyć, lecz nim granicę przeszedł, dowiedział się o klęsce cesarskiej i wycofał się czym prędzej. Cesarz podejrzewał go, że spóźnił się umyślnie, a choć dowodów brakło i jeno na utracie godności się skończyło, byłby w swych podejrzeniach się upewnił, gdyby widział uśmiech Mieszka, gdy o tym mówił. Nie miał cesarz szczęścia do Słowian. Gdy książe skończył opowiadanie, Skarbek nagle lagą wyrzwał w stół, aż podskoczyły naczynia, i siarczyście zaklął w normańskim języku. Mieszko spojrział na niego ze zdziwieniem, a stary zmieszał się i rzekł usprawiedliwiająco:

- Wybaczcie, panie, ale słuchać, jak inni wojują, a samemu w domu siedzieć jak stara baba, to się można wściec ze złości.

- Widzę ci ja, że mnie zazdrościcie, iż jeszcze wojuję rzekł książe z uśmiechem. - I ja bym rad was miał przy sobie. Młode lata by się nam wspomniały. Ale pono i nie bez waszej winy z pola was zegnało. Trzeba było zrazu ranę leczyć, jak należy.

- Trzeba było! - mruknął Skarbek. - Ale wyleżę to miesiąc albo i dwa? Dawniej się na mnie goiło wszystko bez starunku, ale tę ranę chyba urzekł kto, czy co?! A teraz pewnie i za późno.

- Może i nie za późno - odparł książe - a spróbować nie zawadzi.

Słyszeliście pewnie o Geilanie, co Świętosławę wyleczyła a księżnie pomogła, że bólów nie ma i sypia spokojnie. Ją by wam wezwać.

- Wiecie, czemu jej wezwać nie chcę - burknął Skarbek niechętnie, ale miękko.

- Wiem, żeście ją z domu przegnali razem z Jaskotelem, bo mi opowiadał. Ale jego też nie ma, więc bać się o to nie potrzebujecie, a każę jej, to przybędzie. Mówią, że wiedząca jest, to pewnie wam pomoże, choćby rana od uroku goić się nie chciała.

Skarbek wahał się widocznie, gdyż rzekł jakby sam do siebie:

- Jak mnie wyleczy, a uprą się z Jaskotelem, to jakże mi potem odmówić? Nie mój obyczaj niewdzięcznością płacić.

- A cóż by się stało, choćby ją i pojął? Oboje mają moją łaskę, a to za ród starczy. Nie biedniście zresztą, a i Geilana biedna nie będzie. Zresztą, co się naprzód trapić. Niech was jeno wyleczy, będzie czas i na to.

Skarbek siedział zadumany, walcząc sam ze sobą. Wreszcie odetchnął głęboko, jakby do wody miał skoczyć:

- Każcie jej, panie, przyjechać.

XXII

Nieoczekiwane spotkanie.

Jaskotel, przybrany przystojnie, z utrefionymi pięknie włosami, tyle że bez broni, jechał na czele

czterech jeźdźców, którzy go do innych zakładników odprowadzali.

Zrazu nie myślał o niczym, jeno rozkoszował się ruchem, powietrzem i słońcem. Nie zauważył nawet przy wyjeździe jednych zapłakanych oczu dziewczęcych. Wdychiwał woń wód i lasów i jakby spał się swobodą.

Lecz gdy minęło pierwsze upojenie, przyszło mu na myśl, że jeno więzienie na lepsze ma zamienić. Jak wędrowiec, po całodziennym skwarze, kubkiem wody się nie zadowoli, lecz pragnąłby cały w wodzie się zanurzyć, tak i Jaskotela ogarnęła chęć zupełnej, niczym nie skrepowanej swobody. Trącił konia ostrogą i puścił go z miejsca w skok, chcąc spróbować, czy ujść się nie da. Małą miał wprawdzie nadzieję, lecz naprędce nic innego na myśl mu nie przyszło. Towarzysze jednak nadążali za nim bez trudu, a koń Jaskotela, choć szlachetnej krwi, widno nosił już jeźdźców, nim Jaskotel ujrzał światło dzienne, gdyż wkrótce okrył się pianą i stękać począł z wysiłku. Jaskotelowi żal się uczyniło zwierzęcia i siebie, i powściągnął rumaka. Tędy droga do wolności nie wiodła. Wlekli się teraz noga za nogą i Jaskotel spojrział na towarzyszy chcąc zmiarkować, czyby się nie dało od którego broni pożyczyć i rozmówić się z nimi. Geddo jednak najwidoczniej liczył się z tymi chęciami Jaskotela, gdyż o ile konia mu dał starego, straż za to z chłopów na schwał. Dwaj byli widno prostymi pacholkami, odzianymi mimo gorąca w kozuchy bez rękawów. Potężne, choć obrosłe tłuszczem łapy, zdradzały siłę, której Jaskotel, zmarniały w więzieniu, nie chciał próbować. Z dwóch pozostałych jeden, szpakowaty już mąż, widno dowódca straży, ubrany był zasobnie, z mieczem bogatym przy boku i nożem za pasem. Twarz miał dziobatą i oczy kose, o nieprzyjemnym, chytrym wejrzeniu. Żyłasty był, choć chudy i dużego wzrostu.

Ostatni był młodzikem, parę lat młodszym od Jaskotela. Tęgi i rosły, choć postać miał jeszcze chłopięcą i naiwnymi, niebieskimi oczyma z ciekawością patrzył na jeńca, jakby go nudziła milcząca podróż i rozmowę chciał wszczać. Jaskotel w mig wyczuł, że tu będzie słabe miejsce straży. Zresztą dość długo znosił milczenie i samotność, aby teraz miał nie skorzystać z nadarzającej się sposobności, by i język sobie przewietrzyć, i czegoś się dowiedzieć. Podjechał do młodzika i zaczął:

- Dobrego macie konia. To własny?

- Nie - rzekł rumieniąc się młodzik - grafa Gedдона.

- Piękny koń! - przychwalił Jaskotel i opisywać jął jego zalety, po czym dodał:

- Nic dziwnego, że graf Geddo wielu takich nie ma i dla mnie starą wywłokę dał. Taki młody, mocny koń, jak wasz, to całe mienie.

Tu kosy wtrącił się:

- Wiecie dobrze, czemu wam najgorszego konia dali. Przyjedziemy na miejsce, to sami zobaczycie, ile i jakich koni ma graf. Kosy był koniuszym Gedдона i jego miłość własna poczuła się dotknięta przyganą Jaskotela.

Jaskotel lekceważąco wzruszył ramionami:

- Na niewidzianego trzymam o dwa konie z rzędem że u mego ojca dwakroć tyle koni co u Gedдона, a takiej szkapy, jak ta, ni jednej nie najdzie.

Tu klepnął po karku swego konia, który szedł ze zwieszoną głową, nie mogąc jeszcze biegu wydychać. Kosemu cętki poczerwieniały na gębie, lecz odparł zimno:

- Możecie trzymać i dziesięć, bo się przekonać nie można. Ani wy, ani my do waszego ojca nie jedziemy.

- Ale moglibyśmy - rzucił Jaskotel. - Ludzi mój ojciec także potrzebuje, a nie brak mu złota ni broni.

- Szkoda gadania - mruknął kosy. - Lepiej jedźmy prędzej, bo słońce zachodzi, a do gospody, gdzie nocować mamy, jeszcze drogi kawał.

Popędzili konie, lecz wkrótce znów zwolnić musieli, gdyż Jaskotelowy staruszek nie mógł zapomnieć wysiłku. Jaskotel przy tym umyślnie tak jechał, by go zmęczyć i odparzyć, w nadziei, że innego dać mu będą zmuszeni, który lepiej się nada, gdyby uciekać przyszło. Kosy patrzył na niego podejrzliwie, odzywając się z przekąsem:

- U waszego ojca pewnie koniom żywcem się skóry garbuje, bo takiej jazdy jak wasza żaden nie wytrzyma. Dziwno jeno, żeście się na tych koniach jeździć nie nauczyli.

Jaskotel z kolei z lekka poczerwieniał, słysząc bowiem jako najlepszy jeździec w książęcej drużynie. Opanował się jednak i odparł:

- Posiedźcie rok w czterech ścianach, obaczmy, jak będziecie jeździli. Ale jak stoję, trzymam, że lepiej konia użyć potrafię niż wy, jeno konia mi dajcie jak się patrzy. Cały trzosik stawiam, co mi go graf zwrócić kazał.

Kosy nachmurzył się i burknął:

- Gadanie nic nie kosztuje. Zajedziecie na tym koniu, gdzie kazali, choćbyście nie tylko skórę, ale i kości starli mu z grzbietu.

Tędy też droga nie wiodła. Jaskotela złość chwyciła, lecz nic nie dał poznać po sobie, owszem, roześmiał się wesoło:

- Co mi tam! I taką szkapę wolę mieć pod sobą niż słomę wygniecioną. Wiedział wasz graf, komu straż poruczyć.

Kosy łypnął oczyma życzliwiej i rzekł z przechwałką:

- Niejednogom jeńca pilnował, a nie uszedł mi jeszcze żaden.

Jaskotel, by podtrzymać dobry nastrój, dopytywać zaczął i rozgadali się. Słońce zaszło tymczasem za wzgórze i zapadał mrok.

Kosy zauważył:

- Pogońmy konie, już się wasz wydychał, a trzeba nam do gospody dotrzeć przed nocą, by się pod dachem schronić, bo zda mi się, że burza idzie.

Ruszyli szybciej i w niedługim czasie dotarli do gospody, położonej przy moście nad rzeczulką.

Noc już zapadła, lecz obszerny zajazd przed budynkiem oświetlony był płomieniem ogniska. Pod szopą bez ścian stało kilka koni. Kręcili się przy nich ludzie, widno niedawno przybyli. Jedni sypali obrok, drudzy nosili z rzeczki wodę w wiadrach do pojenia, inni płachtami okrywali wozy ładowne z obawy przed deszczem. Paru zbrojnych pachołków kręciło się po podwórzu, gospoda bowiem należała do grafa, a przy moście straż stała, która mostowe ścigała od podróżnych.

Kosy, zwany Rykoldem, rozmówił się ze starszym straży i konie oddawszy pachołkom, wszedł do gospody z Jaskotelem i młodszym towarzyszem.

Ogromna izba mroczna była, gdyż jeno w jednym kącie płonęła lampka oliwna, której żółtawy blask oświetlał ledwo najbliższy krąg, gdy reszta izby tonęła w niepewnym mroku. Stojący za ławą, starszy, otyły mąż musiał mieć jednak bystre oczy, gdyż podbiegł zaraz do wchodzących i kłaniając się nisko Rykoldowi prowadził go z towarzyszami do osobnego stołu, widno dla dostojniejszych osób przeznaczonego, gdyż nakryty był białym ręcznikiem. Zamieniwszy parę słów powitania i odebrawszy zlecenia, szybkim jak na jego tuszę krokiem pobiegł do sąsiedniej izby, skąd po chwili wyszła młoda niewiasta niosąc na tacy naczynia z piwem, które postawiła na stole, po czym od lampki zapaliła smolną drzazgę i wetknęła ją w kunę żelazną opodal stołu. Światło płomienia padło

przy tym na jej twarz i Jaskotelowi, który po długiej wstrzemięźliwości wrażliwszy był na wdzięki kobiece niż kiedy, wydała się ogromnie ładna, aż mu się ciepło zrobiło.

Przypomniał sobie jednak, że ma o ucieczce myśleć, a nie o miłostkach, westchnąwszy więc ozwał się do niej:

- Dla mnie wina przynieście, dzban spory, a starego.

Napić się chcę na dobrą znajomość. Niewiasta spojrzała pytająco na Rykolda, a gdy on głową skinął, uśmiechnęła się do Jaskotela, który jej się widocznie podobał, i po chwili wyniosła dzban i trzy kubki, idący zaś za nią chłopak postawił na stole misę z mięsiwem i kołacz.

Rykold i nieśmiały towarzysz, zwany Baldrykiem, odpięli pasy i położywszy broń na ławie, wzięli się do jedzenia, Jaskotel zaś, mimo postanowienia, że spoi strażników i umknie, choćby piechotą, nie mógł się oprzeć, by nie rzec do niewiasty:

- Jeno trzy kubki przynieśliście? Chyba ze mną razem z jednego pić będziecie!

Zwróciła na niego zuchwałe oczy i odparła:

- Nie wydoliłabym z każdym przejezdnym pić z jednego kubka, ale z wami się napiję.

To rzekłszy naląła i przepiła do Jaskotela. Jaskotel, mimo że postanowił pić jak najmniej, bo odwykł od napojów, wypił raz i drugi i uczyniło mu się wesoło i gorąco. Zapomniał o towarzyszach, którzy tymczasem pożywiali się rzucając od czasu do czasu słowo do siebie i zalecać się jął do niewiasty, która widocznie niezbyt temu była przeciwna. Wiedząc na co brać białogłowy, przyspiewywał coraz bardziej swawolne piosenki i nie trwało długo, a niewiasta siedziała mu na kolanach. Rykold uśmiechał się jeno, a Baldryk rumienił i ocierał pot z czoła, gdyż parno było. Noc już się uczyniła, inni przejezdni wyszli i gospodarz podrzemywał za ławą. Wreszcie Rykold przeciął:

- Dość tej zabawy. Na południe musimy stanąć na miejscu, więc o świcie ruszyć wypada.

- Mnie wam do spania nie trzeba - zaśmiał się Jaskotel - ani was mnie. Nigdzie mi niepilno. Nie chcecie pić, to spać idźcie i tego niemowę też możecie zabrać - dodał wskazując na Baldryka.

- Widziałem już i takich, co pijanych udawali, by łatwiej uciec - rzekł sucho Rykold. - Nie spuszczę was z oka, więc nic z waszej ucieczki ni z zalotów.

Jaskotela, który miał już w głowie, gniew chwycił. Przez chwilę latały mu wargi, lecz nim zdołał wybuchnąć, głosy jakieś rozległy się na dworze i do izby weszło kilku ludzi. Na ich widok niewiasta chciała zerwać się, lecz Jaskotel przytrzymał ją siłą i szamotali się przez chwilę.

Kroczący na czele młody mąż spojrział na nich i jakby podrzucony doskoczył i stanął przed Jaskotelem. Światło łuczywa padło na jego twarz i Jaskotel poznał Erwina.

Wstał, a niewiasta, którą widocznie coś łączyło z Erwinem, wyrwała się i uciekła. Jaskotel zapomniał, że jest jeńcem bez broni między obcymi, pamiętał jedynie, że z Erwinowej poręki tłukł się przez rok o ściany więzienia. Nim Erwin zdołał wybuchnąć potokiem obelg, podrażnienie i gniew Jaskotela wyładowały się potężnym uderzeniem na jego twarzy.

Erwin zatoczył się, lecz nie upadł. Z rykiem wściekłości chwycił za miecz, lecz Jaskotel jak żbik doskoczył do leżącej obok broni i porwawszy za miecz Rykolda, rzucić się chciał na przeciwnika. Nim jednak zdążył broń podnieść, Rykold wpadł między nich i krzyknął do Erwina:

- Żadnej bójki! Jeńca odwiozę, choćbym ci miał łeb rozbić, a odbierze go Geddo, to szukaj go sobie potem. Nie ucieknie ci! Jaskotel wytrzeźwiał i stał spokojnie, gotowy na wszystko, bacznie jeno patrząc na Erwina, zali się na niego nie rzuci. Ten jednak pohamował się widocznie również, gdyż warknął:

- Tymczasem pogadam z tą suką. A jego później nauczę, by mi w drogę nie wchodził. Może

poczekać.

Odwrócił się i podszedłszy do ławy kazał sobie podać piwa i pił, jakby chciał zalać wściekłość, która go dusiła. Jaskotelowi ulżył wybuch i bez sprzeciwu pozwolił się odprowadzić do izby, gdzie mieli nocować. Ściągając skórznie rzekł do Rykolda:

- Choćbyście mnie teraz odganiali, nie ucieknę. Zaczekam na Erwina, by mu zapłacić, że mnie wydał.

- Erwina też o bójkę prosić nie trzeba - odparł Rykold obojętnie.

- Ino że Geddo bić się wam nie pozwoli.

- Obędzie się bez pozwolenia - mruknął Jaskotel, i ziewnąwszy usnął natychmiast.

XXIII

Wyzwolenie.

Gwałtowna i namiętna natura godziła się w Ottonie z uporem i zawziętością. Nie mógł strawić ni zapomnieć klęski pod Pilznem, ani pozostawić Kłótnika w ręku Pobożnego. Sprawy, do których największą przywiązywał wagę, wołały go do Italii, a nie mógł kraju opuścić po niepowodzeniach z obydwoma słowiańskimi władcami, pozostawiając ponadto za sobą gotowe zarzewie wewnętrznych niepokojów, w osobie bawarskiego duka.

Tym razem nie liczył już na pomoc Mieszka. Sam przygotowywał siły dostateczne, by odwet wziąć na Bolesławie i dostać w ręce Henryka. Do Czech bowiem szli zbiegowie, którym w kraju ciepło być zaczynało pod stopami. Dzięki temu, że cesarska uwaga na Czechy była zwrócona, Mieszko spokojniej mógł uwagę krajowym sprawom i domowym troskom poświęcić.

Zimą objeżdżał obszerne swe państwo, łowami się zabawiając po drodze, z wiosną jednak osiadł w Poznaniu, do Modrza jedynie wyjeżdżając, ilekroć czas pozwalał. Nie łudził się już więcej i nie łudziła go Geilana, by koniec Dobrawki miał być daleki. Nie łudziła się sama Dobrawka. W rzadkich chwilach, gdy nie rozdzierały jej łona bóle, od przytomności ją odwodząc, lub gdy nie leżała odurzona napojami, jakie jej dawała Geilana, myślała już jeno o zbawieniu duszy i z ziemskich życzeń jedno jeszcze w niej się kołatało - zobaczyć syna przed śmiercią. Życzenie, ale nie nadzieja. Wiedziała bowiem Dobrawka, ile starań, uwagi i kosztów Mieszko tej sprawie poświęcił na darmo. Nie śmiała mu przeto o niej wspominać, a że o czym innym myśleć nie potrafiła, więc milczała, gdy mąż ją odwiedzał. Milczał i on wiedząc, co jej leży na sercu, i tak w milczeniu spędzali ze sobą chwile wiedząc, że ich już niewiele im zostało. Zazwyczaj pewny swoich poczynań i głową kierujący się ksiązę, jeno siłą woli żelazną tłumiał wybuch żalu, że nie może spełnić tego jedyne i ostatniego życzenia tej, której tyle zawdzięcza, która nigdy o nic dla siebie nie prosiła.

Żałował, że uchylił się od dania pomocy cesarzowi w zamian za zwolnienie zakładnika, i gdyby cesarz ponowił swe przedstawienia, byłby się ninie zgodził wbrew rozsądkowi, byle zadośćuczynić pragnieniu Dobrawki. Ale cesarz na niego nie liczył, a sam Mieszko wystąpić nie mógł, bo wiedział, że jeno słabość by okazał na darmo. Gryzł się więc i co jeno można było, czynił, by przecież wydostać zakładnika. Nie mówił jeno nic Dobrawce, by nie budzić próżnych nadziei.

Starania jego jednak pozostały bez skutku. Pilnowano zakładników jak oka w głowie i graf Geddo polecił ubić każdego, który by się wydostać usiłował, jak również śmiercią zagroził temu, kto by się do ucieczki przyczynił. Czas upływał i przynosił jeno coraz wyraźniejsze oznaki zbliżającego się końca Dobrawki.

Gdzie jednak nie pomogło złoto i przemyślność księcia, tam niespodzianie skutek odniosły lekkomyślność i gwałtowność Jaskotela.

Jaskotel po przybyciu do Geddonowego zamku czuł się zrazu jak ryba w wodzie. Geddo chytry był i przewidujący i wiedział, że zmieniają się czasy i ludzie. Dziś Mieszko wadzi się z Ottonem, jutro mogą być w przyjaźni, nie z nim, to z jego następcą. Młody książę będzie kiedyś władcą, a jego towarzysze potężnymi wielmożami i nie zaszkodzi zyskać ich życzliwość. O ile przeto strzegł ich i pilnował jak żrenicy oka, o tyle dostarczał im wszelkich wygód i dozwalał swobody, jakiej tylko mógł udzielić bez uchybienia swym obowiązkom.

Toteż po zamknięciu w czterech ścianach, na marnej strawie i bez żadnej rozrywki, Jaskotelowi pobyt u Gedдона niemal rajem się wydawał. Odpasł się, przyszedł do siebie, wróciła mu niepohamowana wesołość i chęć życia.

Zamek Gedдона leżał w lesistej i górzystej okolicy północnej Bawarii, opodal wejścia do górskiej dolinki, na skalistym skłonie wzgórza, u którego stóp płynął potoczek. Południowa ściana wisiała nad urwiskiem, mury z basztami odgraniczały zamek od lasu, który zalegał całe wzgórze, dokoła, na strzelenie z łuku wycięty, by nie stanowił ochrony dla nieprzyjaciela w razie napadu. Oschły Rykold, do którego głównie straż nad jeńcami należała, polubił Jaskotela, gdy się przekonał, że wojak naprawdę zna się na koniach i umie ich używać. Dzięki temu Jaskotel większą miał nawet swobodę niż inni. Wieczyście to w stajniach przebywał, to konie ujeżdżał na ogromnym wewnętrznym dziedzińcu, a że Bolko od dziecka do koni był ciekawy, więc wiele przebywali razem i lubili się wzajemnie bardzo. Jaskotel z natury obdarzony przedziwną zręcznością, a z końmi od małego obyty, budził podziw Bolka swymi umiejętnościami, w których młody książę gorąco pragnął mu dorównać. Że zaś innych ćwiczeń brakło, a umiejętność konnej jazdy konieczną była ówczesnemu księciu, zmuszonemu przebywać ustawicznie duże przestrzenie, przy zupełnym prawie braku dróg kołowych, Mszczuj nie przeciwiał się nauce, którą uprawiali całymi dniami, tak że do jedzenia ledwie Bolka ściągnąć było można. Odetchnął Mszczuj nareszcie, gdyż Bolko, prowadząc życie wiekowi swemu odpowiednie i przebywając w towarzystwie wesołego i lekkomyślnego Jaskotela, zapominać się zdawał o swej tęsknocie, znużony ruchem spał spokojnie, rósł i męźniał na podziw. Gdy Geddo sam na zamku przebywał, często wieczorami urządzał uczy, na które Bolka i co znaczniejszych zakładników prosił. Nie brakło ni gęśli, ni lutni i przyśpiewów, w których znowu Jaskotel rej wodził zyskując łaski niewiast swą urodą i pięknym głosem. Czas płynął brańcom znośnie i gdyby nie zamknięcie w murach, których im przekroczyć nie wolno było, pobyt u Gedдона za miłą gościnę mogliby uważać. Łatwiej im czekać było wolności, której chwila kiedyś przecież nadejść musiała.

Zmiana przyszła nagle.

Lato minęło i nadchodziła jesień. Las zmienił barwę, z dnia na dzień pokrywał się coraz bardziej złotem i purpurą. Jaskotela ogarnęła znienacka nieprzemierzona chęć łowów. Prosił parę razy Gedдона, by mu do kniei wyjechać pozwolił, choćby pod strażą i przyrzeczeniem, że ucieczki próbował nie będzie, lecz Geddo grzecznie odmówił powołując się na wyraźny rozkaz cesarski. Jaskotel osowiał i jedynie na natarczywe nalegania Bolka dał się czasem nakłonić do dawnych zabaw. Przeważnie zaś siadywał w oknie swej komnaty i patrzył na lasy, ciągnące się jak okiem sięgnąć, odrywając zapatrzone oczy jeno po to, by spojrzeć po stromej ścianie w dół, na urwisko i potok, ledwo widoczny z tej wysokości. Czasami odskoczył niecierpliwie, biegał po komnacie przez chwilę, by znowu wrócić do okna, w którym przesiadywał, aż mrok błękitny zapadającej nocy zakrył

przed nim bory, po których marzeniem jeno biegać mu było wolno.

Gdy raz tak siedział zapatrzony, posłyszał skrzyp otwieranych drzwi, lecz nie odwrócił się nawet. Poznał po krokach Bolka i z niechęcią pomyślał, że znowu nalegał będzie na konne harce. Bolko jednak stanął za nim i po chwili milczenia zapytał:

- O ucieczce myślisz?

- A o czymże bym myślał? - odparł odwracając się Jaskotel.

- I wymyśliłeś co?

- Żebym wymyślił, toby mnie już tu nie było - odparł gwałtownie Jaskotel. - Ptakiem przecie nie uleczę. Umyślnie nas umieścili od urwiska, by nawet po linie uciec nie było można. Ale ja ucieknę, choćbym życie miał stracić. Nie usiedzę dłużej!

- Będziesz uciekał, masz mnie wziąć ze sobą - rzekł Bolko rozkazująco.

Jaskotel spojrział na Bolka z pewnym zdziwieniem. Nigdy dotąd z nim o tym nie mówił ani nie zdołał zauważyć, by ucieczka na myśl mu przychodziła. Zmieszany odparł:

- Wiesz przecie, że Mszczujowi kniaź zakazał ucieczki bez jakowejś pomocy. Nie wymyślę nic lepszego, to z okna zeskoczę lub dorwę jakiego żelaza i straż pobiję: Niech się dzieje, co chce. Nie usiedzę dłużej! - powtórzył.

- I ja nie usiedzę - rzekł Bolko stanowczo. - Co dla siebie wymyślisz, to i dla mnie.

- Ba! - rzekł Jaskotel zakłopotany. - Nie wymyśliłem nic i zajedno mi już, więcej myślał nie będę. A z tobą to co innego.

- I mnie zajedno. Wiesz, że matka moja chora.

Mówił spokojnie, lecz Jaskotel poznał, że nie da się odwieść od zamiaru. Nie wiedział, co odrzec, więc milczał.

- Przyrzekasz mnie wziąć ze sobą? - rozkazująco powtórzył Bolko.

Jaskotel zawahał się. Nie mógł odmówić. Widno wypadnie wyrzec się ucieczki, by Bolka nie narazić. Ani broni dorwać, ani konia. Nawet gdyby uciekli, schwytają ich pewnie. O sobie nie myślał, ale Mieszkowego dziedzica wzdragał się narazić.

- Słyszysz?! - krzyknął Bolko.

Jaskotel westchnął.

- Przyrzekam. Jeno mnie nie ponaglaj. Wymyślę co albo zdarzy się sposobność, uciekniemy, a nie, to nie!

- Pamiętaj myśleć o tym. Uda się, to nie zapomnę.

- A nie uda się, to mi kniaź Mieszko nie zapomni. A choćby się udało, to krzyw będzie, żem wbrew rozkazowi, na własną rękę poczynał. Wolę mu się na oczy nie pokazywać.

- Nie bój się, ja cię osłonię - zapewnił Bolko.

Jaskotel nie rzekł nic. Siebie był skłonny narazić bez wahania, ale z Bolkiem inna sprawa. Zły był, że się przed młodym księciem wydał z zamiarami. Toteż gdy Bolko wyszedł, zaklął tak, że sam stary Audun by się nie powstydział.

* * *

Nazajutrz Jaskotel tkwił z Bolkiem od rana w kuźni przypatrując się z zajęciem, jak pod wprawną ręką kowala żelazo zmienia swe kształty, gdy od baszty przy bramie posłyszał róg strażnika, oznajmiający czyjeś przybycie. Zaciekawiony, zapomniał, że przyszedł tu z zamiarem zaopatrzenia się w jakieś żelazo, które by się od biedy do jego celów użyć dało, i wraz z Bolkiem kopnęli się ku bramie.

Przez zwodzony most wjeżdżał właśnie na czele kilku jezdnych Erwin. Na jego widok krew zawrzała w Jaskotelu. Erwin jeno wzrokiem po nim przeleciał, lecz oczyma powiedzieli sobie wszystko.

Znudzenie Jaskotela pierzchnęło, a myśl od ucieczki zwróciła się ku pomście nad wrogiem. Wzrok jego upewnił Jaskotela, że i on żywi podobne uczucie, i Jaskotel uśmiechnął się zadowolony.

- Ciekawym, co za jeden przyjechał i po co? - zapytał Bolko.

- To krewniak Gedдона, Erwin. Na pogrzeb swój przyjechał - odparł Jaskotel i zatarł ręce.

Bolko chciał się coś bliższego dowiedzieć, lecz Jaskotel odpowiadał mu z roztargnieniem, całkowicie już opanowany myślą, gdzie i jak dostanie Erwina. Choć świerzbiały go ręce, postanowił nie wszczynać zwady, zwłaszcza póki Geddo na zamku siedzi, pewny, że Erwin sam się o sposobność postara.

Wszystko składało się, jak sobie życzył. Erwin przyjechał do Gedдона z wiadomościami od cesarza. Cesarz znowu niepowodzenie odniósł w wyprawie przeciw Pobożnemu. Tym razem Czesi nie czekali, aż wtargnie w głąb kraju, lecz w przejściach górskich kilkakrotnie poszczerbili Ottonowe wojsko. Cesarz, widząc, że znowu klęskę ponieść może, co by jeszcze bardziej rozzuchwaliło Słowian, postanowił choć z jednym wrogiem skończyć i niespodzianie zwrócił się na zachód, otrzymawszy wieści, że Kłótnik bawi koło Patawii w Górnej Bawarii, gdzie znowu wodę mącić zaczął. Nierychło się Pobożny spostrzegł, i cesarz, nie ścigany, przeszedł granicę i na nie spodziewającego się napadu Kłótnika uderzył. Kłótnik, pobity, wraz z grafem Ekbertem i biskupem augsburskim Henrykiem w Patawii się zamknął, gdzie ich cesarz obległ. Ponieważ skończyć chciał prędko, zawezwał Gedдона z posiłkami.

Geddo, nie mieszkając, na czele zbrojnych pociągnął zostawiając rzeczywistą władzę Rykoldowi, gdyż burgraf Arzo, stary już był i niedołężny i drzemał, gdzie usiadł. Erwin pozostał w zamku, a Rykold, zaraz po wyjeździe Gedдона, wiedząc, jakie uczucia żywią wzajemnie Erwin z Jaskotelem, każdemu z osobna zapowiedział, że do ciemnicy na chleb i wodę zamknąć każe tego, który by się na drugiego porwał. Jaskotel jeno ramionami wzruszył i odparł:

- Chętnie bym posiedział, żebym ino broń miał. Ale gołymi rękami nic mu nie zrobię. Śpijcie spokojnie, ja poczekam. Pewny był, że Erwin sam coś wymyśli i nie omylił się. Rykold istotnie spał spokojnie tej nocy, Jaskotel natomiast swym zwyczajem przy oknie siedział i patrzył na okolicę. Noc była pogodna, bez chmurki. Pełny księżyc wychylił się zza wzgórz, zgasił światło gwiazd i wędrował po niebie, coraz mniejszy i coraz jaskrawszy. Wzgórza zdawały się przybliżać, mgiełka, powstająca z potoku, leżała jak srebrna rzeka w dolinie. Cisza była, jeno ptak nocny zakwilił czasami.

Zadumany Jaskotel postyszał nagle ostrożne kroki w krużganku.

Zatrzymały się przed jego drzwiami i rozległo się lekkie pukanie.

Jakieś podniecenie ogarnęło młodzieńca. Skoczył i otworzył drzwi.

W świetle księżycy poznał Erwinowego towarzysza, Oldbranda. Patrzyli na siebie i Jaskotel nawet nie czuł się zdziwiony, jakby czekał na niego.

- Jeśli masz serce, chodź się bić z Erwinem - rzekł Oldbrand.

- Serce mam, jeno nie mam broni - odparł Jaskotel.

- Miecz dostaniesz na dole, chodź!

- Gdzie na dole? - zapytał Jaskotel, a serce podskoczyło mu nadzieją.

- Na łączce nad rzeczką. Nie marudź, bo pomyślę, że cię strach obleciał.

Myśli wichrem zakotłowały w głowie Jaskotela. Erwin pomoże mu wydostać się za mury. Taka

sposobność więcej się nie trafi. Może to los chce, że Erwin, który był sprawcą jego uwięzienia, do uwolnienia się przyczyni. Jaskotel wiedział jedno, że do zamku więcej nie wróci. Myśl o ucieczce przytłumiła wszystkie inne, prócz jednej: przyrzekł Bolkowi, że gdyby uciekać miał, weźmie go ze sobą. Bolko nie darowałaby mu zawodu. Nie miał zresztą Jaskotel obyczaju nie dotrzymywać słowa. Pracował myślą gotów się wywiązać.

- Idziesz czy nie? - zapytał Oldbrand niecierpliwie. - Coś ci niesporo do bitki - dodał drwiąco. Ale Jaskotel plan już miał gotowy. Również drwiąco odparł:

- Parę chwil życia jeszcze Erwin może mi darować. Noc taka piękna i tak przyjemnie mówi się z tobą, że żal kończyć. Przecie więcej ze sobą gadać nie będziemy.

- Juści! - odparł Oldbrand. - Z trupem się nie gada.

- No, widzisz! A ja jeszcze tyle mam ci do powiedzenia.

- Gadaj prędko - burknął Oldbrand niecierpliwie.

- Erwin będzie sam?

Oldbrand jakby się zmieszał, gdyż odrzekł, ale nie zaraz:

- Ja będę z Erwinem.

- No, widzisz. To we dwóch na mnie jednego będziecie. Tak wygląda, jakby Erwin bał się sam.

- Ja się bić nie będę.

- Kto tam może dać za siebie porękę, czy go serce nie poniesie, zwłaszcza gdy przyjaciela ujrzy w potrzebie.

- Gadaj jasno, czego chcesz?

- Chcę i ja mieć swojego towarzysza.

Oldbrand zachnął się, lecz odparł po chwili:

- To bierz go, ale prędko.

- I miecz mieć muszę, i to zaraz, a nie na dole.

- Gdzie po nocy miecza będę szukał?

- To daj mi swój. Przecie bić się nie będziesz?!

- Swojego miecza nie daję nikomu - rzekł Oldbrand dumnie, lecz nieszczerłość brzmiała w jego głosie.

- No, słusznie. Ty nie możesz jednak szukać po nocy miecza, a ja towarzysza. I jak na złość spać mi się zachciało - zadrwił Jaskotel. - Jutro też będzie noc, a przez dzień ja sobie towarzysza przysposobię, a ty broń dla nas i pójdzie jak z płatka. Wyrażna złość i zmieszanie odbiły się na twarzy Oldbranda.

- Boisz się?! - zapytał.

- Może się i boję - odparł Jaskotel. - Ale do jutra mi przejdzie.

Nawet z tobą bić się obiecuję, jak ino skończę z Erwinem. Oldbrand chciał coś odpowiedzieć, lecz wstrzymał się widocznie. Po chwili dodał drwiąco:

- Tedy pamiętaj, do jutra! Nie pójdziesz sam, to cię przez okno wyrzucimy.

Jaskotel zaśmiał się, lecz ugryzł się w język.

- Wynoś się teraz - rzekł - spać idę. Byłem jeno usnąć mógł od strachu.

Oldbrand popatrzył na Jaskotela wrogo i wyszedł po cichu. Jaskotel słuchał oddalających się kroków, po czym zrzucił szaty i ułożył się na posłaniu.

Nie mógł zasnąć jednak. Po chwili wstał i biegać jął po komnacie. Gdy minęło pierwsze podniecenie nadarzającą się okazją ucieczki, coś mu się zaczęło w tej sprawie nie podobać. Gdyby

miał iść sam, nie byłby się nad niczym zastanawiał, ale biorąc Bolka musiał być szczególnie ostrożny. Nie bałby się nawet, gdyby Erwin z Oldbrandem napadł na niego samego, na pomoc bowiem Bolka nie liczył. Ale coś mu mówiło, że zamiary Erwina nie były szczerze. Postanowił mieć się na baczności. Erwin wiedział, że niewiele może mieć nadziei, iż sam da rady Jaskotelowi. To, że szukał sposobności poza murami, dowodziło, że z czymś chce się ukryć. Na samego Jaskotela miało być dwóch i nawet miecza usiłowali mu nie dać. Gdy będzie z towarzyszem, pewnie będzie ich więcej. Sam by nie dbał o to, zabranie Bolka wylało sprawę. Poczul się w rozterce. Wiedział, że książę Mieszko nigdy by na ucieczkę w takich okolicznościach nie zezwolił. Jaskotel ułożył się znowu, gdyż ogarnął go chłód przedświt, i głęboko się zadumał. Szarzało już, gdy usnął.

Obudził się późno. Zerwał się natychmiast i nie jedząc nawet pobiegł do stajen, gdzie spodziewał się zastać Bolka. Zniknęły we śnie wszelkie wątpliwości. Nie myślał już o żadnych trudnościach i niebezpieczeństwach. Żeby zginąć mieli na pewno, byłby się już nie wahał. Zresztą ginąć nie miał zamiaru.

Bolka istotnie zastał przy koniach, w rozmowie z Rykoldem. Osiodłali dwa wierzchowce i dosiadłszy ich odjechali w kąt podwórca, gdzie ziemia była nie ubita i przeszkoda do skoków urządzona. Rozpoczęli ćwiczenia. Jaskotel jednak roztargniony był i małowówny, aż zwróciło to uwagę Bolka, który zapytał go, o czym myśli.

Jaskotela dręczyła teraz obawa, czy chłopak nie da poznać po sobie zamiaru. Mszczuj był podejrzliwy i łatwo mógł popsuć całą sprawę.

Odparł więc:

- Żebym wiedział, że się nie zdradzisz, coś bym rzekł.

Chłopak patrzył na niego przez chwilę badawczo i zapytał spokojnie:

- Uciekamy?

Spokój chłopca upewnił Jaskotela.

- Odprowadźmy konie i pójdz do mnie, to ci powiem.

Jaskotel opowiedział młodemu księciu nocną rozmowę i przedstawił mu swe wątpliwości, a nawet odwieść usiłował Bolka od zamiaru ucieczki, lecz ten słuchać nawet o tym nie chciał. Nowa natomiast trudność powstała, jak wymknąć się ma Mszczujowi, który z Bolkiem sypiał, a czujny był jak żuraw. Dłuższy czas głowili się, wreszcie Jaskotel uderzył się w czoło i rzekł:

- Trzeba mu wieczorem do wina czegoś na sen namieszać. O napój już się postaram, jeno ty musisz mu podać.

Sprawa i tak łatwa nie była, gdyż Mszczuj rzadko wino pijał, a w wodzie smak by poczul. Czasem jeno, gdy z Bogorią w kości grywał, wypijał kubek lub dwa. Jaskotel na wabia zacząć miał grać, a resztę Bolko podjął się załatwić.

Gdy uradzili wszystko, Jaskotel wstał i udał się do starej klucznicy, z którą utrzymywał dobre stosunki, a która też leczeniem się zajmowała.

Przyszedłszy do niej, zrobił kwaśną minę, a gdy go o powód zapytała, odrzekł, że głowa go boli, bo po nocach sypiać nie może.

Stara spojrziała na jego kwitnącą zdrowiem twarz i rzekła:

- Gadaj komu innemu. Chyba że nie możesz sypiać sam?

- E! skrzywił się Jaskotel - nie to mi na myśli. Prawdę rzekłem.

Dajcie mi coś na sen.

- Lubczyku ci może potrzeba. W twoich leciech lepsze to niż sen.

- Lubczyk mam swój - odparł Jaskotel.

Stara zaśmiała się. Prócz spełniania swoich obowiązków trudniła się zbieraniem wiadomości i miłośki Jaskotela nie były jej obce.

- Dam ci na sen, ale muszę wiedzieć dla kogo.

Jaskotel westchnął obłudnie.

- Dziwne - zauważył,- że najmniej wtedy człeku wierzą, kiedy prawdę mówi.

- Gadaj komu innemu. Znam ja was, chłopcy. Ciekawość, komu miód idziesz podbierać, że pszczoły chcesz odurzyć.

- Dowiedcie się beze mnie, jeśli słusznie myślicie - odparł Jaskotel.

- Juści, że się dowiem. I nie bój się, nie wydam. Chłop jak pies, coraz za inną suką goni, a żonę chciałby łańcuchem przywiązać. Stara miała niegdyś męża, który ją dobrze umiał pilnować i odżałować nie mogła przymusowej cnoty. Stąd stręczyła, gdzie się dało, śmiejąc się za plecami z oszukiwanych. Jaskotel uśmiechnął się pozwalając upewnić się jej w domysłach.

Zabrawszy napój, dał jej sztukę srebra i wyszedł. Księżyc zaglądał przez okno Jaskotelowej komnaty, kąty jej jednak pozostawały w cieniu. Z jednego szept dochodził:

- Powinni zaraz przyjść, miesiąc już wysoko.

- Cierpliwy bądź! I pamiętaj, nic nie mów i twarzy nie pokazuj.

Gdyby zrazu spostrzegli, kto jesteś, sprzeciwią się pewnikiem. Pilnuj się mnie i do walki się nie pchaj. Oczy i uszy musimy mieć otwarte, coś nieszczerzego gotują.

Jaskotel umilkł i nasłuchiwał przez chwilę, po czym zatarł ręce. Imiała się go wesołość jak zwykle przed walką i śpiewać miał ochotę. Bolko natomiast był poważny i skupiony. W ciszy nocnej obaj naraz usłyszeli ostrożne kroki i zerwali się z miejsc. Jeszcze nie przebrzmiało ciche pukanie, a już drzwi stały otworem i w świetle księżycy ujrzeli twarz Oldbranda. On widział jeno ich postacie, gdyż stali tyłem do światła. Lekceważąco zauważył:

- Takiegoś sobie dobrał towarzysza? Myślałem, że olbrzyma jakiego sprowadzisz, iż strach będzie spojrzeć.

- Nie do bójki mi towarzysz potrzebny. Przecie ino ja z Erwinem mam walczyć. Miecz przyniosłeś?

Oldbrand wręczył mu krótki miecz i rzekł:

- Idziemy!

Ruszył ostrożnie przodem, a oni za nim. Szli ciemnym krużgankiem, dość długo. Jaskotel zmiarkował, że idą ku zachodniemu skrzydłu. Doszli do miejsca, gdzie ganek załamywał się ku północy, i Oldbrand cicho zapukał do drzwi. Otwarty się i z ciemności ozwał się głos Erwina:

- Jesteście! To idziemy!

Zbliżył się do okna i wskazał na widoczną na jasnym obramowaniu kamiennym linę:

- Tędy wyjdziemy. Po linie na drzewo, z drzewa na ziemię. A gdzie dalej, to was zaprowadzimy.

Jaskotel wyjrzał przez okno. Parę stóp poniżej niego widniała korona rosochatej sosny, rosnącej na urwisku, tuż koło węgła budowli. Urwisko było w tym miejscu mniej strome. Podnóża sosny widać nie było, gdyż zasłaniały je gałęzie. Skalki schodziły stopniami w dół. Tu i ówdzie krze rosły w szczelinach. Jaskotel bystro przegarniał wzrokiem, usiłując zwietrzyć, gdzie tkwi niebezpieczeństwo.

Odwrócił się i zapytał:

- Dwóch was jeno idzie?

- Dwóch! - odparł Erwin bez wahania.

Jaskotel już wiedział, że kłamie. Nie bić się chciał, lecz zamordować ich po prostu. Za załomem skały ujrzał Jaskotel błysk, jaki jeno żelazo wydaje przy księżycu.

- Idziemy! - rzekł Erwin. - My naprzód, wy za nami.

Przełożył nogi przez okno i ujawszy linę zjechał między gałęzie. W chwilę po nim zjechał Oldbrand.

Jaskotel obejrzał linę, przywiązaną do nogi dębowego łoża. Była dość długa, by założyć ją podwójnie i ściągnąć za sobą. Im później spostrzegą, którądy zbiegowie uszli, tym pogoń później wyruszy. Stukanie po pniu wskazało, że tamci są na dole i niecierpliwia się. Jaskotel cicho szepnął do Bolka:

- W zasadzkę nas wiodą. W krzaczkach siedzą zaczajeni, jeden czy więcej ludzi, nie widać. Ty pójdziesz przodem, ale jeno tak, by słyszeli, że idziesz. Beze mnie się do nich nie zbliżaj. Ja poczekam na tych, co pójdą za nami.

Przepuścił Bolka, a gdy ten znalazł się na dole, zjechał sam, ściągnął linę i zabrał ją ze sobą. Mogła się jeszcze przydać. Gdy zjeżdżał po pniu, patrzył w podejrzone miejsce. Wyraźnie zauważył skulonego człowieka. Dotychczas nienawidził Erwina, teraz nim gardził. Podstęp jest godny wojownika, ale nie zdrada. Miast poprzedniej wesołości ogarnął go gniew.

Stojący na dole, gdy zauważyli, że Jaskotel i towarzysz jego nadchodzą, puścili się w dół, wskazując ręką, by szli za nimi. Skałki były strome i choć jasno było, trzeba było dobrze uważać, by nie spaść. Często na rękach opuszczać się musieli lub zeskakiwać. Erwin z towarzyszem, skoro tylko ruszyli, zniknęli z oczu. Słysząc było, jak schodzą w dół.

Bolko szedł przodem, Jaskotel za nim. Kilkanaście stóp poniżej była półka skalna, z której tylko zawisnąwszy na rękach zeskoczyć można było na niżej położony próg. Rosło przy niej trochę malin i czarnego bzu.

- Zaczekaj na mnie poniżej! - szepnął Jaskotel i przycupnął za krzakiem.

Nie czekał długo. Gdy umilkły odgłosy schodzących, posłyszał szelest na górze. Ścisnął miecz w garści. Chwila ta mogła na całej sprawie zaważyć. Nadchodzący nie śmie krzyknąć, bo ostrzeże tamtych. Czekalaby Jaskotela nierówna walka, a co gorzej, odgłosy jej mogły zwabić strażę z zamku. Serce biło mu mocno. Nareszcie ukazał się nadchodzący. W świetle księżyca Jaskotel wyraźnie widział jego brodatą twarz, gdy stanął na półce namyślając się, jak zejść. Po chwili przyklęknął tyłem do zejścia i począł opuszczać nogi. Przewiesił już pół ciała. Jaskotel ostrożnie wychylił się zza krza. Obliczył cios i całą siłą ramienia ciął zbira w kark. Widział wyraźnie, jak rozluźniły się jego mięśnie. Przewieszony nogi dawały ciału przewagę ku dołowi i trup zsunął się bezwładnie. Jaskotel usłyszał głuchy upadek ciała. Zresztą żaden odgłos nie zdradził zejścia. Jaskotel zeskoczył jak kot i spojrzał bystro dokoła. Po obu stronach progu rosły nieprzebyte maliniaki. Wziął trupa pod pachy. Głowa zabitego trzymała się na grdyce, krew już przestawała bluzgać. Cisnął go w maliniak. Im później go znajdą, tym lepiej. Chwilę zabawiło, przeto co tchu pośpieszył w dół, skacząc z progu na próg przez kamienie i kilkadziesiąt stóp poniżej dopędził Bolka, który już dochodził do ostatniej wysokiej i stromej półki skalnej, poniżej której rozciągała się łączka, a o kilkadziesiąt kroków szemrał strumyk. Pod półką stali Erwin z Oldbrandem i niecierpliwili się widocznie. Gdy Jaskotel z Bolkiem ukazali się na półce, Erwin syknął. Jaskotel wychylił się. W dół było ze dwadzieścia stóp.

- Czego? - zapytał szeptem.

Erwin złożył dłonie przy ustach i rzekł przyciszonym głosem:

- W prawo jest rynienka, po której zjechać można.
- Zaraz! - odparł Jaskotel - musimy wydychać.
- Śpieszcie się, noc nie czeka!

Jaskotel z Bolkiem posunęli się we wskazanym kierunku. Prostopadły próg przecinała szczelina, dość stroma i wąska, którą jednak można się było precyzyjnie przesuwać i zjechać zapierając się rękoma. Jaskotel zamierzał zjechać pierwszy, lecz coś go tknęło, by spojrzeć jeszcze w dół na czekających. Wychylił ostrożnie głowę i ujrzał, że stanęli po obu stronach wylotu i wydobyli miecze. Tak miała wyglądać walka. Jaskotel z pogardą pomyślał, po co właściwie potrzebny był im trzeci rzeźmieszek. Chyba po to, by idący z tyłu, zauważywszy, co się z pierwszym stało, nie zawrócił. Ale i to było przecie niemożliwe, zważywszy stromość rynienki. Jaskotel odwrócił głowę, by się z Bolkiem podzielić spostrzeżeniem. Z przerażeniem spostrzegł, że go nie ma. Widno wszedł do rynienki. Jaskotelowi mrówki przeszły po skórze i włos zjeżył się na głowie. Nie było czasu ni na mgnienie oka, każdej chwili Bolko mógł się wynurzyć na dole, na pewną śmierć. Myśl zamarła w Jaskotelu, wiedział jeno, że musi być prędzej na dole niż Bolko. Droga była jedna. Bez namysłu skoczył z dwudziestostopowej wysokości i wpadł na głowę jednego z czyhających, jak ryś z wysokiej gałęzi. Uderzony, pod ciężarem spadającym z tej wysokości zwinął się i legł, lecz i Jaskotel stracił równowagę i runął w tył. Szczęściem murawa była dookoła, gdyż na najmniejszym kamieniu byłby złamał krzyżę. Niemniej uderzenie było tak potężne, że stracił zupełnie oddech i leżał na wznak bez ruchu. Erwin skoczył ku niemu z mieczem. Jaskotel nawet ręką ruszyć nie zdołał, by się od ciosu zasłonić, zamknął jeno mimo woli oczy, by nie patrzeć na spadające żelazo. Miast ciosu poczuł, że coś się przewaliło przez niego. Oddech wracać mu zaczął. Usiadł i wsparł się rękoma. To, co ujrzał, poderwało go na nogi i skoczył.

Właśnie w chwili, gdy Erwin zamierzał się do ciosu, Bolko wynurzył się ze szczeliny za jego plecyma. Błyskawicznie pchnął z tyłu Erwina, gdy miecz już spadał, a ten, potknąwszy się o Oldbranda, runął na twarz i broń wypadła mu z ręki. Natychmiast jednak zerwał się i chwyciwszy chłopaka za gardło, obalił na ziemię i dusić go zaczął gniojąc piersi kolanami.

Jaskotel oburącz za szyję Erwina uchwycił i ściągnął z Bolka. Erwin jednak był tęгим pacholkiem, a Jaskotel wciąż jeszcze łapał oddech. Ciskać się jęli po ziemi, gdyż Erwin czuł, że walczy o życie. Jaskotel zaś trzymał go z siłą rozpaczony nie wiedząc, czy może jeszcze na pomoc Bolka liczyć, a czując, że słabnie. Jak najśłodsza muzyka zabrzmiał nad nim głos młodego księcia, gdy już puścić miał Erwina ze zdrętwiałych rąk:

- Przytrzymaj go, bym ciebie nie ugodził.

Ostatkiem sił przydusił głowę wroga do ziemi, mimo że ten rzucał się i kopał. Posłyszał świst ciosu i poczuł, że Erwin znieruchomiał. Puścił go i wstał, lecz zaraz usiadł. Czarne płaty latały mu przed oczyma. Rozbity był i wciąż jeszcze zaczerpnąć nie mógł oddechu. Bolko też dyszał chrapliwie i siedzieli dłuższą chwilę, nie mówiąc nic.

Księżyc obniżał się już ku zachodowi. Niedługo ciemność zapadnie, nim świt zarumieni niebo.

Jaskotel dźwignął się z trudem i rzekł:

- Trzeba nam dalej.

Pochylił się nad ciałem Oldbranda. Zaczynało już stygnąć, widno Jaskotel spadając złamał mu kark. Natomiast gdy spojrział na Erwina, spostrzegł, że ma oczy otwarte. Światło księżycy odbijało się w nich i widać ogłuszony był jeno, a teraz wracała mu przytomność. Bolko za słabą miał jeszcze dłoń, by jednym ciosem ubić nieprzyjaciela.

Jaskotel schylił się po leżący obok miecz Erwina i stanął nad nim.

W oczach wroga spostrzegł śmiertelne przerażenie. Zaśmiał się:

- Tamtym krzywda by była, żebyś ty jeden ostał. O dziewczki swoje się nie trap, pocieszą się.

Gwizdnął cios i oczy Erwina uciekły w głąb. Ciało skurczyło się. Parę razy kopnął nogami i uspokoił się. Jaskotel nie potrzebował go oglądać, by wiedzieć, że już doszedł. Ujął siedzącego wciąż jeszcze Bolka pod ramiona i postawiwszy go na nogach, skierował się do potoku. Idąc mówił do niego:

- Zbierz siły, bo jeszcze sporo trudu nas czeka. Lepiej byłoby i tych schować, by ich rychło nie znaleźli, ale nie wiada, czyj czas droższy. Musimy uciekać taką drogą, by nas ni pies nie zwęszył, ni końmi nie zgonili.

Gdy doszli do potoku, Jaskotel wszedł w wodę i posuwali się z biegiem. Lodowaty chłód wody i ziąb wrześniowej nocy przenikał ich aż do kości, iż szczękali zębami. Po dłuższej chwili doszli do stromej skałki, w której szczelinie rosła karłowata sosenka. Szczelina rozszerzała się ku górze i przechodziła w stok borem zarosły. Wysoko, w ostatnich blaskach zachodzącego księżyca świeciły nagie skały pod szczytem wzgórza. Jaskotel odwiązał linę, którą był opasany, i przerzucił ją zręcznie przez pień sosenki. Oddech mu już wrócił, jeno rozbity się czuł. Zebrał się jednak w sobie i wspiał na skałkę, po czym to samo uczynił Bolko.

Weszli w bór a jednocześnie księżyc zaszedł i ogarnęła ich ciemność. Spinali się mozolnie, przystając od czasu do czasu, by nabrać oddechu. Jaskotel, choć sam znużony, ciągnął niemal lecącego z nóg Bolka, jednak ni słowo skargi nie wyszło z ust chłopca. Wreszcie otworzyła się przed nimi polanka, którą zamykała jedna ze skał, widzianych z dołu. Jaskotel zatrzymał się.

- Jeszcze tylko na tę skałkę i będziesz mógł spać. Tu wypoczniemy na dobre. Sił nam potrzeba, bo dużo jeszcze przed nami, ale najgorsze chyba już za nami.

Ostatnim wysiłkiem wdrapali się i Bolko legł na szczycie jak martwy. Jaskotel zdjął mu przemoczone skórznie i uzbierawszy suchego mchu i trawy okrył go, jak umiał, przed chłodem, bo chłopak trząśł się z zimna i niewyspania. Jeszcze nie skończył go okrywać, gdy oddech Bolka oznajmił, że śpi. Jaskotelowi też oczy się kleiły, lecz czekał na coś. Niebo już jaśniało na wschodzie i leżąca głęboko pod nimi dolinka widoczna była coraz wyraźniej. Wreszcie weszło jesienne słońce, wielkie i pogodne, spędziło lekką mgiełkę i dolinka leżała jak na dłoni. Jaskotel orzeźwiał trochę i pilnie się w nią wpatrywał.

- Są! - mruknął wreszcie.

Z dala widać było kilku jeźdźców z psami, jak pędzili wzdłuż doliny. Gdy przejeżdżali najbliżej, Jaskotelowi zdało się nawet, że po koniu i ruchach poznaje na czele Rykolda. Nie zatrzymali się i popędzili dalej. Chwilę jeszcze Jaskotel odprowadzał ich oczyma, a gdy zniknęli za zakrętem, mruknął:

- Szczęśliwej drogi!

Wyciągnął się jak długi obok Bolka, westchnął z ulgą i usnął kamieniem.

XXIV

Żałosny powrót

Śmierć Dobrawki, choć z dawna przewidywana, przyszła niespodzianie. Mieszko siedział w Poznaniu. Zajęty sprawami państwa, cierpiąc na bóle w barkach, które wzmożyły się na skutek

jesiennej wilgoci i chłódów, nie odwiedzał żony dość dawno. Gdy widział ją po raz ostatni, miała się nie gorzej niż zwykle, była pogodna, tylko przy pożegnaniu widocznie hamowała płacz i prosiła męża, by przybył znowu, jak będzie mógł najprędzej. Coś przeczuwała widocznie.

Mieszko, mimo zajęć i choroby, byłby się wyrwał do niej, lecz powstrzymały go wieści przez Zbrozlę nadesłane. Donosił, że Bolko z Jaskotelem uszli, pobiwszy Geddonowych ludzi, co by się jednak dalej z nimi działo - nie wiadomo. Donosił również, że cesarz zdobył Patawię i dostał w ręce Kłótnika z towarzyszami. Książę ufał Jaskotelowej przebiegłości, lecz nie był spokojny. Jeśli doszło do walki, Bolko niezdolny był jeszcze udzielić większej pomocy. Mogli być poranieni. Że ich ścigano, to pewne. Na pomoc liczyć nie mogli. Może szczęśli gdzieś w ustroniu? Sama droga przez obce kraje, nawet gdyby uciekali przez Czechy, niejedno przedstawiała niebezpieczeństwo, choć tego mniej się Mieszko obawiał znając męstwo i obrotność Jaskotela. Niemniej, ostrożnie licząc, winni się już byli zjawić, a widać ich nie było. Niespokojny Mieszko za złe zaczynał mieć Jaskotelowi, że się porwał na to przedsięwzięcie. Czując zaś, że nie potrafi zataić go przed Dobrawką, zwlekał z wyjazdem do niej, każdego dnia czekając na zbiegów, przezuwając zgryzotę w samotności, by ujawniona nie doszła do żony, zanim się sprawa wyjaśni. Tymczasem rankiem jednego dnia gruchnęła po Poznaniu, - nie wiadomo przez kogo przyniesiona - wieść, że księżna zmarła. - Mieszko zerwał się jechać do Modrza, lecz nim konie posiadłano, przybył Gosław z Geilaną. Gdy nadbiegł dowódca straży, oznajmiając ich przybycie, Mieszko wiedział już, że wieść była prawdziwa. Od Geilany dowiedział się szczegółów śmierci Dobrawki. Ubiegłego dnia w południe poczuła się gorzej i zażądała przyścia kapłana. Przyjąwszy sakramenty, leżała cicho. Odmówiła zażycia leków, które jej Geilana podać chciała, mówiąc, że już nie zdadzą się na nic, choć cierpiała widocznie. Pod wieczór zaczęła majaczyć, wołała na Bolka, by się śpieszył, i wysyłała wciąż obecnych, by syna przywiedli. Pytała się też o Guncelina. Koło północy uspokoiła się i oprzytomniała, lecz już widać było, że policzone są jej godziny. Gosław chciał zaraz słać po księcia, lecz powiedziała, że już za późno. Kazała sprowadzić Świętosławę i zapłakała błogosławiąc córkę. Potem już była pogodna, żegnała wszystkich, bliższych i dalszych, i mężowi swe pożegnanie przekazać poleciła z prośbą, by jej grzebać nie kazał, zanim jej Bolko nie obaczy i nie pożegna. Widno znowu traciła przytomność. Leżała potem cicho, a gdy duchowni modły rozpoczęli za konających, poruszała jeszcze wargami. Odeszła tak niespostrzeżenie, że nikt z obecnych nie zauważył, kiedy wydała ostatnie tchnienie, bez widocznych już cierpień. Wierna Marzenka z innymi niewiastami przybrała panią, Geilana zaś przyjechała zawiadomić księcia i pożegnać go, gdyż posługi jej nie były już potrzebne.

Mieszko słuchał z twarzą nieporuszoną, po czym spokojnie zadał jeszcze kilka pytań, a w końcu rzekł:

- Nie nagli was chyba nic. Chciałbym jeszcze pomówić z wami i o nagrodzie pomyśleć, a teraz głowy nie mam po temu. Wiecie - dodał - Jaskotel z Bolkiem z niewoli uciekli, spodziewam się ich lada chwila. Księżna, widać, przeczuwała, że nadchodzą, skoro Bolka wołała i czekać kazała z pogrzebem.

Lekki rumieniec okraszył lico Geilany, lecz odrzekła spokojnie:

- Zaczekam, dopokąd każecie, panie! Potem wracać chciałabym do Italii.

* * *

Krótkie, ponure i dżdżyste dni listopadowe nie widziały jeszcze w tym kraju takich tłumów na drogach i ścieżkach, wiodących do Gniezna, które, choć znacznie rozbudowane, pomieścić ich nie mogło. Obozowali, jak się dało. Kto mógł - po domach i gospodach, kto miejsca nie znalazł - w

namiotach i szałasach. Szczupła gnieźnieńska bazylika, gdzie zwłoki Dobrawki wystawiono, niewiele jeno ludzi na raz pomieścić mogła, a każdy chciał pożegnać panią, która życiem swym nie przyniosła ujmy swemu imieniu. Żalowali jej starzy, chorzy i ubodzy, dla których wyschło źródło miłosierdzia, żalowało duchowieństwo, które w niej podporę wiary chrześcijańskiej widziało. Martwili się wielmoże i panowie z rady wiedząc, że stosunki z Bolesławem czeskim jeno dzięki niej były znośne, a ninie obawiali się starcia, niepożądanego dla obu narodów. Nie było zwyczaju żalu swego hamować i wraz z ponurymi śpiewami duchowieństwa bez przerwy rozbrzmiewał kościół płaczem. Jeden Mieszko nic po sobie poznać nie dawał. Po parę godzin dziennie spędzał u zwłok, z twarzą zamyśloną, jakby nie widząc przewalającego się tłumu, z którego straż, przy wejściu stojąca, po kilkudziesięciu jeno na raz puszczała, by porządek utrzymać. Czasem książe wzdrygnął się, gdy głośniejszy gwar przy wejściu usłyszał, okiem rzucił i zapadał znowu w zadumę. Usta miał zacięte. Widno się nie modlił, zdawał się raczej czekać na coś. Z sędziwym biskupem Jordanem książe ustalił, że ciało Dobrawki spoczynek ma znaleźć w podziemiach bazyliki Św. Trójcy i św. Wita, głównie jej staraniem wystawionej, zapytany jednak o zrok pogrzebu, odrzekł, że poda go później. Ci, którym znane były ostatnie chwile księżnej, mówili, że czeka na Bolka. Lecz z każdym dniem stawało się bardziej wątpliwe, czy jej ostatnie życzenie nie było jeno majakiem. Chłód panował i ciało nie psuło się. Dobrawka zdała się spać spokojnie, lecz dni mijały i dłużej czekać stawało się niepodobnym.

Szóstego dnia książe od rana zamknął się w swej komnacie, zapowiedziawszy komornikowi, że niezdrów się czuje, i zakazał się niepokoić z jakiegokolwiek powodu. Tylko Geilana, która wiedziała o ucieczce Bolka z niewoli, domyślała się, że Mieszko podwójną targany jest zgryzotą, żalem za żoną i niepokojem o los syna. Lecz z nikim nie mówiła, siedząc w wyznaczonych sobie komnatach, by osobą swą nie wywołać zgrzytów między księciem a duchowieństwem. Zjeżdżających z dalekich nieraz stron kraju gości przyjmował książe imieniem stary Doliwa. W południe, w towarzystwie dwóch rycerzy przybył Guncelin, syn po Guntherze, pierwszym mężu Dobrawki. Jak się okazało, książe, chcąc pocieszyć żonę, posłał po niego, by choć tego syna, od którego już odwykła, mogła mieć przy sobie, od lat go bowiem nie widziała. Gunther, po utracie stanowiska milżańskiego margrafa, do Italii się udał, syn zaś przebywał u przyrodniego brata. Wyrósł na pięknego młodziana i choć strój i obyczaj miał niemiecki, z twarzy i postawy przypominał matkę. W drodze już wieść go doszła o jej śmierci, i choć też odwykł już od matki, żałośnie odezwały się w nim wspomnienia dzieciństwa i pierwszego swego na tym dworze pobytu. Pomodliwszy się przy ciele matki, gdy go do księcia z powitaniem nie dopuszczono, szedł witać przyrodnią siostrę, dla której przywiózł bogate gościńce.

Świętosława jednak siedziała pod opieką Marzenki i Boguchy, zasepiona jak młody puchacz, ku strapieniu swych opiekunek nie chcąc przyjmować pokarmów i niecierpliwie uchylając się od pieszczot, którymi pocziwe niewiasty żal jej chciały łagodzić. Na Guncelina ni jego podarki nie spojrzała. Uczyniło mu się przykro. Gdy zmarła ta, która jedyna tu na niego czekała, nikt go nie czekał ani nie witał. Wspomnił towarzyszy zabaw z pierwszego pobytu i wyszedłszy od Świętosławy dopytywał o nich. O Tunim jednak mało kto już tu pamiętał. Stoigniewa natomiast spodziewano się lada chwila, gdyż sam książe polecił posłać po niego do Pyrzyc.

Odszedł tedy Guncelin na swą gospodę, wypocząć po podróży, z dziwnie ściśniętym sercem. Rzadko myślał ostatnio o dalekiej matce, zajęty swymi sprawami, lecz tkwiące w głębi poczucie, że gdzieś bije dla niego serce matczyne, i wspomnienie jej pieszczot z wczesnego dzieciństwa

pozwalwały mu pogodnie i z ufnością patrzeć na świat. Teraz ufność zniknęła i pogoda zmierzchła, poczuł się osamotniony i siedział na swej gospodzie, ponury jak ten dzień listopadowy, który zaczynał się już okrywać szarym mrokiem od nisko wiszącego nieba.

W komnacie zmrok zaległ i Guncelin właśnie miał zawołać na pachółka, by ognia naniecił i światła przyniósł, gdy przybiegł posłaniec z zawiadomieniem, iż księżę chce go powitać, oraz że pogrzeb księżnej odbędzie się tegoż wieczora. Guncelin zerwał się i przybrawszy się pośpiesznie wyszedł w mrok. Ponury, jesienny wicher zacinał z północy deszczem, ziąb brał przenikliwy. Guncelin otulił się szczelniej futrzaną szubą i pośpieszył za pachółkiem.

Zastał księcia zmienionego bardzo. Twarz miał ziemistą, oczy podkrążone, na skroniach włos siwieć zaczynał. Panował jednak nad sobą i widocznie silił się, by życzliwość Guncelinowi okazać. Zapytał o ojca i brata, po czym rzekł:

- Myślałem, że nadażysz matkę pożegnać, lecz nie doczekała. Taki już los jej był, że dwóch miała synów i żadnego jej danym nie było widzieć przy zgonie. Ani nawet dowiedzieć się - dodał z goryczą - że chciałem i spodziewałem się spełnić jej to ostatnie życzenie. Nawet i tego spełnić nie mogę, by ją Bolko, choć na marach, pożegnał. Dłużej z pogrzebem czekać niepodobna i zda mi się, że nie ma już na co - zakończył głucho.

Guncelin jął wypytywać o Bolka z przejęciem i ciekawością, lecz Mieszko odparł:

- Opowiem ci stosowniejszą porą, teraz do kościoła czas nam się zbierać.

Wyszli. Gromada dworskich i wojskowych dostojników oczekiwała już księcia. Mieszko dosiadł konia i ruszyli poprzędzani przez pachółków, niosących smolne pochodnie.

Wicher targał ich płomieniami, jakby chciał je oderwać od głów i ponieść w ponure ciemności rozdeszczonej, listopadowej nocy. Wył ponuro w gałęziach bezlistnych już drzew i siekł twarze idących zimnym deszczem, zmieszany z lodowymi krupami. Zaraz za bramą dworca wparli się w tłum ponury, milczący i posuwali się ku bazylice. Jeny chlupot kałuż pod nogami i syk pochodni mieszał się z odgłosami wietrznej nocy. Z dala świeciły szklane okna kościoła, od płonących w nim świec, światłem równym i spokojnym, jakby urągając ciemności i wichurze. Tłumy tłoczyły się tak, że przed kościołem pachółkowie drogę torować musieli. U wejścia stała gromadka dostojników, na przyście pana czekając. Wśród nich księżę spostrzegł Stoigniewa. W odpowiedzi na jego pokłon głową mu skinął i wszedł do wnętrza, a za nim orszak i co dostojniejsi. Drewniany kościół szczupły był i wraz wypełnił się po brzegi, zwłaszcza że znaczny poczet duchowieństwa z Jordanem na czele już w nim na przybycie pana oczekiwał. Pośrodku kościoła spoczywała Dobrawka na swym ostatnim posłaniu, w blasku świec, które przy marach dzień i noc płonęły. Twarz jej, piękna jeszcze, w nimbie złotej opaski na czole, na której grały światła chwiejnych płomieni, lecz już znamionami śmierciznaczona, widoczna była z dala, odbijając białością od szkarłatnej, kwiecistej szaty wierzchniej i liliowego giezła z lśniącego jedwabiu, w jakie mąż przybrać ją polecił, choć pochować się kazała w ciemnej sukni, jaką od kilku lat nosiła. Reszta kościoła tonęła jeszcze w cieniu: światła przy głównym ołtarzu dopiero zapalano.

Jordan, powitawszy księcia, do zakrystii się udał. Mieszko zaś podszedł do ustawionego przy marach klęcznika, ukląkł i po chwili twarz dłonią zasłonił. Dostojnicy stanęli z tyłu o parę kroków i chwilowa cisza zapanowała w kościele, jeno z pola dochodził głuchy szmer tłumów.

Wraz jednak wyszedł Jordan w licznej asyście duchownych i rozpoczęło się nabożeństwo.

Mieszko zatopił się w myślach czy modlitwie tak, że nie słyszał za sobą szmeru, jaki podniósł się po chwili, ani odgłosu zbliżających się lekkich kroków, które zatrzymały się tuż koło niego. Dopiero

gdy Jordan, ukończywszy modlitwy, na czele duchowieństwa podszedł ku marom, intonując podchwyconą zaraz przez duchownych ponurą pieśń, księżę podniósł głowę. Na nieprzeniknionej zazwyczaj twarzy jego odbiło się zdziwienie, graniczące z przerażeniem. U stóp trumny klęczał Bolko.

Księżę powstał jak podrzucony i nie wierząc oczom, dłoń wyciągnął i silnie ujął go za rękę. Bolko podniósł na niego żalodne oczy i patrzyli przez chwilę na siebie bez słowa. Lecz już duchowni mary zdejmowali z podwyższenia i na barkach umieściwszy, wśród żałobnych pieni, skierowali się przed główny ołtarz, gdzie świeżo z cegieł wymurowana krypta czekała już na zwłoki Dobrawki. Księżę, nie puszczając ręki Bolka, zwrócił się do stojącej za nim Marzenki, która trzymała za rękę zapłakaną Świętosławę. Ujął drugą dłonią rękę dziewczynki i ruszył za ciałem, a za nim Guncelin, Stoigniew i inni.

Czarna ciemność i chłód zionęły z jamy, mającej za chwilę pochłonąć na wieki zwłoki Dobrawki. Znowu rozległy się żałobne pienia, drżeniem grozy przejmując obecnych, nie nawykłych do ponurego obrzędu chrześcijańskiego pogrzebu. Gdy umilkły, Jordan trzęsącym się ze wzruszenia i starości głosem zaczął odmawiać ostatnie modlitwy. Słaby jego głos, wśród powszechnego milczenia, odbijał się echem od węgłów kościoła. Jeno hamowane łkania Świętosławy i niewiast wpadały w słowa modlitwy. Mieszko stał, gryząc wargi, z głową nisko spuszczoną. Dopiero gdy świątnicy podnieśli wieko, by zakryć na zawsze postać odchodzącej, księżę szeptem wyrzekł do syna:

- Matka chciała, byś ją pożegnał.

Bolko przyklęknął przy zwłokach matki i patrzył na nią. Usta mu drgały, zdało się, że ją zawoła. Po chwili nieśmiało wyciągnął dłoń i położył ją na skrzyżowanych na piersiach rękach Dobrawki, dzierżących złoty krzyż, jedyny klejnot, jaki jej do trumny włożono. Wzdrygnął się dotknąwszy zimnego metalu. Znużona i wynędzniała jego twarz skurczyła się w jakimś dziwnym wyrazie. Wśród trudów i niebezpieczeństw ucieczki myśl o matczynej pieszczocie i radości powitania dodawała mu sił. Wytężona do ostateczności miłość i tęsknota trafiła w pustkę. Zdało mu się, jakoby chłód, idący od zwłok, mroził i jego serce. Powstał nie dotknąwszy matki ustami. To nie była już ona. Podjęto znów śpiew, potem głucho zadudniło w ciemnym wnętrzu grobowca. Wśród ciszy znowu rozległy się modlitwy. Gdy przebrzmiały, Jordan skinął na sługi kościelne. Ośmiu rosłych pacholków z wysiłkiem ujęło stojącą obok płytę nagrobną z szarego kamienia. Ustawiwszy ją nad otworem grobowca wyciągnęli drągi i płyta z głuchym łoskotem zapadła w swe miejsce. Oddzieliła na wieczność Dobrawkę od tych, których kochała. W świetle płonących świec widniał na niej niezrozumiały obecnym, z wyjątkiem duchownych, przez biegłego kamieniarza wykuty, a przez Jordana ułożony napis:

D. O. M.

Hic iacet Dobraua, id est Bona, Regis Bolislai filia, Miseconis Polanorum ducis uxor. Nomen suum iustificavit; Mater erat pauperum, lucem fidei novae patriae attulit. Non frustra. Vixit..

R. I. P.

Spłynęły po jej pamięci, jak woda po kamieniu, zaprawione żółcią słowa rodaka, który zawiść małych ludzi przekazać chciał potomności; sprawiedliwość jej oddał kronikarz z obcego plemienia. Stopy wiernych wcześniej starły napis z nagrobnego kamienia niż czas pamięć jej z serc współczesnych i potomnych, którzy nie rozumieli napisu, lecz czuli, czym było życie Dobrawki.

Gdy minął pierwszy żal po śmierci Dobrawki, Mieszko odczuł raczej ulgę. Przygnębienie ostatnich lat, wywołane jej chorobą i obawą utraty, a więcej jeszcze bezsilnością w spełnieniu jej pragnienia odzyskania syna, minęło.

Mieszko spodziewał się, że cesarz upomni się o zakładnika i gotował się do dania odpowiedzi mieczem, lecz miast poselstwa od cesarza nadeszły wieści o zamierzonej frankońskiej wyprawie. Zuchwały Lotariusz, syn Ludwika IV, uznawszy, że zamieszki wewnątrz kraju i kłopoty cesarza na wschodzie nadarzają sposobną porę dla dochodzenia niezapomnianych roszczeń Karolińskiej dynastii, zajął niespodzianie Akwizgran i orła na pałacu Wielkiego Karła, symbol władzy cesarskiej, odwrócił ku zachodowi. Cesarz łatwiej mógł ścierpieć nawet zuchwalstwo słowiańskich sąsiadów niż zamach na swe stanowisko. Nie mógł natomiast pozostawić spraw na wschodzie, północy i wewnątrz kraju bez tymczasowego choćby załatwienia, gdy samemu daleko, w frankońskich krajach, wojować mu przyjdzie. Poleciwszy tedy grafowi Brunonowi z Herneburga zbierać Wojska na zachodzie, sam jął się uładzenia tych spraw, które przed wyruszeniem uładzić należało. Uważając Mieszka za najniebezpieczniejszego, jego przede wszystkim unieruchomić postanowił. Nie wymagało wielkiego trudu i kosztów wiecznie wrzący związek welecki przeciw Mieszkowi podszuć. Słabą stroną Mieszka było Pomorze, w którym chrześcijaństwo żadnych nie poczyniło postępów, tym samym brakło kościelnej organizacji, a władza polańskiego księcia za obcą była uważana i jeno siłą wykonywana być mogła. Nie spodziewał się cesarz, by władzy Mieszka u ujścia Odry Weleci mogli zagrozić, niemniej wrzenie wśród nich nie pozwalało Mieszkowi wykorzystać nieobecności cesarza do napaści na jego kraje. Zarazem cesarz odciążał margrafów Hodona i Bernarda, którzy części swych sił na frankońską wyprawę oddać byli zmuszeni.

Jednocześnie wiedząc, że między Bolesławem czeskim a Mieszkim istnieje, przez Dobrawkę jeno dotychczas łagodzony, spór o wielkomorawskie dziedzictwo, a wobec jej śmierci zaostrenie sprawy nie będzie przedstawiało trudności, cesarz udając, że zapomina Czechom porażki dwóch ubiegłych lat i popieranie niemieckich buntowników, zawarł z Pobożnym ugodę na wielkanocnym zjeździe w Kwedlinburgu. Mieszko, mimo wezwania, nie ruszył na zjazd ani poselstwa z trybutem nie wysłał, niemniej od ludzi swych dowiedział się, że cesarz uznał morawskie roszczenia Pobożnego, które obejmowały nie tylko same Morawy, lecz i kraj Wiślan wraz z Krakowem, niegdyś do Rastycy i Rościsława należący. W ten sposób i południowej części swego państwa Mieszko nie mógł spuścić z oka. W zamian za to Bolesław przyrzekł cesarzowi wyrzec się związków z buntownikami. Aby zaś pewniejszym być tego, Otto pojmanyh w Patawii Kłótnika, grafa Ekberta i biskupa augsburskiego, imiennika i krewniaka bawarskiego Henryka, więzionych dotychczas w Magdeburgu, na wygnanie skazał. Gdy zaś związki między Bolesławem a Rusią umocnione zostały ostatnio przez małżeństwo siedemnastoletniego Włodzimierza Nowogrodzkiego, syna Wsiewołoda, z czeską księżniczką, Mieszko nie mógł mieć wątpliwości, że w razie wybuchu zatargu, od wschodu napadnięty zostanie. Sił Mieszkowych nie starczyłoby na wszystko - cesarz dobrze obliczył, jak go w ryzach utrzymać.

Upewniwszy się na wschodzie, Otto ruszył na zachód. Pod zimę wieści przyszły, że zdobywszy Akwizgran, ruszył na kraje Lotariusza i pustosząc je dotarł aż do Paryża. Mieszko widział, czyja ręka pętlę mu zaciąga koło szyi. Od nieszczęsnej sprawy z Hodonem nie mógł dojść do ładu z cesarzem, mimo że potrzebowali się wzajemnie dla zabezpieczenia przed uporczywie się trzymającymi

pogaństwa Słowianami północnymi. Cesarz wciąż nie potrafił rozstrzygnąć; czy lepiej mieć w Mieszku sprzymierzeńca przeciw północnemu pogaństwu i Danii, czy też jego kosztem wzmocnić wpływowego Hodona, który, klęski nie mógł zapomnieć - oraz innych pogranicznych margrafów - im powierzając rolę, jaka Mieszkowi z natury położenia kraju i układu sił przypadła. Należało przekonać cesarza, że ten zamiar wykonać się nie da i Geronowe czasy minęły, a wzajemna korzyść zgodę z nim uczynić nakazuje, mimo obustronnej nieszczerości zamiarów, tak oczywiście, że ze szczerością graniczyła. Obydwaj z cesarzem rozumieli, że czasy są takie, iż, jak w stadzie wilków, ten jeno życia pewny być może, kto silnie stoi na nogach. Starszy od cesarza, Mieszko zaczynał odczuwać ciężar lat, lecz szczęściem odzyskany syn już dorastał, nad wiek tęgi i dojrzały, i samą osobą swą podporą był ojcu.

Postanowił tedy książę wysłać syna do Krakowa. Stary Topór już nie żył, lecz Starzowie wciąż byli niepewni, zbyt zaś potężni, by w obecnym czasie drażnić ich otwartym odjęciem stanowiska i władzy Mikłuszowi. Gdy zaś siedzieć tam będzie dziedzic i następca, dobrowszy mu odpowiednich ludzi, łatwo będzie Starzów nieznacznie od wpływów usunąć. Na Pomorzu miał zostać Stoigniew, który znał je dobrze, a mir po ojcu miał wśród tamtejszych ludzi. Bolko, który już po trudach ucieczki przyszedł do siebie, rad byłby i dumny z powierzonego zadania, z żalem jednak przychodziło mu rozstawać się ze Stoigniewem, z którym zżył się w niewoli, a obecnie stale i prawie wyłącznie z nim przebywał. Stoigniew bowiem towarzystwa rówieśników nie szukał, Bolkowi zaś najmilsi towarzysze w niewoli pozostali. Pragnął mieć ze sobą choć Jaskotela, którego darzył przywiązaniem, wdzięcznością i dziecinnym jeszcze podziwem. Jaskotel jednak zaszył się znowu u pustelnika, ni na dwór, ni do domu nie chcąc jechać. Chorzał przy tym z rozbicia, jakie w czasie ucieczki odniósł, a jesienne słoty zupełnie niedostępnym uczyniły bagno sempińskie i nie było sposobu go wyciągnąć, choć sam książę widzieć go sobie życzył, wybacząc nieposłuszeństwo wobec szczęśliwego wyniku ucieczki. Wieść o powrocie Jaskotela dotarła też do Skarbnia i gdy pierwszy mróz ściał drogi, zawitał dawno na poznańskim dworcu nie widziany Audun. Mieszko ucieszył się, jakby mu kto stary, a dobrze w rękę leżący miecz oddał. Skarbek zaś witał księcia ze swoją dumną uniżonością, do głębi rozradowany, że znowu służby swe może ofiarować. Mieszko uśmiechnął się lekko na to oświadczenie, od Geilany bowiem wiedział, że ręka, jaka była, pozostała, kolano zaś na tyle zaleczone, że rana przestała się otwierać, a kolano puchnąć. Chodził Audun kulejąc i konia z trudem dosiadał. Robił jednak pozór, jakby z powrotem miał lat dwadzieścia, kostura nie nosił udając, że go nie potrzebuje i podpierając się swym ulubionym toporem na długim stylisku. Z miejsca też zaczął dopytywać o najbliższą zamierzoną wyprawę, w której zamierzał wziąć udział.

Książę nie chciał psuć przyjemności ulubionemu wojakowi i udawał, że bierze przechwałki starego za dobrą monetę. Wieczorem ucztę ku jego czci wyprawił, na którą sprosił paru towarzyszy z Ziomomysłowych jeszcze czasów, a gdy popili, Mieszko po raz pierwszy od śmierci Dobrawki rozweselił się i nie widział, że głowy dawnych towarzyszy, w miejsce jasnych czy ciemnych kędziorów, okrywa siwizna i łysiny, nie widział szram na twarzach i okaleczonych członków, zdawał się nie baczyć, że więcej poległych i zmarłych towarzyszy wspomniano, niż ich obecnych było. Stary Audun rej wodził jak za młodych lat. Śpiewał pieśni i opowiadał swoje i cudze przygody przeplatając opowiadanie śmiechem i przechwałkami. Choć kolnął niejednego z towarzyszy, bo do pokpiwań był skory, nie mogli się gniewać, bo im siwe wąsy trzęsły się od śmiechu. Sam książę z uśmiechem słuchał przekomarzań. Mimo różnicy wieku i odmiennego wyglądu, stary przypominał mu Jaskotela jak żywego. Mieszko przypił do Auduna, nie wiadomo który już raz, i rzekł:

- Aż dziwne, jak się własna krew w dzieciach objawiać zwykła.

Żeby na was nie patrzył, myślałbym, że Jaskotel zbytkuje.

- Psia jego jucha, nie moja. Żem go z domu przegnał, obraził się warchlak na starego. Myśli, że go przepraszać będę! Pięścią wyrznął w stół, aż zagrzmiało. Zmieszał się i łypnął okiem na księcia, lecz widząc, że ten się uśmiecha, ciągnął dalej:

- Szczęściem nie on jeden u mnie. I Wilczek od niego nie gorszy.

Michał też pięknie mi rośnie. Będą nowe sługi dla was i dla waszego syna. Szkoda, że jednego jeno macie. Chrońcie wszystkie bogi od nieszczęścia - tu stary splunął - albo choćby i takiej troski jak ostatnio. Nie tak, jak u mnie. Zbiesił mi się jeden, to dwóch innych mam. Co mi ta!

Wychylił kubek i ciągnął dalej:

- Wam by się ze trzech synów zdało.

Mieszko jakoś posmutniał i odparł:

- Co tam teraz o tym mówić. Ale z Jaskotelem chcę, byście się uładzili. I ja, i wy winniśmy coś Geilanie. Umyślnie jej zostać kazałem, a po niego posłać. Sam będę jej swatem, gdy o nią dla Jaskotela poprosicie.

Skarbek poczerwieniał, lecz się pohamował i rzekł niepewnie:

- Juści, żem coś Geilanie winien, ale harda dziewczka, nic ode mnie nie chciała. Powiada, że ino na wasz rozkaz mnie leczyła. A Jaskotelowi też się wpraszał nie będę. Poprosi mnie, to go swatał będę, a nie, to nie!

Znów pięścią w stół wyrznął i krzyknął:

- Żebyście mnie porąbać mieli!

- Nie będę was rąbał - rzekł książę z uśmiechem - i myślę, że się Jaskotel przed ojcem ugnie, jako słuszne. A Geilana wiano dostanie, jakby z najmożniejszego pochodziła rodu. Wstydzicie się nie będziecie.

Skarbek, choć podchmielony już dobrze, nie zapomniał, że majątność daje człeku znaczenie, a wiano podnosi dziewczkę w oczach ludzkich. Wraz księciu wyliczył, jakie to ziemie i bogactwa Wyszkot za Wrochną bez targu chciał dawać. Mieszko, który znał słabą stronę starego, wymienił pokrótce ziemie i skarby, jakie by dał Geilanie. Skarbek jednak nie był zadowolony i coraz wysuwał nowe żądania i zarzuty. Tu ziemia niedobra, tam łąki kwaśne, to las drągowina, na baty chyba się nadaje. Podśmiechiwał się książę z dziwnej chciwości starego, który o swoje, należne mu od księcia bogactwa dotychczas się nie upomniął, hojny był dla każdego, ale na nowe zyski jak żbik na jarząbka się rzucał. Natomiast stary Pałuk, przysłuchujący się rozmowie, zaśmiał się:

- Bodaj was! Niech każdy z waszych synów ma jeno trzech jako wy, a ich synowie i wnuki takż, sto lat nie upłynie i wszystkich polańskich ziem dla waszego rodu nie wystarczy.

Skarbek się zastanowił i coś na palcach liczył:

- Słusznie prawicie, bodaj się wasze słowo spełniło.

- Niechże was nie znam! A na czymże nasze dzieci będą siedziały?!

- A na tyłkach!

Grzmot śmiechu huknął po izbie. Śmiał się nawet książę, którego śmiechu dawno nikt nie słyszał. Gdy przycichło trochę, zapytał:

- A mnie i moim potomkom cóże ostanie? Chyba z tego żyć będą, co im wasi pożyczą.

Ale Skarbek, który sam jeden nie śmiał się, odparł:

- Kiedy i ile trzeba, zawżdy na wasze rozkazy. Ale gdzież to powiedziane, że jeno na polańskich

ziemiach mają siedzieć? Pradziad wasz, jako słydziałem, jeno w Kruszwicy panował, dziad siedział już na Poznaniu i Gnieźnie. Mój ojciec waszemu pomagał zgarnąć Pomorzan i Wiślan, a my, co tu siedzimy, z wami dobywaliśmy Mazowsza i Czerwieni. Niech jeno wasz syn z naszymi wszelkie kraje słowiańskie zjednoczy, wnuki mogą sięgnąć po cesarskie, a dla prawnuków świat będzie za mały.

- Zdobyć łatwiej, niż utrzymać - odparł Mieszko. - Z takim państwem, jak jest, czasem nie w siłę trud, zwłaszcza gdy Ścibora zabrakło. Szczęściem, że jego syn już dorósł, a i z mojego pomału zacząć mieć wyrękę. Ale Bolko braci nie ma, co by przy nim stali, jak ja miałem.

- Nie ma, to może mieć. Jeszcze z was w siłę mąż.

Mieszko ręką machnął niechętnie:

- Może i pojme jaką dziewczkę, jeśli gdzieś swojaków trzeba będzie pozyskać. Ale bracia nie z jednej matki częściej wrogami bywają niż pomocą. Nie w głowie mi to zresztą teraz.

- Bywają wrogowie i z jednej matki - rzekł Imbram. - Ale ojcowie wasi mądrze jednego panem ostawiali, a innych w podległości. Silnemu słabszy nie wróg.

- Ale i najtęższemu noga się czasem powinie i legnie. A gdy leży, byle chmyz go ubić potrafi. Jako wiecie, Przybywój i Odylen, choć uspokoili się teraz, bo zmiarkowali, że nic nie wskórają, do dziś zapomnieć nie mogą, że ojciec ich od dziada własnej dziedziny nie dostał.

- Żeby na innego padli, dawno by głów, a już najmniej oczu zbyli.

Mieszko ręką machnął niechętnie, widno niemiła była mu ta sprawa, zaś Skarbek dorzucił:

- Sami nic nie wskórają. Wytępić wrogów, to i wachać się z kim nie będą mieli.

- Ba! - odparł Pałuk. - Z cesarzem się wachali, wytępcie cesarza!

Stary, który dobrze już miał w głowie, zakrzyknął:

- Abyście wiedzieli! Jakem chorzał, nie było komu cesarza skończyć. Ale teraz jego śmierć albo moja!

Śmiać się zaczęli z przechwałki, a Pałuk rzekł:

- Bez mała o pół od was młodszy i mocarny jest cesarz, a sam też w bitwie nie stoi. Gadajcie zdrów.

- Bez czci będę, jeśli mu przepuszczę. Jako mnie znacie, zem słowu nigdy nie uchybił! - krzyknął Audun i ręką w pierś się uderzył. Umilkli, bo znali go istotnie, że co przyrzekł, po pijanemu czy nie, dotrzymał. Mieszko zaniepokoił się nawet, lecz pomyślawszy, że spokój teraz, a w razie czego starego na wyprawę nie weźmie, rzekł:

- Cesarz, pobiwszy Lotariusza, pewnie do Italii ruszy, tedy nie ma o czym mówić. Lepiej przypijcie do mnie, bo kury już piały i do snu się zbierać będzie trzeba.

Wychylili kubki i widno myśl Auduna wróciła ku poprzedniej rozmowie, gdyż zwracając się do Pałuka rzekł:

- Tragicie się, co z waszymi dziećmi będzie, jak moje wszystko obsiędą! Pożenimy je. Udałoby mi się wasza Jagódka dla mojego Wilczka. Możemy pogadać.

- Dziękuję za dobre słowo! - zaśmiał się Pałuk. - Ale miarkując z waszej z kniazem rozmowy, torba by jeno dla mnie ostała, gdybym ją tak wywianował, jako żądacie.

- Będziecie mogli u mnie osiąść, jeszcze ta nikomu chleba nie pożałował - odparł Skarbek.

Wybuchnęli znowu śmiechem, a Pałuk, trzęsąc się, wykrztusił:

- Dziękuję za łaskę, pomyślę o tym. Dwa weseliska razem zawdy taniej wypadną, to mi może coś z majątności ostanie, bodaj na sól.

Nie było jednak żadnego weseliska i stary Pałuk pozostał przy swej córce i mieniu. Geilana wyprosiła u księcia, że jej z poczem kupieckim, który przez Poznań ciągnął, do Italii wrócić pozwolił. Nie powiedziała, dlaczego na Jaskotela i swaty czekać nie chce, Mieszko jednak pomiarkował sam, że Jaskotelowe przygody z niewiastami doszły do jej uszu i to ją zraziło. Wziął jeno przyrzeczenie, że wróci możliwie najprędzej, mając jednak nadzieję, zaswatać ją swemu ulubieńcowi, gdy się on jeno ustatkuje, i obdarzywszy ją sownicą, z podziękowaniem odprawił. Rzecz zaszła tak nagle, że Audun dopiero po wyjeździe Geilany o nim się dowiedział. Choć pierwotnie małżeństwu przeciwny, pogodził się już z nim, ułożył sobie wszystko, nawet jak wnuki dzielić i swatać będzie, które ziemie i jak zagospodarzy. Gdy mu chybiło, zeźlił się, a dowiedziawszy się przypadkowo od księcia, co było przyczyną, na Jaskotela gniew obrócił i gdy syn wreszcie po Godach nadjechał, powitał go gradem przekleństw, we wszystkich znanych sobie językach.

Jaskotel, który jeszcze słaby był po przebytej chorobie i zawiedziony w nadziei ujrzenia Geilany, wysłuchał obojętnie klątw rodzica i nie odrzekłszy nic, bez pożegnania na drugi dzień za księciem Bolkiem w Krakowskie pociągnął. Stary, któremu jednak żal było syna i stęsknił się za nim, wyłóściwszy się, sam zamierzał pociągnąć za Geilaną, by ją choćby siłą zatrzymać. Gdy się jednak o wyjeździe Jaskotela dowiedział, jak stał, konia siodłać kazał i bez zwłoki do dom ruszył ze swymi ludźmi, którzy jechali za nim niepewni i struchleli, gdyż stary po raz pierwszy ni jednej klątwy nie wypuścił, i bali się, że go gniew rozedrże. Przejęty sprawą Jaskotela Audun zapomniał o Wilczku. Pałuk urazę nawet powziął, że bez słowa wyjechał, lecz namyśliwszy się uznał, że może i lepiej się stało. Jagódka i Wilczek młodzi jeszcze, mogą poczekać, a zechce Audun na nowo sprawę nawiązać, to miększy być musi. Wyjechał tedy i Pałuk do siebie, gdy inni wielmoże się rozjechali i spokój zapanował na poznańskim dworcu. Mieszko, jak zwykle, jał się spraw państwa, posłów przyjmował i wyprawiał. Żal za Dobrawką cofał się gdzieś w głąb duszy. Jeno gdy wieczorem z okien swej komnaty patrzył na ciemne okna niegdyś jej sypialni, uczucie samotności gniołło go z dniem każdym bardziej. Brakło mu kobiety, z którą mógłby myśli swe podzielić, do czego mimo całej powściągliwości nawykł przy Dobrawce, i czuł, że nie potrafi wrócić do nałożnic, jakie mu dawniej wystarczały. Z niechęcią zaś myślał, że inna jakaś kobieta zajmie miejsce zmarłej i na nowo żyć się trzeba będzie, do czego nie czuł ochoty, mimo iż zdawał sobie sprawę, że prędzej czy później musi wziąć niewiastę. Odkładał jednak myśl o nowym związku do czasu, gdy go narzuci potrzeba lub korzyść.

Z Świętosławą teraz częściej przebywał, gdyż żywa i wesola dziewczeczka jedyna umiała troski jego rozegnać. Przypominała mu zmarłą żonę z urody, usposobieniem zaś miłą siostrę Adelajdę. Chętnie uciekał od myśli o przyszłości, a wracał ku dawnemu życiu i rozumieć zaczynał żal Dobrawki, że nie danym jej było żyć w prostym stanie. Oto syn już z dala od niego, a nie obejrząc się i córkę oddać będzie trzeba kędyś w obce kraje, by nie ujrzeć jej więcej, ni wnuków po niej. Ze zdziwieniem sam się parę razy schwytał na tym, że zazdrościł swym towarzyszom młodości, iż dzieci wydawszy, siedzą razem lub opodal, ciesząc się ich życiem. Przed nim samotna starość, która skrada się z każdym dniem bliżej, jak zmora do samotnego wędrowca, by wyssać z niego siły i krew, gdy niebacznie w czas nowiu uśnie na leśnym uroczysku. Coraz częściej myślą wracał do Bolka. Chłopak rośnie i dojrzewa, do rządów już się wdrażać zaczyna, trzeba by i do wojny zacząć go wprawiać, a niedługo za żoną dla niego obejrząc się wypadnie. Krewki jest z natury, a niedobrze, by się zaczął z

kobietami zabawiać, jak Jaskotel. Księża się krzywić będą i jeno czas i siły trwonić będzie niepotrzebnie. Mieszko sam nie zdawał sobie sprawy, ile w tych planach dla syna było chęci jak najrychlejszego doczekania wyroku dla siebie i pociechy z wnuków, którym mógłby poświęcić swe niewystygłe uczucia, jakich swoim dzieciom poświęcić nie miał czasu. Niemniej parę lat jeszcze czekać należy, a tymczasem trzeba pracować, by załatwić chociaż najważniejsze sprawy i niedoświadczonemu jeszcze synowi móc poruczyć władzę, a samemu spokojnie zażyć starości.

XXVI

Gwiazda przewodnia

Jaskotel jechał do Krakowa dosyć markotny. Wciąż jeszcze nie czuł się w pełni sił po rozbiciu i trudach ucieczki, a i wewnątrz do ładu ze sobą dojść nie mógł. Żał mu było i burzył się, że Geilana widzieć się z nim nie chciała, lecz przywykł już, że jeno miga przed nim w życiu, uchwycić się nie dając. Mimo całej tęsknoty i pożądania, jakie czasem go chwytало, nieraz sam miał wątpliwości, czy dobrze byłoby związać się z niewiastą, przewyższającą go rozumem i doświadczeniem, wiekiem też dla niego nieodpowiednią i obcą środowisku, do którego nawykł. Nie mógł się wyznać w swoich i jej uczuciach. Czegoś mu brakło w tym stosunku, a przede wszystkim spokoju, by sprawę bez niczyjego wpływu rozważyć. Ten spokój wracać mu już zaczął u pustelnika, jeno że łącznie ze słabością ogarnęło go jakieś lenistwo, tak że rozważenie sprawy z dnia na dzień odkładał. Potem wyrwano go i znowu jej ucieczka i wybuch ojca w zamieszanie go wprowadziły. Uciekł tedy, nawet pocztu ze sobą nie biorąc, jeno pacholka jednego do posługi. Zgodził się tylko, by znani mu bracia bliźniacy, Miłosza i Otłoka, którzy już od roku w drużynie księcia służyli, a ninie, gdy spokój zapanował, swojaków w Krakowskim chcieli odwiedzić, towarzyszyli mu w drodze. Podróż wspólna bezpieczniejsza była, a nie obawiał się, że mu się w drodze będą naprzykrzać, gdyż pamiętał, iż razem będąc, zawsze coś sobie mają do powiedzenia, jeśli się nie kłócą. W Gnieźnie Jaskotel nawet na gród nie zajechał nie chcąc widzieć nikogo. Przybyli zresztą już nocą, a świt zastał ich znowu w drodze. Jechali jak strzelił na Łąd, Kalisz i Mstów, pogoda wiosenna sprzyjała podróży i nie żałując koni, pod zachód dziesiątego dnia ujrzeli z dala, na wyniosłej skale krakowski gród. Mrok już zapadał, gdy wjeżdżali przez bramę w częstokole i zaraz dowiedzieli się od straży, że młodego księcia nie masz w Krakowie, gdyż na objazd ziemi Wiślan wyruszył, by poznać kraj, w którym do rządów miał się zaprawiać. Nie umiano Jaskotelowi powiedzieć, gdzie by mógł się ninie znajdować, tyle jeno, że ruszył na Sącz, ale czyby tam jeszcze był, nie wiadomo. Nie spodziewając się rychłego powrotu Bolka, a czując się lepiej w podróży niż wśród obcych sobie ludzi, Jaskotel postanowił ruszyć za nim. Że zaś Miłosza i Otłoka uradzili, wyjątkowo zgodnie, naprzód brata odwiedzić w Dzikowym Grodzisku, by się dowiedzieć, co tam ojciec o nich myśli, którego od przeszło sześciu lat nie widzieli, postanowił wybrać się z nimi. Choć wojaki już były tęgie i pod wąsem, przecież ich strach jakowyś łaskotał po grzbietach na ojcowe wspomnienie. Bali się, że ojciec zostać im każe, a jako kniaziowi dróżynnicy wracać byli powinni, gdyż na czas jeno dostali zwolnienie. Zarówno obawa, jak i obudzona tęsknota za domem zamykały im jakoś usta, tak że wbrew swemu obyczajowi jechali milcząc.

Pogodny dzień wiosenny miał się ku schyłkowi. Żłota i zielonkawa jasność napełniała głąbie boru, nie wstrzymywana jeszcze listowiem, które dopiero z pąków wychylać się zaczęło. Drzewa rzucały coraz dłuższe cienie i cisza wieczorna stała w spokojnym powietrzu. Milkły ptaki, układając

się po kolei do snu, po pracy całego dnia nad budową gniazd. Pomału ciemność rozciągała się nad krajem. Drodzy jeszcze obwoływały się po krzaczach, a górą, nad wilgotnymi, leśnymi łączkami ciągnąc zaczynały słonki, których cienie raz wraz bezszelestnie migały nad głowami podróżnych, i jeno czasem pisk, ledwo dosłyszalny, lub chrapanie zdradzało ciąg.

Przed wzejściem księżyca ciemność uczyniła się głęboka, lecz do Grodziska już było niedaleko, więc na nocleg postanowił Jaskotel nie stawać, gdyż wieczory jeszcze bywały chłodne. Otuliwszy się opończą ruszył Szybciej i wysforował się przed towarzyszy, tak że ledwo słyszał głosy Miłoszy i Otłoki, którzy po przerwie znów się o coś kłócić zaczęli. Natomiast z głębi boru doszedł go jakiś gwar, zrazu nieuchwytny. Choć na miękkim podłożu leśnym ledwo słychać było stąpanie konia, Jaskotel wstrzymał go, by zbadać, skąd głosy pochodzą. Skinieniem ręki powstrzymał nadjeżdżających i jakiś czas stali nasłuchując.

- Obóz jakiś słychać - zauważył półgłosem Miłosza - zbóje pewnikiem.

- Głupiś! - odparł Otłoka - zbóje by nie hałasowali.

- Sameś głupi! Jeśli ich kupa jest, to co się mają ukrywać.

Znowu do kłótni się brali, lecz Jaskotel przeciął:

- Wszystko jedno, zbadać trzeba.

I ruszył w kierunku odgłosów. Darli się przez gęstwinę w ciemności, pod górę, jeden za drugim.

Osiągnąwszy wierzchołek wzgórza, zza którego coraz wyraźniej hałas słychać było, Jaskotel wstrzymał konia. Z dolinki u stóp wzgórza były blaski ognisk, dobrze widoczne gdyż stok zarosły był jeno młodniakiem i krzaczami. Można już było rozeznac poszczególne głosy ludzkie, a także szczekanie psów. Jaskotel zeskoczył z konia i zostawiwszy go towarzyszom, którym w głąb lasu cofnąć się polecił, sam ostrożnie pod wiatr podchodził mając na uwadze, że jeśli obóz jest zbójcecki lub morawskich czy węgierskich napastników, straże wystawione być muszą. Zbliżywszy się, jednak, byстрыm uchem uchwycił polańskie narzecze i śmieiej już ruszył przypuszczając, że strażę jakąś lub poczet wielmoży ma przed sobą. Dotarł prawie na kraj młodniaka i jak na dłoni ujrzał obozowisko, niedawno widocznie założone, gdyż krzaczano się przy ogniskach przygotowując wieczerzę. Pośrodku, koło największego, dwóch pachołków obdzierało ze skóry zawieszzonego za zadnie nogi niedźwiedzia, o parę kroków zaś, pod stokiem przeciwległego wzgórza, rozpięty był namiot.

Jaskotel, rozejrzawszy się dokładnie, widząc, że nie ma niebezpieczeństwa, już zawrócić miał do koni, by się z towarzyszami naradzić, czy jechać dalej, czy do spotkanych na nocleg się przyłączyć, gdy z namiotu wyszedł młodzianek i stanąwszy koło pachołków, którzy obdzierali niedźwiedzia, coś mówił. Jaskotel poznał go od razu i bez wahania wychyliwszy się z krzów, ku niemu zmierzał. Nie zaczepiony przez nikogo podszedł tuż i stanął przy ognisku czekając. Obierający zwierza pachołkowie spojrzeli na niego, a za ich spojrzeniem młodzieniec odwrócił się. Bolko i Jaskotel stali naprzeciw siebie. Pierwszym odruchem Jaskotela było powitać Bolka z dawną poufałością, lecz coś go w jego twarzy i postawie uderzyło nieznanego, czego nie dostrzegł w nim przedtem. Choć od czasu, gdy widział go po raz ostatni, minęło zaledwie parę miesięcy, prócz tego, że Bolko zmężniał widocznie i przybrany był bogato, jakaś wewnętrzna zmiana w nim nastąpiła, która onieśmieliła niełatwo się dającego zbić z tropu Jaskotela. Stał przeto, niepewny, jak ma powitać Bolka, który sam zbliżył się do niego żywo i kładąc mu ręce na ramionach, zawołał:

- Prędzej bym się leśnego dziada ujrzeć spodziewał niż ciebie!

Skądęś się tu wziął?

Głos Bolka, już męski, znowu zaskoczył Jaskotela obcością, choć brzmiał radośnie i oczy Bolka

po dawnemu błysnęły. Sam nie wiedząc dlaczego, nie wróciwszy do dawnej poufałości, Jaskotel odparł:

- Jechałem, by się z wami połączyć. Z drogi my zjechali z towarzyszami, by obaczyć, kto obozuje, bo opodal do Grodziska mamy zajechać, gdzie brat ich siedzi, więc zbadać trzeba było, czy się napaść jakowa nie szykuje.

- A gdzie twoi towarzysze? - zapytał Bolko oglądając się.

- Pod lasem czekają.

- Tedy sprowadź ich i wracaj zaraz. Albo nie! Z wami pojedę do Grodziska. Ugwarzyć chciałem z tobą, a lepiej się gada jadąc. To rzekłszy na pachołków krzyknął, by w mig konia osiodłali, a z szybkości, z jaką rozkaz wykonano, poznać było można, że młody księżę czekać nie lubi i wolę swą potrafi narzucić. Już na koniu siedząc ozwał się do starszego straży:

- Jadę do Grodziska nad Stradomkę, ostaniecie tutaj na nocleg.

Jutro za mną nadciągają.

Skinieniem ręki odpowiedział na pokłon wojaka i skręcił koniem ku młodniakowi. Blaski ogniska, chwytane przez pnie i gałęzie, pozostawały za nimi, wraz z odgłosami obozu, i wkrótce otoczyły ich ciemności. Po chwili Jaskotel przystanął i z cicha gwizdnął. Odpowiedział mu takiż znak. W mroku leśnym zamajaczyły postacie towarzyszy i ozwał się głos jednego z bliźniaków:

- Co za jedni i z kim wracasz?

- Książ Bolko - odparł krótko Jaskotel i podszedłszy dosiadł konia. - Jedziemy dalej.

Bracia coś szeptać jęli między sobą, a Bolko ruszył mówiąc do Jaskotela:

- Prowadź!

Jechali w milczeniu zstępując ze wzgórza ku wiodącej dołem drodze. Głęboki mrok rozpraszać zaczęło białawe światło. To księżyc wychynał nad lasy, a promienie jego ślizgały się i obijały o gałęzie drzew. Nim zjechali na szlak, wzbił się nad lasy i droga zaświeciła przed nimi jaśniejszym pasmem. Dobiwszy do niej Bolko ruszył zrazu kłusem i wraz z Jaskotelem wysunęli się kilkadziesiąt kroków przed bliźniaków. Bolko powściągnął konia, który przeszedł w stępa i chwilę jechał w milczeniu, którego Jaskotel nie przerywał czując, że towarzysz chciałby mówić o czymś, ale nie wie, jak rozpocząć. Rzucił kilka pytań, lecz Jaskotel spostrzegł, że niezbyt zważał na odpowiedź, i zapytał sam:

- Jakże się wam zda rządzić?

Myśl Bolka widocznie czym innym była zajęta, gdyż nie zaraz odrzekł ożywiając się jednak widocznie:

- Dziw, jak łatwo. Zda mi się, że nigdy nic innego nie czynił.

Jeno tak myślę, że samo idzie wszystko ustanowionym porządkiem jak ten księżyc i gwiazdy na niebie. - Ręką wskazał na spokojne niebo, po którym sunął srebrzysty półkružek.

- Napatrzyłem się, jak wasz ojciec pracował, by tak szło - odrzekł Jaskotel. - Od środka już samo iść zaczyna, choć wiem, że ojciec wasz nie wierzy, by stary porządek zgasł już na zawsze. Jeno kniaziowy ciężar przygniata te siły, które zwolnione, mogłyby jego dzieło rozsadzić.

- Wiem o tym - odparł żywo i z pewną niechęcią Bolko - że jeszcze od ojca lżejszy. Ale po jednej stronie nasz ciężar leży, a i mój już wystarczy, by zgnieść każdego, co mi się przeciwi. Jaskotel nie odrzekł nic, zamyślony, a Bolko po przerwie ciągnął dalej:

- Myślał Mikłusz, że rządzić będzie jako przódzi, a mnie zabawkami, jak dziecko, zbywać. Jego szczęście, że prędko zrozumiał, iż rządzić tu przyjechałem, a on sługą ma być. Pierwszym, jeśli się

nada, a ostatnim, jeśli się przeciwie próbował.

I Bolko trącił konia ostrogą, ściągając równocześnie wodze, iż rumak wspiał się bijąc kopytami.

- Moźni i rozrodzeni są Starze - rzekł Jaskotel. - Ojciec wasz nie chciał, by ich drażnić. Wiślanie przywykli w nich widzieć swych panów.

- Przywykli, to odwykną - rzekł gniewnie Bolko. - I myślę, żalować nie będą. Zjeździłem już kraju kawał i widzę, że mało kto im rad, jeno się boją. Gdy obaczą, że ten lepszy, kto nam lepiej służy, przestaną się bać.

Gdy Jaskotel milczał, Bolko zapytał:

- Co myślisz?

- Dziwię się, jakeście się lekko przesiedli na wysokiego konia.

Byle się wam w głowie nie zawróciło. Swoimi, co mniej czy więcej słuhać chcą, rządzić nie sztuka. Ale wiecie, jak ojciec wasz głowy ni ręki opuścić nie może, by się od obcych ogonić. Nieraz aż żal brał, a i radość, że nie na mnie to padło. Zbieszę się, to ciskam wszystko, a kniaź, chory czy zdrów, wesół czy smutny, wciąż musi dźwigać ciężar.

- Pomogę w tym ojcu - rzucił Bolko dumnie. - Idę na wyprawę - dodał z dziecinną jeszcze pychą.

- Na jaką wyprawę? - zapytał Jaskotel zaciekawiony. - Przecie spokój teraz. Puści was zresztą rodzic? Młodziście jeszcze i jeden u ojca.

- Jaka się trafi, na taką pójdę. Na Niemca bym chciał, zapłacić za niewolę. A ojciec puści mnie, bo przyrzekł, że pozwoli wojować, gdy ubiję pierwszego niedźwiedzia. I dziś go ubiłem! - rzekł Bolko chełpliwie.

- Mocarny z was pacholek! - zdziwił się Jaskotel. - Przyda się i kniaziowi tęgie ramię, choć samo nie wystarczy. Inaczej by tego Dzika, co jego było Grodzisko, do którego jedziemy, kniazem zrobić należało, bo nie było nadeń mocarniejszego człeka. Cieszę się, że razem pociągniemy. Wydobrałem już, jeno nuda mnie trapi. A na wojnie wesóło! - I Jaskotel roześmiał się beztrosko do wspomnień. - Byle tylko wyprawa prędko się trafiła! - dodał z powątpiewaniem.

Umilkli i jechali dalej. Las rzedł, jakby przerąbany. Wyjechawszy z zakrętu ujrzeni na wyniosłym wzgórzu budynki Grodziska, zalane światłem księżycy. Srebrną plamą od ciemnego tła odcinała się ściana kamiennej wieży.

Podjeżdżali w górę, a już psy się odezwały i jak iskierki zaświeciły w blasku księżycy groty włóćni strażników przy bramie. Obwołali się, a po chwili podróżni wjeżdżali w bramę i ruch wszczął się na gródku.

Nadbiegł zbudzony Krzesz i podjąwszy księcia pod nogi, z braćmi witać się jął a urągać, choć nieszczerze. Noc była późna, lecz w świetlicy światło zażegnieto, by się zdrożeni przed snem pożywili. Krzesz wyszedł zakrzatnąć się koło wieczerzy, a przybyli rozgaszczali się z lubością, znużeni drogą i senni. Siedzieli w milczeniu, gdy nagle szybkie kroki rozległy się w sieni i wpadł Krzesz wołając:

- Od myślenickiej brony widać ogniska, wici płoną! Wypadli poruszeni. Księżyc miał się już ku zachodowi. Kraj cały tonął w szarosrebrnej poświacie. Lekka mgiełka leżała nad wzgórzami, lecz na zachodnim paśmie widne były wyraźnie czerwonawe światełka ognisk. Bolko stał patrząc jak urzeczoną. W uszach czuł szum krwi, a serce tłukło mu się w piersi. Pasował się ze sobą, by nie zdradzić podniecenia. Trochę niepewnym głosem odezwał się do stojącego obok Jaskotela:

- Żeby nie ubił niedźwiedzia, musiałbym pozostać, a tak razem pojedziemy.

- Szczęśliwa to dla was wróżba - odparł Jaskotel.

Tymczasem blade światło księżycy ustąpiło z nagle czerwonym blaskom płomienia, które oblały wzgórze. To Krzesz stos zapalił.

Stali jeszcze rozmawiając, gdy zawołał:

- Od Stróży ze Swinnej widać ognisko, już nasze dostrzegli!

Zwrócili się ku południowemu wschodowi. Księżyc właśnie zaszedł i wzgórza zanurzyły się w cieniu, jeno jak gwiazda przewodnia świeciła Bolkowi krwawym płomieniem zapowiedź wojny.

XXVII

Przekleństwo

Gdy późną nocą bracia sami ze sobą zostali, Krzesz postawił na stole dzban miodu i kubki, by łącniej obcość przełamać, która po latach niewidzenia legła między nimi. Przypili raz i drugi, z ciekawością przypatrując się sobie wzajem, i Krzesz zaczął:

- Aleście zawzięci, żeby tyle lat brata nie odwiedzić.

- Ii, nie to - ozwał się Otłoka. - Jeno jakim ci rzekł, nie przyjeżdżaliśmy, póki byś nas bić mógł, wedle swej woli. Krzesz zaśmiał się i kładąc na stole pięść, jak głowa dziecka, odparł:

- Jeszcze bym i dziś kości wam połomić wydolił.

Istotnie chłop uczynił się ogromny, suchy, barczysty, choć śmigły. Widno nieczęsto równych sobie spotykał. Gdy odwinął rękaw pokazując bliznę po Miłoszowym nożu, zagrały pod cienką skórą pasma i węzły żelaznych mięśni.

Miłosza, choć patrzył na brata z podziwem i zazdrością, odparł:

- Nie radziłbym ci próbować. Pewnie że każdemu z nas z osobna dałbyś rady, choć i my nie ułamki. Ale z dawna wiesz: tknie kto jednego, to dwóch ma na sobie. Byli już tacy, co próbowali.

- Ba! - zaśmiał się Krzesz. - Przeciem ci sam pamiątkę pokazał. A dziś byś jeszcze potrafił na starszego brata z nożem skoczyć?

- Tknąć którego z nas, nam wszystko zajedno.

- A ze sobą już się nie bijacie?

- Czemu nie? - odparli razem i spojrzeli po sobie, jakby się rzucić mieli jeden na drugiego, lecz Krzesz zapytał:

- Może byście i na ojca rękę podnieśli?

Otłoka dłonią po czuprynie przejechał z zakłopotaniem, a Miłosza odparł:

- Na ojca nie. I dlategośmy przyjechali, by się dowiedzieć, co tam ojciec o nas myśli. Bo miałyby nas prac, to nie jedziemy. A chciałoby się rodzicieli i dom obaczyć. Pewnie się dużo zmieniło.

Dawno tam byłeś?

- Zeszłej wiosny. Juści się zmieniło. Dom stoi między lipami jako drzewiej, ale w domu... Degno i Wojsław legli w Prusach, pewnieście słyszeli. Dobrochna za mąż wydana, aż za Lublin. Psy nawet inne. Stary Zbój zdechł dawno. Z łoszaków konie porosły, starych już nie ma. Jedna Siwa ostała, ale ślepa. Niby wszystko swoje, ale nie to, co było.

- To rodziciele sami żywią - cicho rzekł Miłosza.

- Sami. I starzy już. Smutno w domu. Nie tak, jak bywało, gdyśmy jeszcze wszyscy razem siedzieli, i tak cicho. Zadumali się. Tęsknota ich ogarnęła za domem i żal starych, samotnych rodziców. Otłoka ozwał się:

- Będzie, co będzie. Trzeba ich odwiedzić.
- A jakoże z wyprawą?
- Książ kilka dni w Krakowie zabawić musi na wojska czekając i wolniej z nimi pociągnie.

Dognamy.

- Ja z wami nie pojedę - ozwał się Krzesz. - Gospodarzem jestem, nie mogę jechać, póki książ tu jest.

- Możemy poczekać, aż wyjedzie. Też długo nie zabawi.
- Jedźcie sami nie mieszkając.
- Czemuż to?
- Prawdę rzec, ściałem się z ojcem.
- O co?
- Żenić mi się przykazuje.
- A ty pewnie znowu jakie dziewczki masz? - zaśmiał się Otłoka.

Krzesz ręką machnął, a Miłosza zapytał nieśmiało:

- Zaś z Dobkiem co słysząc?
- Widujemy się czasami.
- A Czarnuszka, wydała się?
- Nie. Jeździły swaty, ale nie chce nikogo. A stary miękki dla niej, zmuszać jej nie będzie.

Bliźniacy spojrzeli po sobie, ale nie ozwali się. Natomiast gdy wyjechali o świcie, miast doliną na Myślenice, bez słowa skręcili lasami ku Dobkowemu dworzyszczu. Miłosza, zrównawszy się z Otłoką, zapytał:

- Wyrozumiesz ty Krzesza, bo ja nie.
- Kto by go tam wyrozumiał. Nic o sobie nie mówi.
- Nigdy nie mówił - przypomniał sobie Miłosza.
- Siedzi sam, dziewczek nie ma, a żenić się nie chce, choć by ojcu dogodzić. Nie chce Czarnuszki, choć milszej dziewczki i lepszych swojaków nie najdzie - to innych przecie nie brak.
- A Czarnuszka wianek do dziś nosi pewnie przez niego, choć lata dawno ma.

Zadumali się; pognali konie i wkrótce już dojrżeli dymy Dobkowej osady, wzbijające się ku pogodnemu niebu. Właśnie wjeżdżali w wąwóz wychodzący na dworzec, gdy przed sobą spostrzegli Dobka. Poznali go zaraz, choć postarzał się i pochylił. I on widno domyślił się, kogo ma przed sobą, gdyż oczy otworzył szeroko ze zdumienia i zawołał:

- Bogdaj was! Przecie to Miłosza i Otłoka! Aleście do Tarły podobni, aż mnie w sercu zakłuło.

Iluz was jeszcze takich?

- My już ostatni - zaśmiał się Miłosza. - Ubywa, miast przybywać.

Dobek westchnął i rzekł:

- Do domu chodźmy. Na długoście zjechali?

- Jeno pokłonić się wam i przypomnieć. Zaraz dalej jedziemy, bo rodziciele mamy odwiedzić, a wyprawa idzie. Doszli do dworca i Dobek pośpieszył poczęstunek kazać przygotować, a bracia usiedli na przyzbie i patrzyli na rzekę, jak mieniła się w słońcu. Obydwu przypomniał się ostatni tutaj pobyt i milczeli. Zadumę ich przerwał odgłos szybkich kroków. To Czarnuszka biegła gości powitać.

Nie zmieniła się nic, jeno mniejsza im się zdała, bo ninie o głowę ją przenosili. Patrzyła na nich i oczy jej się szklily; domyślali się dlaczego. Miłosza przerwał milczenie:

- Przyjechaliśmy pożegnać się, na wyprawę ciągniemy.

Przybladła, lecz nie odrzekła nic, a w tej chwili zjawił się Dobek na posiłek wołając. Wstali i razem weszli do świetlicy. Rozgadali się przy jadłe o swych podróżach i przygodach i weselej się uczyniło. Dobek raz za razem dorzucał pytanie, a Czarnuszka ze zdziwieniem słuchała, ile to świata zwiedzili i przygód zaznali ci, których, zda się tak niedawno, wyrostkami widziała. Dopiero gdy wstali żegnać się, posmutniała znowu i im miny zrzedły. Dobek stał z dziewczyną patrząc za nimi. Gdy przejechali bród, obejrzeni się jeszcze. Potem przesłoniły ich krze. Popędzili konie, by czas stracony nadrobić, i jechali w milczeniu. Dopiero gdy droga pięć się jęła pod górę i konie przeszły w stępa, zrównali się, a Otłoka zagadnął:

- Jak myślisz, czy Czarnuszka Krzesza miłuje, czy za Tarłą płacze?

Gdy Miłosza nie odpowiadał, trącił go i zapytał:

- Cóżżeś się tak zadumał? Słyszysz, co mówię?

- Słyszę. Myślę, że tyle jej z tego miłowania Krzesza, co płakania za Tarłą. Swaty bym do niej posłał, toby płakać przestała. Sam Dobek mówił, że do Tarły podobny jak kropla wody do drugiej.

- A ja to nie?! - spytał Otłoka ochrypłym głosem.

Zatrzymali konie i patrzyli na siebie wrogo. Miłosza w końcu roześmiał się nieszczerze, trącił konia i ruszył przed siebie. Brat dognał go zaraz i czas jakiś jechali milcząc. Przerwał milczenie Otłoka:

- Słuchaj! Rozmówimy się zaraz. Ja do niej swaty ślać myślę.

Zatrzymali znowu konie. Miłosza darmo szukał słowa, które by przez ściśnięte wściekłością gardło przejść chciało. Jak dwa jastrzębie rzucili się na siebie.

Słońce już zachodziło, gdy ocknął się pierwszy Otłoka. Zamglonymi jeszcze oczyma spojrzął na leżącego obok brata. Dźwignął się z trudem i utykając skierował się do szumiącego opodal drogi strumyka. Umył zakrwawioną twarz, napił się wody, po czym zaczerpnąwszy jej w dłonie, pokulał do Miłoszy i w twarz mu chlusnął.

Miłosza zachłysnął się oddechem i usiadł. Mrugał przez chwilę oczyma, wstał i rzekł spokojnie:

- Myślę, że Czarnuszka Krzesza miłuje. Nie było się o co bić.

- Konie gdzieś licho wzięło - zauważył Otłoka.

Zaniepokoił się obydwaj, lecz na szczęście pasły się o kilkadziesiąt kroków, na łączce przy strumyku. Dosiedli ich z trudem i choć kości obydwu bolały, puścili konie cwałem. Mimo że ich nie żalowali, północ już była, gdy dotarli do Krakowa. Znużeni zajechali do pierwszego z kraja domu w osadzie nad Wisłą i kazawszy się zbudzić o świcie, posnęli zaraz.

* * *

Płaski kraj tonął w mroku i ciszy ciepłej już, wiosennej nocy. Gdzieś zakwiliła czajka, jak dziecko przez sen, z bagien głucho zadudnił bąk, czasem stojący gdzieś na straży żuraw półsennie wydał okrzyk, na znak że czuwa. Ale i te odgłosy umilkły, gdy księżyc schował się za widnokrzem. Ciemność pogłębiła się, pociągnął chłód. Z łąk dźwignął się siwy opar i niepostrzeżenie jął zamazywać cienie przydrożnych lip i pokręconych dziwacznie wierzb nad ruczajami, strzępiastych kęp trzciny i szuwarów na bagienkach i stawkach. Potem od niedalekiej rzeki ruszył lekki powiew i ułożył mgłę w pasma, wolno i bezszelestnie sunące tuż przy ziemi. Mgła dołem zgęstniała w nieprzebity tuman, górą natomiast powietrze oczyściło się, tak że korony drzew zdały się wisieć w powietrzu, oderwane od swych podstaw. Zamigotały znów przesłonięte na chwilę gwiazdy, lecz niebo bladło już. Nadchodził świt.

W tumanie rozległy się nagle końskie kwiki i tupot kopyt, a potem klątwy i odgłosy razów.

- Co tam? - spytał jakiś zaspany głos.

- Gryzą się ścierwa, bodaj ich wilki zjadły.

W odpowiedzi rozległ się śmiech, a potem słowa:

- Na swych panów się podały.

W bielejącej mgłę zamajaczyła jakaś postać i zbliżała się do krzów, spod których dochodził głos.

- Wstawaj, pojedziem dalej - rzekł Otłoka.

- Niedaleko już, co będziemy rodziciele budzić po nocy - odparł Miłosza.

- Spać nie mogę, a leżeć zimno.

- To chodźmy pieszo, konie i tak zdrożone. Rozgrzejemy się, a pogwarzyć można po drodze.

Zebrali się i ujawszy konie za uzdy, ruszyli gościńcem. Jaśniało z każdą chwilą. Niebo na wschodzie mieniło się już opalem i złotem, tuman z mlecznego czynił się srebrny. Wynurzające się z niego kępy drzew i obłe pagórki, pokryte młodą roślinnością, nasiąkały barwami i wzrok leciał coraz dalej. Milczeli, bo ogarniało ich jakieś wzruszenie.

- Dziw, jak tu cudnie - ozwał się pierwszy Miłosza. - Przecie pięknie i w górach, i piękne są bory nad Odrą, ale tak nigdzie nie jest. Czasem aż mi się przyśniło.

- Kawał czasu nie byliśmy tu, a jakbym wczoraj to widział. Tam ono musi być stawek, gdzieśmy to widzieli dzikie łabędzie. - Otłoka ręką wskazał miejsce niezapomnianego przeżycia.

- A tuśmy chodzili bitniki podpatrywać. - Wspomnienia wysnuwały się jedne z drugich, żywe, świeże, barwne. Nie zauważyli, że zrazu pojedyncze odgłosy ptactwa zwały się w jeden chór, a słońce, wychynawszy nad mgły, rozbłysnęło złotym światłem. Dopiero gdy zza drzew wynurzył się przed nimi ojczysty dom na wzgórku, w kępie prastarych lip, jak arka płynąca po srebrnym morzu mgły, przystanęli i niepokój przytłumił ich wspomnienia.

- Jak też ojciec nas przyjmie? - rzucił Otłoka.

Stali jeszcze, niepewni, gdy z komina wysnuwać się jęło pasemko dymu i srebrną kłasią wznosić ku pogodnemu niebu.

- Matuś już wstała i polewkę warzy! - krzyknął Miłosza.

Skoczyli do koni i popędzili jak ścigani. Chwila jeszcze, a znaleźli się w objęciach matki.

Gdy jednak po pierwszych powitaniach wypytywać chcieli o każdy drobiazg, który w domu pamiętali, palec położyła na ustach:

- Ciszej! Ojciec słabuje i śpi jeszcze.

Nawykłego do ciszy, zbudził jednak niezwykle ruch w świetlicy, gdyż z sąsiedniej komory rozległo się wołanie:

- Dagna!

Wpadła do niego, jeszcze roztrzęsiona, a za chwilę stanęła w drzwiach mówiąc:

- Chodźcie!

Trochę łydki im się trzęsły z nawyku, gdy witać skoczyli do komory: Całowali ze wzruszeniem ojcowskie ręce, dziwnie wychudłe, a on ścisnął ich za głowy.

Po pierwszych powitaniach rzekł surowo, choć i sam widocznie wzruszony:

- Za słabym, by was sprać za to, żeście uciekli, ale już wam daruję, skoroście wrócili. Nie będzie ziemia po pradziadach na niewolnych czy pożyczanych rękach.

Umilkli zaskoczeni. Nijak nie mogli wykrztusić, że na dzień jeno przyjechali, a ojciec, jakby ich chciał do reszty pognębić, ciągnął:

- Chłopy z was porosły na schwał, choć do Tarły jeno z gębyście się umyli. Ale nie trzeba

mocarzy do pług. Wraz się za żonami dla was obejrzymy i może wnuki oglądne, nim zamknę oczy. Odetchnęli z ulgą, gdy Dagna na posiłek ich zawołała, ale jedli niesporo, zasumowani. Matka zagadnęła ich raz i drugi, lecz gdy odpowiadali roztargnieni, zapytała:

- Cóż z wami? Stało się co?. Spojrzeli po sobie, a Miłosza odparł cicho:

- Chcielibyśmy pogadać z wami na osobności.

Tknęło ją coś i posmutniała, lecz odparła tak, by ojciec słyszał:

- Idę do bydełka, pójdźcie ze mną.

Miast do obory jednak skierowała się na ławę pod drzewami i usiadłszy powtórzyła pytanie:

- Co się stało?

- Ojciec myśli, żeśmy na dobre wrócili i żenić nas zamyśla. A my jeno na dzień jeden, a żenić się wcale nie będziemy.

Dagna ręce załamała:

- Czy przeklął nas kto! Trzech synów już straciłam, a wnuków nie ma po kim doczekać i dom pusty stoi. Żle wam tutaj było?

Rzucili się ją ścisnąć i pocieszać:

- Jako nigdzie, matuś, ale tak się składa. Jechać musimy, choćbyśmy nie chcieli, bośmy u kniazia w drużynie, a wyprawa idzie. A czemu to nam pierwszym się żenić, skoro Krzesz starszy, a samotny żyje?

- Chciał go ojciec zmusić, by pozostał i ożenił się. Ale jeno się pocięli i rodzic wygnał go i pokazywać się zabronił, chyba z wnukiem. Nie rzekł wam nic?

- Dlatego z nami tu jechać nie chciał! Ale czemu się nie żeni? Nam by ojciec spokój dał. Nie mówił, czemu się żenić nie chce?

- Ojcu nie powiedział, ale...

- A wam?

- Powiem, jeżeli wy powiecie, dlaczego wy żenić się nie chcecie.

Popatrzyli na siebie w milczeniu. Matce zawsze łatwiej bywało się zwierzyć, czy to ze smutków swoich, czy z przewinień. Często i przed ojcem ich chroniła, który twardy był zawsze, a nie przepuścił nigdy. Razem odparli:

- Bośmy to sobie wzajem przyrzekli.

- Ale dlaczego? - zakrzyknęła.

- Zawdy się nam jedna dziewczka podobała. A ostatnio, tośmy się tak o Dobkową Czarnuszkę potłukli, że z nas obu dech wyparło. Mamy tyle z dziewczek, że się jeno o nie wadzimy, to i nie trza nam żadnej, bo się jeszcze kiedy poubijamy.

Dagna jeno ręce załamała bezradnie, rozumiała ich. Jeszcze gdy ich piersią własną karmiła, każdy z tej samej chciał ssać. Milczała przygnębiona.

- A teraz powiedzcie, czemu Krzesz żenić się nie chce - zapytał Miłosza.

- Wszystkich was urzekła ta jedna dziewczyna?! I Krzesz przez nią samotny żyje.

- Jakże to?

- Mówił, że ją lubi i nawet swaty chciał słać, ale Tarło mu się przyśnił, jak się skarżył żałośnie, że mu jego dziewczynę chce zabrać. Miłowali się z Tarłą bardzo i tak go to ścięło, że już żadnej nie chce. Wszystko złe od śmierci Tarły się zaczęło - zapłakała cicho.

Bliźniacy jednak aż się poderwali z ławy, a Otłoka zakrzyknął:

- Ady go spierzemy, że go nie poznacie! To ona jego, głupca, miłuje, a Dobek w końcu komu

innemu da dziewczynę, bo też wnuków chce doczekać. Dużo Krzeszowi i Tarle z tego przyjdzie!

- A my przez niego znowu z ojcem będziemy mieć przeprawę - dodał Miłosza.

- Oj, będziecie - westchnęła Dagna.

- Nie da się rodzic przekonać? Przecie każdy ma prawo żyć, jak chce, i sobą rządzić.

Tu jednak Dagna zgniewała się:

- Tego cię po świecie nauczyli? Nie po to ojce płodzą i chowają dzieci, by na starość samotnie pozostać, gdy ich siły odejdą.

Siedzieli zasepieni, wreszcie Otłoka wstał i rzekł:

- Nic się zmienić nie da. Co ma być, niech będzie. Chodźmy do ojca zaraz.

- Ostawcie - prosiła. - Niech się choć ten dzionek jeden wami nacieszę. Czy się jeszcze kiedy obaczmy? - Znowu oczy jej się zaszklily.

Dzień minął jak dym na wietrze. Zajrzeli wszędzie, odwiedzili sąsiadów swojaków, pogwarzyli z ojcem o swych przygodach, popsocili z matką jak wyrostki, a już słońce się pochyliło i na wieczrę wołała. Rozigrani, jedli ze smakiem rozmawiając wesoło. Dopiero pod koniec umilkli na myśl o zbliżającej się rozmowie z ojcem. Wreszcie Otłoka wstał ociągłiwie i rzekł:

- Nic nie wymyślimy. Chodź!

Ruszyli do komory. Przy blasku łuczywa dostrzegli uśmiech na wychudzonej twarzy ojca i żal ścisnął ich za gardło. Nieczęsto się do nich uśmiechał i tego rzadkiego, dawno niewidzianego gościa spłoszyć mieli. Ale nie szło inaczej i Miłosza zaczął:

- Przyszliśmy was pożegnać, bo przed świtem wyjechać musimy, a nie chcieliśmy was budzić.

Stary usiadł na łożu jakby nie rozumiejąc.

- Dokąd chcecie jechać? - zapytał po chwili ochrypłym głosem.

- Nie chcemy, jeno musimy. Młody książ na wyprawę pociągnął i kazał nam się dołączyć, nim z Krakowa wyruszy.

W starym gniew wzbierał widocznie, lecz go hamował:

- Książ wam kazał? A ja każę ostać. Nawojowaliście się od wyrostków. Trzech synów kniaziowi już dałem, zadość będzie.

- Kiedy nie rozumiecie. Z dobrej woli my kniaziowi służymy, żywi nas i opatruje po to, by hufiec mieć, gdy potrzeba przyjdzie.

- Dłużej niż książ was żywiłem i opatrywałem. Chleba w domu nie brak, jeno go wkrótce jeść nie będzie komu. Kniaziowi hufiec potrzebny, a mnie wnuki. Moje prawo starsze i świętsze.

- Nie dla siebie przecie książ wojuje. A w drużynie być - zaszczyt i korzyść, które nie każdemu dane.

- Korzyści nam nie trza, skoro tego, co jest, nie ma komu ostawić.

A zaszczyt, prawicie?! Słyszę, że i obce wywłoki tam książ bierze, byle jeno mieczem machać umieli.

- Wszystkich przecie książ broni, dlatego mu wojów potrzeba. Za ich plecyma inni spokojnie żyć i pracować mogą.

- Żyć i pracować? Sześciu was było, a ninie jeno trzech. Włóczycie się jak łazęgi, żaden ogniska nie założył, by swoim dzieciom ziemię ostawić, co po pradziadach zasiedziana. Niewolniki tam pracują, gdzie siedzieć winni ci, co tu są od wieka. Tamci ostaną, a nasi wyginą, jak zginął Tarło, Wojsław i Degno.

- Cóż tu gadać - odparł zgnębiony Miłosza. - Nie nasz rozum i wola. Jechać musimy.

- Nie wasz rozum i wola, jeno moje. Ostaniecie i pojmiecie białki, by ród nie zaginał. A nie, to precz z moich oczu! Nie dbacie o niego, szceźnijcie jak on.

Wyczerpany, opadł na łożę i zamilkł. Stali jeszcze chwilę, zgnębieni. Miłosza rzekł cicho:

- Jechać musimy. Żegnajcie.

Gdy się nie odezwał, wyszli w milczeniu.

XXVIII

Pierwszy zgrzyt.

Italskie sprawy coraz gwałtowniej domagały się cesarskiej obecności, a cesarz nie mógł wyruszyć. Rozdrażnienie zaczynało go pozbawiać sądu. Gdyby się dało, byłby z Weletami zawarł przeciw Mieszkowi przymierze, choć wiedział, że gdyby się Mieszka z ich pomocą udało pokonać, urosną w siły tak, że uciążliwi dotychczas - staną się groźni. Margraf Bernard powstrzymał cesarza od nierozważnego kroku, doradził natomiast nie żałować pieniędzy, by północnych Słowian na wyprawę przeciw Mieszkowi podjudzić. Skoro jeno wody Odry opadły po wiosennej powodzi, liczne oddziały weleckiego związku przeprowiać się jeły w Mieszkowe ziemie. Mimo że graniczne strażę, z dawna przestrzeżone, zadały im dotkliwe straty przy przeprowie, a Stoigniew zbił większy oddział, który aż pod Pyrzyce się zapędził, wtargnęli w głąb kraju i pustoszyli go gródków unikając.

Mieszko znowu wojska na zachodnią granicę ściągnąć był zmuszony, a choć po paru tygodniach najście krwawo odparto, zatrzymał siły w pogranicznych grodach, gdyż wieści przysły, że cesarz znowu wojsko zbiera, skończyć chcąc ze „sprzymierzeńcem”. Otto sam prowadzić miał wyprawę i nie zaniedbywał niczego, by wreszcie cel osiągnąć. Pomagał mu, ile sił, Hodo, zarówno dla zapieczonej nienawiści, jaką żywił do Mieszka, jak i dlatego, że cesarz przyrzekł zdobyte ziemie jemu pod władzę oddać, co by mu potęgę dało, jaką niegdyś Gero posiadał, i między pierwszymi postawiło w kraju.

Nie zasypiał jednak sprawy i Mieszko. Przez zaufanych swych wiedział, że wyprawa ma być ostateczna i po niej cesarz nieodwołalnie do Italii ruszy, że przeto raz jeszcze siły wyteżyć należy, a być może dłuższy spokój uzyska nareszcie. Huczały lasy łowami, skrzypiały po drogach wozy, wiozące zapasy z odległych grodów, ciągnęły piesze wojska z całego kraju, a drużyna stała w całości, gotowa każdej chwili uderzyć, gdzie zajdzie potrzeba. Bolko, który na czele wiślańskich wojów spóźnił się na pomorską wyprawę, pozostał wraz ze swym wojskiem przy ojcu, obronę i rządy prawie ogołoczonego z wojsk kraju Mikłuszowi zleciwszy. Książę, syna chcąc wtajemniczyć w rządy, zabierał go wszędzie ze sobą i do wszystkiego przypuszczał i Bolko po raz pierwszy mógł zmiarkować, ile się głową napracować trzeba, nim się miecz wyciągnie. Choć rwał się do bitwy jak młody ogar do kniei, nie tylko nie nudził się przygotowaniem, lecz podniecały go łowy i przeglądy wojsk, a roznamiętniała gra, w której po raz pierwszy danym mu było brać udział. Aż schudł od trudów, gdyż często ni na sen, ni na jadło nie miał czasu, lecz czuł się jak ryba w wodzie. Lekkomysłny, lecz wojak już wytrawny, Jaskotel towarzyszył mu niemal stale i w jego towarzystwie, wśród ruchu i gwaru, Bolko odzyskał młodzieńczą wesołość, choć w zetknięciu się ze sprawami najwyższej wagi dojrzewał szybko umysłem.

Szczególną troskę i staranie poświęcał swoim wojom, którymi w boju miał dowodzić, i mir też zyskiwał wśród nich niemały. Nie bez tego, że wielu przyszłego pana łaski już teraz zaskarbić się starało. Niemniej nie pochlebstwem, lecz męstwem jeno, posłuszeństwem i gorliwością do serca

młodego księcia trafić było można i przez to Wiślanie za wzór innym mogli być stawiani. Lato już jednak było w pełni, a nic się nie działo. Dokuczliwe upały uciążliwymi czyniły ćwiczenia i objazdy. Noce stały się duszne, czasami jeno przelotne a gwałtowne burze gasiły spiekły żar.

Mieszko uznał, że trzymanie tak znacznych wojsk na jednym miejscu beczynnienie rozprzęga jeno karność. Rozdzielił je przeto po grodach, jeno drużyna pozostała w Poznaniu, i to w uszczuplonej liczbie. Wyjechał Krzesz z braćmi, a niekarny jak zwykle Jaskotel, jeno Bolkowi się opowiedziawszy, zniknął. Bolko, pozbawiony towarzyszy, do których nawykł, nudził się i ciskał z niecierpliwości, że wyprawa się odwleka. A gdy pozostała młodzież, korzystając, że ksiązę, zajęty innymi sprawami, nie ma czasu mieć ich na oku, mimo upomnień i kar ze strony starszych, bawić się jęła po swojemu, Bolko stowarzyszył się z co większymi zabijakami i raz zasmakowawszy miarę stracił. Towarzysze zaś, czując w nim oparcie, gdyż młodego księcia nikt ze starszizny skarcić nie śmiał, podpuszczali go jeszcze, tak że jeno wrodzonej krzepkości zawdzięczał, że zdrowia na rozpuście nie strwonił. W komnacie zaś Mieszka nieraz do świtu światło płonęło, przemykały się ciemne postacie. Coś się znowu knuło widocznie tajemniczego, tak że nawet Bolka do siebie ojciec nie wzywał i nie wiedział, co szeptął cały Poznań, że rozpustnicy wciągnęli młodego dziedzica i do zguby ciała i duszy go wiodą.

Gdy jednak szepty za głośnie się stały, dotarły do niezbyt już bystrych uszu biskupa Jordana. Słabował ostatnio i nieraz wyrzuty sobie czynił, że o zbawieniu własnej jeno duszy coraz częściej myśli, miast o powierzonych sobie owieczkach. Gdy jednak usłyszał o złej drodze, na jaką wciągnięto niedoświadczonego dziedzica, zbudził się w nim dawny apostoł i gdy nikt Mieszkowi donieść nie śmiał prawdy, nie chcąc narazić się ani staremu, ani młodemu księciu i jego towarzyszom, a przyszłym wielmożom, zebrał się bez zwłoki i Mieszka o wysłuchanie prosić kazał.

Ksiązę przyjął go zaraz, na wstępie jednak oznajmił:

- Myślę, że ważna sprawa was sprowadza, tedy mówcie pilnie, bo nie pora mi teraz myśleć o tym, co Kościoła dotyczy. Noc już, a jeszcze nieprędko czeka mnie spoczynek.

Przykrość odbiła się na poważnym obliczu Jordana, lecz odparł z godnością:

- Sami uznacie, czy sprawa dla was ważna. Od szesnastu lat mego tu pobytu nigdy u was w swojej sprawie nie byłem. Mieszkowi żal się uczyniło, że dotknął starca, który żywot pracy dla dobra jego kraju poświęcił, rzekł więc żywo:

- Wybaczcie! Znużony często bywam i cierpliwości nieraz brakuje.

Siadajcie, słucham was, jak długo uznacie za potrzebne.

- Krótko powiem. Syn wasz złą sobie znalazł družbę, duszę i ciało gubi na rozpuście. Nie będzie rządził drugimi, kto sobą rządzić nie umie.

Mieszko patrzył przez chwilę ze zdziwieniem. Przywykł syna za dziecko uważać. Wzbierał w nim gniew, lecz się pohamował i zapytał:

- Pewni jesteście? Prawda, że dojrzały już, ale może jeno o grzech wam chodzi, którego uniknąć trudno. Nie chcę nakazywać, czego dopilnować nie potrafię. I stary koń, co stępa idzie, potknie się czasem, cóż dopiero łoszak, co cwałem leci. - Uśmiechnął się z przymusem.

- Gdyby jeno o tajną przewinę chodziło, którą Kościół swoją mocą ukarać potrafi, nie trudziłbym was, panie. Ale jawną rozpustę, która zgorszenie jednym, a zachętę do grzechu drugim daje, waszą rzeczą jest poskromić, skoro o syna waszego i to nieletniego młodzieniaszka chodzi. Co innego potknąć się, a co innego lec, aby nie wstać.

Ksiązę patrzył na Jordana pytająco, lecz gdy biskup milczał, klasnął w dłonie.

- Kniazia Bolka sprowadzić zaraz! - rozkazał komornikowi, który zjawił się na zawołanie.

Zaległo milczenie, które, przedłużając się, kłopotliwym się stawało. Wreszcie książę ozwał się do biskupa:

- Jeśli życzyście sobie być przy rozmowie mojej z synem, poślę po was, gdy nadejdzie. Widno nie ma go na dworcu.

- Ja obowiązek swój, choć przykry, spełniłem. Czy obecność moja przy waszej rozmowie z synem potrzebna, od waszego zależy uznania.

- Tedy dziękuję wam. Jeśli zajdzie potrzeba, poślę po was.

Jordan pokłonił się i wyszedł w milczeniu. Książę zaś niecierpliwie chodzić zaczął po izbie. Sam przed sobą przyznać nie chciał, że siebie winić wypada, iż nie zatroszczył się o niedoświadczonego chłopca, w sprawie, którą winien był przewidzieć. Powstający w nim gniew szukał ofiary zwracając się przeciw Bolkowi, a bardziej przeciw tym, którzy go do rozpusty wciągnęli. Między nimi przede wszystkim domyślał się Jaskotela. Hamował gniew, lecz niecierpliwość ogarniała go tym większa, im dłużej czekał. Noc już zapadła głęboka, znużony był, lecz postanowił czekać, by sprawę skończyć z miejsca. Wreszcie rozległy się kroki w sieni i zatrzymały przed drzwiami.

Nim zapukano, Mieszko krzyknął:

- Wejść!

Drzwi otwarły się i Bolko stanął przed ojcem. Książę komornika skinieniem ręki odprawił, usiadł i przez chwilę patrzył na syna. Twarz Bolka zdradzała, iż Jordan prawdę doniósł. Schudł, oczy błyszczały mu, widno od nadmiaru napitku, gorący rumieniec okrywał twarz, na której malowało się gniewne zawstydzenie. Gdy Mieszko wpatrywał się w niego milcząco, Bolko poczerwieniał jeszcze, tak iż zdawało się, że krew tryśnie mu z policzków. Nadrabiając zuchwalstwem, zaczął:

- Wołaliście mnie. Jestem!

Zmarszczka gniewu przeorała czoło księcia, lecz odparł spokojnie:

- Jesteś, ale pijany. Spać teraz pójdziesz i nie ruszysz nogą z izby, póki nie zawołam. Gdybyś się ważył nie posłuchać, do lochu pójdziesz. Myślę, że tyle jeszcze rozumiesz, iż to by nie podniosło twej powagi, nawet przed tymi, co cię na rozpustę wyciągają. Z nimi rozmówię się później. - Głos księcia zabrzmiał zimną groźbą.

Bolko pobladł, lecz odparł namiętnie:

- Nikt mnie nie wyciągał. Kto tak mówi, łże.

Skrzyżowały się oczy ojca i syna, Mieszka zimne jak żelazo, Bolkowe płonące jak żagiew. Po chwili książę rzekł spokojnie:

- Nie zasłonisz sobą nikogo. Jaskotel pewnie między pierwszymi, ale się przeliczył na mojej do niego słabości. Com powiedział, będzie, a teraz precz!

- Kłamstwo! - krzyknął Bolko. - Łeb rozbiję potwarcy!

Zdało się, że się rzuci na ojca; oczy miał zaćmione wściekłością. W piersiach księcia też wzbierał gniew. Jeszcze się hamując powtórzył:

- Precz, mówię, lub strażę zawołam i wraz do lochu pójdziesz, by cię co gorszego nie pościgo!

Na twarzy Bolka malowała się widoczna walka gwałtownej i samowolnej natury, podnieczonej jeszcze napitkiem, wstydu i trwogi przed zimnymi oczyma ojca, który zdawał się wzrokiem swym trzymać syna na uwięzi. Skurczył się jakby, pobladł i cofając się, tyłem wyszedł.

Gdy zamknęły się za nim drzwi, książę wstał i chodzić począł po komnacie. Zmarszczka

gniewnego strapienia przecinała jego czoło. Nie brał zbyt poważnie przewinień Bolka, jeśli chodziło o pijaństwo i niewiasty, potrafi je z miejsca ukrócić, skoro są mu znane. Natomiast sposób, w jaki Bolko, choć niewątpliwie pod wpływem miodu, ważył się ojcu przeciwstawić, wzbudził gniew, niepokój i zmieszanie Mieszka. Każdego innego zmiażdżyłby na zimno, jednego syna nie mógł. A nie mógł pozwolić, by woli jego przeciwstawiała się czyjkolwiek inna, choćby synowska. Dziś jeszcze Bolko półdziekiem i sprawa błaha. Co będzie, gdy stanie się mężem i ważniejsze sprawy wywołają rozdzwięk między nimi? Czy miast pomocy i wyręki nie czekają go nowe troski? Jednocześnie zaś rozumiał, że trudne dziedzictwo nie może być pozostawione słabemu, bezwolnemu człowiekowi. Mieszko usiadł i zadumał się głęboko. Z zadumy zbudziło go dopiero pianie kurów. Westchnął i zawołał szatnego, by pomógł mu się rozdziewać. Położył się znużony i zasnął kamiennym snem. Zbudził go dopiero promień słońca, który, przedarłszy się przez serce okiennicy, legł mu na twarzy. Chwilę walczył jeszcze ze snem, potem zawołał na służbę i polecivszy komornikowi przyzwać Bolka, ubierał się. Tym razem nie czekał długo. Bolko widocznie noc spędził bezsennie, oczy bowiem miał zaczerwienione. Pobladła natomiast twarz miała wyraz zacięty, jakby gotował się do walki z ojcem. Mieszko spojrzał jeno przelotnie na syna i siadać mu kazał, a pacholce polewkę przynieść. Gdy ten nadszedł, księżę wziął się do jedzenia wskazując milcząco Bolkowi, by się posilił. Chłopak skinieniem głowy odmówił i siedział zasepiony rzucając nieufne spojrzenie na ojca, który jadł spokojnie. Bolka, który spodziewał się dalszego wypytywania i gniewu, mieszał ten spokój. Niecierpliwił się widocznie i kilkakrotnie już usta otwierał, by przerwać niepewność, lecz coś go wstrzymywało. Księżę skończył wreszcie jeść i skinąwszy na pacholka, by wyniósł naczynie, do Bolka się zwrócił:

- Przędzi, nim jaka niewiasta legła pode mną, niejednego wroga pod stopami widział.

Twarz Bolka okryła się rumieńcem wstydu. Z wyrzutem zakrzyknął:

- Pozwoliliście mi to iść na wyprawę?

- Pozwoliłem - odparł księżę - ale wyprawa - nie łowy, by jechać, kiedy się zechce. Nie dla dogodzenia chęci bić się należy, a cierpliwość nie mniej niż męstwo potrzebna. Sił za dużo nie ma nigdy, więc też ich marnować nie wolno. A najmniej na pijaństwo i dziewczki! - dorzucił pogardliwie.

Bolko milczał. Oczy opuścił, by pohamować łzy, które cisnęły mu się pod powieki. Księżę udawał, że nie patrzy na niego, i ciągnął dalej:

- Łatwąś sobie znalazł zabawę. Wiedz, że kniaziowi skinąć wystarczy, by mieć niewiastę, jaką zechce. Na kura za dużo by było. Ale nie będzie rządził mężami, kim baby owładną. Młodyś, przetoś głupi. Przyjdzie twój czas niedługo, żonę dostaniesz, jak kniaziowi przystało, co by ci wiano i poważanie sąsiadów wniosła. A teraz do Stoigniewa pojedziesz na Pomorze. Jego się dziewczki nie trzymają, a robotę, jakiej chciałbyś, znajdziesz. Bolko, który z widoczną przykrością słuchał ojcowskich upomnień, na ostatnie słowa rozpogodził się. Miłował Stoigniewa, a palił się do czynu. Z wahaniem jednak ozwał się nieśmiało:

- Pozwolicie wziąć Jaskotela? On nic niewinowaty, nie ma go nawet w Poznaniu.

Mieszko spojrzał na syna:

- Wierzę ci! Weź go i jedź zaraz.

Bolko skoczył, uściskał ojca, który wstrzymał go surowymi słowami:

- Żeś z głupoty przewinił, daruję ci i dufam, że się poprawisz.

Ale byś pamiętał, że woli mojej się przeciwic i głos podnosić wobec mnie wara każdemu, do łaźni ze mną pójdziesz.

Bolko poczerwieniał i westchnąwszy szepnął:

- Mamy iść, to chodźmy.

XXIX

Wróżebny miecz.

Młody książę szerzej odetchnął, gdy konia poczuł pod sobą i wciągnął w piersi powiew, idący od borów, przez które kierował się ku bagnetom sempińskim, gdzie u pustelnika siedział Jaskotel. Upały się przełamały, lecz susza trwała. Ziemia na odkrytych miejscach spieczona była, bagna znacznie powysychały, a Warta zmieniła się w strumień nieznaczny, który niemal wszędzie przejść było można kolan nie zmoczywszy. Nawet nieprzebyte zazwyczaj bagna nad Mosiną podeschły, tak że Bolko z orszakiem szparko się posuwał i do osady tejże nazwy dotarł wieczorem tegoż dnia, w którym wyjechał z Poznania. Tutaj przenocowali i orszak czekać miał na młodego księcia, który sam po druha wyruszyć chciał rankiem, wiedział bowiem, że pustelnik gromady do siebie nie puści. Bolko rad był zabawić u niego, zaciekawiony, co tak ciągnęło Jaskotela, że przesiadywał tam tygodniami, mimo iż zazwyczaj do zabaw, zwłaszcza z niewiastami, aż nadto był skory. Bolko chętnie wyruszył w podróż. Ostatnie przeżycia w Poznaniu pozostawiły mu niesmak, przejścia z ojcem i gromy spowiednika - upokorzenie. Uciekał sam przed sobą, szczerze postanawiając nie pozwolić sobie więcej na hulaszczę igraszki. W miarę jednak jak oddalał się od Poznania, ruch oraz świeży podmuch lasów przywracały mu dobre poczucie zacierając niemiłe wspomnienia. Mimo woli myślą wracał do ostatnich, tak nowych dla siebie przeżyć i czuł ze wstydem, że powzięte w zniechęceniu postanowienia na wodzie są pisane. Bujna i namiętna natura, raz obudzona, nie pozwoliła się przytłumić chwilowym przygnębieniem. Czuł, że musi czynić coś, co wciągnie w grę wszystkie jego siły, inaczej nie opędzi się pokusom. Sam ojciec mówił, że księciu wystarczy skinąć na kobietę. Czuł, że wiele trudu kosztować go będzie, aby nie korzystać z tego stanowiska, choć spowiednik Aegidius barwnie i przekonująco straszne skutki rozpusty w tym i w przyszłym życiu przedstawiał. Uciekając przed myślami Bolko popędzał konia i rzeczywiście szybki ruch ulgę mu przynosił. Na nocleg legł zmęczony całkiem nie przespaną nocą poprzednią, a byle jak kilku wcześniejszymi, i zasnąwszy zaraz bez marzeń, spał niemal do świtu.

Szaro było jeszcze na dworze, gdy zerwał się z pośłania. Pogoda była jak kryształ, niebo na wschodzie dopiero prześwietlać się zaczynało zielenią. Zaspany parobek konia mu podał, ulubionego czarnego ogiera ze strzałką, którego swego czasu podarował mu Stoigniew. Bolko raźnie doskoczył rumaka i popędził w las mroczny jeszcze. Cisza tam panowała jak w świątyni, jeno głuchy odgłos kopyt dudnił po miękkim podłożu.

Niedługo było pędu, gdyż grunt zaczynał być podmokły, drzewa rzedyły i potężny bór przechodził w zagajniki, przedzielane łąkami i polankami, którymi wiła się, rzadko widać uczęszczana ścieżka. Choć Jaskotel drogę dokładnie opisał, uważać trzeba było, by nie pobłądzić i nie ulgnąć gdzie w zdradliwym bagnie. Jasno już było zupełnie i wkrótce słońce wzbilo się nad bory. Cienie stały się ostre, a barwy jaskrawe. Spokój panował dookoła, rzadko jeno przerywany odgłosami leśnego ptactwa, błotne bowiem i wodne, zazwyczaj zgiełk największy czyniące, wyniosło się z podeschniętej części bagien bliżej ku Warcie i Obrze, gdzie wody jeszcze większa była obfitość.

Miarowy chód konia mile kołysał Bolka, a spokój panujący dookoła udzielał się wrażliwemu chłopcu. Ochłonał już całkiem z niemiłych przeżyć ostatnich dni, świeży się czuł i silny, a samotność,

której dawno nie zaznał, pobudzała jego myśli i wyobraźnię. Tak mu w niej było dobrze, że chociaż tęsknił za Jaskotelem, - a do południa jeszcze było daleko, konia wstrzymał i puścił go na paszę, sam zaś legł na małej wyniosłości, porosłej trawą i mchami. Stał na niej dąb odwieczny, przysadzisty, z potężną dziuplą, czerniejącą pośrodku pnia; dziesiątkami potężnych konarów obejmujący jak ramionami niemal cały obły pagórek, jakby chronić go chciał przed promieniami coraz silniej dogrzewającego słońca. Dąb musiał być prastary. Pewnie świętym był za pogańskich czasów. Kamień, widno skądś przyniesiony, co leżał u jego stóp, ofiarny był może i krwią kiedyś spływał czerwoną. Teraz porosły go mchy, wśród których ledwo już był widoczny.

Bolko leżał na wznak, przez listowie patrząc na błękitniejące nad nim niebo, po którym z rzadka, ruchem niemal niedostrzegalnym sunęły małe, białe obłoczki. Myśl Bolka biegła, jak one, leniwie i bez celu. Mieszać się zaczęła z marzeniami i nie wiedząc kiedy Bolko usnął. Nie zbudził go głuchy tętent kopyt ni szelest cichych kroków. Jakaś postać z mieczem w ręku pochyliła się nad nim. Przybyły oddalił się po chwili cicho, jak przyszedł. Sen Bolka, zrazu spokojny i ożywczy jak woda w upalny dzień, mieszać się zaczął z jakimś niepokojem i wreszcie zmorą mu ciążyć. Chciał się zbudzić, lecz nie mógł i z przerażeniem spostrzegł jakieś postacie, które płynęły nad nim jak te obłoki i jak one zmieniały kształty. Płynęły coraz niżej świecąc ponurymi barwami na tle czarnej, przepastnej pustki, w jaką zmieniło się błękitne niebo. Potem okrażały go coraz niżej, jak kruki żer, wreszcie obsiadły go wkoło, patrząc płonącymi jamami oczu. Wiedział, że leży pod dębem koło kamienia, chciał się zerwać, krzyknąć, lecz niemoc jakaś i przerażenie wypełniły mu członki ołowiem. Zmory coś szeptały między sobą, w nie znanym mu języku, lecz czuł groźbę w tych głosach, tym straszniejszą, że niezrozumiałą. Chciał się modlić, lecz słowa modlitwy wypadły mu z pamięci, więdźmy zaś widocznie powzięły już postanowienie, gdyż wstały i niewidocznym ruchem zbliżać się jęły ku niemu, coraz ciaśniejszym kręgiem otaczając leżącego.

Pot oblał chłopca i czuł, jak włos zjeżył mu się z przerażenia, a wieniec zjaw był już tak blisko, że niemal ręką mógłby go dosięgnąć. Wysiłkiem rozpaczy obrócił się na bok, gdy nagle jasność osłepiła jego oczy i w ręku poczuł rękojeść miecza. Prysła zła niemoc, zerwał się i olbrzymim zamachem krąg nim zatoczył. Wtem otworzył oczy i odetchnął głęboko.

Wkoło spokój panował, jeno słońce pochyliło się już na zachodnią stronę i promień przepuszczony przez listowie igrał u jego stóp. On to widocznie zbudził Bolka. Niezmierna ulga opanowała całą jego istotę. Półprzytomny jeszcze, sięgnął do czoła, by obetrzeć je z zimnego potu przerażenia, gdy uświadomił sobie, że coś trzyma w ręku. Otworzył szeroko oczy i osłupiał. Istotnie dzierżył miecz, przed którym pierzchnęły zmory senne. Wrażenie było tak silne, że nogi zatrzęsły się pod nim i usiadł. Po chwili, ochłonawszy, jeszcze oczom nie wierząc, począł miecz oglądać. Nie śnił już na pewno, a miecz dzierżył w ręku, miecz piękny, jakiego nie widział jeszcze nigdy. Na rękojeści, głowicy i jelcach widne były bogate ozdoby i napisy, których jednak Bolko odczytać nie umiał. Pozłocisty brzeszczot, z lekka jeno rdzą przyćmiony, strudzinę miał na całej niemal długości.

Chłopak patrzył jak urzeczony nie mogąc myśli pozbierać. Chwycił wreszcie miecz i tuląc go do piersi jak skarb najdroższy, pobiegł przed siebie, nie wiedząc dokąd, jakby się bał, że pryśnie czar tego zaklętego miejsca i miecz zniknie, jak ów zły sen. Dopiero widok spokojnie pasącego się konia oprzytomnił go całkowicie. Doskoczył rumaka i pognał, jakby uciekając w obawie, by mu miecza nie odebrała jakaś siła, która mieszka na tym uroczysku. Dopiero gdy bagno znów zachlupotało pod kopytami i koń sam zwolnił biegu, Bolko uspokoił się. Teraz już miecza nie da sobie wydrzeć nikomu. Poczul taką siłę, że walczyłby bez trwogi przeciw wszystkim zjawom, jakie by mu na drodze

stanać mogły. Pierzchnęły wszelkie inne myśli, prócz myśli o mieczu. Nie każdy nawet król taki posiada. Nie myślał już nawet o tym, przez jaki cud znalazł się w jego rękę. Zdało mu się, że posiada go już od niepamiętnych czasów, jakby częścią był jego samego, i czuł, że związany z nim jest na wieki.

Pewność ta uspokoiła go i myśli popłynęły równiejszym korytem. Miecz, choćby zaczarowany, sam walczyć nie będzie. Bolko stać się winien godny takiego oręża. Od dziecka ciało i duszę sposobił do walki. Serce czuł w piersiach bez trwogi i ramię już silne, jeno na ojca patrząc wiedział, że czegoś jeszcze potrzeba księciu, by nie szły wysiłki jego na marne. Już zaczynał spostrzegać, w czym leży ojcowa siła: jak ryś leżący na gałęzi, przyczajony, w bezruchu, umie wyczekać chwili dogodnej do skoku. Było coś jeszcze, czego nie mógł pojąć młodym, niecierpliwym i gwałtownym umysłem. Ale nauczył się, nauczył wszystkiego, by wielkim być władcą. Pierś rozpierała mu duma, lecz wspominał nauki piastuna, że duma może opierać się jeno na tym, czym się już jest i czego się dokonało, a nie na próżnych zamiarach, gdyż wówczas pychą jeno jest, głupcom właściwą. Z westchnieniem poskromił w sobie tak miłe uczucie, lecz tym bardziej zapragnął, by słusznie mógł je w piersiach nosić. Nie odwróci go od tego próżne zabawy, nie zmarnuje sił, które posiada.

Mimo zamyślenia, nieświadomie kierował uwagę na drogę. Słońce chylić się już zaczynało ku zachodowi, gdy wjechał znowu w gęsto podszyty bór. Tu już skupić się było potrzeba, by nie zbłądzić, i myśli jego oderwały się od przyszłości. Jeśli dobrze jedzie, za borem powinno być otwarte bagienko, potem pas łożyny, a za nim wzgórek pod lasem, na którym leżała pustelnia. Popędził rumaka, gdyż słońce poczerwieniało i pogodny zachód barwił niebo. Wełniste chmurki, rozsypane pasmami po błękicie, jarzyć się zaczynały czerwienią i uroczone, różowe światło nappełniło głębię lasu.

Las skończył się, jak uciał, i przed Bolkiem otwarło się bagienko. Blask leżał na wodnej płaszczyźnie, na której środku pławiło się stado kaczek, pewne siebie i beztroskie w tym ustroniu. Z nagła ujrzawszy jeźdźca poderwały się z wielkim kwakaniem i poszybowały ze świstem lotek ku zorzy, świecąc same w blaskach pożyczonymi od słońca barwami.

Bolko patrzył za nimi, póki nie zniknęły mu z oczu, po czym wparł konia w wodę. Rumak zrazu stapał ostrożnie, lecz grunt widocznie poczuł twardy pod kopytami, gdyż ruszył śmieiej, rozbijając płytkie zwierciadło wody, tak że tysiące kropel jak deszcz roztopionego złota zaświeciło w powietrzu, a sfalowana powierzchnia wody grać zaczęła blaskami, iż Bolko oczy musiał przymrużyć. Po chwili koń wstąpił na suchy grunt i sam kłusem ruszył wietrząc widocznie kres podróży. Mijali chaszczę, które zasłaniały widok. Zaczerniał pas łożyny. Przedarli się ledwo widoczną ścieżką i nagle szeroka, naturalna fosa, wypełniona czarną, tajemniczą wodą, stanęła w poprzek. Bolko wstrzymał konia, lecz nie z powodu przeszkody. Przed nim, jak kawałek raję, umieszczonego w głębi puszczy, zaświeciło w ostatnich promieniach pogodnego zachodu osiedle pustelnika. Poznał je od razu z opisu Jaskotela, choć chatka ledwo była widoczna wśród krzów i pnączy, które ją po komin oplatały. Kwiecie różnych barw grało tęczę w blaskach zachodzącego słońca. Na małym trawniku przed wejściem stała sarna z łaciatym jeszcze koźlęciem. Zwróciła zgrabną główkę ku przybyłemu i bez trwogi patrzyła na niego ciemnymi, łagodnymi oczyma. Mały koziołek skoczył w pierwszej chwili ku domowi, lecz widząc, że matka stoi spokojnie, zawrócił i z wrodzoną swemu wiekowi, ciekawością przycwałował aż do fosy, patrząc na przybysza. Po chwili odwrócił się i podszedł spokojnie do matki, która tymczasem paść się znowu zaczęła, i również trawę jął skubać.

Bolko stał jak urzeczony spokojem i ciszą tego zagubionego w świecie zakątka, gdy z kępy krzów

wysunęła się jakaś postać, w której poznał Jaskotela. Nie powitali się głosem, jakby się bali spłoszyć urok, jeno Bolko ręką Jaskotelowi skinął, a ów wskazał na miejsce, w którym wodę przebyć było można, i sam ku brodowi ruszył.

Bolko skierował się w lewo, w krze i po kilkunastu krokach, przedzierając się przez gąszcz, natknął się na rozlewisko. Wparł konia w wodę i Ignąc cokolwiek w mule, po chwili znalazł się na kępie, a już Jaskotel konia za uzdę ujął. Bolko za dłoń go uchwycił witając i stali naprzeciw siebie bez słowa. Przerwał milczenie Jaskotel mówiąc:

- Pustelnik w las poszedł, grzybów i miodu przynieść, tymczasem ja tu gospodarzem. Pozwólcie się powitać i ugościć. Ruszyli ku domowi, za którym znajdowała się szopa, gdzie konia tymczasem umieszczono, i skierowali się do wejścia.

- Wybaczcie, że wejdem pierwszy - rzekł Jaskotel. - Ciemno w izbie jak w lisiej norze, okienka małe i to jeszcze krzami i pnączem zarosły, a mrok już zapada. Ognia muszę naniecić, bo i wam z podróży ciepłej strawy uwarzyć trzeba.

Weszli pochylając głowy w niskich odrzwiach. W mroku zabłyśły iskierki krzesanego ognia, po czym wyskoczył płomyczek i rozświetlił wnętrze.

Izdebka była maleńka, a w kącie mały piec z gliny, z okapem, na drewnianych, okopconych słupkach. Dwa posłania z mchu pod ścianą i stół z ławą pośrodku całą niewielką przestrzeń wypełniały. Izdebkę od położonej naprzeciw komórki dzieliła mała sionka, z drabiną na poddasze, z którego pachniało sianem.

Bolko usiadł na ławie i miecz swój położywszy na kolanach, czekał, aż Jaskotel, który krzątał się po izdebce, zwróci nań uwagę. Paliła go niecierpliwość, by opowiedzieć o swej przygodzie, lecz głód odczuwał po całodziennym jeździe, więc nie przeszkadzał Jaskotelowi w przygotowaniach. Nie zdzierzył wreszcie i zawołał:

- Popatrz, com dostał w puszczy!

Jaskotel postawił na stole niesione naczynia i wziął z ręki Bolka miecz. Obydwaj podeszli do ognia, który zagrał blaskami na pozłocistej rękojeści.

- Miecz, jakiegom jeszcze w życiu nie widział, choć u ojca mego nie brak broni wszelakiej. Dostaliście, mówicie? Od króla jakowego chyba? Gród znaczny dać by trzeba za takowy lub złota, ile dźwignie!

- Żebym to wiedział, od kogo. We śnie mi go ktoś w dłoń wraził - odparł Bolko i opowiedział, jak było.

Stali obaj zadumani, przejęci niezwykłym zdarzeniem. Milczenie przerwał Jaskotel:

- Wizerunki jakoby świętych na jelcach rękojeści, jakie i po kościołach ujrzy. A napisy także do kościelnych podobne, ciekawość, co oznaczają.

- Łacińskie są - przyświadczył Bolko, który coś z ksiąg pamiętał.

- To nam je pustelnik objaśni, tylko co go nie widać. Ale jedzcie, już musi polewka i mięso wystygło, takeśmy się zagadali.

Wzięli się do jedzenia, a Bolko, podjadłszy, zapytał:

- Długo tu myślisz siedzieć? - i nie czekając na odpowiedź dodał:

- Z rodzicielami się widziałeś?

Zanim Jaskotel z odpowiedzią się pokwapił, Bolko zagadnął:

- Nie brak ci tutaj ludzi, a zwłaszcza dziewczek?

Jaskotel uśmiechnął się:

- O wszystko na raz pytacie, pozwólcie, że składnie odpowiem.

Dobrze mi, to i czasu nie liczę. Jak w raju tu jest, gdzie spojrzycie, pięknie. Prawda, że to samo w świecie nieraz widać, ale człek wiecznie niespokojny, a za czymś goniący, ani wie, że koło pięknego przeszedł nie spojrzawszy. Na niebo patrzysz, na las czy na wodę, czy na te zwierzaki, co się tu płaczą bez trwogi, wszystko i inne, i piękniejsze wydaje się niż między ludźmi. Jakbym się po skwarnym dniu w chłodnej czystej wodzie pławił.

Zamilkł Jaskotel i zadumany zapatrzył się w ogień.

Gdy Bolko nie przerywał, znowu zaczął:

- Usiedzieć bym tu całe życie nie usiedział, czasem mnie poderwie, ale za dziewczkami mi nietęskno. Tak myślę, że to chyba one za mną, nie ja za nimi gonię. Zabawię się, zapomnę, a wspomni mi się która, to jeno obrzydliwość. Dziwne, że we wspomnieniu jeno te najmiłsze, których nie miałem, jak ona katowa córka z Kwedlinburga.

Zamilkł znowu, a Bolko w milczeniu porównywał własne przeżycia i dziwił się, że czuje to samo. Po chwili zapytał:

- A Geilana?

- Z nią całkiem inaczej. Ale nie jest ona samowita. Myślę, że prawi byli za czary ją sądząc. Woli swej przy niej nie czuję ani spokoju, a zapomnieć nie mogę. Ale zła mi nie życzyła, wiedziała widno, co robi, kiedy uciekła. Ma ona swoją drogę, niech jej się na tej drodze wiedzie.

- To jakoż myślisz, w bezżeństwie żyć? Może mnichem ostaniesz?

- Nie ostanę. Jeno to już wiem, że niewiastę człek musi mieć, jak ta ręka własna. Nie czujesz, że jest, a zawsze gotowa i wierna. Najdę taką, to się ożenię. Ale lubię wojaczkę i łowy i ciekawi mnie świat.

Żeby taką naleźć, toby człeka inne nie ciągnęły - rzekł Bolko z westchnieniem. - Ale mnie już ojciec mówili, że wyszukają żonę niedługo. Tyś miał dziewczek, ile wstrzyma, i jeszcze na swoją nie trafił, a mnie dadzą pierwszą z brzegą, byle jeno ze znacznego rodu, i żyć trzeba będzie z obcą i nie lubianą.

Jaskotel zadumał się:

- Juści prawda. Wolę, żem nie kniazem się urodził, chociaż i każdego z większych rodów przymuszają, by brał taką, co wiano i ród ma za sobą. Alem ja się oparł, bo co mi rodzic zrobią? Wygnał, to poszedłem, co mi ta!

Tu przypomniał sobie Bolkowe pytanie i dorzucił:

- Byłem w domu, ale chyłkiem, jeno z macierzą się widziałem. I teżem się ożlił, choć pono niesłusznie, a matka takoz sprąła mnie, więcem uciekł.

- O cóż znowu poszło? - spytał Bolko.

- O Gołucha! Matka nim się zwiedziała, żeśmy z niewoli zbiegli, namówiła głupiego Gołucha, by nas uwolnić poszedł. Wiecie, że chłop mocny, jeno mury nim walić, ale tępy i niedowidzi. Widno głową miał zamki rozbijać.

Nawinał się jakiś powsinoga niemiecki, co się prowadzić podjął, i poszli. Tyle ich widać! Pewnie zdrajca niezdarę przedał gdzie, bo Gołuch po niemiecku ani w ząb. I przepadł chłop, a lubiłem go i żał mi. Tedym matce wyrzuty robić zaczął, a że sama widać zmiarkowała, że wydała na niepotrzebną zgubę bratanka i zła była na siebie, po łbie dostałem i tu jestem.

- Może się Gołuch jeszcze najdzie - zauważył Bolko.

- Juści, do szpilki niepodobny, chyba do pnia. Ale chłop języka nie zna. Jak go przedali gdzie w

niewolę, nie wydrze się. Prosiłem kupców, by o niego przepytawali, ale ujrzyć się go nie spodziewam. Dla mnie na przypadłe poszedł! - Głos Jaskotela zadrgał żalem. Siedzieli, w milczeniu, jeno ogień pryskał na kominie.

Jakieś stapania i pomruki rozległy się na dworze. Jaskotel zerwał się i zakrzyknął:

- Pustelnik idzie! Niedźwiedź się widno do miodu przypytał, skoczę powiedzieć, by go odegnał, bo obcych nie lubi. I nie czekając na odpowiedź wypadł na pole. Po chwili zabrzmiały głosy w sionce i w progu stanął pustelnik. Bolko mimo woli powstał na powitanie, tyle jakiejś niespotykanej godności i powagi było w młodym jeszcze człowieku.

Powitał Bolka słowami:

- Spocznijcie, panie. Zaraz wam posłanie narządzę, a sam na górkę spać pójdę. Znużeni z drogi być musicie.

- Dziękuję wam! - odparł Bolko - ale nie czuję znużenia, bo spałem we dnie. Spocznijcie, to wam opowiem, co mi się we śnie wydarzyło i prośbę będę miał do was.

- Słucham was, panie!

Bolko w krótkości opowiedział sen swój, po czym, okazując miecz, zapytał:

- Pono znacie łacińskie pismo i mowę. Powiedzcie, co znaczą te napisy?

Pustelnik wziął w ręce miecz i podchodząc do ognia oglądał go uważnie ze wszystkich stron.

Patrząc na jelce przeczytał pógłosem:

Quicumque haec nomina Dei... secum tulerit, nullum periculum ei omnino nocebit. - Zastanowił się i przełożył: -,Ktokolwiek te imiona Boga nosił będzie ze sobą, żadne niebezpieczeństwo zaszkodzić mu nie zdoła”.

Bolko słuchał słów jak wróżby z zaświata. Zapytał drżącym, przejętym głosem:

- A jakież są te imiona?

- Jakoweś tu są napisy po drugiej stronie, ale ich nie rozumiem.

Widno to mają być Boże imiona. Ale imię czcze słowo, a Bóg w istocie swej jeden jest, czy mieszka w murowanej świątyni, czy w leśnym kamieniu lub źródle.

Bolko słuchał słów pustelnika patrząc w jego głębokie, natchnione oczy. Uchwycił miecz i trzymał go silnie, jakby bojąc się, by mu nie zniknął. Wszystko, co mu się w tym dniu wydarzyło, było zbyt niezwykle. Bał się, że się obudzi ze snu jakowegoś i zniknie miecz, bez którego żyć już by nie chciał. Pomału opanował wzruszenie i zwrócił się do Jaskotela, pytając ponownie, czy długo tu zostać zamierza i czyby nie pojechał z nim do Stoigniewa.

- Prawda, żeście o to pytali, jeno odpowiedzieć nie miałem kiedy.

Zbrozło tu był dzisiaj przejazdem do Poznania. Mówił, że cesarz zbrojenia pokończył, buntowników potłumił i jeno patrzeć, ruszy. Serce podniosło się w Bolku i załomotało. Już niedługo spróbuję siły swego miecza. Zerwał się i zakrzyknął:

- Tedy i nam trzeba do Poznania!

- Prześpijcie się, rankiem pojedziem.

Układli się na posłaniach. Ogień przygasał i zaległa cisza i ciemność. Bolko leżał z otwartymi oczyma i ręką obejmował miecz w obawie, by nie zniknął. Niedawne wzruszenia rozpusty marne mu się wydały wobec tego, które szło od zimnej główki miecza. Widział się wybranym do wielkich czynów i czuł w sobie siły po temu. Do miecza królewskiego królewskiej trzeba korony. Będzie ją miał.

Nad starym gródkiem gnieźnieńskim rozpostarła się ciemna noc. Zanosiło się na dawno niewidziany deszcz. Na tle ciemnego nieba, ledwo widoczne, rysowały się cienie budynków i kępy drzew, czarniejsze od nocy. Spało, widać, wszystko, cisza bowiem panowała głucha. W jednym tylko okienku przebijało przez błony światło, choć słabe, widoczne z dala wśród powszechnej ciemności. Ktoś czuwał na grodzie.

Książę przybył do Gniezna tuż przed zachodem, by wobec powstałej zwłoki w wyprawie zwykłe sprawy, które na skutek przygotowań wojennych zaległy, pozałatwiać, i poleciwszy na rano zwołać grodowych urzędników i sądy, do wypoczynku się zbierał, gdy mu oznajmiono przybycie Zbrozły.

Choć znużony podróżą, książę sprowadzić go kazał natychmiast wiedząc, że nie zwykł z niczym przybywać. Widno ważne musiał przywieźć nowiny, gdyż wraz gońce pobiegły do grodów z rozkazami, by wojska ciągnęły ku Odrze, a kto z drużynników w domu bawił, bez zwłoki stawić się miał w Poznaniu. Radę i roki, na drugi dzień wyznaczone, odwołano, natomiast zaraz z wieczora książę wojewodów zaprosił, ninie zaś siedział jeszcze w swej komnacie i ze Zbrozlą rozmawiał, choć pierwsze kury już piał, a rankiem wracać miał do Poznania.

Na dębowym, szerniałym ze starości stole płonęły trzy świece, a żółte migotliwe ich światło oświecało znużone oblicze Mieszka i suchą, martwą twarz Zbrozły. Siedzieli naprzeciw siebie i rozmawiali półgłosem.

- Nie lżejsze ma cesarz życie od was - mówił Zbrozło. - Prawda, że młodszy, ale na zdrowiu zapadać zaczyna, a spokoju znikąd. Gniew też w nim często nad rozsądkiem przewagę bierze, jako wskazuje sprawa grafa Gerona. Niecierpliwy jest, widno czuje, że nie pożyje długo. Dziedzica nie ma, a i od rodziny więcej ma zgryzot jak pomocy.

- A ja to spokój mam? - rzucił książę gorzko. - Nawet Bolko mi rogi pokazał. Ale mniejsza z tym! Powiadajcie, jako było z Geronem?

- Jakie były związki jego z Kłótnikiem, wiecie. Ale cesarz nie wiedział, aż doniósł mu Waldo i wraz cesarz pojmać kazał Gerona w Sumeringe i pod straż oddał Zygfydowi i Lotariuszowi z Walbeku, na co arcybiskup Teodoryk nalegał, w nadziei, że go ocalić zdoła. Matka cesarza Adelajda, której Kłótnik bratankiem wypada, przez teścia swego, Konrada Burgundzkiego, też Gerona ocalić chciała, a gdy zarzutem przeczył, wymogli na cesarzu, że na Sąd Boży zezwolił. Tedy wobec cesarza i wszystkich książąt potykali się. Waldo, choć dwakroć w kark cięty, przecie zdołał zwalić Gerona, w głowę go ugodziwszy. Tyle jednak było jego zwycięstwa, bo jeno ze szrank wyszedł, padł na ziemię i skonał. Jak tedy Bóg rozsądził - nie wiadomo, ale cesarski sąd krótko sprawę załatwił i Gero dał głowę pod miecz w Elslewie. Otto, duk bawarski, i komes Bertold gorzkie czynili cesarzowi wymówki, ale jeno go oźlili, że za zdrajcą obstają i podejrzenie ściągnęli na siebie. Nie kocha cesarz Kłótnika ni tych, co z nim trzymają, a i was w tej liczbie pierwszego. Dlatego, co będzie mógł, uczyni, by was zniszczyć. Wojska już w Magdeburgu zgromadzone i nie byle jakie, a cesarz sam wyprawę powiedzie. Ostatnia ma być, bo z Italii wieści są, że Grecy i Saracenowie kraj pustoszą grożąc władzy cesarskiej, a od zachodu spokój ma, gdyż poselstwo było z zapowiedzią przybycia Lotariusza i jego syna, którzy się ukorzyć przed cesarzem i okupić mają. Twarda tedy czeka was walka.

Mieszko wrzusił ramionami i odparł:

- Więcej niż czterdzieści lat nic, jeno walka. Nawykłem już, ale trzeba będzie o innych sprawach pomyśleć, by od Niemców spokój pozyskać. Cesarz mnie nie pożyje, ale i ja jego też nie. A korzyść ma jeno północne pogaństwo. Znowu Stoigniew donosi o niepokojach i siły tam trzymać muszę, choć każdy miecz zdałby się tutaj. Dolegają Niemcom, ale mnie bardziej dogryźli. Zbrozło patrzył na księcia przenikliwie. Po chwili, jakby zgadując myśli Mieszka, zauważył:

- Na nic słabszemu z silniejszym się bratać. Próbowaliście już przymierza z cesarzem, omal was życia to nie kosztowało.

Mieszko znużonym ruchem ręką pociągnął po twarzy:

- Kiedyś spocząć będzie trzeba. Zresztą niedojrzałe myśli, jak owoc niedojrzały, smaku swego nie mają. Za wczas o tym mówić. Tymczasem na cesarza ciągniemy. Pokonamy go, będziemy o dalszym rozmawiać.

Zbrozło usta otworzył, jakby rzec chciał coś, lecz zmilczał i wstając pożegnał księcia. Wyszedł w noc i ulewę, niebaczny na strugi deszczu, które niósł północny wiatr, pierwsza zapowiedź jesieni. U bramy konia odebrał od straży i ruszył w ciemność. Zachlupotały kopyta w kałużach, lecz odgłos ich wraz z cieniem jeźdźca zniknął zaraz w ciemności i wichurze.

XXXI

Audunowy kres

Ciemne chmury jesienne grubym, z lekka zmarszczonym całunem okryły kraj. Drzewa wyciągały już bezlistne ramiona ku ponuremu niebu. Tu i ówdzie jeno rozłożysty, przysadzisty dąb trzymał do ostatka swe listowie, zasłaniające dziedzinę, nad którą panował, przed tysiącami oczu chciwych żeru kruków, które ogromnymi, czarnymi stadami zawichrzyły pod ciemnym niebem, skoro jeno ucichł zgiełk bitwy, jaka tu wrzała od rana.

Zgiełk potoczył się ku Odrze, za którą śpiesznie cofał się cesarz z resztkami swych wojsk, a Mieszko, choć sam ledwo na koniu się trzymał ze znużenia, pognął za nim, by dociąć, co się da, u przeprawy, albo i w ślad przejechać, nim cesarz niedobitków zebrać i pomoc otrzymać zdoła. Wczesny, listopadowy wieczór nadciągał jednak szybko, obiecując cesarza przed zaciętością Polan osłonić. Krukom też śpieszno było do żeru, nim ciemność zapadnie. Stado za stadem opadało na drzewa okrywając nagie gałęzie jakby olbrzymimi, czarnymi liśćmi i jak liść raz za razem spływał któryś bezszelestnie na ziemię i kołyszając się, z rozwągą szedł ku leżącemu najbliżej ciała. Gdzie przybył pierwszy, patrzył z zastanowieniem, czy łup nie kryje jeszcze życia w sobie. Taki się przyda na potem. Nie jeden dzień będzie ta uczta trwała, tyle że później z wilkami się dzielić będzie trzeba, które, skrzydeł nie mając, później nadciągają na pobojojiska. Ostrożniejsze są, i one bowiem wiedzą z doświadczenia, że często ludzie wracają tam, gdzie się bili i zabierają lub zgoła ziemią i kamieniem okrywają żer, nie wiadomo komu na pożytek. Tymczasem kruki same dla siebie mają cały łup i w wielu miejscach uczta już jest w pełni, ciała pokryte ruchomym, czarnym całunem, który kłębi się i wichrzy jakby wiatrem miotany, choć dmący od rana wichur uspokoił się pod wieczór. Na zachodzie zabłysnął pas jaśniejszego nieba i miedziane światło łuną zapaliło oponę chmur, zabarwiło na rudo kałuże krwi i świecącą rdzą okryło porzucony oręż.

Stary, olbrzymi kruk spłynął ze szczytu wyniosłego jesionu i posuwał się z przestankami pod nawisłe gałęzie dębu. Coraz mniej było niezajętych miejsc przy uczcie, a stary chce ucztować spokojnie. Nie lubi już rozpychać się w tłumie. Przechylając głowę, to jednym to drugim okiem

patrzył ciekawie. Żer leżał pod drzewem, lecz nie wiadomo, - gotów już czy dochodzi. Coś się poruszyło w cieniu i kruk szarpnął się skrzydłami do tyłu, lecz opadł zaraz. Ze stuletniego doświadczenia wiedział, że czasem pożywić się można, choć łup się jeszcze rusza. Wyciągnął szyję i patrzył dalej ciekawie, gdy z cienia rozległo się mruczenie:

- Małoś się pożywił z mojej ręki? Na moje ścierwo możesz poczekać!

- Po czym posypały się klątwy w nieznanym języku. Tych zapewne kruk nie zrozumiał, przyznał mu jednak widocznie słuszność i spokojnie odleciał kołując i wypatrując, gdzie się znajdzie miejsce dla niego przy uczcie.

Tymczasem rąbek tarczy słonecznej wysunął się zza chmur i złoty promień zachodzącego słońca wypełznął pod gałęzie dębu oświetlając leżącego pod nim męża.

Leżał z głową opartą o gruby korzeń nadziemny. Kałuża skrzepłej krwi stała koło niego, twarz miał przybladłą, lecz nie widać w niej było bólu ni przerażenia. Malowały się na niej duma i zadowolenie. To stary Skarbek wypoczywał po ostatniej walce i w godzinie śmierci myślą przebiegał swe życie. Na nic się nie zdało, że księżę umyślnie polecił nie zawiadamiać starego o wyprawie, bo zbyt o niej było głośno. Zjawił się jak dawniej, na czele swego pocztu, i Mieszko nie miał serca zakazać mu, by z nim wyruszył, i złamać go niewiarą w jego sprawność. Tyle jeno, że polecił mu trzymać się swojej osoby. Lecz w zamęcie, gdy ważyły się losy bitwy, sam księżę skoczył i stracił z oczu starego.

Na to jeno czekał chytry wojak. Dobrze pamiętał swe przyrzeczenie, że z cesarzem skończy. Nie bacząc na nic darł się przez gęstwę wrogów, tam gdzie pod kępą drzew orszak odziany w świetne zbroje zdradził cesarską obecność. Obskoczony przez wrogów Audun zabił kilku toporem dzierzonym w lewicy, lecz nie mogąc uszkodzoną prawą ręką należycie się osłonić szczytem, otrzymał kilkanaście ran i zwałił się z konia, a gdy przeleciała wichura bitwy, wczółgał się pod gałęzie i konał spokojnie, śmiercią taką, jakiej sobie życzył. Rozmyślał o swym życiu. Gdyby mu drugi raz żyć przyszło, żyłby tak samo nic nie odmieniając.

Coś go jednak ugryzło widocznie, gdyż zaklął. To Jaskotelowe wspomnienie ukłuło starego i nieszczęсна sprawa jego małżeństwa. Było się o co wadzić! Chłopak udał się jak mało kto, niech się żeni, jak chce, ród jego wyrośnie szeroko i wysoko, jak sobie stary umyślił. Wszystko wdałe w tym chłopaku, nawet jego hardość, choć żal jakiś ścisnął serce... W Bolkowym orszaku widział z dala syna, który, choć wiedział, że ojciec ciągnie przy księciu, nie podjechał ni raz powitać ojca i ukorzyć się. Teraz już go nie zobaczy i nie będzie mógł pożegnać tego pierworodnego i najmilszego, tak jak zegnał żonę swą i inne dzieci wiedząc, że z wyprawy nie wróci.

Coś mu oczy przyćmiło. Widno słońce, które zabłysło całą tarczą, nim się schowa za bory, razi oczy starego. Szumi i dzwoni mu w uszach z upływu krwi, lecz wśród tego szumu słyszy jakieś odgłosy.

Ktoś stanął między nim a słońcem i krzyknął:

- Bywajcie, tutaj jest!

Stoi nad nim młody wojak, a dwóch innych nadbiega. Już zeskakują z koni i dopadli do niego. Jeden przyklęknął i pochylił się nad nim. Patrzą wzajem na siebie. Żal ćmi oczy syna, a szczęście i śmierć ojca. Wszystko mu się spełniło, czego pragnął, aż do ostatniej godziny.

- Co z wami? - pyta drżącym głosem Jaskotel.

- Co ma być! Koniec! - odpowiada stary.

Słońce rzuciło ostatni błysk i zgasło. Mrok obejmuje świat, choć noc czyni się pogodna i bierze

dotkliwy ziąb. Idzie mróz, zapowiedź rychłej zimy.

Stary trząść się zaczął, Jaskotel więc polecił ogień zapalić.

Okrył ojca, czym mógł, i miodem napoił, który stary pił chciwie.

Gdy zabłysły płomienie, spojrzął na Jaskotelowych towarzyszy:

- W oczach mi się dwoi, czy dwóch ich jest?

- Bliźniaki! - odparł Jaskotel. - Miłosza i Otłoka, z kniazia Bolkowej drużyny, ale który z nich

który, sami jeno wiedzą. Ciepło zaczęło promieniować od żaru. Jaskotel z towarzyszami ściągnęli ze starego kaftan, sztywny od zakrzepłej krwi. Stary krzywił się trochę i klątwy bąkał pod nosem, lecz się nie przeciwiał. Przewiązali mu rany, z których żadna na ciężką nie wyglądała, a Jaskotel rzekł z ulgą:

- Co prawicie o końcu? Nie takie szcerby już na was przyschły!

Istotnie stary pod wpływem miodu i ciepła ożywił się widocznie. Na twarz nawet wystąpił mu lekki rumieniec. Silniejszym też głosem odparł:

- Co ty wiesz! Któraś rana musi być ostatnia. Takem sobie umyślił i nie będę w łożu umierał, boby mnie do ojców do Walhalli nie puszczono.

- Przecie chrzczone jesteście, to do nieba pójdziecie.

- Co bym tam robił - mruknął stary niechętnie. - Nikogo tam nie ma z ojców moich ni dawnych towarzyszy. Pamiętaj, że spalić mnie macie na stosie, jak należy.

- Będzie się znowu biskup ciskał o pogańskie obrzędy, a i wasz kapelan będzie krzyw. Nieczęsto mu się zdarzy taka uroczystość i dochód.

- Co mi ta! - sarknął stary gniewnie. - Pachół to jest, co z mojej łaski żyje. Zresztą chcecie, to zróbcie naprzód chrześcijański pogrzeb, a potem wygrześć macie i spalić. Nie będę gnił w ziemi jako pies.

- Jak każecie! - odparł potulnie Jaskotel.

Stary z trudem zwrócił głowę w bok i ręką sięgnął usiłując ująć leżący obok topór. Nie zdołał, jeno pogładził miłośnie szerniałe toporzysko i rzekł:

- Weź go! Wierny jak nasz ród i jak on stary. Mnie już swoje odsłużył.

- Nie mówcie! Jeszcze wam służył będzie!

Stary zakląć chciał, lecz siły go widocznie uchodziły, gdyż jeno brew zmarszczył i z przerwami, i wysileniem mówił:

- Nie przeciw się! Daję, to bierz! Resztę podziel sprawiedliwie.

Teraześ ty głową rodu. Żenić się masz zaraz. Nie zechce Geilana, bierz inną. Swoją najlepiej. Wyszkotową córkę byś wziął. Miłe dziewczysko, matka ją lubi, ziemie do naszych przytykają, gospodarzyć łatwiej!

Umilkł na chwilę i dyszeć począł. Jaskotel chciał coś rzec, lecz stary rękę podniósł, by mu nie przerywał, i po chwili ciągnął:

- Geilanie wszelką wdzięczność masz za mnie okazać, jej dziękować, że nie muszę jak grzyb próchnieć za życia. Stary oczy przymknął i zdawał się zasypiać. Otworzył je po chwili i wyszeptał:

- Kniaziowi się pokłoń ode mnie, pożegnaj i za łaskę podziękuj.

Mężny pan i dobry. Ile my to bojów razem zwiedli! Zapatrzył się w ognisko, jakby tam je widział w skaczących na powstającym znowu wietrze płomieniach. Pomału oczy mu się zamknęły, lecz oddychał słabo. Widno zasnął istotnie. Miłosza i Otłoka też do snu się ułożyli pokłóciwszy się półgłosem na dobranoc. Otulili się burkami i przywarli do siebie, bo mróz brał. Na niebo wypłynął

czysty sierp księżyc, lecz wkrótce zamazywać go zaczęły strzępiaste obłoczki, coraz tłumniej ciągnące, i pociemniało znowu.

Jaskotel siedział wpatrzony w ognisko, dorzucając od czasu do czasu drew i chrustu. Postanowił czuwać przy ojcu, gdyby obudził się i czego potrzebował. Znużony całodziennym bojem, z trudem otwierał oczy i spoglądał na leżącego obok rodzica. Wspomnieniami wracał do dziecinnych lat. Ten szorstki wojak, od którego przekleństw ściany zdały się trząść, dobry był, że do rany przyłóż. Krzywdy nie uczynił nikomu, nikogo nie zawiódł, wierny był wszystkim i wierny był sobie. Choć się coś ściska w piersiach Jaskotela na myśl, że straci ojca, wspomniawszy, jaki biedny był stary, gdy się zdało, że już konia nie dosiądzie i nie śmiał, wbrew jego woli, życzyć ojcu, by czekała go inna śmierć, niż sobie umyślił. Zakrył oczy rękoma, bo piekły go od bezsenności i żaru ogniska, i walczył ze snem. Przemógł się po chwili, trącił polanem ognisko, by popiół otrząść z główki, dorzucił suszu i spojrzawszy na ojca. Stary oczy miał półotwarte i psotny uśmiech na twarzy.

- Nie śpicie? - zapytał Jaskotel, a gdy nie otrzymał odpowiedzi, ojcową rękę uchwycił. Zimna już była.

Skonał stary wojak i śmiał się ze śmierci, że tam go wziąć musiała, gdzie jemu się podobało.

XXXII

Samowola.

Gwarny był obóz polański u brodu nad Odrą. Po zapadnięciu ciemności, która przerwała walkę, kto żył strawę brał się gotować. Zapłonęły setki ognisk, a gdy pierwszy głód zaspokoiono, ochryplymi od całodziennych wrzasków i jeszcze zadyszanyymi ze znużenia głosami gwarzyć poczęto, bo było o czym. Gdzie zaś jeno nagadano się dosyć o własnych czynach, wraz zaczynało brzmieć imię młodego księcia. Pierwszy na czele swych Wiślan wdarł się w środek cesarskich wojsk i popłoch wzniecił, gdy zaś cofać się zaczęli, od brodu im zaskoczył, przez co wielu w ucieczce potonęło w lodowatych, wezbranych wodach Odry. Gdy zaś cesarz przeważającymi siłami go nacisnął, miał uskoczyć, sam się przepawił za rzekę. Wrzała walka jeszcze o ćmie po drugiej stronie brodu, ale jaki był wynik, nie wiadomo. Ninie cisza tam jest i ognie też widać wśród lasu. Widno cesarscy tak pomęczeni, że cesarz nocować postanowił przy brodzie, choć rozsądniej byłoby noc dla ucieczki wykorzystać. Straty, jakie poniósł, nie pozwalały mu już liczyć na zwycięstwo. Sławiono młodego kniazia, który, pacholę jeszcze, po raz pierwszy stając w bitwie, wykazał tyle obrotności, męstwa, bystrości i wytrwałości, że nie wątpił nikt, iż wielki wojownik powstaje wśród Polan.

Kto nie szedł do budowy tratw, walił się przy ognisku i otulając jak mógł od chłodu, który przenikał uznojone ciała, zasypiał, by sił nabrać do jutrzejszej walki.

Na skraju obozowiska, w zacisznej kępie drzew, ustawiono szałas dla kniazia Mieszka. Znużony ponad wszelką miarę, nie jedząc nawet, legł na przygotowanym pościeliu, usiłując usnąć. Sen jednak nie miał się kniazia. W strudzonych barkach, od wilgoci i zimna bóle łamać go zaczęły. Cieszyć się winien i z wyniku bitwy, która pomyślny obrót wojny niemal pewnym uczyniła i z poczyną syna, najlepsze nadzieje na przyszłość rokującego. Gdy jednak leżał w ciemności z otwartymi oczyma, smutne oblegały go myśli.

Bolko samowolny jest; bez rozkazu pierwszy uderzył, bez rozkazu przepawił się za rzekę. Młody, więc gorący, można by mu wybaczyć, byle jeno cało wyszedł. Za rzeką znalazł się wobec

wielekroć silniejszego nieprzyjaciela. Jeśli znów się ponieść pozwolił, może leży tam już gdzie. Gdybyż choć Jaskotel był przy nim, którego przemyślności i męstwu kniaź ufał wielce. Ale na pierwsze pobojowisko wrócił, gdyż wieść podano, że stary Skarbek padł, ubity czy ranny, nie wiadomo. Przed świtem uderzyć trzeba, gdyż jeśli Bolko żyw, nie można go z garstką zostawić samego, a kniaź sił nie czuje i nie obiecuje mu ich przynieść noc bezsenna. Zresztą żyje Bolko czy zginął, wykorzystać należy zwycięstwo do ostateczności. Nie śmia wrogi spostrzec, że słabnie, bo już by się nie opędził napaściom. Gdy zwycięży, łatwiej będzie użyć innego sposobu, by się na przyszłość osłonić, choć kniaź myśli o nim niechętnie. Nie czas mu nowe życie zaczynać, chociaż synów zdałoby się więcej. Bolko, raz zasmakowawszy w wojaczce, nie da się już powstrzymać, zresztą wojować musi, gdyż samemu Mieszkowi wiek ciężyć zaczyna. I zawsze na włosie wisieć ma przyszłość rodu i dzieło całego życia?!

Na chwilę myśl pobiegła ku staremu Audunowi. Tyle razy już go bez duszy z pola bitwy zbierano, iż kniaź żywił nadzieję, że i tym razem nie będzie inaczej. Ostatni to już niemal z towarzyszy pierwszych bojów Mieszkowych, który jeszcze z nim wyciągnął. Inni dawno u ojców, lub na wyraju, po swych dworcach siedzą. Jakby cień młodości z nim wrócił; czy po to, by zgasnąć zaraz i zwiększyć uczucie pustki i samotności, jakie coraz częściej ogarniało kniazia? Jeśli druhów jakich miał, to z młodzieńczych lat, gdy umiał jeszcze serce otworzyć, nim je zatwardziła ciągła walka z tym przeklętym plemieniem, lub ciągła jej gotowość i czujność. Z młodych jedynie Stoigniew i Jaskotel potrafili znaleźć miejsce w sercu kniazia, ale obaj więcej do Bolka Ignęli. Nie dziwić się zresztą, młodzi. Gdy przychodzi na kniazia chwila przygnębienia i słabości, jest sam.

Kniaź wie, że czarne myśli nachodzą go, bo znużony jest i chory. Gdyby sen go odświeżył, rankiem dosiadzie znów konia i nie będzie myślał o tym, co jego gnębi, lecz jak zgnębić wroga. Siłą woli zmusza się do snu i już świadomość mieszać się zaczyna z marzeniem, gdy odgłosy jakieś przed szalasem przywołują go do przytomności. Gniew poderwał kniazia na posłaniu, lecz pochwycił głos Jaskotela; coś półgłosem mówiącego do strażnika, który go widocznie do kniazia puścić nie chciał; zawołał:

- Wejść!

Uchyliła się płachta i na tle blasków płonących opodal ognisk ukazał się cień Jaskotela. Pokłonił się w ciemność, i rzekł:

- Wybaczcie panie, że wam spoczynek przerwałem, lecz jadę do kniazia Bolka za rzekę pewnie rozkazy jakieś wydać zechcecie. Kniaź zrzucił z siebie skóry, którymi był okryty i wyszedł przed szalas. Spojrzał na smutne oczy Jaskotela i wiedział już wszystko, lecz zapytał:

-Co z ojcem twoim?

- Pokłonić się wam kazał panie i za łaskę podziękować. Doszedł od ran. Pachółków wysłałem, by ciało do Skarbna odwieźli.

Kniaź głową jeno skinął i zamilkł; po chwili zaczął:

- Jeśli zdołasz się przeprowić i odnaleźć Bolka po nocy, surowo mu przykazuję, by się nie ważył uderzyć, zanim my za bród ruszymy. W górze tratwy nagotowane, uderzymy o świcie.

Jaskotel pokłonił się i chciał odejść, lecz kniaź zatrzymał go:

- Zaczekaj! Nie smuć się! Smutnemu ni ręka, ni głowa nie służy. To pierwsze, coś w życiu stracił, a ja niemal ostatnie. Miłowałem twojego ojca.

Patrzyli sobie w oczy:

- No! Jedź szczęśliwie. Spokojniejszy będę, gdy się znajdziesz przy Bolku.

Położył rękę na ramieniu Jaskotela, odwrócił się i wszedł do szałas. Rzucił się na posłanie i nakrył z głową. Nie wiedział kiedy usnął kamieniem. Zdało mu się, że spał chwilę, gdy ruch jakiś posłyszał. Przez szpary między ścianami z gałęzi dostrzegł jaśniejące płyty nieba. Świtało.

Kniaź wstał i przeciągnął zbolale kości. Nie był wypoczęty, ale spokój mu powrócił. Dzisiaj znowu bitwa, choć już bez starego Auduna; nie stało ojca, walczy syn. I sam kniaź kiedyś złoży broń, ale złoży ją w ręce, które dalej będą walkę prowadziły. Duma i chęć władzy kierowały życiem Mieszka, lecz nie duma małego człowieka, ni chęć władzy dla władzy samej. Raczej czuł, niż wiedział, że w jego ręku leży życie plemion, na których czele los go postawił. W trudności i bólu toruje drogę swym następcom i nie zejdzie z niej, póki tchu w piersiach.

Wyszedł przed szałas i odetchnął głęboko. Zimne powietrze orzeźwiło go. Pacholek konia trzymał w gotowości; o parę kroków, w półmroku jeszcze widniało kilkanaście koni przy bocznych Kniazia. W obozie ruch panował, niepodsypane już ogniska przygasały, a blask ich ustępował przed szarością wstającego dnia. Kniaź polecił służbie podać sobie coś do zjedzenia i przysiadłszy na pieńku pożywiał się, czekając aż znać dadzą, że szyki w sprawie stoją i piesi już przeprowadzić się zaczęli. Nagle zmarszczka przeorała jego czoło. Od przyciszonego gwaru własnego obozu wyraźnie rozróżnił donośny, lecz odległy. Nie było wątpliwości, że za rzeką wrzała walka.

Kniaź z gniewem cisnął na ziemię niedojedzone mięsiwo, jak młodzieniec skoczył na koń i z miejsca ostrym kłusem ruszył ku wojsku. Nie ujechał ni kilkunastu kroków, gdy dopadł go jezdny wojak od straży przy brodzie i zawołał:

- Kniaź Bolko nastąpił!

* * *

Mętne, wezbrane od jesiennych deszczów fale Odry, mknęły szybko i niemal bez szmeru. Jeny przy brzegu woda chlupotała miarowo, zgodnie z ruchem kołysanych nią przybrzeżnych trzciny, zalanych nienie falą.

Jakiś plusk rozległ się na rzece i na jaśniejszej od czarnych brzegów powierzchni, rozróżnić można było trzy cienie. Woda znosiła je szybko, lecz zbliżały się ku zachodniemu brzegowi. Trzech jezdnych ważyło się na przeprawę. Konie chrapały z wysiłku, lecz brzeg był już blisko. Po chwili przed płynącymi otworzył się zalew w wyrwie brzegu. Woda tam kręciła się w miejscu, a konie widać chwyciły grunt, gdyż zaczęły się wynurzać. Jeszcze chwila, a znaleźli się na suchym i stanęli.

Konie dyszały, a jeźdźcy kłapali zębami. Po chwili jeden przez zaciśnięte szczęki wybełkotał:

- Licho nadało tę kąpiel po nocy. Czuję, jak mi szpik zamarł w kościach.

-Wracaj do domu, ojciec cię spiorą, to ci będzie ciepło.

Pierwszy palnął pięścią drugiego, a ten ułapił go za bary i jęli się siłować, aż z koni spadli na ziemię. Pozostały patrzył na nich przez chwilę:

- No zagrzaście się, ale mnie i koniom zimno. Jedziemy! - rozkazał.

Dźwignęli się i dosiedli koni, po czym pierwszy zapytał:

- Jedziemy, ale gdzie?

- Kniaź w dół rzeki uchodził, więc nie musi być daleko. Bez ogni też nie wytrzymają, zmoknięci, w taką noc. Znajdziemy ich. Ruszyli i istotnie niewiele ujechawszy od rzeki, poczuli dym, który zaleciał z wiatrem z zachodu, i niedługo trwało, gdy zauważyli słaby odbłask na bezlistnych koronach drzew. Z ostrożności zsiadli z koni i posuwali się chyłkiem. Obóz leżał widocznie w kotlinie, gdyż ogniska nie były widoczne, choć blask był już całkiem blisko. Nie dochodził też żaden odgłos. Jaskotela upewniło to, że na Bolka trafił, cesarscy bowiem nie potrzebowali się przytając, śmielej

więc ruszył, jakoż po chwili półgłosem odezwała się straż. Jaskotel opowiedział się i wraz z towarzyszami ruszył ku wejściu do kotlinki, zasłoniętemu krzami. Gdy je rozchylił, ujrzał kilkanaście małych ognisk, przy których gęsto siedzieli lub leżeli wiślańscy wojownicy. Z boku, przy urwistej ścianie stał szereg koni, w głębi zaś spostrzegł cokolwiek większe od innych ognisko i w siedzącej przed nim postaci poznał młodego kniazia.

Bolko rozebrany był do pasa, w rękach trzymał przed sobą kaftan; zasłaniając się nim jednocześnie od dymu i susząc. Gładkie jego, jeszcze bezwłose ciało lśniło w blaskach ognia, który uwydatniał rozwijające się węzły mięśni. Na twarzy jedynie, górna warga ciemnieć zaczynała młodym puchem. Oczy miał przymknięte, widno od dymu, lecz gdy Jaskotel zbliżał się, otworzył je i opuściwszy kaftan, od blasku ręką je przysłonił. Poznał towarzysza i wyraz radości zjawił się na jego twarzy. Wskazał Jaskotelowi miejsce obok siebie:

- Boga chwalić, wróciłeś! Wszystko się pospało i gadać nie ma z kim.

Widząc zaś smutek na twarzy Jaskotela zawstydził się widocznie, iż zapomniał, po co druh jeździł i zapytał:

- Co z twoim rodzicem?

- Jeszczem żywego znalazł, ale doszedł od ran.

Bolko serdecznie objął przyjaciela:

- Nie trap się! Stary Audun i tak szczęśliwy; miast próchnieć w domu, zginął, jak na męża przystało.

- Prawda, że tak chciał - odparł Jaskotel - ale zawdy to rodzic i żal mi. Dobrze, zem go choć pożegnać zdążył, bośmy się to wadzili ostatnio.

Bolko w rękę wziął topór starego Skarbka, który Jaskotel obok siebie położył i oglądał piękną broń.

- Piękny! - rzekł - ale nie tak, jak mój miecz; - miłośnie spojrział na leżący obok. - Pono też cudowny ma początek?

- Czarownica go dała jednemu z moich przodków, ale kiedy indziej wam opowiem, bo spocząć wam czas; a jeszcze rozkaz kniazia mam powtórzyć, że nie wolno wam uderzać, póki oni na bród nie ruszą. Twarz Bolka nachmurzyła się. Wciąż jeszcze w bitewnym podnieceniu, które mu spać nie dało, właśnie miał zamiar zabrać swój oddział i nocą na cesarza uderzyć, korzystając z ciemności.

Gniewnie zapytał:

- Czemuż to tak? Póki ćma, pora najlepsza. Moi przespali się już trochę, a ja i tak spać nie będę.

- Kniaź się nie zwykł sprawiać - odparł Jaskotel - ale myślę, że o was niespokojny, a zły też był już pewnie, żeście bez rozkazu uderzyli i na tę stronę rzeki przeszli.

- Ojciec mój nie wierzy, że mój miecz cudowny jest. Albo i zawidzi mi! Myśli mnie jak sokoła z kapturem na głowie trzymać i puszczać kiedy wola.

- Ej! - rzekł Jaskotel. - Prześpijcie się, bo się wam coś roi. Ja tam spać idę, bo kości w sobie nie czuję. Jużem trochę wojny kosztował, tom nie taki łakomy. Nie pogniewam się, jak mnie nie zbudzą choćby do południa.

Wyciągnął się na ziemi i zdjętym kaftanem nakrywszy się z głową, zasnął natychmiast, jak kamień.

Zbudził go przenikliwy ziąb. Otworzył zaspane oczy i rozejrzał się. Jasno już było zupełnie, żar ogniska, przy którym leżał, ledwo już się tlił pod popiołem. Obok spali Miłosza i Otłoka, poza tym w kotlinie nie było nikogo; natomiast od brodu wyraźnie dolatywały odgłosy walki.

Jaskotel zrozumiał co się stało i otrzeźwiawszy w mig, krzyknął:

- Na koń!

Śpiący zerwali się i z ich wyjaśnień pokazało się, że młody książę, dobrze przed świtem, zabrał swój oddział i poszedł. Nie kazał budzić Jaskotela aż się wyśpi i czuwać im polecił na zmianę, pospali się jednak obaj znużeni i już do kłótni się brali, kto winien, lecz Jaskotel zakławszy, przerwał im i do koni skoczył. Wypadli z kotlinki i gnali na głos bitwy, ile jeno miejscami podszyty las pozwalał.

Ku brodowi las rzedł i otwierał się widok na obszerną płaszczynę przybrzeżną, która klinem wchodziła w las. Środkiem jej biegł wyjeżdżony trakt. Już z dala ujrzeli migające między drzewami postacie, przemykające się w las, ku zachodowi. Widno niektórzy z cesarskich, ranni, lub straciwszy serce, uciekali od brodu, przy którym wrzask był nieopisany. Jaskotel w pośpiechu nie zważał na nich, choć bez trudu pobić ich było można. Wypadł na łąkę i zatrzymawszy konia rozejrzał się za Bolkiem. W kącie klina, gdzie gościniec w las wchodził, przelewało się kłębowisko ludzi i koni. Jaskotel bez namysłu skoczył ku niemu, nie patrząc nawet czy nadążają towarzysze.

Ku środkowi koliska ścisk zrobił się taki, że ranni i zabici nie mieli gdzie paść. Walczono rękoma i zębami. Wiślanie wymieszani z cesarskimi, dobywali resztek sił, lecz i Niemcy widocznie byli pomęczeni, gdyż krzyku nawet niewiele było słyhać, jeno sapanie zdyszanych piersi, jęki rannych i chrapanie konających. W samym środku tego piekła tkwił Bolko.

Koło Bolka luźniej trochę było, gdyż co tężsi woje, murem stanęli, by bronić księcia. Bolko twarz miał bladą ze znużenia i bezsenności, lecz zawziętą. Karego ogiera parł przed siebie, raz za razem, gdy się jeno miejsce uczyniło, wysuwając się do pierwszego szeregu, który ścinał się z wrogiem, tak że jądro koliska, choć wolno, posuwało się ku rzece. Wiślan jednak garstka już jeno stała i widocznym było, że niewiele chwil, a ulegną przewadze.

Jaskotel zaś, a towarzysze za nim, przec poczęli ku środkowi, grzmocąc czym się dało, lecz ciężar ciżby spychał ich z powrotem. Jaskotel walczył z rozpaczą, widząc śmiertelne niebezpieczeństwo, grożące Bolkowi i nie posłyszał prawie, brzęmiących jak jeden, krzyków za sobą. Nie czuł też kilku ciosów, które otrzymał. Nagle gwiazdy zaświeciły mu przed oczyma, po czym znikło wszystko. W tejże chwili jednak wrzask ogromny rozległ się od brodu, któremu jak echo odpowiedział drugi z lasu. To piesi, przeprawiwszy się, obesli główne kolisko od tyłu, a jednocześnie książę złamał opór przy brodzie. Kupy Niemców nadbiegały, uskakując z gościńca w las, gdy tymczasem kolisko rozwiązało się, jakby kto kamieniem w stado wróbli rzucił i na miejscu pozostało jeno kilkunastu Wiślan z Bolkim na przedzie. Stali niemal bez tchu, a koło nich przewalały się kupy uciekających i ścigających. Po chwili od brodu ukazał się kłusem idący, w składzie, huf jezdnych, a na ich czele jechał książę Mieszko.

Bolkowi radość zaświeciła na twarzy i trąciwszy konia ruszył naprzeciw. Książę jednak spojrzał jeno jak na obcego i dalej pognął.

Twarz Bolka przygasła. W tej chwili dopiero odczuł wysiłek prawie dwu dni walki i nieprzespanej nocy. Zsunął się z konia nogi zatrzęsły się pod nim, usiadł. W głowie miał pustkę, w skroniach waliło młotami, a przed oczyma latały czarne i czerwone pląty. Siedział tak, nie zdając sobie sprawy jak długo, aż jakieś silne ręce dźwignęły go i pół niosąc zawiodły do namiotu i ułożyły na pośłaniu. Ktoś ściągnął z niego wilgotne jeszcze szaty, napił go czymś ciepłym i otulił skórą. Bolko poczuł ogromne odprężenie, zdało mu się, że spada gdzieś w dół i stracił świadomość. Gdy się obudził była już północ. Przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, gdzie się znajduje, pomału

jednak wracała mu pamięć. Zarazem poczuł tak dotkliwy głód, że zerwał się z posłania, by coś do zjedzenia poszukać. W ciemności macał wyjścia z namiotu, lecz z pola widocznie ktoś ruch posłyszał, gdyż w tej chwili odsłoniła się płachta u wejścia i przez otwór wpadły blaski licznych ognisk. Setnik Siemian, którego Bolko znał od dziecka, stał trzymając płachtę i zapytał:

- Nie śpicie? Pewnie zjedlibyście coś?

I nie czekając na odpowiedź puścił płachtę i ruszył, by przynieść coś do zjedzenia. Bolko podniósł zasłonę, lecz cofnął się. Na polu brał siarczysty mróz, przenikliwy wiatr świstał i wył w gałęziach. Zima nadleciała nagle, prawie bez zapowiedzi. Bolko omackiem szat zaczął szukać. Nie mogąc dać sobie rady chciał na służbę zawołać, lecz w tej chwili posłyszał kroki i Siemian zjawił się znowu, a z nim pacholek niosący wieczerzę. Siemian przyniósł ze sobą pęk smolnego łuczywa i zapaloną trzaskę wetknąwszy w ziemię, rzekł:

- Włazcie pod skóry, bo ziąb, a ubierać się wam nie warto, bo pojecie, znów się wam spać zechce.

Bolko na widok strawy aż skurcz poczuł w żołądku. Choć paliła go ciekawość, by dowiedzieć się o losach bitwy, nie mógł oderwać się od jedzenia. Nasycił się jednak prędzej niż myślał i odsuwając resztę zapytał:

- Jaskotel gdzie?

- A leży tu obok w namiocie - odparł Siemian.

- Śpi?

- Może i śpi, ale poraniony i ogłuszony. W łeb dostał, aż mu szłom zagięło; dobrze, że nie puścił, bo by za rodzicem pojechał. Do południa leżał jak kłoda. Widno po ojcu szczęście odziedziczył, że go z pola znoszą po każdej bitwie.

Bolko zerwał się szaty wdziewać, lecz stary Siemian rzekł:

- Po co doń pójdziecie? Ogłupiały leży, na rano mu przejdzie, to się obaczycie. Będziecie mieli dość czasu gadać, bo i dla was wyprawa skończona.

- Czemuż to?

- Bo kniaź wam wracać kazał do Poznania.

Bolko milczał przez chwilę. Samowola walczyła w nim z obawą przed ojcem, a chęć przygód ze znużeniem. Po chwili zapytał:

- Moi Wiślanie gdzie?

- A zbierają ich na wczorajszym i dzisiejszym poboju. Ci, co na swoich nogach przyszli, nie bardzo się tłoczą przy jednym ognisku - rzekł Siemian z dobrotliwą drwiną.

Bolko pobladł. Nieswoim głosem zapytał:

- A Miłosza i Otłoka, owi dwaj bliźniacy, co się zawdy wadzili?

- Zgodni już, jako nigdy. - Obaj w piersi jednakie rany otrzymali i teraz już się nikt nie dowie, który z nich Miłosza, a który Otłoka. Krzesz będzie rozpaczal; pięciu już braci stracił i sam ostał się ostatni, bo po Tarle, który padł pod Cedzyną i dwóch średnich w Prusach, przy Sobiesławie legło. Mówią, że najmłodszych ojcowskie przekleństwo pościgło, bo im pod klątwą w domu ostać kazał i nie posłuchnęli.

Bolko nic nie odrzekł, lecz naciągnął skórę na głowę. Siemian myślał, że Bolka sen rozbiera; a może i domyślił się stary, że młody kniaź wstydził się przy nim płakać. Wyszedł cichaczem.

Koniec tomu pierwszego.

Tom drugi

Gdy po bitwie uprzątno pobojowisko, nie dających znaku życia bliźniaków złożono razem z poległymi w walce. Nieopatrzni, spędzili wśród trupów całą noc na mrozie, podczas gdy wozy z rannymi odeszły przed wieczorem do Międzyrzecza. Rankiem księżę Bolko za taborem pociągnął, zostawiając jeno setnika i kilkunastu ludzi, by godnie pogrześć swoich.

Gdy zeszywniałe już zwłoki znoszono do wspólnej mogiły, pachołkowie zauważyli, że Miłosza i Otłoka ciepłi są i dopiero wzięto się opatrywać ich i cucić, tak że dali wreszcie słabe oznaki życia. Nieprzytomni jednak byli obydwaj i zdało się, że ledwo tłąca jego iskierka zgaśnie lada chwila. Setnik zatroskał się, gdyż i wozów już pod ręką nie było ani żadnej osady w bliskości, gdzie by ich umieścić można, gdyż co było bliższych, cesarscy popalili. W końcu wpadł na pomysł, by ich łodzią w dół rzeki wysłać. Wcześniej czy później trafić się musi osada lub gródek, gdzie złożyć ich będzie można, póki nie wyzdrowieją lub, co pewniejsze, nie dojdą spokojnie. Ciepło okryci, płynęli tedy po cichej, mroźnej fali, nie wiedząc o sobie ni o świecie. Zamarło życie na wodzie i brzegach pod lodowatym tchnieniem zimy. Cisza była dokoła, z rzadka jeno zachrobotąło wiosło o burtę łodzi, sunącej z prądem, bezgłośnie, ku przeznaczeniu.

Szary dzień zimowy gasł już, gdy siedzący przy sterze pachołek Gromadza dojrzał z daleka unoszący się w górę dym. Był to gródek, leżący wśród lasu, trochę od brzegu, nad niewielkim strumieniem. Skierował zaraz łódź ku jego ujściu i wraz z towarzyszem gorliwie wzięli się do wiosła. Zanim się ściemniło, dociągnęli łódź do małego stanu, tuż koło gródka, położonego nad samą rzeczką. Spozrzeżono zaraz ich przyjazd i już ludzie biegli patrzeć, kto nadpłynął. Opowiedzieli się, rannych wojów imieniem księcia opiece polecając. Wraz liczne ręce ostrożnie dźwignęły leżących bez duszy i za chwilę spoczywali w ciepłej komorze, na miękko zaścielonym łożu, a znużeni i przemarznięci pachołkowie posilali się w świetlicy.

Nie skończyli jeszcze, gdy u wejścia rozległo się szuranie nóg, stuk kostura i do izby weszła stara niewiasta. Włodarz Kołacz, który pełnił obowiązki gospodarza, gości podejmując, powstał na jej widok. Gromadza z towarzyszem dźwignęli się również, pozdrawiając ją. Usiadła na stołku z oparciem, kostur kładąc na stole, i wypłowiałymi oczyma patrzyła przez chwilę na przybyłych:

- Kogo bogowie nam przynoszą? - zapytała.

- Rannych wojów przywieźliśmy, by ich waszej opiece polecić.

Niewiele im się należy; byle skonać mogli pod dachem.

- To bitwa była? - zapytała z żywością. - Powiadajcie! Syn mój, Przybysław, przy kniazium był. Nie słyszeliście o nim?

- Książ zbił cesarza i za rzekę za nim poszedł. Musiał i władyka z nim pociągnąć.

- Zbił cesarza - powtórzyła w zamyśleniu. Kiwała głową, powtarzając: - Mieszko zbił cesarza, Mieszko! - Cieszyła się czy dziwiła. Potem zapytała:

- A ci woje, co za jedni są?

- Wiślanie. Z kniazia Bolkowego orszaku. Bliźniacy.

- Pokażcie mi ich - rzekła wstając.

Kołacz ujął łuczywo, gdyż wczesny mrok zimowy już zapadał, i przyświecając prowadził starą do komory, gdzie leżeli Miłosza i Otłoka. Stara wzięła z ręki włodarza łuczywo i przystąpiła do rannych. Jeno okiem rzuciła, zdziwienie i coś jeszcze odbiło się na jej pomarszczonej twarzy:

- Bliźniacy - szepnęła do siebie. - Głębina! - zawołała nagle ostrym głosem.

Wpadła wezwana, a starucha, wskazując na braci, rzekła:

- Żebyś sama skonać miała albo gród spalić, muszą żyć.

Głębina pochyliła się nad rannymi, patrząc na ich twarze bez kropli krwi, wyciągnięte, podobne do trupich, i mruzczała do siebie:

- Muszą! Aby jeno mogli. Lepszych do mogiły kładą.

Stara kosturem stuknęła w ziemię:

- Tych nie położą, prędzej ciebie.

- Dobrze, dobrze - burknęła Głębina.

Sprawnie i umiejętnie jęła opatrywać rannych.

* * *

Wracał Krzesz z wyprawy z rozpaczą w sercu. Ani chciał, ani mógł jechać do domu nad Kamienną, do ojcowej osady. Lżej by mu było może, gdyby ciężarem, który go tłoczył, mógł się podzielić, ale znowu wieść przynieść o śmierci dwóch braci! Po prawdzie, wbrew woli ojca, sam ich z domu wyciągnął, słusznie rodziciele, a zwłaszcza ojciec, będą mieć żal do niego. Czuł też, że jeśli ojciec żenić mu się każe, odmówić nie będzie miał prawa. Jedno było jeno miejsce na świecie, gdzie czekało go współczucie i zrozumienie, ale czuł, że i tam jechać nie powinien. Sam musi zostać ze swym żalem i zgryzotą. Z jakąś ponurą zaciętością myślał o tym, że samotny osiadzie w Grodzisku. Mierzył go świat i ludzie, tak że w Krakowie nawet na grodzie się nie pokazał. Przenocował jeno i o świtaniu ruszył dalej.

Zima już była śnieżna, tak że drogi pozawalało. Ciągnął tedy na Wieliczkę, gdyż szlak był przetarty, i nie żałując koni przybył tam niewiele po wschodzie słońca. Spodziewał się, że za jasna jeszcze dotrze krótszymi drogami do Grodziska i zwrócił się wprost na południe. Nie bacząc na pacholków, którzy z jucznymi końmi wolniej jechali, wysforował się naprzód i jechał samotny, pograżony w ponurych myślach.

Dzień, z rana mroźny i jaskrawy, zasnuwała z wolna jakaś mgielka i pocieplało. Mimo że Krzesz parł konia, posuwał się pomału, gdyż szlaki leśne nieprzetarte były zupełnie. Mgła gęstniała z każdą chwilą i po południu zmieniała się w tuman, że na kilka kroków nic widać nie było. Śnieg uczynił się mokry, widno szło na odwilż. Nawilgła okiść spadała z drzew z szelestem, zresztą głucha cisza panowała w lesie. Krótki, styczniowy dzień miał się ku końcowi. W nieprzebytej mgle Krzesz zrazu starał się utrzymać kierunek, lecz zmuszony raz i drugi objechać wąwozy i wykroty, obce jakieś, spostrzegł, że zbłądził.

Mroczyło się. Koń chrapnął kilka razy niespokojnie, widno zwierza poczuł; nie było bezpiecznie zostać samemu na noc w lesie. Krzesz skreślił tedy na wschód, wiedząc, że na Rabę trafić musi, a koło rzeki na jakąś osadę lub chatę.

Jakoż nie ujechał zbyt daleko, gdy wśród pacania spadającej wciąż okiści zdało mu się, że rozróżnia jakieś głosy dalekie, we mgle jednak trudno było zmiarkować, skąd dochodzą. Puścił tedy wodze koniowi, zdając się na niego i wkrótce wyjechał na łysawy stok. Koń ruszył raźniej po pochyłości, a gdy ustał szelest opadającej okiści, Krzesz wyraźnie usłyszał szczekanie psów, wkrótce i szum rzeki, coraz silniejszy, który zgłuszył wszelkie inne odgłosy. Pod kopytami konia zachlupotała woda, ciemniejszą plamą odbijająca od zaśnieżonych brzegów.

Krzesz przeprowił się, a gdy szum zamierał, w miarę jak oddalał się od rzeki, całkiem wyraźnie i już niedalekie rozległo się szczekanie, a po chwili ujrzał dwa szare cienie, sunące ku niemu z

ujadaniem. Dobięgszy jednak, psy umilkły, a nawet doskakiwać jęły do niego z objawami radości. Poznał je z bliska; były to Zagraj i Szara, najlepsze Dobkowe psy.

Znużony, przemarznięty i zgłodniały, nie opierał się już pokusie i z przyjemnością myślał o spoczynku pod znajomym dachem. Zabudowania majaczyły we mgle i przez szpary w okiennicach wybiegało w mrok światło, wabiąc obietnicą ciepła i spokoju. Ruszył ku bramie. Z wyżki zatrzymał go głos strażnika, któremu się opowiedział, i za chwilę pacholek Mirola odbierał konia od niego, mówiąc:

- Dziedzic rankiem do Krakowa pojechał, ale pozwólcie do świetlicy. Zaraz wam wieczerzę podadzą, bo my już wieczerzali. Dobek wrócą pojutrze, może na niego poczekacie? Krzesz miał już o Czarnuszkę zapytać, ale się powstrzymał i weszli do świetlicy. Mirola drew na ogień dorzucił, a Krzesz zdjął kozuch, usiadł przed kominem i zadumał się.

Jak wówczas, gdy wracał po śmierci Tarły, ogarniała go senność. Czy jeśli zaśnie, znowu zbudzi go Czarnuszka? Teraz już go nie weźmie za Tarłę. Tarło pozostał młody, taki, jakim go pożegnała, a jemu lat przybyło i zmienił się. Przygnębiony, zazdrościł Tarle, że wolny już jest od wszystkich trosk, lecz dla Czarnuszki nie chciał nim być, choć nie uświadamiał sobie dlaczego. Tu naszło go wspomnienie Miłoszy i Otłoki. Teraz oni dochodziliby lat Tarły i do niego byliby podobniejsi. Lecz nie ma już i ich. Serce ścisnęło mu się nagle takim żalem, że oczy zasłonił rękoma, bo go zapiekły. Cichy, łagodny głos wyrwał go z odrętwienia.

- Krzesz!

Zerwał się i stał przed Czarnuszką, zakłopotany. Ona też nie wiedziała co mówić i stali tak przez chwilę. Na szczęście drzwi otwarły się z hałasem i dziewczki wniosły wieczerzę, nakryły stół i wyszły. Dziewczyna przerwała milczenie.

- Jedzcie. Zgłodniiali być musicie i zdrożeni. Wraz wam w komorze zaścielą. Bądźcie sobie radzi, jako my wam jesteśmy. Spojrzał na nią z wdzięcznością za to ciepło, które tchnęło od niej, lecz że zgłodniały był istotnie, zaczął jeść. Nasycił się jednak wkrótce i znowu zaległo milczenie.

Wstała ociągliwie i rzekła:

- Pewnie już na spoczynek pójdziecie. Opowiecie mi jutro, jakoście wojowali i co słyhać z braćmi. Zostali przy kniaziu, czy tu wrócą?

- Legli - odparł głucho.

Stała przez chwilę milcząc, jakby nie rozumiała, jeno pobladła bardzo. Potem bezwładnie opadła na ławę i czoło oparła o krawędź stołu.

Krzesz zacisnął zęby. Podszedł do niej i gładząc ją po głowie ozwał się cicho:

- Wypocząłem już i ogrzałem się. Pojadę do siebie.

Nie podniosła głowy. Za chwilę Krzesz siedział już na koniu i zanurzył się w biały mrok.

* * *

Życie chłopaków wisiało na włosku; dni i tygodnie mijały, bez żadnej zmiany na lepsze. Gdy jeno przez chwilę zdało się rozplomieniać, wraz przygasało znowu. Leżeli w gorętwie, o świecie nie wiedząc, nie przyjmując pokarmów, tylko pili chciwie. Jeno ich było poruszyć, na ustach ukazywała się krew. Młode ciała więdły i schły jak chore rośliny i nikt już nie wątpił, że tylko konanie można im przedłużyć o dni parę, lecz koniec jest jeden i niedaleki.

Mirosława jednak, ze starczym uporem tkwiła nad nimi dniem i nocą nie spuszczać ich z oka, baczna na każdy ich ruch. Jakoś po Godach, wieczorem, rzeźić i charczeć zaczęli. Nogi im stygły, a wychudłe twarze wyciągnęły się. Śmierć była tuż, lecz i wtedy nie ustąpiła jej stara. Stała nad nimi,

oparta na kosturze, wyblakłymi oczyma zdając się trzymać na uwierzy ulatujące życie. Koło północy uspokoili się i oddech im wrócił. Wówczas osłabła, prawie wynieść było trzeba, lecz zaraz rano znowu zjawiała się przy łożu. Spali; na wychudłych twarzach wykwitł lekki rumieniec, piersi ich poruszał oddech, płytki, lecz swobodny. Wygrała. Obudzili się razem, dopiero późną nocą. Wodzili oczyma po nie znanych sobie, obcych kątach. Potem jednocześnie z ust ich wybiegł szept:

- Miłosza!

- Otłoka!

Lecz w tej chwili pochyliła się nad nimi twarz starej kobiety, która położyła palec na ustach. Patrzyli na nią bez myśli, po czym zasnęli znowu.

Spali i jedli teraz na przemian. Jeno gdy do gadania się, wziąć chcieli, wraz pochyliła się nad nimi ta sama twarz, z palcem przy ustach. Sił i ciała przybywało im w oczach. Poruszali się już na łożu, uśmiechali do ludzi kręcących się przy nich, i do słońca coraz dłużej i jaśniej przyświecającego, którego promienie przemocą przeciskały się przez sosnowe strużyny w oknach, rozżarzając je kolorem dymnego bursztynu. Usypiali w szmerze skapującej wody z tającego na dachach śniegu i śniły im się pękające bazy wierzb i kiście leszczynowych kwiatów. Gdy tylko zostali sami, wraz szeptem gwarzyć zaczęli, jak to nad Kamienną ptactwo już pewnie ciągnie z południa, jakie też dziwy obaczyć można na stawkach i zalewiskach i że pszczoły już pewnie odbyły wiosenny oblot. Jeno gdy do kogoś z domowych zagadać chcieli, każdy kładł palec na ustach. Początkowo ciekawiło ich to, potem dręczyć zaczęło, wreszcie zniecierpliwiło. Toteż gdy jednej nocy zobaczyli staruchę i Miłosza słabym jeszcze głosem zapytał, gdzie są, zaś ona znowu palec na ustach położyła, zgniewany usiadł na łożu i krzyknął:

- Cóż u licha! Niemowy z nas zrobić chcecie?!

Miał się zagniewać lub odpowiedzieć, stara rzekła rozkazująco:

- Chrząknij!

Zdziwił się, lecz posłuchał.

- Kaszlnij!

Posłuchał i teraz, choć śmiać mu się zachciało.

- A teraz ty! - zwróciła się do Otłoki. Posłuchał także.

- Nie boli was nic w piersiach? - zapytała.

- Nie.

- Tedy możecie już gadać. Będzie wam czego trzeba, zawołajcie.

Wyszła zostawiając ich samych. Gadali i gadali bez końca o bitwie, o krewniakach, o Czarnuszce, całe życie, przechodząc wspomnieniami; psy, konie, kwiaty i ptaki, wszystko zakwitało w odnowionej pamięci, barwne, ciekawe, ważne. Upewniali siebie, że żyją, że to oni, ci sami. Wreszcie znużonych senność ogarnęła.

- Wiosna być musi na świecie! - usypiając szepnął Miłosza.

- Wiosna - odszepnął Otłoka.

I usnęli.

Wiosna! Z śmierci wylania się życie, z szarej zgnilizny barwa i woń, z martwoty ruch. To, co legło w szary pył pod srogimi ciosami zimy, wstaje znowu, młode i niepomne cierpienia i śmierci. Nie ma jeszcze skazy na delikatnym płątku kwiecica, jeszcze skrzydło motyla lśni pełnią barw. Nie zapisana karta życia błyszczy niepokalaną bielą.

Dla Miłoszy i Otłoki były w tym czary. Stracili siebie w poświęście zimowego wichru, wśród

ochryplego wrzasku mordowanych i mordujących, w przeraźliwym do ostatnich granic sił napięciu. A potem, nieświadome już siebie, młode ciała nie wiedziały, lecz czuły, jak wśród stygnących trupów mroźna noc kradnie im resztki bezcennego ciepła, a coraz słabiej bijące serce wypędza krew z żył, kroplę po kropli, aż do tej granicy, gdzie kończy się wszystko.

I znowu z tej jednej kropli krwi, która różniła ich od stygnących zwłok, jakie zapełniły wspólną mogiłę, z tego ostatniego oddechu, którego nie zdążył porwać mroźny wichur, życie nabrzmiewać zaczęło na nowo, wątle jeszcze i niepewne, jak niesiona wiatrem iskra ogniska; zgaśnie bez śladu, jeśli padnie na mchy wilgotne, lub pożarem się rozplamieni wśród suchych traw. Na chwiejnych jeszcze nogach wyszli po raz pierwszy na powietrze i słońce. Usiedli na murawie, nad rzeczką, i milczeli. Jak młody pęd, który wychylił się z ciemności rozgrzanej słońcem ziemi, wszystkie zmysły mieli świeże jak dzieci: dziwili się niebu, że jest błękitne, słońcu, że świeci i grzeje, trawie, że jest zielona, wodzie, że płynie, ptakom, że śpiewają. Poprzednie życie skończyło się w chmurny, zimowy dzień, nowe zaczęło się w ciepłe, i zieleni, niczym nie obciążone. Ale gdy nasycili pierwszy głód wrażeń, uczyli potrzebę związania tego, co było, z tym, co jest.

- Co tam robią rodziciele? - ozwał się pierwszy Miłosza.

- Czy aby Krzesz wrócił z wyprawy i czy wie, żeśmy ocaleli? - rzucił Otłoka.

Przechodzili tak całe dawne życie upewniając samych siebie, że to oni właśnie przeszli to wszystko i zakończyli, a teraz żyją znowu. Żyjają, a przerwę między jednym a drugim życiem wypełnia twarz starej niewiasty, pierwsza, którą ujrzeni nad sobą, gdy budzić się zaczynała ich świadomość. Ona łączyła to, co było, z tym, co będzie.

Umilkli znowu. Myśleli o niej. Budząca się myśl i mętne wspomnienia po równi uprzytamniały im, że to ona wywalczyła, iż młode ich ciała nie poszły na nawóz, że jej zawdzięczają to nowe życie, które oto zaczynają w ciepły, wiosenny poranek. Pierwszy tę świadomość zamienił w słowa Miłosza:

- Podziękować by trzeba starej Mirosławie.

- Jużci. Jeno ruszyć mi się nie chce. Tak tu dobrze.

Ale nie musieli się ruszać, gdyż z dala ujrzeni starszuskę, z nieodłącznym kosturem w ręku, obok tęgiego i rosłego, szpakowatego już męża, zmierzających ku nim. Zbierali się powstać, lecz stara z dala już krzyknęła:

- Leżcie!

Stała nad nimi patrząc przenikliwie swymi wyblakłymi oczyma; zdało im się, że widzą uśmiech na jej pomarszczonej twarzy. Jakby kończąc, co przedtem mówić zaczęła, ozwała się do stojącego obok męża:

- Popatrz! Nie prawdę rzekłam?

Ten patrzył na nich również z uśmiechem i ozwał się:

- Jestem Przybysław, dziedzic tego gródka. Znam brata waszego, Krzesza. Wielką sławę zdobył, ale w żalu odjechał, bo was ma za ubitych. Cieszę się, żeście pod moim dachem do zdrowia przyszli.

- Witajcie! - odparli. - Matce waszej dziękować, że żyjemy.

- Możecie mi mówić „babko” - wtrąciła stara.

- Dziękujemy wam, babko - ozwali się razem, uśmiechając się do niej.

- Przyjdziecie obiadować, opowiem wam, jak się skończyła wyprawa - rzekł Przybysław. -

Tymczasem wypoczywajcie, bo sił wam jeszcze potrzeba.

- Zdrowiśmy już; niedługo za gościnę i opiekę podziękować nam przyjdzie.

- Czas o tym mówić - wtrąciła stara i biorąc Przybysława pod rękę ruszyła ku domowi.

* * *

Bliźniacy istotnie zdrowi już byli zupełnie i choć nie ze wszystkim do sił jeszcze przyszli, a w Grabinie czuli się jak w niebie, podrywało ich już czasami, by w świat ruszyć. Że jednak nie bardzo wiedzieli, dokąd by jechać, a do służby w drużynie jeszcze byli za słabi, siedzieli tedy wałęsając się jak wyrostki po bagnach i lasach, za rybą, ptactwem i zwierzem, a najwięcej za swobodą, której jak żyli, nigdzie tyle nie zaznali. Niewiele też było z ich łowów pożytku, tyle że wróciwszy wieczorem gadali jeden przez drugiego, co widzieli w lesie czy na wodzie, a Mirosława siedziała z uśmiechem słuchając jak paplania dzieci. Przybysław wyjechał swojaków odwiedzić, siadywali sami; dobrze im było. Wreszcie jednak żadnego już nie było powodu, by dłużej siedzieć w Grabinie, i jednego wieczora wyjazd zapowiedzieli dziękując za gościnę. Stara, ku ich skrytemu żalowi, nie sprzeciwiała się już, jeno rzekła:

- Chcecie, to jedźcie. Jeno myślę, że i syna mego pożegnać by wam przystało. Wróci za parę dni, jeszcze wytrzymacie.

Zgodzili się skwapliwie, a stara zapytała:

- A dokąd jechać myślicie?

- Do kniazia Bolka, do Krakowa.

- Książ Bolko w Poznaniu bawi. A rodzicieli nie odwiedzicie? Nie wiedzą, co się z wami dzieje, pewnie myślą, żeście legli.

Zmieszali się, a Otłoka odparł:

- Radzi byśmy tam pojechać, ale nie lza.

- A to zaś czemu?

Opowiedzieli z ociąganiem, co było przyczyną, a Mirosława z uśmiechem na pomarszczonej twarzy ozwała się:

- Tedy żenić się nie myślicie? Szkoda, bo krasne z was pacholki.

Będą dziewczki płakały. No, trudno. Zaczekajcie, aż Przybysław wróci, a potem niech was bogi prowadzą.

Przygotowywali się przeto do wyjazdu i korzystali z ostatnich dni beztroskiego życia, by pożegnać miejsca, które polubili.

II

Skrucha

Mieszko wrócił do Poznania po Nowym Roku. Wczesna i ostra zima dopełniła klęski cesarskiej. Mieszko spustoszył marchię, przywiózł do ośmiuset jeńców i łupy, lecz sam na zdrowiu zapadł. Siłą woli jeno trzymał się na koniu, a powróciwszy, leżał przez dni kilka. Mimo zwycięstwa, ponury był, miast się radować, a wieści, jakie go oczekiwały, nie były pomyślne. Stoigniew ustawicznie niepokojony był przez sąsiadów zza Odry. Bolesław czeski zbroidł się, by uznanych przez cesarza morawskich roszczeń siłą dochodzić; Lubor z ruskiej granicy upominał się o posiłki, przewidując niepokoje po śmierci Świętosława. Mieszko zaś nie miał dość ludzi, wyprawa zjadła ich niemało. Zwłaszcza Bolkowy hufiec całkiem niemal był zniesiony.

Z Bolkiem od bitwy książę nie zamienił słowa. Nie dopuszczał go nawet do siebie, gdy leżał chory. Siedział tedy Bolko markotny w Poznaniu nie wiedząc, co począć ze sobą. Jaskotel niemal już

się wylizał, ale do domu pojechał ojcu cześć ostatnią oddać i wolę jego wypełnić. Nieprędko wrócić obiecywał, gdyż żenić się postanowił, jak ojciec przykazał, i na Pomorze wysłał do Thornsteina z prośbą, by do niego zjechał i, jako krewniak wiekiem najstarszy, ojca mu w swatach zastąpił. Krzesz o zwolnienie prosił i od księcia je uzyskał, jako z rodu ostatni. Jechał osiąść na dziedzinie, ze sławą i łupami, ale z sercem złamanym. Srogie wichry i mrozy łowy uniemożliwiały, siedział tedy Bolko i trapił się. Nie cieszyła go sława męstwa, jaką pozyskał, czekał, co ojciec powie. Wolałby znieść wyrzuty, a nawet karę, niż to milczenie, które go gnębiło. Byłby w tym nastroju wyjechał do pustelnika, żywił przecie nadzieję, że ojciec prędzej czy później wezwie go, więc siedział w Poznaniu. Jakoż księżę dźwignął się po kilku dniach i wziął zaraz udział w nabożeństwie, jakie Jordan na Trzech Króli odprawił. Bolko był również obecny i powitał ojca, który mu spokojnie odpowiedział, nie dając nic poznać po sobie. Zabiło w Bolku serce, gdy zaraz po powrocie z nabożeństwa przybieżał komornik z zawiadomieniem, że ojciec go wzywa. Gdy Bolko wszedł, księżę siedział na wyścielanym zydlu i bawił się z ulubioną suką i jej szczeniętami. Na wchodzącego spojrział przenikliwie i nie każąc mu nawet spocząć zapytał:

- Widzę, że siedzisz w Poznaniu i nie poczynasz nic. Na co czekasz i co zamierzasz?

Ciemny pąs oblał Bolkową twarz, lecz gdy nie odpowiedział, Mieszko powtórzył spokojnie, lecz z naciskiem:

- Pytam, po co siedzisz w Poznaniu i co robić zamierzasz?

Żal i gniew buchnęły w Bolku, lecz stłumił je w sobie. Zduszonym głosem odparł:

- Czekam, by rozmówić się z wami.
- Słucham tedy, co masz mi rzec.

Znowu zawrzało w Bolku, lecz jeszcze raz się pohamował. Nic z ojcem gniewem nie wskóra, lecz cóż uczynił, że jak obcy do niego mówi i nie da zrzucić z siebie ciężaru. Prawie krzyknął rozzalony:

- Rozkazy wasze chciałem usłyszeć!

Książę spojrzął na syna i odparł:

- Kiedyś rządzić masz krajem. Zapamiętaj sobie, byś nigdy nie wydawał rozkazów, których wypełnienia pewny nie będziesz. Bolko zarumienił się i spuścił oczy. Wiedział, że o nieposłuszeństwo sprawa, ale nie wiedział, jak przełamać zimną zaciętość ojca. Stał czerwieniąc się i blednąc na przemian, z zagryzionymi wargami. Milczenie zaczęło się przedłużać. Wreszcie książę zapytał:

- Masz coś jeszcze rzec?

Coś zerwało się w Bolku. Skoczył do kolan ojcowskich i wykrzyknął:

- Ukarzcie mnie, jak chcecie, ale nie mówcie jak do obcego!

Blask jakiś przeleciał przez twarz Mieszka. Nie poruszył się jednak i rzekł spokojnie, choć już nie mroźnie:

- Powstań i siadaj!

Bolko dźwignął się z kolan i usiadł na ławie nie patrząc w oczy ojcu. Ten po chwili zaczął:

- Mówisz, by cię ukarać, widno wiesz, coś winien. Gdy pierwszy raz zuchwalstwo okazałeś, ukarałem cię chłostą. Sprawa drobna była, ‘ więcej z porywczosci niż nieposłuszeństwa. A czy wiesz, jaką karę poniósłby każdy inny dowódca, który by w bitwie odważył się wbrew wyraźnemu rozkazowi działać?

Bolko milczał zasępiony, a książę rzucił twardo:

- Poszedłby pod miecz!

Gdy Bolko nie rzekł nic, Mieszko ciągnął dalej:

- Myślałeś, żeś synem moim, to ujdzie ci, za co inny zapłaciłby życiem. Ale pokaż jeno innym, że można kniazia nie słuchać bezkarnie, a wnet ujrzysz, że najdą się naśladowcy. Nie takiej od ciebie wyglądałem pomocy!

- Nic nie myślałem! - wybuchnął Bolko. - Bitki mi się chciało - tedy się biłem. Chcecie, to łeb mi utnijcie!

- Właśnie nie chcę, a bez kary, dlatego żeś mój syn, ostawić nie mogę, bobym tak właśnie czynił, jak ta suka, co się swoim szczeniakom za uszy i ogon ciągnąć daje nie warknąwszy. Człek nie zwierz, myśleć musi, a co dopiero kniaź!

Gdy Bolko milczał, książę ciągnął dalej:

- Chciało ci się bitki, dlatego się biłeś. Gdy ci się tedy odechce, nie będziesz się bił?!

Czternaście lat skończyłeś, do rządów się masz wdrażać, czas, byś rozumem kierować się zaczął.

Bolko milczał przezuwając wstyd. Po chwili szepnął nie podnosząc oczu:

- Co zrobię, kiedy sobą nie władnę, jak mnie poderwie!

- Sobą nie władniesz, jakoże drugimi będziesz? Kniaziem będziesz, los wielu ludzi zależy od tego, co czynisz, a ty nie wiesz co, bo sobą nie władniesz!

Znowu ksiązę umilkł i patrzył na syna, który po chwili rzekł zduszonym głosem:

- Nie dręczcie mnie już! Będę was słuchał we wszystkim. Zrobię, co każecie.

Mieszko siedział zamyślony. Wierzył, że skrucha Bolka jest szczerą, lecz zbyt dobrze go znał, by sądzić, że nagle zmieni swą gwałtowną naturę i będzie ślepo uległy. Zresztą nie chciał tego. Musi umieć sam powziąć postanowienie, ale też i skutki swego działania przewidzieć. Rzekł więc:

- Nie chcę, byś mnie słuchał jeno dlatego, że siłę mam i władzę.

Chcę, byś się nauczył rozumieć, do czego zmierzam. Ale na to musisz myśleć i przewidywać, a zwłaszcza przewidywać, co wyniknie z tego, co sam czynisz. Słyszę, żeś łupy, jakie na ciebie i twoich Wiślan przypadły, całe rozdał tym, co zostali?

- Rozdałem! - przytwierdził Bolko. - Mnie niepotrzebne, a nie chcę, by myśleli, że ich życie stawiałem, by dla siebie bogactwa zbierać.

Mieszko głową kiwał:

- Juści, szczodrość mile widzą ludzie. Jeno też głupia być nie może. A z tymi, co legli, jak myślisz załadzić? Bolko patrzył na ojca pytająco, nie rozumiejąc, o co idzie. Mieszko cokolwiek niecierpliwie dodał:

- No, przecie żony mieli i dzieci; bez ojców ostali, o nich zaradzić trzeba. Niech byśmy na pastwę losu ostawiali rodziny tych, co legli, wnet się zawaha jeden z drugim, nim życie stawi. Zaopatrzyć musisz wszystkie, a dużo ich jest. Masz z czego? Bolko pomyślał, że w skarbcu w Krakowie i w Poznaniu dość widział złota, srebra i wszelakich dóbr, lecz przygaszony nie odrzekł nic, ksiązę zaś, jakby zgadując jego myśli, ciągnął:

- Jaskotel prosił, by pożyczone od Skarbka sumy zwrócić, bo dzielić się ma z braćmi, żonę pojąć i wywianować. Niemało tego było, prawie że tutejszy skarbiec opróżnił. Krakowski skarbiec nie wiem, czy starczy, by szczerby z tej wyprawy w drużynie wyrównać, a szybko to musisz uczynić, bo nie wiadomo, czy z wiosną znów ruszyć nie będzie trzeba. Twoim to głównie dziełem natraciliśmy ludzi bez pożytku.

Bolko hamował łyzy. Teraz dopiero widział skutki swego nieposłuszeństwa. Złamany był. Ksiązę milczał, zdając się czekać odpowiedzi na zadane pytanie, a Bolko odpowiedzi nie znajdował. Widział teraz, że mylił się sądząc, iż mężne serce i silne dłonie to wszystko, czego księciu potrzeba. Żądzenie, które zrazu łatwym się zdało, przy pełnym skarbcu i silnej drużynie, teraz przedstawiać mu się zaczęło jako rzecz żmudna i niewdzięczna.

Pokornie niemal szepnął:

- Zaradźcie, panie, bo ja nie wiem, co robić.

- Nie! - rzekł twardo Mieszko. - Mężem już jesteś i sam skutki swoich czynów musisz ponieść.

Niech ci to tym razem za karę stanie. A nie będziesz wiedział, co robić, pytaj mądrzejszych od siebie. Nauczysz się przy tym ludzi poznawać i cenić, nie tylko wedle tego, jak się nadają do bitki i zabawy. Wypocząłeś już dość, ruszaj do Krakowa. Myślę, że tam ci czasu nie starczy na igraszki. Nazajutrz, o szarym, zimowym świcie orszak Bolka stał gotowy do drogi. Bolko zwlekał z wyjazdem, w nadziei, że jeszcze ojca zobaczy, lecz komornik służbę przy księciu pełniący oświadczył, że ksiązę dobrze po północy spać poszedł i budzić się nie kazał. Bolko wyszedł tedy na dziedziniec i z westchnieniem dosiadłszy konia ruszył ku bramie, a za nim niespełna pół setki liczące niedobitki drużyny.

Gdy znaleźli się na gościńcu, ruszyli kłusem. Słońce przebiło się przez szary opar, leżący na

wschodzie, i kraj rozświecił się od mroźnych iskier, aż oczy bolały patrzeć. W szeregach, w miarę jak ciepłało, gwar wesoły rozmów mieszał się ze stukiem kopyt o zmarzniętą drogę. Wracali radośnie do swych domów, z bogatym łupem, po zwycięstwie. Sam jeden Bolko jechał milczący i zasepiony. Władza, którą miał sprawować, nie zdawała mu się już ani lekka, ani przyjemna. Zaczynał też rozumieć, że nielekkie było życie ojca. I nie tak łatwo mu pomóc, jak się zrazu wydawało.

III

Lato

Skwar czerwcowego popołudnia ugniatał ziemię. W gęstwie olszowego zagajnika ostre promienie słoneczne przebijały listowie, siejąc się złotymi plamami na spokojną wodę rzeczulki powyżej gródka. Ciemna powierzchnia pstrzyła się połyskliwą łuską, a na płyciznach słoneczne pociski docierały aż do dna i leżały tam drgając jak zaczarowane płomyki, których nawet woda ugasić nie zdoła. Senna cisza panowała dokoła, powietrze było słodkie i ciężkie od woni, przyrodę ogarniało rozleniwienie beztroskiego szczęścia. Miłosza i Otłoka od południa tkwili w krzaczach nad rzeczką, od której szedł miły chłód, a łagodny szmer i mruczenie wody przy brzegach kołysały do drzemki.

Przedrzemawszy się leżeli dalej, patrząc bezmyślnie na plamki błękitnego nieba, przezierającego przez korony drzew. Gdy już słońce pochyliło się trochę, Miłosza usiadł i ozwał się:

- Wykąpać zdałoby się. Takiego lenia człowiek ma, że mu się poskrobać nie chce.

- I ryb można by nałowić w jamach pod korzeniami. Pewnie też drzemią, bo woda ciepła jak polewka - dodał Otłoka. Rozebrali się i ze stromego brzeżku opuścili w wodę. Popłynęli w dół psocąc po drodze, aż się obydwaj dobrze wody obłykali. Potem brodzili wzdłuż niewysokiego, urwistego brzegu, rękoma obszukując dziury pod korzeniami, często nurkując, gdy całe ramię w głębszą jamę wsadzić przyszło.

Wypoczywali właśnie zadyszani, gdy Miłosza nastawił uszu:

-Jedzie ktoś.

Istotnie, na ścieżce biegnącej wzdłuż rzeczki ku gródkowi, rozległ się głuchy tętent kopyt. Przywarli do brzegu, jeno ociekające wodą głowy widać było. Czterech jezdnych, jeden za drugim, kłusem zmierzało do gródka. Gdy mijali przyczajonych o kilka kroków, chłopcy ujrzeni, że na przedzie jechały dwie dziewczyny, za nimi zaś Przybysław, a pacholek zamykał pochód.

Jeno przebrzmiały odgłosy kopyt, Otłoka zapytał:

-Widziałeś?

- Widziałem.

Jak oparzeni, wyskoczyli z wody i pobiegli w górę, ku swej odzieży. Ubrali się w mig i popędzili do gródka, jakby ich kto ścigał.

Z dala już dostrzegli na podworcach gromadę ludzi i zwolnwszy, by wydychać, zbliżyli się ku stojącym.

Dziewczęta zsiadły już z koni i ścisnęły się na powitanie z Mirosławą. Bracia przystanęli z tyłu i trącąc się szeptali:

- Widziałeś, jakie cudne?

- Właśnie; całkiem do Czarnuszki podobne.

Ale tak były do niej podobne, jak czubata sikorka do czarnego łabędzia. Czarnuszka była smukła

i wiotka, twarz miała pociągłą i białą, ruchy spokojne i wdzięczne. A te były drobne, ruchliwe i zwinne. Okrągłe buziaki ze świeżymi rumieńcami, usta małe i pełne z lekko odchylną górną wargą z rowkiem od małego, cienkiego i trochę zadartego noska, o różowych, ruchliwych nozdrzach. Jeny może oczy pod sklepieniem czołem i równymi czarnymi łukami brwi przypominały trochę oczy Czarnuszki, ale wesołe były i bystre, o psotnym wyrazie. Nieuszło im widno nic, gdyż jeno skończywszy się witać z Mirosławą, zwróciły się ku pozostałym. Jedna z nich, spojrzawszy na braci, zawołała ze śmiechem:

- To są te topielce, których głowy leżały na brzegu, gdyśmy nad rzeką przejeżdżały.

Miłosza i Otłoka mieszały się, gdyż istotnie z polepionymi i ociekającymi wodą włosami na topielców mogli wyglądać, gdyby nie jaskrawy rumieniec, który wystąpił na ich lica. Mirosława jednak przyszła im z pomocą mówiąc:

- To są ci mężni woje, o których wam stryjko pewno mówił, cośmy ich śmierci wydarli. A zaś to moje wnuczki, po starszym synu:

Michna starsza, a Ofka młodsza - o dwie godziny. Poznajomcie się, chociaż nie na długo, bo zaraz jechać mają, jeno na Przybysława czekali - rzekła zwracając się do dziewcząt. Bracia coś bąkali, lecz już Głębina na posiłek wołała, więc weszli gromadą do świetlicy. Chłopaki, zrazu onieśmiałe, rozruszały się przy wesołych i psotnych dziewczętach i późny wieczór już był, gdy do swej izby na spoczynek odeszli.

Pomarkotnieli jednak i rozbierali się w milczeniu. Miłosza westchnął:

- Jutro trzeba nam jechać.

Otłoka nie zaraz odpowiedział. Położył się i naciągnął na siebie okrycie. Po chwili ozwał się zbolonym głosem:

- Nie wiem, czy pojedziemy jutro. Jakaś chorość się mnie ima.

- Może z wody na ciebie co wyszło, albo przez to, żeśmy lecieli tak prędko - rzekł ze współczuciem Miłosza.

- Pewnikiem z tego. Trzeba jutro z rana Głębinię zawołać. Niech coś radzi. Teraz już późno.

- Pewnie że późno - mruknął Miłosza ziewając. Otłoka, mimo choroby, zasnął zaraz i spał jak suseł.

Nazajutrz z rana zbudził się właśnie i zbierał myśli, co robić dalej, gdy dostrzegł, że nie ma Miłoszy. Zły był, bo chciał z nim uradzić, gdy posłyszał kroki i brat wszedł do izby, a z nim Mirosława i Głębina. Obmacały Otłokę, wypytały, co i gdzie mu dolega, po czym Mirosława, gryząc wargi, powiedziała:

- Umrzeć z tego, nie umrzesz, ale w łóżu poleżeć musisz. Ino jeść nic nie dostaniesz, jeno na poty, by się i w tobie nie zapaliło. Miłosza, skoro się jeno upewnił, że brat nie umrze, ulotnił się zaraz i tyle go było widać. Otłoka zaś, napojony gorącym odwarem obrzydliwych ziół i okryty futrami, pocił się w gorący dzień czerwcowy, głodny jak wilk, a zły jak osa. Przeleżał samotnie cały dzień, jeno Głębina mleka mu trochę przyniosła. Wieczorem słyszał, jak w świetlicy Miłosza psocił z dziewczętami, gdyż śmiechy aż do niego dolatywały, i omal się nie potargał ze złości i niecierpliwości, zanim Miłosza, zmęczony, ale rozbawiony i wesół, na nocleg przyszedł. Z udanym współczuciem jął wypytywać brata, jak się czuje, lecz ten przeciął gniewnie:

- Nic mi nie jest, jutro jedziemy.

- Poleżałbyś jeszcze dzionek lub dwa - troszczył się Miłosza nieszczercze. - Niech cię znów słabość najdzie, to co pocniemy?

- Głupiś! - fuknął Otłoka. - Nic mi nie było, inom sobie tak naprędce umyślił, żeby ostać.

Miłosza bynajmniej niezdawał się zdziwiony wyznaniem, jeno rzekł:

- Mójes ty! Poleż jeszcze z dzionek lub dwa. Skoro ci raz taka mądra myśl przyszła, nie powinieneś jej zmarnić. Otłoka jednak był nieubłagany. Zaczęli się spierać i pewnie by do bójki doszło, lecz Otłoka uciął:

- Chcesz ostać, to ty jutro będziesz się w łożu pocił, a ja się będę bawił z dziewczętami. Nie, to jedziemy. Miłosza wiedział, że Otłoka zacięty jest. Tedy nie było co począć i nazajutrz on brał na poty, a Otłoka bujał dzień cały i wieczorem przyszedł rozpromieniony i opowiadał z ożywieniem dzieje radosnego dnia. Znudzony Miłosza rozpogodził się i rzekł z ulgą:

- Odpokutowałem swój dzień, jutro ty znowu leżysz. Prawdę powiedzieć, to mi się okrutnie dziewczęta podobają, szczególnie Ofka. Zmiarkowałeś, jaką cudną, siną plamkę ma na lewym oku? Ale Otłoce nie podobała się plamka, a mniej jeszcze widoki na leżenie w dusznej izbie miast bujania w słońcu i powietrzu z miłymi dziewczętami. Westchnął obłudnie i odparł:

- Z duszy rad bym, ale nic z tego. Skaleczyłem się w skroń na tarniowych kolcach. Wraz by się oszustwo wydało. - Pokazywał zadrapanie. - Widziały obydwie, nic nie poradzisz. Zadowolony z siebie uwalił się spać i, zasypiając jeszcze, układał sobie jutrzejsze zabawy z dziewczętami, szczególnie z Michną. Jeszcze miłsza od Ofki i oba oczy ma jednakowe. Zmęczony zasnął trochę i obudziwszy się, pełen radości i podniecenia, z przerażeniem spostrzegł, że Miłoszy nie ma w izbie. Miłosza tymczasem był już daleko. Jechał konno, zadowolony z siebie, dziewczęta mając po obu stronach i opowiadał z ożywieniem o podróży do Rzymu, o lesie kamiennych budowli, którego krańców nie widać, a zabłądzić można łatwiej jak w prawdziwym, o wspaniałych kościołach, wielkich jak góry, o drogach z kamienia, o dziwnych drzewach, zielonych przez rok cały, i ludziach, odmiennych mową, obyczajem, strojem, a nawet kolorem twarzy. Dziewczęta, całe w słuch zamienione, wlepiały w niego swe wielkie, zadziwione oczy. Nagle Michna krzyknęła:

- Ach!

- Co się stało? - zapytał Miłosza.

- Nic. Jeno dziwne, że wczoraj rysę miałeś na lewej skroni, a ninie na prawej.

Miłosza zarumienił się tak, że mało mu krew z lic nie trysnęła.

Bąkał coś, lecz Ofka przytomnie rzekła:

- Zdało się coś Michnie. Powiadaj dalej.

Lecz Miłosza tak był zmieszany, że zapomniał, na czym skończył, i nie szło mu już. Ofka zagadywała, lecz Michna patrzyła na niego podejrzliwie i milczała znacząco.

Przystanęli na chwilę i schroniwszy się w cieniu rozłożystego dębu przed promieniami czerwcowego słońca, konie puścili na paszę i sami się pożywiali. Rozmowa się jakoś nie kleiła. Michna widocznie cięta była, a Ofka i Miłosza zmieszani. Może złościło dziewczynę, że Miłosza wciąż oglądał plamkę na oku Ofki, a na nią nie patrzył.

Gdy skończyli jeść i zbierali się jechać, Miłosza zapytał:

- Gdzie zaś dalej pojedziemy?

- Tam gdzieś nas wczoraj zawieźć obiecał - rzekła szybko Michna, a Miłosza zarumienił się znowu. Przytomna Ofka znowu pośpieszyła mu z pomocą:

- Pokazać nam obiecałeś leśne jezioro, gdzie lilie wodne rosną.

Ruszyli, lecz nie jechali już we trójkę. Michna przystała trochę z tyłu. Miłosza rozgadał się znowu i tak im się dobrze z Ofką gawędziło, że ani się spostrzegli, jak las rozwarł się i przed nimi

leżała płaszczyzna jeziora, obramionego szuwarem i trzcina, której długie kiście otaczały leśne oko jak rzęsy. Kilka spłoszonych kurek wodnych, pół lecąc, pół biegnąc po wodzie, zaznaczyło na ciemnej, gładkiej toni długą ośladę i zniknęło w szuwarach. Potem zwierciadełko wygładziło się i odbijało znowu ściany czarnego boru i plamę błękitnego nieba nad koronami wyniosłych drzew.

Stali wpatrując się w ciemną toń, a Miłosza ozwał się półgłosem, jakby się bał zmącić uroczysty spokój, leżący nad tym zgubionym zakątkiem:

- Całkiem to jezioro jak twoje oko.

By sprawdzić porównanie, patrzył z bliska w jej oczy i podobieństwo zdało mu się tak wielkie, że przygarnął dziewczynę i chciał ją pocałować. Zarumieniła się jak wiśnia, lecz łagodnie zasłoniła się ręką:

- Nie Kupała dziś, nie można.

- Ale pojutrze - odparł.

- Pojutrze - westchnęła.

Nagle oboje przypomnieli sobie o Michnie. Rozglądnęli się, ale nie było jej widać nigdzie. Zaczęli hukać i spłoszyli parę kaczek, które buszowały gdzieś w szuwarach. Uleciały z wielkim kwakaniem, a wraz z nimi - zaczarowany urok tego miejsca. Zawrócili i jechali własnym śladem zmieszani i milczący. Dotarli do dębu, pod którym poprzednio spoczywali, lecz i tu Michny nie było.

- Czy nie stało się jej coś - zaniepokoiła się Ofka.

- E, nie - odparł Miłosza zmartwiony - jeno ożliła się, zem ja miast Otłoki pojechał. Do dom pewnie wróciła i jeszcze wyda nas przed Mirosławą, żeśmy ją oszukali.

Ofka widno domyśliła się, o jakie oszustwo chodzi, gdyż nawet nie zapytała, natomiast rzekła:

- Nie wyda was, bo także chce, byście ostali.

- Także chce? - powtórzył Miłosza i znowu jakoś mimo woli ramię jego ogarnęło dziewczynę, lecz ona odsunęła się z uśmiechem i powtórzyła:

- Kupała jest pojutrze.

- Pojutrze - westchnął Miłosza.

Michna tymczasem dojeżdżała już do gródka. Zrazu przykro zdziwiona zmianą zachowania się chłopca od wczoraj, potem zła na Miłoszę, że zamiast Otłoki pojechał, gdy jednak pęd konia gniew jej wywiał, zrozumiała grę chłopaków i śmiała się z ich chytryści. Domyślała się także, że Otłoka umyślnie drasnął się w skroń, by brata zmusić do pozostania, i bawiło ją, że Miłosza tym samym mu odpowiedział, a jeno pomylił się i przez to się sprawa wydała. Myśląc zaś o przyczynie tych wszystkich zawiłości, odczuwała jakieś dziwne ciepło koło serca.

Toteż gdy gródek już był w oczach, powzięty w gniewie zamiar wydania przed babką oszustwa był już od niej daleki. Przeciwnie, przemyśliwała co zrobić, by mogli pozostać, a nie musieli na zmianę leżeć w łożu i nudzić się w takie piękne, pogodne dni. Na razie nic nie wymyśliła, a jedynie pewna była, że lepiej, by babka nie wiedziała o niczym, zanim się z Otłoką nie naradzi. Toteż zsiadłszy z konia przed gródkiem, ukryła go w krzaczach, a sama podchodziła chyłkiem, by nie spotkać kogo po drodze. Jeno strażnika na wyżce przy bramie uniknąć się nie dało. Patrzyła na niego zza krzów i poznała w stojącym starego wojaka Golca. Stał oparty na włóczni i kiwał się, podnosząc w miarowych odstępach czasu głowę do góry. Wprawę widocznie miał w drzemce na straży w gorącym słońcu letniego popołudnia, nie uchybiając swym obowiązkom. Że zaś głuchawy był trochę, liczyła na to, że uda jej się przemknąć niepostrzeżenie; jakoż się udało. Cisza i spokój były na gródku. Kto nie był na robocie w lesie lub na wodzie, ten chował się w cień, by przeczekać skwarne godziny.

Nawet stara Mirosława, zawsze ruchliwa i czynna, zabrała kądziel do sadu i przędła w cieniu rozłożystej jabłoni rozmawiając z Przybysławem, który układał się na murawie i chłodził się piwem. Widno coś śmiesznego opowiadała, gdyż czasami wybuchał swym hucznym, pocziwym śmiechem.

- A po czymże ich poznajecie? - zapytał. Pewnikiem o bliźniakach była mowa.

- Poznałyśmy - odparła. - Wraz zmiarkowałam, że urwis udaje, a dlaczego, zgadnąć nietrudno.

- Nie prostsze było ich zatrzymać?

- Nie, bo wraz by się spostrzegli, po co dziewczęta sprowadziłam.

A że sprzeczki są, a jako mówili, postanowili się nie żenić, tedy mogło nic z tego nie wyjść, a gdyby i wyszło, to wiesz: tanio kupione, nisko cenione.

Przybysław ruszył ramionami i odparł:

- Nie przeczę, że wdałe chłopaki i z dobrego gniazda, ale nieszczęścia by nie było. Dziewki miłe, ród dobry, a wiano nie byle jakie. Młódki to zresztą jeszcze, więc pośpiechu nie ma, a i to już niejeden o nie zabiegał.

Stara zakłęta, a Przybysław spojrział na nią pytająco.

- Nic, jeno przedza się zerwała. Wiem, żeby je wydać, nie trzeba się prosić. Alem sobie tak postanowiła, że za bliźniaków je oddam, a gdzie takich szukać? A ci jakby ze śniegiem spadli; jenom ich ujrzała, powiedziałam sobie, że to będą mężowie dla Michny i Ofki, choć zdatniejsi wyglądali do mogiły niż do łożnicy. Namęczyłam się przy nich dość, będzie, jak postanowiłam.

- Jako chcecie, jeno mówię, że czas mają, a już dziewcząt naglić nie ma co. Jeszcze im czepek nie w głowie.

- Co ty wiesz! Jeno rozłączać się nierade, bo od maleńkości jedna bez drugiej ni na chwilę się nie ruszy.

Przybysław zaśmiał się znowu dłonią usta zasłaniając.

- Czemu rechocesz? Nieprawda?

- A właśnie nieprawda! Popatrzcie!

Przez wyrwę w żywopłocie widać było, jak jedna z dziewcząt, rozglądając się na wszystkie strony, chyłkiem zmierzała od bramy do budynków.

- Oho! - mruknęła stara. - Tak prędko? Ciekawam jeno która i do którego. Zawołaj no mi Głąbinę. Nie wiem, który ostał, a coś tam i między sobą się oszukiwali.

Przybysław dźwignął się leniwie i poszedł ku oborom, a stara przędła uśmiechając się do swych myśli. Głąbina nie przychodziła długo i Mirosława już się niecierpliwiła, gdy z dala ujrzała nadchodzących. W tejże chwili jednak w bramę wjeżdżał drugi chłopak z dziewczyną.

- Spóźniłam się - mruknęła Mirosława do siebie i kazała Głąbinie zawołać dziewczęta. Nadeszły po chwili, niezbyt skwapliwie, a babka kazała im nici przewijać mówiąc:

- Nibyście do mnie przyjechały, a jak dzień długi was nie widzę.

Posiedźcie trochę z babką, bo niedługo wracać wam przyjdzie.

- Czemuż to? - zakrzyknęła Michna, a w głosie jej był przestrich.

- Cieszę się, żeście nierade od babki odjeżdżać - rzekła z lekką drwiną w głosie - ale powiedziec wam prawdę, ojciec się wkrótce swatów do was spodziewa, a przystoi, byście w domu były.

- Sami żeście mówili, że czas nam jeszcze - rzekła Ofka trochę niepewnym głosem.

- Kiedy mówiłam, czas był, ale czas nie stoi.

Nie odrzekły nic, jeno głowy pochylili nad robotą, by oczu nie pokazać, stara zaś ciągnęła dalej:

- Pusto tu będzie, bo i chłopaki wyjadą. Otłoka zdrów już i czas im wracać do kniazia.

- Gdzie zaś zdrów - zaprzeczyła Michna gorąco - sam mi mówił, że się dziś gorzej czuje.

Nie skończyła jeszcze, gdy gwar doleciał od budynków i widać było nadbiegającą Głąbinę. Z dała już wołała:

- Ady chodźcie, bo się na śmierć te juchy pozabijają!

Choć nie powiedziała kto, dziewczęta zerwały się, lecz Mirosława rzekła ostro:

- Ostaniecie!

Porwawszy kostur podreptała pospiesznie ku dworcowi wraz z Głąbiną. Nim dopadły, gwar ustał. Weszły do izby i oczy ich uderzył widok bliźniaków, jak leżąc na ziemi, dusili się wzajemnie za gardła, aż twarze im posiniały i ślepia na wierzch wyszły, ale nie popuszczał żaden.

W kącie izby stał ceber z wodą dla ochłody. Mirosława wskazała nań Głąbinie kosturem i zawołała:

- Lej!

Głąbina chlusnęła całą zawartością i poskutkowało. Puścili się zaraz i dźwigając się z trudem, dyszeli chrapliwie. Gdy Mirosława spostrzegła, że oprzytomnieli, ozwała się z kpiną:

- Bogom chwała, widzę, zdrowicie obydwaj; nie będę was więcej zatrzymywała. Tymczasem was zamknę, bo nie chcę, aby się mój trud zmarnował, a rano, podziękujecie gospodarzowi i jedźcie szczęśliwie. Chcecie się zabijać, to nie u mnie. Zabrała zawstydzoną Otłokę i zamknawszy go w izbie, na drugim końcu budynku, odeszła z powrotem do sadu. Usiadła i przędła w milczeniu.

Dziewczęta zerkwały na nią, wreszcie Ofka nie wytrzymała i zapytała:

- Co się stało, babko?

- Nic. Obydwaj już zdrowi jak ryby, a że się zaleźeli, to ich rozpiera. Pobili się jak koguty, aż ich wodą zlać musiałam. Miłoszę zamknęłam osobno, w komorze od stajen, a jutro rankiem jadą, to i spokój będzie.

Wstała i zabierając kądziel, dodała:

- Słoneczko już zelżyło, bydło wnet z paszy wróci. Do gospodarstwa trzeba iść; kołacze i mięsiwo też przygotować należy. Kupała pojutrze.

IV

Wstrząsająca wieść

Wiosennej nocy 980 r. w zamczku myśliwskim, w lesie zwanym Ketill cesarzowa Teofano powiła szczęśliwie syna, trzeciego z imienia Ottona.

Cesarz, który rozwiązania swej małżonki oczekiwał, jeno powitawszy syna, wraz go pożegnał, by więcej nie ujrzeć, i zleciwszy opiekę nad nim kolońskiemu arcybiskupowi Warinowi, do Italii pociągnął niechając do czasu - jak mniemał - uciążliwej misji słowiańskiej. Wieść o tym doszła Mieszka na rokach wiosennych. Wraz do Poznania zawrócił, Bolkowi dalszy objazd kraju i sądy zleciwszy. Jeno przybył na dworzec, wpadł w wir zajęć. Poselstwa i posłańcy przybywali ze wszystkich stron, ćwiczone wojska, kuto broń i jasnym było, że znowu gotuje się wyprawa, jeno przeciw komu, nikt nie wiedział.

Między innymi, niespodzianie, choć może nie dla księcia, przybył z okazałym pocztem margraf północnej marchii, Dietrich. Z przyjazdu tego snuto różne domysły, książę jednak nie zwierzał się nikomu. Szły uczyty i narady, po czym Dietrich wyjechał, jeno z bogatych darów, jakie margraf

otrzymał, i skrywanej radości, świecącej na jego, mimo wieku, pięknej twarzy, domyślano się, że swego dopiął.

Mniej jednak od Mieszka powściągliwym w słowie musiał być margraf.

Bolko bawił właśnie w Lubuszy, gdzie zjechali się ze Stoigniewem i Jaskotelem. Ciężką zimę miał za sobą, nic, jeno nudna praca, rachunki i targi, doglądanie płatnerzy i stadnin. Nie miał przedtem pojęcia, ile się napracować a nagłowieć trzeba, by jaki taki hufiec stanął. Zdało mu się, że woje na kamieniu się rodzą, jeno stanąć na ich czele i prowadzić. Zaopatrzył też, jak się dało, rodziny poległych i nieraz przy tym wspomnieć musiał zmarłą matkę, z którą często obchodził i objeżdżał wszelką biedotę. Nie przypuszczał wówczas, że ona i tym sposobem małżonkowi pomaga zdejmując z niego jeden z obowiązków. Nie tylko jemu matki zabrakło; biedę, ale i żal koić umiała, którym się dość napatrzył. Nie zapłaci niczym za życie, ale okazanie serca więcej nieraz znaczy niż pomoc.

Odrobiwszy swe obowiązki Bolko radośnie poił się obecnością swych najmilszych towarzyszy, których brak w samotności swej odczuwał. Ciepła i sucha pogoda późnej wiosny sprzyjała rozjazdom. Na granicy panował spokój. Gdy jeno czas pozwalał, jeździli samotrzeć w różne strony. Dotarli aż do Pyrzyc i Cydzyny, gdzie Stoigniew i Jaskotel pokazywali miejsca, któredy przetoczyła się bitwa, i rzeczny klin - w którym omal nie zginął książę, a ranny był Audun - i leśną łąkę, gdzie Stoigniew ojca pożegnał. Spokojnie tam było i cicho; ślady walki zarosły, jeno czasem gdzieś, z mchów, kość bielą w słońcu. Stali o księżycu w miejscu, gdzie zginął Ścibor, a milczący zwykle Stoigniew rozgadał się o tej nocy po bitwie, gdy jeńców stracić kazał na moście. Bolkowi zdało się, że przeżywa te chwile, których ledwo dosięgał dziecinnym wspomnieniem, a które i na jego losie zaważyć mogły. Podziwiał ojca swego i w duszy przyrzekał sobie, że mu dorówna. Zarazem rosła w nim nienawiść do sprawców tych wszystkich nieszczęść, którą i bez tego wyniósł z długoletniej niewoli. Tylko nie wywierała się już dziecinną złością. Zakorzeniła się w budzącej się myśli i wraz z nią się rozwijała pod wpływem Stoigniewa. Bolko, będąc chłopcem, lubił go po prostu, teraz zaczynał go rozumieć, choć nie ze wszystkim. Książęcego rodu, obdarzony przez naturę jak mało kto, mimo młodego wieku doświadczony, uczony, że niejedyn kapłan mógł mu pozazdrościć, nie zmierzał wyraźnie do niczego. Od dworu stronił, niewiastami się nie zajmował, bogactw nie zbierał, wojnę i łowy zdał się mieć za zwyczajny obowiązek, który wypełniał umiejętnie, ale bez zapału. A jednak tkwiła w nim jakaś namiętność, którą czasem jeno błysk oka zdradził, gdy się rozgadał o tych właśnie sprawach, których Bolko zrozumieć nie mógł u ojca i które go męczyły i przerażały, gdyż czuł, że bez ich znajomości rządzić się nie da tak wielkim państwem, jakie, ojciec zbudował.

Pobył Bolka w Lubuszy przedłużał się i upalny czerwiec miał się ku końcowi. Jaskotel już nazajutrz miał jechać, księcia Mieszka na wesele swe prosić, a Bolko postanowił wracać z nim razem, by cześć wyrządzić przyjacielowi, skoro wątpliwym było, czy ojciec będzie mógł z Poznania wyjechać. Na pożegnanie wybrali się konno ku Niemczy i wracali gościncem późnym już wieczorem. Jaskotel psocił przez całą drogę tak, że śmiał się nawet poważny Stoigniew. Zmęczył się jednak w końcu i wracali w milczeniu. Myśli każdego w innym pobiegły kierunku; Jaskotela do niedalekiego małżeństwa;

Bolko dumał nad tym, jak kiedyś rządzić mu przyjdzie i rad był, że ojciec dźwiga ten ciężar, do którego dźwigania jemu sił jeszcze nie staje, oraz że los mu zdarzył Stoigniewa, który kiedyś mu pomoże. Stoigniew zaś widocznie myślał błędził w przeszłości, gdyż nagle ozwał się:

- Osiem lat temu Dzik jechał tą drogą do leśnej chaty przed cydzyńską bitwą.

- Mówią, że w noc kupalną różne dziwy się dzieją, może go ujrzymy

- rzucił Jaskotel.

Stoigniew uśmiechnął się lekko, Bolkowi zaś dreszcz przeszedł po grzbiecie.

- Chata niedaleko, możemy tam zajechać - rzekł Stoigniew.

- Trafisz aby, bo ciemno już.

Istotnie księżyc już zaszedł. Mrok leżał na gościńcu, w głębi zaś lasu ciemność zupełna.

- Trafię - odparł Stoigniew. - Każdy krok owej nocy uczyniony w pamięci mam, jakby to wczoraj było.

- To jedźmy! - rzekł Jaskotel. - Wstydno młodemu spać w kupalną noc. Może gdzie na uroczysku na sobótki trafimy. Ostatni to już raz dla mnie.

- Lepiej kwiatu paproci poszukaj, przyda się w nowym domu. A po tej stronie chyba wilcy albo zbóje sobótki świecić będą, bo spokojnego mieszkańca tu nie uświadczą.

Skręcili w las i jechali jeden za drugim, w zupełnej prawie ciemności, więcej słuchem niż wzrokiem kierując się za Stoigniewem, który prowadził pewnie, jak gdyby dobrze znaną drogą. Pojaśniało nieco, gdy wjechali na otwarte bagno, zamigotały gwiazdy nad głowami, lecz znów zanurzyli się w mroczną ścianę boru. Stoigniew zatrzymał nagle konia:

- Światło widać! - szepnął.

Istotnie, z nie dającej się określić odległości szedł ku nim przez głębokie ciemności słaby, lecz wyraźny promień światła.

- Na sobótkę za małe, na kwiat paproci za jasne - rzekł cicho Jaskotel.

- Co to może być?

Bolka znowu dreszcz przeszedł, lecz Stoigniew odparł spokojnie:

- Jakby od Dzikowej chaty. Może być swój, a mogą być obcy.

Zsiądźmy z koni, przejdźmy pieszo. Ostrożność nie zaszkodzi. Przywiązali konie i posuwali się cichaczem. Czasem pnie lub krze gasiły wątyły promyk, lecz jawił się znowu, coraz silniejszy. Widno zbliżali się już do jego źródła.

Jeszcze raz krze przesłoniły blask. Przebyli je bez szelestu i stanęli na skraju wykrotu, w którego głębi leżała chata. Przez szparę w drzwiach wyraźnie przeświecało światło. Ktoś był w chacie.

Nasłuchiwali przez chwilę, lecz nie poruszyło się nic. Wówczas Stoigniew śmiało ruszył przed siebie i otworzywszy drzwi zajrzał do wnętrza. W mrok wybiegł słup blasku oświetlając pnie drzew nad wykrotem. Stoigniew wszedł do chaty, a za nim towarzysze, pełni napięcia i gotowi na wszystko.

Przy ogniu płonącym na kamiennym palenisku, siedziała jakaś postać, plecyma do drzwi. Gdy Stoigniew wszedł, odwróciła się bez pośpiechu i siedzący ozwał się spokojnie, jakby do oczekiwanego gościa:

- Witajcie, Stoigniewie. Kogoście przywiedli?

- Witajcie, Zbrozło! Kniazia Bolka i Jaskotela.

W Bolku serce uderzyło wzmocnionym tętnem. Oczekiwał jakichś niezwykłych zjawisk tej nocy i niespodzianie w głębi boru spotkał człowieka, którego jeno kilka razy widział przelotem, wiele natomiast słyszał o nim szeptanych dziwów. Ojciec ni Stoigniew, którzy go ponoć lepiej znali, nie mówili o nim nigdy. Po raz pierwszy miał sposobność bliżej mu się przyjrzeć. Po przywitaniu przeto usiadł w zaciemnionej kącie przy palenisku i patrzył z ciekawością i podnieceniem.

Jaskotel zakręcił się po chacie, wyciągnął skądś garnek i głodny widocznie po przejażdżce, wziął się do warzenia strawy nie troszcząc się, co się wkoło niego dzieje i nie biorąc udziału w

rozmowie, jaką rozpoczął Stoigniew.

- Wracamy do Lubuszy, a jutro książę Bolko z Jaskotelem jadą do Poznania. Pojedziecie z nimi?

- Nie! - odparł Zbrozło swoim głuchym głosem.

- Nie macie żadnych wieści dla księcia?

Nie - Co wiem, mogę tobie powiedzieć, powtórzysz księciu, co zechcesz. - Jakaś niechęć czy żal brzmiały w głosie Zbrozły. - Gości możesz mieć na Pomorzu. Sinozęby się tam wybiera ze szwedzkim królewiczem Styrbjórnem. Weleci też pewnie nie pominą sposobności.

- Dobrze, że od Niemców spokój, mogłoby być ciężko - odparł spokojnie Stoigniew.

- Pewnie! - przytaknął Zbrozło. - Nawet bratać się z nimi książę zamierza.

Stoigniew spojrzał ze zdziwieniem, a Bolkoomal z ławy się nie zerwał oburzony. Powściągnął się jednak, gdyż paliła go zarazem chęć dowiedzenia się czegoś. Jakoż Zbrozło ciągnął:

- Nie darmo ten pies, Dietrich, jeździł do księcia. Córę mu swoją zaswatał. Posag zaś pewnikiem z tego wypłaci, co ze sprzedaży w niewolę słowiańskich poddanych uzyska - głos Zbrozły zazgrzytał. Bolkowi krew uderzyła do głowy. Nieraz słyszał, że ojciec pewnie niewiastę weźmie, lecz zdało mu się to dalekie i oderwane i nie budziło żadnych uczuć. Obecnie usłyszał o tym, jak o rzeczy pewnej i niedalekiej. Żal w nim wybuchnął za matką i żal do ojca. Cisnęły mu się na usta pytania, lecz nim je wyrzucił, Stoigniew, który znał stosunki w pogranicznych marchiach, zagadnął:

- Jakże to możliwe? Dietrich dwie córki ma zaswatane, zaś trzecia

- Oda, mniszką jest w Kalbe u św. Wawrzyńca.

Zbrozło ruszył ramionami.

- Nie nowina to! - rzekł. - Bogu się córkę oddaje, gdy nie ma komu, a trafi się, to się Bogu odbiera i mężowi oddaje. A Kościół się przeciwi albo nie, jak mu dogodnie. Tym razem się przeciwi i stąd rzecz się wydała, bo biskup żytycki księcia Mieszka nienawidzi, a margrafa nie kocha, więc się sprzeciwił. Margraf sam siły nie ma, by swoje wymóc, ale książę Mieszko dopnie, co postanowił. Że Dietrich będzie miał z tego pożytek, to pewne, a kto więcej, niewiada.

Stoigniew zadumał się. Zbyt dobrze znał Zbrozłę, by przypuszczać, że się wygadał. Umyślnie mówił przy Bolku, by go przeciw ojca małżeństwu nastawić. Znał też Bolka, iż wzburzony i przy ojcu wybuchnąć potrafi, a nierówny, głośny oddech dochodzący z kąta, w którym siedział, świadczył, że Zbrozło swoje osiągnął. Bał się jednak zarówno o Zbrozłę, jak i o Bolka. Książę nie lubił ani zdradzania spraw, które w tajemnicy chciał utrzymać, ani wtrącania się w to, co postanowił.

Napreżone milczenie przerwał Jaskotel stawiając misę z mięsem na stole i mówiąc:

- Żeni się książę, nie żeni, a zjeść coś trzeba. Książę dość chytry jest, by Niemców objechać.

Mniszka, dziewczka jak inne, może i lepsza, bo upilnowana. Potrzebuje książę Niemców, to dziewczkę od nich bierze, a nie będzie potrzebował i znudzi się, to wygna. I to nie nowina!

To mówiąc zasiadł przy stole z tarcic i wyciągając nóż zza pasa dodał:

- Serca tam książę do dziewczki nie ma, kiedy jej na oczy nie widział, choć urodna ma być, jak słyszałem.

- Oda swoich ludzi zwlecze i swoje porządki zaprowadzi - rzekł Zbrozło. - Choćby poszła, droga przetarta dla następnych, jeśli nawet swego pomiotu nie podrzuci.

- E! - odrzekł lekko Jaskotel. - Jedną to Niemkę miałem i też drogę następnym przetarłem, nie stało mi się nic - zaśmiał się swawolnie, lecz wspomnienie Geilany zakłuło go i zamilkł. Po chwili dorzucił:

- No, jecie albo nie, ale ja jem. - I zabrał się do mięsiwa.

Bolko, nic nie rzekłszy, wyszedł z chaty. Krótka noc miała się ku końcowi, niebo błękitnieć zaczynało nad drzewami, różowozłoty blask przesączał się przez korony drzew. Las budził się z krótkiego, letniego snu.

Bolko zaczerpnął świeżego powietrza i pomału się uspokajał. Zamierzał właśnie wrócić do chaty, gdy drzwi się otwarły i wyszli Jaskotel ze Stoigniewem żegnając w progu Zbrozłę. Przy dziennym już świetle ujrzał Bolko po raz pierwszy z bliska blade, przenikliwe, głęboko osadzone oczy Zbrozły. Znowu ogarnął go niepokój, tym razem jakiś inny. Ten człowiek coś od niego chciał i czegoś się spodziewał, lecz Bolko nie mógł zrozumieć. Doszli do koni i puścili się ku Lubuszy. Stoigniew jak przedtem jechał na czele, zamyślony. Gdy wyjechali na gościniec, puścił konia klusem, a za nim Jaskotel i Bolko.

Gdy Jaskotel zrównał się z nim, Bolko ściągnął konia i zapytał:

- Słyszałeś wszystko? Co o tym sądzisz?

- Co mam myśleć! - odparł Jaskotel. - Jeno widno, że kniaź do swego zmierza, a Zbrozło do swego. Który praw, nie rozeznasz, bo to jest pewne, że każdy z nich większą głowę ma niż my obaj razem. Szkoda jeno, że Zbrozło kniaziowi więcej służyć nie chce. Wielce go kniaź cenił, a takich ludzi mu brak.

Po chwili milczenia Jaskotel powiedział z wahaniem:

- Jeśli wam radzić wolno, nie mówcie z kniazem, coście od Zbrozły słyszeli. Nie wskóracie nic, jeno gniew. Może się samo jeszcze odmieni. A nie, to przecież kniaź, gdy nadejdzie czas, zamiar ogłosić musi, a wam pewnie nie ostatniemu powie. Naglić zaś nie warto, bo i co z tego przyjdzie?!

Bolko zrazu nie odrzekł nic, jeno się zamyślił. Gdy ujechali kilkadziesiąt kroków, zwrócił się do Jaskotela:

- Może i dobrze radzisz; bym jeno potrafił się powstrzymać. Aż mnie zakłuło, gdym posłyszał, że macochę mi ojciec chce dać. Nie potrafię udawać, że nie wiem.

- Nie w tym rzecz - odparł Jaskotel - że się kniaź żeni, bo nawet dziwili się ludzie, że tyle czasu bezżenny ostaje, jeno że Dietrichową córkę bierze, mniszkę w dodatku. Choć i to niedziwne. Kniazie i króle, ba, nawet sam cesarz, żenią się tak, jak im trzeba, a nie, by sercu dogodzić. A co trzeba, to kniaź lepiej wie i nikomu wtrącać się nie zezwoli. Na co wam spory z ojcem, których nie wygracie, bo jego prawo we wszystkim. Udawać nie macie co, bo zaraz na moje weselisko pojedziemy, potem zaś wracajcie do Krakowa, to i niewiele się z ojcem widzieć będziecie. Powie sam, to się też hamujcie, by nie wybuchnąć. Ani warto z kniazem zaczynać, ani jest o co.

Bolko spojrział na towarzysza podejrzliwie i Jaskotel trochę się zmieszał.

- Co masz w tym, że tak obstajesz, bym się ojcu w jego małżeństwie nie przeciwiał? - zapytał Bolko.

- Prawdę rzec - odparł Jaskotel - to miłuję i kniazia, i was, po co mi wybierać? Że ten stary czarownik na swój młyn chce waszą wodę puścić? A cóże wam od kniazia grozić może? Dożyje kniaź swoich lat, daj mu Boże najwięcej, to wam dziedzinę ostawi. Co się przed czasem do władzy dopychać i mieszać?

- Zostawi albo nie - rzekł Bolko. - Jeśli Oda synów mieć będzie, dopilnować nie omieszka, by dzielnice dostali, a cesarz ich poprze, nie mnie.

- Co tam naprzód myśleć i nieurodzonym wojnę wypowiadać?! Będzie, jak mówicie, to wygnamy. Ale przeciw staremu kniaziowi ja nie stanę i myślę, że i nikt. Lepiej się przytajcie, kiedy nie macie sił.

- Żeby to umiał się przytajać.

- Nie umiecie, to się uczenie od własnego ojca. Przyjdzie wam rządzić, będziecie mieli jak znalazł.

Bolko milczał. Po chwili rzekł poważnie:

- Pamiętaj, coś rzekł, że ze mną trzymać będziesz przeciw każdemu, krom mego ojca.

- Bez przypominania pamiętam - odparł równie poważnie Jaskotel.

Nie obyczaj w moim rodzie na wiatr rzucać przyrzeczenia.

Bolko wyciągnął dłoń do Jaskotela, który mocno ją uściskał.

V

Kupała

Zorze długo jeszcze stały na niebie, gdy gródek leżał już w ciszy i milczeniu. Jeno z okien Mirosławy przebijało przez błony światło, zresztą wszędzie już było ciemno. Ciepła, letnia noc pieszczotą legła nad znużoną blaskiem i upałem ziemią. Niby cicho było w ciemnościach, przed zejściem księżycy, ale bystre ucho zewsząd wyłowiłoby szepty i szmery, ostrożne stąpania. Letnia noc krótka, do snu się nie nadaje, zwłaszcza gdy ważniejsze są sprawy. Jeszcze tylko dzionek jeden, choć długi, dzieli od kupalnego wieczoru. A rankiem niejedna dziewczyna wianek puści na wodę; trzeba miłemu powiedzieć, po czym poznać go może i wyłowić. Niejedna i bez tego odda go miłemu, bo nużby nie poznał i wianek z wodą by popłynął, na darmo.

A ileż to trzeba chytrłości i wykrętów, by ujść spod czujnego oka starszych, którzy wiedzą, co się święci. Zabawa zabawą, obyczaj stary jak świat i uświęcony. Sobótki przecie zapłoną od Łaby po granice dalekich stepów na wschodzie, od sinych fal Bałtyku, po dalekie góry na południu, ale swojej każdy upilnować by rad. Cóż że potem przyjadą swaty z wykupem, z dobrym słowem zgodę czynić, ale wtedy człek miększy być musi. Póki dziewczka upilnowana, póty o wianie i oprawie gadać łatwiej, a nawet przegnać zalotnika, jeśli się nie nadał:

Ale zaś tam stary ustrzeże młodego, Nie on przyjdzie do niej, to ona do niego. Śmieje się pocziwie Przybysław, gdy matka nuci mu kupalną piosenkę, którą za jej młodych lat śpiewano. Dziw, jak dobrze pamięta. Przybysław mówi:

- Ale was nie zwioda: nie tylko piosenki, wierę, pamiętacie, ale i co inne też. Taki już porządek, od zarania świata,

Stary pełźnie żółwiem, młody ptakiem lata.

- Lata - zaśmiał się Przybysław - jeno na waszej nitce.

- Dobrze płynę, bo z wodą - odparła. - Ale szybko pełznąć trzeba, bo się nitka urwać może. Spać idź, bo jutro spać nie będziemy.

- A zaś czemu? Chłopaki przecie wyjeżdżają.

- Staryś już, idź spać. Na Kupałę jutro idziem z młodymi. Ja jeszcze na Głabinę poczekam.

Przybysław zbierał się do wyjścia, gdy zaskrobano do drzwi i weszła Głabina.

- Co tam? - zapytała Mirosława.

- Ofka się zmówiła pod starą brzozą, przy leszczynowej kępie, zaś Michna koło mostku nad strugą.

- A nie spostrzegły się, zem im chłopców pomieniała?

- Spłoszyłam ich w samą porę, by się nie zgodali.

- Dobrze. A teraz spać.

* * *

Nazajutrz bitniki ze skruszonymi minami stali w otoczeniu gródkowych ludzi żegnając się ze wszystkimi. Przybysław uśmiechał się pod wąsem, gdy Mirosława braciom przewodnika dać się ofiarowała, który by ich wywiódł na międzyrzecki szlak, by nie błądzili po puszczy, oni zaś bąkając wykręcali się, jak umieli. Stara nalegała, że już nie wiedzieli co robić, gdy wreszcie rzekła:

- No, jedźcie już szczęśliwie. Wierzę, że traficie, kędy wam potrzeba. A zapamiętajcie drogę, bo może nas kiedy odwiedzicie. Radzi wam zawsze będziemy.

Udawała, że nie patrzy na dziewczęta, które płonily się i bladły na przemian. Odetchnęły z ulgą, gdy wreszcie chłopcy na koniach już siedzieli, które pożyczył im Przybysław, by nie musieli jak łągę jawić się w drużynie, i żegnani okrzykami i życzeniami, przejechali bramę i ścieżką koło rzeczki wykręcili na wschód. Rozeszli się wszyscy do swych zajęć, które wcześniej zakończyć należało, by na czas zdążyć na leśną polanę, na której od wieka na święto Kupały się zbierano z okolicznych osad i gródków. Pogodny, letni dzień szybko mijał wśród rozlicznych zajęć i przygotowań do uroczystości, ale nieznośnie dłużył się Miłoszy i Otłoce, którzy ujechawszy spory kawałek, miast skierować się w skos ku północy, przebrnęli rzeczkę i zapuścili się bezdrożem w las na południe. Wyszukali zaciszną polankę, rozsiodłali konie i puścili je na paszę, a sami legli na mchu i zrazu milczeli.

- Czy aby nie za blisko gródka? Żeby nas kto nie naszedł - ozwał się pierwszy Miłosza.

- Zaś tam będzie się dzisiaj kto po lesie włóczył - odparł Otłoka.

Umilkli. Niespokojni byli i podnieceni i co chwilę któryś zrywał się, by usiąść z powrotem. Miłosza podjął znowu:

- Szkoda, żeśmy się w jednym miejscu nie zmówili, żeby się ino nie pogubić po lesie w ciemności.

- Nie było jak. I tak zresztą przy koniach się spotkać musimy, tedy zajedno.

- Prawda - przyświadczył Miłosza.

- Jak myślisz, nie zawężmie się na nas stara?

- E, co nam robi? Porwiemy dziewczki, to nam je muszą dać. Nie my pierwsi.

- Nie o to, jeno, że po prawdzie, żeby nie ona, tobyśmy pod trawą leżeli, nie na trawie. A tak dobrze jest żyć. Winniśmy jej coś i lubiła nas.

- Co zrobisz, kiedy, jak Ofka mówiła, swatów po nie słać mają. A gdzie nam należć takie dziewczki, żeby się każdemu inna podobała. I rozłączać się nie będziemy musieli, i do rodzicieli nad Kamienną można będzie pojechać. Tak mi się czasem cni za nimi i domem, że coś.

- Pewnie, tak ino mówię. Lubię Mirosławę, tobym się z nią pociąć nie chciał.

- I ja też. Ale nie czas o tym myśleć, jeno - by się udało.

Mirosława chytra jest, mogła coś zwietrzyć i dziewczki w domu zatrzymać. Nie sztuka poznać, co się święci, tak się płonily, jedna przez drugą.

- A ty to nie?!

- Odczep się. Sameś wyglądał jak pędrak, któremu ojciec skórę złoil.

- Żebym ja tobie nie złoil! - krzyknął Otłoka zrywając się na nogi.

Może by im czas na bójce prędzej przeszedł, lecz że ich kości jeszcze bolały po wczorajszej, a myśl była zajęta czym innym, rozeszło się jakoś. Postali chwilę naprzeciw siebie, nastroszeni jak cietrzewie. Pierwszy Otłoka odetchnął i rzekł:

- Zjeść by się coś zdało.

Sięgnęli do juk, wyciągnęli zapasy, które im Mirosława zgotowała na drogę, i wzięli się do jedzenia mile ją wspominając. Znalazł się też i dzban miodu, popili godnie i nabrali lepszej myśli, a że zeszłej nocy mało co spali, jeno wyciągnęli się na trawie, posnęli.

* * *

Pierwszy obudził się Miłosza, zdretniał od leżenia na jednym boku. Przeciągnął się ziewając i zamierzał obrócić na drugi, gdy nagle ocknął się i usiadł. Miast błękitu, z rzadka przetykanego białymi obłoczkami, nad głowami wisiał granat nocnego nieba, gwiazdami wyiskrzony.

Zerwał się i kopnął Otłokę:

- Wstawaj! - krzyknął.

Otłoka skoczył na równe nogi, gotów do bitki, lecz widno również przypomniał sobie, na co czekali, gdyż bez słowa skoczył do koni, a za nim Miłosza. Nie bacząc, że łby mogą porozbijać w ciemności, gnali lasem ile pary w koniach. Spóźnią się, to na nic wszystko. Kilkakroć, cudem jeno, w ostatnim mgnieniu oka uchylili głowy przed zaczajonym w ciemności konarem, tak że mimo całego podniecenia i niepokoju, przyszło im na myśl, że z rozbitym łbem nigdzie nie zajdą i zwolnili.

Nie było jednak powodu do zbytniego pośpiechu, gdyż do wschodu księżycy, o którym się zmówili, czas był jeszcze. Niebo lekko dopiero srebrzyć się zaczynało, gdy dotarli do znajomej strużki leśnej i stanęli. Stąd już parę tylko stajań było do polany, na której święcono Kupalę, i konie zostawić należało. Spętali je tedy starannie i pieszo ruszyli na odległy gwar. W miarę jak się zbliżali, gwar rósł i rozróżniali już obrzędowe pieśni o Jessem i Ładzie, te same, które nad Wisłą śpiewano. Przez chwilę serca ich ścisnęły się tęsknotą za swoimi, lecz zaraz myśl wróciła ku bliższym sprawom i niepokój przyspieszył ich kroki: czy wszystko będzie, jak przewidzieli? Czy chytra Mirosława puści dziewczęta z domu? Czy uda im się wymknąć niepostrzeżenie? - i sto innych pytań i wątpliwości cisnęło im się natrętnie na myśl przyspieszając bicie serc. Ale już nie czas było na rozmyślania, gdy między drzewami błysnął krążek księżycy. Smugi cienia, rzuconego przez drzewa, porały las w bruzdy. Nakrapiane mlekiem pnie wyskoczyły z mroku, a ciemne sklepienie gałęzi zmieniło się w gęstą sieć, przez którą cedziło się światło miesięczne na kępy paproci, wytryskujące z ciemnego podłoża jak srebrne pióropusze. Chłopcy nie widzieli jednak czarownego piękna księżycowej nocy w lesie, gdyż oczy ich wabił różowy poblask majaczących już przez gęstwinę ognisk kupalnych. Tam biją drugie dwa serca, tym samym niepokojem, a może już dziewczynom wymknąć się udało i czekają na miejscu schadzki. Czas już, czas.

- Gdy się spotkacie, biecicie ku nam do mostku; razem do koni pójdziemy - ozwał się Otłoka.

Rozłączyli się i Otłoka skręcił w prawo, ku mostkowi na strudze, opodal ujścia do rzeczki, zaś Miłosza podążył prosto, ku świecącej z dala jaskrawym światłem, samotnej brzozie. Szli ostrożnie rozglądając się na wszystkie strony, gdyż las nad rzeczka urywał się, a zaczynały się kępy krzów, które zasłaniały niedalekie już miejsce nocnych obrzędów. Łatwo mógł ktoś kręcić się opodal ognisk i z nagłą natknąć się na nich, tym bardziej że odgłosy pieśni, śmiechów i okrzyków głużyły wszystkie inne i wzrokowi jeno zaufać należało.

Otłoka zaraz stracił brata z oczu i podsuwał się ostrożnie ku kępie krzów nad strugą, przy mostku. Gdy dotarł do niej, obejrzał się, odetchnął i rozgarnawszy gałęzie stanął, wychylając jeno głowę, by mieć na oku ścieżkę, którą Michna powinna nadejść, a zarazem móc schować się bez szelestu, gdyby szedł ktoś niepożądany. Czekał.

Czas dłużył mu się nieznośnie i targał nim niepokój. Kilka razy zdało mu się, że widzi jakąś

postać w jasnych szatach, ale to jeno księżyc, stary kpiarz, wychynawszy nad drzewa, łudził go, wydobywając z cienia swym zwodniczym światłem coraz inne przedmioty.

Niewiele brakło, a niecierpliwość wyгнаłaby Otłokę z ukrycia, lecz powstrzymał się resztą rozsądku. Jeśli się tu nie spotkają, mogą się zmiąć. Musi czekać, choćby do rana. Kilka razy zdało mu się, że słyszy z tyłu jakiś szelest, lecz nie zwracał nań uwagi. Może to jakiś drobny zwierz, znecony blaskiem, grającym na fali niedalekiej rzeczki, podchodzi zaspokoić swą ciekawość, lub ptak, zbudzony gwarem, zmienia miejsce nocnego spoczynku. Otłoka całą uwagę wyteżył przed siebie, a serce biło mu tak głośno, że nie dosłyszał lekkich i ostrożnych kroków, zbliżających się od lewej strony. Dopiero gdy nadchodząca postać stanęła w pełnym świetle księżyca, dostrzegł ją i zadrżał; idzie dziewczyna. Całym wysiłkiem wstrzymał się, by nie wyskoczyć z krzów naprzeciw, zanim się całkowicie nie upewni kto nadchodzi. Nadchodząca zmierza ku kępie, jeszcze pięć kroków, jeszcze dwa, to ona.

- To ty?! - i już ramiona ich same się wyciągnęły i przywarli do siebie.

- Nie puszcę cię już nigdy - szepce chłopak przez ściśnięte gardło.

- Puścisz ją zaraz - słyszy za sobą głos.

Stara Mirosława wiedziała lepiej. Odkoczyli jak oparzeni, a ona śmieje się z ich zmieszania. Ale śmieje się wesoło, radośnie. Nie mogą zrozumieć i stoją przed nią jak schwytni na gorącym uczynku złoczyńcy, a ona mówi:

- Przecie to nie Michna, jeno Ofka.

Jak jedno krzyknęli:

- Rety!

Otłoka nie rozumie, po czym stara poznała. Ale wie, że tam Miłosza całuje Michnę. Zrywa się biec do nich, lecz stara krzyczy:

- Stój! Gdzie lecisz? Już ich tam Przybysław dopilnuje.

Jakoż słyhać ich z dala, zanim się ukazali. Wesoły, huczny śmiech Przybysława. Idą ku nim, już są. Starzy śmieją się dalej. Przybysław aż na ziemi usiadł. A młodzi milczą. Dobrze, że przy księżycu i rumieńce są białe.

Pierwsza przestała się śmiać Mirosława:

- To wy, juchy, takeście pojechali?! Mnie się wam zwodzić zachciało, com takich jak wy kopy już widziała. Alem wam i odpłaciła. Myślę, że nieprędko wam na myśl przyjdzie babkę oszukiwać. No, jedźcie szczęśliwie, a dziewczęta do domu. Dość zabawy na dzisiaj.

- Co? Gdzie? - pytają Miłosza i Otłoka, a płakać im się chce.

Dziewczęta nawet już płaczą.

- Do kniazia. Swaty słać do ojca jak należy.

Stoją, jakby nie rozumieli.

- A tamte swaty, coście mówili? - pyta Otłoka.

- To właśnie od was być miały. No, ostawcie - mówi do dziewcząt, które rzuciły się na babkę całując, jakby ją zjeść chciały. - Dosyć stania, świt już niedługo. A wam coś niepilno swaty wysłać, że jeszcze tu stoicie - mówi do chłopców i śmieje się znowu. - Idziemy - zwraca się do Przybysława i kierują się ku domowi. Młodzi stoją jeszcze, niepewni co czynić.

- A nie pomylcie się znowu! - woła do nich Mirosława.

Oda

Otoczony krążankiem ogród klasztoru benedyktynek Kalbe leżał w jaskrawym słońcu letniego popołudnia. Sennie krzątało się po nim kilkanaście kobiecych postaci, których ciemne suknie klóciły się z soczystą zielenią pielęgnowanych trawników i jaskrawymi barwami kwiatów, jak ruchy ich wolne i niedbałe - z krzątaniem się pszczół, których dziesiątki i setki nadlatywało z położonej w sadzie, za klasztornym murem pasieki i przeszukując pracowicie kielich za kielichem, odlatywały obciążone słodyczą, którą znaleźć umieją wszędzie, nawet na grobach.

Dwie młode mniszki, o zaczerwienionych od gorąca i wysiłku twarzach, dźwigały ceber z wodą, którą zlewały do kamiennego dołu, by z nastaniem wieczornego chłodu podlać spragnione rośliny. Usiadły na cembrowinie i ocierając spocone czoła, rozpoczęły półgłosem rozmowę.

- Ciekawam też, kiedy ksieni inne do tej roboty wyznaczy. Ja już grzbietu nie czuję.

- Nie czujesz, to możesz nosić. Ja czuję aż za dobrze, a jeszcze ni pół dołu nie napełnione. No, chodźmy, Hildo, bo znów na chleb i wodę pójdziemy, jak nas ksieni na gawędzie przyłapie. Wstała z westchnieniem, lecz pierwsza, nie ruszając się z miejsca, odparła:

- Nie śpiesz się, bo nie ma do czego. Inne to pilniej robią?

Ksieni wyszła do rozmównicy, bo ktoś z miasta przyjechał. Będzie wracać, to wraz zmiarkujemy, bo nawet Oda się ruszy. Oczy jej z niechęcią patrzyły ku widniejącej z dala postaci mniszki, stojącej bez ruchu, na białym tle kamiennego podmurowania wirydarza.

- Ruszy się albo nie. Oda się ksieni nie boi, bo sama prędzej czy później ksienią ostanie.

Pamiętliwa jest. Tobyż dopiero odpłaciła matce Hildegardzie, gdyby ją do takich robót, jak nas, zaganiała. Myślę, że jeno dlatego jeszcze swych białych rączek nie musiała zabrudzić, choć niby reguła każe z kolei każdą do wszystkich robót wyznaczać.

Hilda zaśmiała się i rzekła:

- Chciałabym ksienię przy noszeniu wody obaczyć. Chętnie bym na tydzień na chleb i wodę poszła.

- A ja na miesiąc, żeby Odę obaczyć. Wraz by jej te proste plecy przygięło. Ale zda się, że bez tego na chleb i wodę pójdziemy, spełnienia życzeń nie doczekawszy.

Wstały z ociąganiem i biorąc pusty ceber na drąg, oddaliły się ku studni ociężałym krokiem, prowadząc dalej zaczęłą rozmowę.

- Ksienią Oda nie ostanie, bo ojciec jej nie kocha się z naszym biskupem - rzekła Gerda.

- Albo to biskup wieczny! - odparła Hilda.

- Czcigodny pasterz zdrów jest i silny jak byk, a Dietrich już niemłody. Nie stanie go, będzie z nami wodę nosiła. Chciałabym tego doczekać!

Gerda ze złością obejrzała się na nieruchomą postać margrafówny i skręciły ku studni.

Dziwnym zbiegiem, podobne myśli kłębiły się pod zakonnym czepcem Ody, jakkolwiek żadnego ich śladu nikt by nie wyczytał na jej gładkim, białym licu ni w spokojnych oczach, koloru głębokiej, czystej wody. Błądziła nimi w zamyśleniu. Na chwilę zwabił jej spojrzenie barwny motyl, który siedział na białym kamieniu i rozłożywszy skrzydła grzał się do słońca, nieruchomy, jak malowany. Potem kilkakrotnie stulił i rozłożył skrzydła i płynnym lotem poszybował. Oczy Ody pobiegły za nim, aż za mur klasztorny, gdzie zniknął wśród gałęzi drzew. Ledwo dostrzegalne westchnienie poruszyło pierś dziewczyny pod ciemną szatą zakonną. Może myśl jej pobiegła za barwnym motylem na swobodę, której od dwóch lat już pozbawioną została. A w zamian nie otrzymała nic. Najmłodsza i

najpiękniejsza z pięknych cór północnego margrafa z lekceważeniem patrzyła na małżeństwo starszej siostry. Czternaście lat miała, gdy o jej rękę zabiegać zaczęto. Wielkie nadzieje, jakie z małżeństwem wiązała jej i ojca żądza władzy, bogactw i zaszczytów, nie spełniły się. Parę razy drgnęło w niej młode serce, lecz przytłoczone pychą zamilkło. Gdy osiągnęła lat osiemnaście, a nie trafił się król ni książe udzielny, bez trudu nakłonił ją ojciec, by wstąpiła do klasztoru, przyrzekając, że w najkrótszym czasie o godność ksieni dla niej się wystara. Oto minęło już dwa lata i zwyczajną mniszką jest, jak była. Zimna, skostniała w zewnętrznych formach pobożność odpowiadała jej usposobieniu, ostra reguła i w okrucieństwo przechodzący rygor podobał się jej, zwłaszcza że wobec niej, córki możnego margrafa, względy okazywano, jakich nie miały inne mniszki. Trzymała się też od siostr z dala, z góry je za przyszłe podwładne uważając, które od jej woli zależeć będą, a płacono jej skrywaną niechęcią i zazdrością. Ostatnio nawet niezbyt skrywaną, gdy wiadomym się stało, że rodzic jej koty drze z żytyckim biskupem; gorzej, bo nadzieja wyczekiwanej godności miast się zbliżyć, uleciała jak ten barwny motyl. Razić ją poczynał brud i nieokrzeseanie współtowarzyszek, drażniły dostrzeżone tu i ówdzie uśmieszki, młode ciało boleśnie upominać się zaczynało o swe pogwałcone prawa, za które niczym nie odpłacono. Gdyby nie duma, darłaby złote, krótko przycięte włosy z głowy. Wrzała w niej rozpacz, która, nie mogąc znaleźć ujścia, zmieniła się w zimną złość przeciw wszystkim, a przede wszystkim przeciw własnemu ojcu. On ją oszukał swymi przyrzeczeniami, a teraz samą ostawił. Nie widziała go nawet od roku. Nie serce jej tęskniło, jeno przekląć by go chciała w oczy, by raz dać folgę skrywanej złości. Bez myśli ruszyła przed siebie ścieżką wzdłuż krużganka. Stała, gdy ścieżka skręciła w prawo, i podniosła oczy. Przed nią w pełni kwiecia stały rozkwitłe w słońcu krzewy róż, niedawno sprowadzone ze słonecznej Italii. Krwawe kwiaty płonęły razem w słonecznym świetle i przykuwały jej wzrok.

Oda wiedziała, że kwiat ten niegdyś poświęcony był pogańskiej bogini miłości. Teraz zdobić ma ołtarze Bogarodzicy. Z dziwnym uśmiechem sięgnęła ręką, by zerwać kwiat. Twarde i ostre kolce wpiły się w dłoń, lecz ból jakby ulgę jej przynosił. Giętka łodyga nie ustępowała, lecz Oda ciągnęła z całej siły, rozorała dłoń i sam kwiat bez łodygi pozostał jej w ręku. Podniosła go do twarzy wchłaniając jego woń, aż poczuła lekki zawrót głowy i dziwną, rozkoszną omdlałość w nogach. Puściła kwiat na ziemię i z uśmiechem patrzyła, jak z dłoni kapią czerwone jak on krople krwi. Obejrzała się, gdzie by mogła usiąść, gdy nagle ostry chropowaty głos zawołał:

- Odo!

Głos ten poruszył cały senny ogród. Nawet pszczoły zdały się szybciej przebiegać z kwiatu na kwiat, a niosące ociężałe ceber z wodą Hilda i Gerda omal go nie rozlały, nagle przyśpieszywszy kroku.

- Jestem! - zabrzmiał wysoki i jasny głos Ody. Prysnał nastrój, minęło odurzenie; coś się stanie, choćby to miała być tylko ostra i zjadliwa nagana za beczynność. U zejścia z wirydarza stanęła naprzeciw ksieni i pochylając nisko głowę, rzekła z wymuszoną pokorą:

- Słucham was, matko!

- Dostojny ojciec twój, margraf Dietrich, czeka w rozmównicy i życzy sobie mówić z tobą. Czas ten wprawdzie pracy poświęcony, ale widzę, że i tak nie od niej odrywają cię te świeckie sprawy, o jakich rodzic twój mówić pewno będzie. Dla nas praca jeno ważna i modlitwa, ale rodzic twój uparty jest.

- Rękę skaleczyłam, pani - rzekła Oda z ledwo dostrzegalnym uśmiechem okazując zakrwawioną dłoń:

- Idźże tedy do ojca, a wracaj zaraz. Za chwilę na modły zejdziemy do kaplicy. W tym ci chyba skaleczona ręka przeszkadzać nie będzie?

Oda nie odrzekła nic, jeno pochyliwszy jeszcze raz głowę, poszła spokojnym krokiem. Coś się musi stać. Ojciec też nie z tęsknoty za nią przyjechał. Gdy nikt jej już nie mógł widzieć, przyspieszyła kroku.

W rozmównicy, o sklepionej powale i kamiennej posadzce, panował chłód i półmrok. Znużony upałem margraf rad rozsiadł się na dębowej ławie z rzeźbionym oparciem i czekał. Miły chłód zachęcał do drzemki. Raz i drugi kiwnęła się głowa margrafa i oczy przymknęły. Szelest szybkich kroków po kamiennej posadzce rozbudził go. Otworzył oczy. Nad nim stała Oda. Margraf wstał i z przyzwyczajenia ręką ogarnąć chciał córkę, ona jednak uchyliła się gestem nieznacznym, lecz wymownym. Trochę zmieszany tym margraf szukał słów, jakimi oznajmić ma córce nowiny, zły cokolwiek, że utrudniała mu przedstawienie swych zamiarów jako owoców ojcowskiego uczucia. Oda uprosiła jednak zadanie.

- Mówcie, co macie mówić - powiedziała półgłosem. - Czasu niewiele, a pamiętajcie, że i ściany mają uszy:

Patrzyła na ojca swymi nieodgadnionymi oczyma.

Margraf rozejrzał się nieznacznie i szeptem zaczął:

- Mogłabyś inaczej ojca przywitać, który ci dobrą przynosi nowinę.

- Z waszej woli wyrzekłam się rodziny i świata, śluby składając.

Mówcie prędko i do rzeczy. Uzyskaliście dla mnie przełożęństwo?

Margraf ręką machnął i odparł:

- Lepszy ci los zgotowałem. Za mąż pójdziesz za potężnego księcia.

Błysk jakiś przeleciał przez zielonkawę oczy Ody, lecz zgasł zaraz.

- Czyście nie wypili za dużo? - rzekła zimno. - Chrystusowi na życie za waszą wolą jestem poślubiona.

- Głupiaś! - odparł czerwieniąc się margraf. - Ksienią nie останiesz, bo biskup mi nieżyczliwy, a cesarz wyjechał. Chcesz całe życie wodę nosić i drwa rąbać, to siedź. Jeno mnie nie winuj ani ode mnie nie czekaj pomocy.

Oda przybladła nieznacznie. Tego nie chce za nic, nawet za cenę zbawienia duszy. Spytała krótko:

- Za kogo mnie wydać chcecie?

- Polański Mieszko o rękę twą prosił i ja mu ją przyrzekłem.

- Dobregoście mi wybrali oblubieńca. Półpoganin, stary, syna ma dorastającego. Wielceście na mnie łaskawi.

- Głupiaś! - powtórzył margraf. - Słuchaj, co powiem! Potężny jest, siłą się złamać nie dał. Potrzebny nam i potrzebny mnie. Ni kopy lat nie ma, silny jeszcze mąż. Synów z nim możesz i musisz mieć, co by nam byli życzliwi. Możesz go i nawracać, ile trzeba, będziesz przed Bogiem miała zasługę. I bogaty! - dodał rozwijając trzymaną w ręku chustę. - To część darów, jakie dał dla ciebie.

- Błysnęła złotem i kamieniami bogaty naszyjnik i pierścienie. Może blask ich odbił się w oczach Ody, gdyż pojaśniały. Zapytała sucho:

- Zgadza się biskup ze ślubów mnie zwolnić?

- Biskup odmówił!

Przysunął twarz do ucha Ody i rzekł szeptem:

- Będzie napad na klasztor, bież do wyjścia, porwiemy cię siłą.

Głos kołatek rozległ się z wnętrza budynku. Oda szybko rzuciła pytanie:

- Kiedy?

- Odo! - rozległ się znowu chropawy głos ksieni.

Poderwała się, zły uśmiech zagrał na jej twarzy i zgasł. Zwróciła kroki ku wyjściu oglądając się, by usłyszeć odpowiedź. Za późno było. W drzwiach stała ksieni, wymownym gestem wskazując Odzie drogę. Wybiegła.

- Wybaczcie, czcigodna pani - rzekł Dietrich. - Moja to wina, że ją wstrzymałem. Od roku nie widziałem dziecka, trudno się ojcemu nagadać.

- Nic mniszce do tego, co się w świecie dzieje. Tutaj jej dom i rodzina - odparła ksieni oschle. - Nie świeci tu córa wasza przykładem, a przypominanie światowych spraw nie ułatwia jej drogi ku Bogu. Dlatego raczcie jej więcej nie odwiedzać, panie, bo przykro mi będzie odmówić wam widzenia.

Margraf pochylił głowę, by ksieni nie zauważyła złośliwego uśmiechu. Skłonił się jeszcze raz i pochwaliwszy Boga, wyszedł. Gdy jednak dosiadł konia, żgnął go gniewnie.

- Poczekaj, suszona ropucho, kości ci każą przy następnym widzeniu porachować!

Pomyślał, że gdyby nie uzuchwalało jej poparcie biskupa, nie ważyłaby się tak wyniośle z nim obejść. Dla biskupa kijów za mało, sposobność będzie skończyć z nim. Pójdzie to na wspólny rachunek zięcia, komesa Dedi z Wettina, który pomoc przyrzekł, i samego Mieszka.

Zatarł ręce zadowolony i trąciwszy konia ostrogą, ruszył ku miastu.

VII

Po weselu Jaskotela

Żegnając się z Jaskotelem po weselisku, które swą obecnością uświetnił, księżę, już na koniu siedząc, rzekł do młodego gospodarza:

- Niedługo ja ciebie z kolei na wesele zaproszę. Naciesz się teraz swym domem i młodą żoną, a koni pod wierzch przygotuj, ile wydolisz, bo będą potrzebne.

To rzekłszy księżę jeszcze raz łaskawie ręką skinął ulubieńcowi i trąciwszy konia, ruszył.

Że gotowała się wyprawa, wiadomo było każdemu, choć przeciw komu - domysły były różne, lecz wzmiankę o weselu księżę rzucił po raz pierwszy. Bolko i Jaskotel spojrzeli po sobie, po czym wzrok ich pobiegł za księciem. Stu ludzi, kwiat i wybór jego drużyny, człapało za nim w pełnym rynsztunku, jak na wojnę. Za oddziałem szły jeszcze konie z zapasami. Widno księżę za granicę się wybierał, bo w swoim kraju każdy dom jego był i gdzie stanął, wszystko, czego potrzebował, miał na miejscu. Ani chybi księżę po żonę pojechał. Skreślił zresztą na mało przetarty szlak, który prowadził do Niemczy.

Bolko westchnął i zwracając się do Jaskotela rzekł:

- To i mnie wybierać się trzeba.

- Ostalibyście jeszcze - prosił Jaskotel.

- Ostalbym chętnie, ale ojciec zlecili pilnie strażować od morawskiej granicy. Żebyś choć ty jechać mógł ze mną.

- Każecie, to pojedę - rzekł Jaskotel.

Nim Bolko zdołał odpowiedzieć, gniewny, niewieści głos ozwał się:

- Wzięłaś niewiastę, to siedź przy niej. Czas, byś się ustatkował.

Obejrżeli się obydwoj. Za nimi stała Zbysława. Od śmierci starego Auduna mało już zajmowała się gospodarstwem i synami. Dnie całe przesiadywała na mogile męża, w polu za sadem, zdając wszystko na synów, starą Żelichę i Czyża. Ożywiła się dopiero, gdy Jaskotel Wrochnę pojąć postanowił. Zaniedbaną cokolwiek gospodarzkę doprowadziła do kwitnącego stanu, by młodej gosposi początek ułatwić, poganiając synów i służbę jak sam Audun za najlepszych czasów. Dla siebie przygotowała siedzibę w osadzie Osiek zwanej, na ziemiach, które jej stary oprawą zapisał, choć prosili synowie i służba, by została, a i samej ciężko odejść było od mężowej mogiły.

Gdy weselisko dobiegło końca, wybierała się również Wyjechać, z żalem obchodząc kąty, w których tyle lat żyła. Pamiętając własne szczęście chciała je w spadku po sobie ostawić tej, która jej miejsce miała zająć. Nadeszła przypadkiem na rozmowę Bolka z Jaskotelem i odezwanie się Jaskotela ukłuło ją. Sama podejrzewała, że Jaskotel żeni się, posłuszny woli ojca, lecz że Wrochnę lubiła, bo i trudno było nie lubić miłej i pięknej dziewczyny, myślała, że Jaskotel o Geilanie przy niej zapomni i będzie takim mężem, jakim Audun był dla niej. A że porywcza była Zbysława, nie wstrzymała jej obecność młodego księcia, tyle chyba jeno, że Jaskotel przez łeb nie dostał, co by go niechybnie w innym razie spotkało.

Zawstydziała się jednak i zwracając się do księcia rzekła:

- Wybaczcie, panie, ale gdy ojca nie stało, a Jaskotel głupi jest, jak był, ja dopilnować muszę, by starego Wyszkota ujma w jego dziecku nie spotkała i niechęć miast swojackiej życzliwości z tego związku nie wyszła.

Jaskotel zmieszany bąknął:

- Przecie i ojciec na wyprawy jeździł, póki mógł i na dwór do kniazia. Nie wrosnę przeto korzeniami w ziemię, żem się ożenił.

- Nie wyjechał, by mnie o zgodę nie zapytał. Nawet ten ostatni raz, co już jeno na swój pogrzeb wrócił. - Ostry głos Zbysławy załamał się jakoś, lecz odchrząknawszy ciągnęła:

- Książ ci konie przygotować kazał, może ja albo Wrochna mamy je objeżdżać?!

- Przecie Wilczek jest w domu, a i Michał też by już wydolił.

- Michała ze sobą biorę, a Wilczek z kniazem Bolkiem pojedzie, jeśli książ miłościwie pozwoli. Nie będzie mu gorzej służył niż ty.

Skloniła się przed Bolkiem i dodała:

- Teższy nawet od Jaskotela, a w głowie ma lepiej, Czas mu zacząć wojować. Pozwólcie mu jechać, panie, nie pożałujecie. Bolko, czując, że rozmowa druhowi jego miła być nie może, by skończyć ją, odparł:

- Słusznie, by Jaskotel przy młodej żonie ostał, choć mi bez niego cnić się będzie. Wilczka wziąłbym chętnie, ale muszę jechać zaraz, a jemu do wyjazdu pewnie przygotować się potrzeba.

- Jeno mu na koń siadać. Wiedziałam, że zezwolicie, toboły spakowane, konie i oręż gotowe.

- Tedy jedźmy nie mieszkając - rzekł Bolko i skinąwszy Zbysławie głową, ku stajniom ruszył, gdzie już orszak jego i koń stały w pogotowiu. Zbysława zaś, odwróciwszy się, weszła do domu, by Wilczka wyprawić i ostatnich przygotowań do jego wyjazdu dopilnować.

W ciemnej sieni poczuła, że ktoś ją za dłoń uchwycił całując i usłyszała zduszony łzami głos Wrochny:

- Dziękuję wam, pani matko!

- Nie płacz i udawaj, żeś nie słyszała - szepnęła Zbysława miękko, przytulając synową. - Kiedym

tu przyjechała, więcej niż ćwierć wieku temu, powiedziała sobie, że szczęście tu mieszkać musi. I mieszkało! A teraz, kiedy się moje skończyło, twoje się ma zacząć.

- Nie zaczęło się - ledwie dostłyszalnie szepnęła Wrochna.

Zbisława nogą tupnęła w nagłym porywie złości.

- Musi się zacząć, kiedy mówię! - a gdy Wrochna jeno głośniejszlochać zaczęła, dodała łagodniej, choć z pewnym zniecierpliwieniem: - Niczego w życiu nie wypłaczesz, chyba oczy. Młodych szkoda na to. Widzisz! Mnie już wolno płakać, a nie płacę.

Ale Wrochna widziała, jak stara oczy otarła ukradkiem, zanim dodała:

- Nie lubi nikt smutku, a najmniej cudzego. Chciałaby każda takiego męża dostać jak Jaskotel. Drugiego takiego nie najdzie. Chyba może Wilczek. A pędziwiatr jest, bo go niewiasty rozpuściły. Twoja rzecz go przytrzymać.

- Jakoże go przytrzymam, kiedy on inną w sercu nosi? - rzuciła Wrochna smutno.

- Nosi, nie nosi - odparła Zbisława niechętnie. - Urody ci też nie brak, a wieczorem zajdź do mnie, to ci powiem, jakie czary na chłopca najsilniejsze. Teraz czasu nie mam, bo Wilczka wyprawić muszę. Twarz umyj, by cię Jaskotel zapłakaną nie widział. To rzekłszy pobiegła dopilnować Wilczkowego wyjazdu.

VIII

Dar Lubora

Bolko, nie wracając do Poznania, ruszył przez Śrem i Łąd, by dostać się do krakowskiego gościńca. Pogoda sprzyjała podróży, jeno upał doskwierał, podróżował tedy rankami i wieczorami, w południowych godzinach stając na dłuższe popasy. Księżę konie gnał tak, że szczipły orszak z trudem mu nadążał i trzeciego dnia z rana popas wypadł mu już niedaleko Kalisza. Rozłożyli się obozem, w olszowym gaiku, opodal gościńca, a parobcy konie powiedli do niezbyt odległej Proсны, by napoić je i wypławić. Bolkowi w cieniu drzew namiot rozbito, lecz że duszno w nim było, wyszedł i legł na trawie.

Patrzył przez gałęzie na wiszące nad głowami niebo, zatopiony w myślach, mało zwracając uwagi na to, co się wkoło niego dzieje. Poszedł za radą Jaskotela i nic nie mówił z ojcem o jego zamierzonym małżeństwie. I ojciec nie rzekł mu nic, jeno te słowa na wyjeźdny, z których nie ulegało już wątpliwości, że żonę z podróży przywiezie. Bolko z góry czuł do niej niechęć, jako do macochy i jako do tej, co jego prawom przeszkody postawić mogła. Nigdy przedtem na myśl mu nie przyszło, by walczyć miał kiedyś nie o rozszerzenie ojcowego dziedzictwa, lecz o jego utrzymanie. Plany, jakie roił w młodzieńczej głowie, sięgały poza granice ojcowego państwa, ale na ich wykonanie sił było potrzeba, wszystkich, nie rozdartych wewnętrznymi walkami. Życie, które mu się do niedawna prostym wydawało, wikłało się panowanie, do którego nawykł już w myślach, przestało być rzeczą łatwą i przyjemną, a nawet pewną.

Lżej by mu było, gdyby pomówić mógł z kimś. Żałował, że mimo wszystko nie zabrał ze sobą Jaskotela. Wilczek mu przyszedł na myśl, choć z nim o tych sprawach mówić nie mógł. Niewiele słów z nim dotąd zamienił, zajęty własnymi myślami. Samotność ciążyła mu. Wstał, by Wilczka zawołać, i wyszedłszy z kępy krzów obejrzał się za młodym wojakiem. Wzrok jego padł na biegnący nad rzeką gościńiec. Z dala widać było nadjeżdżający jakiś orszak zbrojny. Bolko ręką oczy przysłonił od blasku i patrzył przez chwilę. Gdy się zbliżali, na pachółka krzyknął, by skoczył do

gościńca zapytać, co za jedni.

Pachołek, dobiegłszy, orszak zatrzymał i z jadącym na czele, widocznie dowódcą, coś rozmawiał. Po chwili orszak zjechał z gościńca i skierował się ku olszynie. Gdy się zbliżył, jezdni zeskoczyli z koni, dowódca zaś skierował się ku Bolkowi. W nadchodzącym Bolko poznał ze zdziwieniem Lubora, którego raz widział w Poznaniu.

Od czasu czerwieńskiej wyprawy Lubor posiwił prawie zupełnie, lecz chód miał sprężysty i postać śmignęła jak dawniej. Ubrany był bogato, niemal z przepychem. Zbliżając się patrzył na Bolka przenikliwie. Zatrzymawszy się o kilka kroków skłonił się nisko, choć w całej postaci nie widać było ni śladu pokory i czekał, aż Bolko pierwszy się odezwie.

Bolko z ciekawością patrzył na słynnego wodza, któremu poruczono straż wschodnich rubieży i który niemal samowładnie tam rządził, gdyż książę Mieszko, ustawicznie na zachodzie i północy zajęty, mało czasu wschodnim sprawom poświęcał. Widocznie wszystko szło należyтым porządkiem pod twardą ręką i czujnym okiem Lubora. Jeżeli żale jakieś dochodziły książęcych uszu, to jedynie na jego okrucieństwo, bo miary ni litości nie znał w karaniu. Książę mu się w sądy nie wtrącał. Lubor pono pod siedemdziesiątkę liczył i już za Ziemomysłowych czasów niemłody był, ale jeno z siwych włosów i brody można było się tego domyślić. Lubor też spoglądał z ciekawością na młodego księcia, którego niegdyś jeszcze pacholęciem widział i nieomylną znajomością ludzi odczuł w nim urodzonego woja i władcę. Wraz też przygasił promieniującą od siebie dumę i w pełnej szacunku postawie czekał.

- Do Poznania pewnie jedziecie. Nie zastaniecie tam kniazia - ozwał się Bolko.
- Tedy za nim się udam, bo sprawy są ważne.
- Będziecie musieli czekać, aż wróci, bo nie powiedział, dokąd jedzie, a myślę, że daleko.

Chmurny niepokój odbił się na twarzy wojewody.

- Czas nagli i nie mam go wiele. Nie domyślacie się, dokąd kniaz pojechał?
- Pójdźmy na bok, to pomówimy - rzekł Bolko i ruszył przodem.

Gdy oddalili się od ludzi, usiadł na obalonym pniu i wskazując wodzowi miejsce obok mówić zaczął:

- Kniaź nie życzył sobie widocznie, by ludzie wiedzieli, dokąd pojechał, skoro nikomu nie rzekł. Gdy wróci, a nie wiem kiedy, też zapewne czasu miał nie będzie, dlatego jeśli sprawa pilna i czasu wam brak, mnie możecie rzec i wracać, a ja kniazowi najbliższą sposobną porą powtórzę.

Lubor patrzył na młodego księcia kątem oka i jakby się namyślał, czy może mówić z młodzieniaszką, gdyż dopiero po chwili odparł, widocznie powziąwszy postanowienie:

- Wracać muszę zaraz, bo ani chybi od wschodu burza idzie. Jako wiecie, Świętosław zginął od Pieczyngów, gdy wracał z bułgarskiej wyprawy i państwo ostało się trzem synom. Na rękę nam to było, tym bardziej że nie kochali się bracia, jeden drugiemu na zdradzie stojąc. Zresztą Rusiny na Czarne Morze parli i nawet Świętosław, jako wiecie, stolicę do Perejasławia przeniósł. Wadzili się też o to ze wschodnimi cesarzami, którym to nie w smak było, bo sami chcieli zhołdować cara Dawida, jako i uprzednio wschodnich Bułgarów.

Bolko słuchał zaciekawiony. Teraz wiedział, czemu ojciec tak mało uwagi do wschodnich spraw przykładał.

- Mówcie dalej! Cóż się stało?

- Nie kochali się, jako rzekłem, bracia. Najstarszy Jaropełk średniego Olega w grodzie Wareżu naszedł i ubił, a kraj Drewlanów dla siebie zagarnął. Może i prawda, że najmłodszego też ubić

zamierzał, albo ten bratniej krwi mścić się chciał na zabójcy, a najpewniej z namowy chytrego Dobryni, wuja swego i piastuna - Włodimir Jaropełka w Kijowie naszedł. Nim wojska do walki stanęły, wezwał brata na rozmowę, a zwabionego ubił i całe po ojcu zagarnął dziedzictwo.

Lubor spostrzegł chmurnie zamyśloną twarz Bolka i przerwał. Po chwili zapytał:

- Słuchacie?

Bolko odetchnął:

- Prawcie dalej!

- Miałem wieści, że Włodimir Waregów ściągnął na nową wyprawę bułgarską. Tymczasem odmieniło się, bo za sprawą Dobryni układ stanął w Bizancjum, że Bułgarów im ostawi. Ale warescy zbóje bez zapłaty wracać nie chcą. Tedy Włodimir z wujem waszym, czeskim królem, którego krewniaczkę pojął, zmówił się, by Bolesław zagarnął wielkomorawskie dziedzictwo, Wiślan i Chrobatów, a on na nas uderzy, by zbójom zawodu nie uczynić i łupem od nas wziętym ich zapłacić.

Umilkł i patrzył na Bolka, który siedział zadumany głęboko. Gdy ten się nie odzywał, Lubor dodał:

- Uprzednio od Sobiesława z Mazowsza mogłem pomoc otrzymać w razie potrzeby. Teraz on sam z Prusakami i Jaćwieżą się para. Niełatwe i na samym Mazowszu ma zadanie, bo jeszcze ludzie wieców ni swoich kniazików nie zapomnieli. Po lasach się po dawnemu schodzą, a kapłani pogańscy wiecom przewodzą. Wojować też nieskłonnii, chyba jedni z drugimi, albo i przeciw kniazowi.

- To samo Stoigniew ma na Pomorzu - rzekł Bolko w zamyśleniu. - Wiecie, że się Duńczycy na Wolin gotują?. Welecki związek też spokoju nie daje.

- Nie wiedziałem - odparł wojewoda i twarz mu zmierzchła.

Zaległo milczenie, jeno świerszcze grały w rozgrzanej trawie, a z dala dochodził gwar obozu. Obaj myśleli o tym samym. Wszystkim na raz Mieszko się nie obroni. Jeszcze szczyby po zeszłorocznej, cesarskiej wyprawie nie wypełnione. Bolko z niechęcią wspominał własną lekkomyślność. Iście, że wojna nie zabawa i wrychle za dużo jej może być. Z kimś trzeba by pokój utrzymać, ale z kim? Żeby żyła macierz, potrafiłaby brata w Pradze ułagodzić. Tak jak rzeczy stoją, nie da się go powstrzymać, chyba siłą. Wie on dobrze, że gdyby wiślański kraj zagarnął, ręce sobie poda z ruskim sprzymierzeńcem, tak jak już podał z weleckim. Nie po raz pierwszy boleśnie zakłuło Bolka wspomnienie straty, jaką nie tylko on poniósł przez śmierć Dobrawki. Zarazem buchnęła w nim nienawiść przeciw tym, którzy jej zatruli lata ostatnie, a jemu dzieciństwo. Ale równocześnie narzucała się trzeźwa myśl, że jeno z nimi można jakiś układ zawrzeć, który przynajmniej z ich strony odsłonić się pozwoli. I tonie taki jak dawniej, którego żadna ze stron dotrzymać nie miała zamiaru, ale związać się z nimi jakoś, by dla własnej dotrzymali go korzyści. Po zeszłorocznej klęsce i wobec zajęcia italskimi sprawami i oni skłonni będą przyjąć wyciągniętą dłoń. Zrozumiał, że ojciec czynił to, co musiał; dałby wiele, by posłyszeć, co by w takim położeniu poradził Zbrozło, który pokojowi i brataniu się z Niemcami był przeciwny. Zamiast jego zdania usłyszał jednak potwierdzenie swych myśli przez Lubora.

- Mówicie, że kniaź daleko pojechał. Czy aby nie pokój, albo i pomoc Niemców sobie zapewnić? To jedno, co ninie uczynić można, choć i tego mało.

- Słusznie mówicie. Tam kniaź pojechał.

- Byle jeno dotrzymali - rzekł Lubor.

- Żonę ojciec stamtąd bierze - rzucił Bolko przybladły nieco.

Lubor głową skinął.

- Słusznie! - rzekł. - Będzie tam miał swojaków, to przynajmniej przestrzegą albo i przeszkodzą, gdyby się znów który margraf na swoją rękę chciał porwać, jak ongiś Hodo. Milczeli dłuższy czas. Słońce zniżało się ku zachodowi i chłodny powiew zaleciał od Proсны. Lubor wstał:

- Com wiedział, powiedziałem, a wy kniaziowi powtórzcie. I to, że bez posiłków się nie ostoję. Ja wracam do siebie, by przygotować co w mocy mojej. A wy jedziecie dalej do Krakowa, czy wróćcie do kniazia?

- Wrócę chyba. Parę dni później przyjadę do Krakowa, różnicy nie będzie. A może kniaz gdzie indziej jechać mi każe.

- Tedy pozwólcie się pożegnać. Wiozłem ja kniaziowi piękne białozory, do polowania włożone. Nie obaczę go, tedy wam chciałbym je ofiarować razem z sokolniczym, który je układał. Na troski nie masz nad polowanie z sokoły. Myśl bieży za wzrokiem, a oko za ptakiem.

Gdy Bolko dziękował uradowany, stary wódz z zagadkowym uśmiechem dodał:

- Niech wam służą długo i szczęśliwie. Dłużej i szczęśliwiej niż ja.

To rzekłszy pokłonił się raz jeszcze i dumnym, sprężystym krokiem ruszył ku swoim. Bolko widział, jak mówił coś do sokolniczego, który z ptakami na ręku skierował się ku niemu, zaś Lubor konia doskoczył jak młodzik i pomknął z miejsca klusem. Wiedział doświadczony wódz, że w tym położeniu na pomoc liczyć nie może, ale nie ustąpi, mimo że się sam nie oprze. Świadomie jechał naprzeciw swego losu. Umiał zadawać śmierć i sam umrzeć potrafi.

IX

Rozterka

Bolko, wróciwszy do Poznania, jak przypuszczał, nie zastał księcia, jeno jego posłańców z rozkazami i żadnej już nie mogło ulegać wątpliwości, że księżę nie tylko żonę z podróży przywiezie, lecz i przymierze z Niemcami zawarł. Zaprosić kazał krewniaków, Sobiesława i Stoigniewa, oraz wielmożów, jakich jeno służba czy wojna nie wstrzymywała. Jeńców niemieckich, których po grodach trzymano, odesłać polecił do Poznania, komnaty w murowanym dworcu na Lednickim Ostrowiu przysposobić na przyjęcie nowej pani, Jordan zaś polecenie otrzymał przygotowania kościelnych uroczystości, jakich zawarcie ślubu wymagało.

W rojnym już i tak, i gwarnym od wojennych przygotowań mieście zawrzało jak w ulu. Pędzili posłańcy na wszystkie strony zwożąc zapasy i zganiając bydło, na ucztę dla ludu przeznaczone. Łowy szły po lasach, choć pora nie była stosowna. Ściągali kupcy i rzemieślnicy, którym zysk się obiecywał niepośledni. Poruszyła się i wszelka biedota, która pomna dobrodziejstw pierwszej pani i po drugiej opieki się spodziewała.

Poruszyły się też umysły i nim noga niemieckiej pani stanęła na ziemi lechickiej, już rysować się zaczęło rozdwojenie. Pierwsze jego znaki wśród duchowieństwa się pojawiły, które też pierwsze wieści otrzymało o przebiegu Mieszkowej wyprawy. Nie mogło się podobać duchowieństwu, że księżę mniszkę, która Bogu ślubowała, bez kanonicznego zezwolenia biskupa Hilliwarda bierze, a mniej jeszcze, że główny przeciwnik Mieszkowego zamiaru, biskup żytycki Hugo, ledwo z życiem uszedł w ucieczce szukając ocalenia. Katedrę jego przy tym zdobyto i złupiono, po czym ten sam los dotknął klasztor św. Wawrzyńca w Kalbe, skąd Mieszkowa oblubienica została uprowadzona, a wiele innych mniszek w pętach poszło na wojacką uciechę. Obrońców zaś pobito i rozproszono jak płochliwe jelenie. Nic to, że sam Mieszko w napaści ni plądrowaniu udziału nie wziął, sprawę

bowiem prowadził czeski komes Dedi z Wettina, lecz wszystko za tym świadczyło, że działa się to za wspólnym porozumieniem księcia i margrafa Dietricha; gorzej, bo zda się za milczącą zgodą cesarską, skoro wzajemnie pobranych w ostatnich wyprawach jeńców miano do dom wypuścić. Niewątpliwie cesarz po niepowodzeniach z Mieszkiem, a niezbyt pomyślnym przebiegu spraw w Italii, ułagodzić postanowił sąsiada i temu przypisać należało, że popełnione zbrodnie, wielce uchybiające powadze Kościoła, płazem puszczone zostały.

Gdy jednak duchowieństwo italskiego, frankońskiego i słowiańskiego pochodzenia zawrzało oburzeniem, i na Jordana naciskać poczęło, by pobłogosławienia związku, gwałcącego kanoniczne prawa, odmówił, większość, jaką stanowili Niemcy, uznała, że grzech pokutą i nadaniami na rzecz Kościoła zgładzić można, a pani z chrześcijańskiego, niemieckiego domu pomoże wytepić resztki pogaństwa, przeciw któremu sam książę i zgrzybiały już biskup nie dość stanowczo występowali. Widocznym było, że staruszek niedługo już pociągnie i chodziło im o to, by przy obsadzeniu biskupiej katedry swego człowieka przy poparciu nowej pani wprowadzić. Sam Jordan, niepokojony z dwóch stron, na zwołanym w tej sprawie konsystorzu, wysłuchawszy cierpliwie roznamiętnionych przeciwników, rozstrzygnął sprawę:

- Książę swoje i tak przeprowadzi, a jeno zgorzenie może większe powstać. Ze swoich grzechów chciałbym przed Panem móc zdać rachunek. Sił mi już braknie, i czas mój policzony. Istotnie wyglądał, jakby już kończył swą służbę i mszę nawet zazwyczaj odprawiał w domowej kaplicy, rzadko w katedrze się ukazując. Dano tedy spokój staruszkowi, a zwolennicy Mieszkowego małżeństwa tym gorliwiej zajęli się przygotowaniem, że sam biskup zdał się nie dbać wcale o wydanie zarządzeń, by książęcemu rozkazowi zadośćuczynić.

Między rycerstwem też spory, a nawet bójki powstały. Zależni jeno od księcia, a oparcia w rodach nie mający drużynicy, zwłaszcza obcego pochodzenia, radzi byli odmianie, a młodzi zabawy sobie obiecywali, gdyż nowa księżna dwór ze sobą niewątpliwie przywiedzie. Ci zaś, którzy z dawnych wielmożów pochodzili, a zwłaszcza z połabskich rodzin książęcych i szczególną nienawiść żywili do margrafów, burzyli się, jedni głośniejsi, inni cicho. Niemniej spory powstawały częste, nawet i między nimi, gdyż rozważniejsi, chociaż Niemcom niechętni, widząc gromadzące się zewsząd chmury, radzi byli, że choć od jednej ściany spokój będzie i godzili się z nowym porządkiem nie widząc innego wyjścia. Prawdziwa niechęć wrzała po odległych osadach i lasach, gdzie kryjące się pogaństwo nową groźbę w nadchodzących wydarzeniach przeczuwało dla siebie. Wraz znaleźli się tacy, co do oporu zachęcać zaczęli, uważając czas za sposobny, gdyż książę czym innym zajęty, sił na łamanie go poświęcić nie mógł, natomiast, jak przypuszczali, zgnieść go nie omieszka, gdy postronne sprawy załatwi. Wrzenie było głucho, lecz i tak wieści o nim dotarły do Poznania i jeszcze większą w Bolku wznieciły rozterkę. Siedział samotny lub na koniu za miasto uciekał, nie biorąc udziału w przygotowaniach. Od rozmowy z Luborem nie mógł znaleźć spokoju. Z jednej strony rozumiał, że ojciec nie mógł inaczej postąpić, niż to uczynił. Z drugiej ustawicznie brzęczało mu w myśli opowiadanie o Włodimirze. Zjednoczył ojcowe dziedzictwo po trupach braci: własnych, rodzonych, nie przyrodnych, z obcej macochy. Zarazem czuł Bolko, że myśl to grzeszna jest i przedwczesna, niemniej pozbyć jej się nie mógł, jak i świadomości, że nigdy nawet na podział władzy się nie zgodzi. Pragnął koniecznie rozmówić się ze Stoigniewem, w którego rozum wierzył, lecz Stoigniew przysłał wiadomość, że na weselne uroczystości nie przybędzie. To samo donosił Sobiesław, lecz o ile Sobiesława usprawiedliwiały ustawiczne napady i niemożność powierzenia spraw zastępcy, o tyle Stoigniew niewątpliwie przyjechać nie chciał. A przyczyny - Bolko domyślał

się i księżę zapewne się domyśli. Tak przeto nikogo ze swojaków na weselu księcia nie będzie i Bolko obawiał się jego gniewu dla druha. Dlatego też, gdy jeno nadbiegł goniec z wieścią, że księżę przebył Odrę i z oblubienicą i orszakiem ciągnie do Poznania, Bolko wraz wysłał o tym księciu wiadomość mniemając, że Mieszko łatwiej zniesie, gdy przed przyszłym teściem nieobecność swych najbliższych będzie mógł wyjaśnić, niż gdyby nagle został zaskoczony. Doniósł też o Luborowych nowinach, po czym nie spodziewając się ojca wcześniej, jak za kilka dni, wziął pachołka z sokołami i ruszył na łowy, pomny, że mu to Lubor jako niezawodny środek na troski zalecił.

Wyjechali o szarym jeszcze świcie. Dzień zapowiadał się pogodny, lekka mgiełka, stojąca nad Wartą, opadała rosą, która w pierwszych promieniach wschodzącego słońca zabłysła tysiącem tęczyowych iskier. Rzeźwy chłód pociągał od rzeki wraz z zapachem trzciny i szuwarów i głosami ukrytego w nich ptactwa. Żałośnie kwiląc przelatywały gromadki kulików, czasem kszyk wyrwał prawie spod końskich kopyt i zygzakowatym lotem wzbijał się w górę, po czym równo już szybował, by odleciawszy na bezpieczną odległość zapaść jak strzała na dalsze mokradło. Gdzieś wysoko ciągnęły kulony, których żalosne kwilenie zwiastowało nadchodzącą jesień. Oznaki jej widne były wszędzie. Bory koło Poznania znacznie już były wycięte i wzrok biegł daleko po stojących w ścierni rżyskach aż ku ciemniejącym na widnokręgu ścianom puszczy, z roku na rok coraz dalej odpychanej wraz z jej mieszkańcami, siekierą osadnika - oracza, ku bagnetom sempińskim, których podmokłe grunta zabezpieczały ją przed chciwością rolnika. Bolko kierował się ku tej puszczy, trochę w nadziei, że po drodze spotka Jaskotela, który powinien być już nadciągnąć, a trochę dlatego, że na kępach między lasem a rzeką spotkać można było dzikie gęsi, a także żurawie, na których szczególnie młody księżę sokołów swych pragnął wypróbować. Jednego z nich sam dzierżył na pięści, zabezpieczonej rękawicą przed szponami ptaka, których śmiertelny chwyt wyczuwał przez skórę.

Delikatna siatka babiego lata leżała na ścierni, widna jeno, gdy blask słońca zagrał na niej, tak że rozstępować się zdała przed jeźdźcem, w miarę jak się posuwał, zataczając jakieś zakłete, niezamykające się koło światła i blasku za nim, a uciekając przed nim jak skarb zaczarowany, bliski, że zda się jeno ręką sięgnąć, a dogonić go nie wydolisz.

Oczy Bolka jednak obojętnie sunęły po tym polu klejnotów. Wypatrywał szaraka, postanawiając wypróbować ptaka na łatwiejszej zdobyczy, nim go puści w niebezpieczne zapasy ze zbrojnym w długi i ostry dziób żurawiem.

Kierował się ku ugorującemu łąnowi, zarosłemu ostem i wszelakimi chwastami, na których żerowały stada krasnych szczygłów, makolągiew i innego drobiazgu ptasiego. Spodziewał się stamtąd ruszyć zająca. Gdy się zbliżał, ptaki podrywały się niezbyt trwożliwie i nie przestając ćwierkać o swoich sprawach, podlatywały, by zapaść o parę kroków i oddać się przerwanemu zajęciu.

Nagle leżąca w bruździe, szara jak kretowisko, bryła ruszyła się i wystrzelił szarak. Położywszy słuchy po sobie pognał wzdłuż ugoru. Bolko zerwał kaptur ze łba białozora i silnie podrzucił go w górę. Ptak trzepocąc skrzydłami zawisł przez chwilę w powietrzu, oślepiiony nagłym blaskiem, po czym poderwał się i spostrzegłszy łup śmignął jak strzała, a Bolko trącił konia i cwałem ruszył za nim. Sokół zaraz zniżył się i w mgnieniu oka, sunąc tuż nad ziemią, już był nad nieszczęsnym zwierzem. Gwar ptasi umilkł, jakby strunę uciał, natomiast w tej chwili rozległ się rozpaczliwy bek zająca. Sokół, znalazłszy się nad nim, uderzył raz, drugi i trzeci i utopiwszy szpony w grzbiecie zająca bić począł potężnymi skrzydłami i dziobem po głowie. Ogłuszony i oślepiiony, nieszczęsny szarak jeszcze ostatnim wysiłkiem w bok usiłował uskoczyć, by skryć się w gęstwinie chwastów,

lecz potężny ptak poderwał go do góry. Nadjeżdżając Bolko widział, jak skoki zająca bezsilnie były powietrze i sokół wraz z łupem opadł w kępę ostów. Bolko wjechał za nim, a już nadjeżdżał z krzykiem sokolniczy i zeskoczywszy z konia, drugiego ptaka podał Bolkowi, sam zaś do siedzącego dostąpił. Sokołowi, który już ucztę rozpocząć zamierzał, zręcznie kaptur na głowę zarzucił i wsadziwszy pięść między łapy oderwał go od zdobyczy zmuszając, by usiadł na ręce, po czym głaszcząc go, z dumą zwrócił się do Bolka:

- Prawdę mówił wojewoda, że lepszych nie najdzie. Ani ich nikt lepiej ode mnie nie ułoży.

Marna zwierzyna, ale i na lepszej pokaże, co umie.

To mówiąc podniósł sponiewieranego szaraka i zapytał:

- Cisnąć czy zabrać dla psów?

- Zabierz! - kazał Bolko - i jedźmy. Do żurawich kęp już niedaleko.

- Tedy może ja z jednym objadę. Żuraw nie zając, podejść się blisko nie da, a choć sokół zgoni go, koń nie dopędzi. Żadna rozkosz z łowów, gdy się ich nie widzi, a i ptaka czasem stracić można. Ułożony jest, ale jeno nie dojechać zaraz, gdy z łupem opadnie, może sobie wolność przypomnieć i pójdzie! - ręką szeroki łuk zatoczył. - To kniaź między ptakami, panować mu, nie służyć, dlatego ni na chwilę nie śmie zapomnieć, że pana ma nad sobą. Bolko milczeniem pominął przechwałki gadatliwego sokolnika i rzekł:

- Ja zajadę od lasu, a ty od rzeki. A dawaj baczenie, bo tam miejscami topiel zdradliwa, byś nie ulgnał wraz z koniem. To rzekłszy z ptakiem na ręku ruszył pod las i dojechawszy do wysuniętego w łąki cypla czekał.

Z dala widział w przejrzystym powietrzu zmierzającego ku rzece sokolniczego. To ukazywał się, to przejeżdżając zarosłe trzcina i tatarakiem bagienka i stawki, ginął za kępami, a szlak jego pochodłu znaczyło zrywające się zewsząd drobniejsze ptactwo. W pewnej chwili ruch ten ustał, widocznie sokolniczy stanął. Z kępy bagnistej, otoczonej tatarakiem, rozległ się żaloszny, ostrzegawczy krzyk żurawia i niósł się po bagnie. Nim przebrzmiał zawtórowały mu inne, bezładne i w tej chwili na dwa strzelania z łuku od Bolka wytrysnęło z kępy stado żurawi i ciężko robiąc skrzydłami nabierać poczęło wysokości i pędu, kierując się w jego stronę. Nagle jak srebrny pocisk zaświecił w słońcu sokół i bijąc szybko skrzydłami pognął za stadem.

Krzykliwa pogoń zbliżała się, nie było czasu do stracenia. Jeśli żurawie skierują się nad las, w którym pościg nie był możliwy, można stracić cennego sokoła. Bolko zerwał kaptur swemu ptakowi i podrzucił go w górę.

Ptak bez wahania wznosić się jał prostopadle. Żurawie, widocznie zajęte ścigającym ich już wrogiem, nie zaraz go spostrzegły, nie zmieniły bowiem kierunku. Dopiero gdy sokół znalazł się niemal na wysokości ich lotu, nagle zakrzyknęły przeraźliwie, stado zawichrzyło się przez mgnienie oka, lecz jednym rzutem zatoczyły ostry łuk i skierowały się w górę rzeki, ku Mosinie.

Bolko zakrzyknął z radości i podniecenia. Do Mosiny wiódł suchy gościniec, na którym konia wypuścić można i patrzeć na walkę, jaka się w górze zawiązała.

Pierwszy sokół zdołał się już wygórować nad stado i w chwili gdy zakręcało, uderzył, lecz natknawszy się na nastawione dzioby, odskoczył jak podrzucony i znów wzbił się w górę czekając sposobności ponownego napadu. Gdy zaś drugi nadlatywał od dołu, żurawie wzbijając się poczęły nie ustawiając się w klucz jak zazwyczaj i lecąc kupą, pozornie bezładną. Bolko z oczyma wlepionymi w widowisko, wypuścił konia w skok i pognął za oddalającym się stadem. Zdołał się przybliżyć cokolwiek. Wtedy właśnie drugi sokół wygórował się również i obydwa drapieżce świeciły srebrem

na tle błękitnego nieba, to zniżając się, to podrywając się w górę, podczas gdy kilkanaście ostrych dziobów jak na jeden rozkaz zwracało się, jak włócznie, w piersi opadającego. Stado zaczęło obniżać się, przybierając na szybkości i Bolko zapatrzony w nie wypuścił czarnego ogiera w pęd największy. Wiatr grał mu w uszach. Nie myśląc parł konia ostrogami i zdało mu się, że sam jest sokołem i leci po łup. Nie widział ziemi pod nogami, jeno te lśniące, jak znaki piastowskie, dwa ptaki nad sinobłękitnym w promieniach słońca stadem. Nie posłyszał też krzyków, jakie rozległy się spod lasu, pod którym pasło się kilkanaście koni i kręciło kilku ludzi. Jeden z nich doskoczył konia i pognął za Bolkiem. Tymczasem jeden z sokołów korzystając, że na mgnienie oka lecący w ociąg żuraw odsunął się o krok od stada - uderzył w bok. Zwrotny ptak nastawił dziób, widno skutecznie, gdyż sypnęło się pierze i jak srebrny, ledwo dostrzegalny pył zaznaczyło w spokojnym powietrzu miejsce starcia, od którego walczące ptaki oddalały się szybko. Jeno ostatni nie zdążył już nadrobić straconej odległości, gdyż niemal jednocześnie poczuł na grzbiecie śmiertelny chwyt szponów drugiego sokoła. Zwinął się i wykręciwszy szyję starał się ugodzić wroga, lecz ten zręcznie unikał ciosów, nawzajem potężnym dziobem je zadając. Ptaki bijąc skrzydłami obniżały się coraz prędzej, wreszcie żuraw, widocznie śmiertelnie ugodzony, zakoziołkował kilka razy ze swym prześladowcą na grzbiecie, po czym zwarty kłęb bezwładnie już leciał na ziemię. Zdało się, że spadną wprost na Bolka, który z bijącym sercem podjechawszy śledził przebieg walki. Martwy żuraw z szumem runął o kilka kroków przed Bolkiem, aż stęknęło, a sokół, który puścił ofiarę na kilkanaście stóp nad ziemią, runął zaraz na nią do uczy się zabierając.

Zajęty odrywaniem sokoła od łupu, Bolko nie posłyszał stłumionego tętentu po miękkiej łące i odwrócił się dopiero, gdy znajomy głos ozwał się za nim:

- Cześć wam, kniaziu Bolesławie!

Bolko odwrócił się żywo i zawołał z radością:

- Witajże mi, Jaskotelu. Myślałem już, że nie przyjedziesz.

Nim Jaskotel odpowiedzieć zdołał, nadbiegł z krzykiem sokolniczy coś ręką ukazując. Spojrzeli. Stado już nikło w oddali, a drugi sokół, uznawszy się widocznie za pokonanego, krążył wysoko nad bagnem, chwilami trzepocąc w miejscu skrzydłami jak olbrzymi motyl, chwilami zataczając drobne koła. Widocznie zamierzał na własny rachunek zapolować.

Na ten widok Bolko znów myślą wrócił do łowów i dosiadając szybko konia rzekł niespokojnie:

- Jedźmy no za nim. Na pierwszych łowach ptakam stracić gotów.

I pognął przed siebie w kierunku, z którego dochodził ochryply już z wysiłku głos sokolniczego, który sokoła na rękę usiłował zwabić. Sokół tymczasem, krążąc, oddalał się na południe. Wolał widocznie wirować tak w ciepłym świetle słonecznym, między niebem a ziemią, bystrymi oczyma kraj szeroki przepatrując, niż siedzieć w bezruchu, w przymusowej drzemce w sztucznej ciemności kaptura. Bolko pędził cały w ogniach nie patrząc na Jaskotela, który za nim podążał z uśmiechem. Nie istniał dla młodego księcia cały świat, jeno ta biała plamka na błękitnym niebie. Jeśli było w nim jakie pragnienie, to skrzydła chciałby mieć, by wzlecieć ku ptakowi i zdjąć go z błękitu. Dognał sokolniczego i razem biegli za uciekającym krzycząc i przeklinając, aż głosu im braknąć zaczynało.

Na szczęście sokół, spostrzegłszy wreszcie łup, jakiego upatrywał, zwinął nagle skrzydła i jak pocisk srebrzysty leciał skośnym lotem ku kępie szuwarów na większym od innych stawku. Jak od uderzenia kamienia w wodną płaszczyznę bryzgi wody wystrzelają w górę, tak z wielkim wrzaskiem podniosło się stado gęsi i wyciągając szyje rwało przed siebie. Nie ścigał ich nikt, widocznie sokół na ziemi dostał swą ofiarę. Dobiegli co tchu do brzegów stawku i sokolniczy, w pędzie jeszcze

zeskoczywszy z konia, jak stał, w wodę wpadł i brnąc po pachy dobił się do kępy i zniknął w niej. Bolko czekał z bijącym sercem, lecz w tej chwili rozległ się triumfalny okrzyk sokolniczego. Widocznie dostał sokoła.

Za chwilę ukazał się niosąc istotnie ptaka na jednej ręce, w drugiej zaś potężną, szarą gęś z rozprutym już brzuchem. Dobrnął do Bolka i dyszał przez chwilę głosu z krtani dobyć nie mogąc. Tymczasem dobieżał Jaskotel. Bolko, uspokajając się, pomału, wszczął z druhem rozmowę, jeszcze myśli od łowów nie mogąc oderwać. Sokolniczy, wysapawszy się, gęś rozdarł na pół i wzięwszy ptaka z Bolkowej ręki, karmić zaczął sokoły. Wstyd mu było widocznie za swego wychowanka, gdyż ukazując Bolkowi skaleczenie na piersi ptaka mówił:

- I najmężniejszy rycerz nieraz się z walki wycofa, gdy ranny. Nie winić go. Samemu widno wstyd było z niczym wracać, tedy gąsiora wziął od jednego zamachu jak wróbla. I jak dziecko dał się zabrać. Głaskał ptaka z miłością i troskliwie oglądał ranę. Nie była groźna, jeno skóra na piersi rozorana i białe pierze splamione krwią pozlepiało się szpetnie.

Bolko, uspokojony o swe ptaki, zwrócił się do Jaskotela pytając:

- Skądżeś się tu wziął?

- Do Poznania jechałem na kniaziowe wesele i koni mu trochę prowadzę, ilem objeździć zdołał.

Minęliście mnie po drodze nie widząc - zaśmiał się.

- Prawdę mówił stary Lubor, że na łowach człek o troskach zapomni

- rzekł Bolko. Przypomniały mu się jednak, gdyż spoważniał:

- Wracajmy do Poznania, po drodze ugwarzimy.

Jaskotel z uśmiechem na słońce wskazał. Istotnie pochylało się już nad bory i blaski jego barwić się zaczynały różowo.

- Do Mosiny bliżej niż do Poznania, chyba tam przenocujemy. A myślę, żeście nie jedli dzień cały. Sokolniczy niech do moich ludzi z ptakami jedzie i każe im dalej ciągnąć, a my zanocujemy i rankiem skoczmy do Poznania.

Na wzmiankę o jedzeniu, Bolko głód poczuł taki, że zazdrość go wzięła, iż sokoły, już nasycone, do drzemki się brały na ramieniu sokolniczego. Ruszył do koni mówiąc:

- Jedźmy, a prędko. A ty - rzekł zwracając się do sokolniczego - ruszaj ku Jaskotelowym ludziom i we dworze powiedz, że jutro zjedziemy.

Przez myśl mu przeszło, że ojciec tymczasem przybył może, lecz znużony i głodny nie zastanawiał się i wraz z Jaskotelem ruszyli ku Mosinie, do której dotarli jeszcze przed zachodem słońca. W leśnym dworcu zjadłszy wieczerzę Bolko śpiący układał się zaraz, nawet do gawędy nie mając ochoty.

Śniła mu się macierz jak żywa, jeno zrozumieć nie mógł, czego chciała. Obudził się głęboką jeszcze nocą, z uczuciem takiej tęsknoty za matką, jakiego nie doznał jeszcze nigdy. Nie mógł już zasnąć i kręcił się na łożu, wreszcie wstał i wyszedł na obejście. Cisza była dokoła głęboka, jeno gdzieś, z tuż stojącego boru, dochodził żalospny głos jakiegoś nocnego ptaka. Malejący już księżyc przeświecał korony drzew, których długie cienie okrywały dworzec i dziedziniec. Gdzieś, niezmiernie wysoko ciągnęły gęsi. W głębokiej ciszy słyszał wyraźnie ich tęskne gęganie.

Przypomniał sobie, że niedaleko jest gródek w Modrzu, miejsce, gdzie ostatnie lata spędziła i zmarła jego matka. Może tam przygaśnie dławiające go uczucie tęsknoty. Nie namyślając się postanowił jechać zaraz do Modrza.

Wszedł do izby, by zbudzić Jaskotela, ale druh siedział już na łożu, zaniepokojony dłuższą nieobecnością Bolka. Bolko opowiedział mu swój sen i chęć odwiedzenia Modrza. Jaskotel ziewnął,

przeciągnął się i szaty jał wkładać mówiąc:

- Mamy jechać, to już. Drogę przez bagna znam dobrze, bo nieraz do pustelnika tędy jeździłem. Nawet i teraz skoczyć chciałem, bom go dawno nie widział, bałem się jeno, by się na przyjazd kniazia nie spóźnić. Nie byłby wasz ojciec rad, gdyby nas nie zastał.

- Juści! - rzekł Bolko z pewnym wahaniem - tym bardziej że Stoigniew ni Sobiesław nie przyjadą, a i wielu wielmożów pewnie chybi.

Mówiąc ubierali się jednak. Za chwilę siedzieli już na koniach i zanurzyli się w las. Milczeli, uroczysta i tajemnicza cisza grozić zdała się tym, co by ją zakłócić chcieli. Zresztą Jaskotel śpiący był, a Bolko wciąż jeszcze pod wrażeniem snu, obydwaj nieskłonni do rozmowy.

Jechali szybko, mimo ciemności, księżyc bowiem już zachodził za bory i gdzieniegdzie jeno jeszcze wąty promień przecisnąć się zdołał przez gęstwę. Potem i te promyki zgasły, natomiast niebo na wschodzie jaśniejszą zaczęło przybierać barwę, a gwiazdy przeblyskujące z rzadka przez korony drzew zbladły. Gdy wyjeżdżali na polanę, na której gródek był położony, pierwsze promienie słońca złociły już szczyty najwyższych drzew. Czynił się pogodny dzień.

Gosława w gródku nie zastali, gdyż do Poznania pociągnął. Powitał ich młody jego zastępca, Plewna. Zamieniwszy z nim jeno słów parę Bolko, nie śniadając nawet, kazał się do komnat matczynych prowadzić.

Przy wejściu jakaś siwa, pomarszczona ze starości niewiasta wyszła mu naprzeciw. Patrzyła na nadchodzących badawczo starczymi, zaczerwienionymi oczyma mrugając silnie. Gdy młody książę chciał ją minąć przy wejściu, podnieconym szeptem zawołała:

- Bolko!

Zatrzymał się i patrzył na niewiastę zdziwiony:

- Matkę twoją i ciebie na rękach nosiłam, nie poznajesz mnie? - spytała.

- Marzenka! - więcej zdziwienia niż radości zabrzmiało w okrzyku Bolka.

Plewna na czoło pokazał, że stara niespełna rozumu, lecz ta zauważyła ruch i szczerząc ostatnie dwa zęby rzekła chrypliwie:

- Sameś głupi! Czego do garści nie schwyta, w to nie wierzy. Dla ciebie i słońca pewnikiem nie ma, bo go nie dosięgniesz. I odwracając się pogardliwie od wojaka, Bolka za rękę chwyciła i ciągnąc go weszła do komnaty mówiąc:

- Chodźcie prędzej, dość się księżna na ciebie wyczekała.

Widząc zaś, że Plewna kieruje się za nimi, krzyknęła:

- Ani się waż! Kogo księżna nie zawoła, temu wchodzić nie wolno.

I drzwi wzruszającemu ramionami Plewnie przed nosem zatrasnęła, a prowadząc Bolka w głąb komnaty mówiła:

- Nie myśl, żeś głupia. Wiem, że księżny tu nie ma, jeno im tak mówię, by mi spokój dali. Siedzę tu sobie i myślę. Czasem mnie księżna odwiedzi, kiedy jej łaska. Teraz, słyszę, książę inną bierze. Nie będzie dla pani miejsca w Poznaniu, pewnie tu zjedzie. Zwyczajnie w nocy przychodzi, kiedy księżyc przez błony się przebija, ale skoroś przyjechał, może przyjdzie zaraz. Mimo iż Bolko wiedział, że stara niespełna rozumu, dreszcz przeszedł mu po plecach i zjeżył włos na głowie. Choć dzień był słoneczny, zakurzone błony niewiele przepuszczały światła i w kątach leżały cienie. Bolkowi przyszła na myśl zimna dłoń matczyna, której dotknął na marach.

Wzdrygnął się. Wspomnienie to zmaciło mu tkwiące w nim jeszcze silnie wrażenie snu. To, co z matki pamiętał i za czym tęsknił, to było właśnie ciepło i bezpieczeństwo. Cofnąć się chciał, jakby w

obawie, by nie dotknęła go ta zimna dłoń. Nie tego wspomnienia szukał. Lecz stara trzymała go czując jego chęć ucieczki i rozgadała się, jakby chcąc sobie wynagrodzić długie milczenie. Słuchał roztargniony i niespokojny, wreszcie zerwał się i wybiegł. Odetchnął w ciepłe jesiennego słońca i rozglądał się za Jaskotelem. Ani się spostrzegł, a już było południe. Odszukał Plewnę i od niego dowiedział się, że Jaskotel wziął konia i wyjechał mówiąc, że wróci niedługo.

- Ani chybi do pustelnika pojechał - pomyślał Bolko, nierad, że znowu zwłóce ulegnie powrót do Poznania. Dowiedziawszy się jednak, że Jaskotel zaraz z rana wyjechał, przyjął zaproszenie, by się pożywić, pewny, że towarzysz lada chwila nadjedzie, nie było bowiem daleko.

Gdy jednak Jaskotel nie wracał, Bolko, pojedłszy, konia kazał sobie osiodłać i niespokojny a markotny namyślał się, czy wracać samemu do Poznania, czy też po Jaskotela skoczyć do pustelnika. Nie miał jednak ochoty na samotną, daleką jazdę, zwłaszcza że nocy zarwać by przyszło w podróży, skierował przeto konia na znaną mu ścieżkę, do pustelnika wiodącą.

Jechał szybko, o ile tylko pozwalała droga. Nie zatrzymując się minął dąb, pod którym we śnie cudowny miecz otrzymał, przejechał bagienko przed pustelnikowym osiedlem i zatrzymał się przez chwilę nad płachciem ciemnej wody, która dzieliła osiedle od świata. Wszystko tu było jak ongiś, nawet tak samo sarna pasła się przed domem, jeno koźlę widocznie dorosło i odeszło od matki. Chatka stała cicha, zatopiona w zieleni, żaden ruch nie zdradzał obecności ludzi.

Bolko skręcił ku płyciźnie, przebył ją i zsiadłszy z konia przywiązał go do pieńka, sam zaś ku chacie ruszył. Drzwi były otwarte i trochę światła wpadało przez nie do izby, zresztą ciemnej prawie zupełnie. Przy wejściu, na zydlu, z głową odrzuconą w tył, siedział Jaskotel. Zdawał się spać, choć oczy miał wpółotwarte, powieki przykrywały do połowy powiększone, prawie czarne źrenice.

Widok ten wstrząsnął Bolkiem. Chwyciwszy Jaskotela za ramię jął go tarosić, gdy z głębi odezwał się głos:

- Niechajcie go, kniaziu Bolesławie, sam go zbudzę, gdy będzie pora.

- Kto tu? - krzyknął Bolko zdławionym głosem. Przywykłe już do mroku jego oczy rozróżniły w głębi izdebki mętny zarys jakiejś postaci i jaśniejsze, prawie białe, plamy oczu.

- Zbrozło - odpowiedział bezdźwięczny głos. - Czekam tu na was.

Bolko już się opanował, a nawet gniew w nim powstał.

- Czego chcecie ode mnie i coście zrobili z Jaskotelem?

- Nic. A z wami mówić chciałem.

- Mówcie tedy prędko i zbudźcie Jaskotela, bo jechać musim zaraz, by za jasna choć do gościńca dotrzeć. Ojciec lada dzień w Poznaniu stanie.

Zbrozło nie rzekł nic, lecz powstał i ogień począł krzesać na kominku. Posypały się iskry oświetlając raz za razem twarz Zbrozły tak, że wyskakiwała i niknęła w cieniu. Po chwili zatliły się suche mchy i trawa: Płomyk chwycił susz trzeszcząc przyjaźnie. Światło rozproszyło mrok i wydobyło z cienia postać Zbrozły. Bolko ochłonął już i rzekł ostro:

- Ściągnęliście mnie tu umyślnie. Pytam się po co?

- By wam powiedzieć, że od tej chwili aż do czasu, gdy Odę wraz z jej pomiotem wygnacie lub ubijecie, życia swego nie jesteście pewni.

Jakaś groza ogarnęła Bolka. Milczał. Wreszcie, by coś rzec, choć wątpliwość w nim nie powstała, aby Zbrozło miał kłamać - zapytał:

- Skąd wiecie?

- Trudno by wam było zrozumieć, skąd wiem, choćbym powiedział. Ale to rozumiecie sami, że

Dietrich nie po to córkę wydaje, by wnuki jego prawemu dziedzicowi służyły. Dawnoć to saskiego duka wstydził, że córkę oddał psu, choć za obodryckiego kniazia ją wydał, Zoluntę, chrzczonego i cesarzowi wiernego, który nawet do Italii z nim pociągnął?! A ninie sam córkę za „słowiańskiego psa” wydaje! Nienawidzi Słowian jak czarnej śmierci, a was pierwszego, bo w was leży przeszkoda, by dzieło ojców i dziadów waszych, którego siłą rozbić nie zdołali, bez walki zagarnąć. Jeszcze trzy pokolenia władców z krwi tego ludu, a nigdy już zagrozić nam nie będą w możliwości.

Wzburzenie ogarnęło młodego księcia. Chrapliwym głosem zapytał:

- A rodzic mój nie wie, kogo w dom swój puszcza?

- Książ Mieszko - odparł Zbrozło - znużony już walką, przeto się ubezpieczyć chce, choć z jednej strony. Dufa sobie, że chytry jest i sam korzyść ze związku wyciągnie, a przed stratami się uchroni. Wielu Niemców też tak myśli...

- Tedy co rodzic miał czynić, gdy, jako wam wiadomo, ze wszystkich stron groźby zawisły?

- Nie od Słowian Słowianom zguba grozi, ale każdemu z osobna od Niemców. Choćby książ wszystko stracił, co w swym życiu zyskał, jeszcze od tego Polanom nie ginąć. A obcym wydani, na przepadłe pójdą. Widzicie, co się z Milczanami i Łużyczanami dzieje? Bezpański pies prędzej najdzie miłosierdzie i sprawiedliwość niż oni. Niedługo jeno imię po nich ostanie. Bolko zadumał się ponuro. Już nawykł do myśli, że rządził będzie nie tylko całym państwem ojcowym, ale granice jego daleko rozszerzy. Zdało mu się to łatwe. Obecnie nadzieje swe widział zagrożone, nie tylko od zewnątrz, ale i od wewnątrz. Widział, że nie wystarczy siła i męstwo, lecz czegoś więcej trzeba, nawet nie po to, by rozszerzyć władanie, lecz by się przy tym, co jest, utrzymać - ba, choćby przy życiu. Zarazem czuł, że Zbrozło pomóc mu chce, a jednocześnie przeciw ojcu go nastawia. Sprzeczne uczucia zatargały Bolkiem jak wichur. Miłował samotnego, starzejącego się, surowego rodzica, wiedział, że on od syna wyczekuje pomocy i wyręki. Ma go opuścić, gdy słabnie? Jeszcze tylko wewnętrznego rozdarcia brak, by wszystko wniwecz obrócić.

Podejrzliwie zapytał:

- Czego ode mnie chcecie?

Zbrozło, jakby zrozumiałszy myśli Bolka, odrzekł:

- Niczego. Dajcie jeno na siebie baczenie. Inni was strzec będą, a tych, od których zguba wam grozić może, łatwo będziecie mogli teraz policzyć.

Bolko spojrzał pytająco na Zbrozłę, a ten ciągnął:

- To ci, co przy nowej pani wieszac się będą i łaski jej sobie skarbić. Wypełzną tym łatwiej, gdy wy i ci, co jak ja myślą, popadniecie u kniazia w niełaskę na powitanie nowej pani nie stając. Nie będzie nikogo z najbliższych kniazia od syna własnego począwszy.

Bolko zerwał się i zakrzyknął:

- Muszę być! Nie darowałby ojciec obrazy. Zbudźcie zaraz Jaskotela. Jechać musimy, co koń wyskoczy!

- Za późno już - rzekł Zbrozło. - Książ rankiem w Poznaniu stanie, nie zdążycie. I tak lepiej, niech się przeciw wam gniew księcia obróci. Grozi wam jeno niełaska. A gdyby się zwrócił przeciw innym, gorzej by było. Znaście swego ojca, iż oporu nie znosi. Bolko walkę toczył ze sobą nie mogąc powziąć postanowienia i buntując się przeciw Zbrozle, który wstał i przystąpiwszy do Jaskotela wykonywał jakieś gusła. Jaskotel odetchnął głęboko i przetarłszy oczy dojrzał Bolka. Zaśmiał się z przymusem:

- Taki mnie sen zmorzył, że mi się oprzeć nie mogłem. Nie gniewajcie się, żeście po mnie przyjechać musieli. Śniło mi się, żeśmy się na powitanie księcia spóźnili i srodze się na nas zawziął.

- Dobrze ci się wyśniło - odparł Bolko z goryczą.

- I wam się wczoraj dobrze wyśniło - rzekł Zbrozło do Bolka. - Nie chciałaby was matka wiedzieć, jak jej niegodną następczynię witacie.

Bolko spojrzał na Zbrozłę olśniony. Teraz dopiero przypomniał sobie, że tak było istotnie. Poczł ulgę tak wielką, że nawet nie zastanawiał się, skąd ten człowiek wiedzieć mógł o jego śnie. Wierzył mu i gotów bez wahania iść za jego radą. Niemniej rad by już sam pozostać, by uporządkować swe myśli. Wstał tedy i żegnając zapytał Zbrozłę:

- Gdybym was wiedzieć potrzebował, gdzie was szukać? Na dworze chyba się nie zjawicie?

- Zjawię się, gdy będę potrzebny. A gdzie mnie szukać, trudno powiedzieć. Wieści możecie czasem dostać od Stoigniewa lub pustelnika. Nie powiadajcie jeno na dworze, gdzieście byli i że mi ja was do nieposłuszeństwa nakłonił.

- Czemuż to? - zapytał Bolko.

- Pustelnik i tak solą jest w oku duchowieństwu, że nie tak jak oni naucza i pomocy a posług ludziom używa, nic za to nie biorąc. Na biskupi sąd go pozwalają. Gdyby mu dowiedli, że ze mną przestaje, zgubią go. Wiecie, że mnie tam za czarownika mają.

- Dobrze! - rzekł Bolko i pomyślał, że iście lepiej, by i o nim nie wiedział nikt, że się z czarownikiem zadaje. Zbierać się zaczęli do koni. Słońce stało już na zachodzie. Zachodziło czerwono, jak na wiatr.

X

Świętosława

Książ widno domyślał się, że nie wszystko w Poznaniu zastanie, jak by chciał, gdyż istotnie zjawił się w dziesięć koni, zaraz z rana, pozostawiając orszak z oblubienicą, gości i odebranych jeńców, którzy nadciągnąć mieli koło południa. Nie zsiadłszy jeszcze z konia zapytał o Bolka, krewniaków i Jaskotela, a dowiedziawszy się, że nie ma nikogo, gniewu po sobie nie pokazał, lecz co koń wyskoczy po swych stryjecznych Odylena i Przybywoja, którzy opodal na lichym gródku siedzieli, posłał z poleceniem stawienia się natychmiast, by na czele dworskich urzędników witali nową panią. Wojskowym dostojnikom rozkazy wydał i sam udał się do Jordana, by powitanie przez duchowieństwo omówić. Potem zawołał komornika Prowinę i polecił zgromadzonym w szopie za miastem jeńcom niemieckim ogłosić, że z powodu jego zaślubin z córką Dietricha wolność mają

odzyskać. Straż kazał z nich zdjąć, przybrać ich i nakarmić, miejsce przy powitaniu nowej pani wyznaczyć i jak z gośćmi się obchodzić.

Niedługo czekał księżę, gdy nadbiegł pachołek oznajmiając przybycie wezwanych stryjecznych. Mieszko kazał ich prowadzić natychmiast.

Weszli dwaj mężowie w sile już wieku. Na zgorzkniałych twarzach malowała się niepewność, gdy pokłoniwszy się czekali na słowa księcia. Na ich widok Mieszko jakby się chwilę zawahał, lecz przemógł się i zaraz rzekł oschłym głosem:

- Przywracam was do łaski. Dufam, że na nią zasłużycie i że ni wy, ni ja żałować tego nie będziemy. Wiem o was wszystko, lecz puszczam w niepamięć. Baczcie, byście nie przypomnieli. Ostaniecie przy dworze, urzędy i oprawę wam później wyznaczę. Teraz idźcie do skarbnika, niech wam wyda strój kniaziom przystojny i witać pójdziecie panią, na czele dworskich ludzi. Rzucili się dziękować, lecz odprawił ich zaraz pośpiech zalecając. Kto by ich ujrział, gdy za parę chwil wychodzili ze skarbcza, nie byłby ich poznał. Z twarzy ich i postawy zniknął wyraz przygnębienia i latami skrywanej złości, natomiast zjawiła się pycha, zmieszana jeszcze z niepewnością. Dotychczas zrozumieć nie mogli, co było przyczyną nagłej odmiany w ich losie, który już za pogrzebany mieli. Milczeli idąc do swych komnat, do których ich wiódł wyznaczony im do posługi pacholik. Dopiero gdy drzwi się za nimi zatrzasnęły, spojrzeli po sobie i Odylen ozwał się:

- Co o tym myślisz?

- Żeby mi kto wczoraj powiedział, rzekłbym, że kpi.

- Nie z miłości nas Mieszko ściągnął, to pewna.

Gwałtowniejszy Przybywój zaśmiał się zjadliwie:

- Tak on nas kocha, jak my jego. Nasze winy w niepamięć puścił, jeno zapomniał zapytać, czy my swojej krzywdy zapomnimy.

- Stul gębę! - syknął Odylen. - Naprzód nie zapominaj, że głupi Mieszko nigdy nie był i puścił w niepamięć czy nie puścił, dobrze nas będzie miał na oku. Ściany uszy mają. Chcesz gadać, wyjdźmy.

- Chodźmy! - rzekł wstając Przybywój. - I tak dowiedzieć się trzeba, skąd spadła na nas ta niespodziana łaska. Wyszli i zmieszali się z bieżącymi na wszystkie strony ludźmi. Ten i ów ze starszych, którzy ich znali, spojrział na nich ze zdumieniem. Poniektóry, widząc ich bogaty ubiór, domyślił się odmiany w ich losie i pokłonił się unikając jednak zetknięcia. Patrzyli, czy kogoś nie spostrzegą, kto dawniej bywał z nimi w zażyłości, lecz nie znaleźli nikogo. Twarze im zmierzchły, a Przybywój syknął:

- Prawdę rzekł Mieszko, że wszystko o nas wie, skoro do ostatniego usunął ludzi, co z nami trzymać mogli.

Przepychali się ku wyjściu z dworca kierując się na międzyrzecki gościniec, ku któremu ciągnęły już gromady ludu, gwarząc między sobą o Mieszkowym małżeństwie i spodziewanych zmianach. Wyszli za bramę, gdzie służba trzymała konie przygotowane dla księcia i dworskich. Stanęli na uboczu i rozglądali się po nadchodzących. Uderzył ich brak któregośkolwiek z krewnych Mieszka. Odylen przystąpił do pachołków i dopytując się o konie dla siebie i brata, mimochodem zapytał o Bolkowego. Dowiedziawszy się, że Bolka nie ma w Poznaniu, wrócił do brata i rzekł półgłosem:

- Zda mi się, że wiem, czemu łaskę Mieszkową zawdzięczamy. Bolko z Poznania wyjechał, Stoigniewa i Sobiesława też nie ma. Widno coś krzywi. Nie chce Mieszko Ody jak przybłąda bez nikogo z rodu witać, to nas wywłókl.

Zaśmiał się i ręce zatarł.

- Słyszałem, że Dietrichowa córka młoda jest i urodna. Osiodła starego męża. Niech jeszcze synów mu da, to się całą panią tu zrobi. Głupi Bolko jeszcze jej drogę ułatwia z ojcem zadzierając.

- Trzeba się będzie nowej pani w łaski wkręcić. Będzie szukała popleczników, niech nas pierwszych najdzie. Jeno ostrożnym trzeba być. Bolko może być głupi, ale Stoigniew jest przy nim. Zresztą, kto tam Mieszka odgadnie. Dziś się z Niemcami brata, a jutro żonę może wygnąć. Uszy i oczy jeno otworzyć, a gębę trzymać zamkniętą. Co dalej będzie, obaczymy.

Przerwali, gdyż ruch się uczynił w podworcach. Mieszko z gromadą dworskich i wojskowych dostojników szedł ku bramie. Doszedłszy rozejrzał się, jakby jeszcze kogoś szukał, po czym skinął na stojących opodal Odylena i Przybywoja, a gdy się zbliżyli, rozkazał:

- Pojedziecie przy mnie. Gdy Oda nadciągnie, macie ją tu prowadzić, jako moi dziewczosłebowie. Niemieckiej mowy pewnieście jeszcze nie zapomnieli?

Ostatnie pytanie rzucił takim głosem, aż poczerwienieli obydwaj i jeszcze raz w duszy powtórzyli sobie, że dużejtrzeba będzie ostrożności i chytrności, by uspić czujność braterską. Książę ruszył przed siebie, mając stryjecznych po obu stronach.

Jechali wśród tłumów, które wyległy wzdłuż gościńca. Październikowe słońce stało już na południu. Łagodne jego, lecz ciepłe jeszcze promienie grały na broni i klejnotach, tak iż orszak sunął sięjąc blaski, aż oczy rwało. Nie ujechali daleko, gdy i z lasów wysuwać się zaczął świecący wąż i obydwaj orszaki zbliżały się bez pośpiechu, aż zwały się w jedno i wśród okrzyków i coraz rosnącego gwaru zbliżały się do dworca. Gwar przycichł na chwilę, gdy orszak zatrzymał się, by przyjąć powitanie duchowieństwa. Opustoszałe na chwilę podworce zaroily się znowu, a we dworze zaszumiało jak w ulu.

* * *

Jeno w odległej części niewieścich zabudowań, w narożnej komnacie cisza panowała. W otwartym oknie stała, młoda, dopiero z dziecka wyrastająca dziewczyna i spoglądała na wjazd orszaku. Po chwili przez ramię rzuciła w głąb komnaty:

- Są już! Ale strojna. Kto by w niej mniszkę poznał!

Odwróciła się. Słońce grało w jej złotych włosach, spływających ciężkimi kosami na szczupłe, jeszcze dziecinne barki. Rosła była i smukła, jak topólka. Biała twarz z lekkim rumieńcem zdradzała żal jakiś, który krył się za dumą... Przysunęła się do Bolka, który stał na środku komnaty. Prosto jak z konia zsiadł, do siostry przybiegł, by u niej w swym udręczeniu znaleźć pociechę. Patrzyła na niego swymi wielkimi, niebieskimi oczyma i zapytała:

- Cóżżeś taki strapiony?

- Wiem ja to? - odparł opadając na ławę i głowę wspierając na rękę. - I żal mi ojca, i trochę strach, i nie wiem, czym dobrze zrobił na czas nie wracając.

- Dobrze! - rzuciła porywczo. - Ja jej też witać nie wyszłam.

- Nie kazał ci ojciec?

- Gorzej, bo prosił, a nie poszłam.

- Cóżżeś rzekła? - spytał Bolko z ciężkim westchnieniem, na myśl o nieuniknionej rozmowie z ojcem i spodziewając się, że mu ją Świętosława przygotować pomoże.

- To, co myślę! - odparła żywo. - Że nie przystoi córce polańskiego kniazia na powitanie margrafowej córki wychodzić. Powitam ją, gdy już polańską księżną ostanie, teraz jej by przystało mnie przyjąć powitać.

Bolko, choć strapiony, zaśmiał się:

- Dumna jesteś. A co rzekł ojciec?

- To samo, co ty! Jeno się nie śmiał. Bo i czemu nie mam być dumna? Gdzież to te rody, dostojniejsze od Piastowego i gdzie władcy potężniejsi od naszego ojca? Margrafów cesarz robi, z kogo mu się podoba, a nie nada się, przegna jak psa. Bolko chciał coś odrzec, gdy w cichym dotąd budynku rozległy się głosy i stąpania licznych kroków. Drzwi otwarły się szeroko, stanął w nich przełożony dworskich, Doliwa, i oznajmił uroczyście:

- Margrafówna Oda powitać pragnie księżniczkę Świętosławę i wraz z ojcem waszym tu nadchodzi.

Świętosława przybladła nieznacznie, a Bolko zaskoczony cofnął się w głąb izby. Nastąpiła chwila ciszy, w której słychać było kroki nadchodzących.

Mieszko zjawił się we drzwiach i przepuściwszy margrafównę wszedł za nią. Świętosława skłoniła się przed ojcem i czekała wyprostowana. Półdziecko i kobieta w kwiecie lat stały patrząc na siebie. Oda twarz okrasiała uśmiechem - i rzekła po niemiecku:

- Uprosiłam ojca waszego, by mi was nie mieszkając powitać pozwolił i poznać się, gdyż prosić was chciałam, byście wieczorem na ucztę byli. Nie śmiem tuszyć, bym matkę wam zastąpić zdołała, lecz przyjaźnią moją nie pogardźcie.

Świętosława zarumieniła się z lekka i odparła obojętnie:

- Nie rozumiem po niemiecku, pani.

Cień przeszedł przez twarz Mieszka, lecz nie dając nic poznać po sobie, słowa margrafówny w słowiańskiej mowie powtórzył. Świętosława z ledwo dostrzegalnym uśmiechem w kącikach ust skłoniła się przed ojcem i odparła poważnie:

- Powiedzcie margrafównie, iż dzięki jej składam za odwiedziny i gotowość przyjaźni i z chęcią przyjdę na ucztę. Niedługo mnie pewnie za obcego kniazia wydacie, tedy czasu nie stanie na zawarcie przyjaźni, tym bardziej że nawykłam pierwsza być z niewiast na tym dworze i... w waszym sercu - dodała jakby z wyrzutem - tedy trudno by mi było tej, co mnie usuwa, wzajemną gotowość przyjaźni okazać.

Mieszko zmarszczył się i jeno w kilku słowach powtórzył podziękowanie i przyjęcie zaproszenia na ucztę. Oda spojrzała na Świętosławę swymi nieprzeniknionymi oczyma i skinęła jej głową, lecz nie zmuszała się już do uśmiechu. Mieszko ruch uczynił jakby do wyjścia, lecz w tej chwili Oda przystąpiła do stojącego w milczeniu Bolka:

- Zgaduję, że to syn wasz. Skorzystam ze sposobności, aby i z nim się poznać.

Nie widząc lub też udając, że nie widzi zmarszczki, jaka przecięła czoło księcia, wyciągnęła ku Bolkowi dłoń. Ujął ją z wahaniem i dziwne uczucie nim owładnęło. Oda przytrzymała jego rękę, a on nie śpieszył się cofnąć swojej. Dłoń miała gładką, ciepłą i giętką. Podniósł oczy i spotkał spojrzenie jej zielonkawych oczu i uśmiech, tym razem niewymuszony. Twarz jej ożywiła się i Bolko mimo woli pomyślał, że jest bardzo piękna. Zarumienił się i oczy spuścił. Oda zaś, uśmiechając się nadal, ciągnęła:

- Radam was poznać. Tyle o waszym męstwie słyszałam, że mam was sobie jako jakiegoś wielkoluda wyobrazić, iż wierzyć mi się nie chce, że ten wojownik i wy, co byście dziewczyną z urody być mogli, to jedno. Rycerze i niewiasty, co ze mną przybyli, też poznać was będą radzi. Myślę, że i wy obecności na ucztę nie odmówicie. Głos miała wysoki, dźwięczny i miękki. Czarował on Bolka, który stał zmieszany, bąkając coś w odpowiedzi. Na szczęście księżę przeciął rozmowę i wyprowadził syna z zakłopotania, mówiąc:

- Przed uczną do mnie przyjdiesz. Chcę z tobą pomówić.

To rzekłszy ruchem ręki margrafównę do wyjścia poprosił i skinąwszy głową córce, a nie spojrzawszy na syna, wyszedł wraz z Odą.

Jeszcze nie przebrzmiały ich kroki za drzwiami, gdy Świętosława zaśmiała się i rzekła drwiąco do Bolka:

- Cóżżeś tak zbaraniał! Urodna, co? Dobrze, że ja mężem nie jestem.

Mnie nie omami. Mogłabym jej plunąć w te zielone ślepie.

- Niechaj! - rzekł Bolko zmieszany. - Gorzej, że rodzica widno już omamiła. Gniew jeno jego na siebie ściągniesz jako ja.

- Nie dbam o to - rzuciła zawzięcie. - Nie będę się przybłędzie łąsiła ni udawała życzliwości, której nie czuję. Ani z nią o ojcową łaskę do zawodów nie stanę. Łaski mi niczyjej nie trzeba.

- Dobrze ci tak mówić - markocił się Bolko. - Mnie zasię, prawdę powiedzieć, ojcowej łaski trzeba. Widziałaś, jako Przybywój i Odylen, choć bracia stryjeczni, na pachółków prawie zesli, że im rodzic łaski swej umknął.

- Widziałam, że jako kniazie postrojeni, z ojcem macochę witać jechali - rzekła, a gdy Bolko patrzył zdumiony, uszom nie wierząc, dodała:

- Prawdę rzekłam. Ale nic im kniazkowa łaska nie pomoże, bo w sobie nijakiej siły nie mają, jeno złość. Ani jako stryk Ścibor ustąpić mu nie umieli z braterskiej życzliwości, ani się siłą o swoje upomnieć, jeno zawdy cudzych rąk szukali, by swego dopiąć.

Ja bym się ubić dała, a swego nie puściła. Mówiła macierz nasza:

„Praw jesteś, nie lękaj się nikogo!”

- Dumnaś! - powtórzył Bolko, tym razem poważnie - i rozsądna z ciebie dziewoja. Jeno przeciw ojcu walczyć, ni siły, ni chęci. Ale i ja swego nie poniecham, choćbym miał zginać.

- Pamiętaj! - rzekła. - Gdziekolwiek będę, pomogę ci. Nie będą szczenięta po tej suce naszym ludem rządziły. Bolko przygarnął siostrę, a ona oddała mu uścisk. Czuli, że sami zostali, bo ojca odbiera im ta obca, wroga kobieta. Bolko odezwał się pierwszy:

- No, żegnaj. Skoro do ojca mi iść trzeba, a przódzi jeszcze widzieć się chciałem z Jaskotelem, który się między ludzi poszedł pokręcić, pewnie, by się wywiedzieć, co ojciec o nim myśli. I jemu też niełaska grozi.

Bolko wyszedł. Gdy drzwi się za nim zamknęły, Świętosława usiadła na zydlu. Ukryła twarz w dłoniach. Za chwilę łzy, jedna za drugą, spływać zaczęły między palcami. Płakała za matką, która ją opuściła tak wcześnie, i za ojcową życzliwością, którą jej macocha odbiera, i nad nim samym. Nikt go już, starzejącego się i skrytego, tak jak ona kochał nie będzie, nikt rozproszyć jego trosk, ni uśmiechu wywołać na zacięte usta tak jak ona nie zdoła. Siedziała długo bez ruchu, zdało się, że zasnęła. Słońce już zaszło, cienie zaległy podworce. Rozległo się pukanie. Świętosława oczy przetarła i pewnym głosem zawołała:

- Wejść!

We drzwiach stanęła stara Bogucha, opiekunka księżniczki, mówiąc:

- Czas by ci, kochanie, przybrać się. Już ludzie do świetlicy na ucztę idą.

- Tak pójdę, jak stoję - odparła Świętosława.

- Tyle obcych będzie, wszystkie postrojone - przekonać się starała piastunka - i kniaź gniewny być może.

- Żeby jeno o to! - westchnęła Świętosława. - A tamte muszą się stroić, by ich kto za proste

dziewki nie wziął, lub... mniszki! - dorzuciła. - O mnie każdy wie, kto jestem. Pójdźmy! Piastunka pokiwała głową. Chciałaby swą panią przystroić, by zgasła wszystkie inne, lecz wiedziała, że gdy ta coś powie, słów szkoda tracić. Zaczęły się zbierać do wyjścia.

XI

Nieoczekiwane wstawiennictwo

Bolko, wyszedłszy od Świętosławy, szukał Jaskotela naprzód w swojej izbie, lecz pacholek mu rzekł, iż ten powiedziec kazał, że idzie się przepytac u jeńców, czy czegoś nie słyszeli o Gołuchu. Bolko z pewnym zawstyżeniem przypomniał sobie, że nie pomyślał, by iść powitać swego dawnego piastuna, który dla niego tyle lat przesiedział w niewoli. Choć strapiony i zaprzątnięty czym innym, postanowił jednak odszukać Mszczuja, pewny będąc, że Jaskotel od niego rozpoczął poszukiwania Gołucha.

Mszczuja zastał w izbach, przeznaczonych dla dostojniejszych gości, gdzie i Dietrichowi gospodę wyznaczono. Od trzech lat, gdy Bolko opuścił piastuna, Mszczuj postarzał się znacznie. Włos mu posiwiiał zupełnie, oczy miał wyblakłe i zgaszone. Na widok Bolka ożywił się widocznie i z nie ukrywaniem wzruszeniem dziękował za pamięć. Bolko rad był teraz, że wspomniiał starego wojaka i choć śpieszno mu było, przyjął zaproszenie, by spocząc i dopytywał się o pozostałych towarzyszy niewoli, a szczególnie o rówieśnika swego, Mszczujowego Jurka. Mszczujowi twarz skurczyła się bólem, lecz odrzekł spokojnie:

- Rok będzie, jakem go pogrzebał w lochu.

Bolko umilkł i zmieszany nie wiedział, o czym dalej mówić. Po chwili zapytał:

- A wy co ze sobą robić myślicie?

- Zda mi się, ni do rady ja, ni do wojny już. Wrócę do swego gródka. Młodszy synaczek podróść już musiał. Nie pozna mnie pewnie, ale może jeszcze nawyknie. A tu - mruknął gniewnie, przysłuchując się dolatującym z sąsiedniej izby głosom - niemiecką mowę teraz słyhać. Dość się jej przez siedem lat niewoli nasłuchałem. Myślę, że kniaź mnie zwolni zważywszy, że ciężką już powinność odbyłem.

Bolko pomyślał, że oto jeszcze jeden człowiek, co z nim trzymać będzie, ale jednocześnie przykro mu się uczyniło na myśl, że ojcu znowu ubywa jeden z dawnych a cenionych towarzyszy, z rodu, który od dziadów Piastom do śmierci zwykł służyć. Żal go też ogarniał za Jurkiem, z którym od niemowląt prawie razem się bawili i nagle nienawiść buchnęła w sercu jak płomień, przytłumiając wszystkie inne uczucia, nawet obawę przed ojcem. Przypomniał sobie jednak o Jaskotelu i zapytał, czy był się przywitać.

- Był - odparł Mszczuj. - Dopytywał o Gołucha, ale co my wiedzieć możemy? Od waszej ucieczki w lochu my siedzieli, bez żadnej wieści ze świata. Tyle wiem, że z nami nie siedział i z nami nie wrócił. Jaskotel pobiegł niemieckich jeńców, co zwolnieni być mają, prosić, by o niego przepytali i obiecać wysoki okup, gdyby go zdołali wydostać.

Bolko pożegnał się szybko, pamiętając, że u ojca jeszcze przed wieczorem ma się stawić, i pobiegł szukać Jaskotela. Niemieccy jeńcy stali w szopach za miastem i tam pośpiesznie zmierzał Bolko.

* * *

Ponieważ wieczory już bywały chłodne, uczta dla ludu i pospolitych wojów już się była

rozpoczęła. Niemcy też pod gołym niebem mieli ustawione stoły z tarcic pozbijane i na równi z innymi byli goszczeni. Na wielkich ogniskach piekły się ćwiartki wołów, barany i dziczyzna, stały kufy z miodem i piwem. Kręciło się też dużo osiadłego w Poznaniu ludu. Niektórzy, sami niemieckiego pochodzenia, swojaków szukali lub wieści przesłać chcieli do znajomków w dawnej ojczyźnie, inni handlowe sprawy załatwić byli radzi. Gwar panował i zamęt. Jedni przy stołach siedzieli, inni stali przy ogniskach lub kręcili się po całym polu. Tu i ówdzie pieśni śpiewano, miejscami śmiechy wybuchały lub kłótnie, gdyż i popić już zdołano nad miarę. Pachołkowie ze straży snuli się wśród gości, by porządku pilnować, ale po prawdzie kuf najczęściej pilnowali, by i samym ze święta skorzystać. Jeno przełożony nad nimi, Mikora, nie pił i dawał baczenie, by bójki gdzie nie powstały, ale wesołości powszechnej nie hamował. Jaskotel, przyszedłszy, rozpatrywał się w tłumie szukając między Niemcami Bawarów, przypuszczał bowiem, że Gołuch koło zamku Gedдона kręcić się musiał i tam go pewnie ujęto. Zaczynał tu i ówdzie rozmowy i przepytywania, wreszcie wskazano mu kilku ludzi siedzących za stołem, w dobrze już wesołym nastroju. Rej między nimi wodził ogromny, brodaty mąż, niezwyklej tuszy. Musiał to być ktoś znaczniejszy, gdyż jakkolwiek wszyscy byli już podchmieleni, przecież z szacunkiem się do niego zwracali, jak do jakowejś dostojniejszej osoby. Dawno już musiał zacząć ucztować, gdyż twarz miał czerwoną. Przed nim leżały gnaty, wskazujące, że ogromną ilość mięsa pochłonał, którą ninie zalewał piwem bez miary i głośno, potężnym a niskim głosem coś śmiesznego zapewne powiedział, gdyż otaczający go co chwilę wybuchi śmiechem. Gdy Jaskotel kręcić się zaczął koło nich, umilkli jednak. Jaskotel przelazł przez ławę, na której siedział opasły mąż, i nalawszy sobie piwa przypił do nieznanego, by zacząć rozmowę. Choć ubrany był z polańska i broń miał przy sobie, z mowy wzięto go widocznie za jednego z Niemców w służbie Mieszkowej, gdyż nieufność zniknęła z twarzy biesiadujących, a otylec odezwał się:

- Pij zdrowie nowej pani. Nauczy ona chodzić na zadnich łapach waszego niedźwiedzia. Kółko do nosa mu pono we wianie przywiozła. Biesiadnicy wybuchnęli śmiechem, a Jaskotel, choć go poderwało, zmilczał jednak, pomny, że prosić ich ma o wieści o Gołuchu. Nie dał tedy nic poznać po sobie, wypił i rzekł:

- I pies nie szczeka na tego, czyje kości ogryza. Niech nam księżna zdrowa będzie i wam niech będzie na zdrowie.

Grubas łypnął na Jaskotela okiem:

- Słusznie! Płaci ci twój panek, to za nim obstawaj.

Ale co prawda, to prawda, a płakać nie ma czego, że naszym lepiej się teraz będzie tu wiodło. Skorzystasz i ty.

- Nie miałem się dotąd na co skarżyć - odparł Jaskotel.

Skończyć chciał niemiłą mu rozmowę i przystąpił do rzeczy:

- Możecie i wy na odjezdnym skorzystać, bo prośbę mam do was.

- Mówcie! - rzekł Niemiec. - I prośbiem rad zadośćuczynić, i korzyścią nie pogardzę.

- Druh jeden pojmany był u was i z wymianą nie wrócił. Odszukać chciałbym go i wykupić.

Poznać go łatwo, bo o pół głowy od was wyższy. Gołuch się zwie. Będzie temu ze trzy lata, jak samopas z pachołkiem do Bawarii ruszył i słuch o nim zaginął. Zapłacę dobrze temu, kto go najdzie i wykupi.

- A cóż ci on brat albo swat, że na słowiańskiego psa pieniądze chcesz tracić? - zapytał spasy podejrzliwie.

Jaskotel pohamował się jeszcze, lecz odparł dość ostro:

- Moja wola tracić swoje pieniądze, a wasza zarobić je lub nie.

Nie chcecie wy, to się inny podejmie. Pijcie dalej, a baczcie, żeście gościem u Polan. Żeby nie to, wraz bym wam pysk zamknął. Grubas zerwał się i pięścią na Jaskotela zamierzył, lecz Jaskotel szybszy był. Ciężki gliniany dzban, do połowy napełniony piwem, jeno szczęknął i rozbił się w tysięczne kawałki na łbie napastnika, a piwo zalało mu twarz i oczy. Zerwali się wszyscy, a olbrzym przetarłszy twarz runął na Jaskotela. Lecz Jaskotel wywinął się jak liszka i z całej mocy palnął go w brodę, aż chrupnęły zęby, i grubas zwałił się jak wór, wywracając stół z naczyнием. Usiadł jednak zaraz i palcami wybierać zaczął z ust wybite zęby, a po brodzie ciekła mu ślina z krwią. Tymczasem kłęb uczynił się koło Jaskotela, lecz zaraz rozległy się ryki. Jaskotel, nie bacząc już na nic, nóż wyszarpnął zza pasa i bił, gdzie popadło. Zaraz jednak nadbiegła straż i w mig rozegnali kupę. Jaskotel wstał, blady jeszcze z wściekłości, dwóch natomiast Niemców siedziało na ziemi, rękoma poprute trzewia przytrzymując, a trzeci leżał jak długi, bez ruchu.

Straż otoczyła miejsce zajścia, gdyż zewsząd zbiegać się zaczęli gapie i obawa zachodziła, że bójka powszechną się stanie. Do Jaskotela przystąpił Mikora i rzekł:

- Cóżście najlepszego uczynili? Książ zamknąć kazał każdego, który bójkę zacznie. Muszę was do wieży zawieść. Jaskotel zmarszczył się. Stawi opór straży, to mu księżę pewnikiem nie przepuści, a pozwoli się zamknąć, to zda mu się na los. Popędliwość doradzała wyrwać się i umknąć i stał jeszcze niepewny, co uczynić, gdy głos Bolka usłyszał za sobą. Obejrzał się. Bolko, kazawszy się straży rozstąpić, do Mikory się zwrócił i spytał ostro:

- Co tu zaszło?

Mikora wskazał na leżących:

- Jaskotel ich pobił. Na rozkaz kniazia muszę go zamknąć.

- Nie zamkniesz go, bo ja ci nie pozwalam.

Mikora stał zmieszany i rzekł niepewnie:

- Mam kniaziewego rozkazu nie posłuchać?

- Powiedz, żem ci przeszkodził - odrzekł Bolko dumnie.

- Wybaczcie, że będę musiał to uczynić. Ukryć się zajścia nie da.

- Sam kniaziewi powiem - rzekł Bolko - ale ruszaj pierwszy i donieś, że wraz się stawię z

Jaskotelem. Mikora ruszył markotnie ku dworcowi, a Bolko, nie patrząc na nikogo, poszedł za nim.

Jaskotel ochłonął już i idąc obok Bolka mruczał:

- Ponośmy przeszkobali. Po co się nam było jeszcze i w to wdawać.

Tfu! Nauroczył kto? Puści nas jeno książ, uciekać nam za siódmą górę. Mota się jedno na drugie.

Bolko nie odrzekł nic. Twarz miał zaciętą. Nie czuł już trwogi na myśl o rozmowie z ojcem, jeno chciałby mieć ją już za sobą. Niech się stanie, co chce.

Weszli za Mikorą, który naprzód pośpieszał, do zabudowań książęcych. Bolko z Jaskotelem udali się do swych komnat i wraz Bolko pachotka do księcia wysłał z zapytaniem, czy stawić się może.

Siedzieli, milcząc, w zapadającym mroku i nasłuchiwali odgłosów przygotowań do uczty. Po chwili pachotek wrócił i oznajmił:

- Książ już wychodzi na ucztę. Stawić się wam kazał jutro z rana.

Bolko zachnął się niecierpliwie, lecz Jaskotel uspokoił go:

- Może i lepiej, niech się sprawa odstoi. Gorzej, że z Gołuchem, jak było, ostało. Gryzie mnie to niepomału. Głupi chłop, pewnie myśli, żem go zaniechał, a dla nas przecie skórę stawił. Bolko nie

odrzekł nic, jeno zamyślił się ponuro.

* * *

Nazajutrz Bolko spał jeszcze, a Jaskotel zbierał się po cichu, by druha nie budzić, gdy pacholek przybiegł wołając, że księżę wzywa obydwu. Ubrali się pośpiesznie i pobiegli. Mieszko, choć z uczty późno wrócił, przybierał się już. Jakkolwiek uroczystość zaślubin kościelnych dopiero na południe wyznaczona była, widno dużo jeszcze spraw miał do załatwienia, czekało bowiem w obszernej sieni przed drzwiami komnaty, wielu ludzi. Gdy Bolko z Jaskotelem nadeszli, umilkły szepty. Widno wszystkim wiadomo było, że sprawy między ojcem a synem nie stoją prosto. Nieobecność młodego księcia na uczcie wczorajszej i zajście z Niemcami powszechnie było wiadome i oczekiwano z ciekawością i niepokojem, co wyniknie z zadzierki.

Komornik wszedł, by przybycie Bolka oznajmić, i zaraz wrócił z oznajmieniem, że księżę wejść pozwala. Bolko wszedł śmiałym krokiem i stanął przy drzwiach. Mieszko stał obrócony tyłem, dwóch szatnych pomagało mu dokończyć przybrania. Odprawił ich, a gdy drzwi się za nimi zamknęły, odwrócił się. Twarz jego nie zdradzała nic, popatrzył na Bolka spokojnie i usiadł. Chwilę trwało milczenie, po czym księżę ozwał się:

- Pono miałbyś się z czego sprawiać. Co masz do powiedzenia?

Gdy Bolko dalej milczał, książę ostro krzyknął:

- Mów!

- Pytajcie, co chcecie wiedzieć - burknął Bolko ponuro.

- Dobrze! - rzekł Mieszko spokojnie. - Nie od wczoraj widzę, że posłuszeństwo nie w smak ci.

Puszczam płazem kładąc na karb młodości i nierozwagi. Lecz nie im mogę przypisać to, co czynisz ostatnio. Wojny chcesz ze mną? - zapytał, a gdy Bolko milczał, Mieszko ciągnął: - Na tyle rozsądku już mieć winienes, by zrozumieć, że niczym jesteś beze mnie i niczym przeciw mnie.

Bolko poczerwieniał, lecz nie odrzekł nic, a księżę mówił dalej:

- Wiem ja, o coś gniewny, jeno nie wiem, kto cię podjudza.

Powiesz?

- Nie! - odparł Bolko.

Gniew błysnął na twarzy księcia, lecz pohamował go:

- Wraz ci rzekę, że surowo cię ukarać zamierzałem. Jeżeli tego nie uczynię, wiesz dlaczego?

- Nie wiem - odrzekł Bolko chmurnie.

- Bo za tobą prosiła ta, przeciw której twoja złość zwrócona, Oda.

Bolka ogarnął wstyd i gniew zarazem, jednak ulga spłynęła na niego. Bał się ojca, a przy tym nie chciał żyć z nim w niezgodzie. Nie mógł jednak zrozumieć, czemu właśnie Oda, której na rękę być musiało skłócenie go z rodzicem, prosiła za nim. Stał zmieszany i niepewny. Mieszko zapytał:

- Może mi tedy powiesz, nie jak kniaziowi, ale jak ojcu, o coś gniewny. Nie pytam już, kto cię judzi, dowiem się sam.

Jakaś tama zerwała się w Bolku, krzyknął prawie:

- Nie chcę mieć macochy ni dzielić się dziedzictwem!

Miał wprost odpowiedzieć, Mieszko zapytał:

- Jakoże myślisz, czego nam dzisiaj najbardziej potrzeba, by państwo w jedną całość zespolić i zyskać uznanie u obcych?

Gdy Bolko nie odpowiadał, Mieszko rzekł:

- Królewskiej korony. A sądzisz, że da mi ją Rzym, jeśli cesarz się przeciwi?

Nie było co rzec, Bolko więc milczał, a księżę ciągnął dalej:

- Nie przeczysz, bo wiesz, że tak jest. A możesz wierzyć, że jeśli od czterdziestu lat z górą walczyłem, by połączyć nasze plemiona, to nie po to, by je Niemcom poddać. Ale kocham ich czy nie, są mi potrzebni i głupi chyba myśli, że obyć się bez nich możemy. W ich rękę Kościół, który świat cały obejmuje, od nich brać muszę kapłanów, księgi i wzory, już wypróbowane, broń i rzemieślnika. Udało mi się raz i drugi pobić cesarza. Jak myślisz, dogodniej mi z nimi wtenczas się układać, gdym wygrał, czy wtedy, gdy będę pobity?

Bolko milczał.

- Nie odpowiadasz, bo nie ma co. Myślisz może, że cesarz swoje, a margrafy i duki swoje; że liczą się ze mną, gdym silny, a słabemu układów nie dotrzymują. Prawda i to jest. Ale dlatego właśnie swojaków tam szukam i wpływ chcę mieć taki, jak mają książęta Rzeszy, po to, by samemu pilnować, czego mi potrzeba. Miast się buntować, staraj się zrozumieć, co robię. Wszystkiego się powiedzieć nie da. I siła sama nie wystarczy, rozum trzeba mieć. Bolko w rozterce był. Co innego mówił mu Zbrozło i Bolko wierzył mu, co innego ojciec, i też odpowiedzi znaleźć nie umiał. Po chwili powtórzył niepewnie, co od Zbrozły słyszał:

- Nie od Słowian nam zguba grozi, lecz od Niemców.

- Możesz praw - rzekł Mieszko. - Jeno na to ci rzekę: gdy byłem młodszy, myślałem, że wszystkich Słowian zjednoczyć zdołam. Dziś już wiem, że życia ni sił nie starczy. O to dbam, com po przodkach odziedziczył i własnym trudem zebrał, a jako wiesz, że wszystkich stron ręce chciwe po to, co moje, się wyciągają. Tedy będę bił, czyjekolwiek by były. Chce Bolesław czeski Wiślan zagarnąć, że do Moraw należeli, a Morawy jego, nie przekonam go inaczej i nie będzie spokoju, póki mu Moraw i reszty Śląska nie odbiorę. Takim dobrym dziedzicem po Rastycu, Mojmirze, Światopełku i Rościsławie, jak i on. Jako myślisz? Cesarz mu przyznał Morawy, bo je Bolesław zdobył. Zdobędę ja, przyzna mnie. A może uważasz, że mamy mu ustąpić, bo nie grozi nam zguba od niego?

Bolko milczał. Książę wstał i kończył:

- Gdybyś sam myśleć umiał, nie musiałbym czasu tracić, by ci to mówić wtedy właśnie, gdy inne sprawy mam na głowie. I jeszcze jedno - głos księcia stał się ostry, prawie groźny. - Nie ty mnie, ale ja tobie żonę wybiorę, gdy czas przyjdzie, bo ja tu panem. A czy i jak dziedzictwo dzielić będę, moja rzecz, jako moja, nie twoja praca była. Taka będzie odpłata, jaka służba. Naucz się, że darmo nie przychodzi nic. Byś wiedział, czym jesteś, a czym ja, władzę nad Wiślanami Starzy przekazesz, a sam do Sobiesława się udasz. Nauczysz się naprzód posłuchu, na rządy czas ci jeszcze. Możesz odejść.

Bolko stał upokorzony i zgnębiony. Nie czuł nawet żalu do ojca. Duma wstrzymywała go, by prosić o wybaczenie. Mieszko do wyjścia się zbierał i spojrzał pytająco na Bolka, który zagadnął nieśmiało:

- A z Jaskotelem co będzie?

- Prawda! - rzekł książę. - Zawołaj go.

Bolko poskoczył i wprowadził druha, bardziej niespokojny niż on. Ze zdziwieniem zauważył uśmiech na twarzy księcia. Mieszko podszedł do młodego wojaka i jak ongiś pociągając go za ucho, powiedział:

- Ni ożenek ci nie pomógł, byś się ustatkował i rąk przy sobie trzymać nie umiesz. Nie połamali ci tam znowu czego, bo kupa ich była na ciebie?

- Nie - odparł Jaskotel rumieniąc się.

- Wiem, o co poszło. Żeś się za mną ujął, daruję ci resztę, tym bardziej że nie twoja to była wina.

A o Gołuchu nie myśl, żem zapomniał. Ale nie było go. Sprzedany gdzieś na południe. No! Czas na mnie i ty się śpiesz. Drużbowałem ja tobie, myślę, że nie będziesz niewdzięczny.

Bolko odetchnął z ulgą widząc obrót sprawy i korzystając z lepszego nastroju ojca spytał:

- A potem pozwolicie Jaskotelowi jechać ze mną?

- Nie! - uciał krótko ksiązę. - Niech siedzi przy żonie. Takich sług jak Audunowy ród potrzeba mi jak najwięcej, a od włóczenia po świecie się nie mnożą.

To rzekłszy ksiązę Jaskotelowi rękę podał, którą ten ucałował. Nie spojrzawszy na Bolka wyszedł.

XII

W niełasce

Bolko niechętnie, ze szczupłym orszakiem, jechał na Mazowsze. Żał mu było towarzyszy, znanych miejsc i ludzi, a najbardziej bolał, że ominie go zamierzona morawska wyprawa. Nie śmiał pytać ojca na jak długie wygnanie go skazał, zresztą i nie miał kiedy, ksiązę bowiem nawet na pożegnanie widzenia mu odmówił. Myśleć miał o czym Bolko po drodze. Na wyjeźdym wezwwała go macocha i łagodnymi słowy tłumaczyć się zdawała z tego, że zupełnego przebaczenia nie zdołała mu wyjednać. Nie prozona natomiast przyrzekała, iż niech jeno sposobność się trafi, odwołanie z Mazowsza dla niego uzyska. I jak przedtem czarowały go zielonkawe, przeźrocyste oczy, i znowu od dłoni jej, którą mu na pożegnanie podała, dreszcz go jakiś przeszedł, zarazem rozkoszny i budzący odrazę. Nie chciał myśleć o Odzie, sam się sobie wydawał niewdzięczny, a zarazem gdzieś, nie uświadomiona i niejasna, tkwiła w nim przestroga Zbrozły. Wolałby zapomnieć, nie myśleć o macosze i gdy jeno pogoda i okolica pozwalały, zabawiał się sokołami po drodze, znajdując za każdym razem, że nie masz na strapienie nad Luborowe lekarstwo. Myślał i o starym wodzu i o tym, czy sobie poradzi i spodziewany napad odeprzeć wydoli. Że ksiązę Mieszko żadnej mu nie użyczy pomocy, wiedział, gdyż nawet z Mazowsza, które by w razie potrzeby udzielić jej mogło, ściągał siły ku Krakowowi i śląskiej granicy.

Sobiesława Bolko w Czersku nie zastał, gdyż ruszył ku Prusom. Odpocząwszy przeto, tyle jeno, by konie odkarmić, nie śpiesząc się pociągnął za nim, z ciekawością oglądał nieznany sobie kraj i ludzi, odmiennych strojem, obyczajem, a nawet narzeczem. Pogaństwo kwitło sobie jawnie. Choć szczepowi książęta nową wiarę przyjęli, nie śpieszyli się tracić starych związków z prostym ludem i zadzierać z kapłanami, przeciw dawnej wierze występując. Sobiesław też im nie przeszkadzał, byle z posłuszeństwa nie wychodzili. Czekają tedy Mazowsze na swego apostoła, oswajając się pomału z myślą, że kiedyś nową wiarę przyjąć trzeba będzie, nie tęskniąc jednak zgoła do tej chwili.

Dawni książęta, o ile ich za opór nie wygniół Sobiesław, z jego ramienia pełnili urzędy na swych dawnych ziemiach, a młodzi, co już pod Mieszkowym panowaniem dorośli, zapominali pomału, że ongiś nikogo nie mieli nad sobą, a niejeden i rad był, że porządek zapanował w kraju, ożywił się handel, a rzadsze się stały pograniczne napady, które niegdyś kraj gnębiły. Wzrosły wprawdzie ciężary, ale było z czego płacić, nie sarkano tedy, a z młodzieży, która czy to w Mieszkowej drużynie, czy pod Sobiesławem służyła, niejeden dorabiał się łupem i pracą jeńców, którymi nowe obszary brali pod uprawę, i do dawnego porządku już by i wrócić nie chcieli.

Zajęty nowymi dla siebie sprawami Bolko zapomniał o swych troskach, a gdy zetknął się w Pułtusku z powracającym z Wizny Sobiesławem - także o tym, że pobyt na Mazowszu wygnaniem i

karą miał być dla niego.

Sobiesław, mąż w sile wieku, Bolka mile i z szacunkiem powitał, pobyt starał się przyjemnym uczynić i we wszystko wtajemniczał, tak że młodzian w krótkim czasie z biegiem spraw na Mazowszu dokładnie się zapoznał. Sporo też kraju razem zwiedzili, póki pozwalały pogody. Dopiero gdy dżdże późnej jesieni rozmoczyły drogi, na dłuższy pobyt w Czersku osiedli, lecz i tu nie cniło się Bolkowi. Nie dał Sobiesław pleśnieć młodzieży i dzień nie upływał bez ćwiczeń wojakom i myśliwym przydatnych, a wieczorami przesiadywano do późna, słuchając opowiadań z łowów i wypraw, którymi Bolko nigdy nie mógł się nasycić. Poznał dzieje mazowieckiej i czerwieńskiej wyprawy Mieszkowej i nasłuchiwał się o sposobach wojowania Prusaków i Jaćwieży, a Sobiesław widząc zapał Bolka do wojny, zapewniał go z uśmiechem, że niech jeno bagna staną, sam będzie miał sposobność miecza swego na nich wypróbować, bo po prawdzie spokoju nie było nigdy.

Wiatry stawały się coraz zimniejsze, dżdże mieszały się już ze śniegiem, wreszcie koło Godów mróz chwycił i płaski kraj legł jak biała płachta, której krańca widać nie było pod puszystą pokrywą śniegu. Jeno lasy czerniały tu i ówdzie, strącając pod wiatrem świeżą okiść, a pasma nie zamarzłych jeszcze strumieni przecinały białe pola ciemnymi smugami, coraz węższymi, w miarę jak obmarzały brzegi. Po Nowym Roku rzeki stanęły, czas do łowów uczynił się sposobny, a większe być miały niż zazwyczaj, jako że na wojnę suszonego i wędzonego mięsa wielkie ilości dostarczyć należało. Przygotowywali się na łowy jak na wyprawę, gdyż polując posunąć się mieli aż na pruską granicę, gdzie nigdy nie wiadomo było, jakiego zwierza w miocie zastaną. Gotowe już było wszystko do wyruszenia i dzień naznaczony, gdy w wilię Bolko podczas harców z koniem się zwałił i nie zdążywszy nóg ze strzemion wyrzucić, przygnieciony został tak, że jak martwego do dworca go odnieśli. Choć sprowadzono zaraz baby znające, które poić i okadzać go jeły, kilka godzin przeleżał w omdleniu, a obudzony pod wieczór, majacząc zaczął nieprzytomnie i z trudem oddychał. Sobiesław zaniepokoił się wielce i widząc, że wezwane baby niezbyt wiedzą, co poradzić, wysłał na noc po wiedźmę, która za mocniejszą od innych uchodziła, z rozkazem, by ją przywieziono co koń wyskoczy. Siedział sam przy Bolku pojąc go, gdyż chorego dręczyło pragnienie, i czekał. Gryzł się myślą, co będzie, gdyby Bolko zmarł. Mieszko niemłody już, jeśli nawet synów po drugiej żonie mieć będzie, nie doczeka, by na mężów wyrosli. Pewny był niemal, że z trudem świeżo wzniesione państwo Mieszkowe rozpadnie się, jako że i sam czuł, iż podlegać im nie zechce i z Mazowsza nie ustąpi. Polubił przy tym Bolka i z troską słuchał jego majaczenia, w którym imiona Zbrozły, Ody, Jaskotela i Stoigniewa powtarzały się często.

Koło północy Bolko uspokoił się trochę i Sobiesław znużony zaczął zadrzemywać, gdy psy rozszczękały się na obcego. Usłyszał stłumiony śniegiem tętent i głosy ludzkie w podworcu. Po chwili rozległy się w sieni i zapukano do drzwi. Sobiesław sam podszedł, by otworzyć i w niepewnym świetle płonącego na kominie ognia ujrzął wiedźmę.

Odsunęła go ręką na bok jak martwy przedmiot i podszedłszy wprost do łoża Bolkowego patrzyła na niego. Bolko również oczy otworzył, gdyż widać było w cieniu, jak grały w nich blaski płomienia.

Wiedźma odwróciła się i rzekła:

- Światła więcej naniecić, miskę z wodą i ręcznik mi przynieść, a potem zabierajcie się.

- Może bab wam zawołać do pomocy? - spytał włodarz Brodek.

- Chyba jedną, a młodą - zaśmiała się skrzekiem - ale jeszcze nie dziś i nie dla mnie. No, zwijać się? - krzyknęła. Brodek skoczył, po chwili przyniósł żądane przedmioty i wyszedł.

Wiedźma stała patrząc na Sobiesława pytająco:

- A wy?

- Ja tu останę - odparł Sobiesław.

Zaśmiała się znowu:

- Jako chcecie. Wiem, że mężny z was wojak, ale nie wszystko da się przebić oszczepem. A gdy zacznę, wychodzić nie wolno.

- Ostaję - powtórzył Sobiesław, choć dreszcz go przeszedł.

Stał i patrzył, jak się krzątała.

Stara musiała być. Twarz miała zmarszczoną jak tarka na wiosnę, uszy odstające i wysuniętą brodę. Zgarbiona była i zmalala ze starości, natomiast dwa grube, bez siwego włosa warkocze spływały aż do stóp, spod jemiolowego wianka. Nie zważając już na Sobiesława odrzuciła skóry, którymi Bolko był nakryty, i oglądała go obmacując szybko i biegle ruchliwymi i kościstymi palcami.

Opatrując zsiniały bok mruknęła jak do siebie:

- Żebra złamane, ale od tego się nie umiera.

Zwróciła się do Sobiesława patrząc na niego swymi jasnoszarymi o ciemnych obwódkach źrenicami i rzekła z szyderstwem:

- Boicie się mnie samą z młodzieniaszkiem ostawić! Nie ja na niego zęby ostrzę, choć widzicie, zem jeszcze niczego. - Zaśmiała się znowu. - Jeszcze możecie wyjść, a potem - nie.

- Ostaję - powtórzył sucho Sobiesław.

- Jak chcecie - rzekła drwiąco.

Wyjęła z żelaznej kuny płonąca głównię i kruszyć zaczęła na płomień wyjmowane z torby suche ziele. Płonęło trzeszcząc i cienka smużka błękitnego dymu wznosiła się ku powale, rozpełzając się równą warstwą pod belkami stropu. Jednocześnie zdało się Sobiesławowi, że w całej izbie rozległy się szmery, coraz wyraźniejsze i głośniejsze.

Szum wzrastał, podobny do odgłosów ulewnego deszczu, choć mróz był na polu.

Stara, szepcząc coś, bez przerwy rzucała ziele na ogień, z którego zapach się rozchodził przenikliwy, choć nie przykry i niedługo cała izba spowita była błękitną zasłoną, która coraz silniej przytłumiała światło płomienia na kominie i dzierzonej przez wiedźmę głównej.

Sobiesław czuł zawrót głowy i z największym wysiłkiem bronił się, by nie stracić świadomości. Słyszał, jak ledwo widoczna w błękitnym półmroku wiedźma mówi coś do Bolka i jego sennym głosem dawane odpowiedzi, lecz nic zrozumieć nie mógł. Zarazem słyszał, jak ruszył się wiatr i przechodząc w wichurę świstał i wył w kominie głuszając szmery. Ogień wygasł, jeno żar czerwony przeświecał i ciemność wraz z chłodem zaczynała rozpełzać się po izbie. Głównia w ręku wiedźmy zgasła również, jeno żarzył się czerwono niedopałek. Sobiesław ujrzał, jak stara w mroku zbliżyła się do misy z wodą i zanurzyła w niej żar. Miast oczekiwanego syku rozległ się nagle przeraźliwy krzyk kobiecy. Bolko, który leżał w cieniu nieruchomo, zerwał się i usiadłszy na łożu zawołał:

- Co to?

Siedział i rozglądał się przytomnie po izbie głowiąc się, skąd się tu wziął. Sobiesław stał w milczeniu, wiedźma zaś podeszła do komina i narzuciwszy trzasek dmuchać poczęła w żar.

Wyskoczył jasny płomyk i rozświetlił mrok, a po chwili wesoło huczał ogień. W izbie nie było śladu błękitnego dymu, wiatr ustał. Cisza panowała na dworze, jeno gdzieś kury piałły. Sobiesław zbliżył się do Bolka, by mu wyjaśnić, co się stało, lecz wiedźma, przystępując do łoża, rzekła:

- Jeszcze jedno. Dowiemy się kto. - I biorąc misę z wodą podsunęła Bolkowi:

- Spójrzcie tu, młody panie, i powiedzcie, co obaczycie.

Bolko rzucił okiem i drżącym ze wzruszenia głosem krzyknął:

- Oda!

Wyraźnie z ciemnej powierzchni wody zaświeciły mu zielonkawe, przezrocyste oczy macochy. Wiedźma spojrzała na Sobiesława i zachichotała:

- Słyszeliście co? Teraz dajmy spać choremu. Za pół miesiąca znów będzie na koniu siedział.

Mocny jest. Nawet go urok nie zmoże. Ani zdrada, ani trucizna. Miodu mu dać starego, i mnie też.

XIII

Krzesz

Czas mijał, lecz nie przynosił Krzeszowi ukojenia. Żal za Tarłą, który z biegiem lat zaczął się cofać i przygasać, po wieściach o stracie ostatnich braci rozjątrzył się, a tęsknota za domem i rodzicami, dawniej czasem jeno przelotnie go nawiedzająca, stała się gryzącą zmorą, nie opuszczając go we dnie ni w nocy. Jeno oczy zamknął, stawali mu przed oczyma samotni, starzy rodziciele w opustoszałym domu. Darmo mówił sobie, że Miłosza i Otłoka i tak byliby uciekli, skoro ich gnało w świat. Nie mógł jednak przed sobą zaprzeczyć, że on to ich zabrał, wbrew ojcowej woli i słuszny żal rodziciele do niego mieć muszą.

Mógłby jechać do domu, ale jeno z synem na rękę. Znał ojca, że podrze się z żalu i tęsknoty, ale co rzekł, strzyma. Ta świadomość wypełniła mu serce jeszcze większą goryczą i rozterką. Żeby nie Czarnuszka, byłby pojął pierwszą z brzegu dziewczynę i żył jak drudzy. Ale ni serca od niej oderwać, ni zapomnieć, że zmówiona była z najmilszym z braci, którego też przeboleć nie umiała. Miarkował, że i jego darzyła życzliwością, ale może bardziej lubiła młodszych. Widno wszystkich jeno dlatego, że jej Tarłę przypominali.

Od wewnętrznej rozterki, Krzesz stał się ponury. Ludzi unikał, nie zajmował się niczym. Nawet na łowy wyciągnąć się nie dał, stróżę pozostawił na głowie setnika i jeżeli nie siedział samotnie w swej izbie, włóczył się, lichy wie gdzie, całymi dniami i tygodniami. Ludzie, którzy z początku współczuli jego stracie, schodzili mu z drogi, odpychający był bowiem i mrukliwy, a że gniewem łatwo wybuchał i nie umiał się pohamować, bali się go i lepiej się czuli, gdy go na gródku nie było.

Tylko Wścieklica, może przez przekorę, dbała o niego, choć i do niej rzadko słowem się odezwał, a już dobrego nie dał jej nigdy. I ona warczała na niego nie lękając się gniewu i nie pozostając mu dłużną.

Dobek był w Grodzisku raz i drugi, a nie zastawszy Krzesza zaproszenie zostawił, by go odwiedził. Gdy Krzesz jednak nie pokazał się w dworcu nad Rabą, Dobek urażony przestał przyjeżdżać. Krzesz, na uwagę Wścieklicy, że samochcąc zraził ostatnią życzliwą duszę, odburknął, że nie trzeba mu nikogo. Konia wziął i jak stał wyjechał z gródka.

Ruszył na przedwiośniu, gdy las dopiero okrywał się żółto - szarym nalotem pąkowania, a ninie stał już w pełni świeżej zieleni, zaś Krzesza nie było jeszcze z powrotem.

Michora z dnia na dzień oczekiwał naroczników na zmianę stróży, po czym do Krakowa się wybierał. Doczekał się wreszcie, wydał zarządzenia na czas swej nieobecności i wcześniej spać się ułożył, by ruszyć o świtaniu. Chciał jeszcze rozmówić się z Wścieklicą, ale nie było jej na gródku.

* * *

Niebo stało w blaskach zachodu, lecz pod koronami drzew zapadał już mrok. Gdzieś, z dala dochodził ledwo dosłyszalny, jednostajny szum potoku, podkreślając jeszcze ciszę wiosennego

wieczoru. Niepostrzeżenie zrazu, coś zmało panujący spokój. Po chwili wyraźniej już, raczej lekkim drganiem ziemi niż głosem, zdradził się tętent kłusującego konia. Potem zwolniał, widno jeździec piął się pod górę, natomiast słysząc już było dudnienie po miękkim podłożu, a od czasu do czasu uderzenie kopyta o kamień. Odgłosy zbliżały się do szczytu pagórka, przez który wiodła drożyna i po chwili z mroku wynurzył się zarys jeźdźca. W tej chwili poruszył się szary cień przy drodze, z dala wyglądający jak bezkształtny pniak i jakaś postać stanęła na jaśniejszym tle wyjeżdżonego szlaku. Jeździec zbliżył się i zatrzymał konia. Patrzyli na siebie.

- Wróciłeś? Myślałam, że jeno koń wraca, a siebie gdzieś zgubiłeś po świecie - drwiąco rzekła Wścieklica.

Krzesz nie odrzekł nic, jeno trącił rumaka, starucha jednak chwyciła go za wodze i zawołała:

- Czeka! Weź mnie z sobą. Stare nogi nie chcą mnie już nosić.

Chwycił ją pod pachy i lekko dźwignawszy posadził za sobą. Ruszył koniem i nie odwracając się zapytał obojętnie:

- Skąd wracasz?

- Od Czarnuszki - odparła, a gdy milczał, dodała:

- Nie zapytasz o nią? Ona pytała o ciebie. - Gdy nie odpowiedział, syknęła:

- Myślałam, żeś jeno głupi, a tyś zły i niewdzięczny.

- Zamilcz!

Zachichotała jeno i ciągnęła dalej:

- Dużoś wskórał, że uciekasz sam przed sobą, jako liszka przed własną kitą?! Nie milej by ci było, gdyby ktoś czekał na ciebie? A wracać i tak musisz, bo człek póki żyje, gdzieś musi tkwić, chce czy nie chce.

Zamilkła, gdyż Krzesz nie odzywał się. Dopiero gdy zbliżali się do gródka, znowu przerwała milczenie:

- Żle ci, tak jak jest, co masz do stracenia?

Zesunęła się z konia i przełazem weszła na dziedziniec. Krzesz czekał aż bramę otwarto, rzucił wodze pachołkowi i poszedł do swej izby.

Michora przybiegł zaraz i zastał Krzesza siedzącego przy kominie, w tak głębokiej zadumie, że nie zauważył przybycia setnika, który chrząknął raz i drugi. Krzesz przecknął się i zwrócił ku niemu. Twarz miał wychudłą, lecz oczy jakieś żywsze niż poprzednio. Wbrew zwyczajowi wypytał o stan gródka, wydał kilka zarządzeń, a potem niespodzianie rzekł:

- Pojedziesz w swaty ode mnie?

Michorę aż zatkało z zaskoczenia, lecz ochłonawszy zapytał:

- Do Dobka?

- Tak - odparł Krzesz krótko.

W tej chwili nadeszła Wścieklica. Słuchała bez zdziwienia, jak mężowie omawiali swaty, a gdy Michora wyszedł, ozwała się:

- Sam powiedz, czyś nie głupi. Zmarnowałeś sobie i jej najlepsze lata.

- Nic ci do tego - szorstko odparł Krzesz. - Bacz, by gospodarkę do ładu doprowadzić, żeby się młoda pani troskać i uganiać nie musiała.

- Gdyby mi nic było do tego, nie dbałabym ni o ciebie, ni o twoje rozkazy. Sameś dla mnie i wiechcia starego nie wart, gdybym wprzód nie wiedziała, że Czarnuszkę pojdziesz. Ty bacz, byś siebie do ładu doprowadził, żeby się o to Czarnuszka troskać nie musiała. Gdybyś o nią dbał, a nie

jeno o sobie myślał, dawno byś zrobił to co dzisiaj tobie by lepiej z tym było. Pozwolić szczęściu przepłynąć obok, nie dognasz go już.

- Co ty wiesz - dziwnie miękko odparł. - Czym się dzielić miałem?

Tym nieszczęściem, co się na mnie waliło, czy tym żalem, co się zapiekl we mnie?

- A coże się zmieniło, prócz tego, że ci pół kopy lat minęło i znarowiłeś się jak zepsuty koń?!

- Spokój raz będzie - odparł znużonym głosem. - A może i dziatki - dodał cicho.

- Chcesz mieć spokój?... - Coś jeszcze chciała dodać widocznie, lecz jeno uśmiechnęła się drwiąco i wyszła.

* * *

Nie zaczęło się życie Krzesza i Czarnuszki pod dobrą wróżbą. Gdy orszak weselny wjeżdżał do Grodziska, Krzeszowa klacz, co nogi miała jak kozica, potknęła się na gładkiej drodze, tuż przy wjeździe na gródek, tak że nozdrzami zaryła w ziemię. Krzesz, rozwścieczony, poderwał ją, aż dęba stanęła, i pięścią wyciąwszy za uszy, położył ją na miejscu. Udał, że go to nie obeszło i weselnicy także, ale uczta weselna stypę przypominała, toteż rozjechali się co prędzej.

Dobek wyjechał ostatni, niespokojny o córkę, lecz ta żegnała go z twarzą pogodną i upewniała, że szczęśliwa się czuje i nadzieję ma pozwolić Krzeszowi zapomnieć, co go dawniej bolało. Niemniej coś złego zdało się wisieć w powietrzu i lżej się uczyniło, gdy Krzesz z wojami do Starzów, a z nimi na wschodnią granicę pociągnął. Cisza i spokój zapanowały na gródku.

XIV

Na dwu rubieżach

Jeszcze śniegi głębokie zalegały górskie doliny, gdy ruszyły wojska Mieszkowe na południe. Zimą książę ściągnął do Opoła, a na przedwiośniu posunął wojska na Raciborz i Cieszyn, skąd dolinami górnej Odry, Olzy i Ostrawicy wlewały się w dolinę Morawy i jej dorzecza. Jednocześnie Mszczuj wiódł wojska od Krakowa dolinami Soły, Skawy i Raby, by dotarłszy do Wagu spotkać się z uderzającym od południa węgierskim sprzymierzeńcem. Razem z wodą, którą pod ciepłym już słońcem obficie sączyły południowe stoki Białych Karpat, Beskidu, Magóry i Tatr, zalały polańskie pułki kraj, wypierając wśród zaciętych walk wojska i załogi grodów i z początkiem lata docierając aż do Dunaju. Mieczem dochodził polański książę swych roszczeń do morawskiego dziedzictwa, przed dwudziestu sześciu laty odbitego przez Srogiego Węgrom, by raz nareszcie ukrócić roszczenia do ziem Wiślan i stworzyć z Moraw przedmurze swych południowych granic. Władcy obu bratnich plemion szukali mocy jeden kosztem drugiego. Może dumał nad tym Mieszko, gdyż mimo pomyślnego przebiegu wyprawy, cień jakiś nie schodził mu z czoła. A może gryzł się tym, że za zdobycze na południowym zachodzie, ziemiami na wschodzie zapłacić mu wypadnie, i martwił się, że potężny wysiłek, jaki podjął u progu swego panowania, pójdzie na marne. Ale zmuszony do wyboru wybrał to, co uważał za ważniejsze. Od czasu, gdy zmarła Dobrawka, wszędzie na swej drodze znajdował byłego dziewierza i postanowił z tym skończyć. Zarówno rozum jak i duma mówiły mu, że godniejszy jest od swego rywala przewodzić słowiańskim narodom i ustąpić mu nie myślał, choć niknące już siły w cień usunęły marzenie, by wszystkich Słowian pod swym berłem zjednoczyć. Marzenie to natomiast, choć nie całkiem uświadomione, nawiedzać zaczynało Bolka jakby leżąc w dziedzictwie krwi tych władców, z ludu powstałych, których dziad, wołą współbraci posadzony na miejscu kruszwickiego kniazika, stał się świetnym szczytem budowli, z pokolenia w pokolenie rosnącej i

rozszerzającej się u podstaw. Bolko swym szerokim a zapalczywym umysłem wierzył, że nie ma kresu temu wzrostowi i czekał niecierpliwie, kiedy mu kierownictwo objąć przyjdzie. Przygaszony na chwilę małżeństwem ojca i jego niełaską i strapiony, że ominie go wyprawa, w porywach niecierpliwości do Lubora się wybierał, by mieczem swym, w którego siłę wierzył niezachwianie, pomóc mu w odparciu oczekiwanej napaści - gdy niespodziewanie ojciec kazał mu udać się do Mszczuja, by pod jego dowództwem wziął udział w morawskiej wyprawie. Mimo radości, z jaką przyjął wiadomość, nie zmuszał się już do wdzięczności wobec macochy, której, jak sądził, odwołanie z Mazowsza zawdzięczał. Raczej podejrzewał, że znając jego zapalczywe męstwo, o którym głośno było po pierwszej jego wyprawie, nadzieję ma, iż poniesie go do zguby. Mówiono, że Oda spodziewa się potomka. Dorastający pasierb nie mógł być pożądanym. Przyrzekał więc sobie Bolko, że ostrożny będzie. Nie ustąpi z drogi macosze ani tym, ani innym sposobem. Nieraz byłby zapomniał o tym w uniesieniu walki, gdyby nie obecność statecznego i doświadczonego Mszczuja, wielką mającego u Bolka powagę. Młody książę, który nie zniósłby nad sobą żadnego innego dowódcy, podporządkował się dawnemu piastunowi, nie dającemu nigdy odczuć, że rozkaz do niego należy, umiającemu natomiast mądrym słowem przekonać. O ile Bolko zawsze szanował poważnego wojaka, o tyle w czasie wyprawy polubił go, tym bardziej że widział w nim sprzymierzeńca w przeczuwanej walce z macochą, choć Mszczuj nigdy się z tym nie zdradził. W miarę postępów wyprawy, Bolkowi nieraz na myśl przychodziło, że całe Czechy zająć by można. Czuł się tak dobrze wnukiem Srogiego jak jego czescy krewniacy, a zarazem miał poczucie, że jest od nich lepszy. Choć walczył chętnie i z zapalem z twardo stawającymi Czechami, nie czuł w sobie tej zjadliwej namiętności, jaką pamiętał z czasów cesarskiej wyprawy, gdy darł się do gardła nieprzyjacielowi aż do zupełnego wyczerpania sił. Może groźne okrzyki czeskie budziły w nim wspomnienie matczynych słów, tracąc swą wrogość przez pokrewieństwo dźwięków. Z jeńcami obchodził się łagodnie, rannych nie pozwalał dobijać, aż dziwili się ci, co zawziętość młodego księcia pamiętali z pierwszej jego wyprawy, a znali jego gwałtowność i skłonność do okrucieństwa. Mieszko zabronił wojskom łup i jeńca brać ze spokojnej ludności, jak również niszczyć kraj, który zająć zamierzał. Prócz tego, zwyczajem swym, dokładne zebrał wiadomości przed wyprawą, którzy z dawnych wielmożów morawskich z czeskiego panowania nie są zadowoleni i pomoc ich potrafił sobie zapewnić. Toteż, zajmując kraj, niewielkie jeno musiał zostawiać załogi i posuwał się w kierunku Wyżu Morawskiego z połączonymi już nad Morawą wojskami, gdzie większą bitwę stoczył z Pobożnym, który poniósłszy klęskę cofał się ku Czechom, gotując się do silniejszego oporu dopiero w lesistym dziale wód Morawy i Węłtawy.

Nie zamierzał jednak polański książę czeskich ziem najeżdzać, tym bardziej że na drugi dzień po zwycięstwie wieść otrzymał, iż sprzymierzony z czeskim królem Włodzimierz, istotnie z Waregami wtargną do kraju i mimo rozpaczliwego oporu zajął Czerwień, Bełz i Przemyśl, na Sanie się dopiero zatrzymując. Lubor, który krok za krokiem, nierównymi siłami stawiał zacięty opór, wyrąbawszy się z upadającego już Przemyśla, z garstką towarzyszy ku góróm uchodził, lecz dopadnięty przez jazdę Włodzimierza, w puch został rozbity. Co się z nim samym stało, nie wiadomo.

Mieszko nic po sobie nie okazywał i ruszył w dalszy pochód na zachód. Bolko natomiast, który obecny był przy rozmowie księcia z wysłannikami Starzy, poczuł jakiś ucisk w sercu, a nawet niejasny żal do ojca. Jak żywy stanął mu przed oczyma stary wódz, który z górą pół wieku Piastom przesłużył. Zawiadomił jeno księcia, że nie wydoli spodziewanemu najazdowi, a mimo to stawiał mu czoło do ostatka. Pewny był Bolko, że Lubor zginął i żal mu się uczyniło tego dumnego, samotnego

człowieka, który nie miał przyjaciół, by choć wspomnienie po nim żywili i którego, zda się, nawet sam książę nie pożałował, choć równie pożytecznych sług miał niewielu. Dał zapewne stary wódz pod miecz dumną, siwą głowę i spoczął gdzieś w nieznannej mogile, jeśli zwierz nie rozwłóczył jego kości. Bolko westchnął ciężko. Żal mu było starego wojewody.

* * *

Gdy Mieszkowe wojska kopały się w głębokim, zapadzystym, wiosennym śniegu górskich dolin i zboczy, na dalekiej, wschodniej granicy, zielona, rzadka jeszcze ruń bagiennej trawy, trzciny i szuwarów przyćmiewała z każdym dniem bardziej, lśniące do niedawna zwierciadła wiosennych rozlewisk, marszczonych ciepłym wiatrem z południa. Z wiatrem tym leciały nieprzeliczone stada ptactwa, wracającego z zimowych żerowisk. Dniem i nocą, pod pogodnym niebem brzmiały głosy ciągnących z szumem skrzydeł, zapadających ze świstem lotek i pluskiem rozbijanej piersiami wody. Chóry żab grały wieczorami w nagrzanym już bagniskach i rozlewiskach, głuszając niemal wszystkie inne odgłosy i chodziła żabia pieśń nad krajem jak długi i szeroki, to przechodząc w krzyk namiętny, to milknąc w pomruku nasyconej szczęśliwości. Rozstawione od Włodawy ku południowi, nad wezbrany jeszcze Bugiem strażę Lubora, z każdego niemal wzniesienia, a nawet z drzew przybrzeżnych bystrym wzrokiem przepatrywały leżący jak na dłoni, na drugim brzegu kraj. Dniem milami leciał wzrok w przejrzystym powietrzu, nocą głos każdy niósł się po bagnie, niemal w nieskończoność.

Lubor wiedział, że Włodzimierz z Waregami już wyruszył na łodziach, lawirując rozlewiskami pod bystry, wiosenny prąd Prypeci. Wiedział ilu ich jest, jak zbrojni i kto dowodzi, nie wiedział jedynie, jak się zdoła obronić. Sobiesław ze zmniejszonymi siłami, gdyż część na morawską wyprawę z Bolkiem ruszyła, pilnować musiał pruskiej i jaćwieskiej granicy. Pieczyngowie na południe skierowali zbójckie wyprawy, skąd więcej łupu, a mniej strat spodziewać się mogli niż w starciu z dobrze zbrojnymi Waregami Włodzimierza. Lubor mógł liczyć jedynie na własne siły. Zbyt wiele miał doświadczenia, by się łudzić, jaki będzie wynik ostateczny. A jednak zła radość podnosiła serce Lubora i czekał niecierpliwie, nie zaniedbując niczego, co by obronę wzmocnić i szkód wrogowi przyczynić mogło. Zimą jeszcze pozwłóczył na zamarznięte dopływy Prypeci, pozbijane w kozły, zaostrzone pale dębowe, które z chwilą gdy lody ruszyły, pozatapiały się, niespławnymi czyniąc koryta. Na przetokach ku Bugowi, w zamarznionych bagnach doły szerokie poleciał wykopać, które wodą podszedłszy z wiosną, miały utrudniać przeciąganie łodzi. Na płaskich brzegach i brodach przesieki poczynił, a gdy jeno ziemia rozmarzła, kazał kopać wilcze doły, podcinać drzewa i zwłóczyć kupy suszu, by las w razie potrzeby podpalić. Stary wódz, bez wypoczynku wszystkiego sam doglądał. Nie żywił żalu do księcia, że go zostawił na przepadłe. Zastarzała nienawiść, wypierając z biegiem lat wszystkie inne uczucia Lubora, rozkwitła w nim młodzieńczą siłą, na myśl o spotkaniu z wrogiem. Jeszcze tylko zemstę chciał nasycić, więcej nie czekał od życia niczego i żadnych z nim nie miał rachunków.

* * *

Wiosna już była w pełni, gdy jednego dnia strażę zauważyły jakiś ruch na bagnie. Ktoś spłoszył ptactwo, gdyż w biały dzień gęsto zaczęły ukazywać się na jasnym błękitnie wiosennego nieba, szybko śmigające pary wszelkiego rodzaju skrzydlatych mieszkańców moczarów i oczeretów, z gniazd swych widocznie spędzane. Krążyły niespokojnie i wracały na wschód, skąd przyszły. Strażę skupiały się szepcząc i palcami wskazując gdzie przypuszczalnie ten ptasi ruch miał swe źródło. Właśnie wysłać mieli po setnika Drogosława, gdy sam nadjechał. Przysłoniwszy bystre oczy od

słonecznego blasku, patrzył przez dłuższą chwilę; skinął na młodego pacholka Kłobusika, który znany był z jastrzębiego wzroku i wskazując mu ciemniejszą plamkę na jasnej zieleni bagien i łąk zapytał:

- Widzisz ten olszowy zagajnik?
- Juści widzę - odparł zagadnięty nie rozumiejąc, jak można go o to pytać.
- To przypatrz mu się dobrze.

Kłobuszek patrzył przez chwilę, wyteżając wzrok:

- Ktoś drzewa wali.
- Ruś idzie, pnie wałą, by łodzie do Bugu przytoczyć - rzekł Drogosław. - Pisz i Lutuj! Do

wojewody skoczyć co duchu uwiadomić.

- A zwracając się do Nudoszy dodał:

- Dwudziestu ludzi z łukami wziąć i jazda na drugą stronę, ku przekopom. Dotrzymacie, póki się da, tymczasem ludzi tu naśle. Za dwa dni przeciąganie ich zbawi, wojewoda może nadaży. To rzekłszy ruszył do dalszych straży, a Nudosza do łodzi się brał bez pośpiechu, gdyż nie sądził, by nieprzyjaciel przed wieczorem do przekopy nadciągnął.

Mylił się jednak Drogosław licząc na nadejście Lubora. Gromady Waregów i Rusi ciągnęły wszystkimi dopływami Prypeci, główne zaś siły, pod samym Włodzimierzem, posuwały się Styrem na południe. Część pociągnęła na Wołyń i Czerwień, druga, znaczniejsza na Halicz ku Przemyślowi, inna jeszcze przeszła Bug w górnym biegu i uderzyła na Bełz. Zapłonął naraz cały kraj, od Włodawy aż ku dalekim, karpackim szczytom.

Załogi słabszych gródków, jeśli zaskoczone nie zostały, cofały się na zachód, paląc i niszcząc umocnienia.

* * *

Lubor ze swą jazdą, niespełna sto pięćdziesiąt koni liczącą, bawił koło Wołynia, skąd naprzód o nadciąganiu Rusi doniesiono. Piesze wojska, w liczbie około tysiąca oszczepników i łuczników, zostawił koło Czerwieni śpiesząc się, by Włodzimierza u przeprawy zaskoczyć. Gdy dwojąc się i trojąc zabawiał się z napastnikiem u Buga pod Wołyniem, donieśli zbiegowie z Bełza, że od południa nadciąga drugi oddział Waregów, a przy nim nieco jazdy. Nie było co poczynać, jeno na Czerwień się cofnąć, by się od pieszych wojsk nie pozwolić odciąć. Włodzimierz wraz Bug przeszedł i od jednego zamachu wzięwszy Wołyń, który sami obrońcy spalili, puścił się za uchodzącym Luborem ku Czerwieni, gdzie wojewoda piesze wojska zostawił, sam na Przemyśl ruszając. Jak mu doniesiono bowiem, znaczne siły dążyły ku grodowi. Żywił nadzieję, że ten przynajmniej gródek utrzyma, w oparciu o pomoc Starzy, który poobsadzał przeprawy na Sanie.

Lubor nadciągnął z jazdą, nim nieprzyjaciel podstąpił. Sciągnął, ile się dało, załogi z rozproszonych obrońców pomniejszych gródków i okolicznych naroczników, zaopatrzył się w żywność, której zresztą nadzieję miał dostać w razie potrzeby zza rzeki i przysposobiwszy wszystko do obrony czekał. Wiedział, że nie ma sposobu w otwartym polu pobić Włodzimierza, lecz grać postanowił na czas. Warescy zbóje wracać muszą, zanim mróz zetnie wodne szlaki i liczył się z tym, że Mieszko skończywszy z Morawami może część wojsk na wschód odesłać, a wówczas pozbawionych możliwości odwrotu czeka zguba.

Początek zapowiadał się pomyślnie. Nieprzyjaciel nadszedłszy nocą, o szarym świcie uderzył, lecz poniósłszy wielkie straty, musiał odstąpić i leżał naprzeciw grodu, łukiem od rzeki do rzeki go opasując. Widać było, jak na dłoni, krzątanie w ruskim obozie, wznoszono szałas i namioty, walono i zwłóczono drzewa na oblężnicze budowle, przygotowywano faszynę i kupy chrustu,

słowem, zanosilo się na dłuższe obłężenie.

Czas płynął prawie bez walk, ku zadowoleniu Lubora, jeno wyzwiska i pociski latały co dzień między grodem a obozem. Minęło tak parę dni i Lubor zmiarkowawszy, że do uderzenia wszystko jest gotowe, postanowił uprzedzić je i śmiałym wypadem zniszczyć poczynione przygotowania.

Księżyc wschodził późno i wieczorami ćma była, sprzyjająca Luborowym zamiarom. Za dnia jeszcze, we wschodniej bramie wału i kilku przełazach z tejże strony, polecił uprzątnąć zamykające je kamienie i kłody i wydawszy zarządzenia czekał nadejścia ciemności.

Słońce zachodziło pogodnie, lecz jakby na odmianę się miało, długo bowiem świeciły zorze wieczorne i w ich blaskach gród jarzył się jakby objęty płomieniem. Cisza panowała po obu stronach. Zdało się, że wymarło lub pospało się wszystko. Zgasły wreszcie ostatnie blaski zorzy i na ciemniejącym z każdą chwilą niebie, z rzadka zaczynały migotać gwiazdy. Świat cały zdał się spać w bezruchu, lecz bystre uszy stojącego w gotowości do walki Lubora chwyciły szmer, jaki czynił pieszy lud wychodząc już przełazami ku obozowi ruskiemu. W każdej kupie niesiono żar w łubach z kory, w suchym mchu tlejący, by się krzesaniem ognia długo nie bawić. Dopiero gdy płomień chwyci drewniane wieże, drabiny i osłony, miał Lubor z jazdą uderzyć, by odwrót swym ludziom zapewnić. Wszystko szło składnie, tak składnie, że wodzowi, który życie strawił na wojnie, coś się w tym zaczynało nie podobać. Daremnie wypatrywał ognisk, które co wieczora w bezpiecznej odległości zapalano w ruskim obozie, lub jakichkolwiek odgłosów życia. Cisza była zupełna i kryła w sobie groźbę. Lubor byłby nawet wstrzymał wychodzących, lecz nie czas już było. Stał przeto, zmysły mając napięte jak cięciwę łuku. W ciemności położył nagle rękę na ramieniu młodego setnika Derki i nachylając się do niego szepnął:

- Zostaniesz tu. Pilnie dawaj baczenie, nie tylko za wały. Ja jadę na zachodni dziedziniec.

Nim zdumiony setnik zdołał zrozumieć, już Lubor doskoczywszy konia zniknął w ciemności, jeno głuchy tupot kopyt słyhać było, aż umilkł w oddali.

* * *

Lubor przez zewnętrzny dziedziniec, który kołem opasywał zwarte zabudowania grodu, wjechał w ciasne uliczki, w milczeniu zdążając ku położonemu na szczycie wzgórza, właściwemu grodowi i dotarwszy na obszerny podworec zatrzymał się przed budynkiem, w którym mieszkał Jarosław, żupan gródka.

Jedyny to był z dawnych wielmożów tej ziemi, który nie tylko głowę uniósł przy zmianie panowania i pod rządami Lubora, lecz cieszył się nawet szczególnym zaufaniem wodza, który powierzył mu obronę i rząd jednego z najważniejszych grodów. Lubor często z jego usług korzystał, zwłaszcza w ściąganiu wieści, cenił jego obrotność, chytryść i męstwo i nagradzał hojnie, tak że wielu zazdrościło Jarosławowi widząc, że Lubor sposobi sobie w nim następcę. Lubor przywiązawszy konia wszedł szybko do świetlicy, w której płonęło światło smolnej drzazgi, zatkniętej przy kominie. W świetlicy nie było nikogo.

Stary wódz zawahał się, ku której z dalszych izb się skierować, gdy otwarły się drzwi i wszedł mąż, szpakowaty i pochylony, w którym Lubor poznał zaufanego sługę Jarosława, Chyrnę. Ten na widok Lubora przeraził się tak bardzo, że nogi pod nim drżały widocznie. Lubor patrzył na niego badawczo i przystępując spytał ostro:

- Gdzie Jarosław?

- Śpi, panie, jako wiecie. Samiście kazali, by spoczął, zanim się walka zacznie - odparł sługa usiłując opanować głos.

- Prowadź mnie do niego - rzekł Lubor z naciskiem.

Stary drżał tak, iż głos odmówił mu posłuszeństwa i zaczął coś bąkać niewyraźnie. Lubor uczynił krok ku niemu i nagle poderwał mu nogi. Kolanami przygniótł piersi upadającego i nóż błysnął w jego rękę, w słabym blasku smolnej drzazgi.

- Prędko mów, bo czasu brak - mnie i tobie - dodał ze strasznym uśmiechem. - Gdzie Jarosław?

- Nad rzeką - wyjąkał leżący.

- Co tam robi? - zapytał Lubor, a Chyrna zawahał się z odpowiedzią, lecz poczuwszy ukłucie noża na szyi odzyskał głos i trzęsąc się odrzekł:

- Ruś nadpłynęła.

Lubor wiedział już wszystko. Ostatnią nadzieję wyrwano mu zdradą.

Zaśmiał się i rzekł jakby do siebie:

- Przyrzekli mu ostawić go, gdzie był. Jeno nie wie, że nic człeku po władzy, sławie i bogactwie, gdy nie ma ich komu ostawić. Przerazone oczy Chyrny rozwarły się zdumieniem. Ma przecież Jarosław żonę ulubioną i trzech synów, których wiernemu Chyrnie strzec polecił, by w zawierusze nie ponieśli szwanku. Nagle Chyrna zrozumiał straszne znaczenie słów Lubora i zebrawszy wszystkie siły poderwał się znienacka.

Nie docenił jednak starego wodza. Nóż przejechał po gardle Chyrny, aż zgrzytnął o kość, a krew bluznęła zlewając ścianę i podłogę. Lubor wstał bez pośpiechu i spokojnym krokiem skierował się do przyległej komnaty.

Po chwili wrócił. Przez pozostawione otworem drzwi widać było skaczące po ścianach czerwone i żółte błyski. Lubor wytarł nóż o szatę Chyrny, który już się uspokoił, i wyszedł. W ślad za nim rozpełzał się dym, który wypełnił całą świetlicę. Przez dym przeświecały blaski płomienia, coraz jaskrawsze.

* * *

Od zalegającej brzegi ciemności, jaśniejszym pasem odcinały się wody Sanu. W łagodny, jednostajny szmer fali mieszał się czasem cichy plusk, idący od ciemnych, bezkształtnych plam, sunących z prądem. Wziąć je można było za kępy traw i gałęzi, lecz dziwnym było, że choć prąd znosić je winien ku zewnętrznemu łukowi rzeki, podływały wszystkie pod wewnętrzny, zlewając się z mrocznym wybrzeżem. Czasem szcęknęło coś jak żelazo lub chrzęst się rozległ jakby ostrożnych kroków po żwirze przybrzeżnym. Przy bramie w częstokole stały dwie postacie rozmawiając szeptem.

- Prędko reszta nadciągnie? - zapytał wyższy ze stojących.

- Jak woda doniesie - odparł drugi. - Wiosłować nie można, bo na drugim brzegu co parę stają strażę polańskie stoją.

- Słusznie! - rzekł pierwszy. - Gdyby narobiły hałasu, ostrzeżono by starego. - Ciężka by nas walka czekała.

- Nie macie wszystkich za sobą, Jarosławie? - zapytał drugi.

- Naściągał tu Lubor ludzi z innych grodów, nie czas było z nimi gadać. A swoich jezdnych ma koło setki. Tych szkoda ruszać. Jeśli ich z nagła nie napadniemy, twardzi będą do zgryzienia. Lubor umiał ludzi dobierać.

Stłumiony śmiech rozległ się w ciemności. Równie stłumionym głosem, w którym brzmiało niezadowolenie, Jarosław rzekł:

- Czas się jeszcze śmiać i nie ma z czego, Ragonie.

- Wybaczcie! - odparł Rago. - Myślałem o was, którego Lubor największym darzył zaufaniem - w głosie jego brzmiała drwina. Ciemność zakryła pąs gniewu i jakby wstydu, który wystąpił na oblicze Jarosława. Bał się Lubora i czuł do niego pewne przywiązanie zarazem. W ocalenie grodu jednak nie wierzył. Porozumienie z Rusią przyszło tym łatwiej, że swojaków się u nich spotkać spodziewał. Ostatecznie obawa o los rodziny przeważała. Nie był jednak rad z siebie i chciał mieć już wszystko za sobą.

Niecierpliwie zapytał:

- Wielu jeszcze ma dociągnąć? Późno już i wnet miesiąc zejdzie - dodał wskazując na lekko czerwieniejące niebo nad wysokim gródkiem.

- Czas jeszcze miesiącowi - odparł Rago i odwróciwszy się patrzył na rosnący z każdą chwilą blask.

Na uwagę Ragona Jarosław drgnął i nie bacząc już na rzekę wypatrywał niespokojnie ku gródkowi. Niebo jaśniało z każdą chwilą, lecz blask był innego kształtu i barwy niż zorza wschodzącego księżyca. Niepokój targnął Jarosławem.

- Skoczę zobaczyć - rzekł. - Gdy reszta nadciągnie, sami prowadźcie.

Nie czekając na odpowiedź, ruszył szybkim krokiem ku wewnętrznym wałom, gdzie pacholek konia mu trzymał. Nim dotarł do konia, puścił się biegiem, gdyż na czerwonym tle ukazywać się zaczęły iskry i kłęby dymu. Nie było wątpliwości, pożar wybuchnął w samym grodzie. Dopadłszy konia Jarosław popędził jak szalony. Nad gródkiem widne były już płomienie. Gdy z cienia, rzucanego przez domy, wpadł przed bramę na środkowy podworec, właśnie z dwóch szczytów głównego budynku, w którym mieszkał wraz z rodziną, wystrzelały płachty płomienia i na podworcu jasno się uczyniło jak w dzień. Huk ognia tłumiał okrzyki zbiegających się zewsząd i wysypujących z sąsiednich budynków ludzi. Do płonącego dworzyszczca dostąpić jednak nie było można, gdyż żar skręcał ludziom włosy na głowach i piekł w oczy.

Jarosław, nie bacząc na nic, cisnął narowiącego się konia i biegiem puścił się do wejścia. Pod okapem jeszcze cień leżał i żar także musiał być mniejszy, póki cały dach nie zapłonie. Nie myślał zresztą o niczym, gnany rozpaczliwym niepokojem. Zamknąwszy oczy, by je od żaru uchronić, pędził na oślep ku wejściu. Nagle ktoś pchnął go w piersi i silna dłoń uchwyciła go za rękę. Otworzył oczy chcąc się wyszarpnąć i przez mgłę łez, którymi mu zasłyły, poznał Lubora.

- Puście! - krzyknął - tam moje dzieci!

- Były, ale nie ma ich już - rzekł Lubor.

Cień nadziei mignął Jarosławowi. Dysząc od żaru zapytał:

- Gdzie są?

- Poszły tam, gdzie ty zaraz pójdziesz, zdrajco!

Błysnął czerwono nóż pod światło pożogi i Jarosław ugodzony w piersi, zwałił się na ziemię. Charcząc i plując krwią dźwignął się na ręce i pełznął ku płonącemu budynkowi. Ostatnim wysiłkiem przeciągnął się przez próg i zniknął w sieni, pełnej płomieni i dymu.

Lubor uskoczył w bok pod ścianę sąsiedniego budynku, który dopiero zajmować się zaczynał, i gasząc na sobie tlejące szaty puścił się biegiem ku zachodniej bramie. Leciały za nim wrzaski i szum pożogi głusząc odgłosy krótkiej walki, jaka zawrzała nad rzeką. To podjazd polański, który szedł do grodu, niespodzianie podczas przeprawy wpadł na płynącą w ciemnościach Ruś. Zasypani zniecka strzałami, prawie bez możliwości obrony, jeden za drugim pogrążyli się w falę, którą ten i ów trzepał jeszcze rękoma, nim się uspokoił. Wodna płaszczyna wygładziła się i kołysząc łagodnie ciała,

znosiła je w dół.

Na czele tego podjazdu topielców płynął Krzesz. Nareszcie znalazł rozwiązanie i miłosierna rzeka niosła go tam, dokąd za życia ciągnęła go tęsknota. W piersi Krzesza tkwiła strzała, od której zginął, pierw nim się spostrzegł, że wpadli w zasadzkę. W szeroko otwartych jego oczach nie było strachu. Zdał się wyteżać je, by nie prześlepić chwili, gdy przepływać będzie koło ujścia Kamiennej, gdzie spędził szczęśliwą młodość. Może go tam wyrzuci litościwa fala.

* * *

Spokojna noc zalegała lesiste wzgórze nad Sanem. Księżyc przebył już znaczniejszą część swej drogi i nachylał się ku zachodowi, skąd ruszył się wiatr i po bladym niebie szybować zaczynały strzępiaste obłoczki, świecąc srebrem, gdy mijały księżycową tarczę. Srebrem również świeciły skręty rzeki między wzgórzami i nagie skałki, tu i ówdzie na zboczach wzgórz wypłukane dżdżami lub jakimiś pradawnymi powodziami, o których już pamięć zaginęła. Gdzieś hen, na północy, jakiś odblask różowy klócił się z księżycowym światłem, zresztą pusta i rzadko nawiedzana kraina zdała się być pogrążoną we śnie. Niekiedy nocny ptak się odezwał gdzieś lub szelest ostrożnych kroków drobnego drapieżnika przerwał ciszę.

Nagle cisza jakby pogłębiła się. Czujne uszy nocnych myśliwych ze wzgórza pochwycić musiały coś niezwykłego, gdyż ucichło wszystko. Po chwili i niewprawny słuch rozróżnić zdołałby jakieś odgłosy z dołu zbocza idące, coraz wyraźniejszy szelest rozsuwanych przez człeka czy większego zwierza gałęzi lub jakby uderzenie kopyta o kamień. Odgłosy były coraz bliższe, a po chwili na zalanym światłem księżyca, rzadko porośniętym krzewiną stoku wzgórza, ukazał się jeździec.

Koń, widno znużony, z trudem piał się pod górę stękając z wysiłku. Po chwili stanął i pochyliwszy głowę paść się począł, a jeździec nie naglił go do drogi. Spał lub nie śpieszyło mu się nigdzie. Światło księżyca srebrzyło jego siwą głowę i łamało się w iskry na piersi, okrytej łuską pancerza.

Znużony rumak po kilku chwilach poczuł widocznie nieprzepartą chęć wytarzania się w wilgotnej od rosy trawie, gdyż nagle przyklęknął i przewrócił się na bok. Jeździec nie uczynił żadnego ruchu, by mu przeszkodzić. Legł na wznak i tak pozostał, choć koń, uczyniwszy zadość swej ochocie, po chwili wstał i znowu paść się zaczął oddalając się od swego pana. Wreszcie ruszył przed siebie w dół, widocznie zmierzając do wodopoju. Zaszleściły znów krzewy na zboczu i jeździec pozostał całkiem sam. Spał lub umarł chyba, gdyż nie poruszył się nawet, gdy koń odchodził. Musiał jednak żyć, gdyż łuski pancerza wydawały suchy, miarowy chrzęst, poruszane widocznie oddechem. Nie spał też, gdyż w twarzy świeciły dwie blade iskierki odbitego w otwartych oczach księżycowego światła. Znużony jeno musiał być śmiertelnie. Nie zwały żelaznego starca tygodnie walk, niedojadania, bezsenności. Nie zwała go klęska ni zdrada jedynego człowieka, któremu ufał. Zważyło go serce, o którym dawno zapomniał, że nosił je niegdyś w piersi.

Żył zemstą, nie kochał nikogo, o nikogo i o nic nie dbał. Władza i bogactwa narzędziami mu jeno były. Nigdy nad nikim ni nad sobą samym nie litował się. Oto więcej niż pół wieku minęło od chwili, gdy ból poczuł w piersi, jakby mu kto żywe serce gorącym żelazem wypalał. Od tego czasu nie drgnęło mu żadnym uczuciem. Aż tej nocy, gdy zaważyło się dzieło jego życia, zdradził go nie tylko zaufany sługa, zdradziło go własne serce i tej zdrady przeżyć nie może.

Gdy tego wieczora, z nożem w ręku wszedł do komnaty, gdzie spała rodzina Jarosława, by ukarać zdrajcę na tym, co ten kochał najbardziej, i bez jednego drgnienia, trzy razy zatopił już w serca żelazo, zbudził się najmłodszy synek Jarosława i widząc znajomą twarz wodza uśmiechnął się

do niego. Ten uśmiech sprawił, że ręka nie dopisała Luborowi. Uderzył i nie trafił w serce. Przerazone, bolesne i zdziwione oczy dziecka przypominały mu... Wódz nie chce pamiętać. Broni się przed wspomnieniem. Tam znalazł tyle władzy nad sobą, że drugim pchnięciem dobił chłopaka i spokojnie patrzył, jak wywróciły się i zmętniały te oczy, które mu przypominały... A teraz walczy z sobą, młodszym o pół wieku, z sobą, który ma jeszcze serce. Nie osłabł i nie poddał się jeszcze nigdy. Teraz się zaczyna uginać. Oczy starego wodza szklą się w blasku księżyca. Chrząst pancierza staje się głośniejszy i nierówny. Po co wchodził do tej izby niesamowitej, gdzie czyhało nań wspomnienie. Byłby dokończył przekłętą żywota tak, jak go wiódł, bez bólu, bez żalu i bez innej radości, jak dokonywanie zemsty. Teraz zemsta zemściła się na nim. Jak przed pół wiekiem widzi przerażone, bolesne oczy swego synka; widzi, jak na jawie, rączki jego wyciągnięte ku ojcu, z błaganiem o pomoc i jak wówczas czuje bezwład związanych przez zbirów rąk. Ten sam ból jakby wypalanego żelazem serca znowu czuje w pustej, zdało się, piersi. Młody był wówczas, wytrzymał. Dzisiaj ból go zabija. Szklą się jeszcze oczy starego wodza w blaskach zachodzącego księżyca, lecz chrząst pancierza ustał. Niebo na wschodzie zaczyna się srebrzyć, zielenić, mienić opalem. Wreszcie słońce wychynęło zza wzgórz. Nie razi już szeroko otwartych oczu wodza. Osusza je jeno z łez, by nikt się nie dowiedział, że stary, zimny i okrutny Lubor płakał przed śmiercią. Nie miał przyjaciół, a wrogowie by się śmiali.

XV

Zakłócona radość

Z początkiem zimy, po odejściu wareskich zbójów z pobranym łupem i brańcami, Sobiesław odbił zgliszcza Bełza i Czerwieni. Podsunął się nawet ku Przemyślowi, lecz sam grodu dobyć nie miał siły. Starza nie zdołał utrzymać się na Sanie i nad Wisłokę się cofnął, Mieszko zaś pomocy żadnej przysłać nie mógł, gdyż choć Morawy były zajęte, wojna jeno przycichła, nie wygasła. Urządzał nowo zdobyty kraj, wznosił grody i umocnienia, ludność wdrażał do nowego porządku i nie miał czasu nawet do Poznania skoczyć, choć Oda niedługo już obiecywała dać mu potomka.

Dopiero gdy koło Godów przyszła wiadomość, że powiła szczęśliwie zdrowego syna, którego z wody ojcowskim ochrzciła imieniem, zerwał się i korzystając, że zawieje przygasiły walkę i przed wiosną nie spodziewał się jej podjęcia, wyjechał do Poznania, dowództwo Mszczujowi zostawiając. Pozostał przy nim Bolko, którego księżę za mężne uczynki do łaski przywrócił, choć tkwiła między ojcem i synem jakaś zadzierka, dawnej poufałości wrócić nie pozwalając. Bolko wolał pozostać między wojakami, u których mir miał wielki, niż jechać na dwór, do macochy, której stanowisko, już poprzednio dosyć silne, gdyż umiała władzę pozyskać nad starym mężem, obecnie umocniło się jeszcze. Dochodziły słuchy, iż ponad głowę staruszka Jordana duchowieństwo z nowym zapalem wzięło się do tępienia ukrytego pogaństwa, przy jej poparciu, a bodaj z jej poduszczenia. Chodziło Odzie, by sławę swą, nadszarpniętą porzuceniem szat zakonnych bez kanonicznego zezwolenia, wobec biskupów i panów niemieckich odzyskać, co najlepiej uczynić mogła podjęciem apostołstwa, które wymknęło się już ze słabnących rąk biskupa Jordana. Nie zaniedbywała zresztą i przykładnej pobożności i dzieł miłosierdzia, tak że istotnie niemiecki kronikarz wyraził nadzieję, że „odpuszczony został jej wielki grzech popełniony, za taki wzór pobożności chrześcijańskiej, dany przez nią w postępach dalszych”.

Zabezpieczała sobie Oda poparcie w dawnej ojczyźnie, gdy w nowej czuła się już jak u siebie.

Posiadanie syna dało jej nową siłę i nową podniecie do dalszych wysiłków. Równie stanowczo jak Bolko powiedziała sobie, że państwo pozostanie dla jej potomków i niczego nie zaniedbywała, by im dziedzictwo zabezpieczyć. Mieszko czułby się zupełnie szczęśliwy na łonie nowej rodziny, w gorących ramionach młodej małżonki lub z nowym synem na ręku, gdyby nie przytająca niechęć Bolkowa i nietająca Świętosławy. Bolka potrafił poskromić, na tyle przynajmniej, że nic na zewnątrz nie pokazywał. Na niechęć córki Mieszko nie widział rady. Oda, chybiwszy pochlebstwami, gdy jeszcze czuła się niepewna, otwartą niechęcią płaciła pasierbicy za otwartą pogardę, jaką jej okazywała Piastówna i równie otwarte groźby, których nie szczędziła stronnikom Ody. Szczególnie Przybywój i Odylen byli przedmiotem nienawiści dziewczyny i wprost im w obecności Ody powiedziała, by się modlili, aby księżę ich przeżył, gdyż po jego śmierci łącznie od nich wściekły wilk głowę uchroni. Oda zrozumiała zawartą w tym i dla siebie groźbę i tak się przejęła, że aż wzburzył się w niej pokarm i dziecko dostało boleści. Było to w przededniu przyjazdu księcia. Zaledwie z radością powitał nowego potomka, Oda, wykorzystując napływ przychylności dla siebie, nie omieszkała na pasierbicę się poskarżyć, zręcznie sprawę od troski o zdrowie dziecka rozpoczynając, gdyż wiedziała, że Mieszko słabość żywił dla dziewczyny. Jakoż Oda gniew w nim wzbudzić zdołała i księżę, jeno wyszedłszy od żony, posłał po Świętosławę z poleceniem, by się stawiła. Nadbiegła zaraz, uradowana z powrotu ojca, lecz gdy ją powitał z chmurnym obliczem, nastroszyła się i ona. Domyśliła się zaraz, gdzie było źródło ojcowego gniewu, lecz nie czuła ni skruchy, ni trwogi. Usiadła opodal i siląc się na obojętność rzekła:

- Niepotrzebnie po mnie posyłacie. Byłabym i tak przybiegła was powitać, jeno czekałam, kiedy od Ody wyjdziecie. Moje pierwsze kroki jeszcze zawsze do was, choć wasze już nie do mnie, jako drzewiej bywało.

Mieszko milczeniem pominął wyrzut zawarty w słowach dziewczyny i ozwał się surowo:

- Słyszę, że twe stosunki z Odą są złe jako przódzi. Nie jej winę mogę przypisać, bo wiem, jako starała się przychylnością twą pozyskać. Nie umiesz jej przychylnością za przychylność odpłacić, to szacunek jej winnaś, jaki księżnie należy.

Świętosława przybladła, lecz odparła żywo i śmiało:

- Przychylności udawać nie umiem, dlatego nie mam czym za udawaną odpłacić. Nie potrafię też udawać szacunku, skoro go nie czuję, znacie mnie. Pierwej ja byłam księżniczką niż ona księżną.

- Zuchwała jesteś - rzekł książę sucho. - Wola moja, byś nie drażniła Ody i potrafię wolę swą przeprowadzić.

- Unikam jej, jak mogę, a gdy spotkam, nie mówię do niej, jeśli nie muszę - odparła.

- Nie drażnij i mnie, dziewczyno - rzucił księżę już groźnie. - Rozumiesz, czego od ciebie wymagam, będziesz taką, jak żądam, lub pójdziesz z dworu precz!

- Wyganiacie mnie, pójde - rzekła Świętosława patrząc szklącymi się oczyma w okno. - Gdyby wam kiedy źle było przy Odzie, zajedźcie do mnie. Ja wam serca odebrać nie umiem, jako wy mnie - głos Świętosławy zadrżał lekko.

Żal dziewczyny odbił się w sercu Mieszka. Powiedział łagodniej:

- Nie wyganim cię ni serca ci nie odbieram. Miłujesz mnie, to czyń tak, bym pokój miał w domu, gdy na rzadki wypoczynek zjadę, i bym wybierać nie musiał między wami a Odą i jej dziećmi.

- Chciałabym, ale nie zdołam - rzekła dziewczyna miękko. - Ni życzliwości, ni pokory udawać nie umiem. I mnie tu nie jest dobrze. Bogucha też rada będzie wypocząć.

- Co Bogucha ma do tego? - zapytał księżę ze zdziwieniem.

- Stara już jest i męczy się łatwo, a łyżki stawy przełknąć mi nie da, której by sama nie uwarzyła.

Mieszko wstał. Twarz jego była szara z gniewu, oczy błyszczały groźnie. Przystąpił do córki i zapytał ochryplym głosem:

- Czy wiesz, coś powiedziała?

Dziewczyna spojrzała na niego ze zdziwieniem. Oczy jej stwardniały i twardym głosem odrzekła:

- Wiem! Powiedziałam prawdę. A czy Bogucha słusznie się lęka, nie wiem. Ale wiem to jedno, że tylko ona mnie tu jeszcze miłuje, dlatego lepiej, że wyjadę. Nie chcielibyście pewnie się przekonać, że słuszny jest niepokój Boguchy.

Mieszko stał bez ruchu, z twarzą pobladałą. Dziewczyna skłoniła się nisko przed ojcem:

- Żegnajcie! Wyjadę jutro rano do Stoigniewa. Spokój teraz u niego i rada bym go obaczyć. Dawno tu nie był. Pokłoniła się jeszcze raz i cicho wyszła z komnaty. Po jej wyjściu książę usiadł na ławie i twarz ukrył w dłoniach.

* * *

Gdy umysły wciąż były zajęte toczącymi się wydarzeniami, prawie niepostrzeżenie przeszła śmierć staruszka Jordana. Pogrzeb się odbył uroczysty i wspaniały, lecz nazajutrz już, mało kto zmarłemu słowo pamięci poświęcił.

Może tylko Mieszko boleśnie odczuł, że znowu ubył mu człowiek, który w dużym i ważnym okresie jego życia stał mu wiernie przy boku i wielką pracę wykonał znacząc ślad swój na zawsze na tych ziemiach. Lecz zwyczajem swym Mieszko niczego po sobie nie pokazywał. Oda i ci, którzy kościelnymi zawiadywali sprawami, jeszcze za życia Jordana więcej myśli osobie jego następcy poświęcali niż staremu biskupowi, który w ostatnich leciech zdał się po niebie latać nie troszcząc się zupełnie o to, że Kościół na ziemi zbudowany, ziemi, władzy i majątków potrzebuje. Gdybyż się Jordan całkiem usunął na ubocze, pozostawiając sprawy młodszemu i sprawniejszemu umysłom, nikt by mu nie miał za złe, że sterany pracą i życiem, resztę wypoczynkowi i trosce o zbawienie duszy chce poświęcić. Ale wtrącał się niespodzianie, gdzie najmniej był potrzebny, dziwaczne i niezrozumiałe nieraz wydając rozkazy. Chcąc nie chcąc musiano je wykonywać, gdyż pilnował tego ze starczym uporem, a otwarcie nikt mu się nie śmiał sprzeciwić, gdyż słowo jego przeciw każdemu wagę miało u księcia, tak że nawet Oda ze sprzeciwem wystąpić nie śmiała, choć nie do takich w ojczyźnie nawykła pasterzy. Powszechnie grzechy duchowieństwa, które, nie czując stałego nadzoru, rozluźniło jeszcze wzorem zachodu obyczajem, karcieć potrafił surowo, a przekonanego o kacerstwo i silnie podejrzanego o czary pustelnika sempińskiego uwolnił i z błogosławieństwem życzliwie odprawił. Bez rachuby oddawać umiał wszelkie dobro potrzebującym, tak że nieraz kapituła dotkliwie braki odczuwała. Ale gdy o przysporzenie dochodów z przydzielonych przez księcia włości chodziło, skarżącym się dziedzicom, że kościelni włodarze ciągnąć ich chcą do robót jak niewolnych, oświadczył, że tego czynić nie mają prawa, choć każdemu wiadomo, że ziemia bez siły roboczej nic nie da. Gdy zaś na odwrót, włodarze żalili się, że połów ryb w jeziorze mały, bo rybitwy biorą rybę, nie czekając, aż oni pierwszy niewód puszcza - odrzekł im, że św. Piotr nikomu ryb łowić nie zabraniał, bo ryba w jeziorze niczyja. Tak, jakby od tego czasu nic się nie zmieniło na świecie.

Szczęściem biskup zasłabł w ostatnich miesiącach swego żywota na nogi i nie opuszczał prawie swej celi, a nawet niemal nie ruszał się ze swej wąskiej i twardej ławy. Że zaś dla siebie nie wymagał niczego, zapomniano niemal o nim za życia, doglądał go jeno jeden ze starych towarzyszy

pierwszego apostołstwa, sam już starzec, z którym Jordan więcej o wiecznych niż doczesnych sprawach gwarzył, więcej o Pański Stół, do którego codziennie przystępował, niż o doczesny dbając.

Mieszko na dzień przed jego śmiercią z Moraw właśnie powrócił i usłyszawszy, że staruszek słabuje, wraz odwiedzić go się udał. Uradował się Jordan widocznie, choć był słaby już tak, że się nawet na powitanie pana nie dźwignął. Długo rozmawiali ze sobą jakby przeczuwając, że już po raz ostatni, i wspominali niejedną wspólnie przeżytą radość czy troskę i zmarłych już towarzyszy. Mieszko odszedł późnym wieczorem, gdy staruszek już począł zadrzemywać. Rano księżę jeszcze spał znużony, gdy go zawiadomiono, że biskup żywota dokończył. Zebrał się Mieszko zaraz i do kapitulnego domu podążył. Leżał Jordan na swej wąskiej, twardej ławie, zmaląły jakby. Oczy miał przymknięte, na twarzy uśmiech jakiegoś szczęścia, które widział przed sobą, gdy odchodził.

Mieszko dłuższy czas stał nad ciałem zadumany. Usunął się, gdy nadeszło duchowieństwo i świątynicy, by umyć i w szaty pontyfikalne przybrać swego pasterza. Nawet pierścienia biskupiego nie miał na rękę, bo gdzieś go podarował, a na klęczniku miast złotego krzyża stał zwykły drewniany. Nie trzymało się złoto Jordana. Mieszko wszystko, co potrzebne do pogrzebu, ze skarbca wydać kazał i wracając do siebie rozmyślał, że Jordan doprowadził jednak do końca dzieło swego życia i odchodząc pewny być musiał jego trwałości. Czy i on kiedyś to samo o swoim myśleć będzie? Spoczął Jordan na należnym mu miejscu pod kamienną posadzką gnieźnieńskiej katedry, której budowę sam wzniósł, by na wieki połączyć się z ziemią, której, obcy urodzeniem, stał się synem najlepszym. Miejsce jego na biskupiej stolicy zajął Unger, opat klasztoru w Miminlewie, człek surowej nabożności, wspaniałej postawy i wyniosłego umysłu, który inaczej niż Jordan nowe czasy i stanowisko swe na wzór niemieckich, równych książętom biskupów pojmował.

XVI

Koniec grodziska

Czarnuszka czekała. Wiosną, gdy przyszły wieści o ruskim napadzie, pewna już była, że czeka nie tylko na powrót Krzesza. Inne życie zacznie się dla nich, żeby jeno wrócił. Uśmiechała się do swych marzeń o przyszłości. Tłumiąc tęsknotę myślała z lubością, że powita go z synem na rękę. Liczyła dni, a dużo ich było jeszcze... Nastąpiło skwarne lato, które męczyło Czarnuszkę. Może dlatego nachodziły ją smutne myśli, a może brak wieści był przyczyną. Dobek ruszyć się od niej nie chciał, myślą o wnuku zajęty, tak że nawet do swego dworca nad Rabę rzadko zaglądał, ludzi zaś mało co zostało i wysłać nie było kogo. Od Miroty zresztą wiedział, że Mikłusz z wojskiem jeszcze do Krakowa nie wrócił. Wreszcie jesień pozłociła bory i jednego ranka słaby krzyk dziecka przerwał ciszę, jaka panowała na gródku. Teraz już Krzesz może wrócić każdego dnia. Dobek nie miał więcej pozorów, by się od wyjazdu po wieści wykręcić. Wiele też innych spraw zalegało, ruszył przeto, obiecując wrócić co rychlej. Może wróci z Krzeszem. Teraz już jeno szczęście na niego czekało. W miarę jednak jak płynęły dni, wzrastał niepokój Czarnuszki. Mijały tygodnie, a Dobka nie było. Zaczęła się niepokoić o niego, a korzystając z pobytu Miroty w Grodzisku, wymogła na nim, by jechał do Krakowa języka zasięgnąć i zaraz wracał. Jakoż wrócił na trzeci dzień przywoząc wieści o klęsce Lubora, oraz że Mikłusz z wojskiem wciąż jeszcze bawi na wschodzie, i że Dobek ruszył ku niemu. Czarnuszka przestała już czekać na szczęście, teraz chciała mieć tylko pewność... Ważne musiały być przyczyny, jakie tak długo Dobka trzymały z dala od wytęsknionego wnuka.

Jeden tylko malec na nic nie czekał, chyba na imię, którego Czarnuszka bez porozumienia z

mężem nadać mu nie chciała. Rósł, rozwijał się i nie pozwalał matce oddać się smutnym myślom. Czasu zresztą zostawiał jej niewiele, tym bardziej że Wścieklica, która do jego urodzenia opiekowała się młodą kobietą jak matka, zbiesiła się i małego na oczy widzieć nie chciała. Nie było na nią rady, zresztą rzadko w domu siedziała licho wie gdzie się włócząc. Przymrozki już rankami srebrzyły kraj. Potem wiatr nagnał chmury z północy, szare i zimne. Jednego dnia zaczął prószyć pierwszy w tym roku śnieg. Pojaśniało, ale krótki, zimowy dzień miał się ku końcowi. Z lasów do gródka ciągnęły wrony, znacząc czarnymi plamami pobielające stoki wzgórza. Potem zawichrzyły nad budynkami i z krakaniem obsiadły drzewa, wcześniej zapadając na noc. I gródek do snu się zbierał, gdy zaszczekały psy i z ujadaniem wybiegły na drogę. Ktoś jechał do Grodziska.

Czarnuszka ukołysała właśnie małego do snu i siedziała zadumana nad kołyską, gdy rozległo się szczekanie. Jak stała, wybiegła na dwór.

Dobek z dwoma pachołkami wjeżdżał w bramę. Przy koniach szła Wścieklica, widno się w lesie spotkali.

Stary zeskoczywszy z konia córkę przygarnął nie mówiąc nic. I ona o nic nie pytała. Nieśpieszno jej było do wieści, jakie widno przywiózł rodzic. Razem weszli do izby, gdzie spało dziecko. Wbrew swemu zwyczajowi, Wścieklica weszła za nimi. Gdy weszli, mały się rozbudził i popłakiwać zaczął. Stary wziął go na kolana i siedział z opuszczoną głową. Parę razy pierś mu się podniosła, jakby od tłumionego łkania. Czarnuszka siedziała, blada ale spokojna, patrząc na ojca i czekając, aż sam się odezwie. Po chwili, widząc, że milczy, zapytała cicho:

- Skąd wracacie?

- Gdzie nie byłem, córuchno! Zjeździłem wszystkie grody, jakie jeszcze przy nas ostały.

- Krzesza szukaliście? - szepnęła.

Nic nie odrzekł, jeno głową skinął. W Czarnuszcze coś się załamało:

- Mówcie! - krzyknęła.

- Cóż ci powiem - odparł stary złamanym głosem. - Z Mikłuszem Starzą był nad Sanem. Jesienią jeszcze z podjazdem wyszedł w dziesięć koni i kamień w wodę. Jeździłem przepytywać wszędzie. Nikt nic nie wie.

- Może w jeństwo gdzie popadł - szepnęła bez wiary.

Dobek nie od razu odpowiedział:

- Co mieli znacniejszych w niewoli, przysyłali po wykup czy wymianę. On nie dał znaku o sobie.

Zaległo milczenie. Czarnuszka po dłuższej chwili szepnęła:

- Będę na niego czekała.

Mrok zapadł tymczasem i z ciemności rozległ się, jakby śmiechem przytłumiony głos Wścieklicy:

- Teraz na dwóch będziesz czekała?! Nie czekaj na żadnego.

Myślisz, że nie widział, iż dwoiło się w tobie serce? I on też siebie naleźć nie umiał. Lepiej mu tam gdzie jest. A ty żyj tym, co masz. Nazwij Krzeszem małego i uciekaj stąd. Licho tu zawsze mieszkało. Nie wygnacie go, radziej ono was. W ciemności, słowa Wścieklicy brzmiały jak wróżba niesamowita. Dobka dreszcz przeszedł; wstał i ogień zaczął krzesać oddając matce małego, który zasnął tymczasem znowu. Blaski płomienia zaświeciły w lśniących od łez oczach Czarnuszki i zdradziły ciemny rumieniec na jej licach. Nie sądziła, by stara znała jej tajemnicę. Może znał ją i Krzesz? Dała folgę łzom. Płakać może po obydwu, nie będzie żadnemu krzywdy. A syna Krzeszem nazwie. To się ojcu należy.

To samo widno myślał Dobek, gdyż wstając powiedział:

- Zabieraj małego Krzesza i jedziemy do mnie. Licho niech tu ostanie, skoro sobie to miejsce upodobało. A Tarłów ród widno też przeklął ktoś. - Wzdrygnął się.

Rankiem ruch zapanował na gródku. Ładowano wozy, wyganiano bydło.

Ludzie zwijali się, by co prędzej uciec z tego miejsca. Jeno Wścieklica gdzieś się znowu zapodziała. Dopiero gdy stali już gotowi do wyjazdu, wodą zalawszy ogniska, ujrzano starą, jak nie śpiesząc się nadchodziła z lasu. Wlokła się, jakby nie słyszała wołania Dobka, który, niecierpliwy, ponaglał wyjazd. Gdy doszła, rzucił gniewnie:

- Siadajcie! Na was jeno czekamy, Za dnia chciałbym już być u siebie.

- Jedźcie! Szkoda było czekać. Ja ostaję - odparła.

- Nie boicie się ostać? - zapytał Dobek żegnając się nieznacznie.

- Licho się mnie trzyma od urodzenia - zaśmiała się. - Przywykłam.

Czarnuszka z synkiem na rękę podeszła do starej i rzekła serdecznie:

- Będzie się wam cniło, przychodźcie do nas. A teraz go pożegnajcie. - Podawała dziecko

Wścieklicy. Stara, wyciągając ręce odpychająco, odskoczyła, jakby przestraszona:

- Odejdźcie! - krzyknęła. - Nie chcę już lubić nikogo. Sama chcę ostać.

Dobek wzdrygnął się. Za chwilę z córką i dobytkiem wyjeżdżał z gródka splunawszy za siebie od uroku. Zaległa cisza, zapadał pogodny, zimowy wieczór. Księżyc zeszedł i obszukiwał dziedzińce. Nie znalazłszy nikogo zaglądnął do pustych izb wypełniając je swą martwą, zimną poświatą.

Nagle białe jego światło nasycać się zaczęło gorącym, czerwonym blaskiem. Na dziedzińcu było jasno jak w dzień. Zabudowania gródka płonęły z dwóch końców jaskrawym płomieniem, który piał się wysoko, w spokojnym, mroźnym powietrzu. Gwiazdy przybladły, a księżyc zarumienił się, jakby zawstydzony, że dał się wyprzeć pożodze, która wciąż przybierała na sile. Przed bramą stała Wścieklica patrząc z dziwnym uśmiechem, jak pożar trawi budynek za budynkiem. Ogarnął już cały gródek i zdał się nieba dosięgać.

Stała długo, aż nasycony płomień jął się kurczyć, a huk pożogi przeszedł w jednostajne trzeszczenie. Okoliczne wzgórza przestały się jarzyć odblaskiem ognia i bladły z każdą chwilą, w spokojnym świetle zwycięskiego księżyca.

* * *

Wiatr rozniósł popioły i splukały je deszcze. Czarne pogorzelsko pozieleniało z wiosną. Wyparty ze wzgórza las wracał na swoje miejsce. Jeszcze jeno opierała mu się kamienna wieża, ale korzenie drzew i pnączy cierpliwie i wytrwale odłupywały z niej kamień po kamieniu. Miały czas.

Potem kupę gruzu okryły warstwą próchniejących liści i posiały na niej swe nasiona. Sowy poszły mieszkać gdzie indziej. Pomału zaginęła i pamięć więdźmy, strach przed którą trzymał ludzi z dala od tego uroczyska. Ale ludzkie życie nie zakiełkowało na wzgórzu już nigdy. Z wszystkiego, co tutaj przeżyli ludzie, została jeno nazwa Grodziska.

* * *

XVII

Zbrozło

U Stoigniewa na Pomorzu spokój był istotnie. Duńczycy bowiem najechali na Północną Marchię i zdobyli jeden z warownych grodów. Duk Bernard, który za cesarzem do Włoch się wybierał,

pozostać musiał, wojną z nimi zajęty, która prowadzona słabymi siłami nieprędko obiecywała koniec. Zżymał się, gdyż wolałby przy cesarzu przeciw Saracenom walczyć, gdzie łatwiej było łaskę cesarską, nadania i łupy pozyskać, niż w walce odpornej z ubogim a twardym, duńskim przeciwnikiem. Lecz bodaj, że los go tym sposobem oszczędził, gdyż niewielu z tych, którzy pociągnęli z cesarzem, zamek rodzinny obaczyło z powrotem.

Gdy doszła o klęsce cesarza wieść do Niemiec, książęta, zebrawszy się, prośbę wysłali do niego, by przybyć im pozwolił, na co cesarz wdzięcznie się zgodził i zjazd zwołał do Werony, po czym udał się do Rzymu. Wkrótce tam chorzeć zaczął i żywota dokonał. Ciężki zamęt stanął przed Niemcami i trudne zadanie przed owdowiałą cesarzową Teofano, opiekunką niespełna lat trzy liczącego dziedzica.

Jeszcze żył cesarz i nie wygasła jeszcze wojna z duńskim najeźdźcą, gdy wrzenie jakieś powstało wśród połabskich Słowian. Duma Dietricha, Mieszkowego teścia i haniebny ucisk, jakiego doznawały zhołdowane plemiona słowiańskie, nawet te, które chrzest przyjęły, raz wraz nieciły niepokój, który srogością tłumiony w jednym miejscu, wybuchał w drugim. Judził ktoś uciemionych i nie tylko do oporu pobudzał, lecz umiał go widocznie przygotować, gdyż miejscami ciężko walczyć przychodziło, nim został złamany, a buntownicy bez miłosierdzia pokarani.

Ostrzegął Bernard Dietricha, że coś się knuje, gdyż potajemnie posłańcy chodzą między plemionami do weleckiego związku należącymi. Zausznicy Dietricha donieśli mu, że u Milżan, Łużyczan i Słubian jakowyś stary człek, o białych oczach, kręci się, którego, podejrzewając o knowania, ująć chcieli, lecz między palcami im się wymykał. Dietrich nagrodę za głowę jego wyznaczył i srożył się dalej.

Jakoż zdało się, że rozruch utopił we krwi, gdyż z końcem wiosny przygasł jakby i już nie widywano więcej tajemniczego podżegacza. Dietrich chełpić się już zaczął, że jedyną drogę znalazł, by „niewolników” nauczyć rozumu, mimo iż polański zięć przestrzegał go, by nie przeciągał struny. Cisza była nad Łabą. Aliści jak grom z pogodnego nieba uderzyła margrafa wieść, że 29 czerwca Słowianie, wyciąwszy załogę w Hawelbergu, stolicę biskupią zniszczyli. Zerwał się Dietrich, zapłonawszy zemstą, lecz nim wyruszyć zdążył, wzburzony tłum Słowian wtargnął o świtaniu, właśnie gdy na prymarie dzwoniło, do samego Braniborza. Biskup Wolkmer, wcześniej przestrzeżony, umknął, rad, że życie ocalił przed swymi owieczkami, które się kozłami okazały. Dietrich z rycerstwem widząc, że nie bezbronną trzodę ma przed sobą, lecz zajadłe wilków stado, pola nie dotrzymał i porzucając wszystko śpieszną ratował się ucieczką. Kler natomiast, cały pojmany, wydany został zemście gnębionego i wyzyskiwanego ludu. Skarbiec, łzami i krwią słowiańskich poddanych wypełniony, stał się ich pastwą. Nie oszczędzili i grobu poprzedniego pasterza, Dodila, którego za zdzierstwa i okrucieństwa już przed trzema laty udusili. Co mu po śmierci z szat i klejnotów zostało, mścicielom oddać był zmuszony i jak psa obdartego z powrotem do grobu cisnęli. Odmienioną losu kolejną polala się na słowiańską ziemię inna raz krew niż słowiańska i stanęły znowu na ołtarzach bóstwa, od blisko pół wieku wygnane. Groźba zawisała nad pewnym już swego najeźdźcą.

Dietrich do sąsiednich książąt i margrafów o pomoc wysłał i czekał na ich nadejście gdy wieść przysłała, która pognębiła go do reszty. Gdy Lutycy palili i mordowali nad Łabą, Mestwin ze swymi Obodrytami spalił i zrabował Hamburg. Gorzka to była wiadomość, tym bardziej że niespodziewana. Mestwin bowiem ochrzczony był, a co więcej, za żonę miał siostrę starogrodzkiego biskupa, Waga. Okazało się, że nakłoniony przez syna swego z pierwszego małżeństwa, Mieczysława, pogaństwu

przychylnego, żonę swą wygnał i zmówiwszy się z pogańskimi Lutykami, razem z nimi przeciw Niemcom wystąpił. Gdy nadeszła wieść o klęsce cesarskiej pod Basantello, rozzuchwaleni do reszty Słowianie na całym Załabiu podnieśli głowy i co było Niemców wygnali lub pobili, kościoły popalili, samym Sasom grożąc zgubą i zniszczeniem. Od jednego zamachu upadł na krzywdzie i zbrodni ustawiony krzyż na Załabiu. Wobec wewnętrznego zamętu i zewnętrznych klęsk, nie było komu przeciwstawić się potędze gniewu, doprowadzonego do rozpaczyny ludu. Dietrich żywił nadzieję na Mieszkową pomoc, lecz doznał zawodu. Nie pomogło wstawienie się Ody, która naprzód przymilaniem, potem płaczem, a w końcu gniewem, usiłowała wymusić na mężu pomoc dla ojca. Po raz pierwszy przekonała się, ku swemu zdumieniu i złości, że władza jej nad starym mężem ma swoje granice. Póki przekonywać usiłowała, odrzekł jej spokojnie, że dość ma wojen, jakie prowadzić musi, by mieszać się do takich, które go nie obchodzą. Na prośby odrzekł, że czas musi wykorzystać, gdy spokój ma przez chwilę, by się wewnętrznymi sprawami zająć. Gdy zaś wreszcie w gniewie zakrzyknęła, iż nie byłby jej ojciec wydał za niego, gdyby wiedział, że go Mieszko w potrzebie bez pomocy zostawi, odrzekł sucho, że nie byłby jej brał, gdyby wiedział, że Dietrich przez własną chciwość i głupotę stanowisko swe traci. Oda, nie panując już nad sobą, ze złości krzyczeć zaczęła, lecz Mieszko wyszedł trzasnąwszy drzwiami i natychmiast na objazd ruszył, bez pożegnania, mimo woli czy na złość Odzie od Lubuszy rozpoczynając, gdzie bawiła Świętosława.

Nie zapomniała mu tego Oda, tym bardziej że obdarzywszy go drugim synem, któremu dano imię Świętopelka, na pamiątkę morawskiego pradziada i dla podkreślenia roszczeń do tego kraju, a spodziewając się wkrótce trzeciego - wpływ swój miała za nieodparty. Widząc, że się pomyliła, zimna i wyrachowana niewiasta nie tylko złość swą ukryła w głębi serca, lecz posłańców za księciem wysłała z pokornymi przeprosinami i gorącą prośbą, by rychło do stęsknionej powrócić raczył. Mieszko odpowiedzieć kazał, że gniewu nie żywi i wróci, gdy jeno sprawy pozalutwia. Nie było go jednak długo.

Bunt Słowian na Załabiu nie wygasał. Legły w gruzach dalsze biskupstwa w Żyticach i Miśni, nie ostał się ani jeden kościół. Plon zbrojnego apostołstwa lat kilkudziesięciu zniknął jak pod uderzeniem burzy. Kto z duchownych na czas nie uciekł lub nie zbył w walce żywota, w pętach przed nowo wzniesione pogańskim bóstwom ołtarze na rzeź był wiedziony. Nawet w niemieckim kraju, po lewym brzegu Łaby, popłoch się wszczął, zamęt był w kraju, obrony nie zgotowano i Mestwin, przeszedłszy Łabę u Hamburga, posuwał się w górę rzeki w siły rosnąc, gdyż coraz więcej buntowników pewnych, że długo na wodzy utrzymaną zemstę łatwo nasycić można, przeprawiało się za rzekę. Gdy doszli na wysokość Hobolina, sześćdziesiąt tysięcy Słowian już ciągnęło. Niesforne to były wojska, często jedynie w kije sękate uzbrojone, ale zajadłe i zemstą zionące. Ciągnęli przy odgłosie trąb, bożyszczą swe niosąc na czele, upojeni łatwym zwycięstwem i zagrażać się zdawali lewobrzeżnym biskupstwom, a nawet samemu arcybiskupstwu magdeburskiemu.

Ocknęli się jednak po pierwszym przerażeniu niemieccy panowie i zgromadziwszy się ruszyli przeciw Słowianom, nie spodziewającym się już oporu. Nieliczne to było wojsko wobec tłumu Słowian, lecz wyższością uzbrojenia, karnością i wprawą wojenną mieli Niemcy niepłonną nadzieję zalew pogański powstrzymać. Jakoż gdy doszli do Tongery, wysypali się zaraz przeciw nim w skóry odziani wojownicy słowiańscy i nie bacząc na nic ni rozkazów swych przywódców nie słuchając, do gardła Niemcom drzeć się zaczęli, ufni w swą liczbę, a zaślepieni wściekłością. Trudno jednak było dobrać się kijem do niemieckiej skóry przez żelazne pancerze, mieczem zaś do gołej, słowiańskiej łatwo. Niemcy ze wszech stron obkoczeni, chcąc nie chcąc, zwarli się, a ci ze Słowian, którzy

uderzyli pierwsi, cofnąć się, choćby chcieli, nie mogli, pchani z tyłu przez tłum, który raz więzy zrzuciwszy darł się, by pomścić swe krzywdy na wrogu. Wrzask nieustanny bił w niebo i niósł się po lasach, w którym żadnych rozkazów starszyny nikt nie mógł dosłyszeć, choćby i chciał posłuchać. Mestwin, który posiadał trochę dobrze zbrojnej i karniejszej jazdy, darmo przebić się usiłował ku Niemcom, by klinem przeciąwszy niemiecki krąg, ułatwić robotę pieszym wojownikom. Choć darł się ku wrogom nie bacząc, że swoich trątuje, utknął w tłumie; przedrzeć się przezeń, a tym mniej potrzebnego pędu nabrać niezdolny.

Walka przedłużała się, stosy słowiańskich trupów wał utworzyły wokół niemieckiego koliska, lecz inni darli się przezeń, niebacznymi, że niebawem własnym ścierwem wał ten jeszcze trudniejszym uczynią do przebycia.

Niemcom ręce omdlały, dech się kończył w piersiach. Niejeden z koniem obalony, rozdeptany został lub rękami i zębami rozerwany na sztuki. Grafa Zygryda ledwo spod konia wywlec zdołano i z połamanymi nogami, które go na zawsze niezdolnym uczyniły do walki, wciągnięto w głąb koliska.

Już zdało się Niemcom, że mimo męstwa i przewagi broni ulegną nawale, gdy nagle spóźniony oddział grafa Waltera uderzył na tyły Słowian świeżymi siłami.

Popłoch, wszczęty przez zaskoczonych zniecka, jak płomień rozszerzył się na cały tłum, znużony już i zniechęcony bezpłodnością wysiłków. Nagle walczący w przedzie zwrócili się do ucieczki. Pierzchająca fala zepchnęła Mestwina i jego jazdę, choć powstrzymać ich usiłował, zalała starego człowieka, który pieszym wojom przewodził i odpłynęła na północ.

Niemcom na widok odwrotu serca i sił przybyło i z wrzaskiem wielkim ruszyli przed siebie siekąc i kłując. Większość Słowian, nie czekając, za Łabę się przepawiła. Pozostali jeno ci, co o własnych siłach dźwignąć się nie byli zdolni.

Pod zachód wicher ruszył. Wył w gałęziach, świstał w łożach, huczał w boru; głużył wycia wilków, ciągnących zewsząd na miejsce walki, tłumiał jęki rannych i chrapanie konających, hulał ponad bitewnym polem, jakby wystudzić chciał prędeję parującą z krwi strawę dla zwierza, nagnał strzępiastych chmur z zachodu. W końcu ciemna, bezgwiezdna noc zakryła pobojuwisko. Kto z rannych jako tako na nogach ustać wydolił, z wieczora jeszcze, gdy jeno walka przesunęła się za Tongerę, wymykał się ku wschodowi, choć Łaba zamykała odwrót na słowiańskie ziemie, gdzie mogła czekać pomoc i po ratunek. Mała nadzieja przepłynąć ją po nocy nawet zdrowemu, ale cóż to wobec tego, co na pobojuwisku czekało! Ot, zachłyśnie się człek wodą i popłynie, spokojny już. I nic to jeszcze, że nocą przyjdą wilki drapieżne, bo wilk, choć serce ma dzikie, morduje jeno gdy głodny. A nie brak dziś dla wilków żeru. Choćby się z całego kraju, przecie pożreć nie zdołają plonu dzisiejszego dnia. Wał trupów ciemniejszą, poszarpaną linią odcina się od ciemnego nieba wokół koliska, w którym rozstrzygnęła się bitwa. Zresztą wilk w zabijaniu niewymyślny jest, chwyci za gardło i już po wszystkim... Wiedzą słowiańskie niedobitki, co ich czeka w razie pojmania. Komu śmierć już się patrzy, wygląda wybawicielki z tęsknotą i niepokojem, by nie przyszła za późno. Kto czuje kołaczące się w sobie życie, zbiera resztki niknących sił, jakich wykraść nie zdołały wysiłek całego dnia walki, pragnienie dławiące wykrwawionych i ból ran. Raz wraz od ciemnej masy ludzkiego ścierwa odrywa się jakiś cień i pełźnie na czworakach lub idzie zataczając się i potykając, niejednokrotnie o własne trzewia, by jak chore zwierzę zaszyć się w jakąś komyszę, gdzie zdychać będzie mógł spokojnie, choćby kilka dni, i nie ujrzeć już zwycięzców. Lecz coraz rzadziej odrywają się te cienie od zwału bratnich trupów. Cichną jęki i charczenie, ucichł i wiatr. Koło północy, przegnawszy naniesione chmury, skonał gdzieś z pomrukiem w borach na wschodzie. Martwy spokój

zaległ pobożowisko i martwe światło księżycy wydobywa z cienia nieruchomą już stertę ciał ludzkich. Grzbiet wału ludzkiego mięsa występuje poszarpaną linią jak zmierzwionej słomy po omłocie. Sterczą z niej zastygłe w bezruchu członki, lśnią do księżycy wyszczerzone zęby, szklą się martwe oczy. Gdzeniegdzie błyska broń jak zimny płomyk. Jak płomyki świecą też ślepie nadciągających wilków. Czujne są. Wyczekały, póki nie zamilkły ostatnie odgłosy życia. Człowiek chytrzejszy od wilka różne niespodzianki chowa. Teraz wilki zbliżają się. Suną szare cienie świecąc ślepiami. Krąg martwych otacza krąg żywych. Zaraz zaczną się uczać.

Coś jednak wstrzymało wilki. Jedne przystanąły, inne nawet odskoczyły ostrożnie, lecz zatrzymały się zaraz i płonącymi ślepiami patrząc na to miejsce ludzkiego wału, z którego idzie ku nim przejmujący je niepokój.

Jak ruszona przez kreta ziemia, wał w jednym miejscu drgnął niespodzianie. Drgnął raz, drugi i trzeci. Obsunęły się ze szczytu jakieś zeszywniałe zwłoki, i z ciemnej, splecionej masy wydźwignęła się do połowy ciała jakaś postać. Powiało grozą w zimną, księżycową noc. Wilki przycupnęły trwożnie. Niesamowita postać błyszczy w księżycowym świetle, jakby wykuta z czarnego kamienia, jeno tam, gdzie twarzy można się domyślać, lśni wilczym blaskiem para bladych oczu.

Wilkołak czy upiór wysunął się cały. Głęboko zaczerpnął powietrza. Słychać cichutkie trzeszczenie. To kruszy się skorupa skrzepłej krwi, którą zlany jest od głowy do stóp. Własnej czy bratniej, nie rozezna; słowiańskiej.

Krew przy księżycu jest czarna. Tą samą barwą lśnią skrzepłe kałuże u stóp wału. Zjawa schodzi z wału, brnie przez nie i rusza na wschód. Nie leci, nie płynie, idzie zwyczajnie. Jak człowiek. Jeno wilki rozstępują się przed nią i żadne warknięcie nawet nie wydobywa się z wilczego gardła. Odprowadzały go wzrokiem, aż zniknął w kępach łąz.

Jeszcze raz obejrzał się na niknący już w mroku wał trupów. Nie żałował poległych, zazdrościł im spokoju.

XVIII

Pociechy

-Swojaki przysli pomóc w robocie - mówi Dagna do Tarły. - Wstalibyście.

Stary nawet się nie poruszył. Postąpiła chwilę i westchnawszy odeszła.

Przeleżał prawie całą zimę, choć nie bolało go nic, na nic się nie skarżył. Baby znające też nic pomiarkować nie mogły. Kadziły, odczyniały, zaszkodzić przecie nie może, ale i nie pomogło. Stary jeść nie chciał ni ruszyć się do czego, a wydobyć słowo od niego - nie sposób.

Dagna żal czuje do męża. Prawda, że niewesołą ma starość, ale czy ona ma lepszą? Wieść o śmierci bliźniaków przyjął przecie spokojnie, gdy ona włosy rwała z rozpacz. Nawet za złe mu to miała, tym bardziej że - strach pomyśleć - kto wie, czy nie jego klątwa zabrała im życie. Ale przecież dwa lata już mijają od tego czasu. Jakoś życie się toczy.

Zresztą kołacze się gdzieś po świecie Krzesz. Może się jeszcze coś odmieni. Żeby nie ojcową zawziętość, pewnie by rodziciele odwiedził. Niechby się i nie żenił. Lepszy choć jeden syn, bez wnuków, niż żaden.

Dagna nie wie, że stary otrzymał zimą wiadomość o małżeństwie i o zaginięciu Krzesza. Z sześciu synów nie ostał już żaden. Dagnie nie rzekł nic, jeno jak wrócił z Krakowa do łoża się uwalił. Trzy dni nic nie brał do ust. Myślała, że chorzeje, ale jak się wtedy zaczęło, trwa do dziś dnia

i widno już tak zostanie. Westchnęła i poszła ze swojakami do pola.

Koło południa stary zwłókł się z barłogu. Zegnało go pragnienie. Ceber na wodę w sieni stał próżny. Stary zaklął i niechętnie wyszedł na podworzec, by wody naciągnąć. Oczy, nawykłe do mroku komory, zmrużył od słońca i głęboko zaczerpnął w płuca powietrza. Żadne żywe stworzenie nie oprze się urokowi wiosny, a najmniej ten, kto żywot, jak długi, spędził wśród pól i łąk, przywykły czekać, kiedy bocian na koło swe wróci na suchej topoli, by nowe gniazdo usłać, kiedy bydełko, rycząc radośnie, ruszy na pierwszą paszę, kiedy jaskółki gniazda lepić zaczną pod okapem. Stary napił się wody, odetchnął jeszcze raz i ruszył drogą na północ, kierując się ku brodowi na Kamiennej. Dotarłszy do rzeki usiadł i niewidzącymi oczyma zapatrzył się w jej nurt. Rzeka toczyła jeszcze wezbrane wiosennymi opadami fale, tak że bród był nie do przebycia. Słońce grzało starego w plecy, a myśli jego zdały się z wodą uchodzić. Po raz pierwszy od otrzymania nieszcześnej nowiny świadomość jej uszła z niego. Pustka w nim była, ale jakaś błoga. Gdzieś, poza myślą, natrętnie budziła się nadzieja, jakaś nadzieja wszystkiego, co żywe, wspólnej nieśmiertelności życia, jaka z wiosną przepajać się zdaje każdy liść na drzewie, każde źdźbło trawy.

Tętent na drodze wyrwał Tarłę z zapomnienia. Nie odwrócił się, ale w myśli zaklął: po licha tu jada. Bród nie do przebycia. Pewnie wypytywać zaczną, a stary nie ma chęci gadać z ludźmi. Niczego już od nich nie czeka.

Gdy jednak odgłosy kopyt ucichły tuż za nim, powstał i odwrócił się. Przetarł oczy i usiadł z powrotem. Głowę wsparł na rękę, a serce wali mu, jakby wyskoczyć chciało. Nie śmie spojrzeć przed siebie. Dzień przecie jasny, skąd te zjawy z zaświata? Czy jeśli spojrzy po raz wtóry, pustkę znów ujrzy przed sobą tę, którą w sobie nosi?

Ale jakieś ręce dźwigają go na nogi, a znajomy, jak dobrze znajomy głos mówi:

- Co wam jest? To przecie my, Miłosza i Otłoka. Wcaleśmy nie legli, ino że nas razem z martwymi złożyli, bez to gadka powstała.

Stary oczy otwiera, ale niewiele to pomaga, bo i tak nic nie widzi przez łzy. Czuje tylko, jak synowskie usta całują jego ręce, którymi szuka ich głów, by je przygarnąć do piersi. Tuli je i czuje, jak pustkę w piersiach wypełnia nadzieja; nadzieja życia daleko poza grób. A zarazem szybko mruga oczyma, by się pozbyć natrętnych łez, których w ojcowych oczach nie widzieli nigdy i ujrzeć nie powinni, bo gdzieżby się podziąła rodzicielska powaga. A przy tym łzy przeszkadzają mu spojrzeć w te twarze, nad które miłszych nie widział na świecie.

Mrugał, aż łzy spłynęły na policzki. Chytrze wytarł je w jasne czupryny synowskie, by ich nie dostrzegli, chrząknął i odsunawszy ich pewnym głosem powiedział:

- Po prawdzie, to sprać by was należało... - urwał i patrzył.

Zdołał ukryć swe wzruszenie, ale zdumienia nie potrafił. Twarze jednakie, jak były, jeno na czole jednego wyraźna blizna białawą bruzdą biegnie nad ciemnymi brwiami. Tarło odzyskał głos i rzekł siląc się na surowość:

- Nareszcie będę wiedział, którego sprać, jak przewini.

Ale wojaki śmieją się. Utrzyma to ojcowską powagę wobec takich łazęgów? A posiadacz blizny mówi zuchwale:

- Nie mieliście większej zgryzoty? To będziecie mieli - i znów śmieją się, choć niewiada z czego. Głupie to jeszcze, choć pacholki na schwał i pod wąsem. A strojne i zbrojne jak kniazie.

- Matka pewnie już wie, żeście wrócili - rzekł Tarło i ruszył ku domowi. Głód poczuł taki, że przyśpieszył kroku. Po drodze rzucali pytania i odpowiedzi bez ładu i składu, ale stary coś nie bardzo

uważał. Żeby go piorun miał ubić, pożeni ich zaraz, nim wyjadą, bo juchy pewnie znowu jeno na parę dni wrócili. Gdy docierali do osady, nim ją dojrżeli zza drzew, gwar jakiś uderzył uszy starego Tarły, a chwila jeszcze i ujrzał podworzec, zatłoczony tłumem, jakiego tu nie pamiętał od swego z Dagną wesela. Pośrodku podworca widać wozy jeszcze nie wyprężone, a dokoła nich tłoczy się kto żyje i kto jeno nadażył przylecieć z sąsiadów. Pokrzykują, śmieją się, cieszą się z czegoś widocznie. Stary aż przystanął ze zdziwienia. Wozy jak wozy, dostatki pewnie przywiozły, ale z czegoż tu śmiać się a radować tak hałaśliwie.

- Coście za dziwa przywieźli? - zapytał i ruszył przepychając się w tłumie.

Gdy go ujrzano, ciżba rozstała się. Wówczas spostrzegł, jak przy jednym z wozów Dagna, płacząc, ściska się z dwiema młodymi niewiastkami. Twarzy ich dojrzeć nie wydolił, bo ujrzał co innego, że zrazu stanął jak skamieniały, a potem zbliżać się jął ostrożnie, jakby się spłoszyć bał zjawisko. Nad półkoszkiem wozu, w popołudniowym słońcu, lśniły złotem cztery główki chłopięce, a czarne oczka spoglądały z zaciekawieniem i pewnym niepokojem, z kim to matki ściskają się tak długo, że o nich, zda się, zapomniały.

Stary podszedł o krok i spozierał mrugając po kolei na każdego z chłopaczków. Wszyscy stanęli kręgiem i patrzyli na niego, co powie.

- O, juchy niepocziwe - wyszeptał wreszcie.

Zrozumieli, że synów miał na myśli, którzy mu przez tyle czasu pozwolili żyć w rozpacz, gdy radować się należało. Ale z rozpacz nie zawsze się umiera, a i z radości widno nie. Inaczej byłby skonał stary Tarło patrząc na wnuki po synach, o których myślał, że dawno zgnili w ziemi.

XIX

Pielgrzym na drodze

W Jaskotelowym dworcu szczęście jakoś zamieszkać nie chciało. Jaskotel dobry był dla Wrochny. Nie słyszała, by się gdzieś z niewiastami zadawał, czego się zrazu obawiała wiedząc, że z młodych lat nie zwykł niewiastom przepuszczać albo i one jemu. Ale doma nigdy go prawie nie było, nie na wojnie, to na łowach, to na dworze lub po sąsiadach. A gdy siedział, zamyślony był. Coś w nim tkwiło, z czego się nie wydawał. Może jeszcze czary Geilany, choć słowem o niej nigdy nie wspomniał, dość że Wrochna czuła zawsze, że coś jest przed nią zamkniętego, za jakąś ścianą, o którą rozbijała się daremnie.

Nie pomagały rady Zbysławy ni zamawiania, ni zioła. Nie ciągnęło Jaskotela do domu, a jej się serce rwało do niego, im dalej, tym gorzej. Gdy doma był, udawała wesołą i zadowoloną pomańc na słowa jego matki. Gdy wyjechał, nic, jeno ta gryząca tęsknota. Liczyła dni do jego powrotu po to, by za chwilę znowu sama pozostać i czekać na to, co nie przychodziło.

I teraz znowu czekała na niego, choć mówiła sobie, że nie ma na co, że przyjedzie znów zamyślony, by wyrwać się za chwilę i ją z niedosytem zostawić.

Tymczasem wieści przyszły, że szczęśliwie zakończyła się morawska wyprawa, potem że ksiązę, z którym Jaskotel pociągnął, powrócił, ale jego samego widać nie było. Do tęsknicy przyłączył się niepokój, czy złego mu się coś nie stało i Wrochna gońca na dwór wyprawiała, by się o niego wywiedziały, choć tłumaczyła jej Żelicha, że o śmierci takiego wojaka byłoby głośno. Czekwała jak na węglach, aż goniec za trzy dni powrócił z oznajmieniem, że Jaskotel lekko jeno w wyprawie był raniony i gdy ksiązę odjeżdżał, zdrów już był zupełnie, lecz uprosił, by mu z Bolesławem pozostać

było wolno. Duma jeno nie pozwoliła Wrochnie płaczem wybuchnąć przy pacholku, lecz przepłakała całą noc.

Wstała przed świtaniem i osiodławszy konia ruszyła do Osieka. Nie zdawała sobie sprawy, po co jedzie, jedno wiedziała, że serce się w niej podrze, jeśli się przed kimś nie wyżali. Do swej rodziny zwracać się nie chciała, bo nigdy nie zdradziła się słowem, że nie jest między nią a Jaskotelem tak, jak być powinno. Jedynie Zbysława mogła wiedzieć, jeśli nie poradzić. Nie żałując konia Wrochna na południe była na miejscu i nie zsiadając zapytała o świekrę.

Wskazano jej na wzgórek za sadem, gdzie Zbysława nowy dworzec stawiała najmłodszemu synowi, by i on, jak wielmoży przystało, na okazałym dworcu siedział. Zostawiła tedy Wrochna konia pacholcowi i przez sad podążyła na miejsce. Z dala już dochodził głos Zbysławy i odgłosy toporów, ciosających bale na ściany. Gdy Zbysława niespodziewanie Wrochnę ujrzała, aż ręce załamała i zakrzyknęła:

- Stało się co Jaskotelowi? Jako wyszana przez zmorę wyglądasz!

- Nie stało się nic, zdrowy. A ssie mnie iście, że dłużej już nie zdzierzę - odparła Wrochna cicho.

Zbysława Michałowi, sporemu już wyrostkowi, który przywitać się przybiegł z miłą bratową, dalszej roboty pilnować zleciła i biorąc Wrochnę za ramiona, skierowała się ku domowi wypytując po drodze.

Wrochna opowiedziała, co wie o Jaskotelu i zakończyła z goryczą:

- Niepotrzebnieście się ze Skarbna wynieśli i Michałowi dworzec stawiacie. Skarbnieński stoi pustką. Niepotrzebny Jaskotelowi, niepotrzebny i mnie.

Stara spojrzała na synową. Zdało się przez chwilę, że gniewem wybuchnie, ale zamyśliła się:

- Lubię cię, Wrochna, ale co ci z tego. Mojego serca ci nie trzeba. Radziłam, co wiedziałam, nie pomogło. Żebyś mu syna dała, to by go zawsze do dom ciągnęło i jakoś by się sprawy ułożyły.

- Skądże mu mam dać, kiedy on wiatr goni po świecie - rzekła rumieniąc się Wrochna. - Mam go z domu wypłaszać, lepiej, jak mnie nie będzie.

Zbysława nachmurzyła się. Po chwili rzekła:

- Nie siedział w domu z dawna. A cóże ty, biedoto, zrobisz ze sobą?

Wrochna odpowiedziała po chwili niepewnie:

- Do ojca chyba wrócę.

- Nie wiem, czy rad będzie - odparła Zbysława w zamyśleniu. - To pewna, że musisz mu, powiedzieć, dlaczego. Juści, przyjazny już nam nie będzie jako przódzi, ale niech się Jaskotel martwi, kiedy sam winien. Od dziecka tego chłopca chowałam i przeznac go nie mogę.

Wrochna przestraszyła się. Wciąż jeszcze tliła się w niej nadzieja, że Jaskotel się ku niej przychyli. Gdy zaś nieprzyjaźń powstanie, zgaśnie ta isierka.

Weszły do domu i Zbysława na służbę zawołała, by przyniosła posiłek. Gdy usiadły, Wrochna zaczęła nieśmiało:

- Poradźcie, matko! Nie chcę, by się ojciec z Jaskotelem powaśnił, a w domu już nie zdzierzę.

Uśmiechnęła się lekko stara i odparła:

- Rozumiem. Po co mosty palić za sobą?! Ale wyjechać, wyjedź.

Wróci do domu, to ujrzy, jak miło w pustce siedzieć, gdy nikt nie wita. A przyjedzie do mnie, to wygnam. Niech cię prosi, to mu nie będziesz taka tania. Zwyrzyły go baby, to myśli, że na żadną nawet palcem skinąć nie warto.

Zakończyła stłumionym przekleństwem z Audunowego spadku.

- To dokądże mam jechać, jeśli nie do ojca? - spytała Wrochna.

Stara się zamyśliła:

- U mnie byłoby ci dobrze, ale to tak, jakbyś nie wyjeżdżała. Od żony przecież go nie wygnam.

Ale jedź na dwór do Poznania. Książ lubi nas, to cię przy nowej księżnie umieści.

Wrochna westchnęła, ale stara krzyknęła niecierpliwie:

- Wiem, że między obcymi nieradaś siedzieć, ale tak będzie najlepiej.

Przytuliła niespodzianie Wrochnę do piersi i zawołała:

- Mówię ci, że dobrze jeszcze będzie, ino chcieć musisz! A przyjedzie Jaskotel do mnie, to nie tylko wygnam, ale i spiorę jak szczeniaka. Ino trzymaj się.

* * *

Po raz pierwszy chmury żalu Wrochny i gniewu Zbysławy gromadziły się nad głową Jaskotela bez jego winy. Został wprawdzie z własnej woli na Morawach z Bolkiem, który sam go zresztą o to prosił obiecując, gdy jeno spokój zapanuje, odwiedzić siostrę i Stoigniewa, co im obu będzie po drodze.

Niespodziewany wypadek sprawił jednak, że pobyt ich jeszcze przedłużył się. Wracając pod wieczór z objazdu gwarzyli właśnie o rychłym powrocie, gdy z zasadzki ktoś strzałę na Bolka wypuścił. Odbiła się od klamry pasa w skos ku dołowi i jadącego przy Bolku Jaskotela ugodziła w kolano. Nie miała już siły i rana zdała się lekka, tymczasem zajadziła się i leżeć musiał tygodniami. Bolko nikomu o zamachu nie mówił i Jaskotelowi milczeć polecił. Nawet ze sobą nie rozmawiali wiele, myśleli jednak to samo. Bolko ponury się zrobił, zapiekał się w nim gniew i zajadłość. Pilnować się zaczął czujnie a chytrze. Jakoż okazało się to pożyteczne, gdyż schwytano po kilku dniach nieznanego człowieka, który nocą koło dworca, gdzie Bolko stał, kręcił się wejść usiłując. Gdy nie umiał się wytłumaczyć, czego szukał, Bolko ogniem go palić kazał i z zimną, zawziętą twarzą słuchał jego nieludzkich ryków, po czym kijami dobić polecił. O jednym i drugim wypadku ojca nie zawiadomił. Widno postanowił nie mieszać go w rozpoczętą walkę, w której ten po żadnej nie mógł stanąć stronie. Wbrew swej gwałtownej naturze, Bolko gromadził w sercu gniew i zemstę, wodze nakładając swej popędliwości. Nawet twarzą nie pokaże nikomu, co wie, czego się domyśla i co zamierza. Niech wrogowie nie wiedzą, że się ma na baczności, że patrzy na nich, liczy i gdy czas przyjdzie zapłaci.

Toteż gdy tylko Jaskotel konia mógł dosiąść i wreszcie razem do kraju ruszyli, Bolko do Poznania zajechał, ojca powitał serdecznie, macochę uprzejmie, nowego biskupa życzliwie. Jeno Przybywój i Odylen, którzy, widząc zmianę w Bolku, zbliżyć się do niego usiłowali, spotkali się z pogardliwą oschłością. Jaskotel pożegnał Bolka w Czestramie, skąd samotrzeć ku Obrze z gościńca skreślił. Gdy leżał chory, w samotności wiele przemyślał i ku własnemu zdziwieniu tęsknić zaczynał za domem i z lubością myślał, że zastanie tam Wrochnę. Ujmowała go piękna i słodka niewiasta, jeno sam siebie nie był pewny. Niechęć, jaką z początku odczuwał uważając, że ojciec narzucił mu małżeństwo, ustąpiła z czasem. Jednego nie był pewien: co zrobi, gdyby wróciła Geilana. We krwi czuł ją jeszcze i choć nagromadziła się w nim gorycz ku niej, zbyt dobrze pamiętał, że zrobić z nim umiała wszystko. Nie chciał zaś, raz żonie serce oddawszy, znowu je odbierać. Bał się znaleźć w położeniu, z którego nie widziałby wyjścia. Gdy leżał rozmyślając, do jednej doszedł pewności: iż wolałby, aby Geilana nie wróciła. Czas płynął, wieści od niej ni o niej nie było. Chciałby jednak pewność mieć, że nie wróci. Męczyło go już to życie w zawieszeniu.

Pogodny, sierpniowy dzień miał się ku schyłkowi, gdy dojeżdżał do Skarbna boczną, mało

uczęszczaną drożyną. Nie hamował już tęsknoty w sercu, ni konia, co dawno nie widziany dom poczuł. Wypuścił rumaka zostawiając z dala za sobą pachółków. Zorze już gasły na zachodzie, przed zejściem księżyc mrok się uczynił, lecz Jaskotel i jego koń znali drogę i nie zwalniali pędu. Droga skręcała w lewo, koło obłego pagórka, który niską szkarpą urywał się nad nią. Po prawej stronie ciągnęły się poletka, w rzyskach ninie stojące, odgradzone od drogi chruścianym płotem, by bydło, które tędy pędzono, nie robiło szkody.

Gdy mijali zakręt, dość nagły, koń niespodziewanie chrapnął i skoczył w bok tak gwałtownie, że wyłamał płotek, a Jaskotel, niezbyt jeszcze mocny w kolanach, znalazł się na ścierni. Upadł miękko, jeno ręce podrapał, więc wstał zaraz zakławszy i patrzył za uciekającym w popłochu koniem, który zniknął mu z oczu. Obejrzał się wkoło, co mogło spłoszyć rumaka. Księżyc miał wzejść lada chwila i niebo na wschodzie srebrzyło się już. W niepewnym świetle księżycowej zorzy ujrzał jakąś ciemną postać, która wstała ze szkarpy. Wymiary jej zdały się tak niesamowite, że Jaskotelowi ciarki przeszły po grzbiecie. Uchwycił za miecz i nie całkiem pewnym głosem krzyknął:

- Kto zacz?

- Pielgrzym - odparł nieznajomy.

Brzmienie słowa było nieswojskie, lecz w głosie uderzyło Jaskotela coś znajomego. Mając się jeszcze na bacności, zbliżył się. Księżyc wschodził właśnie i w jego niepewnym świetle Jaskotel patrzył z ciekawością.

Obcy był isticie olbrzymiego wzrostu, a podwyższała go jeszcze długa szata z ciemnego sukna, z wysokim, spiczastym kapturem. Oczy jasne i jakby błędne, nie patrzyły na Jaskotela, lecz na wschodzący księżyc.

- Cóż tu robicie po nocy? - spytał Jaskotel widząc, że jeno z człowiekiem i to bezbronnym ma do czynienia.

- Spałem sobie przy drodze - odparł nieznajomy, cokolwiek rozwlekle, jakby nie śpieszył się z odpowiedzią.

- Nie lepiej to pod dachem? Dworzec niedaleko, do którego jadę, a noce już chłodne bywają.

- Raz człeka grzeje, raz chłodzi - odparł nieznajomy.

Wymowa była obca, ale sposób mówienia i głos przypominał Jaskotelowi coś znanego. Wpatrywał się w brodate, poorane zmarszczkami oblicze wędrowca. I tu coś znanego uderzało, lecz jeszcze sobie nie wierzył. Zapytał:

- Dokąd idziecie?

- Krewniaków mam w tych stronach, ale dawno tu nie byłem. A niedowidzę, to spocząć usiadłem, gdy ściemniało i zdrzemnęło mi się, aż mnie jakiś hałas obudził.

- To mój koń się was przestraszył, płot wyłamał i uciekł. A krewniacy wasi gdzie siedzą? - zapytał Jaskotel.

- Nad Obrą - mówił wolno obcy, jakby sobie przypominając. - Pomału i nazwy przypomnę. Dawno to już, osiem godów będzie albo więcej.

Jaskotel prawie pewny już był, kogo ma przed sobą, ale zapytał:

- Skarbno tu o parę stajań. Tamże krewniaków nie macie?

- A jakże, Skarbno! - powtórzył pielgrzym i jakaś radość zabrzmiała w jego głosie. - Ciotka moja tam za starego Auduna była wydana. Nie wiem, czy żywią jeszcze?

Miast odpowiedzieć, Jaskotel pchnął nagle pielgrzymą, aż ten usiadł na szkarpie i wyskoczywszy na nią, obejmować go zaczął całując:

- Toś ty, Gołuch, niezdaro! Żem też takiego drąga nie poznał, jakiego chyba drugiego po Dzikowej śmierci na świecie nie ma.

- A tyś Jaskotel, bo on mnie zawdy niezdara przeżywał.

Tak i po głosie miarkowałem, ale odwykł człek i od radości, to sobie nie wierzy - rzekł pielgrzym spokojnie i przygarnął Jaskotela.

- Puszczaj! - stęknął Jaskotel. - Jeszcze, widzę, zawsze niedźwiedzia byś zadusił.

- E, co tam ze mnie zostało - odparł Gołuch.

Tętent posłyszeli za sobą. To nadjeżdżali parobcy z jucznymi końmi. Jaskotel zsiąść im kazał, by samemu z Gołuchem pojechać, lecz ten odmówił:

- Odwykłem od konia. Zaszedłem tu na swoich nogach z Bizancjum, to zajdę i dalej.

Odprawili tedy pachółków i ruszyli drożyną.

- Daj mi rękę - rzekł Gołuch - bo nie widzę nic.

- Nie widzisz? - rzekł Jaskotel ze współczuciem. - Przecie miesiąc świeci.

- Miesiąc to i ja widzę albo i słońce w dzień.

- Także ci się oczy popsęły! Przecież dawniej widział wszystko.

- Po prawdzie, to zawdy kiepsko, a na oczy chorowałem w niewoli.

Zamilkli. Gołuch nigdy mowny nie był, a Jaskotel o tyle rzeczy na raz chciał się zapytać, tyle powiedzieć, że nie wiedział, od czego zaczynać. Chciał się dowiedzieć o losach Gołucha i o sobie i swoich opowiedzieć, i sprawić sobie, że go z niewoli wydrzeć nie wydolił, i matkę, że go wysłała, i dziękować i uzalić się nad nim, i skłąć, że nic nie gada, jeno idzie, jakby wczoraj tu był i nie obchodziło go nic. Zagadnął wreszcie:

- Czemu nic nie mówisz? Językaś zabył?

- Bez mała zabyłem. Ale mi słowa jakby z naszym powietrzem wracają. Latam słowiańskiej mowy nie słyszał. Istotnie widać było, że dobiera wyrazów.

- Gadajże, niezdaro - niecierpliwie zawołał Jaskotel. - Gdzieś siedział tyle czasu? Z Bizancjum, mówisz, idziesz? Cóżes tam czynił? No, mówże! - krzyknął, gdy Gołuch nie zbierał się do odpowiedzi.

- Co tam - odparł Gołuch. - Opowiem sposobną porą. Radziej bym wiedział, co z moimi i z twoimi. Nie myślałem, że ich jeszcze obaczę - jakieś wzruszenie dławiło mu głos.

- Choćbyś mógł, wszystkich nie obaczysz. Rodzicielom twoim zmarło się i mój ojciec legł. Twoi bracia niedziałem siedzą w Gołuchowie i, jako słyszałem, gryzą się. A nam kniaź spadek podzielić pozwolił i ja na Skarbnie sięostałem. Matka zasię w Osieku z Michałem żywie. Ucieszy się, bo się niemało o ciebie nagryzła, żeś przez nią szczeznął.

- Gryzła się? Myślałem, żeście zabyli o mnie - rzekł Gołuch.

- Głupiś! - krzyknął Jaskotel. - Małośmy się ciebie naszukali! Sam kniaź się o ciebie upominał, gdy jeńców wymieniali, ale cię naleźć nie mogli.

- Pamiętaliście! - szepnął Gołuch ze wzruszeniem.

Jakiś czas szli w milczeniu, po czym zapytał:

- Czemu to macierz twoja nie ostała w Skarbnie?

- Nie chciała. Gdym żonę wziął, Wrochnę od Wyszkota - pewnie ją dzieckiem pamiętasz - poszła na swoją oprawę.

- Ożeniłeś się? Toś dobrze uczynił. Właśnie ci Geilana powiedzieć kazała, byś na nią nie czekał, bo nie wróci. Pierścień ci przeze mnie odsyła, coś jej dał, z dobrym słowem i życzeniem, byś go oddał swojaczce, jaką wybierzesz. Mówi, że ci szczęście przyniesie, jako i jej przyniósł.

To rzekłszy przystanął i omackiem szukał w głębi szaty, gdzie miał zaszyty. Szukał długo, nim go, świecący w blasku księżyca, wyciągnął na dłoni ku Jaskotelowi. Mógł szukać i dłużej, bo Jaskotel stał jak skamieniały ze zdziwienia. Czuł, jak gdyby ktoś ciężar nagle z niego zdjął, jakby zerwała się jakaś tama, która go dzieliła od Wrochny. Jeszcze do siebie przyjść nie mogąc, jak urzeczony po klejnot sięgnął i chwyciwszy Gołucha za rękę, ciągnąc go zaczął. Tymczasem nie pytał o nic i o niczym nie myślał, jeno by pierścień oddać Wrochnie co prędzej.

Jakoż już widać było w księżycowym świetle dwie lipy olbrzymie, jak ulane ze srebra, które u wejścia na dziedziniec stały, i blaski na dachach zabudowań. Jak drobne księżycowe chmurki, migotał w lekkim powiewie wysnuwający się z komina dym. Szczekanie psów zwiastowało, że ruch panuje w dworcu. Może wyjdzie Wrochna naprzeciw?

Rozległy się kroki na drożynie i widać było kilka zbliżających się postaci. Jaskotel przyśpieszył jeszcze kroku, lecz wraz dojrzał, że Wrochny nie ma między nimi, poznał natomiast Czyża.

Gdy stary włodarz powitał dziedzica, Jaskotel zapytał:

- Zdrowi aby wszyscy? Pani śpi?

- Pani z waszą matką wyjechała - odparł Czyż. - Wozy wzięły ładowne, służebne dwie i pachołków. Gdzie jadą, nie mówiły. Jaskotelowi wydało się, że księżyc mniej jasno świeci.

- Prowadź do domu - rzekł do Czyża. - O świtaniu konia mi osiodłać. Pojadę do Osieka.

Przegadali noc całą. Pomału, dobierając słów, ciągnąc po swojemu, spokojnie i obojętnie, jakby o kogoś obcego chodziło, opowiedział Gołuch żalosne swe dzieje.

Niemiecki powsinoga, który go wiódł, tyle był winien, że głupi. W Geddonowej karczmie, tej samej, w której Jaskotel spotkał się z Erwinem, dopadł ich oddział, który w pościg szedł za Bolkiem, bo się przewodnik po pijanemu wygadał. Gołucha śpiącego wzięli, choć temu i tamtemu parę kości połamał. Tyle z tego, że skatowali i jego. W lochu przeleżał, jak długo, nie wiedział, bo zrazu chorzał z pobicia, zresztą słońca tam nigdy widać nie było. Byłby może tam zgnił, ale kupiec się trafił, który szukał tęgich niewolników. Przydał się Gołuchowi jego wzrost, gdyż inaczej nie byłby go kupił, tak był wynędzniały.

W pętach przewędrował Alpy. Po drodze przyszedł do siebie, bo kupiec dobrze odżywiał niewolników, by cenę wysoką uzyskać. Powietrze i słońce też zrobiło swoje, a do bicia się przyzwyczał. W Genui nabył go italski wielmoża, który handel prowadził z Grecją. Gołuch

wiosłował na galerze. Nic to, że wiosła były ciężkie, ale strawa nędzna, obchodzenie się jeszcze gorsze, a najgorsze słońce. Po paru latach przywykł wprawdzie do skwaru, ale oczy do blasku nawyknąć nie mogły i coraz z nimi było gorzej. Nie widział już prawie nic, a paliły go ogniem i łyzy ciekły mu bez ustanku, zaś odrobina wody, jaką otrzymywali, na ugaszenie pragnienia nie starczyła, cóż mówić o myciu. Szczęściem zrobiło mu się w końcu całkiem źle z oczyma. Ropieć mu zaczęły tak, że wcale nie mógł ich otworzyć. A że na południu podobna choroba powszechnie panuje i z jednego na drugiego się rzuca, tedy dowódca statku, bojąc się o innych niewolników, do morza cisnąć go kazał.

Myślał Gołuch, że to koniec, ale płynął, póki mógł, sam nie wiedząc dokąd. Wreszcie fala wyrzuciła go na skalisty brzeg. Wygramolił się resztką sił na płaską skałkę, ale nie widział nic, więc nawet nie próbował na ląd się wydostać, rad, że może umrzeć spokojnie. Jak długo przeleżał, nie pamięta; raz go słońce paliło, raz ziąb przejmował. Głodu już nie czuł, jeno słabość taką, że ręki dźwignąć nie zdołał. Wreszcie zdało mu się, że już kona, bo przytomność stracił.

Nie wie kiedy i jak znalazł się u pustelników, którzy w pieczarach nad morzem mieszkali. U nich przyszedł do życia, a pomału i do sił, jeno z oczyma źle było jako przódzi i już pewny był, że świata więcej nie ujrzy.

Aż razu pewnego do brzegu przybiła uszkodzona burzą galera i parę dni stała na miejscu, u pustelników pomocy szukając. Zgadał się jeden z podróżnych z tym, który Gołucha miał w opiece, że w Bizancjum żywie sławny lekarz kobieta, do której z dala ludzie przyjeżdżają po rady i Gołucha się do niej zabrać ofiarował. Z żalem opuścił Gołuch swych opiekunów, u których spokój znalazł po tylu przejściach i cierpieniach, że rad by był z nimi do końca żywota pozostał, gdyby nie tęsknica i nadzieja, że do kraju jeszcze wrócić zdoła, jeśliby wzrok odzyskał. W Bizancjum, odwieziony do owej kobiety, która w pałacu obok cesarskiego mieszkała, w służbie u niej pozostał płacić czym za leczenie nie mając. Z grecka zwała się Heleną, a widzieć jej - nie widział, bo nie widział nic. Wodę ciągnął ze studni do kamiennej cembrowiny, jaka stała pośrodku wyłożonego płytami podworca. Ani się domyślał, u kogo przebywa, aż raz posłyszał, jak służebna jedna po niemiecku się do lekarki odezwała Geilaną ją zowiąc. Zaczął przemyśliwać, gdzie to imię słyszał i choć nie był pewny, postanowił spróbować, czy słusznie się domyśla. Gdy po niego jako zwykle przysłała, zagadnął ją po słowiańsku, czy pomni Jaskotela. Okazało się, że dobrze utrafił.

Powiedział, kto zacz jest i trudno rzec, by mu w domu lepiej być mogło, jak u niej od tej pory. Wraz też i leczenie staranniej poszło, oczy pogoły mu się i znowu światło zobaczył, a nawet ludzi poznać może, gdy jasno, a na odległość ramienia staną. Kiedy ozdrowiał, taka go za swoimi ogarnęła tęsknota, że wyrwać się zaczął, choć mu dobrze było i zatrzymywała go Geilana, bodaj i na zawsze. Kiedy się uparł, wyszukała poczet kupiecki, który przez Bałkany, na Węgry, nad Dunaj miał ciągnąć i podejmował się go zabrać.

Obdarzyć go chciała na drogę i w szaty godne przybrać, ale odmówił, tak sobie postanowiwszy, że pustelnikiem ostanie, byle jeno w swoich borach. Tylko pierścień wziął dla Jaskotela i zaszył w szacie, w jaką go jeszcze pustelnicy przybrali. Nie dziwił się Geilanie, że wracać nie chciała. Do innego tam życia nawykła i swobodę ma, o jakiej u nas nie marzyć niewieście. Mówią, że jest cesarską kochanką, ale to pewna, że leczy wszystkich z cesarskiej rodziny i poważanie ma wielkie u ludzi.

Okazało się szczęśliwe, że skarbów ni szat nie przyjął, bo w bałkańskich wąwozach zbóje kupców wymordowali i obdarli, jego jednego przy życiu zostawiając. Szedł tedy na północ i szedł,

aż przyszedł.

Jaskotel słuchał opowiadania Gołucha jak jednostajnego szumu deszczu. Zadumany był tak, że nawet go swym zwyczajem nie poganiał. Gdy Gołuch skończył wreszcie, zapytał:

- A ninie co robić zamyślasz? Nie będziesz się o swą dziedzinę upominał?

- Co mi po tym - odparł Gołuch. - Wojakiem nie będę, przy gospodarce czy łowach teżem na nic.

Dwóch braci, a gryzą się, mówisz, na co im trzeci niezdara. Odwiedzę ich kiedy, choć pewnie nie poznają, bo wyrostki to jeszcze były, gdym wyruszył.

- To u mnie może być ostał. Możesz robić, co chcesz.

- Już tak sobie umyśliłem, że pustelnikiem ostanę. Podobało mi się to życie. Człek sobie rozmyśla, nie wadzi nikomu, a trafi się, to pomóc może.

- Przecie sam nie wyżyjesz ze swymi oczyma. O jadło się trzeba postarać i uwarzyć, i dREW narąbać, i jako to przy gospodarstwie. Jakoże wydolisz bez pomocy?

- Jakoś wydolę. Człek się byle czym żyć nauczył. Żeby ino spokój mieć i powietrze, i swoje niebo nad głową. Ale Jaskotel już coś wymyślił, gdyż klepnął po dawnemu Gołucha i zawołał:

- Pamiętasz sempińskiego pustelnika, coś mnie u niego nalazł, gdy to Mroclaw pomarł? Onże by dla mnie to uczynił, by ci ze sobą żyć pozwolił, bo mnie srodze nawidzi. Poszedłbyś do niego?

- Juści, żebym poszedł, by mnie ino wziął. Wadzić mu nie będę, a pomogę, w czym wydolę.

- Tedy jedź ze mną do Osieka. Stamtąd do Sempna niedaleko, zaraz skoczmy. Chyba że wypocząć chcesz, to siedź tu, ile wola, a ja sam do pustelnika pojedę zapytać.

- Wolę jechać od razu. Chciałbym już wiedzieć, że skończyłem wędrowanie.

Tyle się jeno Gołuch poskarżył na los, który nim miotał po świecie.

XX

Małżeństwo Bolka

Choć Mieszko rzekł Odzie, że wojna ze Słowianami go nie obchodzi, niemniej pilnie śledził jej przebieg. Wiedział o udziale Zbrozły w tej sprawie i choć rad był, że Niemców na Załabiu wytarto, nie mógł się oprzeć złej radości na wieść o przebiegu i wyniku bitwy nad Tongerą. Nie mając ni dziesiątej części tych wojsk, które tam walczyły, po trzykroć już rozbił znacznie poważniejsze siły niemieckie, w tym dwakroć samego cesarza. Upewnił się, że droga, którą kroczy, jest dobra.

Toteż straciwszy podporę, jaką dla niego przedstawiał Dietrich, ninie marchii swej pozbawiony, oglądać się zaczął za innym sprzymierzeńcem i uwagę zwrócił na Rikdaga, margrafa Miśni, własną jego obrotnością i męstwem zdobytej. Człek niestary jeszcze, córę miał dorastającą, a że Mieszko dla Bolka za żoną już wypatrywał, na niej spoczęło oko jego. Oda też popierała zamiar tego związku widząc w nim nadzieję umocnienia swego stanowiska, którym zachwiały wypadki na Załabiu.

Niezależnie od szukania nowych związków między Niemcami, Mieszko, skoro jeno wieść otrzymał o wypuszczeniu spod straży Kłótnika, bezzwłocznie z nim na nowo nawiązał stosunki. Choć z polańskim księciem poróżniony, to samo uczynił Bolesław czeski i obodrycki Twestwin. Pora zdała się odpowiednia, wiedziano już o chorobie cesarza i ruchliwy Kłótnik większą niż kiedy powziął nadzieję, że cel swych zabiegów, niemiecką koronę osiągnie. Zamęt był w kraju, dziedzic dzieckiem jeszcze, a italskie i połabskie klęski wielu panów nakłaniały, by szukać przywódcy, zdolnego bezzwłocznie sprawy ująć w swe ręce.

Zdało się nawet, że Kłótnik dopnie swego, gdy Warinus oddał mu młodego pana, którego Henryk

zaraz do Korbei wywiózł, a mądra cesarzowa wyjechała z kraju do przebywającej w Pawii cesarzowej matki, pewną się nie czując. Henryk, zjednawszy sobie poparcie kolońskiego arcybiskupa oraz przychylność sąsiednich władców, odrzucił ostrożność i z miejsca z większą jeszcze pychą zaczął postępować. Przerazili się jego przeciwnicy i niejedni zgody rad był z nim poszukać, lecz zuchwały a lekkomyślny Bawarczyk za ciasną miał głowę, by zrozumieć, że gdzie wroga w przyjaciela zmienić można, wspaniałomyślnym być należy. Jakoż zaraz okazało się, że pierwsze, co sobie postanowił, to pomsty szukać na tych, którzy nie byli mu przyjaźni, i że wybaczać nikomu nie myśli. Zaledwie do Korbei przybył, palatyn Teodoryk i brat jego Sikko, którzy z dawna z Kłótnikiem mieli zadzierki, bojąc się jego pomsty, gdy na tronie zasiądzie, usiłowali go przejednać. Boso, w pokorze wyszli mu naprzeciw o przebaczenie go błagając, lecz ich ze wzgardą odrzucił. Zbiegli tedy, życia niepewni i między krewnymi i przyjaciółmi burzyć zaczęli przeciwko Henrykowi.

Henryk zaś udał się do Magdeburga, gdzie na Kwietnią Niedzielę zjazd naczelników zwołał i rozpoczął z nimi układy, by go na tron wynieśli. Większość ku temu przychyliła się wprawdzie, lecz że już głuche wrzenie czuli przeciw niemu, bo do starych wrogów nowych zdołał sobie napytać, ostrożnie zażądali, aby dla nich wpierw zwolnienie od przysięgi, młodemu panu złożonej, uzyskał, nie chcąc się narażać, gdyby plany Henryka chybiły. Henryk jednak, pewny już swego, zjazd wielkanocny zwołał do Kwedlinburga. Stronnicy Henryka przybyli wszyscy. Przybyli też trzej władcy słowiańscy, natomiast inni jeno posłów przysłali, by dawali baczenie, co się dalej dzieć będzie. Jakoż Kłótnik, przez swych stronników cesarzem okrzyknięty, przysięgę wierności od nich odebrał i z obcymi władcami przymierza utwierdził uroczyście. Mieszko jednak wraz zmiarkował, że Kłótnik na tronie się nie utrzyma, lekkomyślnie i bez umiarkowania postępując. Dawna chęć zemsty za Bolkową niewolę, oraz nadzieja wpływów, jakie mógł mieć u władcy, któremu dopomógł do uzyskania tronu, nakłaniały wprawdzie jego serce, by wagę swego miecza na szalę Henryka przyłożyć, lecz doświadczenie i znajomość ludzi i spraw radziły wycofać się na ubocze i oczekiwać dalszego biegu wypadków, tym bardziej że Henryk skłaniał się raczej ku Bolesławowi czeskiemu, z którym Mieszko z powodu morawskich spraw w otwartej był nieprzyjaźni.

Toteż zaraz po odbytych zjeździe Mieszko wybrał się z powrotem, a wiadomości, jakie przez zaufanych ludzi otrzymał, potwierdziły słuszność jego przewidywań.

Wielu bowiem panów wprost ze zjazdu do Helesburga się udało, gdzie związek pod przywództwem duka saskiego, Bernarda, przeciw Kłótnikowi stanął. Wojna domowa wisiała już w powietrzu. Mieszko w powrotnej drodze sprawę Bolkowego małżeństwa omówił z Rikdagiem i z początkiem czerwca wrócił do Poznania.

* * *

Zaledwie się rozgościł i powitawszy małżonkę i dziatki, po Bolka, ze Stoigniewem bawiącego na Pomorzu, wysłać zamierzał, by razem przybyli, gdy przez zaufanego komornika dowiedział się, że podczas jego nieobecności wielki zatarg powstał między biskupem Ungerem a Jaskotelem, który zakończył się ciężkim pobiciem biskupich pachołków i klątwą, uroczyście na Jaskotela rzuconą. Wymógł przy tym Unger na wojewodzie Nudoszy, że Jaskotela, który zbiegł z odbitymi więźniami, schwytać i przed sąd stawić polecił. Jak go tam chwymano niewiada, bo i mir miał u ludzi i nie lubiano biskupa, w końcu i rękoma z żelazem umiał Jaskotel obracać, dość że do domu wracać nie mógł, a biedna Wrochna, którą niedawno dopiero z dworu do siebie zabrał, znowu sama siedziała. Tym razem Zbysława zjechała do Skarbna, tulić i pocieszać zrozpaczoną, niebawem bowiem wnuka jej Wrochna dać obiecywała i bała się stara, by dziecku to nie zaszkodziło.

Książę szczęśliwie wiedział już, o co poszło, gdy z biskupiego dworca posłaniec przybieżał z zapytaniem, czy biskupa raczy wysłuchać.

Mieszko, nawykły do prostoty w obejściu Jordana oczekiwał nadejścia biskupa w sypialnej komnacie i codziennych szatach. Martwił się nieco o swego ulubieńca, lecz nadzieję żywił, że Ungera bez trudu ułagodzi i zdjęcie klątwy uzyska. Czekał długo i niecierpliwił się już, gdy wreszcie nadejście Ungera oznajmiono, a po chwili zjawił się i on sam, ubrany uroczyście, w towarzystwie licznych kanoników i służebnego kleru. Mieszko na zachodzie widział biskupów, którzy za książąt się mieli i jako tacy występowali, lecz ubodło go to u własnego. Gdy tedy wszedł, a za nim jego orszak, książę nie czekając, aż się Unger odezwie, rzekł z przekąsem:

- Widzę, że chcecie uroczystego posłuchania, tedy do świetlicy was poproszę na jutro w południe, gdzie wam go udziele. Tutaj nie zwykłem tłumy przyjmować.

Na wyniosłej twarzy biskupa nie drgnął żaden mięsień, gdy odrzekł:

- Orszak mój nie liczniejszy niż pasterzowi przystoi, a sprawa pilna jest.

- Nie tak pilna widno, skoro czekać na was musiałem - rzucił Mieszko brwi marszcząc.

- Nie zwykłem biegać - odparł Unger dostojnie.

- A ja czekać - odciął Mieszko. - By wam jednak dogodzić, dzisiaj was przyjmę.

To rzekłszy klasnął w dłonie i nadbiegłemu komornikowi polecił biskupa wraz z jego orszakiem do głównej świetlicy zawieść. Przybierając się książę rozmyślał o sprawie. Podczas jego nieobecności biskup, ponownie oskarżonego o kacerstwo i czary, pustelnika sempińskiego pachołkom swym sprowadzić polecił nie wzywając go uprzednio, by się usprawiedliwił. Gdy go pachołkowie bez potrzeby szarpać zaczęli, ujął się za nim Gołuch i pachołków poturbował. Widząc, że nie wskórają, od żupana w Modrzu zażądali pomocy. Nadeszli większą kupą, wtargnęli przemocą do chaty, gdzie wiązać obu pustelników zaczęli, gdy zniecka oswojony niedźwiedź zabił jednego z pachołków, a kilku ciężko poranił, nim go ubito. Sprawa już była zła. Zamknięto uwięzionych w lochu biskupiego dworca, gdzie czekać mieli na wyrok, gdy zjawił się niespodzianie Jaskotel, który polując do pustelnika wstąpił, a zobaczywszy, że nie ma na kogo, a ścierwo niedźwiedzie zdradzało, że walka się odbyła, za śladami do Modrza dotarł i tam dowiedziawszy się, co zaszło, żupana brzydko znieważył za udzielenie pomocy i jak stał do Poznania skoczył o przyjaciół się upomnieć. Gdy biskup żądaniu ich zwolnienia ostro odmówił, popędliwy jak zawsze Jaskotel nie tylko kłąć zaczął straszliwie na obecność czcigodnego pasterza nie zważając, lecz wprost zagroził, że weźmie ich siłą. Na to biskup z dworca wyświecić go kazał zagroziwszy klątwą, gdyby się ważył rękę podnieść w obronie oskarżonych.

Jaskotel jednak się ważył. Wtargnąwszy ze swymi i potłukłszy biskupich ludzi, drzwi więzienia przemocą wyłamał i zabrawszy więźniów umknął pomimo pościgu. Nie schwymano go, pogoń bowiem wysłana zarówno przez Nudoszę, jak i biskupa wróciła z niczym, a biskup, pewnie słusznie, mniemał, że pomoc nie była szczerą, skoro przestępcy ze środka miasta ujść dozwolono. Zaraz też Jaskotela wraz z całym domem klątwą obłożył, a teraz pewnie od księcia domagać się będzie schwymania i ukarania przestępców oraz ściągnięcia grzywien za pobicie ludzi.

Stosunki Mieszka z biskupem były poprawne, lecz chłodne. Przyznać musiał Mieszko, że Unger z dużym nakładem pracy, a umiejętniej od Jordana ustrój kościelny utwierdzał i duchowieństwo w ryzach trzymał. Ludzi pożytecznych wielu ściągnął za sobą do zagospodarowania kraju wielce się przyczyniając. Sprowadzał księgi i na miejscu je sporządzać kazał, trudu i kosztów nie żałując. Zimny był jednak i wyniosły, stanowisko swe na zachodni sposób pojmował i na księciu wymóc

potrafił określenie granic diecezji, praw Kościoła i własne sądownictwo.

Mieszka, który do innego obojścia i innych stosunków przywykł z Jordanem, drażniła zarówno wyniosłość biskupa, jak i to, że pod bokiem jego, który zwykł wszystkim rządzić wedle własnej woli i sam jeden prawo stanowić, powstała władza od niego niezależna i prawo, gdzie indziej mające swe źródło. Niemniej przyznanych biskupowi wyłączności przestrzegał uznając dodatnie strony działalności Ungera. Nie mógł zaś przed sobą zaprzeczyć, że biskup był w swoim prawie przed swój sąd ściągając duchownego o kościelne przestępstwo oskarżonego i żądając pomocy dla wymuszenia praw, które sam książę mu przyznał. Drażniło jednak Mieszka zarówno zachowanie Ungera, jak i to, że biskup, znając życzliwość księcia dla Jaskotelu, postawił sprawę na ostrzu i załatwienia jej do porozumienia z księciem nie odłożył. Teraz chcąc sprawę załagodzić Mieszko siebie wpieryw opanować musiał, dlatego czekał, aż się uspokoi zupełnie, po czym udał się do świetlicy. Gdy książę wszedł, duchowni powstali. Mieszko głową im skinął i zwracając się do Ungera siadać prosił i przedstawić, z czym przychodzi.

Unger rzeczowo i zgodnie z prawdą zaiście opowiedział, z całego jednak przemówienia przebijała zimna zawziętość przeciw Jaskotelowi, którego ukaranie uczynić widocznie pragnął odstrasającym przykładem dla innych, co by prawa kościelne naruszać, a osobę biskupa znieważać śmieli. Mieszko wraz pomiarkował, do czego Unger zmierza i choć burzył się w sobie, widział, że biskup wszystko postawić potrafi, byle swego dopiąć. Dlatego, by go ułagodzić, rzekł:

- Słuszne, by za wyrządzone szkody i pobicie pachołków, winowajca grzywny zapłacił. Ale wyznam, że i mojej trochę w tym jest winy, że Jaskotelowi dla jego własnych i ojca jego zasług, może nad miarę folgował. Za niego też zapłacę i osadę Zembocin z należnymi do niej łakami i borem, oraz osadzonymi niewolnikami, na wieczne czasy wam ofiarowuję. - I uśmiechając się z przymusem dodał: - Grzech zaś, jaki popełnił, myślę, że mu wybaczycie i klątwę zdjąć z niego zechcecie zważywszy, że człek ten miły mi jest i potrzebny, zarówno w pokoju jak i wojnie. Biskup, który do twardej przeprawy się gotował, ustępliwością księcia trochę był zaskoczony, wrodzona oschłość jednak i wygórowane poczucie swego stanowiska nie pozwoliły mu całkiem ustąpić. Nie chcąc jednak zaostrzać sprawy bez potrzeby, odparł:

- Skoro za przestępcę hojność wasza nagradza krzywdę, podziękować mi jeno przystoi. Klątwę z jego domu zaraz zdejmę, a i z niego, gdy boso, z powrozem na szyi pokutę uczyni i na kolanach wszem wobec, za obrazę Kościoła w mojej osobie przeprosi. Mieszkowi serce podniosło się do gardła. Przez chwilę patrzył na biskupa nieodgadzionym wzrokiem, po czym rzekł spokojnie, choć nieco ochryplym głosem:

- Dziękuję wam i za to. Rad będę zawsze do waszych próśb się przychylić, jako wy do mojej się przychylacie. To rzekłszy wstał i sztywno skinąwszy głową wyszedł. Powstali wszyscy kłaniając się, ale na nikogo nie spojrzali. Gdy wrócił do siebie, usiadł ciężko i jeszcze ciężiej się zadumał. Nadszedł zaraz szatny Przedwój Zaręba, by księciu pomóc zdjąć szaty uroczyste. Mieszko wstał z westchnieniem i rzekł jakby do siebie:

- Starzeję się.

Po raz pierwszy sam przyznał to przed sobą. Nie dlatego, że z wiekiem nawiedzać go zaczynały cierpienia, o które nie dbał, lub by opuszczała go sprawność cielesna, którą ruchliwym życiem i wewnętrzną siłą utrzymywał. Nie zawodził go też umysł, bystrzejszy i szerszy niż kiedykolwiek. Lecz opuszczała go pewność siebie i odporność na niepowodzenia. Dawniej zmiatał przed sobą wszelki opór, prawie o tym nie myśląc, jak wiatr plewę. Dzisiaj biskup żądania mu śmie stawiać, a prośbie

waży się odmówić. Kłótnik w gniewie wytrzebić kazał akwilejskiego patriarchę. Mieszko nie zwykł dać się ponosić gniewowi, ale Ungerowi to zakarbuje. Gryzło jednak księcia zuchwalstwo biskupa, tak że niemal chory się poczuł.

Siedział i rozmyślał ponuro. Wspomnił, że podobne, choć przelotne i ledwo uświadomione uczucie po raz pierwszy wywołał w nim Bolko, gdy nieposłuszeństwo zaczął okazywać. Nieoczekiwane rozdrażnienie Mieszka zwróciło się przeciw synowi. Spodziewał się jego oporu przeciw zamierzonemu małżeństwu. Nie zawaha się dać mu odczuć, kto tu jeszcze jest panem.

Długo siedział i dumał. Wstał wreszcie i skierował się do komnat Ody. Młodszy synowie jeszcze żadnych trosk mu nie przysparzali. Mieszko i Świętopełk razili go czasem w niemieckiej mowie się przekomarzając, choć bystra Oda baczyła, by przy ojcu słowiańskiego jeno używali języka. Najmłodszy natomiast Lambert, niemowlę prawie, najbardziej do ojca podobny i najbardziej do niego przywiązany, zawsze radośnie go witał dając księciu przeżyć uczucia, które ominęły go za młodu. Mieszko na chwilę zapomnieć chciał o zgryzocie.

Bawił się właśnie z Lambertem, gdy nadbiegł komornik z wiadomością, że nadjechali Bolko ze Stoigniewem. Mieszko odrzekł niechętnie, że gdy będzie chciał z nimi mówić, sam zawoła. Tymczasem przybyli, oddawszy konie do stajni, weszli do dworca i oporządziwszy się z drogi, spożywali posiłek w milczeniu, czekając na powrót komornika. Dopiero gdy służba wyszła, Stoigniew ozwał się do Bolka:

- Pamiętaj, cośmy mówili.

- Pamiętam - odparł Bolko - jeno czy nie zapomnę, gdy z ojcem mówić będę.

- Niczego z kniazem uporem nie wskórasz. Od sporów z rodzicem sił ci nie przybędzie, a z każdej z nim zadzierki korzysta kto inny. Usta Bolka, okryte już ciemnym puchem, zacięły się, gładkie czoło pod równo przyszyżoną grzywką przeorała zmarszczka gniewu.

- I ojcu zadzierki ze mną nie na korzyść wyjdą. Czemuż to ja mam jeno ustępować?! - burknął zawzięcie. - Oda to uknuła ten związek ze swą krewniaczką, by swoje stanowisko umocnić i zabezpieczyć swoim szczeniakom to, co po ojcu dla nich wydrzeć się spodziewa. Ale nie pomoże jej nic, odbiorę wszystko!

- Tym łatwiej, im mniej będziesz miał do odbierania - odparł Stoigniew. - Czy Oda swoje osiągnie, obaczymy. Bacz, byś ty swoje osiągnął. I pamiętaj, że wielu jest takich jak Jaskotel, co ci przeciw każdemu pomogą, byle nie przeciw ojcu. Miłują starego kniazia i boją się go.

Bolko zamyślił się, a Stoigniew ciągnął:

- Wiesz, jako z Odą ojciec się przeliczył. Żeby nie synowie, może by się nie utrzymała po upadku Dietricha. To samo może być z córką Rikdaga. Lepiej jeno, byś dzieci z nią nie miał. I z Kościołem łatwiej uładzić, i na przyszłość buntowników nie będzie, co by prawa sobie rościć mogli.

Bolko zaśmiał się gniewnie:

- Do małżeństwa mnie ojciec zmusić może, ale nie żebym z nią spał.

- Masz założyć rodzinę, wedle obyczaju dzielnicę ci kniaź winien wyznaczyć. Jeno spokojnie sprawę prowadź. Wybuchniesz, to przegrasz. A dzielnica ostanie, choćbyś żonę wygnał. Jeno niech się kniaź nie domyśli, do czego zmierzasz.

- Nauczyl mnie już nie pokazywać po sobie, co czuję - odparł Bolko.

- Pamiętaj! Nie byle kogo masz przeciw sobie. Oda raz jeno błąd popełniła z kniazem i to zaraz naprawić się starała. Kniaź niełacno zapomina.

- Wiem. Anija - odrzekł Bolko w zadumie. Milczeli chwilę, po czym myśl Bolka widno w inną

zwróciła się stronę, gdyż zapytał:

- A ciebie, jakoże myślisz, po co ojciec wzywa? Od wesela ni raz tu nie byłeś wzywany.

- Myślę, że wyśle mnie gdzieś z kraju. Zbrozło mówił, że kniaź nie wierzy już w Kłótnika. Tedy pewnikiem z cesarzową nawiązać będzie chciał rozmowy albo choć z daleka ją wybadać. A wysłać nie ma kogo, któremu mógłby zaufać, że go nie zdradzi przed czasem. Jeszcze Kłótnik przy władzy i młodego pana ma w ręku.

- Pewnikiem prawda. Dowiemy się niebawem.

Jakoż nazajutrz, koło południa wezwano Bolka do księcia. Nie widział syna dość dawno i nie mógł się oprzeć ojcowskiej dumie patrząc na dorodnego młodziana. Smukły był jeszcze po chłopięcemu, lecz bary miał już szerokie, a wzrostem ojca przenosił. Mieszkowi przeszło już wczorajsze rozdrażnienie. Powitał Bolka życzliwie. Niemiłe mu było, że syna do związku zmusić zamierza, który sam za potrzebny uważał, choć o niechęci Bolka był przekonany. By skrócić sprawę, rzekł bez wstępu:

- Margrafa Rikdaga prosiłem o rękę córy jego dla ciebie i chętnie przyzwolił. Urodna jest i młoda, nawet w piśmie kształcona, wywianowana będzie jak należy. A tobie czas żonę mieć i tę za najlepszą uznałem. Co myślisz o tym?

- Pewnie tak dobrze być musi, skoroście tak postanowili. A jeśli dziewczka godna jest, tedy i mnie pewnie nie ostawicie jak zwykłego woja na byle gródku lub kątem u siebie, bo i oprawę dać jej należy.

Mieszko zarazem rad był, że rzecz przeszła gładko, i niezbyt w szczerość zgody Bolka wierzył. Kochał tego syna, choć ciężyc mu zaczynał. Zarazem rad był i dumny, że na wielkiego męża zapowiada się wyrósć i bał się go dla młodszych. Czuł, że nie dojrzejają jeszcze, gdy jemu odejść przyjdzie, a nie dorównają nigdy pierworodnemu. Gdy patrząc na Bolka wspominał własną młodość i jej marzenia, które dążeniami w dojrzałym wieku się stały, zarazem chciał, by tego, czego on sam dokonać nie zdołał, dokonał ten syn, który zapowiadał się najlepiej. Widział, że zdolny jest podjąć jego dzieło, ale widział też, że ni młodszy jemu, ni on im nie będą braćmi, jak byli Mieszko ze Ściborem. Jeśli nie mają, wyzuci ze wszystkiego, oparcia u wrogów szukać, musi tak rozrzędzić dziedzictwem, by siły ich równe były. Ojcowska troska starego serca żadną miarą nie da się pogodzić z zamierzeniami, którym kwiat życia poświęcił.

Rozterka ta męczyła księcia. Widział, że miłości dla młodszych nie wymusi u tego syna, tak jak wymusić potrafił posłuszeństwo. Bolko już zamknął się w sobie. Będzie, co ma być. Mieszko westchnął:

- Ziemie Wiślan tobie przeznaczyłem. Nawykli już do ciebie, a ty do nich. Mnie samemu winien będziesz posłuszeństwo, zresztą jak kniaź będziesz rządzić.

Bolko do kolan ojcowych się pochylił dziękując. Książę łaskawie dłoń na głowie mu położył mówiąc:

- Pomnij, coś winien mnie i że dość sił potrzeba, by to, co nam odjęto, odebrać, a zdobytego nie stracić. Bolko jeno głową skinął nie odrzekłszy nic. Już ma przed oczyma zadanie swego życia, a dla jego urzeczywistnienia musi być panem całego dziedzictwa. Tym dziady i sam ojciec rośli, że gromadzili, a rozdrabniać nie dali.

Nie ustąpi starczej słabości dla znieawidzonej macochy i nie kochanych braci.

Nie dał jednak nic poznać po sobie i by odwrócić rozmowę, rzekł:

- Proszę jeszcze jedną miałbym do was.

- Słucham - rzekł Mieszko.

- O Jaskotela mi chodzi, by wrócić mógł do domu i na dwór.

Książę zmarszczył się. Nie chciał wyznać przed synem, że u biskupa zdjęcia ekskomuniki nie zdołał wyjednać. Ale widno coś na myśl mu przyszło, gdyż rozpogodził się:

- Widzę, że słusznie się domyślałem, iż się u ciebie przytaił. Ja tam na niego niegniewny, ale wyklętego przyjąć nie mogę, bobym potrzebną i z trudem zbudowaną powagę Kościoła zachwiał, a Unger żąda, by go Jaskotel boso i na kolanach przeproszał.

- Tego nie uczyni - rzekł rumieniąc się Bolko.

- I ja sobie tego nie życzę. Niech jedzie ze Stoigniewem. Rzym każdą klątwę zdjąć władny, jako pan całego Kościoła. Rad będę, jeśli Ungerowej pysze żer się wymknie.

- Żal będzie teraz Jaskotelowi od żony odjeżdżać, gdy mu się potomka dać spodziewa.

- Żal nie żal, a trzeba. Przyda się i Jaskotelowi pokuta, by się hamować nauczył.

- Za przyjaciółmi się jeno ujął - rzekł Bolko.

- Nie ja go też potępiłem. Miły mi taki, jaki jest i pewnie już inny nie będzie. Audunowa krew.

Nazajutrz rozjechali się przyjaciele. Bolko, z okazałym orszakiem pociągnął na Kalisz ku Krakowowi, by siedzibę przygotować, w rzeczy samej zaś z tą myślą, by ziemię czując pod nogami, zacząć siły zbierać, które niedługo już potrzebne być mogą. Stoigniew zaś zabierając po drodze w Śremie Jaskotela, pilnymi drogami pociągnął do słonecznej Italii, by przed wiosną stanąć z powrotem. Jeszcze stary książę orlim wzrokiem ogarniał zawiły splot kłębiących się spraw i samowładnie, pewną ręką, biegiem ich kierował, a już przyszli dziedzice gotowali się do walki, której wynik przesądzić miał, czy myśl Mieszkowa zgubi się w zamęcie przyziemnych, obcych interesów, czy też podjęta przez wielkiego następcę rozbłyśnie blaskiem, nie gasnącym przez wieki.

XXI

Pożegnanie

Przewidywania Mieszka okazały się trafne. Posłyszawszy o powstałym przeciw sobie związku, Kłótnik ze znacznymi siłami z Kwedlinburga do Werlu się udał, by czy to siłą, czy namową zbuntowanych uśmierzyć.

Bernard zaś, pozyskawszy sobie wszystkich biskupów i niektórych grafów w Bawarii, na łakach pod Bisinstidi stanął przeciw Henrykowi. Henryk widząc, że siły nieprzyjacielskie zbyt już urosły, by mógł się z nimi uporać, przyrzekł i zapewnił przysięgą, że w dniu 29 czerwca w Rarze młodego pana do rąk matki zwróci. Tak się też stało i choć Kłótnik, wiecześnie niespokojny dalej warcholił, przecie sen jego o koronie rozwiął się i Mieszko wielce był rad, że w porę z cesarzową nawiązał stosunki, a Stoigniewa, za którego mądrym pośrednictwem to nastąpiło, do łaski całkiem przywrócił wdzięcznie mu pamiętając przysługę.

* * *

Niemniej wdzięczny był Stoigniewowi Bolko za dobrą radę. Ślub jego z Gerburgą, córką Rikdaga odbył się wprawdzie w Gnieźnie wielce uroczystie, nie zdążyła jednak młoda pani nawet do Krakowa wyruszyć, gdy przyszła wieść o śmierci jej ojca. Margrafem Miśni został Ekkehard, brat Guncelina, mąż wielce poważany, a Mieszkowi przyjazny i Bolkowe małżeństwo stało się bezcelowe. Nietrudno mu było odesłanie niepożądanego małżonka uzyskać, mimo sprzeciwu Ody, która bronić usiłowała swojaczki. Od siostry bowiem Mieszkowej przybyli posłańcy, swatając Bolkowi

krewniaczkę Gejzy, przez co Mieszko na południu mógł się umocnić i morawskie zdobycze zabezpieczyć.

Swaty te zjechały się z innymi. Od szwedzkiego Eryka przyszło poselstwo z prośbą o rękę Świętosławy. Miał ci wprawdzie Eryk lat pięćdziesiąt, a Świętosława dopiero szesnaście skończyła, lecz mąż był w pełni sił, chytry i mężny, w wojnach szczęśliwy. Nie darmo go zwano Sageresell, czyli Zwycięski. Mieszko już dał przychylną odpowiedź i Poznań wrzał od uczt na cześć gości, kipiał przygotowaniami do nowego Bolkowego wesela i godnych zdawin Świętosławy, a roił się od posłów, gości, przyjezdnych kupców i szpiegów.

Wiść o zamierzonym małżeństwie Eryka poruszyła wrogiemu Mieszkowi Haralda. Ujście Odry z Jomsborgiem, na którym siedział również Mieszkowi nieprzychylny dziewierz Sinozębego, a bratanek samego Eryka po Olafie - Styrbjörn, kością niezgody było między obu władcami. Ustawiczne wrzenie weleckich i obodryckich plemion, w duńskiej pomocy i poduszczeniach miało swe źródło, a stanowiło podporę czeskich roszczeń i współzawodnictwa, zarówno na południu jak i na północy. Mieszko przeciąć postanowił, raz na zawsze, niebezpieczne dla siebie związki, udzielając z jednej strony pomocy cesarzowej przeciw uciążliwym poganom, z drugiej rzucając wpływ swój na szalę rozgrywki między Danią a Szwecją, który z tych krajów urzeczywistnić ma pod swym berłem zjednoczenie skandynawskich narodów. Chytry Harald, zajęty zdobyczami w Anglii chciał Styrbjorna na szwedzkim tronie osadzić, zamierzone jednak małżeństwo Eryka, groziło udaremieniem jego planów i dlatego postanowił do niego nie dopuścić.

Mieszko zaś śpieszył się i ponaglał przygotowania, tym bardziej że się na wielkanocny zjazd do Kwedlinburga wybierał. Uprosiła jednak Świętosława, by jej przed wyjazdem grób matki w Gnieźnie pozwolił pożegnać. Choć śmiała, żadna nowość, a od dziecka świadoma, iż małżeństwo jej wzmocnić ma kiedyś ojcowe stanowisko, przecie gdy jej miłe miejsca i ludzi żegnać przyszło, ucisk jakiś czuła w sercu, a może i nie wyznana przed samą sobą trwogę, że życie jej wśród gromów wojennych zaczynać przychodzi, czyniąc jej dolę niepewną jeszcze nim się zaczęła. Czuła też potrzebę wywnętrzenia się przed kimś, z radością więc przyjęła oświadczenie Bolka, że do Gniezna z nią pojedzie. Miłowali się zawsze, a od czasu, gdy przez macochę odsunęła się od ojca, jedynym był, przed którym szczerze otworzyć mogła serce.

W mglisty, marcowy poranek stał tedy Bolko gotów do drogi. Pachołek, który miał im towarzyszyć, trzymał ulubionego Bolkowego ogiera karej maści i mlecznobiałą klacz, którą Świętosławie wraz z innymi darami przysłał szwedzki oblubieniec. Bolkowy ogier niepokoił się, rżał i przysiadał, iż ledwo go mógł pachołek utrzymać.

Świętosława przybrana w krótką szatę podróżną, wyszła żegnana przez Boguchę, która z niepokojem zalecała ostrożność w zażywaniu nieznaney, młodej klaczy.

- Całe życie człek na nieznanym koniu jeździ, najważniejsze nie lękać się - odparła dziewczyna.

Uśmiechnęła się do brata, który z pomocą przy wsiadaniu jej pośpieszył i nie korzystając z niej wskoczyła lekko w siodło z miejsca klacz kolanami pobudzając do biegu. Wypadli na puste z powodu wczesnej pory ulice, jeszcze konie wstrzymując, lecz gdy jeno znaleźli się na otwartym gościńcu, Świętosława wypuściła klacz w pęd największy i gnali, jeno wyło im w uszach powietrze, a grudy wilgotnej ziemi śmigwały, wyrzucane kopytami. Pachołek został w tyle, że go i widać nie było, a oni pędzili, jakby od szybkości życie ich zależało. Choć Bolko był jeźdźcem doskonałym, lecz cięższym będąc i konia już niemłodego mając pod sobą, przyzostawać zaczął, wreszcie ściągnął chrapiącego już z wysiłku i spienionego rumaka, a Świętosława zniknęła mu z oczu za zakrętem

drogi.

Mgła tymczasem opadła i słońce przyświecać zaczęło, aż oczyściło się całkowicie i kraj poweselał. Zabłyły kałuże, stawki i strumyki po niedawno zesłym śniegu, zazłociły się pierwsze, nieśmiałe pąki. Wśród nagich jeszcze gałęzi kręciło się ptactwo, radosnymi głosami witając pierwszy wiosenny dzień. Gdy Bolko minął zakręt, ujrzał z dala, na szarym tle lasu świecąca, białą plamę, jaką odcinała się stojąca przy drodze klacz Świętosławy.

Popędził konia i podjechawszy spostrzegł, że siostra z kimś rozmawia.

Młoda, zbiedzona, choć dostatnio odziana kobieta siedziała na obalonym pniu. Na rękę trzymała może dwuletniego, pięknego jak obrazek, chłopaka, który widocznie zwrócił uwagę Świętosławy. Dziecko spało znużone. Złote, bujne kędziory opadały mu na przymknięte oczy, o błękitnawych, delikatnych powiekach i długich rzęsach. W rozchylonych ustach świeciły drobne i białe zęby. Gdy Bolko się zbliżał, Świętosława właśnie wzięła na ręce dziecko, które kobieta podała jakby z lekkim wahaniem. Dziecko zbudziło się mrużąc szare oczy od blasku i uśmiechnęło się do Świętosławy, która oddała mu uśmiech. Na widok Bolka twarz jej jednak ścięła się, gdy podnosząc chłopca ku niemu zawołała:

- Temu małemu ojca zabrali, pomoc musimy!

Kobieta ręce złożyła jak do modlitwy patrząc na Bolka, ten zaś zapytał, co zaszło.

Mąż jej był ostatnim z liczego niegdyś rodu, który opodal Gniezna od wieków siedział na wspólnocie. Dobrze było, aż po śmierci dziada Uniewita spory wybuchły. Synowie Miłowit i Płastek pobili się na śmierć, a że każdy synów już miał dorosłych, zwada wszczęła się powszechna, która się zatrąta i rozbiciem skończyła. Kto nie zginął, wyniósł się i opustoszało opole, ostał jeno jeden Mieloch, który ziemi porzucić nie chciał i wzięwszy żonę, córę dziedzica spod Kruszwicy, co się dało, uładził i nadzieję miał ród odbudować.

Zawzięty był w pracy i wiodło mu się nieźle, gdy księżę opustoszałą ziemię, którą bór na nowo porastać zaczął, uprawą wraz z innymi nowej księżnej wyznaczył.

Ziemi Mieloch dość miał dla siebie pod uprawę i nie o to szło, a nawet na rękę mu było, że księżna niewolnych w okolicy obsadziła, gdyż nie brakło między nimi biegłych rzemieślników, od których na wymianę potrzebne w gospodarstwie rzeczy otrzymać było można; jeno że włodarz księżny pożytków z lasu i wód zabraniał, z których ród korzystał od wieków. Gdy się Mieloch pociął z nim o to, włodarz jął go prześladować, powinności wymagając jak od niewolnego. Żona obawiając się namawiała, by ziemię porzucić i choćby na łazęgę iść, ale Mieloch zuchwał i do ziemi przywiązany, zaciął się. Powinności odmówił, a gdy go włodarz z pachołkami naszedł, do broni się wziął i ciężko jednego z pachołków poranił, nim go ujęto i związanego powleczono do Poznania. Żona rzuciła wszystko i jak stała, dziecko jeno porwawszy, za nim biegała nadzieję żywiąc, że go wybłągać zdoła.

Bolko słuchał z namarszczoną brwią, a gdy Świętosława o pomoc dla dziecka i matki prosiła, rzekł:

- Jeśli Mieloch świadkami prawo swe wykaże i jako wolny przed kniazia sądem stanie, grzywny za pobicie najwyżej zapłaci. Gorzej gdyby go, jako niewolnego księżnej, włodarz sądził.

- A skądże nam wziąć przysiężników, kiedy sami siedzimy - zawołała wybuchając płaczem kobieta. - Włodarz się zaklął, iż świadków stawi, że my niewolni.

Świętosława, z pąsem na twarzy, zawołała:

- Ja wierzę, że prawdę mówi. Pomóc jej musimy. - Oczy dziewczyny płonęły, pierś poruszała się

szybkim oddechem z gniewu i podniecenia. Nieznana kobieta do kolan się jej rzuciła dziękując i błogosławiąc. Bolko jednak przerwał:

- Teraz jechać musimy do Gniezna. Obaczmy, co się da zrobić. Niech Mrociec niewiastę do Poznania zabierze, obędziemy się bez niego. Jutro na wieczór wrócimy, czas będzie pomyśleć o sprawie. Poczekali, aż nadciągnął pachołek i zleciwszy mu niewiastę dosiedli koni i ruszyli do Gniezna.

Świętosława, losem kobiety i dziecka widno przejęta, mało się odzywała, a i Bolko nie wszczynął rozmowy, przygnębiony i o przyszły los siostry niespokojny. Żal mu było rozstawać się z nią, być może na zawsze. Jej życzliwość i zrozumienie nieraz były mu pociechą, a od czasu drugiego małżeństwa ojca, wspólna troska zbliżyła ich bardziej jeszcze.

Zajechali do Gniezna z południa i zostawiwszy konie na podgrodziu szli prosto do kościoła, który krył grób Dobrawki. U wejścia już drogę im zabiegł żupan Grzymisław, który po ojcu godność tę odziedziczył i na gród zapraszał, na posiłek i spoczynek, od zabudowań zaś kościelnych biegał gospodarz świątyni, archidiakon Mikul, człek młody, po świecku ubrany i towarzyszyć się młodym państwu ofiarowywał.

- Sami z bratem przy grobie matki chcemy pozostać - odparła Świętosława. - Później nie omieszkamy ni was odwiedzić, ni z gościny żupana skorzystać. - I ująwszy Bolka za rękę weszła do kościoła.

Wnętrze było mroczne. Zimowy jeszcze chłód wiał od kamiennej posadzki. Przyciszając kroki, rozchodzące się echem po pustym kościele, szła Świętosława prosto przed główny ołtarz, kędy pod płytą kamienną zwłoki jej matki spoczywały. Uklękła przy grobie i usta jej poruszać się zaczęły modlitwą. Po chwili twarz ukryła w dłoniach.

Bolko odmówił pacierze, których matka go jeszcze uczyła, i wstał. Patrzył na pochyloną, jasną głowę siostry, która klęczała długo, jakby w modlitwie czy wspomnieniach zatopiona. Na dworze wiatr się znowu ruszył, szumiał w bezlistnych gałęziach drzew pędząc ciemne chmury śniegowe. Zmierzchnął słoneczny dzień, a w świątyni uczyniło się niemal ciemno, jeno jasna głowa Świętosławy majaczyła w mroku.

Bolko wiedział, że nie jest szczęśliwa, choć nie żaliła się nigdy. Kochała matkę całą swą bujną i wybuchową naturą. Gdy ją straciła przedwcześnie, uczucie swe przelała na równie osamotnionego i nie zdradzającego się z bólem ojca, którego rozumiała, będąc równie jak on dumna i skryta. Oddzieliła ją od niego macocha, teraz jeszcze brata ma stracić przez rozłąkę i iść na niepewne losy, między obcych, w zaraniu swych lat zostać żoną starego człowieka, którego na oczy nie widziała, przy tym ustawicznie wojną zajętego, w kraju, którego nie знаła, między ludźmi, których mowy nie rozumiała. Ciężki jest los księżniczek! Prędzej czy później czeka je małżeństwo z obcym władcą. Bolko czuł się bezsilny. Rozzalił się nad siostrą.

A czy sam jest szczęśliwy? Czy matka była szczęśliwa, czy jest nim ojciec? Czy daje szczęście ta władza, za którą wszyscy walczą nieustannie, od dzieciństwa niemal aż do zgonu? I która wymyka się z ręki, gdy dłoń jeno słabnąć zaczyna. A jednak czuł, że gdyby ofiarowano mu wszystko, co mali ludzie szczęściem zowią, nie potrafiłby się wyrzec swej żądy i dążeń do władzy. Tu wspomniawszy spotkaną w drodze kobietę i zdało mu się, że zrozumiał: oni odpowiadać winni za spokój i szczęście tych, nad którymi sprawują władzę, dbać, aby im wymierzana była sprawiedliwość. Postanowił w tej chwili, że ochroni dziecko i kobietę przed krzywdą. Wierzył, że Świętosława wyczuła prawdę, i to odziedziczyła po ojcu. Nigdy nie słyszał, by się ktoś na niesprawiedliwość ze strony ojca poskarżył.

Był surowy, czasem srogi, lecz bez winy nie ukarał nikogo. Jeśli tylko Mieloch przed nim stanie, jak należy, nie ma się co lękać o niego.

Wyszedł przed kościół i czekał na siostrę patrząc na grube płaty śniegu, jakie niosła marcowa wichura. Chmury pobieły jednak i na zachodzie świecił zrazu wąski pas błękitu, rozszerzając się jednak z każdą chwilą.

Po chwili Świętosława stanęła przy nim. Oczy z lekka zaczerwienione przecierała mrużąc je jakby od blasku.

Patrzył na nią wzruszony i rzekł:

- Myślałem o tej niewieście, którąśmy spotkali. Przrzekam ci, że jej się krzywda nie stanie, może jej błogosławieństwo da ci szczęście w nowym kraju.

Zaśmiała się jakby szlochem i ręce mu zarzucając na szyję zawołała:

- Nie po szczęście jadę, ale wdzięcznam ci, żeś o tym pomyślał. - I odwróciła twarz, by nie widział, że łzy jej stały w oczach.

XXII

Krwawa wróżba

Nazajutrz ku wieczorowi już się miało, gdy Bolko ze Świętosławą dojeżdżali do Poznania. Chmurny dzień rozjaśnił się pod wieczór i słońce zachodziło spokojnie i pogodnie. Nastrój ten zdał się udzielać Świętosławie, gdyż milcząca przez całą drogę, rozgadała się pod koniec. Wspomnienia dzieciństwa, dawniej znanych ludzi i minionych zdarzeń rzucali sobie wzajemnie, jakby chcąc raz jeszcze przejrzeć wspólnie przebytą drogę, zanim się rozejdą. Wjechali w ruchliwe, miejscami zatłumione ulice i w podworcach oddali służbie konie. Bolko wszedł do swych komnat, przybrać się na ucztę pożegnalną, jaką książę dla obcych posłów i dziewosłębów wieczorem zamierzał wyprawić. Nazajutrz rozjeżdżali się wszyscy, gdyż i Mieszko na zjazd do Kwedlinburga miał wyruszyć. Bolko ukończył właśnie przybranie i przypinał miecz na pozłocistym pasie, gdy w przyległej sieni rozległy się szybkie kroki i wpadła Świętosława. Była jeszcze w podróżnym stroju, twarz miała bladą, oczy lśniły gniewem i żalem. Zdyszonym głosem zawołała:

- Powiesili Mielocha!

Bolko stanął jak skamieniały. Błyskawicą przemknęły mu przez myśl wczorajsze rozważania, przyrzeczenia dane siostrze i przesadne nadzieje, jakie łączył dla niej z błogosławieństwem dobrego uczynku. Wszystko to rozsypało się w popiół, i gniew owładnął nim tak straszny, że włosy zjeżyły mu się na głowie. Przez chwilę stał, daremnie usiłując dobyć głosu ze ściśniętego gardła. Klasnął w dłonie i gdy wpadł służebny pacholek, stłumionym, nieswoim głosem nakazał:

- Włodarza księżnej sprowadzić natychmiast!

Było coś w jego głosie, że pacholek wypadł jak z procy i uczyniła się cisza. Bolko i Świętosława stali, nie wiedząc co rzec do siebie, nie patrząc sobie w oczy. Bolko czuł, jak z szumem tętni mu w głowie krew, jakby odmierzając czas nieznośnego czekania. Wreszcie rozległy się kroki i w drzwiach zjawił się pacholek oznajmiając przybycie wezwanego.

- Wprowadzić! - rzucił Bolko ochryple.

Włodarz Gerhard czuł, że święci się coś niedobrego, lecz wszedł nadrabiając miną, pewny poparcia swej pani. Domyślał się nawet przyczyny wezwania, gdyż przez Mroćca wiadomym było, że żona Mielocha młodych spotkała w drodze i o pomoc prosiła. Dlatego też szybko się z nim uwinął

przedstawiwszy Odzie, że ten złym przykładem innych do oporu pobudzić może, a gdyby przed książęcy sąd się dostał, gotów wyjść bezkarnie, zwłaszcza, gdy poprą go młodzi państwo. Znał popędliwość młodego księcia, lecz wiedział, że prawo kary nad nim mu nie służy, przed Mieszkiem zaś zasłoni się rozkazem księżnej. Dlatego choć oblatywał go niepokój, twarz starał się zachować zimną i gotował się do obrony, zuchwalstwem myśląc niepewność nadrobić.

Nie zdążył jednak powiedzieć ni słowa. Bolkowi na jego widok czerwone płaty zamigotały przed oczyma z wściekłości. Ciężkim krokiem postąpił ku włodarzowi, który starał się stać spokojnie. Dopiero gdy Bolko otarł się niemal o jego pierś, odstąpił o krok, po to jeno, by ujrzeć błysk miecza, który spadł mu na czaszkę. Zwalił się jak łachman, bluzgając krwią i mózgiem, pod same stopy Świętosławy.

Nie cofnęła się. Na bladej jej twarzy ukazał się wymuszony uśmiech. W nagłej ciszy, jaka zaległa po stuku upadającego ciała, wyraźnie zabrzmiał jej szept:

- To dla mnie wróżba na drogę.

Odwróciła się i wyszła.

Bolko stał przez chwilę, po czym, rzuciwszy miecz, wybiegł za nią. Pachołek ostał sam z zabitym. Pokiwał głową i wyszedł. Po chwili wrócił z drugim i dźwignąwszy ciało wynieśli je. Oda kończyła właśnie przybierać się na ucztę wieczorną. W zamyśleniu spoglądała w zwierciadło z polerowanego srebra. Lata i kilkakrotne macierzyństwo przygasiły już krasę jej lic, jeno oczy pozostały te same, wielkie, przejrzyste i tajemnicze. Patrząc myślała o wyjeździe Świętosławy. Z chęcią pozbywała się znieawidzonej pasierbicy, której obecność drażniła ją i niepokoiła. Teraz, gdy już wyjechać miała, Oda wiecześnie zajęta myślą o przyszłości rozważała, czy korzyść jej ten wyjazd przyniesie, czy stratę.

Gdyby od niej zależało, wydałaby dziewczynę za niemieckiego grafa czy księcia, najchętniej z własnej rodziny. Wtedy mogłaby żyć spokojnie, że pasierbica już na losie jej synów nie zaważy. A tak małżonką ma zostać potężnego, obcego, starego króla; na szalę Bolkową może kiedyś rzucić swój wpływ przez męża, którym zawładnąć potrafi, jak ona sama zawładnęła Mieszkiem. Czy zawładnęła? Mieszko nawet jej nie zapytał o zdanie w sprawie małżeństwa córki. Bez niej również postanowił węgierskie małżeństwo syna. Minał już czas, gdy umiała wydobyć zeń jego zamiary, gdy wysłuchiwał jej zdania i chęciom starał się dogodzić. Nic dziwnego; postarzał się i ochłódł. Szczęście jeszcze, że serce ma dla jej dzieci. Na tym Oda buduje, że zdoła zabezpieczyć swą władzę, na wypadek, gdyby Mieszko nie dożył do czasu, gdy imiennik jego mężem się stanie, zdolnym pierworodnemu się przeciw stawić. Troska nurtowała Odę, lecz twarz miała nieprzeniknioną. Byłby sposób pozbyć się pasierba, ale chybione próby przestrzegały Odę przed pochopnym działaniem. Mniej niebezpiecznie kropla po kropli ojca do niego zniechęcać, choć i tu ostrożność wielką i umiejętność stosować należy. Mieszko o pierworodnym z nią nie rozmawia, ani słuchać nie chce; innym to powierzyć należy. Rozmyślenia Ody przerwała Gerburga. Wpadła do komnaty jak ściągana i nie widząc ostrego spojrzenia, jakie Oda skierowała na nią, krzyknęła:

- Książ Bolko zabił Gerharda!

Oda uczyniła ruch jakby powstać chciała, lecz opanowała się zaraz:

- Opowiedz, jak było - zapytała prawie spokojnie.

Z zaciśniętymi ustami i zmarszczoną brwią wysłuchiwała opowieści, po czym raz jeszcze spojrzawszy w zwierciadło rzekła:

- Pójdź obaczyć, czy książ jest jeszcze u siebie i wracaj zaraz.

Dopiero gdy Gerburga wyszła, Oda dała folgę złości. Biegała po komnacie gryząc knykcie. Tym razem musi otrzymać zadośćuczynienie; jeśli nie, sama je sobie weźmie.

Rozum jej jednak szeptał, że gniewem nic nie wskóra. Usiadła, usiłując się uspokoić i czekała na powrót Gerburgi; gdy wróciła z oznajmieniem, że księżę jeszcze nie wyszedł, Oda wstała i skierowała swe kroki do komnat Mieszka.

* * *

Tymczasem w głównej świetlicy zapalano już światła i coraz wzmagający się gwar wskazywał, że zaproszeni goście schodzić się zaczęli.

Mieszko, przybrany już do wyjścia, rozmawiał z Mszczujem i Stoigniewem, z których pierwszy orszak księcia do Kwedlinburga miał prowadzić, drugi odwieźć Świętosławę do Kamienia, skąd odebrać ją mieli dziewczosłąby Eryka. Wszedł komornik oznajmiając przybycie córy.

Mieszko zaraz obecnych odprawił, chcąc sam na sam pożegnać się jeszcze z dziewczyną. Rad był, że przyszła. Kochał ją zawsze, choć od przybycia Ody coś legło między nimi, co przytłumiło dawną szczerość ich stosunków, a czego oboje skryci i dumni usunąć nie umieli. Dziś, po raz ostatni widzieć się mają, bez świadków. Mieszko żywił nadzieję, że serca sobie otworzą i Świętosława z uczuciem dawnej bliskości odjedzie w nieznaną świat, na niepewne losy. Serce ojca cierpiało nad postanowieniem władcy i obawiał się, czy córka żalu do niego nie żywi. Widocznie nie, skoro przyszła.

Toteż gdy weszła, postąpił jej naprzeciw i przygarniając ją serdecznym ruchem, podprowadził do wyścielanej ławy i posadziwszy ją, sam usiadł naprzeciw i spojrzał na dziewczynę. Nie patrzyła mu w oczy. Błada była i uśmiechnęła się nieswojo. Sądząc, że nurtuje ją żal i niepokój przed nieznanym, przystąpił do niej i odgarniając pieścizotliwie opadające jej na czoło jasne włosy, rzekł:

- Dobrze, żeś przyszła. Nie wiem, czy się jeszcze kiedy w życiu obaczymy, a zawsze w moim sercu poczesne miałaś miejsce, choć nie zawsze umiałem to okazać. Wspomnij i ty czasem, jak dobrze nam ze sobą bywało. - W głosie Mieszka brzmiało wzruszenie.

- Wspomnę, ojcze - rzekła półgłosem nie podnosząc oczu.

Zamilkli. Niezręcznie im jakoś było. Wreszcie księżę, by coś rzec, zapytał:

- Może prośbę jeszcze jaką masz do mnie? Staralem się, by ci niczego nie brakło, ale może jeszcze czego pragniesz? Szat, klejnotów czy pieniędzy, nie odmówię niczego.

- Dzięki wam, ojcze. Jeśli prosić mi wolno, wdowę po straconym Mielochu wraz z synkiem zabrać bym chciała ze sobą. Sieroty są, bez nikogo. Niech wyrzut nie idzie za mną, żem ich mimo przyrzeczenia od nieszczęścia nie zdołała uchronić. Książę spojrzał na nią zdziwiony i dopytywać zaczął. Mówiła niby spokojnie, lecz znając ją widział, że żal i gniew hamuje. W miarę jak opowiadała, brwi księcia marszczyły się, i w nim wzbierał gniew. Świętosława spod długiej sukni z połocistego materiału wysunęła nóżkę obutą w ciżemkę z czerwonej skóry i patrzyła na widniejące na niej ciemne plamy. Gdy skończyła mówić, księżę rzekł:

- Bierz ich, jeśli chcesz. Mogliby i ostać. Życia Mielochowi nie zwrócę, ale sieroty ochronić i zaopatrzyć, a winowajcę ukarać potrafię.

Zaśmiała się nieswojo i odparła:

- I tego nie potraficie.

Gdy spojrzał na nią zdziwiony, dodała:

- Bolko zabił Gerharda.

Mieszko chciał coś rzec, gdy nagle otworzyły się drzwi i niespodzianie weszła Oda. Ujrawszy

księcia z córką, cofnąć się chciała, lecz Mieszko wstał mówiąc:

- Wejdźcie, skoroście już przyszli. Myślę, że coś pilnego i ważnego was sprowadza, skoro zapowiedzieć przybycia czasu nie stało.

Oda przybrała dumny i obojętny wyraz twarzy. Podeszła bez wahania i siadając powiedziała:

- Myślę, że to samo co Świętosławę. Wiecie już zapewne, że Bolko bez sądu i sprawienia, pod waszym bokiem zabił sługę mego. Obraził mnie i was. Żądać chciałam sprawiedliwości i zadośćuczynienia, jeśli nie za późno przychodzę.

Świętosława wstała, chcąc wyjść, lecz księżę rozkazał:

- Ostań! Mówić jeszcze chciałem z tobą, a tę sprawę krótko załatwię.

Zwracając się zaś do Ody rzekł:

- Nie macie czego żałować, sąd jeno Gerharda ominął. Sam bym go stracić kazał.

- Widzę, że sąd się odbył - rzuciła zuchwale - a za świadków sama Świętosława starczyła.

- Starczyła, bo nie okłamała mię nigdy - rzekł zimno Mieszko.

- Ale nie wie wszystkiego -, odparła drwiąco. - Ja to kazałam powiesić Mielocha, za bunt i podniesienie ręki na moje sługi. Czy wiedząc o tym kazalibyście stracić Gerharda?

- Was nie mógłbym kazać stracić - odparł Mieszko.

Wytrzymał jej wzrok pałacy. Po chwili Oda uśmiechnęła się z przymusem, mówiąc:

- Starzejecie się. Bolko się wam rządzi bezkarnie, a córa za nos wodzi. Jeno patrzeć, jak inni to robić zaczęli. - Nie czekając na odpowiedź odwróciła się i wyszła.

Po wyjściu Ody księżę siedział zasepiony. Świętosława wstała i obejmując ojca za szyję rzekła przymilnie:

- Dziękuję wam za te sieroty i za Bolka. Martwiłabym się, gdyby znowu w niełasce miał ostać.

- Bolko jeszcze ode mnie o tej sprawie usłyszy. Niedobrze, by ten, kto władzę ma sprawować, gniewem się dał ponosić. Ja nigdy w gniewie nie zabiłem nikogo.

- Darujcie mu, bo przeze mnie to poszło. Chciał, by mi dobre życzenia towarzyszyły w drodze, tymczasem płacz sieroty za mną pójdzie, i krew - dodała szeptem.

- Dobrze, córuchno - rzekł Mieszko miękko. - No, idź już, goście czekają. I ja tam zaraz przyjdę.

Uściskali się jak ongiś; ostatni uścisk ludzi, którzy rozstają się na zawsze, a byli sobie bardzo bliscy.

Świętosława szła szybko do świetlicy. Gdy mijała komnaty Ody, macocha właśnie wychodziła na ucztę w towarzystwie swych niewiast. Świętosława zatrzymała się, by ją przepuścić, i stanęły naprzeciw siebie.

Oda uśmiechnęła się zimno:

- Teraz my swobodniej pożegnać się możemy. Niech ci w życiu towarzyszy ta krew, niewinnie a bezkarnie rozlana. Jedź na przepadłe.

Świętosława spojrzała dumnie na macochę i odparła:

- Nie boję się takiej krwi, ciżmy mi jeno zabrudziła.

A wrócę tu, ujrzeć, jak was wygnają.

Z podniesioną głową minęła bladą z gniewu Odę i weszła do świetlicy.

* * *

Proroctwa nienawiści obu kobiet spełnić się miały. Miast pieśni weselnych Świętosława wkrótce słuchała z murów Upsali wrzawy bitewnej w walce przyszłego męża z bratankiem Styrbjórnem, w walce, która rozstrzygnąć miała, czy zostanie królową Szwecji, czy skończy młode

życie pod mieczem zwycięzcy, który małżeństwu jej, mającemu umocnić obu wrogów, Mieszka i Eryka, starał się przeszkodzić; walki na śmierć i życie, bo Styrbjörn nie miał powrotu.

Zaledwie bowiem z drużyną opuścił Jomsborg, Mieszko podsunął wojska, zagrażając warowni i odcinając odwrót. Zrąbał tedy Styrbjörn statki, którymi przybył do Szwecji, i ruszył na Upsalę. Na polach Fyrejskich stanęły wojska przeciw sobie, równe siłą, uzbrojeniem i męstwem. Bogowie mieli rozstrzygnąć, komu przypadnie zwycięstwo. Ofiarował się Styrbjörn Thorowi, Eryk zaś pod Odyna uciekł się opiece, ślubując życie swe oddać po dziesięciu latach. Z dumnym uśmiechem patrzyła Świętosława, jak ważyły się jej losy. Odyn zwyciężył i Styrbjörn ciało swe zostawił ziemi, której chciał panować.

Spędziła Świętosława dziesięć lat na tronie szwedzkim, aż nadszedł zrok zapłaty za zwycięstwo i Odyn zgłosił się po duszę Eryka. Wdową wróciła do brata zostawiając w Szwecji syna, przyszłego króla, Olafa Skótkonunga. Zdążyła zobaczyć, jak Bolko wygnał Odę wraz z jej pokoleniem.

Los i nadal nie szczędził jej wyniesień i upadków, pozostała jednak zawsze wierna swej miłości siostrzanej i wierna samej sobie. Wierna też już została północy, choć kilkakroć wracała do kraju swego dzieciństwa.

Zaręczona z Olafem Trygwasonem, po zerwaniu zaręczyn wyszła za Swena Widłobrodego, by doprowadzić do potrzebnego bratu przymierza. Szlachetna gałązka Piastowego szczepu, przeniesiona na północ, wydała najpotężniejszego jej władcę, pana trzech królestw, Kanuta Wielkiego. Północ też przechowała jej pamięć i w sagach uwieczniła burzliwe dzieje jej żywota. Jeno że trudno było wymówić słowiańskie imię Świętosławy, nazwano ją takim, jakie usprawiedliwiła we wszystkich okolicznościach swego życia:

Storrady, czyli Dumnej.

XXIII

Posiew nieufności

Z kwedlinburskiego zjazdu wrócił Mieszko znużony, lecz z nadzieją wypoczynku. Bodaj po raz pierwszy w życiu spokojnie patrzył na ujście Odry, dla którego poniósł tyle ofiar i wysiłków. Zadowolony był z przebiegu zjazdu i jego wyników, zapewniających mu ze strony mądrej Teofano, matki opiekunki młodocianego Ottona przyjaźń, która trwała być obiecywała.

Wiedział Mieszko, że także u cesarzowej, przeciw której do niedawna występował wraz z Kłótnikiem, przyjaźń ta z potrzeby wypływa, niemniej obustronne korzyści były widoczne. Bawarczyk był na zjeździe i pełnił służbę jako podstoli przy młodym królu. Nie ufała jednak cesarzowa warchołowi. Ustawiczne walki możnowładców zamęt wprowadzały w kraj, stare współzawodnictwo między Bawarami a Sasami nie przycichło, a zazdrość o wpływy Bernarda i jego stronników sprawiała, że nawet sascy margrafowie północni występowali przeciw niemu. Luty i Obodrycy raz po raz niecili niepokoje na północy kraju, w oparciu o Danię, a zarówno im, jak i Kłótnikowi sprzyjał Bolesław czeski, pomagając Bawarczykowi wypierać z Miśni Ekkeharda i wspomagając pogan, przez których miał nadzieję uzyskać dostęp do morza. Wszystko to zmuszało cesarzową do szukania sprzymierzeńca, zarówno dość potężnego, aby pomoc jego była skuteczna, jak i zagrożonego przez te same niebezpieczeństwa, aby była szczerą.

Takim był właśnie Mieszko i wiedział, że jest potrzebny. Nie przeszkodziła porozumieniu jego niechęć do Niemców i wrogie stosunki ze zmarłym cesarzem ni poparcie, jakiego początkowo

udzielał buntownikowi. Wykształcona i o szerokim umyśle, córka, żona i matka cesarzy, w wielu rozmowach, jakie przeprowadziła z Mieszkiem, przekonała się, że w sprawach państwa nie daje się on ponosić uczuciom, lecz zimno i trafnie oblicza i wie, że cesarzowa w istniejącym układzie sił nie może sobie pozwolić na urzeczywistnienie zdobywczych planów poprzodników syna i zadowoli się zapewnieniem mu stanowiska świeckiej głowy chrześcijańskiej społeczności, które Mieszko uznawał.

Gdy zaś cesarzowa widziała wzajemne trudności i niebezpieczeństwa grożące polańskiemu księciu, porozumienie bez trudu doszło do skutku. Mieszko złożył dawno nie płacony trybut z przyodrzańskiego Pomorza, przez co za księcia Rzeszy został uznany, zyskując tym samym wpływ na wewnętrzne sprawy Niemiec. Zapewnił też sobie pomoc przeciw Pobożnemu, który nie taił, iż nie wyrzeka się swych morawskich roszczeń ni wpływów nad Odrą. W zamian przyrzekł Mieszko pomoc przeciw Lutykom, których inaczej sam zwalczać by musiał i złożywszy bogate podarunki, a wśród nich wielbłąda, budzącego powszechny podziw, wzajemnie obdarzony wyruszył z powrotem do kraju.

W Poznaniu też wieści zastał pomyślne. Wynik walki Eryka ze Styrbjórnem był już wiadomy i ojcowskie serce Mieszkowe uspokoiło się o los córki. Eryk gotował się do wyprawy na Danię, w Danii zaś zawrzała walka między Haraldem a synem jego Swenem Widłobrodym, który na czele reakcji pogańskiej powstał przeciw ojcu. Stary Harald zmuszony był do ucieczki i w założonym przez siebie niegdyś Jomsborgu kres miał znaleźć burzliwego żywota, za sprawą Palnotokiego, ówczesnego jarla zbójckiej drużyny, pozostającego z Mieszkiem w przymierzu.

Zawarte z zięciem Erykiem, zdobywcą Danii, przymierze, pozbawiając Lutyków i Obodrytów dotychczasowego poparcia, przechyliło szalę wpływów nad Odrą na korzyść Mieszka i pozwoliło baczniejszą uwagę poświęcić sprawom wschodnim, dotychczas z konieczności zaniechawanym.

W dwa lata bowiem po zajęciu Czerwieni, którą Mieszko dla Moraw zmuszony był poświęcić, przedsiębiorczy Włodzimierz przysunął się do Bugu odbudowując spalony swego czasu przez Sobiesława Brześć i stawiając warownię w Drohiczynie. Naciskani przez niego Jaćwingowie przec zaczęli na Mazowsze, których Sobiesław, zajęty ustawicznie Prusakami, z trudem odpierał. Obecnie nowe zaczynało grozić niebezpieczeństwo, i Mieszko boleśnie odczuwał stratę Lubora.

Pieczynowie bowiem, rozpostarłszy swe siedziby aż za Dniepr, odcięli Włodzimierza od żywotnego połączenia z Bizancjum. Pomny losu ojca swego, Świętosława, Włodzimierz szukać musiał innej drogi na południe, a ta wiodła przez ziemie Mieszkowe, Węgry i Bułgarię. Zdała się też i najłatwiejsza, tu znowu bowiem naturalnym sprzymierzeńcem Włodzimierza był Bolesław czeski, który - w razie odebrania Moraw - mógł podać Włodzimierzowi pomocną rękę w jego zamierzeniach.

Mimo przeto pomyślnego układu spraw na zachodzie, książę nie mógł spocząć. A zaczynał już odczuwać ciężar starości i na zdrowiu zapadał coraz częściej. Na szczęście młody Bolesław mężem już był i to takim, że Mieszko mógł być spokojny, iż przydzielonej sobie dzielnicy, która najbardziej była zagrożona, bronić potrafi, a zawarte przez niego za pośrednictwem Adelajdy małżeństwo z córką Kupana Judytą, wzmacniało jego stanowisko przez przymierze z Węgrami, kładąc tamę między Czechami a Rusią. Mieszko sam zresztą wybierał się do Wiślan i na Mazowsze, gdzie nie był od dawna, zajęty sprawami na zachodzie, lecz gdy słabość zatrzymywała go przez czas dłuższy, wysłać postanowił przodem, zbędne tymczasem nad Odrą, części swych sił, by wzmocnić wschodnią i południową granicę.

Właśnie wydawał ostatnie zarządzenia tysiącznikom, którzy wojska powieść mieli, gdy Oda zapowiedziała swe przybycie, a po chwili zjawiała się sama.

Od czasu wyjazdu Świętosławy Mieszko zimno do żony się odnosił, lecz zdawała się tego nie spostrzegać, a w czasie choroby księcia dbała o niego i pielęgnowała z całym poświęceniem, choć od nieufnego i zniecierpliwionego chorobą męża nieraz gorzkie usłyszała słowo. Znosiła wszystko cierpliwie i pogodnie, a rozumna i doświadczona - niejedno załatwiła za męża będąc mu niezaprzeczoną pomocą.

Toteż choć Mieszko podejrzewał, że główną przyczyną jej troskliwości jest obawa, by przedwcześnie z drobnymi dziećmi nie została sama przeciw Bolkowi, nie mógł nie uznać jej starań, a nawet brać za złe, gdy by istotnie obawa o los dzieci była jedyną ich przyczyną.

Niemniej serca do niej nie odzyskał, a powodowana cierpieniami opryskliwość, którą wobec innych hamował, wywierała się głównie na niej. I teraz powitał ją niechętnie i nim siadać prosił, rzekł:

- Zdrów już jestem i obawy o mnie przedwczesne są jeszcze. Niech jeno trochę sił odzyskam, na koń jeszcze siądę, a z wiosną na Lutyków posiłki powiodę, jako cesarzowej przyrzekłem, możecie więc spać spokojnie.

- Bogu dziękuję - odparła łagodnie - że zdrowie wam wraca i choć niespokojna jestem zawsze, ilekroć na wyprawę ruszacie, cieszę się, że się na siłach czujecie i modłę się jeno, by was Bóg zachował, bo wszystkim nam jesteście potrzebni.

- Wam szczególnie - rzekł Mieszko zgryźliwie - innym Bolko już by mnie potrafił zastąpić.

Błysnęły oczy Ody, lecz głosem łagodnym jak przódzi odparła:

- Moja wina, że nie umiała utrzymać waszej łaski, ale cóż temu winne są dzieci nasze? A im by chyba Bolesław ojca nie zastąpił, choć słusznie mówicie, że wszystkim innym mógłby was zastąpić. I chciałby - dorzuciła.

- Prosiłem już was, byście o Bolku ze mną nie mówili. Sam mam rozum i oczy, a wasze zawiść i niechęć oślepia.

- Samiżecie o nim wspomnieli, dlatego mówię. Nikt tak, jak ja, nie zna i nie ceni waszego rozumu. Ani przeczę, że nie miłuję waszego pierworodnego. Ale dlatego właśnie ani żądam, ani się spodziewam, byście zdanie moje ślepo przyjmowali. A jedne oczy wszystkiego nie dojrzą, zaś rozum rozróżnić potrafi, czy to co powiem, z niechęci jeno płynie, czy też słuszne są moje obawy.

Po chwili milczenia Mieszko rzucił niechętnie:

- Mówcie!

- Nietajno wam może, że Bolesław, jak udzielny książę sobie poczyna i z obcymi władcami, bez was prowadzi rozmowy?

- Nietajno mi, że mówił ze swym czeskim wujem, czy o tym myślicie?

- Tak!

- Tedy bądźcie spokojni, że wiem także o czym mówili.

Oda umilkła rozczarowana, lecz zaraz podjęła:

- Tedy i to pewnie wiecie, że Świętosława przyrzekła poparcie uzyskać od swego męża przeciw mnie, gdyby was nie stało.

- Jeszcze nie umieram - odparł Mieszko szorstko.

- Nie o mnie chodzi - szepnęła głucho. - Gdyby Bóg mi was zabrał, w klasztorze znajdę przytułek. Ale czy obojętne wam, panie, że dzieci nasze na tułaczkę, na łaskę moich krewnych pójść

by musiały, wbrew woli waszej, jak śmiem mniemać - gdyby się zamknęły oczy wasze?

Mieszko milczał zasepiony, a Oda widząc, że trafiła, ciągnęła dalej łagodnie:

- Trudno zaprzeczyć, że wielki mąż wyrasta z syna waszego.

Dwudziestu lat nie mając w wydzielonej sobie dzielnicy nie tylko nic z waszego dorobku nie uronił, ale wielokrotnie potrafił go pomnożyć. - Wielmożów w ryzach trzyma - pozwólcie sobie powiedzieć - lepiej niż wy, bo z miejsca poznać im dał, że na wyrozumiałość i łagodność, jaką znajdowali zawsze u was, u niego liczyć nie mogą. Prosty lud zaś go miłuje nie mniej niż was, choć dwakroć tyle z danin wydobyć potrafi. Duchowieństwo też zjednać sobie zdołał, pozornego szacunku ni nadań nie szczędząc, za to mniej niż wy szafując szczerością. Ale najgorsze, że w waszej własnej drużynie co młodszego w ogień by za nim skoczyło, wielbiąc w nim niezaprzeczone męstwo, waleczność i chytryść. Szkoda, że posłuchać nie możecie, co mówią między sobą ci, co do Bolesława ciągnąć mają.

- Widzę - rzekł Mieszko ze sztucznym uśmiechem - że trapi was to, co mnie dumą i zadowoleniem napawa. Takiego właśnie trzeba mi było pomocnika i zastępcy, gdy mnie samego siły opuszczać zaczynają. Gniew i lekceważenie błysnęły w oczach Ody, lecz w głosie nic poznać nie było można, gdy podjęła:

- Mało widzicie przykładów, że syn przeciw ojcu się zwraca? Dawno Swen o utratę państwa i życia przyprawił Haralda? A nasz Wielki Otto nie walczyłże z synem Ludolfem? Gdzież pewność, że ta siła, która cieszy was w Bolesławie, przeciw wam się nie obróci?

- W przywiązaniu, jakie ma do mnie i powadze, jaką utrzymać umiem, i w mojej sile własnej, której, widzę, nie doceniacie. Bolko rozumny jest przy tym i wie, że gdyby przeciw mnie chciał wystąpić, sprzymierzeńca znaleźć by musiał, silniejszego niż on sam. A taki sprzymierzeniec uległością by sobie płacić kazał;

Bolko zaś ulegać nie zechce nikomu; mnie jednemu nawykł, znam go.

Pewne zniecierpliwienie brzmiało w głosie Ody, gdy odparła:

- Sami wiecie najlepiej, jak swoją władzę utrzymać i nie moja rzecz ni głowa wam doradzać. Lecz prawo i obowiązek mam myśleć, jak swoje dzieci zabezpieczyć i sądzę, że ta moja troska próżną nie jest i nie moją tylko być winna.

Mieszko zamyślił się chmurnie. Nie mógł odmówić słuszności obawom Ody. Po chwili zapytał:

- Czy macie myśl jaką, która by tę troskę usunąć mogła?

- Was, panie, prosić chciałam, byście o tym myśleli, oraz by wolno mi było mówić o tym. Jeśli was Bóg dochowa, aż dojrzeje imiennik wasz, nadzieję mam, że nie będzie gorszy od pierworodnego. A tymczasem pozwólcie uwagę swą zwrócić, gdy dostrzegę coś, co mnie niepokoi. Widzicie, że nie złość mną kieruje, jeno troska o los dzieci. - Głos Ody zadrżał.

- Chcecie coś takiego powiedzieć, to mówcie.

- Nie wiem, czy to ważne, sami rozsądzicie, że dawny wasz powiernik Zbrozło przesiaduje w Chrobacji i syn wasz z nim się znosi.

- Nie wiedziałem - rzekł książę w zamyśleniu.

Oda, wychodząc od męża, omal nie zatarła rąk. Mogła żywić nadzieję, że ziarno nieufności wszędzie, zwłaszcza że korzystając z zezwolenia, hodować go nie omieszka. A myśl usunięcia swej troski miała gotową, jeno zdradzić się z nią nie mogła. Jeśli chybi, czas będzie zastanowić się nad innym sposobem.

Zbrozło istotnie siedział w Chrobacji. Po powstaniu Słowian, zakończonym bitwą nad Tongerą, gdy zbuntowani do domów się rozeszli, widząc, że nic już nie wskóra, wrócił rany lizać na Pomorze do Stoigniewa. Przesiedział czas jakiś, unikając zetknięcia się z ludźmi, milczący i w sobie bardziej jeszcze niż zazwyczaj zamknięty, po czym Stoigniewa pożegnał i wyjechał do Zyńki, który wraz z Gołuchem schronił się do Chrobacji i tam w górach osiadł na zupełnym bezludziu.

W sercu ludzką stopą nie tkniętych borów, z dala od wszelkich dróg i osad, leżała na skalistym zboczu wzgórza pustelnia Zyńki, schronienie trzech ludzi, którzy z różnych przyczyn nie szukali ze światem łączności.

Zbrozło nie mówił po co i na jak długo przybył a Zyńka powitał go radośnie, nie pytał o nic, jeno trzecie legowisko w przybudowanej do skalnej wnęki chatce urządził i życie snuć się zaczęło jak równa nić z kłębka. Dwaj młodszy krzatali się, by codzienne potrzeby zaspokoić, a wieczorami, gdy zachód był pogodny, siadywali przed chatą karmiąc oswojone zwierzaki i gwarząc beznamiętnie o tym, co było.

Zbrozło zaś na małej łysinie, na szczycie góry, obrał sobie siedzisko na kamieniu, skąd, sam szary i nieruchomy jak kamień, patrzył na leżące w dole, rozległe do krańca widnokrzęgu, spiętrzone falami wzgórz, morze lasów.

Mijały dni, tygodnie i miesiące, które tylko Zyńka liczył, gdyż nabożnym będąc na wielkie święta chadzał do Sącza, by do sakramentów przystąpić i soli przynieść, jedynej rzeczy, której od ludzi potrzebowali. Nie znał go tam nikt i on z nikim nie szukał znajomości, rad, że się schował przed światem, który tyle krzywd mu wyrządził niewiele dając w zamian.

Miało się ku Godom. Po okresie suchych wichrów, jakie tygodniami hulały nad krajem, świat zaciągnął się ciemnymi chmurami i zaczęły padać śniegi obfite zawałając ścieżki i drogi, koryta rzek i strumieni, wypełniając każde zagłębienie i pokrywając kilkustopową warstwą głazy i krze na górskich zboczach. Potem chmury rzednąć poczęły, świat pojaśniał, aż jednego ranka wstało zwycięskie, wielkie i czyste słońce i szybowało po bladym błękicie bezchmurnego, zimowego nieba. Morze blasku roziskrzyło się od krańca widnokrzęgu, siarczysty mróz zatykał oddech wszelkiego żywego stworzenia, które po przymusowym wypoczynku w okresie wichrów i śnieżyc, wykopywało się ze zwałów śniegu i mrużąc oczy odwykłe od światła, ruszało w wędrówkę, gnane głodem. Nieskazitelna śnieżna płachta znaczyła się w mig niezliczonymi łańcuchami śladów mniejszych i większych mieszkańców gór i lasów, snującymi się bez końca, płataniną, którą by rozwikłać, wilczego trzeba było nosa.

W zasutej śniegiem po szczyt dachu pustelni także zaznaczyło się życie. Smuga dymu, zrazu gęstego, wydobywać się zaczęła. Dym rzednął, stawał się półprzezroczysty i mieniący jak opal i równym pasmem wysnuwał się w górę. Potem jeno już drgało powietrze nad kominem, z otwartych natomiast z trudem, zawałonych śniegiem drzwi, buchnął kłęb pary i w progu ukazał się Zyńka. Patrzył czas jakiś na roziskrzony świat mrugając oczyma, po czym zwrócił się ku wnętrzu i rzekł:

- Ale dzień piękny, aż żal w dolinę schodzić.

- Śpieszyć się musisz, jeśli przed mrokiem stanąć masz w Sączu - odpowiedział mu z głębi głos Gołucha. - Droga kopna będzie.

- Pośpieszę, jeno nie zapomnij zwierzakom dać jeść. Wypościła się biedota przez te śniegi, to i

pewnie wnet złazić się zacznie.

- Chyba Zbrozły poproszę, bo w takim blasku nie dojrzę nic. Oczy bołą.

- No, żegnajcie - rzucił Zyńka i wesoło ruszył przed siebie.

Uszedł kilkanaście kroków, gdy poruszył się śnieg pod krzakiem i z głębokiego kopna wynurzył się zajac. Stał się słupka i śmiesznie ruszał nosem, jakby obwąchując rękę Zyńki, który go pogłaskał:

- Nic ci nie dam. Na jutro bym nie zaszedł, gdybym karmił każdego zwierzaka, którego spotkam - powiedział i ruszył dalej. Zajac pokicał ku chacie i tam przycupnął. Kręcił nastawionymi słuchami, jakby nasłuchiwał, o czym mówią w izbie. Potem pogardliwie opuścił jedno ucho, widno rozmowa nie dotyczyła jedynie ważnej dla niego rzeczy: kiedy otrzyma należne mu śniadanie. Właśnie zrzucił je Zbrozło ze stryszku, w postaci wonnego siana, a Gołuch mówił:

- Żeby ino Zyńka za dnia zaszedł. Późno wyruszył, a wilków nie brak.

- Od zwierza zguba na niego nie przyjdzie - rzekł Zbrozło.

Gołuch patrzył na niego mrugając swymi niedowidzącymi oczyma, po czym zapytał:

- Tak mówicie, jakby go od ludzi co złego czekało?

- Dobrego nic, lepiej mu tu ze zwierzakami.

- Przecie nikt go tam nie zna, do chaty zaś nie wiem czyby i Jaskotel trafił, bo raz jeno tu był.

Ciekawym, co się z nim dzieje? Rad bym go jeszcze ujrzał kiedy.

- Jaskotela może prędzej obaczysz, niż myślisz.

To rzekłszy Zbrozło zabrał pokarm dla zwierząt i wyszedł przed chatę.

Po krótkim dniu zimowym noc wrychle zapadać zaczęła, lecz świat niewiele się zmienił, jeno z roziskrzonego stał się lśniący, gdyż nim zorze zgasły, rozświecił się pełny księżyc. Drzewa znowu rzuciły cienie, łąski górskich grzbietów świecić się zdały własnym światłem. Postacie mniejszych i większych nocnych drapieźników z dala były widoczne, a śnieg wydawał suchy chrzęst, nawet pod lekką i ostrożną stopą lisa. Noc do łowów nie była sposobna. Mróz ścisnął coraz cięższy i zniechęceni myśliwcy powracali wkrótce do swych nor i legowisk, gdzie ciepło i sen pozwalały szukać głód. Dzwoniąca w uszach cisza zaległa też wkrótce kraj jak długi i szeroki i jeden tylko księżyc płynął po niebie, a cienie chowały się przed nim za drzewa i krze. Wszelki inny ruch zamarł, jakby mrozem skuty. Zwodnicze, zimne światło zlewało się na skostniały świat, zda się, dla nikogo. W chatce pustelnika ciepło było i przytulnie. Na palenisku dogasał żar, przez błonę malutkiego okienka siał się zmętniały blask księżycy zmieniając się w szary półmrok. W ciszy słychać było równy oddech śpiącego Gołucha.

Zbrozło nie spał. Z podłożonymi pod głowę rękoma leżał na swym pościeliu i zrazu nasłuchiwał lekkich odgłosów idących ze świata, potem głuchej ciszy, jaka zapanowała. Po jakimś czasie usiadł na pościeliu, jakby coś obudziło jego czujność. Długo jeszcze żaden słyszalny głos zdał się nie mącić martwej głośności, lecz Zbrozło już wiedział, że ktoś nadchodzi. Przez chwilę jeszcze siedział na pościeliu, po czym wstał i zarzuciwszy kozuch otworzył drzwi.

Mróz wpadł do izdebki i ukąsił Gołucha, który poruszył się i zaspanym głosem zapytał:

- Co tam?

- Ktoś idzie - odparł Zbrozło i zamknął drzwi za sobą.

Po chwili Gołuch, ubrany już, stanął koło niego i chciał o coś zapytać, lecz Zbrozło ręką skinął, więc zmilczał i nasłuchiwał obydwaj. Odgłosy idących, słabe jeszcze i dalekie, wyraźne już były. Zbrozło odwrócił się i wchodząc do chaty rzekł:

- Szkoda marznąć, daleko jeszcze są, a trafią sami.

- Wiecie, kto idzie - spytał Gołuch.

- Ludzie z końmi. Dorzuć szczap na ogień. Strawy ciepłej przygotować trzeba, bo przemarznięci będą i zgłodnieli.

- Co za jedni mogą być o tej porze? - rzucił Gołuch dmuchając w żar.

Zbrozło nie odrzekł nic, zaszępił. Wody w kociołku przystawił do trzaskającego wesoło ognia i usiadł czekając. Głosy nadchodzących słyhać było już wyraźnie, zbliżali się jednak bardzo wolno, wolniej nawet, niż pozwalał kopny śnieg i wzniesienie. Rozmawiali głośno. Gołuch nasłuchiwał, a po chwili rzucił ze zdziwieniem:

- Rzekłbyś, Jaskotel.

- On ci to jest i kniaz Bolko z nim - odparł Zbrozło.

Gołuch skoczył ku drzwiom i otworzył; z trudem precyzyjnie się przez wąski otwór Bolko z Jaskotelem, który go prowadził, widno bowiem książkę nogę miał uszkodzoną.

Gołuch ręce wyciągnął do Jaskotela, który rzekł:

- Pomóż mi naprzód kniazia ułożyć. Koń się pod nim zwinął i nogę mu przytłukł, a sam gnaty połamał, że dobić go było trzeba. To rzekłszy milczącego Bolka ku legowisku pod ścianą podprowadził i ułożywszy go troskliwie, ozwał się do niego:

- Szczęście macie w nieszczęściu, bo i chatę odnalazłem po śladach i Zbrozło tu jest, to was opatry.

Przystąpił do Zbrozły rękę mu podając, potem po dawnemu do Gołucha się zwrócił, który rozradowany uścisnął go tak serdecznie, że Jaskotelowi oczy na wierzch wyszły:

- Bodajże cię - stęknął - myślałem, że świętym jużostałeś, a zawsze niedźwiedzie masz łapy.

Gołuch wypytywać jął o braci, ciotkę i Jaskotelowy dom. Krzątając się podał ciepłą strawę przybyłym, po czym wziął siekiere i wyszedł do pozostałego przy koniach pachółka, by ognia nanieść i szafas jaki taki postawić, aby zwierzęta nie zmarniały od mrozu i pachółek mógł przenocować, w chatce bowiem miejsca na tyle nie było.

Jaskotel jeno coś przekąsiwszy ziewnął i rzekł do Zbrozły:

- Opatrzcie kniazia. Ja już gnatów nie czuję i świata nie widzę.

Od świtu łowy, a od wieczora dźwigałem kniazia; lekki on nie jest. Zyńki pewnie ślady były, bo go, widzę, nie ma. Po prawdzie to po nich trafiłem.

Nie czekając na odpowiedź zwał się na posłanie i z miejsca usnął twardo.

Z dworu dochodziły odgłosy siekier, w chacie zaś ogień trzaskał przytulnie. Zbrozło przystąpił do księcia i opatrywał mu stłuczoną nogę:

- Poleżycie ze dwie niedziele i śladu nie będzie. Sanie jutro zładzimy i przed wieczorem będziecie w Sączu.

- Nie udzielicie mi gościny? - spytał Bolesław.

Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedział. Twarz miał ponurą. Ni ból, ni znużenie nie mogły być tego przyczyną. Zbrozło patrzył na niego przenikliwie:

- Ni wygod tu, ni miejsca, gdy Zyńka wróci - rzekł.

Rozmowę przerwał powrót Gołucha. Pokrzętał się jeszcze, szczap dołożył na ogień, układał się koło śpiącego Jaskotela i okrywszy się wraz z nim skórą, po chwili głębokim i równym oddechem oznajmił, że wrócił do przerwane go snu.

Zbrozło siedział w milczeniu, gdy książkę ozwał się znowu:

- Po prawdzie, to was spotkać chciałem. Po tom Jaskotela ściągnął, by mi pustelnię okazał,

gdziem się o was spodziewał dowiedzieć.

- Tedy niepotrzebnie braliście pachółka. I wasz tu pobyt wydać się może, i to, gdzie siedzą Zyńka z Gołuchem.

- Pacholek jest zaufany - rzekł Bolko z pewną niecierpliwością. - Juści lepiej było samego Jaskotela wysłać niż na łowy ciągnąć w tę stronę, ale stało się. Spodziewałem się was tu spotkać, a pilno mi było.

- Ten jeno zdradzić może, komu ufamy - rzekł Zbrozło.

- Musiałem wziąć pachółka, bo Jaskotel sam by nie uradził. Cóż zresztą zdradzić może? Moja to dziedzina, a nie Ungerowa diecezja. Wam zaś nic nie grozi.

- Mnie nie, ale wam. Książ Mieszko wie, że drogi jego z moimi się rozeszły. Podejrzewać może, że ze mną przeciw niemu knowacie. Oda się o to postara.

- Tedy słusznie będzie podejrzewał, bo chcę knować przeciw niemu.

Tak, jak jest, dalej nie strzymam.

Zbrozło siedział z przymkniętymi oczyma, jakby wpatrzony w siebie. Po wybuchu Bolesława zapanowało milczenie. Od czasu do czasu z pola dochodził tupot koni, przestępujących z nogi na nogę, zresztą panowała cisza. W końcu Zbrozło zaczął:

- Powiedzcie naprzód, co wam dolega i czego chcecie, Potem ja wam powiem, co myślę.

Bolko nie od razu zebrał się na odpowiedź, jakby wybrać nie mógł od czego zacząć. Po chwili przemówił:

- Wiecie, że mi wyswatano Judytę, Węgierkę: a pewnie nie wiecie, że potomka dać mi się spodziewa?

Zbrozło jeno głową skinął, a Bolko ciągnął:

- Niemki pozbyłem się łatwo. Nie tknąłem jej, ojcu przestała być potrzebna, biskup się nie przeciwiał, wygnałem. Na drugie małżeństwo nawet się już nie buntowałem. Mówił ojciec, że trzeba - co mi tam! - Raz spałem z nią, trzy razy z innymi. Za jedno mi było, serca nie miałem do żadnej.

Zbrozło milczał, a Bolko ciągnął dalej:

- Myślałem, że zawdy tak będzie. Pociska się spowiednik, pokutę zada, nie za to jedno. Ani przez myśl mi nie przeszło, że dzieci jej prawa do mnie mieć mogą, a mniej jeszcze, by mi która serce zabrała. Jenom ramionami ruszał, gdy się Jaskotel odgryzał, że i mnie na to przyjdzie, kiedym się śmiał z niego, że zawdy gdzieś serce do białki przylepi, jako ninie do Wrochny, że go z domu wyciągnąć trudno.

Książ zamilkł, jakby zawstydzony.

- O to się przeciw ojcu buntować chcecie? - zapytał Zbrozło.

- O to i nie o to. - Głos Bolka zdradzał wzburzenie. - O to, że od najmłodszych lat, jeszcze żyła macierz moja, chowano mnie w tym, że gdy do sił dojdę, ojca mam wyręczyć, by spocząć mógł na starość, jako było za dziada mego z ojcem. Zmarł stary Ziemomysł, wszystko już rodzic miał w rękę. Jeszcze Ścibor pomagał, póki żył. A ze mną co? Juści dziedzinę mi dali wraz z żoną, ale już słyszę, że to wszystko, co mi przypada. Za to służyć mam, jak każą, żenić się, jak ojcu dogodnie i pilnować, by wszystko, co dziady i on zebrali, nienaruszone zostało, dla tych... - wybuchnął - bękartów po mniszce.

Jaskotel poruszył się na posłaniu i Bolko zamilkł. Opanował się i spokojniej mówił dalej:

- Miłuję ojca, choć zawsze surowy był i nieprzystępny, nie śpieszyłbym się do władzy, choćby żył sto lat, ni krwi, ni trudu bym nie żałował. Rozumiem myśli ojcowe i wiem, że dzieło, które on

prowadził, ja prowadzić wydołę dalej. Ale jeśli pracować mam po to, by wrogów wzmocnić i czas im dać, by lepiej omotali starzejącego się kniazia, to czekać nie mam na co.

- Sprzymierzeńca we mnie szukacie czy rady? - zapytał Zbrozło.

Bolko milczał, jakby się namyślał. Po chwili odparł:

- Mówiłem o tym ze Stoigniewem, on mnie do was skierował.

Jaskotel znowu poruszył się przez sen. Zbrozło wskazując na niego zapytał:

- Dużo macie takich, jak on, przyjaciół?

Bolko patrzył zdziwiony nie rozumiejąc, do czego Zbrozło zmierza.

Po namyśle odparł:

- Z tych, co ich druhami zowie, on jeden jest, a Stoigniew drugi.

Więcej chyba nikogo tym mianem bym nie obdarzył.

- A kniaź ma jednego Jaskotela. Jako że się podzielicie? Czy jak ów król żydowski, co spierającym się matkom dziecię kazał rozciąć na dwoje?

Bolko milczał zmieszany, a Zbrozło ciągnął:

- I władzę i dziedzinę podzielić można na części i zrosną się, gdy przyjdzie pora. A stracony przyjaciel nigdy już nim nie będzie. Macie lat dwadzieścia i dwóch jeno przyjaciół, tedy niewielu więcej już mieć będziecie. Za młodu jeno ich się zyskuje.

Zapadło milczenie. Po dłuższej chwili Bolko ozwał się:

- Tedy rozumiem, że radzicie mi czekać. A czy wiecie, co Oda knuje? O koronę dla swego pierworodnego starać się zamierza. Poprą ją Niemcy, by swojaka tu mieć na tronie, poprze mój własny wuj, bo wie, że jeśli ja na całej dziedzinie ostanę, to nigdy Moraw nie odzyszcze, poprą wszystkie wrogi nasze, bo wiedzą już, że z mną sprawa co z Odą i jej szczeniakami. I ojciec poprze, bo tę miłość, której nam zaoszczędził, na jej pomiot przelał, a zna mnie i wie, że niech go nie stanie, wyżenę, jeśli nie gorzej. A będę czekał, to z czymże przeciw nim ostanę?

- A z czymże dziś się porwiecie przeciw ojcu? I sądzicie, że sąsiedzi z zamieszki nie zechcą skorzystać?

Bolko milczał. Zbrozło ciągnął dalej:

- W tym nie zmieni się nic. A w kraju ci, co dziś przy kniaziu stoją, w dużej kiedyś części po waszej znajdą się stronie. Takich, jak Jaskotel, jest wielu. Sami, czy z równym sercem przeciw ojcu walczyć będziecie jak przeciw Odzie?

- Gdyby nie szło o ojca nie namyślałbym się ni chwili - rzekł Bolko przez zaciśnięte zęby.

- A namyślić się zawsze warto. Nie ten wróg najgorszy, którego najbardziej nienawidzimy, a wszystkim na raz nie uradzicie.

- Nie zacznę ja, zacznie Oda.

- Oda jest zła, ale niegłupia. Wie, że wojownik z was wielki. A jej dzieci nieprędko jeszcze same się bronić będą mogły.

- A jeśli dojrzeją, nim kniaź zemrze?

- Tedy czasu macie dużo, jeno wykorzystać go trzeba.

Bolko zadumał się głęboko. Przygnębienie brzmiało w jego głosie, gdy zapytał:

- Tedy czekać i żyć, jak teraz? Wyrzec się tej, co by życie umilić mogła i towarzyszką być, jaką matka była rodzicowi, a żyć z niechcianą? Obrzydzenie jeno mam do niej i niechęć do nie urodzonego jeszcze potomka, którego dać mi obiecuje. Zarazem żal mi ich, bo niczemu nie winni. Wydali Judytę

za mnie, tak jak siostrę mą, w nieznanym kraju, między obcych ludzi, za nieznanego człowieka. Tylko, że Świętosława silna jest, a ta żal się Boże! Jeno płakać umie, a mnie tylko złość bierze, że ubić bym potrafił.

- Bolko dyszał ze wzburzenia. - Co mi robić? Wygnać ciężarną żonę czy zostawić, by jej i sobie życie truć, każdego dnia i godziny? Któż temu winien, że jako ryba w matni się miotam? Cokolwiek uczynię - źle!

- Pytacie o winę, bo winnego znaleźć chcecie, a nie winien nikt.

Gdyby wuj wasz czeski z wami trzymał, nie z Rusią, przymierze z Kupanem nie byłoby potrzebne i nie byłoby tu Judyty. Jeno cierpliwość radzić można, przynajmniej póki dziecię na świat nie przyjdzie. Nie byłoby bezpieczne na przyszłość, gdyby wasz pierworodny w obcym znalazł się ręką, boby go przeciw wam wygrywać mogli. A takie przymierza zmieniają się, jako i z pierwszym waszym małżeństwem.

- Rozdzielić matkę z niemowlęciem? Jakież to życie je czeka, gdy jako rzekłem, już dziś niechęć mam do niego?

- A matki waszej nie rozdzielono z Guncelinem? A was samych nie oderwano dzieckiem od rodziców? Przywyknąć musicie, że mało ważne czy ten, co do rządów nad innymi powołany został, sam szczęśliwy jest, czy nie.

Bolko zadumał się głęboko, Zbrozło dREW dorzucił na palenisko, bo siarczasty mróz, biorący nad ranem, wciskał się do izdebki.

- Jeszcze jedno mi powiedzcie - przerwał milczenie Bolko. - Prawiliście, że drogi wasze i kniazia rozeszły się, a bronicie go przede mną. Niegdyś samiście mnie przeciw niemu zbuntowali.

- Drogi się rozeszły, ale cel został ten sam i do tego celu kniaz zmierza, a nie widzi, że to, co dzisiaj korzyść przynosić się zdaje, nieodwracalnych szkód stać się może przyczyną.

- Mówicie o związkach z Niemcami? - rzekł Bolko. - A jednak wiem, że i u nich na nie sarkają, że - mówią - kniaz chytry, sam jeno korzyść ciągnie, a im korzyść żadna. Mówiłem i o tym z kniazem i z Luborem. Przekonali mnie.

- Cóż wam odrzekę? Nikt cudzymi nie potrafi patrzeć oczyma.

Chodził kniaz z Sasami na północnych Słowian i Ekkehardowi Miśnię od czeskiego Bolesława odbierać pomagał; a ja wiem, że każdy Słowianin, który zginie, miejsce robi Niemcowi. Wierzę, że ciężka jest wam północna Słowiańszczyzna, że napastliwi są i niestali, że jako i minionego roku z Duńczykami ujściu Odry grożą, o które słusznie troszczy się wasz ojciec, tym niemniej ciężka jest i Niemcom. A gdy bita przez nich i przez was z dwóch stron, szczerze, nie wy, ale margrafy zajmą jej ziemię. Darmo się wówczas miotać będziecie. Prędeż - później odetną was od morza i uduszą.

- Nie boję się - odparł Bolko dumnie. - Niech się jeno ta siła, którą już mamy, nie zmarni, ja im dostoję. Ale nie dziwić się, że ciskam się w niecierpliwości i niepokoju widząc, że z ręki wymknąć mi się może. Wolej mi zginąć niż patrzeć bezsilnie, jak dzieci przybłądy drogę otworzą wrogom na ziemię, w którą i mojego potu już wsiąkło niemało.

- Bądźcie spokojni i cierpliwi. Kto dalej ma dotrzeć, wolniej jechać musi. Ta korona, której Oda dla swoich chce, na waszej spocznie głowie.

Bolko poderwał się, lecz w tej chwili Jaskotel siadł na posłaniu, przeciągnął się i ziewając rzekł:

- Jeszcze nie śpicie, czy już? Chyba dnieje, bo wyspałem się setnie.

Jakoż przez błony okienka przesiąkać zaczynało światło wstającego dnia. Jaskotel trącił Gołucha

mówiąc:

- Wstawaj! Ubić by trzeba coś z mięsa, bo po tej waszej polewce pusty jestem jak wierzbowy pień.

- Do Krakowa wracamy - rzekł Bolko. Nigdzie nie chodź, sanie mi zładzić musicie.

- Zynkę rad bym obaczył - rzekł Jaskotel.

- Najdziemy go w Sączu. Osada niewielka, to go odszukasz bez trudu.

Niewysoko stało jeszcze słońce, gdy po własnych śladach zjeżdżali w dolinę. Zbrozło stał przed chatą i patrzył, póki nie zniknęli z oczu.

- Niełacno takiego w ryzach utrzymać - rzekł do siebie.

XXV

Kropla goryczy

Nowy Rok 991 zastał Mieszka w Opolu mazowieckim, gdzie wraz z Sobiesławem zatrzymał się po objeździe, na jaki wyruszył zaraz po powrocie z weleckiej wyprawy. Odwiedziwszy na Pomorzu Stoigniewa, po ciężkiej przeprawie, jaką ten miał z Duńczykami, którzy znowu najechali Wolin, spotkał się z Sobiesławem na pruskiej granicy i razem pociągnęli do Wizny, a potem w górę Bugu, badając stan grodów i ubezpieczeń, które szczególnej wymagały troskliwości. Od trzech lat bowiem wypierani ze swych siedzib przez Włodzimierza, Jaćwingowie niepokoili kraj. Zawsze jeszcze ruchliwy i przedsiębiorczy Sobiesław, nieustępliwie stawiał tamę ich zakusom, tak że ostatnio nacisk ich zelżał i ciąg zwrócił się ku północy. Natomiast Sobiesław, zapuściwszy się parę razy za Bug, natknął się na Ruś i Waregów, którzy kraj zaczęli zajmować na stałe. Ustępował słabszy, by silniejszemu uczynić miejsce. Sobiesław, bitny i pewny siebie, niewiele sobie z tego robił, książę jednak ciężki rok mając za sobą i znużony na ciele i duszy, czarniej patrzył na rzeczy.

Zamierzał Mieszko przed powrotem do Poznania, gdzie go czekały przygotowania do drugiej wyprawy z cesarzem na Weletów, zwiedzić po drodze i Bolkową dziedzinę, z sił jednak wyzbyty uległ namowom Sobiesława i w Opolu na dłuższy zatrzymał się postój. Widząc, że już do Wiślan nie zdąży, dwór i drużynę odesłał do Poznania, sam zaś został w lichym dworcu, w Opolu, nie ruszając się prawie z domu, zwłaszcza że ustawiczne zawieje uniemożliwiały łowy i wyjazdy. W łóżu się wiele wylegiwał, przygnębiony jakiś i osowiały i mało się odzywał nawet do Sobiesława, który zaniepokojony odwiedzał Mieszka często, dojsć usiłując, czy choroba go gnębi, czy zgryzota.

Wypocząwszy jednak książę ożywił się i pewnego wieczora sam zaczął wspominać wspólne przeżycia sprzed lat dwudziestu. Sobiesław widząc, że Mieszko jest rzeświejszy, dorzuczał mierzchnące już wspomnienia mazowieckiej wyprawy i wskazując na policzki rzekł:

- Po strzale blizn już prawie nie widać. Szybko za młodu goją się rany.

Książę pokiwał głową i rzekł:

- Mówisz, jakbyś stary był. Ja wówczas miałem więcej lat niż ty dzisiaj, a ni trud, ni troska przygiąć mnie nie mogły; odskakiwał człek jak wiklinowy pręt. Ninie jak suchy badył, uważać musi, by się nie złamał, a ciężaru, co go dźwigać trzeba, nie ubyło.

- Co zaś prawicie - przerwał Sobiesław. - Nie wiem, jakie troski was gnębią, ale niemal jak rok długi na koniuście spędzili, że nie każdy młody by wytrzymał. Cóż dziwnego, że wreszcie spocząć musicie; i jakoże mówić, że nie ubyło ciężaru? Mazowsze w pokoju zrasta się z nami. Pomorze w rękę trzymacie, od Niemców spokój, Morawy wasze. Nic z tego nie było, gdyśmy lat temu

dwadzieścia tutaj wojowali.

- Siły wówczas miałem, których nie mam dziś i ludzi koło siebie, którzy ziemię już gryzą lub starzy jak ja. Tylko że im spocząć wolno, a mnie nie.

- Nikomu z latami sił nie przybywa, chyba dziecku. Na miejsce starych, młodych macie, a syna pierwszego, którego pozazdrościć wam można. Że przy swych dwudziestu latach wojakiem jest tęgim, nie dziwota. Ale roztropność jego sławią jako wodza, a co mi dziwniejsze i jako rządcy i gospodarza, czegom się, prawdę mówiąc, nie bardzo spodziewałem. Gdy tu przebywał z waszego rozkazu, gwałtowny był i popędliwy, a ninie, słyszę, siebie i drugich trzymać umie i umysł ma szeroki nad wiek. Godny następcą wam już urósł.

Mieszko nie odrzekł nic i spochmurniał, jakby niemiłą mu była o tym rozmowa. Sobiesław trochę urażony umilkł. Po chwili, by powrócić do wspomnień wyprawy, które widocznie ożywiały księcia, zapytał:

- Co się zaś dzieje ze Zbrozłą, bo dawno o nim nie słyszałem? Czy żyje aby, bo już wówczas niemłody musiał być.

- I ja o nim rzadko mam słuchy - odparł Mieszko - ale żyje i nie wiem, czy umrze kiedy.

Sobiesław patrzył zdumiony na kniazia i po chwili zapytał:

- Nie służy wam już?

- Nie służył mi nigdy, chyba ja jemu - odrzekł Mieszko z goryczą.

Sobiesław umilkł zadumany. Po dłuższej chwili zapytał:

- Czy nie po waszym ślubie z Odą odszedł?

- Wtedy! - odparł Mieszko sucho, prawie ostro.

Pytanie to uświadomiło mu, co już poprzednio przeczuwał, że i Sobiesław niechętny jest związkowi z Odą i dało mu gorzką pewność, że dzieci jej i w nim nie znajdą poparcia. Któż z nim zostanie? Przybywów i Odylen, których sam za zdrajców niegdyś uważał. Ninie służą, bo korzyść ich w tym, ale ni serca nie ma do nich, ni ufności. A jednak sobie nic nie ma do wyrzucenia. Robił, co mu kazał rozum i narzucała konieczność. Ni tłumaczył, ni zwierzał nie będzie się nikomu. Wstał, a Sobiesław widząc, że rozmowa skończona, dzwignął się również, posmutniały. Za Mieszka dałby życie, do Bolka się przywiązał i pana przyszłego nawykł w nim widzieć. Cóż winien, że serca nie ma do dzieci Mieszkowych po Odzie?

- Każ mi orszak przygotować, rano ruszam do Poznania - rzekł Mieszko.

- Spoczłibyście jeszcze - ozwał się nieśmiało Sobiesław. - Ledwoście trochę do sił przyszli.

- Do większych już nigdy nie przyjdę. Te, co mam, jeszcze muszą wystarczyć, by samemu robić to, co sam za słuszne uważam. Sobiesław głowę pochylił w milczeniu.

* * *

Resztkami sił książę dobił się do Poznania. Febra, na którą niegdyś chorował, nawróciła z niezwykłą siłą, odnowiły się dawne bóle w barkach, leżał, to rozpalony gorączką, to drżący pod stosami skór.

Oda pielęgnowała go troskliwie, z wielką gorliwością i z radością spostrzegła, że mniej był opryskliwy i niechętny niż poprzednio. Czasem zdawał się nawet czekać na nią, a choć mało się odzywał, nie czuła w nim niechęci, a nawet zdało jej się, że mówić chciałby o sprawach, których dawniej unikał, jeno się przemóc nie umie. Ostrożna i chytra niewiasta nie nagliła go, natomiast gdy jeno choroba się przesiliła, przyprowadzać mu jąła dzieci i o nich wszczyniała rozmowę zachwalając je z umiarkowaniem i pilnie bacząc, by ojca nie nużyły. Pewna była, że prędzej czy później sam

książę zacznie mówić o tym, co było jej troską i życia jej treścią. Mieszko pomału wstawać już zaczął i choć z wysiłkiem, wziął się do załatwiania spraw, jakie załatwić mógł nie wyjeżdżając, zbyt bowiem jeszcze był słaby, by choćby krótką podróż przedsięwziąć. Wiele czasu i wysiłku zabierały przygotowania do ponownej wyprawy z cesarzem na Weletów i Mieszko gryzł się, że sił w sobie nie najdzie, by zgodnie z przyrzeczeniem własną osobą wyruszyć. Wreszcie postanowił po Bolka posłać, by syn w jego zastępstwie powiódł posiłki a nieobecność ojcowską usprawiedliwił przed cesarzem. Niecierpliwie oczekiwał jego przyjazdu, gdyż czas naglił.

Tymczasem prawie w jednym dniu zeszyły się wiadomości, które boleśnie dotknęły Mieszka nowych trosk mu przyczyniając. Od Kupana przyszło poselstwo donosząc, że zmarła siostra księcia, Adelajda. Zarazem Kupan o posiłki prosił przeciw Stefanowi, który wojną wuja nawiedził wyganiając go z jego dziedziny. Zgryzł się Mieszko śmiercią miłej siostry, ostatniej już z rodzeństwa i stratą sprzymierzeńca, który ubezpieczał go od południa, pomocy mu jednak odmówił. Nie mógł wysłać tak znacznej, by szalę dla Kupana przechylić, a robić sobie ze Stefana jeszcze jednego wroga, nieśpieszno mu było. Odmowa lżej mu przyszła, gdy Adelajdy już nie stało. Jeszcze i śmiercią swą oddała bratu przysługę.

Jednocześnie nadeszła wiadomość z Lubuszy, że zmarł stary Jaksza, a prawie zaraz potem z Cydzyny, iż Radwan od strzały poległ w pogranicznym napadzie.

Jaksze czas już było, bo ze sto lat chyba sobie liczył i po prawdzie książę jedynie dlatego dawno już innego żupana nie ustanowił, by staremu wojakowi nie robić przykrości. Radwan służyć mógł jeszcze, choć widno oczy, których bystrością chlubił się niegdyś przed Stoigniewem w Cydzynie, już go zawiodły. Rzecz była zwyczajna, niemniej wiadomość przykra, zarówno bowiem obaj zmarli wiązali się ze wspomnieniami niezatartych przeżyć księcia, a wypróbowani przez dziesiątki lat, pozwalali troskę o stan i siłę grodów, panujących nad przejściami na Odrze, na siebie złożyć. Miejsca po nich pilnie i troskliwie obsadzić należało i choć Mieszko czym innym był zajęty, przemyśliwać musiał nad wyborem. Oda nieśmiało napomykała, że urzędy te w sam raz nadałyby się dla krewniaków Odylena i Przybywoja, którzy jeśli co zawinili, wierną służbą pamięć tego mogli byli już zatrzeć, a z urodzenia patrzyło im się pierwszeństwo. Mieszko jednak zbył jej wstawienictwo lekceważąco i niechętnie. Niełatwo było u księcia utraconą ufność odzyskać i Oda nie nalegała, by podejrzenia nie wzbudzić, że sobie oddanymi ludźmi tak ważne grody chce obsadzić. Wiosna tymczasem się uczyniła i czas byłby wyruszyć. Bolko jednak nie nadjeżdżał. Cierpliwość Mieszka była na wyczerpaniu i gniew go zaczynał ogarniać. Z cieplejszą porą sił mu wprawdzie trochę wróciło, jednak i wewnętrznych spraw nie brakło, dla których w kraju zostać by należało i wyjazd nie był mu na rękę. Zapowiedziany biczem Bożym mór, jaki ubiegłego roku nawiedził zachodnie połacie kraju, wielkie poczynił spustoszenia, tak że wiele osad pustką stało. Przez zimę przygasł i zdało się, że nieszczęście już minęło, gdy z nadejściem cieplejszej pory słychać było, że zaraza znowu zaczyna się ukazywać. Dziesiątkowała nawet zwierza w lasach, i na łowach, które jak zwykle przed wyprawą się odbyły, więcej nieraz padłej zwierzyny znajdowano, niż łowiono. Na dobitkę gwałtowne odwilże kilkakrotnie zalały kraj powodzią niszcząc i tak słabo uprawione pola. Urodzaj zapowiadał się zły i groził głód, któremu zawczasu zapobiec należało. Sprawa była tak ważna, że książę sam sprawdzić chciał stan zapasów w kraju, by je sprawiedliwie rozprowadzić i wrzał na Bolka o zwłokę. Gdy jednak wreszcie, po dłuższym niewidzeniu, ujrzał dorodną, męską postać syna, duma ojcowska wyparła gniew i powitał go ze skrywaną radością.

Rychło jednak zmroził ją Bolko. Już w czasie uroczystego powitania zauważył Mieszko w synu

coś obcego, jakąś powściągliwość niezwykłą u gwałtownego z natury syna. Natomiast gdy pozostali sami, Bolko nie czekając, aż ojciec się odezwie, zaczął:

- Myślę, że powinienem wam oznajmić, iż Judytę Kupanowi odesłałem, żyć z nią więcej nie będę.

- Ja zaś myślę - odparł dotknięty książę - że nim to uczyniłeś, mojego zdania zasięgnąć należało. Mniejsza mi o Kupana, którego Stefan wygnał, ale rzecz zbyt ważna, bym się po wszystkim dowiadywał. Słyszałem przy tym, że Judyta ciężarna była?

- Urodziła syna, którego Bezprymem nazwała. Ostał w Krakowie.

- Mile mi o urodzeniu pierworodnego wnuka oznajmiasz - rzekł książę z goryczą.

- Tyle i ja miałem radości z urodzenia pierworodnego syna - odparł Bolko szorstko.

Coś ścisnęło Mieszka za serce. Niegdyś, gdy żyła Dobrawka, myślał jak o zasłużonym wypoczynku, że na starość wnukom serce odda, którego zajęty trudami rządu, dzieciom okazać nie miał kiedy, zaś troski zdejmie z niego ten oto dojrzały już syn. Wszystko poszło inaczej, gdy nie stało Dobrawki. Tu wspomniawszy twarde i zimne Bolka dzieciństwo, jego żal, gdy go przedwcześnie oderwano od matki i wydano między obcych na niepewne losy - i powściągnął w sobie gniew. Jenemu gorycz w nim pozostała. Nie okazał jej jednak i zapytał z pozorną obojętnością:

- Nietrudno zgadnąć, iż nie bez powodu takeś się z odesłaniem żony pośpieszył.

Bolko zarumienił się lekko, odparł jednak z pewną opryskliwością:

- Wytrzymałem, ile musiałem, by się dziecko w obcym nie znalazło ręką. A ninie, jeno z biskupem władzę, żenić się zamyślam wedle własnej woli.

- Może się przynajmniej naprzód dowiem: z kim? - rzekł książę zimno

- skoro moja wola w tym niepotrzebna.

- Z Emnildą, córą milczańskiego kniazia Dobromira.

- Kniazia Dobromira? - powtórzył Mieszko. - Przypomnieć ci muszę, że książęta nie po to się żenią, by sercu dogodzić. Niewielki to kniaz, któremu margraf rozkazuje. Co myślisz osiągnąć przez takie małżeństwo?

- Niewiastę, której za rok nie będę musiał wyganiać, gdy tylko zemrze jej rodzic lub go wyżeną. A ze mnie to wielki kniaz, bym się nad Dobromira wynosił?

Umilkli. Mieszko brwi zmarszczył i żyły wystąpiły mu na czoło.

Bolko jakby na zaprzeczenie czekał, lecz nie doczekał się go.

Książę coś przeżuwał i wreszcie rzekł:

- Czyń, jak chcesz. Wstrzymać się jeno musisz, bo posiłki powiedziesz cesarzowi na Weletów. Samemu mi jechać nieporęcznie i niedawno słabować przestałem, a kogo bądź za siebie posłać nie mogę. Stoigniew na Pomorzu potrzebny, po Sobiesława posyłać za późno.

- Macie Przybywoja i Odylena - rzucił Bolko zgryźliwie.

Mieszko spojrzawszy na niego, gniew zamigotał w jego oczach, lecz odparł na pozór spokojnie:

- Do Lubuszy i Cydzyny na żupanów wyznaczeni, tedy jechać nie mogą.

W tej chwili obydwaj, ojciec i syn, pożałowali rzuconych słów, obaj zbyt dumni, by się cofnąć. W Bolku niezadowolenie z siebie podnieciło jeszcze gniew.

- Ja nie pojedę - rzekł - by kto nie myślał, że mi po sercu przymierze z cesarzem przeciw Weletom.

Patrzyli sobie w oczy. Wybuch zawisł na włosie. Mieszko opanował się pierwszy. Wargi mu jeno z lekka drżały, gdy rzekł:

- Pojedziesz tedy za mnie sprawdzić i ściągnąć zapasy ze wschodu.

I bogdajęś nie ujrzał cośmy już nieraz widzieli, że Weleci przeciw nam zrobią z Niemcami przymierze.

Bolko ochłonął tymczasem. Patrzył na pobladłą, postarzałą twarz ojca i żal począł brać górę nad dumą. Na jedno słowo ojca byłby ustąpił, lecz ksiązę wstał i rzekł:

- Tedy ja ruszam jutro, bo jeszcze szybko podróżować nie mogę. Ty też bardzo nie zwlekaj. Jeślibyś zaś jechać nie chciał, rzeknij od razu, pošlę Jaskotela.

- Pojadę - odparł Bolko prawie pokornie.

- Możesz odejść - rzucił ksiązę sucho.

Bolko wyszedł z pochyloną głową. Po jego wyjściu Mieszko siedział jakiś czas, ściskając rękoma skronie, w których łupało nieznośnie. Po chwili klasnął w dłonie i komornikowi polecił uwiadomić starszyznę, by o świcie huf postawili, gotowy do drogi. Oda niezwykle serdecznie zegnała małżonka. Nikt jej nawet donosić nie musiał, że między ojcem a synem zaszło głębokie nieporozumienie, które podtrzymywać i wykorzystać postanowiła.

XXVI

Między młotem a kowadłem

Na krańcu sadów przylegających do skarbieńskiego dworzyszczca, na schodzącej w łąki pochyłości siedziała Wrochna z dwoma synkami; starszym zwanym na cześć dziadka Skarbkiem i młodszym Michałem po stryju, który go do chrztu trzymał.

Dzień był niedzielny, popołudniowe słońce dogrzewało łagodnie. Miodny zapach dojrzewającego owocu wisiał nad sadem w spokojnym powietrzu.

Wrochna z trudem powstrzymywała chłopaków, by nie wybiegali na łąkę, na której Jaskotel z bratem Michałem szli o lepszą w rzucaniu oszczepem. Chłopcy wiedzieli, że wygra ten, kto rzucając z miejsca, gdzie utkwiał oszczep, dosięgnie jednej z wierzb stojących na przeciwległych krańcach łąki. Starszy trzymał stronę ojca, młodszy obstawał za stryjem i poszturkiwali się wzajemnie pokrzykując, gdy któryś z zawodników zręczniejszym rzutem choć o krok się posunął ku wyznaczonemu celowi. Zwycięstwo jednak wahało się długo. Jaskotel rozgrzany wysiłkiem rzucił kubrak obnażając się do pasa. Swoboda ruchów dała mu widoczną przewagę i wypierać jął przeciwnika, choć rzuty obydwu stawały się krótsze; zmęczeni już byli obydwaj. Mały Michał widząc, iż stryj przegrywa, złościć się zaczął wołając na ojca, by kubrak włożył, lecz ten zaśmiał się jeno i miotał dalej z wielką zręcznością. Zdało się już, iż Michała od przegranej nic nie uchroni.

Duży Michał jednak - a duży był istotnie, bo o głowę od Jaskotela wyższy, postawą i usposobieniem przypominający Gołucha, a oburęczny jak ojciec, widząc, że zmęczoną już prawicą nie sprostą Jaskotelowi, ujawszy oszczep lewą, od razu pierwszym rzutem nadrobił znaczną część utraconej przestrzeni. Teraz mały Skarbek jął przeciwieć się i dwaj malcy naprzód kłócić, a potem bić się zaczęli. Wrochna usiłowała ich uspokoić, krzyk zrobił się wielki, iż nie słychać było, że władarz Czyż nadchodząc z dala już coś woła.

Dopiero gdy zbliżył się, a chłopcy trochę przycichli, Jaskotel zauważył go i zapytał:

- Co tam, stary?

- Książ Mieszko przyjechał - odparł Czyż.

Porwali się wszyscy, przerywając zabawę i Jaskotel zarzuciwszy kubrak, co prędzej popędził z

Michałem ku dworowi, a za nim wiodąc dzieci za ręce podążyła Wrochna.

Książę zsiadł już z konia i na podcieniu ze starą Zbislawą rozmawiali, gdy nadbiegł Jaskotel i podejmując pana pod nogi, witał go z wyrzutami, że o przybyciu nie dał wieści, by godne przyjęcie przygotować.

- W gości przyjadę kiedy indziej, gdy sposobna pora pozwoli. Ninie jeno z drogi zboczyłem, by rozmówić się z tobą.

- Ale nie pogardzicie chlebem pod moim dachem, do Poznania jeszcze kęś drogi. Może byście przecie spoczęli? - mówił Jaskotel patrząc ze współczuciem na zmęczoną, poszarzałą twarz księcia. - Czekają sprawy tyle czasu, poczekają dzień jeszcze czy dwa. Z wyprawy przecie wracacie, to nawet koniom oddech się należy.

Uśmiechnął się Mieszko z porównania i odparł:

- Chlebem nie pogardzę, byle prędko. Konie też dopiero w stajni wypoczną, a inne się weźmie pod wierzch. Za mnie zaś nie ma komu dźwigać.

- Jakże?! - rzekł żywo Jaskotel. - Przecie pod nieobecność waszą kniaź Bolko nie żałował kości, by klęskę głodu odwrócić. I powiedziec trzeba, że zaradził wszystkiemu. Choć urodzaje nie dopisały, jako było do przewidzenia, obawy już nie ma. Zaraza też szczęściem już odeszła i trapić się nie ma o co.

- Pomówimy - rzekł książę wymijająco - tymczasem prowadź na posiłek, bośmy od świtu w drodze i zgłodnieli. Weszli do świetlicy, wraz z wojewodami Włastem i Prandotą i zasiedli za stołem, gdy przybrana już Wrochna we drzwiach się ukazała, a służba za nią niosła potrawy. Wrochna skłoniła się głęboko przed księciem, a on łaskawie pogładził ją po jasnych włosach mówiąc:

- To jest ta, co cię usidliła i trzyma, że zapomną wnet ludzie, iż wojak był z ciebie jeden z pierwszych, że o czym innym nie wspomnę.

Wrochna zarumieniła się, lecz Jaskotel śmiejąc się odparł:

- Samiście mówili, że nasz ród wam potrzebny, a od włóczenia się po świecie nie rośnie. Tedy z waszego przykazania doma siedziałem, a żem czasu nie stracił, wraz wam pokażę - i do Wrochny się zwracając powiedział:

- Pochwalże się przed kniazem, bo jest przed kim, choć czy jest czym niewiada.

- Prawda! - rzekł Mieszko - żem to jeszcze waszych dziątek nie widział.

Wrochna wyszła a książę ciągnął:

- Byle się w starego Auduna wdały, będzie się czym pochwalić.

Jaskotel pokraśniał i odparł:

- Starszy iście dziada przypomina, po którym i imię wziął. Kląć też już umie jak stary i bitnik z niego jest. Zasię młodszy do starego Wyszkota i do Gołuchów podobniejszy. Przerwało rozmowę wejście Wrochny z chłopcami. Starszy szedł śmiało, oczy mu świeciły z ciekawości i podniecenia; młodszy ociągał się i Wrochna za rękę wieść go musiała; gdy stanęli przed Mieszkiem, palec wsadził w usta i usiłował skryć się za brata, choć mu to nie szło, gdyż wyższy był od niego.

Książę, biorąc Skarbka na kolana, przyświadczył:

- Prawda, że do dziada podobny.

A zwracając się do malca zapytał:

- Będziesz taki jak dziad, mężny i wierny?

- Będę - rzekł chłopak z przekonaniem. - Ojciec mówili, że wnukowi waszemu mamy służyć, jak

ojciec waszemu synowi, a dziad wam. Mieszko uśmiechnął się, lecz jakoś niepewnie, jakby go coś ubodło. Wrochna dzieci wyprowadziła i rozmowa potoczyła się o świeżo ukończonej wyprawie. Książę wiozł wielkie łupy i dary, od cesarzowej otrzymane. Weleci już drugi rok z rządu znaczną klęskę ponieśli i Mieszko mógł żywić nadzieję, że spokój będzie miał od nich na Pomorzu zaodrzańskim, gdzie w Szczecinie, Wołgoszcy i innych grodach znaczne załogi zostawił, tak że i skandynawskim i duńskim rozbójnikom niełatwo byłoby Wolinowi zagrozić. Tym potrzebniejsze to było, że sprawa morawska nie przestawała drażnić stosunków z Czechami, a świeżo i Stefan węgierski przypominał sobie, że niegdyś Morawy do Węgier należały. Trzeba było na południe oczy trzymać zwrócone.

Kończyli posiłek, lecz książę, który umilkł pod koniec, siedział przybladły. Po chwili rzekł do Jaskotela:

- Spocząć muszę przed wyjazdem. Nie chcą mi już siły dopisywać.

Jaskotel porwał się i wiodąc księcia do swej komnaty i mówił:

- Bo ostalibyście! Pilnego macie co, skoczę po kniazia Bolka. Ze wszystkim moglibyście się zdać na niego.

- Czekaj, pomówimy. Po to ja tu wstąpiłem, choć znużonym i nieporęcznie mi było.

Weszli do sypialnej komnaty. Jaskotel pomógł księciu na łożu się ukłaść, po czym sam usiadł na ławie i nie odzywając się czekał. Mieszko leżał z przymkniętymi oczyma. Nie wiadomo, zadrzemywał czy dumał. Po dłuższej chwili ozwał się:

-Jako widzisz, siły moje na ukończeniu, ale nie praca; a trosk miast ubywać, przybywa.

-Jako widzisz, siły moje na ukończeniu, ale nie praca; a trosk, miast ubywać, przybywa.

Jaskotel ze współczuciem pomyślał, że książę iście już nie ten, którego znał, gdy sam zaczynał wojować, rzekł jednak:

- Wypoczniecie, to siły się jeszcze najdą. I w pracy wyręczyć się kim macie. Nawet dziwno, żeście kniazia Bolka za siebie na wyprawę nie wysłali. Wojownik z niego, jak nikt drugi. Mieszko zamyślił się, jakby się wahał, czy rzec coś, czy nie.

Wreszcie zaczął:

- Chciałem Bolka za siebie do cesarza wysłać. Odmówił.

Gdy Jaskotel milczał, ciągnął dalej:

- Prawił, że się nie chce wiązać z cesarzem przeciw Weletom. Nie wierzę w to. Rozumie on dobrze, że gdy wspólny nam wróg z cesarzem, razem go zwalczać należy, tym bardziej że i innych nam brak. Poznał zresztą młodego cesarza w Kwedlinburgu i widziałem, że się polubili. A cesarzowa mądra jest i mądrze chowa syna. Inny on będzie niż ojciec i dziad jego, co jeno siłą i podstępem rządzić i urządzać chcieli. Nie lękam się z nim wiązać, bo jednakośmy sobie potrzebni.

Mieszko zamyślił się, po chwili ciągnął dalej:

- W tym sprawa, że ciężę Bolkowi. A widzi, że słabnę i chciałby mnie zmusić, bym za życia władzę w jego ręce oddał. I oddałbym, gdybym nie widział, że nienawidzi braci swych i niechby mnie nie stało, wyżenie ich. Tedy, póki żyję, zabezpieczyć ich muszę i wiernych ludzi im ostawić, co by woli mojej złamać nie dali, gdy mnie nie stanie. A widzę - gorycz brzmiała w głosie księcia - że Bolkowi łatwiej dzisiaj skarbić sobie ludzi niż mnie. Nie dziw, korzystniej związać się z tym, co zaczyna, niż z tym, co kończy. Ciemny pąs wystąpił na twarz Jaskotela, po czym przybladł silnie, lecz nie rzekł nic. Mieszko zapytał wprost:

- Zgadujesz pewnie, czemu to mówię. Twojej wierności i męstwu opiekę nad nieletnimi i

dopilnowanie woli mej chciałbym powierzyć. Wiem, że wpływ masz na Bolka i winien ci coś, tedy niełacno na ciebie rękę podniesie. Inaczej nic go nie wstrzyma, by nie sięgnął po całe dziedzictwo, jak nic nie wstrzyma Ody, by pomocy nie wezwała swych krewniaków. Walka się zacznie, z której postronni jeno skorzystają i wniwecz pójść może praca mojego i przodków moich życia.

Książę skończył i patrzył na Jaskotela, naprzód pytająco, a gdy Jaskotel milczał zmieszany - badawczo. Nie doczekawszy się odpowiedzi Mieszko rzekł z gryzącą goryczą:

- Starczy mi za odpowiedź milczenie. Tedy widzę, że Przybywój i Odylen, których za zdrajców miałem, najwierniejsi. Jenom się po Audunowym synu, którego miłością darzył jak nikogo, nie spodziewał, by tej prośbie mojej odmówił. To rzekłszy książę z trudem zbierał się wstawać. Jaskotel pomoc chciał, lecz Mieszko odsunął go i rzekł:

- Niepotrzebna mi twoja pomoc. Jeszcze najdę dość siły, by zejść dokąd chcę.

Jaskotel przemógł się i ochryłym głosem, z zaciśniętymi szczękami rzekł:

- Gdybym się rozedrzyć potrafił na dwoje, anibym się zawahał.

Obaczylibyście, że czysty jestem.

- Dobrze! - rzekł Mieszko obojętnym głosem. - Może powiesz mi, czy wiadomo ci, że książę Bolko ze Zbrozłą przeciw mnie uradzał?

- Wiadomo - rzekł Jaskotel, blady jak ściana.

- Cieszę się, że przynajmniej szczerze przyznajesz, iż wiedząc o knowaniu nie ostrzegłeś mnie.

Książę ruszył ku drzwiom nie patrząc, że Jaskotel chciał coś odrzec. Jaskotel szedł za nim jak pijany potracając sprzęty. Gdy Mieszko dosiadł konia i skinąwszy obojętnie ręką, ruszył nie oglądając się, Jaskotel stał na podcieniu zaciskając kurczowo ręce. Oczy utkwione gdzieś przed siebie szklily mu się. Domownicy, którzy zauważyli, że zaszło coś niedobrego, rozeszli się cicho. Jeno stara Zbysława stała za nim, a widząc, że się zapamiętał, zagadnęła:

- Cóż się przydarzyło, że jako kolek stoisz i patrzysz nie widząc?

Spojrzał na nią półprzymtomnie i odparł po chwili:

- Trzeba by do ojcowej mogiły obaczyć, czy się prochy nie zarumieniły, że książę mi omal zdradę zarzucił.

- Głupiś! - rzekła Zbysława. - Ja wiem, że białe są, jako były i ty się rumienić nie masz czego.

Mogło cię trafić nieszczęście, jako i każdego, ale hańby w Audunowym rodzie nie było i nie będzie. Jeśli ci jeno własne serce nic nie wyrzuca, możesz nie baczyć na kniazia.

- A myślicie, że jego mi nie żal! - rzekł Jaskotel i trząść się zaczął gryząc palce.

XXVII

Chybione dziewostęby

Bolko jak na rozpalonych węglach oczekiwał powrotu ojca. Gdy jeno Mieszko zjechał do Poznania, zdał ojcu naprędce sprawę z tego, co działo się w czasie jego nieobecności, i wybierał się do Skarbna, by Jaskotela w drużby prosić i po oblubienicę do Budziszyna wysłać. Niemal nie zauważył, że książę wrócił ponury i małomówny. Załadowawszy cztery juczne konie bogatymi podarunkami dla Emnildy i Dobromira, Bolko puścił się w drogę w towarzystwie trzech jeno wojaków i dwóch pachołków.

Wyjechał o świcie i gnał jak ścigany, załując każdej chwili, która go od upragnionego związku dzieliła. Setnik Zębota z towarzyszami nadążali za nim jak mogli, lecz widząc, że pachołcy z

jucznymi końmi przyzostali, choć o zbójach koło Poznania z dawna nie było słyhać, nie chcąc przecie znacznych bogactw bez ochrony zostawić, powściągnął konia, póki juczne nie dociągnęły. Nie spodziewając się dognać księcia, Zębota pośpieszał jednak jak mógł, znając jego niecierpliwość. Tym niemniej późnym wieczorem dopiero do Śremu przybyli. Tam dowiedzieli się, że dobrze jeszcze przed zachodem Bolko przejeżdżał, lecz jeno spienionego konia wytrzeć i nakarmić kazał, po czym zaraz dalej ruszył do Skarbna. Zębota zanocował tedy w Śremie postanawiając wyjechać przed świtem. Szarzało też dopiero, gdy zanurzył się w puszcę, jaka od Warty ku Odrze się ciągnęła.

Bolko gnał tymczasem nie czekając na towarzyszy i o zmroku przybył do Skarbna. Przez otwartą jeszcze bramę wjechał na dziedziniec i odprowadzany przez sforę oszczekujących go psów, które zbiegły się ze wszystkich stron, zajechał przed dwór. Konia porzucił przy wejściu, którego nadbiegli pacholki do stajen powiedli, sam bez oznajmiania się do budynku wszedł i widząc światło w oknach świetlicy, do niej się skierował spodziewając się zastać tam Jaskotela przy wieczerzy. Zajęty jeno swymi myślami, nie zwrócił uwagi, że w Skarbnie jakoś inaczej wyglądało niż zazwyczaj. Przeszedł przez dobrze znaną, nieoświetloną sień i otworzył drzwi. Widok, jaki uderzył jego oczy, uprzytomnił mu dopiero, że coś jednak niezwykłego zająć musiało. W pochylonej postaci, wspartej czołem o stół, poznał Wrochnę. Nad nią stała Zbysława dłoń trzymając na jej głowie. Gdy Bolko wszedł, bystre swe oczy zwróciła na niego i przez chwilę patrzyła na księcia milcząc.

Bolko stał zaskoczony widokiem. Zbysława odezwała się pierwsza:

- Witajcie, panie! I wybaczcie, że was samych ostawię.

Jeno Wrochnę ułożę, wrócę zaraz.

Nie czekając na odezwanie się księcia wyszła z synową, która nawet nie skłoniła się, jakby nie zauważyła obecności Bolka. Twarz miała bladą, oczy splakane, w całej postawie wyraz rozpacz. Bolko, mimo znużenia, miast usiąść, chodził po świetlicy, zaniepokojony. Po chwili niecierpliwić się zaczął i już zamierzał wyjść, by dopytać się o Jaskotela, gdy posłyszał kroki powracającej Zbysławy.

- Nie miejcie mi za złe, że czekać wam dałam, ale uspokoić musiałam Wrochnę. Boję się o nią, bo spodziewa się znowu, a pohamować się w żalu nie umie. Zaraz służba wieczerzę wam przyniesie. Siadajcie.

- Stało się co z Jaskotelem? - zapytał Bolko niespokojnie.

- Wyjechał! - rzekła krótko i sucho Zbysława.

- Kiedy? Dokąd? Na długo? - zapytał Bolko prawie gniewnie. Wyjazd Jaskotela mieszał mu szyki i zwłokę wywoływał. Wciąż jeszcze Bolko myśli nie mógł oderwać od swoich zamierzeń, choć wiedział już, że zaszło coś niewesołego.

Wejście służby przerwało rozmowę. Gdy zostali sami Bolko powtórzył pytanie. Zbysława odparła:

- Kiedy? Dziś. Dokąd? Do Szwecji. Na jak długo? Nie wiem.

Bolko zerwał się rozdrażniony i niemal krzyknął:

- Właśnie teraz musiał wyjechać, kiedy mi potrzebny?

- Potrzebny wam? - zapytała Zbysława z gorzką drwiną w głosie. - To dbać trzeba było, by wyjeżdżać nie musiał.

- Jak to musiał? Nic nie rozumiem, gadajcie jasno.

- Nic nie rozumiecie, póki myśleć będziecie jeno o sobie - rzekła surowo Zbisława.

Nie nawykły do przygan, Bolko poczerwieniał i już miał gniewem wybuchnąć, lecz powstrzymał się. Lubił Zbisławę, szanował w niej wdowę po Audunie i matkę Jaskotela. Ochłonawszy zrozumiał też, że Zbisława mając swoje troski, o których przyczynę nawet nie zapytał, nie może się jego zawodem przejmować. Usiadł i prawie nieświadomie wziął się do jedzenia. Dopiero wtedy uprzytomnił sobie, że głodny jest i nie jadł dzień cały.

Wrychle jednak niepokój przemógł głód i Bolko ozwał się:

- Powiedzcie mi składnie, co się u was stało i czemu Jaskotel - jako rzekliście - wyjechać musiał. A nie dziwcie się mej niecierpliwości, ale w dziewosłęby go wysłać chciałem do Dobromira. Już się odwlekło, bo na powrót ojca czekać musiałem, a ninie nowa zwłoka.

- Z kniazem nie mówiliście? - zapytała Zbisława.

- Tyle jeno, że mu sprawę zdał, co było w czas jego nieobecności, i zaraz wyjechałem. Widziałem, że zły jakiś wrócił, ale się wywiedzieć czasu nie miał o co. Czyżby z kniazem coś zaszło?

- Książ Jaskotela o opiekę prosił nad synami Ody, gdyby zmarł. A Jaskotel, jako wiecie, przyrzec mu nie mógł. Tedy mu książ rzekł, że z wami przeciw niemu knowa, a Jaskotel zaprzeczyć nie potrafił. Książ mu niewierność zarzucił i pogardliwie pożegnał.

Bolko zachmurzył się. Po chwili rzucił:

- To znowu Ody robota. Ale nic mu nie grozi od kniazia. Czemu tedy mówicie, że wyjechać musiał?

- Sama mu kazałam. Jako ryba z ościeniem w grzbiecie się ciskał.

Wiecie jaki jest. Miłował i was i ojca waszego, za to go hańba ma spotkać? Niech szuka szczęścia gdzie indziej, gdzie go lepiej cenić potrafią. Z jego sercem, głową i ręką wszędy znajdzie przyjaciół, a i swojaków nie brak nam na północy. Chcecie się drzeć z rodzicem, wasza rzecz. Ale nie będzie Jaskotel jako łachman między psami.

Bolko prawie nie słyszał ostatnich słów Zbisławy. Wicher gniewu i wściekłości na Odę zatargał nim, aż zjeżył mu się włos i w oczach poczerwieniało. Rozumiał jednak, że wybuchem nic nie wskóra przeciw jej zimnej i wyrachowanej złości i uspokajał się pomału. Natomiast ogarniać go zaczęło przygnębienie. Oddanego przyjaciela, do którego był przywiązany i na którego liczył, tak jakby utracił. Ojciec jeszcze nieufniejszy będzie. A dziewczyna, pierwsza, która w jego sercu obudzić potrafiła nieznane dotychczas uczucie, czeka tam w niepokoju, zali nie zaszło coś, co wniwecz obróci spodziewane szczęście. Bolko zapragnął samotności i rzekł:

- Wybaczcie! Znużony jestem i spocząć chciałbym.

Zbisława bez słowa wzięła płonąca szczapę i poprowadziła Bolka do przygotowanej dla niego sypialni. Milcząc skłoniła się i wyszła. Bolko pozostał sam ze swymi myślami.

Pierwszą z nich było, by puścić się za Jaskotelem. Lecz po krótkim rozważaniu odrzucił ją. Gdyby go nawet dopędził, prawie pewne, że Jaskotel nie zawróci; znał go. A przy tym jakoś nie chciał go teraz widzieć. Czuł słusność w wyrzutach Zbisławy i widział, że Jaskotela spotkała

krzywda, której on był winien. Znał jego miłość do starego księcia. Nie trzeba go było mieszać w tarcie z ojcem. Wrócił myślą do Emnildy i przez chwilę zastanawiał się, czy nie udać się do Stoigniewa z prośbą, by po nią pojechał: Stoigniew nie odmówi, ale gdzie i kiedy go najdzie i czy będzie mógł zaraz jechać?

Odrzucił i ten zamiar głowując się dalej. Można by posłać Zębotę z zawiadomieniem, że zwłoka zaszła, ale cóż z tego przyjdzie? Zębocie nie może wyjaśnić przyczyn zwłoki, a sucha wiadomość jeno większy jeszcze niepokój obudzić może w kochanej dziewczynie. Sam pojedzie po nią.

Postanowiwszy to, rzucił się na łożo, jak stał, by wypocząć i doczekawszy jeno przyjazdu Zęboty dalej pociągnąć. Lecz znowu nasuwać mu się zaczęły wątpliwości. Nie ma obyczaju, by młody sam odbierał narzeczoną, jak kupioną klacz, i jeszcze w tak nieokazałym orszaku. Gdyby Dobromir był równy polańskim kniaziom, może by się Bolko nie wahał. Ale Dobromir pomyśleć gotów, iż za nic go mają i lekceważenie chcą mu okazać. Co gorsze, tak może też zrozumieć i sama Emnilda.

Głowił się jeszcze, nie nawykły ustępować przed przeciwnościami. Przemogła tęsknota za jej widokiem. Nie może pojechać po nią, pojedzie do niej. Sam wszystko najlepiej wyjaśni. Jemu i jej łatwiej czekać będzie. Poczul ulgę, odetchnął głęboko i za chwilę usnął.

Zbudził się o świcie, wstał i wyszedł na dziedziniec. Niecierpliwiło go, że czekać musi na Zębotę, lecz rozumiał, że orszak, jadąc z jucznymi końmi, zanocować musiał po drodze i najwcześniej o dobrym słońcu może nadciągnąć. Wałęsał się tedy Bolko bez celu unikając domowników. Odmówił nawet zaproszenia na ranny posiłek i liczył chwile do przyjazdu Zęboty. Czas płynął i niecierpliwość przechodziła w gniew. Bez ochyby dawno już nadjechać powinni, tymczasem minęło południe i nie było widać nikogo. Gniew Bolka przeszedł w niepokój. Przejadł coś naprędce i konia kazawszy sobie osiodłać, z kopyta ruszył z powrotem ku Śremowi. Gdy jednak wyjechał na otwartą drogę, z dala dostrzegł nadciągających. Znowu gniew porwał go na widok wlokących się krok za krokiem i pognawszy konia dopadł ich za chwilę. Gdy dojeżdżał, zrozumiał jednak przyczynę spóźnienia. Jadący na przedzie Zębota rękę miał przewiazaną, jeden, z jucznych koni kulał, na drugim zaś, przewieszane przez juki, zwisały zwłoki jednego z pachołków.

Osadził konia i bez powitania zapytał:

- Kto was napadł i gdzie?

- Jenośmy ze Śrema w bory wjechali. A kto? Myślę, że nie zbóje - odparł Zębota.

Popatrzyli sobie z Bolkiem w oczy i obaj zrozumieli, że myślą to samo.

Ruszyli ku dworowi; Bolko zrównał się z Zębotą i po chwili milczenia, przez zaciśnięte zęby zagadnął:

- Opowiedzcie, jak było.

- Trudno opowiedzieć. Dziwne to wszystko i napad i to żeśmy z niego wyszli. Ktoś musiał wiedzieć, gdzie i z czym jedziemy i zasadzkę urządził. A chytrze, bo z obu stron drogi bagno tam i gąszcz, z przodu zaś za zakrętem mostek na strudze. Nikt się niczego nie spodziewał, gdy z nagła od tyłu sypnęły się strzały. Teszek od razu, jak siedział, tak został na koniu martwy, a ja strzałą dostałem w rękę. Skoczyłem naprzód. Stoją za mostkiem, groty ku nam wymierzone. Widzę, źle. Zeskoczyłem z konia, by za niego się schować i na swoich krzyknąłem, by do łuków się brali... Nie wiem, czym się na mgnienie oka odwrócił; gdym znowu spojrział, dwóch co stało przy mostku na ziemi leży i jeno jakiś tupot po krzaczach.

Niewiele myśląc skoczyłem na koń i pognaliśmy przed siebie. Nie zastępował nam nikt, jeno od tyłu jeszcze kilka strzał świsnęło, z których jedna konia ugodziła w nogę. Co to było, nie wiem,

jenom tyle zmiarkować zdołał, że ci co leżeli, z ubioru i broni nie na zbójców wyglądali. A obydwaj od strzał legli z tyłu puszczonej. Umilkł i jakby czekał na odezwanie się księcia. Bolko jednak zaciął się i w milczeniu doczłapali do dworu. Nie zsiadając z konia Bolko Czyża zawołać polecił. Teszka kazał pochować, Zbislawę pożegnać i ostawiwszy rannego konia, ku zachodniej bramie skierował się bez słowa. Jechał ponury i zamyślony, a Zębota obok niego nie ważąc się pytać.

Jechali tak w milczeniu, aż słońce zniżać się zaczęło. Dwukrotnie minęli jakieś osady, bez zatrzymania się, a choć znużeni i głodni tęsknie ku nim spoglądali, nikt księcia zagadnąć nie śmiał. Zapadło wreszcie słońce za widnokrzęciem, zapłonęły czerwone zorze i pomału zapadał mrok. Ostatnie już blaski dnia świeciły na niebie, gdy wśród kęp liściastych drzew zamajaczyła przed nimi mała osada Bukowiec.

Ludzie już ledwo trzymali się na koniach, które też nogi wlokły i Zębota postanowił jednak do księcia się zwrócić, by spocząć pozwolił, gdy Bolko sam postanowił:

- Tu zanocujemy.

Zajechali przed niski i dość obszerny, choć nędzny dom i księżę z konia zeskoczywszy szedł do chaty.

W progu zjawiał się gospodarz, stary sługa Audunów, Sęk, który dozór miał nad rybitwami na leżących opodal jeziorach. Poznawszy Bolka do kolan mu się skłonił i rozwarłszy przed nim drzwi, wiodące z sieni do izby, przepuścił go przed sobą. Siedzący przy stole domownicy zerwali się na widok wchodzących, a Sęk izbę im opuścić kazał, zaś żonie wieczerzę dla przybyłych zgotować.

Bolko siedział milcząc. Dopiero gdy wieczerzę podano, polecił przywołać Zębotę, a gdy wszedł, ręką mu wskazał ławę naprzeciw siebie i w milczeniu się pożywiali. Gdy skończyli, gospodyni zebrała statki i pościeliwszy legowisko na noc, wyszła. Zostali sami. Wówczas Zębota zapytał:

- Jakie rozkazy wydacie na jutro?

- O świcie dalej ruszymy - odparł Bolko.

Zębota zapytał z wahaniem:

- Raczycie powiedzieć dokąd?

- Do Budziszyna.

Zębota, jeszcze pod wrażeniem rannego napadu, oczywiście przeciw księciu wymierzonego, mimo iż widział niechęć do rozmowy, przemógł się jednak i rzekł:

- Obcy tam przecie kraj, a nas pięciu jeno, i to ja nie na wiele zdam się, bom ranny i gorętwą mnie bierze.

- Możesz ostać. Pojedziemy bez ciebie.

Zębota zarumienił się:

- Znacie mnie, że nie o siebie stoję, jeno o was - odparł, a żal brzmiał w jego głosie.

- Wybacz, wiem, że strachu nie znasz, ani ja też. Dlatego pojedziemy.

Ale Zębota, gdy raz wywiódł księcia z milczenia, nie myślał kończyć, zanim wypowie, co ma na sercu:

- Bać się czy nie bać, zajedno, gdy z przemocą czy zdradą sprawa.

Łakoma wasza osoba. A gdy w swoim kraju, jako widać, ostrożność zachować trzeba, tym bardziej w obcym. Po prawdzie w Milsku niemieckie panowanie.

- Ale Ekkehard z kniazem w zgodzie żyją i świadczą sobie wzajem - odparł Bolko.

- Z Odą też - bąknął Zębota.

Umilkli i patrzyli sobie w oczy. Wreszcie Bolko ozwał się znowu:

- Co ma być, niech będzie. Obaczyć muszę Emmildę.

Zębota westchnął. Nie było co odrzec.

* * *

Suche lato wyssało wilgoć z ziemi. Spękana i dysząca żarem, czekać się zdała na ulgę wieczornego chłodu, choć ni kropla rosy nie odświeżała spieczonych roślin. Mimo że jesień dopiero nadchodziła, trawy były już rude, a liście drzew zaczynały więdnąć i żółknąć. Po zachodzie wstawała z ziemi jakoby szejzoga powodując dziwne i długotrwałe zorze, do późna nieraz świecące. Gdy te gasły, raz po raz, dalekie, ciche błyskawice rozświetlały nieboskłon zwiastując udręczonemu stworzeniu, że próżna nadzieja na ulgę ochłody. Znowu nie dopisały urodzaje, przerzedzona morem zwierzyna skąpo dostarczała pożywienia. W wyschłych stawkach, zalewach i rzecznych zakamarkach gniły niezliczone ilości śniętej ryby, zatruwając wokół powietrze.

Dni niosły udrękę, a ciche, bezwietrzne noce niepokój, który czaić się zdawał w milczeniu, ogarniającym ziemię z zapadnięciem mroku. Ciche też stały bory, ciągnące się od Nysy ku gościńcowi wiodącemu z Niemczy do Budziszyna, pod sam gród niemal dochodzące. Zuchwalstwem się wydały odgłosy, które nagle zakłóciły trwożną ciszę lasu.

Tupot kilku koni, trzask suszu pod kopytami i szelest rozsuwanych gałęzi poszycia zbliżał się do gościńca, a po chwili wyraźnie zabrzmiał śmiały głos ludzki:

- Dojechaliśmy szczęśliwie. Jeśli czyhał kto, to na gościńcu.

- Jeszcześmy nie dojechali, a wracać też trzeba.

Odpowiedzi już nie było, gdyż w tej chwili pierwszy z jeźdźców wynurzył się na gościniec i spiąwszy konia pognał nie oglądając się na innych.

Zębota wyjechał z przydrożnych krzów na gościniec i wstrzymując konia z westchnieniem, mruknął do siebie:

- Żeby nie kochanie, nigdy by człek nie skosztował głuszca.

Półgłosem pozostałych zaczął nawoływać, by pośpieszali. W dali ginął już tętent pędzącego konia, któremu skrzydeł brakło, by uczynić woli swego pana zadość.

Bolko wypadł z lasu na otwarty pas stojących w ścierni pól. Jeszcze gaik musi minąć nad strugą, za którym już pierwsze osady Budziszyna, a w parę stajań i gród Dobromira. Jeno mignęła polana i wpadł w cień gaju. Nagle koń chrapnął i rzucił się w bok. Ściągnięty silną dłonią, bił kopytami, lecz uspokoił się zaraz.

Bolko rozejrzał się, co spłoszyło rumaka i spostrzegł schodzącą z wyniosłości nad drogą jakąś postać w jasnej szacie, której widocznie koń się przeląkł. Zakląć chciał zniecierpliwiony, lecz w tej chwili zeskoczył na ziemię i podbiegł naprzeciw nadchodzącej.

Radość i zaskoczenie brzmiało w jego głosie, gdy zawołał:

- Was to widzę, Emmildo?! Skąd wy tu?

- Czekałam na was, już myślałam, że daremnie.

Głos miała wysoki, dźwięczny, jeszcze trochę dziecinny, jak dziecko też wyglądała przy roslym i barczystym młodzianie, gdy podszedłszy patrzyła w górę, by ujrzeć jego oczy. Mimo woli ujeli się za rękę. Bolko pochylił się, by przypomnieć tę twarz, raz jeno w życiu widzianą, czy taką jest, jaka mu w pamięci utkwiała. Ciemno było jednak i patrzeć musiał z tak bliska, że usta ich zetknęły się mimo woli. Ciemno było i dlatego nie widział jaskrawego rumieńca, jakim zapłonęły lica dziewczyny. Nie znane mu wzruszenie zmiotło jak fala wszystkie złe uczucia i wspomnienia. Cofnęły się gdzieś w głąb, bo miejsca dla nich nie stało. On, który nawykł kobiety brać bez pytania, zmieniać je jak ciżmy,

gdy były niewygodne, drżał trzymając jej rękę. W ponury wieczór późnego lata zapachniało mu wiosną: świat się odmienił, zniknęli ludzie, był tylko on i Emnilda.

Chwila olśnienia minęła jednak jak letnia błyskawica. Zatrętniło na drodze. To nadjeżdżał Zębota z orszakiem. Bolko przystąpił do konia, który pasł się tymczasem przy drodze i ująwszy go za uzdę wyszedł na gościniec. Oddając go nadjeżdżającemu Zębocie rzekł:

- Zaczekajcie na mnie przed grodem. Wraz tam nadejdziemy.

Przeczekał, aż cienie jeźdźców zniknęły w mroku i ujmując nieśmiało rękę Emnildy powtórzył pytanie:

- Skąd wy tu?

- Czekałam na was.

- Na mnie? Przecie dziewczosłęby miały przyjechać, nie ja.

- Był przecie od was posłaniec.

Bolko aż oniemiał ze zdumienia:

- Ode mnie? Kiedy? Kto?

- Wczoraj, stary człek z dziwnymi oczyma. Jak się zwie, nie mówił.

- Zauważyła zdumienie Bolka i zapytała:

- Nie wysłaliście go?

- Nie! - odparł - ale się domyślam, kim był posłaniec.

Opowiedział o napadzie. Emnilda niespokojnie przytuliła się do niego i szli ku grodowi. Kończą się chwile miłej samotności. Jakby je chcąc przedłużyć, Emnilda przystanąła mówiąc:

- Przrzeczcie mi, że baczyć będziecie na siebie.

- Juści, że się strzegę. Nie myślę macosze ustąpić. Pilnują mnie zresztą i inni, jako widzicie.

- Pomnijcie, że bez was nie widzę już życia.

Głos jej drżał. Bolko przytulił dziewczynę do swej piersi szerokiej i rzekł:

- Będziecie wszystkim dla mnie.

Stary Zębota czekał cierpliwie i uspokajał znużonych, głodnych towarzyszy.

- Raz się jest młodym - mówił.

Wreszcie dostrzegli jasną plamę sukni Emnildy w mroku, a przy niej cień Bolkowej postaci.

- A i tak zasadzka była na drodze - mruknął stary do siebie.

XXVIII

Rozejm z ojcem

Zimę przesiedział Mieszko w Poznaniu, z powodu złego stanu zdrowia prawie się z grodu nie ruszając. Jeno kilka razy jeździł do Gniezna, gdzie samotnie na starym gródku przesiadywał. Dużo też czasu spędzał przy grobie Dobrawki dumając czy modląc się, nie wiadomo; nie zwierzał się nikomu.

Zaraz po ślubie Bolka, który z młodą żoną do Krakowa wyruszył, książe wysłał poselstwo do Rzymu, które wybadać miało, czyby korony nie dało się uzyskać. Dobra przyjaźń z cesarzową zdawała się obiecywać, że nie będzie przeszkód z tej strony. W Rzymie jednak, zawsze jeszcze nieufnym, mieli i inni swoje wpływy. Stefan, z którym się spór zaczął o Morawy, i Bolesław czeski nie omieszkali swoich użyć, by zamiary Mieszka chybiły. Oda, która przez swych krewniaków popierać miała starania księcia, nie mogąc od zamkniętego w sobie małżonka wydobyć, komu po sobie koronę przekazać zamierza, wołała, by jej nikt nie otrzymał. Korona na głowie Bolkowej

przekreślić mogła wszelkie jej rachuby. Przypisując Pobożnemu chybiecie swych zamiarów, choć niechęć do pobratymca zapiekła się w duszy Mieszka, z rozsądku zgodził się na pośrednictwo cesarzowej w skojarzeniu pokoju między nim a czeskim królem. Przyjechał z poselstwem graf Zygfryd ze Stade, a z nim Guncelin, którego Mieszko nie widział od dawna. Powitał go mile, a nawet z pewnym wzruszeniem, bo mu zmarłą małżonkę przypominał. Im więcej lat upływało od śmierci Dobrawki i postać jej w pamięci Mieszka zaczynała się zacierać, tym częściej nawiedzały go wspomnienia i tęsknota za zmarłą. Wraz z tęsknotą myśl księcia zwracała się do życia za grobem, w które wierzyła zmarła żona. Pragnąc zaczął, by istniało, by spotkać mógł jeszcze jedyną istotę, od której doznał tylko dobra. Ileż trosk ominęłoby go, gdyby żyła! Dobre stosunki z Bolesławem czeskim dawały mu wolną rękę nad Odrą, którą ninie okupywać musiał niemiłym mu i skądinąd niekorzystnym związkiem z Niemcami. Nie byłby usunął się Zbrozło, a co najważniejsze, nie byłaby Oda stała między ojcem a dziećmi. Jak stary Ziemomysł, mógłby ciężar rządów i wojen zrzucić na Bolka, a wnukom po nim poświęcić swe uczucie, którym obdarzył młodsze dzieci. Miast zbliżenia się z pierworodnym, stawało się to przyczyną tarć między nimi, zatruwających mu starość, źródłem rozterki między obawą o los dzieła całego żywota, a troską o przyszłość młodszych synów.

Poczuwszy się z wiosną silniejszy księżę ruszył na Pomorze, zmiany bowiem w Wolinie wymagały jego obecności. Sigwald, którego pijackie przysięgi i przechwałki, wbrew rozsądkowi, pognały na wyprawę do Norwegii, poniósł klęskę od jarla Hakona i syna jego Eryka pod Hierungavaag i do Jomsborga już nie wrócił. Wyjechał do Danii, gdzie został jarlem Skonii. Bractwo obrało swym wodzem znanego szeroko na Bałtyku pirata, Olafa Trygvesona. Należało z nim ułożyć stosunki, by pokój mieć na północy. Gdy lato skwarne nastąpiło, księżę powrócił do Poznania, lecz długo tu nie zabawił. Rozpatrzył jeno bieżące wiadomości, z których najważniejszą była, że młody Wojciech Sławnikowic, którego osadzenie na biskupstwie w Pradze zdawało się zwiastować pokój między Przemyślidami a Sławnikami, wraz z bratem Radzimem i towarzyszymi Boguszem i Astrykiem opuścił swą stolicę i do Rzymu się udał. Młody, surowy i nieustępliwy biskup uczynił pierwszy krok na drodze, która wiodła do zupełnej zagłady jego rodziny, a skończyła się własnym jego męczeństwem. Ród Sławnika przyjazny był statecznie Mieszkowi, Wojciech wielkie miał poważanie u młodego cesarza, a szczerze lubili się z Bolesławem. Ta sprawa wymagała bacznej uwagi.

Upały i susza pozbawiały Mieszka snu i chęci do jadła. Znowu do Gniezna wyjechał, gdzie chronił się przed spiekotą w kościele. Chłód i spokój kołły udrękę ciała, a z trosk swych zwierzał się przed zimnym kamieniem, który odciął Dobrawkę od niego. W uszach miał wciąż jeszcze głuchy huk zapadającej płyty nagrobnej. W pamięci jego w dziwny sposób kojarzył się z ulgą, jaką odczuł w tym najcięższym okresie swego życia, gdy syn, którego już się ujrzyć nie spodziewał, jakby cudem przywrócony, spełnił ostatnie życzenie matki i pożegnał ją, nim zniknęła na zawsze. Częstokroć późną nocą dopiero wracał księżę na gród, by znowu, usiadłszy przy otwartym oknie, patrzeć na Święte jezioro i rozpościerający się za nim las, gdzie w cieniu drzew odwiecznych stały ojców mogiły. Czuł nadchodzący kres życia i przykrą mu była myśl, że nie spocznie koło nich. Przez chrzest odciął się od przeszłości, której byli wyrazem. Wówczas jednak wiedział, że czyni to, co musi i powinien. Teraz zaczynały go nalatywać wątpliwości. Oto żyje i opiera się siłom jego i niemieckim pogańskim związkiem weleckim. Czy jednak naprawdę nie było sposobu, by połączone siły przeciw wspólnemu wrogowi skierować? Taką była niewątpliwie myśl Zbrozły. Jednak i on nic poradzić nie zdołał. I znowu zmęczony umysł księcia szukał ucieczki we wspomnieniu Dobrawki; przez nią przyszedł chrzest i

nowa wiara, wszystko co przyniosła, było dobre, i to nie może być złe. Spokój i wypoczynek pomалу jednak przywracały Mieszkowi równowagę. Upalne lato kończyło się, z chłodnymi wieczorami nawiedzać zaczął Mieszka ożywczy sen. Sił mu przybyło i zamyślał o wyjeździe. Wiele spraw wymagało jego obecności.

Postanowiwszy wyjazd, swoim zwyczajem nie zwlekał i wydał polecenie, by orszak o świcie stał gotowy. Wieczorem poszedł pożegnać grób Dobrawki.

Wiadomo było wszystkim, iż księżę nie życzy sobie, by mu w rozmyślaniach przeszkadzano, toteż z niechętnym zdziwieniem posłyszał jakieś kroki, przez nawę ku ołtarzowi zmierzające. Mieszko zmarszczył się gniewnie i powstał. Ciemno już było, niewielkie okna zaledwie już świeciły ostatnimi odblaskami gasnącej zorzy.

Nadchodzący zbliżył się i księżę poznał Bolka. Gniew ustąpił miejsca radości. Tutaj Bolko synem jego był tylko, jedno ich sprowadzało, to samo tutaj myślą i czują. Bolko bez słowa dłoń ojca ucałował, po czym przyklęknął i pogrążył się w modlitwie. Mieszko stał i nawykłymi do mroku oczyma patrzył na postać syna; choć pochylony był pokornie, zdawała się od niego promieniować siła.

W piersi księcia wzbierała ojcowska duma i ogarniało go niewyrozumowane poczucie, że z wolą jego czy bez, to jest jego właściwy następca, który rozpoczęte przez ojców dzieło dalej ma prowadzić. Uprzytomnił sobie natychmiast stary księżę, że tarcia i zgrzyty, które między nimi tylekroć zachodziły, źródło swe mają właśnie w tym, że są podobni. Dumni, zamknięci w sobie, myślą sięgający daleko, wytrwali w dążeniach, uparci w zamiarach. Tylko Bolko ma w sobie nieokiełzaną siłę i niecierpliwość swych dwudziestu lat i nie może rozumieć, jak gorzko jest ustępować temu, który przez całe życie ustępować nie nawykł, a za władzę, która wymykać się zaczyna ze słabnącej ręki, zapłacił wszystkim. Niechby syn pozwolił mu dokończyć żywota nie dając mu odczuć goryczy słabości. Potem i tak zrobi co zechce. Bolko jednak zrozumiał; zrozumiał, czego szukał tutaj ten stary, sterany walką i pracą człowiek. Siła, której poczucie rozsadzać się zdało potężną pierś Bolka, dawała mu przeświadczenie, że przeznaczone mu zadanie będzie spełnione, jakiegokolwiek przeszkody staną na drodze. Stać go na słabość dla ojca, który siły swe zużył zakreślając zręby i kładąc podwaliny budowli, jaką on ma dalej prowadzić.

Bolko wstał. W zupełnym już prawie zmroku rękę wyciągnął ku ojcowskiej dłoni i raz jeszcze ją ucałował, po czym rzekł półgłosem:

- Szukałem was, by wam oznajmić, że Emnilda powiła córkę. Śpieszyć muszę z powrotem, a prosić was chciałem, byście zezwolili imię jej nadać matki mojej; dlatego was tu niepokoję. Księżę długo nie odpowiadał, tak iż Bolko dziwił się już. Wreszcie poczuł, jak ręce ojca ujęły jego głowę i pochyloną przygarnęły do piersi, podnoszonej nierównym oddechem.

Wyszli i przystanęli przed kościołem. Mieszko spokojnym już głosem powiedział:

- Jutro jadę do Poznania, a ty?

- Wracam już do Krakowa, a potem zaraz na Morawy ruszam. Co się stało w Pradze, wiecie?

- Wiem. Z pośrednictwa cesarzowej nic nie wyszło. Ani chybi do wojny z Pobożnym sposobie się trzeba. Lepiej, że zaraz pojedziesz. Szli rozmawiając ku gródkowi. Noc już zapadła, żółty księżyc wychylił się zza borów; mgła wstawiała z jezior i bagien. Z rzadka ptak błotny gdzieś zakwilił; głos dochodził jakby z wielkiej oddali, nie zakłócając spokoju i ciszy, ogarniającej gródek i podgrodzia. I w sercu Mieszka spokój był, od dawna nie zaznany.

Mieszko trafnie przewidywał, że wypadki wskazują na nową wojnę z Czechami. Jeno wiosna starła śniegi z ziemi i ruń zielona okryła pola, wraz z ptactwem przelotnym przybyły wieści z południa, że na całej czeskiej granicy zawrzały utarczki. Nie była to jeszcze wojna, ale pewna jej zapowiedź.

Mieszko był dobrej myśli. Wiosna wróciła mu siły, obawa, iż ruski Włodzimierz wspomóżę Pobożnego, zniknęła. Ruski książę przymierze zawarł przeciw Pieczyngom z Bazyliem Bułgarobójcą, ochrzcił się wedle wschodniego obrządku i wyruszył na Cherson. Sprzyjał czeskiemu Bolesławowi, lecz ważniejsze było dla niego uzyskanie wyjścia na Czarne Morze, i połączenie z rzutkim i przedsiębiorczym cesarzem, który państwo swe rozpostarł od Dunaju po Syrię i Kaukaz. Bolko, który na wypadek wojny z Rusią ciężar jej miał dźwigać na sobie, wolny był i wraz w pole wyruszył dając dotkliwie odczuć wujowi swą ciężką rękę na Morawach i Słowacyznie. Mieszko domyślał się i miał pewne wskazówki, że nie tam król czeski zmierzać będzie do rozstrzygnięcia nie gasnącego sporu i mając na południu zwolnione ręce, gotował się do rozprawy i czekał, gdzie nastąpi właściwe uderzenie. Nie liczył na przyrzeczoną pomoc niemiecką i zbierał siły, zdolne zapewnić samemu zwycięstwo. Nie było tajnym Odzie, że Mieszko spotkał się z synem w Gnieźnie, choć księżę z niczym się nie zwierzał i nietrudno było zauważyć, że stosunki między nimi się poprawiły. Któryś z nich drugiemu ustąpić musiał, a Oda, znając nienawiść pasierba ku sobie i nieskrywaną chęć objęcia po ojcu całego dziedzictwa, nie wątpiła, że ustąpił Mieszko, by sobie spokój na stare lata i niezbędną wyrękę ze strony syna zapewnić. Mieszko utrwalił ją jeszcze w tym przekonaniu, na zapytanie jej bowiem, czy coś dla ochrony działów młodszych synów obmyślił, odpowiedział znowu, że jeszcze nie umiera, a pilniejsze ma sprawy na głowie.

Istotnie wydawał się rzeński i z dawną rzutkością jął się przygotowywać do wyprawy. Oda nie ludziła się jednak. Mieszko często zapadał na zdrowiu, któraś choroba okaże się ostatnia. Na wyprawie swym zwyczajem szanował się nie będzie, znowu stera ledwo odzyskane siły. Oda nie da się zaskoczyć wypadkom. Bolka trzeba na czas usunąć. Ostatnia próba dała jej do zrozumienia, że Bolka strzeże ktoś od niej chytrzejszy, należało się jąć innych sposobów.

Wiosna już była w pełni, gdy Mieszko z wojskiem wyruszył przez Międzyrzecz na Krosno. Doszły go wieści o gromadzeniu czeskich sił koło Niemczy, Gubina i Szydłowa. Widocznie brody będą chcieli zająć na Odrze i przeciąć połączenie między Śląskiem a Lubuszą. Zamiar był śmiały, a w razie udania się groźny; Mieszko nie sądził jednak, by bez ruskiej pomocy Pobożnemu sił na jego wykonanie starczyło. Poprzestał tedy na razie na rozbudowie umocnień nad Odrą, w stosownym czasie zamierzając obsadzić Niemczę i ziemię Bobrzan i Dziadoszan i odciąć przez to Czechów od Weletów, a uzyskać połączenie z Ekkehardem, któremu, mając dość wolnych sił, pomógł wyprzeć resztę Bawarów i Czechów z Milska i Łużyc. Już przez to samo położenie Pobożnego pogorszyło się, nie miał bowiem tyłów bezpiecznych, gdyby związał się walką z Mieszkiem na Odrze. Lato upłynęło bez większych walk i z nastaniem słotnej pory Mieszko wrócił do Poznania nie spodziewając się, by Czesi jeszcze w tym roku coś przedsięwziąć mieli. Sądził raczej, że doczekawszy ruskiej pomocy wraz z Włodzimierzem, który uporał się już z Pieczyngami, na wiosnę uderzą: czas należało wykorzystać. Powrócił i Bolko do Krakowa, gdzie drugą córę powitał, której imię Regelindy nadano.

Oda z ulgą powitała wiadomość, że Bolko nie dostał dziedzica, którego się spodziewał. Nie

znalazła dotychczas sposobności wykonania swych zamierzeń. Pierworodnego Bezpryma, nie lubianego i zanedbanego, nie obawiała się. Gdy przyjdzie pora, za byle co kupić go zdoła.

Nielatwo ktoś z oddanych jej ludzi zbliżyć się mógł do Bolka, który szpiegów swych miał na jej własnym dworze, co nieraz ze złością stwierdziła. Najlżejsza przy tym poszlaka nie śmie jej obciążyć, nie wątpiła zarówno o tym, że przeciw niej zwrócą się podejrzenia, jak i że stary książę tego by jej nie darował. Mieszko, który na chrzcinach pierwszej wnuczki nie mógł być obecny, chcąc Bolkowi i Emmildzie serce okazać, sam postanowił wyruszyć do Krakowa, po drodze także inne grody odwiedzając, z dawna bowiem nie był na południu i wschodzie swego państwa. Gdy jeno mróz drogi ustalił, wyruszył nawet na Gody nie czekając, które w Krakowie chciał spędzić. Oda została w Poznaniu, przez księcia jego życzenia i podarunki dla nowonarodzonej przesyłając. Choć obydwój z Bolkiem wiedzieli, co o sobie myśleć, chytra i przewidująca niewiasta unikała zawsze otwartych objawów swych uczuć, obecnie zaś choćby pozorną poprawą stosunków potrzebna była dla jej zamiarów. Pod nieobecność księcia miała też wolniejszą rękę i jak zazwyczaj wielmożów na Gody sprosiła wiedząc z góry, że przyjdą jeno ci, co jej sprzyjają, a nie będzie poszlaki, że umyślnie kóregoś sprowadzała.

Toteż na wieczerzy wigilijnej nieliczne tylko zebrało się grono. Prócz dworskich Ody i biskupa Ungera z kilku kościelnymi dostojnikami, jeno Przybywój był obecny. Odylen i kilku jeszcze wielmożów na same święta przybyć mieli. Nie dbała zresztą o to, dogadzało bowiem jej zamiarom bez zwracania uwagi z Przybywojem się rozmówić.

Biskup, choć przyjęła go niemal pokornie, sztywny był jako zazwyczaj. Prócz paru słów błogosławieństwa, prawie się nie odzywał i wczesnie odszedł, pod pozorem nabożeństwa. Wiedziała, że i on nie należy do jej stronników. Choć i z Bolkiem jego stosunki nie były zbyt zażyłe, nietajne było Odzie, że przeciwny jest zamiarom jej, by drugą diecezję lub, gdyby się dało, nawet prowincję kościelną w państwie utworzyć, która by objęła kraje jej synom przypaść mające, by i oni biskupa mieli dla umocnienia swego stanowiska. Unger widział w tym zamach na swoje prawa, których zazdrośnie strzegł, i dlatego Oda nie wątpiła, że raczej Bolko znajdzie w nim stronnika. Tym gorliwsze czyniła zabiegi i łożyła na misyjną pracę na Pomorzu, Kujawach i Mazowszu, które wedle jej zamierzeń podstawą miały być nowej diecezji i spodziewała się księcia dla zamiarów swych przekonać, tym bardziej że i on nie był Ungerowi chętny.

Gdy wieczerza się skończyła i obecni zbierali się na nabożeństwo, Oda nieznacznie do Przybywoja szepnęła, by do niej przed spoczynkiem przyszedł. Wysłuchawszy jeno jednej mszy, pod pozorem zmęczenia wróciła do siebie i oczekiwała nadejścia Przybywoja. Nie dał jej czekać na siebie i przyszedł po chwili. Mąż był już w latach, szpakowaty, lecz rosłej i prostej postawy. Dawny wyraz przygnębienia i hamowanej złości zniknął z jego twarzy. Można by rzec, iż wygląd miał dostojny, gdyby nie niepewność spojrzenia, jakby pytającego i usiłującego przeniknąć, czy docenia się w nim książęcego krewniaka, a obecnie jednego z pierwszych jego dostojników.

Wrodzona duma jego, latami całymi przytłoczona niełaską księcia, odżyła, jeno skrzywiona i obolała. Czyniła go nieufnym wobec ludzi i mściwym za najmniejsze uchybienia. Niewielu też miał życzliwych i niewielu życzliwością darzył. Do Ody tylko, której powrót do łaski i wyniesienie swe zawdzięczał, odczuwał rzeczywiste przywiązanie. Łączyła ich ponadto nienawiść do Bolka, który starszemu krewniakowi nie tylko oziębłość, ale nieskrywaną pogardę okazywał. Toteż choć skryty i bardziej od brata Odylena opanowany, nie mógł spokojnie myśleć o bratanku, nie przyznając zresztą nawet przed sobą, że prócz nienawiści, obawę czuje przed nim; nawet wobec Mieszka nie czuł się

tak lichym, jak wobec młodego księcia. Chytra i znająca ludzi Oda dobrze jednak zdawała sobie sprawę z jego uczuć i na nich plan swój budowała. Przyjęła go łaskawie i po chwili skierowała rozmowę na zdrowie Mieszka.

- Wybaczcie, że was trudge po nocy, lecz troska spać mi nie daje, a nie mam się z nią przed kim zwierzyć.

- Wiecie, zem zawsze gotów do waszych usług - odparł szczerze Przybywój.

- Wiem, i dlatego prosiłam was. Poradzić się chciałam, a może tylko ciężar zrzucić z serca.

Zielone oczy Ody spoczęły na nim z żalnym i bezradnym wyrazem. Przybywój poczuł się pochlebiony i wzruszony; Oda zaś drżącym z lekka głosem mówiła dalej:

- O kniazium z wami mówić chciałam. Wiem, że serca mieć nie możecie dla niego, ale tuszę, że dla mnie zapomnieć potraficie o dawnej niechęci i że troska moja znajdzie u was zrozumienie.

Przybywój głową skinął:

- Mówcie, pani.

- Chorował pan nasz ubiegłej zimy, iż zdało się, że już się nie dźwignie. Bóg go zachował, ale czy na długo? Nie chcę myśleć, co będzie, gdy go nie stanie, a nijak go przekonać nie można, by się szanował i siły oszczędzał, których nie ma już zbyt wiele. Przybywój się nachmurzył. Tę troskę i on podzielał. Z trwogą myślał o tym, że kiedyś Bolko po ojcu weźmie władzę, ale nie wiedział co rzec. Nie miał żadnego wpływu na księcia. Oda zaś wiedząc, co czuje, ciągnęła dalej:

- Mniejsza o mnie. Miłuję pana mojego i gdyby Bóg mi go zabrał, w klasztorze znajdę schronienie. Ale co się stanie z dziećmi moimi i tymi, co im sprzyjają, gdy bez kniaziovej zostaną opieki; z tym dzikim zuchwalcem, który już za życia ojca grozić, a nawet mścić się potrafi i samemu kniaziowei wolę swą narzucać się waży?

Przybywój milczał ponuro. Po chwili mruknął jakby do siebie:

- Wszystko byłoby proste, gdyby go przedtem nie stało.

Oda zaśmiała się z przymusem:

- Gdyby! Ale zdrów i silny jak tur. Nie myśleć o tym, co być nie może.

- Mogłoby być - mruknął Przybywój.

Oda spojrzała na niego pytająco i jakby nagle zrozumiałwszy cicho krzyknęła:

- O czym myślicie?

- Nie wiadomo wam, że usiłowano zgładzić młodego kniazia? - zapytał cokolwiek zdziwiony Przybywój.

- Słyszałam o tym. Ale Bóg nie może błogosławić takim uczynkom.

Dlatego też nie dopuścił, by spełnione zostały, choć ten okrutnik i mężobójca pewnie na łaskę Bożą nie zasługuje.

- Toteż myślę, że nie Bóg uchronił go, lecz kto inny. Zły jeden sposób, innego próbować trzeba. Śmiertelny przecie jest, jako drudzy.

Oda oczy zasłoniła.

- Nawet tego przy mnie nie mówcie. Nie daj Bóg, by to się stało, na mnie by padła obmowa, że z mojej to poszło poręki.

Przybywój zamilkł. Po chwili ozwał się:

- Nie chcecie słuchać, to nie mówmy. Ale niechby nawet zginął na wojnie czy od zarazy umarł i wówczas niełatwe wasze położenie. Wasze dziatki jeszcze nieletnie, a wrogów nie brak ni w kraju, ni za granicą.

- Ach! - rzekła Oda westchnawszy. - Byle on nie wisiał nad nami, jak chmura, jakoś uradzimy. Mam w Niemczech możnych krewniaków i wpływy. A tutaj komuż bym z większym zaufaniem niż wam siebie i dzieci pod opiekę oddać mogła?!

Gładkie i giętkie ręce Ody objęły twardą dłoń Przybywoja, a zielone oczy spojrzały na niego czarownie. Gorąco go przeszło.

Wstał i rzekł:

- Miejmy nadzieję, że wszystko na dobre się obróci; śpijcie spokojnie.

Wychodząc natknął się pod drzwiami na jakąś postać niewieścią. Zrazu nie poznał jej w ciemności i chciał wyminąć. Uchwyciła go za rękę. Chciał ją cofnąć, lecz niewiasta przytrzymała ją i zbliżając twarz ku niemu szepnęła:

- Słyszałam, coście mówili.

Po głosie poznał piastunkę młodych książąt, a niegdyś pono i samej Ody. Mimo to zrobiło mu się ciepło. Sam przecie kiedyś przestrzegał brata, że w tym domu ściany mają uszy, teraz o tym zapomniał. Wzdrygnął się na myśl, że słyszeć mógł i kto inny, lecz Gerburga szepnęła:

- Nie bójcie się, ja was nie wydam. Jeno o tym, co zrobić chcecie, ze mną mówcie, nie z księżną.

Pociągnęła go do sąsiedniej izby, zamknęła starannie drzwi i rzekła:

- Mielście odwagę mówić, trzeba będzie zrobić. Jeno się nie cofnijcie, nie zdradzę was; my już wspólnicy. Dreszcz przeszedł Przybywoja. Rad byłby się wycofać. Teraz dopiero zrozumiał trudności i niebezpieczeństwo zadania, gdy cofnąć się już nie było można. Zrozumiał i pogroźkę.

Rzekł niechętnie:

- Nie cofnę się. Jeno jak to zrobić? Wiecie, jak jest między mną, a młodym kniazem. Niełatwo mi będzie zbliżyć się do niego.

- Viem - zaśmiała się stara. - Ale czy książ Bolko jeden, co się pilnuje? A mało takich, co ziemią pogryzają to, co wypili? Poczekamy, pomyślimy i pomocników znajdziemy. Jeno zawziąć się trzeba. A wam łatwo będzie, kiedy pomyślicie, że gdyby Bolko władzę wziął, skóra wasza, nie tylko godność i mienie, starego wiechcia niewarte.

Jędza trafiła. Przybywój wiedział, że stara prawdę mówi, a Mieszko ma pod siedemdziesiąt lat i niedługo mu już. Wstał i rzekł:

- Kiedy będziecie uważali, że czas, poślijcie po mnie. Obmyślcie dobrze. I wasza skóra niewiele będzie warta, gdyby się wydało.

- Pewnie, pewnie - zaśmiała się. - I moich królewiców też. Im tu panować na wszystkim, a jemu tyle ziemi, ile kości pokryje. Jeno księżnej ni słowa. Zakazałaby pewnikiem.

XXX

Zamęt

Niespodzianie do Poznania przyjechał margraf Dietrich. Od czasu odmowy pomocy ze strony polańskiego zięcia margraf wyraźnie był mu niechętny. Oda zaś, pomna gorzkiego doświadczenia, nie usiłowała nawet przywrócić dobrych stosunków ojca z mężem i wołała, by Mieszko o zajściu zapomniał.

Toteż gdy jeno zawiadomiono ją o przyjeździe margrafa, szybko pobiegła do niego, by zapobiec jakimś poczynaniom ojca, które by Mieszka rozdrażnić mogły.

Zastała go, jak zdrożony, klnąc ścierał skórnie, gdyż nogi go piekły, i nie przywitawszy go

nawet, od progu zapytała:

- Po coście przyjechali?

Spojrzał na nią spokojnie i odparł:

- Ciebie obaczyć, córeczko, i wnuki. Podrosnąć musiały już znacznie, bo też kęs czasu ich nie widziałem. Postarzałaś się.

Rumieniec zabarwił lice Ody, lecz się pohamowała i odparła:

- Tedy witajcie. I wyście nie odmłodnieli.

- Boga chwalić, trzymam się. Matyllda cię pozdrowić kazała.

Oda na wspomnienie siostry rozpogodziła się nieco:

- Co tam z nią słyhać? Żrała już musi być i piękna.

Nie wydajecie jej?

- Juści! - odparł z pozorną obojętnością.

Oda zbyt dobrze znała swego ojca i wiedziała już, że w tej sprawie przyjechał. Lada chwila spodziewać się można było, że nadejdzie komornik z zaproszeniem margrafa do księcia, rzuciła tedy pośpiesznie:

- Za kogo ją wydajecie i czego chcecie?

- Za braniborskiego Przybysława. A od ciebie nic nie chcę. Powitać jeno, jako rzekłem, i wnuki obaczyć.

- Gadajcie komu innemu. Za to chcecie od Mieszka pewnie. Ale baczcie, że on nieskory do pomocy, jeżeli swojego w tym nie widzi. A was nie kocha.

- Wiem, córuchno. Nawet nie tak jak ciebie, ale tym razem mi pomoże.

- Co chcecie osiągnąć przez taki związek? - zapytała Oda udając, że nie zrozumiała złośliwości.

- Branibor - odparł Dietrich krótko.

Oda zaśmiała się:

- Przez taką kukłę myślicie tam panować? Przybysław sam ledwo się trzyma. Kto chce, rządzi mu się, a jeno patrzeć, jak Weleci całkiem go wypchną, bo leżą mu w kraj, jak trzoda w nieopłoczone poletko.

- Mądraś ty, córuchno. Właśnie dlatego.

Oda spojrzała ze zdziwieniem, pytając, lecz w tej chwili zapukano i komornik zaprosił starego margrafa do księcia. Wychodząc margraf rzucił:

- Długo nie zabawię, a wracać muszę zaraz. Zajdę do ciebie wnuki powitać. Gościńce im przywiozłem, by mile dziada wspominały. To rzekłszy wyszedł. Istotnie nie bawił długo. Gdy wrócił do komnat Ody, rozpromienione jego oblicze wskazywało, że swoje osiągnął. Przez chwilę bawił się z chłopakami, lecz niecierpliwa Oda wkrótce ich odesłała, kazała podać poczęstunek i oddalwszy służbę zapytała:

- Powiodło wam się, widzę. Powiadajcie!

- Musiało się powieść i znowu się miłujemy, jako przystało teściowi z zięciem. Mieszko pomóc obiecał Przybysławowi, jako i drugi zięć mój, Dedi. I szczerze pomagał będzie, gdyż inaczej jeno patrzeć, jak Weleci z Pobożnym się połączą, a wtedy - rozumiesz - przepadnie mu Śląsk, a może i Morawy. Ja zaś, niech jeno wnuka doczekam po Matyldzie, i Przybysława potrzebował nie będę, by się w Braniborze utrzymać i dawne stanowisko odzyskać.

- Rozumiem - szepnęła Oda. - Chytrzyście.

- I tyś niegłupia. Jeno Mieszko - nie Przybysław.

Przybysław niedługo cieszył się opieką niemieckich swojaków. 20 stycznia 990 r., gdy wybierał się do kościoła, dwaj rycerze niemieccy w oczach Matyldy łeb mu rozplatali i korzystając z zamieszania zbiegli.

Matylda, choć wkrótce spodziewała się potomka, nie straciła głowy, lecz wraz posłów na wszystkie strony rozesłała z prośbą o pomoc, słusznie bowiem mniemała, że wrogowie zamieszanie zechcą wykorzystać.

Pierwszy zjawił się brat zamordowanego, Ludolf, młodzik jeszcze, by śmierć Przybysława pomścić. Przyjął ofiarowaną przez Weletów „pomoc” i niemało szkód Niemcom wyrządził. Tymczasem pod jego nieobecność graf Kizo, podwładny Dietricha, połączywszy się z Weletami, z ich pomocą opanował Branibor, i Matyldę zmusił do małżeństwa.

Miał tedy znowu Dietrich drugiego zięcia na Braniborze, lecz nie takiego, jak chciał, gdyż Kizo podstępem zagarnięte korzyści dla siebie zatrzymać zamierzał i o łaskę cesarską zabiegał. Cesarz jednak dość miał zarówno domowych warcholów i zdrajców, jak i Weletów. Odepchnąwszy Kizona i Dietricha, wysłał Ekkeharda, by zajął Branibor. Ekkehard nie zdążył jednak nawet dotrzeć do miasta, gdy Weleci zażarcie natarli i hufiec jego rozbili doszczętnie. Sprawa zawlokła się, gdyż cesarz większych sił wysłać nie mógł, polańskiemu Mieszkowi bowiem pomoc przyrzekł na wypadek czeskiej napaści, a Bolesław czeski z wiosną ruszył i pod Krosno się podsunął, gdzie jego imiennik i siostrzan opór mu stawiał z małymi siłami, by przez Odrę nieprzyjaciół nie przepuścić. Mieszko zaś, polegając na męstwie i zawziętości syna, niespodzianie z głównymi siłami przeszedłszy Odrę, liczył na to, że gdy pomoc cesarska nadejdzie, z trzech stron obskoczywszy Czechów, przewlekły spór ostatecznie na swoją korzyść rozstrzygnie i walkę stoczy, nim czeski Bolesław z Weletami się połączy, którzy mu na pomoc ruszyli.

Od Magdeburga zaś ciągnęły cztery hufce dobrze uzbrojonych Sasów pod wodzą arcybiskupa Gizylera.

Weleci radzi byli co rychlej dobrać się do saskiej skóry, lecz Bolesław Pobożny uznał za roztropniejsze wejść z Gizylerem w układy, słusznie mniemając, że łącniej nakłonić się da do zawarcia rozejmu, miast by życie i wojsko swe stawiał dla Mieszka. Wraz też posła pchnął z oznajmieniem, że od walki odstąpi i bezpiecznie odejść Sasom pozwoli, jeżeli Gizyler Mieszka nakłaniać będzie, by zwrócił mu zabrany Śląsk i Morawy. Tym łatwiej Gizylera zdołał przekonać, że obóz niemiecki otoczył, broń Sasom odebrał i zwrócił dopiero, gdy przysięgą stwierdzili zawartą umowę. Nazajutrz Gizyler, wojsko do domów rozpuściwszy, z Bolesławem czeskim ku Odrze się podsunął i posłów wysłał do Mieszka. Mieszko, który przed kilku dniami Niemcę zajął i obsadziwszy ją słabą załogą ciągnął ku Nysie, właśnie otrzymał wieści, iż Ruś wtargnęła do kraju Wiślan i rozpuściwszy zagony, ku Krakowowi się podsuwa. Bez zwłoki syna z całą prawie jazdą przeciw Włodzimierzowi odesłał mniemając, że z pozostałymi siłami skutecznie Czechom opór stawić zdoła.

Bolko, z niepokojem w sercu, że Kraków ubieżony być może, ruszył nie żałując koni, Mieszko zaś strudzony stanął na noc w rybackiej osadzie namyślając się, czy w tym położeniu przechodzić za Nysę, by się z Gizylerem połączyć, czy też zawiadomić go, że ku niemu ciągnąć nie zamierza i ograniczyć się do obrony. Jeszcze radzili z wojewodami, gdy oznajmiono przybycie poselstwa czeskiego i wszedł stary Bogumił, którego Mieszko znał od dawna, z czasów, gdy żyła Dobrawka. Powitał go też życzliwie i zapytał, z czym przybywa.

Bogumił, odchrząknawszy, odparł:

- Pan mój oznajmić wam polecił, że pomocnicy, na których liczycie, w jego znajdują się ręku.

Żąda zwrotu tego, coście mu zabrali, w przeciwnym razie dadzą głowy.

Jeden z młodszych wojowników Mieszka parsknął stłumionym śmiechem.

Mieszko jednak spojrzał na niego surowo i odparł:

- Rzeknijcie panu swemu, że nie moi to ludzie i nie moja sprawa.

Zechce cesarz ich uwolnić lub zabitych pomścić, pewnie to uczyni. Ale gdyby i nie, nic mnie nie zniewoli, bym dla nich stratę dobrowolną poniósł.

Bogumił milczał przez chwilę, po czym rzekł jakby z żalem:

- Nie będzie już zgody między nami?

- Was mile widzę - odparł Mieszko. - A z panem waszym, chybaby Dobrawka zmartwychwstać musiała, by zgodę uczynić. Nie trapcie się o to. Jutro może bić się będziemy, dziś bądźcie gościem moim. Pomnę was, gdyście w Poznaniu bywali. Młodzik z was był jeszcze, a dziś włos już macie siwy.

Bogumił westchnął i odparł:

- Rad bym pozostał, ale król wracać mi kazał nie mieszkając.

Wolałbym z kim innym walczyć niż z wami. Ale trudno. Wojakowi nie wybierać.

- Ani wodzowi też. No, żegnajcie, skoro ostać nie możecie.

- Żegnajcie, panie. Rzekłbym: szczęść wam, Boże - gdyby nie to, że różne nasze drogi.

- Ja wam mówię: szczęść, Boże. - Książę łaskawie ręką skinął i posła odprawił.

- To i nie ma o czym więcej radzić. Bolko odszedł, Gizyler zawiódł. Pobożny zgłupiał, albo o mnie tak mniema, jeśli myślał, że ja zapłacę za tych, co mi umowy nie dotrzymali. Niechby im łby poucinał, sprzymierzeńcom, jeszcze byłbym rad. Omal się nie spełniło Mieszkowe życzenie. Pobożny wprawdzie bał się narazić cesarzowi i nie tylko zakładników wypuścił i Lutyków zobowiązał, że spokojnie odejść im dadzą, ale chcących wracać do domu dwa dni jeszcze przetrzymał, by odjeżdżających Niemców ścigać nie mogli.

Okazało się, że wskazana to była ostrożność, gdyż jeno się z Lutykami pożegnał, zaraz dwustu jezdnych weleckich puściło się za arcybiskupem i jego towarzyszami, którzy, przestrzeżeni przez pewnego lennika Hodonowego o pościgu, w największym tylko pośpiechu uciekając, szczęśliwie do Magdeburga dotarli. Bolesław czeski zaś po odejściu Lutyków, nie spodziewając się przemóc Mieszka, walnej rozprawy unikał, jeno kraj po lewym brzegu Odry, ile mógł, spustoszył i pojmanego w Niemczy Mieszkowego setnika wydał Lutykom, którzy go niezwłocznie bogom swym ofiarowali.

Trwały te walki do jesieni, po czym Czesi wojska wycofali nic nie wskórawszy. Mieszko zaś, opatrzywszy zdobyte grody, powrócił do Poznania z nowym nawrotem gorętki i przeleżał prawie całą zimę. Widoczne już było dla każdego, że niewiele wypraw przed nim.

* * *

Mieszko, choć słaby, własną osobą ruszył na czele zbrojnego hufca, który na prośbę cesarzowej przyrzekł wysłać na pomoc Matyldzie, by pogrobowca po Przybysławie w Braniborze osadzić. Matylda owdowiała już po raz drugi. Kizo bowiem, usiłując ponownie w zamęcie korzyść dla siebie wyłowić, wpadłszy w zasadzkę, głowę dał wraz z całym swym orszakiem.

Przy Mieszkowej pomocy sprawa Braniboru wkrótce pomyślnie dla Matyldy i zgodnie z cesarskim życzeniem załatwiona została. Bolibut zbiegł, pojmanego zaś Ludolfa cesarz zmusił, by z powrotem suknię duchowną włożył, a uwolniona z więzienia Matylda objęła rządy imieniem

niemowlęcego syna.

Mieszko zaś pociągnął do Kwedlinburga, na doroczny zjazd, spóźniony tym razem, z powodu braniborskich wypadków. Przybył jako jeden z ostatnich, słabując bowiem po drodze ciągnął wolno. Uroczystości były już na ukończeniu. Cesarzowa wyróżniała polańskiego księcia, obdarowała hojnie za oddaną przysługę i prosiła, by przed wyjazdem jeszcze ją odwiedził, pragnie bowiem rozmówić się z nim swobodnie.

Gdy zjawił się, Teofano powitała go przyjaźnie. Odprawiwszy obecnych dworzan, prosiła księcia, by usiadł i zaczęła:

- Dziękuję wam, żeście przyszli. Niewielu tu ludzi znalazłam, do których rozumu takie, jak do waszego, miałabym zaufanie. Przecucie mi mówi, że ostatni raz się widzimy. Pomówić jeszcze chciałam z wami i was pożegnać.

Mieszko uśmiechnął się smętnie i odparł:

- Wielce to podobne, że po raz ostatni was widzę; sił zbyłem i ledwom się tu dowlókł. Czas widno na mnie, już niedługo.

Cesarzowa przerwała żywo:

- Nie tak myślałam. Przeciwnie, żywiłam nadzieję, że gdy mnie nie stanie, na wasze poparcie dla syna mego liczyć mogę. Mieszko spojrział na Teofano z pewnym zdziwieniem. Młoda jeszcze i urodziwa jej twarz, istotnie nosiła piętno jakiegoś cierpienia czy choroby, którego dawniej w niej nie widział. Cesarzowa zaś ciągnęła dalej:

- Nikt nie zgadnie, które jabłko wcześniej z drzewa! spadnie. Ale ja pewna jestem, że wkrótce ~uz aan mx przyjdzie spłacić naturze. Prosić was chciałam, byście synowi memu dochowali przyjaźni, jaką mieliście dla mnie - ujęła Mieszkową dłoń patrząc mu w oczy. - Wiem ci ja, że władcom rozumem się kierować i przeze mnie też nie matczyne jeno przemawia serce. Syn mój, chłopię to jeszcze, choć dojrzały nad wiek; gdy mnie nie stanie, cesarzowa - matka, czcigodna Adelajda, opiekę obejmie. Obawiam się, że zechce nawrócić na błędną drogę nieprzyjaźni z wami, jaka w Bogu spoczywającego męża mego i was tyle strat kosztowała. A tym łacniej to będzie mogła uczynić, gdybyście i wy, jak po przedwczesnym zgonie pana mego, stanęli po stronie warchołów, co młodość i niedoświadczenie syna mego zechcą wykorzystać.

Mieszko milczał zadumany. Cesarzowa ciągnęła:

- Czekam na wasze słowo. Wiem, że macie swoje troski i swoje cele.

Ale przyznać musicie, że przymierze ze mną nie było dla was bez korzyści. I wam spokój od Weletów i porządek w pogranicznych marchiach potrzebny, a te jeno prawowity pan zdoła utrzymać. Nie wypominam, ale cóż mieliście ze związku z Kłótnikiem? Patrzyłaby się wam korona, a tę jeno w związku z cesarzem możecie osiągnąć.

- Rozumiem was, pani - rzekł Mieszko - i jako matkę, i jako cesarzową, bo mnie te troski nie są obce; i ja obawiam się zamieszek w moim kraju, gdy mnie nie stanie i rad bym znalazł ostoję, która by mi spokojnie pozwoliła odejść. Jeśli życzliwość waszą umiałem pozyskać, poprzyjcie moje starania w Rzymie, jeśli już nie o koronę, to bym z krajów mych prowincję kościelną mógł uczynić. Nie brak mi innych trosk, tę moglibyście pomóc mi zrzucić z siebie.

Cesarzowa po chwili odezwała się:

- Przysługa za przysługę. Rozstajemy się jako przyjaciele.

Wyciągnęła dłoń do Mieszka. Książę ujął ją i patrzyli sobie w oczy.

Mieszko dźwignął się i rzekł:

- Czas mi już jechać. Żegnajcie, pani. Czegóż wam życzyć, gdybyśmy się już ujrzyć nie mieli? Chyba jak sobie, bym spokojny o dzieło swoje mógł odejść.

Pociągnął Mieszko do Poznania, cesarzowa zaś na zachód się udała. Przeczucie jej nie myliło. Dnia 15 czerwca tegoż roku w Nimwedze Bogu oddała ducha i tamże w kościele św. Pantaleona pogrzebał ją Ewerger, koloński arcybiskup, z dala od jej słonecznej ojczyzny.

XXXI

Ofiara

Wesołek Emmildy, Trzosek, stał przy bramie krakowskiego grodu i patrzył na Wisłę.

Imię jego niemal odgadnąć można było z postaci. Krótkie nóżki, prawie niewidoczne spod kaftana, jakby ugięły się pod ciężarem tułowia, podobniejszego do worka niż do ludzkiego kadłuba. Spiczasty garb wznosił się niemal ponad głowę, jakby przylepioną do niego. Obwisły i wzdęty brzuch dochodził do kolan, cienkie i długie ręce zwisały po bokach jak bijaki cepów chwiejąc się bezwładnie, gdy się poruszał.

Ninie stał jednak spokojnie i patrzył, jak rybitwy krążą nad wodą, raz po raz opadając na jej powierzchnię i wznosząc się znowu z żalonym krzykiem.

Wesołkiem natomiast zwać go można było chyba dlatego, że nie był niczym innym. Jego umiejętność naśladowania wszelkich głosów, raczej wywoływała zaskoczenie i budziła niepokój, a śmiać się można było bodaj tylko z jego budzącej pogardliwą litość postaci. Żarty jego robiły jeno złą krew, zjadliwe i nie szczczędzące nikogo. Dziwiono się nawet młodej księżnie, że trzyma przy sobie obrzydliwego pokrakę, a co więcej, że uzyskała u księcia surowy nakaz, iż tknąć go nie wolno, co jeno utwierdziło karła w zuchwalstwie. Nie lubiano go też powszechnie, a i on ludzi nie szukał, z psami trzymając towarzystwo, z którymi przy posiłkach pod stołem siadywał, a sypiał pod łózkami lub w psiarni. Bił też od niego psi swąd i rzadko bez psiego towarzystwa spotkać go było można, gdyż biegały za nim, gdzie się jeno ruszył. Stojący na wyżce przy bramie brodaty widzeniec Mściw patrzył też z niechęcią na karła, który sterczał mu pod nosem drażniąc go swym widokiem. Zniecierpliwiony zagadnął wreszcie:

- Cóż tu stoisz? Nie poszedłbyś śmierdzieć gdzie indziej?

Trzosek zwrócił na strażnika oczy i patrzył przez chwilę. Jak na urągowisko oczy miał piękne jak gwiazdy, czarne jak noc i przeraźliwie smutne.

- Namyślał się - odparł.

- Nad czym? - zapytał Mściw żalując już, że się odezwał.

- Czy ci powiedziec, kto z twoją żoną śmierdzi, gdy ty tu śmierdzisz na straży.

Wojakowi krew uderzyła do głowy, lecz usiłował udać, że go to nie obeszło i rzekł lekceważąco, choć niepewnie:

- Co ty tam wiesz!

- Mógłbym ci opowiedzieć, co ja nieraz widzę pod stołem i słyszę pod łóżkiem. Więcej niż ty na twojej wyżce, gapiu, co w biały dzień nie widzisz, że wielcy goście jadą, którzy się przez furtę nie zmieszczą, i gadasz, miast otwierać bramę. Istotnie, świetny orszak był już o kilkadziesiąt kroków, czego zagadany Mściw nie zauważył. Skoczył otwierać, a Trzosek bez pośpiechu pokulał ku budynkom.

Szedł i rozmyślał, jakby to było dobrze i lekko płynąć z chłodną falą wiślaną nie wiedząc już o niczym, nie czując ciężaru garbu, nie widząc niechętnych i pogardliwych spojrzeń ludzkich, jakie

prześladowały go od urodzenia. Gardzili nim za jego nieszczęście, a drażniło ich, że bezbronny waży się odgryzać. Wiecznie krzywdzony i popychany, wyrobił w sobie bystrość i spostrzegawczość, a niepozorna postać pozwalała mu wszędzie się wkręcić, gdzie bądź przytaić i zbierać wiadomości o każdym, które za broń mu służyły i siłę, gdy innej nie miał. Używał jej bezwzględnie i napastliwie, ale cierpiał i nie mógł się z losem pogodzić. Nie miał się komu zwierzyć ni pożalić, chyba psom, i choć nieudany los bezbrzeżnym smutkiem wyzierał z przepięknych oczu karła, nikt nie wiedział, co się dzieje w zapadłej jego piersi, bo nikogo to nie obchodziło.

Tylko Emnilda dobra była dla niego, jak dobra była dla wszystkich i nie lubiąc go nawet, w miarę swej możliwości chroniła go od krzywd, jakie dzień za dniem, jak życie długie, na niego spadały. Toteż darzył ją uczuciem tak wielkim, jak jeno może być uczucie, z którym żadne inne nie współzawodniczy.

Wyjeżdżając do nowego kraju zabrała go ze sobą, by nie został bez opieki. Zadomowił się rychło, zawarł znajomość z nowymi psami i naraził się nowym ludziom. I młody książę niezbyt go lubił czując wstręt, zwyczajny u kipiącego siłą i zdrowiem człowieka, do ułomnego, obrzydliwego pokraki. Dla miłości jednak Emnildy znosił bez sprzeciwu jego obecność, a nawet na jej prośbę wziął go pod swoją ochronę. Natomiast karzeł, widząc szczęście Emnildy, podzielał jej uczucia dla Bolesława. Jeżeli nie warował przy Emnildzie lub nie węszył po wszystkich zakamarkach dworzyszczą, pętał się koło księcia, nie narzucając się mu jednak swym widokiem, zawsze gotów do udzielenia wszelkich nowin, jakie miał wcześniej niż inni i lepiej ze sobą powiązane, gdyż czego się nie dowiedział, domyślić się potrafił.

I teraz wolno idąc oglądał się na nadciągający orszak, a mając pamięć doskonałą poznawał dostojników i wojaków, których widział choćby raz w życiu. Wszedł do budynków i prawie bezszelestnie wśliznął się do książęcej komnaty.

Bolko stał właśnie przy oknie patrząc na przyjezdnych, którzy, zsiadłszy z koni, szli za komornikiem do gościnnych komnat w południowym skrzydle zabudowań.

Odwrócił się zamierzając posłać służebnego pachółka, by się dowiedział, kto zaczęli przybyli goście, gdy spostrzegł Trzoska i zapytał:

- Pewnieś już z nowinami przyleciał? Wiesz, kto przyjechał?

- Przybywój i Wieloch Łabędź. Z poselstwem pewnie od starego kniazia i Ody na chrzest Mieszka, waszego syna. Wyliczać jął imiona przybyłych kręcąc przy niektórych nosem jak królik. Wgramolił się na ławę i usiadł. Krótkie nóżki założył jedną na drugą, głowę wsparł na dłoni. Patrzył w okno, jakby zamyślony.

- Cóż tak nosem kręcisz, jakbyś ich obwąchiwał? - spytał kniaź.

- Taki już mam psi obyczaj.

- Śmierdzą czy pachną, gośćmi są. Pamiętaj, byś z żadnym nie zadzierał.

Nagle Bolko drgnął. Gdyby nie patrzył na karła, byłby przysiągł, że mówi Oda; zabrzmiał jej wysoki, metaliczny głos.

- Za dużo już tych Mieszków; dziad, syn i wnuk. Któryś ustąpić musi, jeno nie mój.

Bolko zmarszczył się i rzekł:

- Nie błaznuj, bo nie pora. Podoba się Odzie czy nie, syn mój Mieszkiem zwał się będzie. Idź oto lepiej i Wilczka mi zawołaj.

Karzeł jakby nie słyszał, ciągnął dalej tym samym głosem:

- Nie stałoby Bolka, mój Mieszko górą będzie. Z niemowlęciem nietrudna wojna.

Bolko spoważniał i odrzekł:

- To, co ty wiesz, wiem i ja. Ale nie wierzę, by mi wśród swoich ludzi, na własnym dworze coś grozić mogło. Nie błaznuj i idź, gdzie kazałem.

Trzosek zeskoczył z ławy i rzekł własnym głosem:

- Słusznie prawicie. Przy mnie możecie się nie bać, ja was ochronię. Śpijcie spokojnie.

Bolko zaśmiał się mimo woli, lecz karzeł z powagą skinął mu ręką i bez pośpiechu wyszedł.

* * *

Chrzest Bolkowego Mieszka odbył się wielce uroczyście w kamiennej bazylice krakowskiego grodu. Imieniem starego księcia trzymał do chrztu Wieloch Łabędź, zwany z łacińska Magnusem, głowa możnego i liczego rodu, który korzeni swych, po równi z Awdańcami, szukał na północy.

Stary książę, mimo iż Oda usiłowała się sprzeciwić, zezwolił wnuka nazwać swoim imieniem. Oda zmiarkowała, że Mieszko z synem rozejm zawarli. Samo imię jednak nie da siły synowi znieawidzonego pasierba, a wołała, by uwaga od jej uczuć dla niego była odwrócona. Dlatego też do książęcego poselstwa swoje dołączyła, z bogatymi darami dla najmłodszej latorośli Piastów. Ci, co je wieźli, na równi z nią, z trwogą mogli myśleć o tym, że Bolko kiedyś całą zawładnie dziedziną. Nieczęsto trafi im się sposobność zbliżyć się do niego; jeśli nie są głupi z nadarzającej się okazji powinni umieć skorzystać.

Zjazd był liczny, Bolko bowiem zarówno lubiany był w kraju, jak i ostrożność skłaniała bardziej przewidujących udział swój w Bolkowej radości okazać. Nikt nie wątpił, że jeśli dziedzictwo zagarnie po ojcu nowo narodzony syn, a nie darzony niechęcią pierworodny po wygnanej żonie, jego z kolei stanie się następcą. Chrztu udzielił archidiakon krakowski po uroczystym nabożeństwie, następnie zaś ucztę wydał książę na grodzie. Starym zwyczajem gościł i poił każdego, kto przybył. Wraz z Emnildą obchodzili ustawione w dziedzińcach stoły dla pospolitych wojów i prostego ludu i ze wszystkimi łaskawie gwarzyli dziękując za życzliwość. Oboje radość mieli w obliczach, zarówno z powodu szczęśliwego urodzenia zdrowego i tęgiego dziedzica, jak i objawów powszechnej życzliwości.

Wieczorem uczta zaczęła się dla dostojniejszych gości, a w głównej świetlicy zasiedli księstwo, każde ze swym dworem, i posłowie Mieszka i Ody oraz tych dostojników, którzy, sami przybyć nie mogąc, życzliwość okazać i przypomnieć się chcieli.

Gwar oczekujących uciszył się na chwilę, gdy weszli księstwo:

Bolko siadł pośrodku głównego stołu, z Przybywojem po prawej, Magnusem po lewej ręce. Naprzeciw miejsce zajęła Emnilda i zaczęła się ucztą. Stoły ugięły się od srebrnego nakrycia, zaś księstwo i posłowie Mieszka i Ody jedli i pili na szczerozłotej zastawie. Za Emnildą wśliznął się Trzosek i pokręciwszy się po izbie, trącony parę razy nogami usługujących pacholców, swoim zwyczajem pod stół się wsunął i koło nóg ulubionej pani umieścił. Siedząc na poprzeczce stołu zajął się uśmierzaniem psich swarów, które często powstawały o kości i ochłapy, jakie biesiadnicy psom pod stół rzucali.

Uczta ciągnęła się w wesołym nastroju, oboje bowiem księstwo pogodni byli i radośni. Słuchano pieśni i opowieści, żartów i przekomarzań. Bolko, zazwyczaj nieufny i stronnikom Ody bez obsłonek niechętny, wdał się w rozmowę z Przybywojem, dopytując o sprawy pograniczne nad Odrą i o Stoigniewa, którego dawno nie widział, a z którym Przybywój, siedząc w Lubuszy, częściej miewał styczność.

Gdy skończono podawać potrawy, a mężowie do kubków się wzięli, Emnilda wstała, by odejść.

Nakarmić musiała małego Mieszka, a nie chciała też mężów w wesołej, a czasem i swawolnej zabawie krępować. Wraz z nią powstały niewiasty: Emnilda uśmiechnęła się do męża, który oddał jej uśmiech, nagle serce jej ścisnęło się uczuciem, jakby nad nim niebezpieczeństwo jakoweś zawisło. Rozsądkiem stłumiła je i przeżegnawszy się nieznacznie, wyszła. Za niewiastami wyszli też duchowni.

Noc zapadła tymczasem i wesołość zapanowała, niczym nie skrepowana.

Trzosek siedział pod stołem i gdy psy nasycone uspokoiły się i przeważnie spać pokładły, zaczął zabawiać się zgadywaniem po ruchu nóg biesiadników, co który robi i czy mniej lub więcej jest pijany.

Pijanych zaś było coraz więcej. Rozwiązywały się języki. W ogólnym gwarze coraz ktoś składał księciu życzenia i zachodnim obyczajem przypijał do niego. Choć Bolko głowę miał mocną i nie byle co mogło ją zaproszyć, przecie przebrał widocznie miarę. Potężne jego nogi wyciągnęły się pod stołem. Rozparł się wygodnie na swym siedzeniu z oparciem; wciąż jednak słychać było jego głos, a czasami śmiech, wesoły i rubaszny. Siedzący obok niego Magnus nogi podkulił pod siebie, widocznie zadrzemywał. Natomiast dwie pary nóg po prawej stronie księcia nie zdradzały żadnych oznak upicia się ich właścicieli. Przybywój jeno przytupywał od czasu do czasu, jakby się czegoś niecierpliwił, sąsiad zaś jego, Niemiec z orszaku Ody, siedział spokojnie, rzadko zmieniając położenie. Trzosek już nudzić się zaczynał, gdy nagle uwaga jego znowu została pobudzona. Oto ręka sąsiada ścisnęła Przybywoja za kolano. Trzosek patrzył jeszcze, usiłując zgadnąć, co to miało oznaczać, gdy w cieniu pod stołem błysnął złoty kielich i podsunął się do Niemca. Trzosek szeroko otwartymi oczyma patrzył, jak ręka wsypuje jakiś biały proszek do kielicha, po czym kielich zniknął. Trzosek w napięciu patrzył, co dalej będzie. Nogi Przybywoja cofnęły się i wyprostowały.

Przybywój wstał i rzekł:

- Spocząć nam już wkrótce trzeba, bo kury piałe, a jeszcze waszego zdrowia nie piliśmy.

Jak łasica z nory wychynął nagle Trzosek pod bokiem księcia i spod ręki sięgającego uchwycił kielich i ozwał się, patrząc w oczy Przybywojowi, który zaskoczony odsunął się:

- Książę zdrów jest, przeżyje nas obu. Wasze zdrowie, Przybywoju!

Wychylił kielich, puścił go na ziemię i zniknął, jak się pojawił.

Bolko roześmiał się z przestachu Przybywoja i rzekł:

- To wesołek Emnildy, nie żadna zjawa.

Skinął na podczaszego, by inny kielich mu podał i pił dalej nie widząc, że Przybywój zbladł jak giezło. Bolko przypił do niego raz i drugi, a widząc, że Przybywojowi ręka się trzęsie, rzekł:

- Znużeni być musicie.

- Iście znużony jestem - odparł Przybywój. - Pozwólcie się pożegnać.

Wstał, pokłonił się i zataczając się wyszedł. Bolko patrzył za nim złośliwie i drwiąco:

- Spił się - pomyślał.

Inni jednak biesiadnicy także dość mieli. Jedni zasypiali, inni wynosili się chyłkiem. Bolko rad by się jeszcze bawił, lecz gwar zaczynał przycichać i światła przygasać. Północ już minęła. Nagle pod stołem rozległo się przyciszone, żalotne i przenikliwe wycie psa, a zaraz zawtórowały mu inne. Gwar uczyły umilkł, jak uciał, jeno ponure psie głosy wzmagaly się w powszechnym milczeniu.

Biesiadników dreszcz przeszedł. Śpiący zerwali się i z dziwną trwogą słuchali złowrózbnego głosu.

Bolko, zeżłony, na służbę zawołał, by psy przegnała. Rzucili się wyganiać je spod stołu, gdy

nagle jeden z pacholków krzyknął. U stóp Bolka leżał Trzosek.

Wyciągnęli go myśląc, że się spił, lecz leciał przez ręce. Twarz miał szerniałą, pianę na ustach i szeroko otwarte, niewidzące już oczy. Wytrzeźwiały Bolko spojrział w nie. Po raz pierwszy nie było w nich smutku.

Gdyby Przybywój Bolkowe mógł zobaczyć, może byłby przeczuł, co się z jego własnymi stanie.

XXXII

W sidłach

Mieszko, wróciwszy do Poznania, z miejsca dowiedział się o zajściu w Krakowie. Choć Bolko oszczędzić chciał ojcu zgrzyoty i nic nie doniósł, rzecz była zbyt jawna, by się ukryć dała. Książę wpadł w gniew, jakiego nigdy jeszcze u niego nie widziano i choć przybył późnym wieczorem, znużony i wyczerpany, posłał natychmiast po Odę nie wątpiąc, że jej to była sprawa. Oda liczyła się z tym, że na nią padnie podejrzenie i na rozmowę z mężem była przygotowana. Przybiegła co prędzej, udając radość powitania. Mieszko podniesieniem ręki wstrzymał jej wylewność i poleciwszy obecnym wyjść, rzekł groźnie:

- Co macie do powiedzenia na swe usprawiedliwienie?

Oda spojrziała na męża swymi zielonymi oczyma zimno z udanym zdziwieniem. Miękkim, lecz jadowitym głosem rzekła:

- Powitać was śpieszyłam. Czy z tego mam się usprawiedliwiać?

Widzę jednak, że nie po toście mnie wzywali. Księciu aż w oczach poczerwieniało z gniewu. Zaciął jednak wargi i pasował się ze sobą. Ochryplym głosem rzekł:

- Mówię o próbie otrucia mego syna.

- Nietrudno mi się było domyślić - odparła Oda. - Jednak gdy zbója z łupem złowionego na gościńcu lub na gorącym uczynku przed sąd stawiacie, przecie mu komornik oznajmia, za co jest sądzony i jakie są przeciw niemu dowody. Może i mnie to prawo przyznać należało?

Siłą woli Mieszko opanował się. Z tą zimną, wyrachowaną i przebiegłą kobietą gniewem nic nie wskóra. Spokojnym już głosem rzekł sucho:

- Chcę wiedzieć wszystko i znać wszystkich, co choćby palec do tego przyłożyli. Ktoś karę ponieść musi.

- Pytacie jako żony czy oskarżonej?

- Przestańcie wy pytać mnie! - rzekł książę groźnie.

- Dobrze! - rzekła Oda. Podeszła do stojącego na klęczniku krucyfiks i kładąc na nim palce rzekła:

- Przysięgam, że cokolwiek to było, stało się bez mego udziału. Na głowy naszych dzieci!

Odwróciła się i patrząc na męża płonącymi oczyma mówiła szybko, podniesionym głosem:

- Sławią wasz rozum i sprawiedliwość. Samiście się chlubili, że ni razu w gniewie nie wydaliście wyroku. A czyż nie gniew jeno usprawiedliwić może, że mnie oskarżacie?! Gorzej, bo potępiacie, bez wysłuchania, bez dowodu, mnie, żonę swą i matkę dzieci swoich!

- przerwała zadyszana.

- Nie potępiam was. Chcę wysłuchać, chcę i muszę wiedzieć, jak było i kto winien. Wiadomo mi, że z Bolkiem w nienawiści żyjecie i że Przybywój i Odylen, wasi zausznicy, zbiegli.

- Nie przeczę, że takie uczucia żywię dla Bolesława, jakie on dla mnie. Wam równie jak mnie

wiadomo, z kogo poszła przyczyna. A gdybym tu martwa padła, czy jego o to oskarżycie?!

Mieszko milczał, a Oda ciągnęła dalej:

- Moi zausznicy, jako mówicie, Przybywój i Odylen zbiegli, tedy widocznie się poczuwają. A czy możecie mi słowem waszym zaręczyć, że żyliby jeszcze, gdyby ostali? Odylen przecie nawet nie był w Krakowie. Był natomiast dworzaniń mój, Tuto. Nie donieśli wam jeszcze, że zbiegł także? A wiecie dlaczego? Bo sama mu tak poradziłam, by nie był pod ręką, gdy wrogowie moi przeciw mnie i tym, Co mi sprzyjają, wykorzystując pozór, podbechtywać was będą. Mieszko milczał. Głęboka zmarszczka przeorała mu czoło.

- Zbrodniarze zbiegli, jeno nie wiadomo jeszcze, czy zbrodnia popełniona została. Nie o nędznego karła się przecie biesicie. Zresztą gdzie dowód, że i on nie zmarł od nagłej choroby, jako się często zdarza, zwłaszcza że słabowity był? A jeśli nawet iście zmarł otruty, czy nie jego otruc chciano? Złośliwy miał być, zaczepny i niebezpieczny. Bali się go i wszystkich sobie zrazić umiał, bo śledził i donosił każdego.

Po wybuchu ogarnęło księcia ogromne znużenie i przygnębienie. Siedział skurczony, twarz mu poszarzała. Chciałby skończyć już i zostać sam. Oda jednak widząc, że uzyskała przewagę, ciągnęła dalej, spokojnie i zimno:

- To, co mówię, sami mogliście pomyśleć, zanim rzuciliście na mnie obelgę największą, jaka mnie w życiu spotkała. I za co? Głos Ody załamał się niespodzianie. Księżę siedział milcząc. Oda po chwili zaczęła przyciszonym głosem:

- Winnego szukacie? To wy sami!

- Dosyć! - rzekł Mieszko, bezbarwnym głosem.

- Nie! - rzekła, znowu głos podnosząc. - Gdyby o mnie jeno chodziło, zbyt dumna jestem, by się sprawiać z win niepopołnionych. Ale jeśli upokarzam się usprawiedliwiając, to czynię to dla dzieci moich i waszych. Wiem, że są tacy, co by chcieli, by zostały nawet bez mojej opieki, gdy was nie stanie. Gdybyście, jak dawno o to proszę, zabezpieczyli przyszłość synów naszych przed zachłannością i drapieżnością tego gwałtownika, wam samym na myśl by nie przyszło, bym ja lub ktoś z przyjaznych mi ludzi usunąć go chciał tym sposobem. Zwłaszcza teraz, gdy nie tylko siły, ale i rozsądek już was zawodzi i pomoc jego dla poskromienia zewnętrznych nieprzyjaciół niezbędna. Ceglasty rumieniec wystąpił na bladą twarz Mieszka. Znużonym głosem rzekł:

- O tym mówiłem z cesarzową; poprzec mnie w Rzymie obiecała.

Przyślijcie mi z rana swego kanclerza, by pismo do Rzymu i poselstwo omówić. A teraz idźcie już! - zakończył księżę prawie z prośbą w głosie.

Oda wyszła cicho. Mieszko długi czas siedział skurczony i zmałały. Noc była już późna, znużony był śmiertelnie i wyczerpany, lecz czuł, że nie zaśnie. Wstał z trudem i chodził po komnacie. W głowie miał zamęt, a w sercu nie zaznane jeszcze nigdy w życiu uczucie upokorzenia.

Stanął w otwartym oknie i oddychając chłodnym powietrzem nocy, usiłował opanować wewnętrzne wzburzenie.

- Czas już na mnie - szepnął sam do siebie.

Jak się okazało, Oda plan postępowania i zabezpieczenia swego i swych synów przemyślany miała dokładnie. Kapelan jej i kanclerz Egilbert przyszedł do księcia z gotowym już pergaminem, jeno pieczęć przyłożyć.

Mieszko imieniem swoim, Ody i jej potomstwa darowywali w nim papieżowi, jakoby wspólną własność, wszystkie ziemie, nie należące czy to do poznańskiej diecezji, czy też, jak ziemie Wiślan,

południowy Śląsk i Morawy, nie znajdujące się pod bezpośrednią władzą Bolesława.

Zanim książę o co zapytać zdołał, Egilbert z góry wyjaśnił, że przez to zarazem przerwie się możliwy związek darowanych ziem z magdeburskim arcybiskupstwem, poddane bowiem z imienia Rzymowi, płacąc jeno trybut Apostolskiej Stolicy, zabezpieczone będą tym samym przed zachłannością i uroszczeniami Gizylera, a wyłączone spod władzy cesarza. Niewątpliwie też uzyskają swego biskupa, zwłaszcza jeżeli sprawę poprze cesarzowa, jak to przyrzekła księciu. Nowy zaś misyjny biskup polski, zależny będzie rzeczywiście jeno od księcia i stworzy przeciwwagę Ungerowi, a w przyszłości oparcie dla synów Ody, których niewątpliwie, jako darczyńców, Kościół będzie popierał.

Trudno było nie uznać trafności i celowości zamierzonych przez Odę pociągnięć. Niemniej Mieszko chmurny był i poleciwszy dokument sobie pozostawić, odrzekł, że sprawę przemysleć musi, a znużony się czuje i spokój chce odzyskać.

Ciężką jednak walkę toczył książę ze sobą. Dla niezależności Polski rzecz pomyślana była dobrze. Znając jednak wzajemny stosunek Ody i Bolka, Mieszko rozumiał, że godząc się na darowiznę staje po stronie Ody przeciw synowi w walce, jaka po śmierci jego wybuchnąć musi; walce, która sama przez się niebezpieczeństwo stanowić będzie dla jego dzieła, a w razie przegranej Bolka sprawić może, że wysiłki całego życia księcia wniwecz się obróca. Nie było sposobu, by pokój zapewnić między spadkobiercami. Darmo głowił się Mieszko. Wewnętrzna rozterka pozbawiała go snu, mąciła myśli. Chory był i wyczerpany, spokoju chciał za wszelką cenę, bliski już załamania. I znowu powstało w nim pragnienie, by dzieło, któremu tyle poświęcił, przeżyło go. Ale poświęcić by musiał jeszcze swe ostatnie ludzkie uczucie, spóźnioną miłość ojcowską do młodszych synów. Nie miał siły. A poza tym już inne siły gotowały się, by ciężar swój rzucić na szalę.

Zajeżdżając konie gnał do Krakowa goniec Ungera, a z Pomorza zdążał do Poznania Stoigniew. Treść leżącego jeszcze na stole w komnacie księcia dokumentu nie była już tajemnicą. Mieszko żył jeszcze, a walka o spadek po nim już się rozpoczynała. Zawrzało w Bolku, gdy dowiedział się, jaki był plan Ody. Skoro stary książę z miejsca go nie odrzucił, przypuścić można było, że Oda swoje u starego i znużonego męża, dręczonego obawą o przyszłość młodszych synów, aż nazbyt uzasadnioną, przeprowadzi. Fala gniewu jednym uderzeniem zmyła postanowienie Bolka, iż da ojcu spokojnie dokonać dni. Z miejsca drużynę postawił na nogi, aby siłą bodaj udaremnić zamierzenia Ody i tok spraw ze słabnących rąk ojca przejąć we własne, silne dłonie. Zwyczajny bieg życia na Bolkowym dworze uległ zakłóceniu. Jak przed nagłym napadem, wszczął się gorączkowy ruch. Gońcy biegli na wszystkie strony, ściągano konie z łęgów, ostrzono broń. Nikt nie wiedział, z kim i o co sprawa. Snuli różne domysły. Młodzież jeno sposobiała się z ochotą, rada rzucić jednostajne życie i pociągnąć po nowe przygody i łupy. Starszych jednak i rozważniejszych niepokój jakiś ogarniał. Wiązali nagłe postanowienie Bolka z przybyciem posłańca. Choć się nie zdradził z czym i od kogo przybywa, wiedzieli już, że z Ungerowego dworu. Chmurny i gniewny Bolko, milcząc o celu wyprawy, powiększał niepokój, jaki wraz z wojennym podnieceniem zapanował na dworze. Gubiono się w domysłach, szeptano, że Mieszko dogorywa i Oda Niemców wezwwała, by spadek z ich pomocą zagarnąć. Niektórzy domyślali się prawdy, lecz i to nie uspokajało umysłów.

Szepty i domysły doszły do Emnildy wraz z niewątpliwą wieścią o wyjeździe Bolka i zaniepokoiły ją.

Mając wielki wpływ na męża, Emnilda używała go jednak bardzo umiarkowanie, nie narzucając się z radami ni dręcząc wypytywaniem. Wiedziała, że gwałtowny Bolko, gdy jeno minie mu pierwsze

podniecenie, do niej zwykł przychodzić, by myśleć głośno. Choćby sprawa najpilniejsza była, niewątpliwie pożegnać się przyjdzie przed wyjazdem i przyczynę powie gniewu swego i troski. Jakoż nie omyliła się. Wyznaczywszy wyjazd na rano, Bolko wieczorem przyszedł oznajmić o tym Emnildzie i pożegnać ją. Przyjęła go serdecznie jak zazwyczaj, lecz Bolko nie rozchmurzył się i tak opanowany był jakąś myślą czy troską, że nawet o dzieci nie zapytał. Siedział milczący, kilka razy zaczerpnął oddechu, jakby chciał coś rzec i znowu popadał w zadumę. Jakaś walkę toczył ze sobą.

Emnilda patrzyła na niego czekając, aż sam powie, co go gnębi, lecz widząc, że mu niesporo, wstała i podszedłszy łagodnie pogładziła go po kruczonych włosach.

Spojrzał na nią i westchnąwszy rzekł:

- Jakby mi kto kamieniem serce przywalił, tak ciężko wyruszyć. Ale niech się raz skończy niepewność.

- Dokąd wyruszacie? spytała Emnilda.

- Do Poznania - rzucił gorzko.

Emnilda drgnęła i pobladła.

- To być nie może - szepnęła.

- Nie może, a musi. Nie udało się mnie usunąć, wiecie, co Oda umyśliła?

Podniecając się coraz bardziej opowiedział pokrótce, jak sprawy stoją. Wreszcie aż z ławy się zerwał i zakrzyknął:

- Ale ja mieczem przetnę te knowania, póki nie za późno!

- Mieczem przeciw ojcu?! Bóg nie może temu błogosławić.

Znowu popadł w zadumę. Po chwili ozwał się ponuro:

- Chciałem ojca, wiecie, oszczędzać; źle zrobił. Gdybym doniósł o zamachu, sam musiałby wygnać Ode. Rodzic stary już i widno zniedołężniał, skoro pozwala burzyć to, co sam zbudował. Nie idę przeciw ojcu, ją wyżenę wraz z pomiotem... lub zgubię.

- Nie przeciw ojcu? Czy myślicie, że bez walki wolę waszą otwarcie sobie narzucić pozwoli?

Że nie stanie w obronie dzieci, które kocha, jako i wy swoje. Tedy własnego ojca nie znacie. On jest z tych, co umierają stojąc.

- Nie boję się walki - odparł Bolko.

- Z rodzicem? Ja bym się bała ojcowego przekleństwa, by wam syn wasz tym samym kiedyś nie odplacił.

Bolko drgnął. Ta myśl przyszła i jemu. Umilkł zgryziony. Po chwili milczenia podjął:

- A czy wiecie, czym ja będę, jeśli Oda zamiary swe urzeczywistni?

Margrafem u synów Ody. Ciężar walki z czeskim wujem i Włodzimierzem będę musiał wziąć na siebie, bez niczyjej pomocy; gorzej, bo ani chybi Oda z wrogami przeciw mnie trzymać gotowa. Czym będę dla cesarstwa? Niczym, bo na sprzymierzeńca przeciw Weletom Oda im wystarczy, skoro dźrzyć będzie Pomorze. Ją przeciw mnie będą popierać, swojaków tam zresztą ma, którym dogodniej będzie widzieć na polańskim stolcu książęcym swoich pociotków. Kim będę? Kto ze mną? Z czym zostanę? Z gołymi rękoma! Zerwał się i biegać zaczął po komnacie. Stał przed Emnildą i zakrzyknął:

- A wszystko dlatego, by ojciec ode mnie spokój miał przez tych parę lat czy miesięcy, jakiemu jeszcze zostają! Dziad zdał władzę na rodzica, na długo przed swą śmiercią, a dożył spokojnie i we czci lat swoich. Może ją zdać i ojciec. Lepiej ją od niego dźrzyć potrafię.

- Zdał, bo chciał, ale nie wydarł mu jej syn. Czy rozumiecie, co to dla człeka tak dumnego, jak

książę Mieszko, ulec przemocy własnego syna, zostać niczym tam, gdzie był wszystkim, nie na czas, ale na zawsze już? Z czym zostaniecie? Z mieczem waszym wróżebnym, nie skalanym podniesieniem przeciw rodzicowi i z tą siłą, która Piastom z pokolenia w pokolenie rósć każe. Skąd pewność, że tak jest, jak myślicie? Czy nie gniew was ponosi? Czy ten, co doniósł wam o wszystkim, swoich spraw waszymi nie chce działać rękoma?

Zaległo milczenie. Wreszcie Bolko podjął prawie spokojnie:

- Doniósł mi Unger. Prawda, że pod włos mu poczynanie Ody, bo i jego od ziem tych odstawi, które rad by przyłączył do swojej diecezji. I prawda, że gniewnie ogarnął; ale i rozsądek mówi, że jeśli Pomorza nie dostanę, nigdy nie wygram z Odą. A ninie jeszcze wygrać mogę i dlatego ruszam. Wstał, jakby chciał się już żegnać.

- Jeszcze chwilę zaczekajcie - rzekła Emnilda.

Weszła do sąsiedniej komnaty i po chwili wróciła z małym Mieszkiem na ręku. Dziecko krzywiło się mrużąc zaspane oczęta, ujrawszy jednak ojca, wyciągnęło rączki do niego z uśmiechem. Bolko wziął chłopca na ręce i uśmiechnął się również. Emnilda patrzyła na nich i rzekła:

- I wyście tak dzieckiem ręce wyciągali do ojca. Czy myślał wtedy, że je kiedyś przeciw niemu podniesiecie? Wasze zamiary i nadzieje moimi są także. Wiem, że je spełnicie, ale nie wierzę, by wiodła do nich droga, na którą wstąpić chcecie.

Uklękła przed Bolkiem odbierając syna z jego rąk:

- Błagam was, niechajcie tego zamiaru. Nigdy bym już nie zaznała spokoju.

Na twarzy Bolka widać było wahanie. Na w pół do siebie powiedział:

- Gotowe wszystko. Posłańcowi Ungera rzekłem, że wraz wyruszę.

Poniecham, to jeszcze i on będzie mi niechętny. A w Poznaniu dowiedzą się o przygotowaniach i Oda nie omieszka przeciw mnie tego wyzyskać.

Emnilda coś odpowiedzieć chciała, gdy rozległo się pukanie.

- Wejść! - zawołał Bolko niechętnie.

Wilczek wszedł pośpiesznie i rzekł:

- Czesi wpadli i kraj Opolan pustoszą.

Umilkł i czekał na odezwanie się Bolka.

Emnilda patrzyła na męża pytająco. Bolko wzrokiem jej odpowiedział, po czym, zwracając się do Wilczka, rozkazał:

- Tedy ruszamy zaraz, ranka nie czekając.

Przygarnął Emnildę do piersi, ucałował w czoło i wyszedł.

XXXIII

U kresu sił

Zniknął wreszcie ze stołu w Mieszkowej komnacie zaopatrzonego książęcą pieczęcią pergamin, a z nim przyczyna dusznej rozterki. Książę odetchnął, odzyskał chęć do jadła i sen. Jaśniej zaczął patrzeć na rzeczy.

O Bolka się już nie troszczył. Wierzył, że choć osamotniony, na swej dziedzinie utrzymać się potrafi, a przez to i resztę kraju zasłoni przed zachłannością południowych i wschodnich sąsiadów. Młodszy zaś pod opieką papieską, potrzebni cesarzowi do walki z północnym pogaństwem, znajdą spokój niezbędny, by kraj zagospodarzyć, przetrzebić puszcze, pobudować mosty i drogi i pozwolić

następnym pokoleniom spożywać owoce pracy Mieszkowej, które za jego życia dojrzeć nie zdołają. Niewątpliwa korzyść dla samodzielności polskiego Kościoła, jaka z podporządkowania znacznej części kraju bezpośrednio Apostolskiej Stolicy wynikać musi, pozwalała księciu zapomnieć o niebezpieczeństwie, kryjącym się w podziale dziedzictwa między wielu; szczerze przyjazna ostatnio współpraca z cesarzową i jej młodocianym synem, usypiała czujność Mieszkową. Bolko nie porwie się przeciw ubezpieczonym braciom, dość mając trudności w utrzymaniu swojej dziedziny. Gwałtowny jest i żądny władzy, ale nie szalony, by zadrzeć z dwiema największymi potęgami świata. Oda też nie wieczna, a gdy jej nie stanie, może bracia zrozumieją, że więcej ich łączy, niż dzieli. Wątpliwości, jakie go jeszcze nalatywały, księżę odrzucał i wypoczywał, by przyjść do sił i wyruszyć wreszcie na objazd kraju, z dawna zamierzony, a wciąż odwlekany na skutek innych zajęć i złego stanu zdrowia.

Spokój nadchodzącej, pogodnej jesieni otulał kraj; słońce było złote i słodkie. W chłodne poranki mgły już wstawały nad łąkami, nocą mleczna droga przecinała wygwieżdżone niebo i roje spadających gwiazd świetlnymi smugami znaczyły granatową głębię, jak wspomnienia pamięć człowieka. Dalekie, lecz wyraźne dochodziły z niej krzyki ciągnącego już na południe przelotnego ptactwa. Brzmiała w nich jakby skarga i żal; żal lubych miejsc wiosennych godów, ojczystych gniazd i letnich żerowisk. Skarga na przemożną siłę, która porzucić je każe, może na zawsze. Spokój coraz większy i coraz głębsza cisza zalegała łągi, bagienka, płachcie rudziejących już szuwarów nad jeziorami i rzekami i poczynające się złocić i czerwienić bory. Jesienny spokój i cisza ogarnęły też duszę księcia. Zdało mu się, że zamknął już swe z życiem rachunki, dokonał, co wydolił, a było tego niemało. Prawie dwukrotnie powiększył ojcowe dziedzictwo; zjednoczył lechickie plemiona i pchnął je na nowe drogi; połączył swe kraje z południem, północą i zachodem, uzyskał wyjście na morze. Pomnożyła się ludność i bogactwa, pełny skarb, wyborowa drużyna i obronne grody chronią ustalony przez niego porządek i wytyczone granice. Żałosne głosy odlatującego ptactwa odzywały się i w jego duszy, lecz coraz dalsze i rzadsze, jak i tamte na niebie, nie zakłócały pogodnej ciszy; ciszy, w której może już wkrótce rozplynie się wszystko, jakiej nie zaznał, najdalej pamięcią sięgając w głąb swego długiego życia. Z jakąś smętną radością wybierał się w objazd; tym razem nie sądzić i karać, budować i liczyć, lecz jeszcze raz obaczyć i pożegnać. W pogodne, ciepłe popołudnie orszak stał gotowy do drogi, a księżę zbierał się już do wyjścia, gdy oznajmiono przybycie Stoigniewa. Mieszko, który dawno nie widział bratanka i właśnie odwiedzić go zamierzał, polecił go zaraz wprowadzić, choć śpieszno mu było konia znów poczuć pod sobą i niebo nad głową. Przyjazny uśmiech, z jakim Mieszko zwrócił się do wchodzącego, zgasł zaraz. Stoigniew twarz miał spokojną, lecz zaciętą. Pokłonił się księciu bez słowa i wyciągając zza kaftana zwinięty pergamin, położył go na stole pod krucyfiksem; Mieszko znał aż za dobrze ten zwitek; ni przez mgnienie oka nie miał wątpliwości, że to ten sam, który dręczył go przez wiele dni i nocy: Jak urzeczony prysnął spokój księcia i burza sprzecznych uczuć zatargała nim na nowo. Ponad wszystkie wybił się gniew. Groźnym, drżącym ze wzburzenia głosem zapytał:

- Co to ma znaczyć?

- Ten pergamin do Rzymu iść nie może - spokojnie, lecz stanowczo odparł Stoigniew.

- Hebda! - krzyknął księżę.

Wpadł zawołany, a Mieszko, wskazując na Stoigniewa, rzekł:

- Do lochu!

Hebda stał drżący i niepewny, lecz Stoigniew skłonił się księciu, a zwracając się do Hebdy

powiedział obojętnie:

- Prowadźcie.

- Wyjazd odwołać! - zawołał za wychodzącymi Mieszko.

Słońce zachodziło pogodnie, wieczorny spokój ogarnął ziemię i niebo. Białe chmurki na zachodzie zabarwiały się złotem, jarzyły purpurą, przygasły fioletem i szerniały. Zorze ściągały się z wolna, za nimi pełznął od wschodu mrok. Na ciemniejącym z każdą chwilą niebie zamigotały gwiazdy i zapadła słodka i cicha noc. Cisza też panowała na poznańskim dworcu, ale trwożna. Nikt nie ważył się przerwać samotności księcia. Mówiono szeptem, przyciszano kroki. Od prostych ludzi do dostojników, wszystkich dręczyło pytanie, co mogło być przyczyną, że księżę poważanego wojewodę i bratanka swego do lochu wtrącić kazał. Przeczucie, że ważą się sprawy, od których losy kraju zawisły, spędzało sen z powiek. Co dalej będzie, o czym rozmyśla samotny księżę w mroku swej komnaty?

Noc uczyniła się głęboka, przemagać zaczęło znużenie i niespokojny sen ogarniał udręczone niepewnością umysły. Po północy ruszył się wiatr, zaszumiał i zaszeleścił w gałęziach drzew; niebo zawlekło się chmurami i świat zniknął w głębokich ciemnościach.

Smuga światła przecięła mrok. To księżę przecknął się i ognia kazał naniecić, gdy nocny chłód z wiatrem wdzierać się począł do komnaty. Na nieśmiało zapytanie komornika, czy wieczerec podać każe, nie odrzekł nic i usiadłszy przed kominem utonął w zadumie. Wbrew sercu Mieszko wymusił na sobie postanowienie, że gardłem ukarze zuchwalca. Nie może zostać na karku głowa, w której uległa się myśl, że woli księcia można swoją przeciwstawić. Jednocześnie dręczyła go jakaś bolesna ciekawość, skąd Stoigniew wiedział o treści dokumentu, jak go odebrał i co chciał osiągnąć. Stoigniew znał księcia i wiedzieć musiał, że stawia głowę. Mieszko znał Stoigniewa i wiedział, że nic nie uczyni bez myśli i celu. Znał go od dziecka. Znowu wspomnienia, jak spadające gwiazdy jesienne, przecinają mroki zanurzających już w niepamięć dawnych czasów;

Ścibor, Dobrawka, Adelajda! Wspomnienie o tych, co już odeszli, łączy się ze Stoigniewem, nie da się oderwać. To był niegdyś jego świat, jego ludzie, swoi.

A jednak Stoigniew karę ponieść musi. Gorzki smak upokorzenia, jaki Mieszko odczuł po rozmowie z Odą, powraca ze zdwojoną siłą. Księcia ogarnia gniew, już ma na ustach rozkaz, by stracić Stoigniewa nie mieszkając i znów powraca bolesna ciekawość. Chce Stoigniewa zrozumieć; chce wiedzieć, dlaczego zawiódł go jeszcze i on, dlaczego opuszczają go wszyscy po kolei. Przed wyrokiem zwykł wysłuchać każdego przestępcy, wysłucha i Stoigniewa. Potem postanowi. Inaczej nigdy nie znajdzie odpowiedzi na dręczące pytanie.

Klasnął w dłonie. Zaspanemu komornikowi wydał rozkaz, by sprowadził więźnia, po czym usiadł i czekał. Po zawierusze uczuć, myśli i wspomnień czuł w głowie pustkę.

Ocknął się, gdy otwarły się drzwi. Komornik przepuścił Stoigniewa, po czym zamknął je za sobą. Stoigniew stał przed Mieszkiem. Patrzyli na siebie. W spojrzeniu Stoigniewa była śmiałość, ale nie zuchwalstwo, w twarzy spokój, lecz nie obojętność. Jak daleko jest człowiek od człowieka; Mieszko zna go od niemowlęcia, a nie może przeniknąć. Milczenie się przedłuża, księżę szuka w myśli, od czego zacząć rozmowę, rozmowę sędziego z winowajcą. Wreszcie spytał wprost:

- Wiedziałeś, co cię czeka za to, coś uczynił?

- Wiedziałem - odparł spokojnie Stoigniew.

- Przecz - żeś to uczynił?

- Dochowuję wiary, komu powinienem.

Książę zaśmiał się bezgłośnie, przez zaciśnięte zęby.

- Wszyscy wy wiary dochowujecie: i Bolko, i ty, i Jaskotel.

Godniście dziedzice Dobrawki, Ścibora, Auduna.

- Godniśmy! - odpowiedział śmiało Stoigniew. - Wy to sami siebie zdradzacie, dlatego zdradę widzicie dokoła siebie.

- Słuchaj! - rzekł Mieszko - jedną masz głowę, nie staw jej dwa razy.

- Stawiałem ją więcej niż dwa razy; stawiałem zawsze, ilekroć było trzeba, by dotrzymać złożonej przysięgi.

- Zbroźle?! - rzucił książę.

- Nie! Wam.

Błyskawica wspomnienia oświeca pamięć Mieszka. Stoigniew prawdę rzekł. Mieszkowi to przysięgał, gdy po cydzyńskiej bitwie książę leżał walcząc ze śmiercią, że wiary dochowa Bolkowi przeciw każdemu. Oto dotrzymuje Mieszkowi przysięgi, przeciw niemu samemu. Mieszko usiadł i siwą głowę wsparł na rękę. Nie myśli już, by karać Stoigniewa. Praw jest, nic mu zarzucić nie można. Czy tedy sobie? Wówczas jednego miał dziedzica, troska o niego i o całość spuścizny była jedną. Dziś jest inaczej: czy nie wolno mu kraju podzielić, jak serce podzielił? Nie jego to trud i krew? Kto władny mu zabronić?

Siedział znużony i myślał. Czas płynął, niebo z czarnego czyniło się szarawe. Ogień na kominie zaczynał przygasać. Wiatr ustał i w ciszy słychać było zrazu pojedyncze krople, potem rozpadał się deszcz coraz gęściejszy. Myśl księcia gubi się chwilami, potem znów chwyta wątek. Ozwał się wreszcie przygasłym głosem:

- Dotrzymałeś wiary kniaziowi, nie dotrzymałeś człowiekowi, który cię miłował. Czy nie wolno mi umrzeć spokojnie, żem los młodszych synów zabezpieczył? Nie moja w nich krew jako i w Bolku? Nie nasz, Piastowy ich ród? - W głosie Mieszka zabrzmiała gorzka i prośba. Na zadumanej twarzy Stoigniewa książę dojrzał jakieś wzruszenie. Czyżby serce w nim zdołał poruszyć? Gdyby pozyskał Stoigniewa, mógłby odejść spokojny. Czekaj, co Stoigniew odpowie. Twarz Stoigniewa znowu spokojna jest i nieprzenikniona.

- Nie nasi oni są, obcy! Jako jemioła na dębie, na Piastowym pniu wyrosła, a nie zrosną się nigdy. Na grobach dziadów Adelajdzie przyrzekłem, że ród nasz od obcych ustrzegę. Póki życia, dotrzymam.

Mieszko widzi, że próżna nadzieja. Wstał i chodzić zaczął po komnacie. Zatrzymał się przed Stoigniewem i długo patrzyli sobie w oczy. Potem książę rzucił sucho:

- Nie podam krwi mojej na poniewierkę, darmoś głowę stawił.

Pójdzie ten pergamin, gdzie miał iść. Władzę na Pomorzu zdasz Wolimirowi, a sam idź, gdzie cię oczy poniosą... póki masz je w głowie.

Stoigniew podszedł do stołu i jednym ruchem zwitek cisnął na dogasający żar ogniska. Mieszko z szyderym uśmiechem patrzył się, jak pergamin skręcał się i skwiercał, jakby z bólu. Potem płomień wyskoczył i skurczony zwitek żarzył się wśród głowni.

- Pergamin się jeszcze najdzie. Słyszałeś, co rzekłem?! Odejdź!

- Odejść mi nie wolno, potrzebny jestem - rzekł cicho Stoigniew.

- Słuchaj! - rzekł książę. - Wiem ja, kto stoi za tobą, choć twarzy nie chce pokazać. Czemuż do oczu mi nie stanie, przynajmniej by wysłuchać, praw jestem czy nie. Rzekłeś, że zdradziłem sam siebie. W czymże to? Szukałem siły, gdzie ją naleźć można. Jeśli nawet przez związki z Niemcami, to

cóże? Narzekają u nich, że więcej im one szkody niż korzyści przynoszą. Tedy widno, nie ja się myłę. Rozumu słucham czyniąc to. Nie zamykałem nigdy uszu na mądrą radę, ale rządzić mną nie będzie nikt.

- Rozumu słuchacie dzieląc kraj, który dopiero zrastać się zaczyna?

- Długo myślałem, nimem postanowił, ale com postanowił, dotrzymam.

Tamę postawię zakusom Gizylera, a siły dzielę tak, by nikt nie miał przewagi. Spokój będzie, jedność ostanie. Zresztą - głos księcia się zaostrzył - moje jest dziedzictwo i zrobię, co zechcę. A moje jest, bom je trudem całego życia, wyrzeczeniem i krwią własną kupił.

- Czy własną jeno? Nie na Pomorzu leżą mogiły Leszka i Ścibora? I mnogie od pokoleń polańskie groby? Czym bylibyście bez nich? Gdzie bylibyście dziś, gdyby nie rodzic mój? Gdyby tak, jako wy ninie, myślał ojciec wasz i mój, byłbym ja pomorskim kniazem, miast waszym wojewodą, którego usunąć myślicie, że służyć nie chce bękartom po mniszce, bez kanonicznego zezwolenia z wami żyjącej! Cios był tak niespodziany, że przytłumił nawet gniew Mieszka. Stoigniew okazał jeszcze jedną broń, która przeciw synom Ody będzie skierowana. Mieszko przystąpił do otwartego okna i dysząc chłonał zimne powietrze słotnego~ poranka. Na dziedzińcach ruch się już zaczynał. Z rzadka przemykała w strugach deszczu służba z drwami do kuchen lub wiadrami po wodę. Książę patrzył nie widząc, wyczerpany do ostatka. Stoigniew stanął za nim:

- Nie walczcie z przeznaczeniem - mówił cichym, przejmującym głosem. - Rządzi ono każdym, cel i kres mu wyznacza. Wyście swoje spełnili. Będzie walka, nic Bolka nie wstrzyma. Jeśli dzieło wasze nie ma szczeznąć, Bolko wygrać ją musi. Nawet dzierżąc Pomorze ciężkie będzie miał zadanie. Ustąpcie, nie próbujcie rządzić przyszłością, której nie znacie.

Książę odwrócił się i rzekł:

- Dawniej straszili nas wróżbami kapłani. Nie po to ich wygnałem, by słuchać twoich wróżb... czy Zbrozły. Nie znam przyszłości, mówisz? A któż ją zna? Rozum ją czasem odgadnąć pozwoli, zresztą ciemna jest.

- Kto niczego nie pragnie dla siebie, ten ją odgadnąć potrafi.

Księżciu zaszumiało w głowie i poczerniało w oczach. Postąpił krok w tył i byłby upadł, lecz uchwyciły go silne ramiona Stoigniewa. Złożył starca na łożu i usiadł obok odgarniając kosmyki siwych włosów z Mieszkowego czoła, okrytego zimnym potem.

Mieszko otworzył oczy. Patrząc na Stoigniewa wyszeptał:

- Czas już na mnie. Przeżyłem sam siebie.

W tej chwili w sieniach rozległy się szybkie kroki i zapukano do drzwi.

- Wejść! - zawołał Stoigniew.

W drzwiach ukazał się setnik z orszaku Egilberta, zdyszany jeszcze od pośpiechu. Pokłonił się i rzekł niepewnym głosem:

- Wybaczcie, panie, że przerywam wam spoczynek, ale pergamin, który wieźliśmy, zaginął w niewiadomy sposób. Uśmiech przeleciał przez twarz Stoigniewa.

- Oto jak dziwy powstają - rzekł. - Egilbert zapomniał go zabrać i sam pojedę, by go doręczyć.

Mieszko nie rzekł ni słowa. Przez chwilę zdawał się zasypiać.

Potem otworzył oczy i cicho zapytał:

- Czy Zbrozło przyjdzie jeszcze do mnie?

- Przyjdzie was pożegnać.

- Niech się pośpieszy - szepnął Mieszko.

W sam Nowy Rok 992 zgromadzone podczas uroczystego nabożeństwa pod katedrą tłumy uderzone zostały niezwykłym widokiem, który niepokój wzbudził wśród duchowieństwa i możnych, a omal że nie popłoch wśród prostego ludu. Trwający od kilku dni, siarczasty mróz folgować zaczął od rana, a przejrzyste niebo zasnuwać jakąś mgiełką, mimo iż wiatru nie było; jaskrawe zrazu słońce przyćmiewało swój blask.

W samo południe, gdy po ukończonym nabożeństwie oczekiwano na wyjście księcia z biskupem i dostojnikami, nagle szmer wszczął się w ciżbie. Ten i ów wskazywał na niebo, a wkrótce kto żył patrzył struchlały, co się wyrabia, tak że nie dostrzeżono, iż właśnie księżę na czele orszaku wyszedł i stanął przed kościołem, uderzony również niezwykłym zjawiskiem.

Słońce, które już niemal całkiem przysłonięte było tumanem, nagle zabłysło jaskrawym, żółtym światłem, a poniżej niego zaświeciły dwa inne, w tęczowych koliskach.

Zjawisko trwało krótko. Biskup Unger przeżegnał relikwiarzem niesamowite słońca i po chwili rozpląnęły się i zgasły. Nie zgasł jednak niepokój wśród ludu. Nawet oświecone, kapitulne duchowieństwo i możni szeptali między sobą, iż niebywałe to zjawisko nieszczęścia jakoweś wróży, a co najmniej zmiany niezwykle. Księżę nie mówił o tym z nikim, lecz zadumany był i chmurny.

Pod wieczór znowu mróz ścisnął. Młody księżyc, pochylając się ku zachodowi, zaśnił niespodziewanie niezwykłym blaskiem i powtórzyło się dzienne zjawisko. Ludzie wybiegali z domów, nie bacząc na mróz gwarzyli, niespokojni i podnieceni, choć dziw już dawno zniknął.

Jeszcze stali rozprawiając, lecz ten i ów, zmarznąwszy, do domu się już zabierał, gdy jakieś światło na północy zwróciło uwagę. Zrazu zdało się, że łunę odległą widać i snuto domysły, co płonąć może. Światło jednak szybko się rozszerzało, w mgnieniu oka obejmując pół nieba, a w jaskrawej czerwieni przebiegać jeły i migotać jasne błyski, jak błyskawice lub pioruny z ziemi w niebo bijące.

Mieszko, znużony uroczystościami, do spoczynku się właśnie zbierał, zauważywszy blask w oknach, wyszedł na podwórzec i patrzył w milczeniu. Zorza trwała godzinę, po czym nagle jak zapłonęła, zgasła. Noc uczyniła się ciemna, jeno spokojne, zimne gwiazdy migotały nad głowami milczących, ponurych tłumów. W ciszy rozchodzono się do domów. Pewność nadchodzących nieszczęść zamykała usta i ścisnęła serca.

I bez wróżb przyczyn do strapienia nie brakło. Długotrwała choroba sędziwego księcia, z której dźwignął się wprawdzie, lecz siwy już całkiem, pochylony i sił zbyty, zamęt wprowadziła w kraju, a poruszenie u sąsiadów. Włodzimierz zbroił się otwarcie, a nie było wątpliwości przeciw komu. Spodziewana zmiana nadarzała sposobność, której wraz z Bolesławem czeskim pominąć nie chcieli; sposobność tym lepszą, że w czasie choroby księcia kraj wyraźnie podzielił się na dwa wrogie obozy. Przewaga Bolkowego, zwłaszcza wśród ludu i rycerstwa była wyraźna, sam on jednak zajęty był bez wytchnienia pracą nad przysposobieniem grodów i wojsk na spodziewaną wojnę, która w pierwszym rzędzie zagrażała dziedzinie, jemu przypaść mającej! Nierzadko też toczyć musiał walki pograniczne, które każdej chwili w otwartą wojnę zamienić się mogły. Oda zaś korzystała z tego, by wpływy swoje umacniać sił do wewnętrznej rozgrywki oszczędzając. Ciężkie brzemię zwałało się na Bolesława. Czasu mu nie stało nawet, by chorzejącego ojca odwiedzić i obecnością swą pohamować

otwarte już knowania. Ciągnęło też Bolka ku ojcu i serce. Lepiej teraz rozumiał starego rodzica, gdy sam ojcem był szczęśliwym drugiego Mieszkowego imiennika i sam ciężar rozstrzygania o zawitych sprawach państwa dźwigać zaczął. Po zejściu księcia ze Stoigniewem, o którym otrzymał wieść, uspokoił się i wdzięczny był Emnildzie, iż go od wystąpienia przeciw ojcu powstrzymała. Rad był, że nie on wolę ojcu narzucił i danego sobie przyrzeczenia mógł dotrzymać. Wyłudzona podstępem przez Odę darowizna na rzecz Apostolskiej Stolicy nie gryzła go już. Gdy Pomorze mieć będzie w rękę, cesarz nie może go lekceważyć i mieszać się nie będzie w walkę między spadkobiercami. Gdy pozostanie sam przeciw Odzie, Bolko pewny był zwycięstwa.

Zbierał siły, rachował je i czekał.

Gdy Mieszko jednak dźwignął się z łoża, a nawet sprawami państwa zaczął się znowu zajmować, przycichło w kraju, a i zewnętrzni nieprzyjaciele za korzystniejsze uznali czekać. Z wiosną mógł wreszcie Bolko, zdawszy sprawy Wilczkowi, do Poznania pociągnąć, dokąd ojciec go wzywał.

Posłańcy Mieszkowi przywieźli wieść, że książę poczuł się zdrow na tyle, że sam nawet posiłki przyrzeczone cesarzowi przeciw Lutykom poprowadzić postanowił i synowi zdać chciał rządy na czas swej nieobecności.

Z końcem kwietnia, w pogodny dzień, o świcie wyruszył tedy Bolko, żegnany przez Emnildę, która z dwuletnim Mieszkiem na rękę odprowadzała go, siedzącego już na koniu, aż do bramy w częstokole. Patrzyła w górę na umiłowanego męża i rzucali do siebie jeszcze krótkie słowa.

- Pamiętajcie uważać na siebie i wracać co rychlej.

- Pamiętam. Spokojna bądź. Nie sędzę, by się jeszcze raz porwać na mnie ważyła.

- Czy nie za mało macie ludzi?

- Starczy! - zaśmiał się. - A wracać mam rychło, dużego orszaku brać nie mogę. Wolniej się ciągnie.

Już zgrzytały wrzeciędzie. Jeszcze Bolko rękę na główce syna położył i orszak wyjechał za bramę. Bolko obejrzał się; Emnilda z synkiem stała na wyżce. Dziecko powiewało rączką. Bolko ręką skinął i popędził konia. Już orszak skręcił za skałkę i zniknął z oczu. Młody książę lubił podróżować szybko. Umiał pokonywać przestrzeń, zarówno jak ludzi.

* * *

Świt majowego poranka wstawał nad Poznaniem. Niebo nasycalo się zielenią, złotem, wreszcie pierwszy promień słońca wystrzelił zza odległych borów i zapalił światła na szklanych gomółkach okien Mieszkowej komnaty. Przesączony przez grubą warstwę szkła stracił swą młodzieńczą ostrość i łagodnie, tęczowymi blaskami spoczął na twarzy księcia.

Mieszko poruszył się i otworzył oczy. Przez chwilę ściagał myślą resztki uciekających marzeń sennych. Noc spędził spokojnie, czuł się rzeświejszy. Nie wołając służebnego pacholka wstał i otworzył okna. Komnatę wypełnił jaskrawy blask wiosennego słońca i tysiące woni, które niósł lekki powiew poranny od rzeki i stojących w kwiecie sadów.

Wiosna była wczesna i ciepła, świeża jak młodość, a upojna jak stare wino. Zdrowie księcia poprawiło się, budziła się ochota do życia, jakby i jemu przypadła część tych młodych sił, którymi nabrzmiwało wszystko dokoła. Stał długo, chłonąc barwy, głosy i wonie wiosny. Wreszcie klasnął w dłonie i szatnego zawołać polecił.

Ubierając się gwarzył pogodnie, po czym, z ochotą spożywszy ranny posiłek, wyszedł i kroki skierował do sadu. Żadne pilne sprawy nie czekały go dzisiaj. Hufiec, który powieść miał na lutycką wyprawę, był gotowy. Książę czekał jeno na przyjazd syna, by znowu na wojnę ruszyć. Po raz który

to już? Ogarnęły go wspomnienia. Wolno szedł przez kwitnący sad, przystawał i patrzył na różowe kwiecie jabłoni, na pracę pszczoł, pilnie i szybko przelatujących z kwiatu na kwiat. Wiosna trwa krótko, śpieszy się muszą. Słodycz, której nie zbiorą teraz, przepadnie.

Mieszko liczy wyprawy, w których brał udział. Potem przestaje, zniechęcony. Kto by to zliczył?! Uprzymamnia sobie natomiast, że palców jednej ręki starczyłoby, by policzyć, ile razy miał czas i myśl swobodną, by patrzeć na kwiaty. Stał przed obsypaną kwieciami gałęzią, która wysunęła się na ścieżkę, jakby zastępując mu drogę: „Przypatrz mi się, czyż nie jestem piękna?! Nie zakwitnę już więcej za twego życia.”

Mieszko wie, że gdy jesienią gałąź obciążona owocem zwisać będzie nisko, jego już nie będzie. Owoce będzie spożywał kto inny. Posmutniał. Ale smutek o majowym poranku jest łagodny. Odsunął delikatnie kwitnącą gałąź i skierował kroki w kąt sadu, gdzie pod gęstwą leszczyny tłum konwaliowych liści chował w cieniu nanizane na smukłe łodyżki perły swych kwiatów, pachnących upojnie i świeżo, jak młodość.

Było to ulubione miejsce księcia, z dala od gwaru, dochodzącego jeno jak szmer daleki, od rojnych zawsze podworców i zabudowań. Długo żył, ale nie często miał z tego ustronia się cieszyć. Usiadł na skleconej z białych pieńków brzoźowych ławie i zasłuchał się w śpiew zięby, która nie widząc siedzącego pod osłoną krzów, raz za razem zanosila się namiętnie miłosnym śpiewem. Nagle ptak umilkł i Mieszko posłyszał szelest jego skrzydeł. Spłoszył go szmer kroków po wysypanej żwirem ścieżce. Mieszko zmarszczył brwi, lecz rozpogodził się zaraz. To biegnie mały Lambert, on przeszkadzać nie będzie.

Chłopak spostrzegłszy ojca, zwolnił kroku i patrzył jakby pytając, czy może się zbliżyć. Księżę uśmiechnął się i skinął ręką, a gdy chłopak podszedł i całując ojcową dłoń, pochylił głowę, Mieszko pogłaskał go i zapytał:

- Chciałeś czegoś ode mnie?
- Nie, jeno posiedzieć chciałem z wami.

Mieszko skinął głową, a chłopak usiadł obok niego na ławie i zajął się obijaniem wierzbowej gałęzi na fujarkę, wymachując z przejęciem nogami, którymi nie dostawał do ziemi. Mały był na swych dziewięć lat i dość wąty. Twarzyczkę miał pociągłą i rozumne, ojcowe oczy. Chorował w dzieciństwie i nie cieszył się szczególnymi względami matki, która z niechęcią patrzyła, iż ojciec jego, a nie swego imiennika, szczególniejszym darzył uczuciem.

- Nie bawisz się z chłopcami? - zapytał książę.
- Nie! - odparł Lambert.
- Dlaczego?

Chłopak zawahał się z odpowiedzią, lecz odparł:

- Zawsze tylko w wojnę się bawią.
- A ty czemu nie lubisz w wojnę się bawić?
- Bo zawsze przegrywam i jeszcze mnie obijają.
- A Mieszko ci nie pomoże?
- On zawsze z silniejszymi trzyma. Światopełk był lepszy. Szkoda, że zmarł.

Twarz księcia spochmurniała. Pierzchnęła pogoda, troska zajrzała i do tego zakątka. Jaki los czeka to dziecko, które ukochał najbardziej, za którym nie ujmie się brat rodzony, które lekceważy matka, bo nie obiecuje jej planom poparcia. A brat przyrodni? Nie robi nawet tajemnicy, jakie żywi uczucia dla Ody i jej potomstwa. Smutne myśli księcia przerwał znowu szelest kroków na żwirze.

Ktoś szedł z brzękiem broni. Krok był twardy, sprężysty. Nie ma dla księcia spokoju i w tym zakątku.

Nadchodzący minął nawisłe gałęzie jabłoni i Mieszko rozeznał Bolka.

On również spostrzegł księcia. Przyśpieszył kroku i już stanął przed ojcem, witając go poważnie. Na Lamberta, który zeskoczył z ławy, nawet nie spojrzął. Zda się, że gdyby księżę ze szczeniakiem się bawił, więcej by zwrócił na niego uwagi. Stał nad wyschlłym starcem i wątlým pacholęciami jak góra. Samym ogromem zdawał się ich przytłaczać. Szerokie bary i wypukła pierś opięte były losiowym kaftanem. Spod krótkiej sukni podróźnej widać potężne jak konary uda. Siła, jaka biła z jego postaci, uwydatniała się pewnością siebie w młodzieńczym jeszcze, lecz już poważnym obliczu.

Coś groźnego w nim być musiało, gdyż mały Lambert mimowolnym ruchem przysunął się do ojca, jakby u niego szukając opieki, a księżę odruchowo objął go ramieniem, choć Bolko stał pochylony pokornie, czekając na odezwanie się ojca.

Mieszko ręką wskazał Bolkowi miejsce obok siebie:

- Wezwałem cię, by sprawy omówić na czas mej nieobecności. Jenó na ciebie z wyjazdem czekałem. Wyruszam za kilka dni, gdy tylko drogi jeszcze trochę podeschną.

Bolko patrzył na ojca i żał mu się uczyniło starego człowieka. Miast wypoczynku i spokoju, resztę sił, jakie zebrać zdołał, zużywać musi w walce. Wspomniął rozmowę u matczyne go grobu i rzekł miękko:

- Może bym ja hufiec powiódł za was. Nie na wasze siły ten trud.

- Ty musisz ostać. Wiesz, że Włodzimierz i Bolesław czeski na sposobność jeno czekają, by na nas uderzyć. A sposobność trafić się może wkrótce.

Spojrzeli sobie w oczy i zrozumieli się. Bolko wiedział, o jakiej sposobności mówi ojciec, i żał go ogarnął. Księżę zaś ciągnął dalej:

- Trud mi nie nowina. Pozdrowiałem, a może mi posłuży wyprawa.

Przynajmniej myśl od trosk się oderwie.

Pomału wzrok przeniósł z Bolkowego oblicza na małego Lamberta, który stał w zakłopotaniu, dłubiąc coś przy swojej fujarce. Księżę znów spojrzął w Bolkowe oczy i patrzyli na siebie długo. Wiedział Bolko także, o jakiej trosce mówi Mieszko i widział wyraźnie w przygasłych, starych oczach ojcowych nie wypowiedzianą prośbę; prośbę człowieka, który nigdy o nic nie prosił, pierwszą pewnie i ostatnią. Zbyt dumny był, by ją wypowiedzieć słowami. Zapanowało milczenie, jeno słyhać było brzęczenie pszczół w okwieconych koronach drzew.

Mały Lambert oderwał oczy od swej fujarki i spod oka spojrzął nieśmiało na tego ogromnego, obcego brata. Ze zdziwieniem spostrzegł, że ten uśmiecha się do niego i oddał mu uśmiech, dziecinny, serdeczny. Trwało to mgnienie oka. Bolko wstał i rzekł:

- Pozwólcie, że odejdę przebrać się z drogi i pożywić. Wracać muszę rychło. Kiedy każecie mi przyjść, by sprawy omówić?

- Przyjdź obiadować ze mną. Panów z rady zaproszę, przy kubkach można zacząć o sprawach.

Bolko pokłonił się i chciał odejść. Księżę rękę wyciągnął. Bolko ujął ojcową, wyschlłą dłoń. W jej gorącym uścisku było nieme podziękowanie.

XXXV

Pęknięty łuk

Maj miał się ku końcowi. Przekwitły już jabłonie w Mieszkowym sadzie, łąki okryły się bujną

trawą. Z okna sypialni księcia widać było błękitne smugi niezabudek nad wilgotnymi rowami i stawkami nad Wartą i całe połączenie łąk okryte jaskrem, świecące złotem w pogodnym, majowym słońcu. Złotem i błękitem lśniło niebo, złotem, błękitem i zielenią kraj cały; ciepło było, upojnie, pogodnie. Mieszko całymi dniami patrzył i podziwiał, jak piękny jest świat. Ogarniało go jakieś nieznane, błogie rozleniwienie. Z dnia na dzień odkładał wyjazd. Pożegnał już Odę i dzieci, które z nią do Trzemeszna wyjechały, wysiadywał w oknie i coraz to chwycił się na wspomnieniach, które w ciszy i spokoju, jakie po wyjeździe Ody na dworcu zapanowały, nawiedzały go coraz częściej, tak bliskie i wyraźne, że zdały się bardziej rzeczywiste, niż spokojne bytowanie ostatnich dni.

Uznał wreszcie Mieszko, że dłużej z wyjazdem zwlekać niepodobna i zarządził, by za trzy dni wszystko do drogi stanęło gotowe. Z dawnego nawyku sam opatrywał ludzi, konie i uzbrojenie. Zaraz pierwszego dnia spostrzegł, że sił nie ma. Wieczorem położył się znużony śmiertelnie; o świcie jednak obudzić się polecił. Nie spał w nocy, dręczony dusznością i bólami w całym ciele. Nad ranem zasnął na chwilę, lecz siłą woli o świcie obudził się i zwałował z łoża, zataczając się od sprzętu do sprzętu. Do południa wytrzymał, zaciskając zęby, lecz posiłku jeść nie mógł. Potem legł i zebrać się nie zdołał do wieczora. Noc znowu spędził w bólach, bezsennie. Wiedział już, co nadchodzi i obudziło się w nim uparte pragnienie, by, jak Audun, nie na łożu kończyć życie, które całe niemal spędził na koniu.

Pragnienie to opanowało go wraz z jakąś gorętwą, która zdała się wracać mu siły, gdyż znowu dzień spędził w stajniach, lamusach i na przeglądzie wojsk. Wrócił podniecony, ze świecącymi oczyma i nie jedząc wieczerzy położył się, zapowiadając wyjazd rano, choć sędziwy Doliwa nieśmiało radził któregoś z wojewodów wysłać z hufcem, a samemu wypocząć dzień lub dwa po trudach przygotowań, i później za wojskiem podążyć.

Mieszko zbył starego i legł na łożu, usiłując zasnąć. Sen jednak odleciał od jego powiek. Znowu nachodziły go wspomnienia, które mącił jednak jakiś nieznany ból w piersiach. Nie chce już spać; nie czas na to. Trzeba się zbierać i jechać, inaczej będzie za późno.

Wstawał szary świt 25 maja 992 roku. Już nieśmiało zaczynały ćwierkać ptaki. Zrazu pojedyncze głosy, potem gwar dochodzić zaczynał z podworców; rżały konie, szczekała broń. Mieszko powiedzieć jeszcze wyprawę... ostatnią.

Zebrał siły i klasnął w dłonie. Wszedł szatny i spojrzał na księcia. Chciał coś rzec, ale Mieszko skinieniem ręki go wstrzymał; sam wie, co szatny chciał powiedzieć. Ubrany jak do boju wszedł książę w podworcie. Hufiec już w szyku, jeno stanąć na czele i jechać. Trzeba dosiąść konia. Serce skurczyło się w księciu; nie wie, czy wydoli. Podszedł do rumaka i rękę mu położył na karku. Wierne zwierzę odwróciło głowę i spojrzało na swego pana, tak samo jak patrzył szatny. Czyż wszyscy, nawet zwierzę bezrozumne, widzą, że to już koniec, że ostatnie iskry życia dopalają się w księciu? Siły nie można udawać. Pękło coś w Mieszku, jak przeciągnięty łuk, i zwałił się na ziemię.

Zanieśli księcia do jego sypialnej komnaty. Gdy go na łożu złożyli, otworzył oczy, zmienione bólem i jakby zdziwione. Czy to już? Czy trzeba rzucić nie dokończone dzieło, zawile i trudne, nie ujrzyć, jakie będzie żniwo mokołu i wyrzeczeń całego życia? Bóle, które znów zatargały Mieszkiem, gasły przy dusznej udręce. Przywykły władać swym ciałem, niegdyś tak sprawnym i posłusznym, jeszcze chciałby się zerwać, ale wie już na pewno, że z łoża więcej nie wstanie. Już i myśli się mącić zaczynają. Gniewnym gestem ręki wygnał obecnych z komnaty. Nie chce, by patrzyli na niego, jak będzie walczył, by przegrać na pewno. Sam był przez większość swego życia ze swymi myślami i zamiarami, sam chce być, gdy z życiem się żegna. Wyszli, jeno szatny i komornicy w sieniach

zasiedli, by być pod ręką, jeżeli zawoła. Ale nie ich wołał. Zmierzył się czas i wypadki w rozpalonej głowie księcia. Zda mu się, że spod Cydzyny go dopiero przywieziono i jad zatrutej strzały ogniem mu chodzi po żyłach. Czoło rosi pot, który ścieka na oczy. Pewnie wejdzie zaraz Dobrawka i chłodnym ręcznikiem obetrze uznojone czoło. Już ją miał zawołać, lecz resztką przytomności przypomina sobie, że przecie Dobrawka zmarła, a ninie żoną jego jest Oda. Tej nie chce już widzieć. Jej młode ciało, które umiało budzić namiętność w starym człowieku, już mu nie jest potrzebne. Jenó zamęt wprowadziła w jego życie, niech mu nie mąci śmierci.

Wspomnił, że synów ma z nią, których kocha. Na jej nalegania zabezpieczył ich, jak się dało, przed Bolkiem. Ale czy to wystarczy? Czy można komuś siłę dać? Bolko ma ją w sobie. Mieszko trzymał go w karbach siłą własną; gdy ta pryśnie, Bolko będzie wolny. Co uczyni? Uśmiechnął się do Lamberta, zrozumiał nie wypowiedzianą prośbę ojcowskiego serca. Ale starszy, Mieszko? Stoi za nim Oda, wybuchnie walka, gdy na wieki się zamkną Mieszkowe oczy.

Walka w kraju, gdy wrogowie czyhają ze wszystkich stron. Jaki będzie jej wynik?

Znowu bóle zatargały gasnącym ciałem i myśl się załamała. Przez otwarte okna płynęły zapachy wiosny z wilgotnym powiewem od rzeki. Od jakiej rzeki? Czy to Odra? Zapada cicha, ciepła noc. Byle wytrzymać do rana. Rano przyjdzie pomoc. Odra musi być moja, bez niej powietrza w piersi nie staje. Przyjdzie brat, Ścibor, i z nim zbawienie, a wrogom zguba.

Chłodniejszy powiew musnął wilgotne czoło księcia i oprzytomniał.

Ścibor nie żyje od dwudziestu lat. Mogiła zwycięzcy stoi nad Odrą. Nie przyjdzie. Zapada ciemność, ale nie będzie świtu. Znowu myśli Mieszka się mącą.

Czyżby jednak świtało? Pojaśniało w komnacie. To księżyc zszedł i blade swe światło przesiewa przez gałęzie drzew. Gdzieś z daleka, pierwszy w tym roku słowik nieśmiało jeszcze, próbuje swej pieśni. Gdzie to słowiki tak śpiewały? W krzaczach, nad Wisłą, na mazowieckiej wyprawie, w taką samą księżycową noc, gdy nadjechał Zbrozło.

Wtedy Zbrozło był z nim; a potem odszedł. Mieszko wie dlaczego. Ale robił to, co musiał, nie mógł inaczej. Czemuż dręczy go to jak grzech i w godzinie śmierci spokoju nie daje? Jak spowiedzi, zapragnął mówić ze Zbrozłą. Stoigniew mówił, że przyjdzie; jeśli nie zwiódł go, Zbrozło musi przyjść, zaraz.

- Jestem - dochodzi skądś znany głos.

Księżyc wznosił się ponad drzewa i pełną twarzą zajrzał przez okno komnaty. Światła i cienie stały się ostre. Książę wyraźnie widzi dziwaczną, martwą twarz i ciemne plamy wpadniętych oczu, w których coś świeci jak próchno. Nie dziwi się, ogarnia go jakieś podniecenie, zrzuci z siebie ciężar.

- Jesteś nareszcie - mówi z westchnieniem ulgi. Z trudem zbiera myśli. Spieszyć się trzeba. Ale gdy myśli w zdania układa, coraz więcej ma wątpliwości. Co wyniknie z jego poczynań? Chciałby myślą przebić zasłonę przyszłości, wyteża ją, lecz myśl opada bezsilnie.

Mówi wreszcie:

- Nie żyłem dla siebie.

Cisza, jeno słowik rozspiewał się śmielej i w lekkim powiewie szeleszcza liście na drzewach. Mieszko siada z wysiłkiem na łożu i zaczyna mówić pośpiesznie.

Czuje, że gdy skończy, nie powie już więcej ni słowa.

- Co miałem robić? Późnośmy się ocknęli, nie czas było przekonywać. Wierzyłem, że lepszy, tedy wszystkich naszych w jedno zgarnąć chciałem. Siły nam trzeba. Któż obliczy tnąc z całej mocy, gdzie miecz się zatrzyma? Czy moja wina, że nie wydoliłem? Czyhali wrogowie z każdej strony.

Nigdy spokoju, nigdy wypoczynku, znikąd pewności! Tedy zabezpieczyć chciałem choć to, com zyskał. Niechby następca dzieło dalej prowadził, gdyby mnie sił nie stało. Byle czas wygrać. Wygnałem starych bogów, wraz z ich kapłanami, bo zamęt jeno siali, i nowegom wprowadził.

Czy moja wina, że tamci Boga oszukują, że Jego królestwo na swoje chcą zamienić, że wciskają się za Nim jak cień za światłem, że kupczą prawdą i życie czynią obrzydłym? Teofano rozumiała to i ja ją rozumiałem. Zgodziłem się pomagać jej ładu zaprowadzić na świecie. Gdzieś musi być kres tej walki, co nam, książętom, sen jeno odbiera, a małym ludziom wszystko. Ale duki i margrafy swoje. Musiałem z nimi szukać związków, by mieć wpływ na sprawy. Czyżem winien, że zmęczonego już i samotnego omamiła chytra niewiasta tym, czegom się za młodu wyrzekł dla swego dzieła? Czyżem winien, że pokochałem jej dzieci i przez troskę o nie rozdzieliłem, com sam w trudzie złączył? Że kłodę rzuciłem pod nogi temu, co dzieło moje dalej ma prowadzić, by może obalił się na niej? Sercu i dumie za ciasno w jednej piersi. Dusi mnie!

Mieszko wyczerpany opadł na łożę i dyszał prędko. Nie czuł już bólów, czekał, czy jeszcze usłyszy odpowiedź. Coraz wolniej tętni krew w uszach księcia. Czuje, jak ziębną mu nabrzmiąle nogi. Ciemno mu robi się przed oczyma. Doszła snadź Mieszka odpowiedź, bo wyraz udręki ustąpił z jego twarzy; spłynął na nią uśmiech i już pozostał.

* * *

Nim świt zarumienił niebo, Mieszko nie żył.

Magnus et memorabilis.

Kraków, czerwiec 1945.

Spis rozdziałów

Tom pierwszy

- I. Podpora
- II. Bliźniacy
- III. Troski Jordana
- IV. Na Dzikowej puściźnie
- V. Przeczucie matki
- VI. Cesarskie rozjemstwo
- VII. Cios
- VIII. Zmowa bliźniaków
- IX. Poselstwo do Rzymu
- X. Spotkanie na łowach
- XI. Posiłki na duńską wyprawę
- XII. Pod bramą Wiglesdor
- XIII. Schwytanie Jaskotela
- XIV. Chmurny widnokrąg
- XV. Audun
- XVI. Szczygieł w klatce
- XVII. Starcie z cesarzem
- XVIII. Pokrzyżowane zamiary
- XIX. Spętane orle
- XX. Obawa i nadzieja
- XXI. Złamany opór
- XXII. Nieoczekiwane spotkanie
- XXIII. Wyzwolenie
- XXIV. Żałosny powrót
- XXV. Audunowe przechwałki
- XXVI. Gwiazda przewodnia
- XXVII. Przekleństwo
- XXVIII. Pierwszy zgrzyt
- XIX. Wróżebny miecz
- XXX. Groźna zapowiedź
- XXXI. Audunowy kres
- XXXII. Samowola

Tom drugi

- I. Na krawędzi życia

- II. Skrucha
- III. Lato
- IV. Wstrząsająca wieść
- V. Kupała
- VI. Oda
- VII. Po weselu Jaskotela
- VIII. Dar Lubora
- IX. Rozterka
- X. Świętosława
- XI. Nieoczekiwane wstawiennictwo
- XII. W niełasce
- XIII. Krzesz
- XIV. Na dwu rubieżach
- XV. Zakłócona radość
- XVI. Koniec grodziska
- XVII. Zbrozło
- XVIII. Pociechy
- XIX. Pielgrzym na drodze
- XX. Małżeństwo Bolka
- XXI. Pożegnanie
- XXII. Krwawa wróżba
- XXIII. Posiew nieufności
- XXIV. Wewnętrzny bunt
- XXV. Kropla goryczy
- XXVI. Między młotem a kowadłem
- XXVII. Chybione dziewczosłęby
- XXVIII. Rozejm z ojcem
- XXIX. Groźne zamysły
- XXX: Zamęt
- XXXI. Ofiara
- XXXII. W sidłach
- XXXIII. U kresu sił
- XXXIV. Pojednani
- XXXV. Pęknięty łuk